E. 2

DOCZESNA POTĘGA.

Druk Towarz. Akcyj. S. Orgelbranda Synow.

MARYA CORELLI

DOCZESNA POTĘGA

Przekład z angielskiego

C. NIEWIADOMSKIEJ.

Bibl. Pryw. Justyn Strzyż
№ 543
GRODZIEC

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1903

LP II 12 22

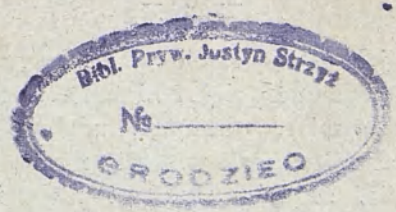
426547

I

Дозволено Цензурою
Варшава, 6 Декабря 1902 года.

V. 79/3992
28.3 301

Biblioteka



I.

„Na początku—mówi Pismo—Bóg stworzył niebo i ziemię.“

Twierdzenie proste i tak jasne, iż chodzi widocznie o to, ażeby przez każdego zrozumiane było. Ton krótki i stanowczy nie dopuszcza pytań; nie można wątpić, iż starożytny dziejopis tego wzniosłego faktu był poetą niepospolitego talentu, choć kierowało nim ludzkie zupełnie pragnienie podniesienia roli tej ziemi, która była jego mieszkaniem. Jakaż głęboka wiara brzmi w każdym wyrazie, gdy mówi o stworzeniu „wielkiego światła,“ aby oświecało ją we dnie, i „mniejszego“ dla rozpraszania ciemności nocy! Krótka wreszcie wzmianka o gwiazdach budzi prawdziwy podziw.

Jakże dziecinnie prostą była ta dusza poety, która w kilku prawdziwie natchnionych wyrazach tak śmiało i stanowczo rozwiązuje niezbadaną tajemnicę początku Wszech-

świata! jak pewną siebie wiara, która mu pozwala odwieczne siły i nieśmiertelne potęgi ograniczać miarą własnych, ludzkich pojęć!

Naturalną jest wreszcie rzeczą wyobrażać sobie, że Bóg stworzył niebo i ziemię, ale równie naturalną jest pokusa, która tak często nasuwa nam pomimo woli przypuszczenie, iż w stworzeniu człowieka brać musiały udział i inne, wrogie siły. Wszakże niebo i ziemia stanowią harmonię, w której człowiek jest jedynym dysonansem. Jest dysonansem nietylko sam przez się, ale dziwną znajduje rozkosz w mnożeniu i wytwarzaniu dokoła siebie dysonansów. Wszystkie zdobycze wiedzy służą mu tylko do tego, aby z najwyższem zuchwalstwem tworzyć i stanowić prawa, pod każdym względem sprzeczne z prawami natury, stosunek zaś jego do przedwiecznej i niezbadanej tajemnicy pierwszej przyczyny bytu opiera się zwykle na negacyi i nieufności. Od pierwszej do ostatniej chwili swego życia usiłuje przewyższyć lub zdeptać naturę i umiera wyczerpany tą nierówną walką. Cywilizacya jego, władza, prawa i zwyczaje, wszystko dąży do ujarzmienia praw bytu, do wyniesienia nad nie jego woli. Istnieje i znika z ziemi, niby wulkan, który w ciągu nocy wstał z morskiej głębiny, siejąc dokoła zniszczenie i klęski, aby po krótkiej chwili zgasnąć i zniknąć bez śladu.

A jednak wieki całe pracuje wytrwale, chociaż daremnie, od wieków walczy i od wieków pada, zwyciężany prawicą Bożą.

Więc musi być przyczyna tej odwiecznej walki, targania się, upadków, bo wszakże na świecie nie spotykamy skutków bez przyczyny. Tak uczeń w szkole, który popełnił błąd jakiś w rachunku, powtarza go i przepisuje bez końca, nie mogąc dojść do rezultatu. Może ten błąd w nas leży i w naszych dążeniach do tak zwanego „postępu," którym w gruncie rzeczy określamy korzyści materyalne? Może zwycięstwo byłoby możliwe, gdybyśmy walczyli w duchu i dla ducha? może śmierć sama wtedy musiałaby ukorzyć się przed nami?...

Niejeden z nas tak myśli, i tak myślał właśnie jeden z monarchów tego świata, siedząc na rozległym tarasie swojego pałacu, wychodzącym na morze. Siedział, patrząc przed siebie, i po raz tysiączny usiłował rozwiązać życia własnego zagadkę.

— Na co się zdało myśleć?—powiedział podobno jeden z dowcipnych dworzan Ludwika XVI.—To w nas utwierdza tylko pogardę dla ludzi, albo dla samego siebie!—Monarcha w zupełności podzielał to zdanie i stosował się do niego w dniach młodości. Wtedy pozwalał chwilom rządzić sobą i biegł za niemi chętnie, dokądkolwiek go wiodły. Ale

upłynęły lata, i różane ścieżki młodzieńczych przyjemności zniknęły bez śladu, a miejsce ich zajęły mniej piękne widoki i otworzyły się przed nim gościńce o wiele mniej ponętne i pociągające.

Wspaniałe morze w blaskach zachodu mieniło się barwami tęczy, a śnieżno-białe żagle okrętów i statków przesuwały się po niem niby białe ptaki, muskające przelotnem skrzydłem dumne fale. Piękność widoku przykuwała oczy do szmaragdowo-błękitnej przestrzeni, w której promienie słońca rozlewały złoto i zapalały królewską purpurę. Świat się stawał nakształt pięknego marzenia, które upaja zmysły, wyobraźnię, i daje cudne chwile spokojnego szczęścia, tak rzadkie na tej ziemi.

W powietrzu unosiła się subtelna, wiosenna woń fijołków; poniżej tarasu, nad szmaragdową trawą pochylony, ogrodnik ścinał gwiaździste narcyzy i białe pęki kładł w równych odstępach na zielonem wezgłowiu aksamitnej łąki. I zapach kwiatów, czystych, jak dziewice, złożone na ofiarę nieznanemu Bogu, płynął ku niebu, niby skarga niema, czy pożegnanie świata.

Król nieruchomy, milcząc, siedział na tarasie, ale czy podziwiał cudowne zjawisko, czy go nie widział, w myślach zatopiony, nikt nie odgadnie. Ogrodnik, pracą zajęty

na dole, zdawał się nie spostrzegać jego obecności; monarcha nie obdarzył go żadnem spojrzeniem. Prawo i zwyczaj stały między nimi, przegradzając ich niewidzialną, ale potężną granicą, ku której nie śmiał podnieść wzroku niższy, która wyższemu krępowała wolę. I dwie istoty, tak blizkie, podobne, a tak dalekie i różne zarazem, nie mogły sobą być w tej pięknej chwili, nie mogły zrzucić masek, które osłaniały ich prawdziwe oblicza.

„*C'est mon métier d'être roi!*“—powiedział niegdyś jeden z męczenników tronu, a jednak to męczeństwo nęci dotychczas, i niejeden oddałby wolność, spokój, szczęście za złudzenie, które nazywa się władzą.

Ogrodnik skończył wreszcie swe zajęcie i, nie podnosząc oczu w kierunku tarasu, oddalił się z powagą, w postaci, świadczącej, iż wiedział, czyje oko spocząć na nim może. Król z pod spuszczonych powiek śledził go spojrzeniem, póki nie zniknął na zakręcie drogi.

Teraz był sam nakoniec. Napozór przynajmniej, gdyż w gruncie rzeczy sam nie bywał nigdy. Ktoś bezustannie śledzi jego kroki, czujny i baczny na każde skinienie, dyskretny, niewidzialny, ale blizki, tak blizki, że nic nie ujdzie jego wzroku i uwagi.

W granicach jednak nawet królom dozwolonych monarcha sam był wreszcie, sam

na krótką chwilę, potrzebną—jak powiedział dziś sekretarzowi—dla rozpatrzenia się w ważnych papierach, które chciał przejrzeć osobiście.

Marmurowy pawilon, w którym siedział właśnie, był dziełem jego ojca, pięknem i kosztownem, zbudowanem dla przyjemności jedynie, w tych czasach, kiedy przyjemność większą, niż dziś, grała rolę. Wysmukłe kolumny jońskie o rzeźbionych fryzach podpierały sklepienie malowane, a wszystko było wyrazem wesela, wdzięku i piękna. Z tego przybytku sztuki otwierał się widok rozległy na trzy strony, ukazując w oddali nieskończone morze, o wodach szmaragdowych lub błękitnych. Stopy kolumn oplatały wonne, wielkie róże, purpurowe i białe, i złocisty, jak pióro, lekki kwiat mimozy, drżący za każdym najlżejszym powiewem.

Cenny stół, na którym monarcha niekiedy pisywał listy, kosztował kwotę, wystarczającą zupełnie na wyżywienie całej ludności miasteczka w ciągu jednego roku. Krzesełka i drobiazgi zapewniłyby niewątpliwie utrzymanie setkom ubogich rodzin, może tysiącom, a każda róża, więdnąca tutaj w samotności, dałaby chwilę szczęścia ubogiemu dziecku.

Król, o którym mówimy, był jednak człowiekiem fizycznie i umysłowo wyróżnia-

jącym się bardzo wyraźnie od typu przeciętnego. Z powierzchowności przypominał raczej starożytnego zwycięzcę, którego towarzysze broni podnieśli na tarczach, ogłaszając swym wodzem. Silnie zbudowany, muskularny i zręczny, o niewielkiej głowie, szlachetnie osadzonej na szerokich barkach, i rysach regularnych, wyrazem twarzy objawiał stanowczość i dumę. Szare, rozumne oczy, o jasnem i zdrowem spojrzeniu, nie miały ani cienia zmysłowości, a ich poważny wyraz wystarczał zupełnie do wyróżnienia z tłumu tej postaci.

Rzecz naturalna, iż od lat dziecięcych nazywano go pięknym. Pochlebcy płci obojej z niewyczerpaną gorliwością unosili się niegdyś nad jego urodą, mądrością i dowcipem. Powtarzano i komentowano każdy wyraz dostojnego następcy tronu na większą trochę skalę, niż gdyby się urodził mniej wysoko.

Młodzieniec jednak wcześnie zrozumiał pochlebstwo i uczuł do niego głęboką odrazę. W osiemnastym roku zaczął na nie odpowiadać, w nieubłagany sposób dręcząc swego profesora pytaniami, na które patentowany i osiwiały w trudach, na tak odpowiedzialnem stanowisku, doktor wielu umiejętności nie mógł znaleźć odpowiedzi. Suchy, drobny i blady ten człowieczek, o siwych włosach i ruchomej krtani, bogaty doświadcze-

niem, biegły w dyalektyce, zaczął się lękać coraz bardziej swego ucznia. Ten zaś znajdował złośliwą przyjemność zarówno w przekraczaniu obowiązujących praw etykiety, jak w zadawaniu pytań tak irytujących, iż gdyby był zwyczajnym uczniem swego mistrza, nie zaś następcą tronu, kto wie, czy nie spotkałby się chociaż raz w życiu z trzcinową laską dostojnego mędrca.

— Co to jest człowiek, profesorze?—pytał.

— Człowiek—odpowiadał uczony z rozwagą—jest istotą myślącą i inteligentną, która drogą naturalnego rozwoju osiągnęła dzisiejszą wyższość.

— Co to jest wyższość?

— Wyższość człowieka polega na władzy, jaką zdobył nad resztą stworzenia.

— A zatem człowiek jest wyższy w stosunku do innych stworzeń, ponieważ ma nad niemi władzę?

— Tak utrzymują.

— A ojciec mój czy jest człowiekiem?

— Pytanie zupełnie zbyteczne.

— Cóż uczyniło go królem?

— Urodzenie i prawo dziedzictwa.

— Jeśli więc człowiek na zasadzie władzy jest wyższy od innych stworzeń, król, mający władzę nad ludźmi, jest czemś więcej, niż człowiekiem?

— Wasza wysokość stawia kwestyę rozmyślnie w fałszywem oświetleniu — protestował z przymuszonym uśmiechem profesor.

— Dziwna zasada!—zauważył książę lekceważąco. — Ponad tem wszystkiem zaś rządzi i włada jedna najwyższa siła, zwana Bogiem?

— Niezawodnie—odparł profesor z wahaniem.—W dzisiejszych warunkach jednak byłoby wielką nierozwagą roztrząsać publicznie naturę tej siły, zwanej przez tłumy Bogiem. Doświadczenie nas uczy, że religia po wszystkie czasy była potrzebą ludzi, choć nie umiałbym może sam dla siebie odpowiedzieć, dlaczego.

— Dlatego, że pomimo swej „wyższości," człowiek musi nad sobą czuć kogoś wyższego i ulegać tej władzy, choćby nią był fetysz lub wytwór własnej jego wyobraźni. Królowie nawet, szczerze czy obłudnie, ale publicznie się korzą przed uznanym królem królów.

Blady człowieczek skłonił się z powagą.

— Określiłeś to, sir, znakomicie — zauważył.—Ojciec waszej wysokości jest przykładem punktualności w spełnianiu przepisów religijnych i obrzędów, a gdy wasza wysokość obejmie po nim rządy, pójdzie tą samą drogą przez poczucie obowiązku i konieczności.

Lekki uśmiech ironii był jedyną tym razem odpowiedzią, ale uczony prefesor uznał za rzecz niezbędną zakomunikować treść powyższej rozmowy samemu monarsze, dodając, iż pomimo całego szacunku dla dostojnego ucznia, obawia się jednak, aby umysł młodzieńca nie dał się uwikłać nowoczesnym doktrynom prądów filozoficznych, zupełnie niestosownych dla przyszłego króla.

To zapewne było przyczyną, iż w kilka dni później monarcha znalazł sposobność do rozmowy z synem na temat filozofii.

— Strzeż się tej mądrości — mówił żartobliwie:—filozofia godzi człowieka ze śmiercią, ale kłóci go z życiem. Ona zmrozi twoje najlepsze popędy, zburzy najszlachetniejsze ideały. Nauczy cię podejrzewać najlepszych przyjaciół i uczyni obojętnym dla kobiet wogóle, ale słabego i bezbronnego wyda cię *jednej* kobiecie. Niema nieszczęśliwszej i słabszej istoty, niż filozof zakochany! Kochaj kobiety wszystkie, ale strzeż się jednej.

— W takim razie najlepiej zrobię, naśladując ciebie, ojcze, pod tym względem — odparł książę z żartobliwą serdecznością, dadaleką od zuchwalstwa, gdyż magnetyczny urok, jaki dla płci pięknej miał monarcha, był rzeczą powszechnie wiadomą.—Myślę jednak,—dodał po chwili—że jeśli miłość nie jest

marzeniem poetów, to w każdym razie jest czemś nieznanem dla królów.

Monarcha zsunął brwi ruchem nerwowym, a oczy jego stały się pełne goryczy i głębokiego smutku.

— Mylisz się—rzekł poważnie.—Miłość, nie namiętność, staje na drodze królów, jak i zwykłych śmiertelników; ta jest tylko różnica, że tamci o nią walczyć mogą, a my zwykle mijać musimy. I wierz mi, to spotkanie w każdem życiu pozostawia wielką pustkę.

Oddalił się i już nie wszczynał tej rozmowy, ale w kilka lat potem, gdy umarł, na szyi nieboszczyka znaleziono złoty medalion, zawierający jasny promień włosów i portret kobiety, która nie była królową. Syn jednak własną ręką złożył tę pamiątkę na zimnej piersi ojca, aby z nim poszła do grobu. Była to tajemnica człowieka, nie króla, i on jeden miał do niej prawo.

Tak przynajmniej mniemał jego syn i spadkobierca, będąc zarazem mocno przekonany, iż on na miejscu ojca nie umiałby strzedz tak wiernie i długo tajemnicy serca. Nie miał wiary w jej wartość, chociaż własne życie dało mu dowód, że wielka, t. j. idealna i pełna zaparcia się miłość istnieje na tym świecie, choćby tylko w sercu kobiety.

Była to przeszłość blizka. Gdy miał lat dwadzieścia, zakochał się w dziewczynie, która nie wiedziała o jego urodzeniu i znała go jako studenta. Swobodnie, ręka w ręku, przebiegali pola, kwieciste łąki, rwali kwiaty polne, i on zdobił jej włosy, kiedy zmęczeni oboje nad brzegiem rzeki szukali spoczynku. Dziewczę było słodkie, ciche i nieśmiałe, o wielkich oczach, pełnych serdecznego ciepła i głębokich uczuć łagodnych. Młodzieniec postanowił ją poślubić i napisał do ojca, zawiadamiając go o tym zamiarze. Następstwem listu był powrót do domu, gdzie usiłowano przedstawić mu całą niedorzeczność tej myśli. Więc mówiono mu o przyszłej wielkości, o stanowisku, jakie zająć musiał, i odpowiedzialności za czyn każdy lekkomyślny.

Nim jednak zdołano go przekonać o konieczności wyrzeczenia się wybranej, ona sama położyła koniec całej sprawie. Gdy nieprzygotowanej powiedziano nagle o godności kochanka, w szale rozpaczy rzuciła się w rzekę, nad której brzegiem tyle chwil słodkich spędziła. Ukochanego pożegnała listem, który przed śmiercią sama wrzuciła na pocztę. Było to kilka zaledwie wyrazów, skreślonych drżącą ręką i zalanych łzami.

„Sir, najdroższy! przebacz mi!“

Trudno byłoby zbadać i określić, ile ten drobny kawałek papieru zaważył w duszy dziedzica i następcy tronu.

Odtąd zmienił się bardzo. Zdawaćby się mogło, iż jak niewolnik poszedł wskazaną mu drogą, choć, ku zgorszeniu dworu, nieraz złośliwie, szyderczo kąsał obrożę rutyny i formy. Rozgrzeszano go w imię młodości i siły, ale jemu nie wystarczały te tryumfy. On sam chwilami tęsknił z dziwną mocą do przeszłości, pragnął żyć przed wiekami, walczyć i zdobywać, łamać przeszkody, na czele drużyny wiernej i śmiałej rzucać się na wroga z krzykiem: „Śmierć lub zwycięstwo!“

Walka zarówno jak życie prostszemi i szlachetniejszemi były wtedy. Nie znano strachu śmierci, kalectwa i nędzy, nie lękano się wyjawiać swych myśli, silna wola nie była niewolnicą prawa.

II.

Drobny epizod ten pierwszej miłości, a następnie zwykłej rozpaczy i szału, sprowadził bardzo łatwe do przewidzenia następstwo: legalne małżeństwo księcia. Układy prowadzono szybko i stanowczo, wyłuszczono

mu niezmiernie ważne polityczne przyczyny, ze względu na które musiał spełnić obowiązek, uprzedzając grożące powikłania. Przeznaczono mu córkę sąsiedniego władcy, piękną dziewicę, bladą i chłodną jak zima, o oczach lśniących jak brylanty śniegu, której uśmiech przenikał duszę chłodnym dreszczem, a pełne wdzięku, ciche i spokojne ruchy mimowolnie przypominały opadanie śnieżnych płatków w spokojnem powietrzu.

Prowadzili ją do ślubu najwyżsi dostojnicy państwa i członkowie rodzin panujących z trzech czwartych kuli ziemskiej.

Tak, młodzi małżonkowie kochali się bardzo, przeznaczeni byli widocznie dla siebie, i los szczęśliwy związał im dziś dłonie. Głosili to poeci w odach i epitalamiach, powtarzały deputacye, karty, telegramy, świat cały był wzruszony tym wypadkiem, tak ogólnem, harmonijnem skojarzeniem dwóch dla siebie stworzonych istot.

Po ślubie młoda para odjechała do ustronnego zamku w pięknej, górskiej okolicy, przeznaczonego dla nich na miodowy miesiąc. Tutaj byli u siebie i tu, gdy nakoniec, pożegnawszy swój orszak, otoczenie, służbę, znaleźli się sam na sam w wielkiej sali, nowo zaślubiona królewska małżonka zbliżyła się spokojnie do swego dostojnego męża i spytała, czy może „raz pierwszy

i ostatni w życiu“ pomówić z nim otwarcie o małżeństwie.

Pytała z bladą twarzą i chłodnym uśmiechem, z blaskiem oczu podobnym do światła księżyca, tak spokojnym i tajemniczym. Zdjęła już obrzędowy strój królewski i stała przed nim w białej, lekkiej szacie, ze swobodnie puszczoną na ramiona kaskadą złotych włosów, piękna, zimna i czysta. Książę objął małżonkę badawczem spojrzeniem i przyznał w duszy, że los obdarzył go z dziwną hojnością, oddając mu to jasne, cudowne zjawisko za wątpliwe rozkosze tronu.

— Czy mogę mówić? — zapytała cicho i drżącym nieco głosem.

— Naturalnie — odparł z uprzejmym uśmiechem.—Zbytnia uprzejmość, że mię pytasz o to.

Skłonił się z galanteryą, ale gdy podniósł głowę, ujrzał przed sobą piękne oczy żony, patrzące na niego z wyrazem dumy i cierpienia.

— Nie bawmy się w grzeczności—rzekła cicho. — Bądźmy szczerzy względem siebie. Miejmy odwagę spojrzeć, kim jesteśmy, i zdać sobie jasno sprawę z położenia, w którem się znaleźliśmy.

Książę zdziwiony milczał, patrząc na nią. Spotkała go zbyt wielka niespodzianka. Pięknej, spokojnej dziewiętnastoletniej dziew-

czyny nie posądzał ani na chwilę o własną indywidualność, jakąś siłę charakteru i zasób logiki, wystarczający do rozumowania. W jego oczach była dotychczas białą kartą; przypuszczał, iż musi być zadowolona, zostając wielką księżną i następczynią tronu; głębszych myśli i uczuć nie podejrzewał w niej wcale.

— Wiesz... — zaczęła na nowo — musisz o tem wiedzieć...

Głos jej złamał się nagle; stłumiły go widocznie łzy, które siłą woli usiłowała powstrzymać; zachwiała się, jak gdyby miała upaść.

Książę pośpieszył ku niej z wyciągniętą ręką, ale cofnęła się szybko i padła na krzesło wyczerpana, a może i upokorzona.

— Jesteś zmęczona—rzekł łagodnie książę.—Nieznośne ceremonie, życzenia jeszcze dłuższe i nudniejsze, wreszcie ta cała podróż wyczerpały twe siły. Musisz wypocząć.

— To nie to...—odparła—nie to. Jestem zmęczona, ale... ale nie mogłabym modlić się dzisiaj, gdybym ci przedtem szczerze nie otworzyła serca.

Ciekawość i współczucie odmalowały się w spojrzeniu księcia. Czegóż się jeszcze dowie? Sam przez dzień cały z trudem panował nad sobą, gardząc i nienawidząc się naprzemian za to małżeństwo bez uczucia; jego

przysięga przed ołtarzem była nikczemnem kłamstwem i wstrętną obłudą, a jeśli wierzył w Boga—to bluźnierstwem; a teraz znowu ona, ten kwiat biały, czysty, mówi mu o sumieniu, które nie pozwala jej modlić się dziś, póki między nimi nie wyjaśni się jakaś tajemnica! Milczał i czekał.

— Przysięgłam ci dziś wiarę przed ołtarzem Boga, — mówiła dalej spokojniejszym głosem—przysięgłam, gdyż po długim, poważnym namyśle przyszłam do przekonania, że niema innej drogi dla zadowolenia wymagań dwóch narodów i utrwalenia ich związku. Mówiono mi, iż niema z politycznych względów księżniczki odpowiedniejszej na żonę dla ciebie. Kraj i dynastya żądały od ciebie, abyś mnie wziął za żonę; ja proszę Boga, aby mi przebaczył, iż zgodziłam się na to jedynie, wyłącznie przez poczucie obowiązku. Mój ojciec i twój ojciec i cała rodzina i wszyscy, wszyscy tak pragnęli tego związku i powtarzali mi, i zapewniali, iż dobrze czynię, oddając ci życie. Życie każdej kobiety zresztą jest męczeństwem; jakże mogłam spodziewać się uniknąć losu, który jest udziałem całej płci mojej? Zgodziłam się więc z przeznaczeniem, które oddało mię tobie, niby rzecz jakąś, na własność; zgodziłam się dobrowolnie, ale nie mam prawa powiedzieć, że chętnie, bo to byłoby kłamstwem. Nie ko-

cham cię i nie będę cię kochała. Chcę, abyś wiedział o tem i nie wymagał ode mnie, czego ci dać nie mogę.

Teraz nie było łez w głosie kobiety, wzrok miała jasny, spokojny i śmiały; ale książę pobladł, smutek zasępił mu czoło, a litość odmalowała się w spojrzeniu.

— Kochasz kogo innego?—zapytał łagodnie i miękko.

Podniosła się z błyskiem dumy w chłodnych oczach.

— Nie!—zawołała namiętnie i silnie.— Nikogo nie oszukałam dotychczas, nawet myślą. Gdybym kochała innego, nie zostałabym nigdy twoją żoną, choćbyś był następcą wszystkich tronów świata! Nie zrozumiałeś mię. Oddałam ci się z sercem czystem, ale chłodnem, bez skazy i bez cienia uczucia w przeszłości, któregobyś znać nie mógł. Nie kochałam nigdy żadnego mężczyzny, lękałam się ich od dzieciństwa, miałam dla nich jedynie wstręt i nienawiść. I dzisiaj jest to samo. Wasza obecność, spojrzenie, głos, ruchy—wstręt we mnie budzą, a dotknięcie ręki wywołuje uczucie zniewagi i burzy całą moją istotę. Matka wiedziała o tem i mówiła, że jestem „nienormalna.“ To być może, ale normalna, czy nienormalna, taką jestem, i sam osądź, jaką zrobiłam ofia-

rę dla Boga i dla kraju, oddając ci się z tem usposobieniem.

Książę zdumiony nie mógł znaleźć odpowiedzi. Co to ma znaczyć? Atak histeryczny, gorączka, obłąkanie? Patrzał na nią badawczo, ale cała jej postać, chłodny wyraz spojrzenia, spokój i stanowczość ruchów, jakimi odtrącała go od siebie, świadczyły, iż nie była to chwilowa drażliwość chorych nerwów. Zakłopotany, ale olśniony zarazem, daremnie szukał myślą rozwiązania tej niezwykłej przemowy. Do czego zmierzała?

— Są kobiety,—mówiła dalej—dla których tak zwana miłość jest potrzebą, a małżeństwo uważają za największe szczęście. Ja nie należę do nich. Gdyby zależało to ode mnie, żyłabym z daleka od mężczyzn. Nic od nich nie potrzebuję i nic dla nich nie mam. Szczęśliwa byłabym wtedy, gdybym mogła oddać się Bogu taką, jaką jestem, gdyż, mówiąc szczerze i uczciwie, bez najmniejszej przesady, w moich oczach małżeństwo nie jest bynajmniej zaszczytem, lecz poniżeniem i upokorzeniem.

Uśmiechnąłby się, gdyby nie stanowczość jej tonu i siła przekonania, z jaką mówiła te słowa; w niezwykłem podnieceniu była w tej chwili tak piękna, iż wydawała mu się czemś nadprzyrodzonem, i patrzał na nią z bezwiednym zachwytem.

— Zrozumiałem cię—zaczął.

Przerwała mu skinieniem, a fala krwi różowej oblała ją nagle.

— Zrozumiej tylko to,—rzekła stanowczo—że cię nie kocham, ponieważ nie mogę kochać żadnego mężczyzny. Po za tem jestem twoją żoną i bez zastrzeżeń oddałam się tobie i narodowi, nad którym panujesz. Oddałam wszystko—wszystko—prócz miłości.

Książę postąpił i ujął jej rękę.

— Dziwny układ—rzekł miękko, składając na niej pocałunek.

Uczuł, że ta pieszczota przejęła ją dreszczem. Przez chwilę patrzał na nią badawczo, w milczeniu, i doznawał nieznanego mu dotychczas uczucia, na myśl, że jest panem tej pięknej kobiety, a jednak cała władza jego nie ma siły wywołać jednej iskry tkliwości w jej duszy. W gruncie rzeczy niedowierzał jej zwierzeniom; nie wątpił, że nastąpi chwila przebudzenia, bo przecież to nie była bogini niebieska, lecz z krwi i kości prawdziwa kobieta. Zdawał sobie sprawę, że cała ta scena dość mu się podobała i zajęła go szczerze. Była nową, ciekawą. Wolał zresztą w kobiecie ten chłód nienaturalny, niż wybuchy wulkaniczne, które trzeba gasić.

— Dziękuję za otwartość—rzekł też po chwili milczenia, uwalniając jej rękę i odstępując na bok.—Nie wiem wprawdzie, czy ta

nienawiść dla płci mojej jest w tobie wadą, czy wyjątkową cnotą, ale nie spieram się o to. Sam nie jestem bez błędu, przeciwnie, podzielam najpospolitsze wady wszystkich mężczyzn: pożądam tego, co mi jest wzbronione, i pragnę najgoręcej tego, czego nie mam. Rozumiemy się teraz wzajemnie, nie prawdaż?

Spojrzała na niego swoim księżycowym wzrokiem i przez chwilę zdawała się walczyć spojrzeniem; zwolna jednak spuściła głowę z pełną dumy rezygnacyą i odeszła.

I rzeczywiście nigdy odtąd piękna pani nie rozmawiała z mężem o swoich uczuciach i osobistych sprawach. Chłodna, niby lodowiec, a czysta, jak dyament, obowiązki żony i matki przyjmowała jako męczeństwo, jako upokorzenie, które dźwigać umiała z godnością. Z trzech jej synów najstarszy miał obecnie rok dziewiętnasty, ale ubiegłe lata nie pozostawiły żadnego śladu na jej niezwykłej piękności; można powiedzieć prawie, że ją rozwinęły i otoczyły jasną aureolą czystości, nieskażonej pyłem ziemskim. Najpiękniejsze kobiety dworu gasły przy niej, w blasku, któremu dorównać nie mogły ani doskonałością rysów, ani wdziękiem. Należała widocznie do tych wyjątkowych istot, które się nie starzeją, ponieważ wzruszenia nie szarpią i nie wyczerpują ich nerwów. Jej pełne

blasku oczy miały zawsze wyraz spokojnej pogody, gładkie, dziewicze czoło jaśniało białością, figura zachowała kształty wysmukłe i wiotkie, a ruchy wdzięk i lekkość. Jej silny i odporny temperament nie tracił równowagi i spokoju, a przykrości życia, myśli i wrażenia spływały po niej, niezdolne zamroczyć jasnego czoła, ani pozostawić na niem najlżejszej brózdy.

Życie jej upływało cicho i systematycznie, jasne, proste i czyste, naprzekór tym wszystkim, którzy poszukiwali w niem skandalu. Ludzie niezwykli, zdolni, namiętni, wrażliwi — kochali się w niej czasem do szaleństwa i odbierali sobie nawet życie, ale na niej nie robiło to wrażenia, nie wzruszało jej wcale. Książę, przeciwnie, w podobnych wypadkach okazywał współczucie nieszczęśliwym, choć uważał ich za szaleńców, dla których świat ten nie ma miejsca, ani roli. W ciągu pierwszych trzech lat małżeństwa sam był niejednokrotnie na podobnej drodze, daremnie usiłując wszelkimi środkami złamać niewzruszoną zaporę lodową, dzielącą go od żony. Walczył wytrwale, gorąco, namiętnie, nie dlatego, że kochał, lecz że pragnął zostać zwycięzcą.

Zrozumiał wreszcie, że to nadaremnie, i poddał się losowi z rezygnacyą, szukając jawnie pociechy, rozrywki u pięknych kobiet

swego otoczenia. Może bezwiednie pragnął zbudzić zazdrość w sercu małżonki, ale wzrok jej lodowaty, który przenikał go dreszczem w chwilach najbezmyślniejszych wesołego flirtu, zdawał się świadczyć, że i pod tym względem omylił się w rachubie. Stygł pod jej wzrokiem, aby szaleć znowu, gdy się otrząśnie z pierwszego wrażenia i powie sobie, że jest zupełnie bez winy.

Zresztą pod każdym względem księżna była bez zarzutu: obowiązki pani, żony, gospodyni spełniała z taktem, rozwagą, spokojem. Miłosierna i dobroczynna w miarę, pamiętała o potrzebach ubogich i nieszczęśliwych; jako matka, troskliwa dbała o to sama, aby jej dzieci dobrze były odżywiane i właściwie chowane; natomiast nie wtrącała się do intryg dworskich, nie miała nic wspólnego z polityką. Była po prostu gwiazdą, która jaśnieje nad ziemią i krąży nad nią po wytkniętej drodze, ale nic z nią wspólnego nie ma.

Zimna i obojętna, budziła jednak uwielbienie; nawet mąż, odepchnięty i zrażony, podziwiał ją i wielbił, jak najpiękniejszy posąg w swej galeryi. Dla gorącej i wrażliwej natury przyszłego monarchy niezwykły ten stosunek był prawdziwą klęską, odzierającą mu samotne życie z cichego szczęścia, uczuć serdecznych i ciepła. Rodziny nie miał. Z żo-

Biblioteka Śląska

ną nic go nie łączyło. Dzieci nawet nie znał bliżej; one widziały w nim przyszłego króla, on w nich następców tronu, poza tem trudno było znaleźć z nimi jakiś punkt styczny.

W takich okolicznościach upłynęło lat 18 od pamiętnego zawsze dnia małżeństwa, kiedy śmierć ojca otworzyła mu drogę do tronu. Odtąd zdawało mu się, że ta chwila dziwną przepaścią rozdzieliła dla niego przeszłość od przyszłości. Poza nim przeszłość rozpływała się niby chmura, która wkrótce zniknie bez śladu; przed nim przyszłość nieznana, szara i wiodąca pewną już teraz drogą do mety nieuniknionej—do śmierci.

To i dzisiaj widział przed sobą wyraźnie, siedząc samotny na pięknym tarasie, w kosztownym pawilonie nieboszczyka króla. Smutne myśli, jak chmury, osiadły mu w duszy, i cudny widok wspaniałej natury słabo łagodził gryzące cierpienie, z którego nie miał siły się otrząsnąć. Przez trzy lata dopiero rządził swojem państwem, a już budziły się w nim wątpliwości: czy syn najstarszy nie patrzy na niego, jak na przeszkodę, dzielącą go od tronu? czy lud jest rzeczywiście z rządów tych zadowolony?

Ojciec jego umarł nagle, tak nagle, iż nie było mowy o ratunku, mimo całego zastępu doktorów. Żegnając syna ostatniem spojrzeniem, zdawał się mówić: „Niestety, na

ciebie spada teraz brzemię korony!“ Umarł, i prędko go zapomniano. Lud z radością powitał nowego monarchę.

Jako następca tronu, książę cieszył się popularnością i kochany był więcej od ojca, to też jego wstąpienie na tron wywołało szczere i głośne objawy niezwykłego zadowolenia. Trzy lata upłynęły teraz od tej chwili, i napozór żadne trudności ani kłopoty nie zakłóciły jego panowania. Trudności i kłopoty—może były wreszcie, ale on nie wiedział o nich. Przykre wieści nie dochodziły jego uszu, tembardziej takie, które mogłyby wywołać niezadowolenie lub oburzenie monarchy.

Wiedziano o nim, że się zalicza do ludzi nieprzeciętnie inteligentnych; mówiono nawet, że lubi bawić się w filozofa. Dlatego też ci, którzy chcieli nim kierować, musieli postępować nadzwyczaj rozważnie, aby nie wyczerpywać dróg i środków, przydatnych na jednorazowe użycie. Wpływ na króla był tem trudniejszy, iż pochlebstwo nie oddziaływało na niego, a nawet czyniło go podejrzliwym i niedowierzającym. Lubił stawiać kwestye jasno i stanowczo i żądał zwykle odpowiedzi, jakich politycy nikomu nie dają. Dotychczas wprawdzie szedł drogą swoich poprzedników, stosując się dość biernie do rad i wskazówek, udzielanych mu przez ministrów. Jednem sło-

wem, spełnił wszystko, czego dotychczas po nim oczekiwano, i nie zadziwił swego otoczenia żadną indywidualną niespodzianką. Nie zdobył się na osobisty sąd o żadnym ruchu i dążeniu politycznem i nie zajął względem niego osobistego stanowiska; zdawał się nawet nigdy nie zadawać sobie pytania: czy taki lub inny objaw należy uważać za korzystny lub szkodliwy dla narodu? Członkowie rządu i wysoko stojące osoby nabierali coraz bardziej ugruntowanej pewności, iż monarcha zupełnie nie zdaje sobie sprawy z ich prywatnych interesów i pobudek, któremi kierowali się w przyjęciu lub odrzuceniu czegoś, osłaniając swe czyny płaszczem ogólnego dobra.

W ostatnich czasach jednak, bez ich wiedzy naturalnie, i zapewne pod wpływem owej „filozofii,“ która już w młodym chłopcu budziła przekorę, zaczął się zastanawiać głębiej nad rolą niemego wykonawcy, malowanej firmy, którą był dotychczas, i zadawać sobie ciekawie pytanie: jakie byłyby skutki, gdyby przezornie, ostrożnie zaczął częściej kierować się swym własnym sądem i mówić to, co myślał? Miał lat czterdzieści pięć, fizycznie i umysłowo czuł się w pełni męskiej siły i rozwoju—miałże resztę dni swoich spędzić w bezczynności, strzeżony, pilnowany, niby niedołężne dziecko, i zejść ze świata w wiecznej zależności, bez słowa, czynu, któ-

reby złożyły świadectwo, że był człowiekiem, obdarzonym myślą i czuciem?

Nie, to obraza Boga, a dla niego krzywda! Istnieć — to znaczy istnieć, nie przejść bez śladu. On pragnie żyć i działać, ale jak rozpocząć? Jaką drogą od biernego posłuszeństwa dojść do oporu i niezależności? Jak złamać nędzne formy i zapory, które odgraniczają go od świata i silniej niż kajdany tamują swobodę? Piękna to bajka, że król wszystko może!

Trzy lata niewoli wzbudziły w nim silne pragnienie wolności słowa i wolności czynu. Posłusznie spełniał dotychczas wolę swych ministrów w przekonaniu o popularności gabinetu, to przekonanie jednak od pewnego czasu zachwiało się poważnie: doszły go jakieś echa niezadowolenia i głuchy odgłos skargi, a chociaż zdaleka i niewyraźnie brzmiały dla niego te głosy, zaczęło się w nim budzić przypuszczenie, że głos prasy niezawsze jest głosem narodu, i w danym razie nie naród, lecz prasa podtrzymuje istniejący stan rzeczy. Prasa! Zaczął się zastanawiać, kto też w jego państwie stanowił tę potęgę, niewątpliwie wielką. Prasa we wszystkich państwach początkowo miała być najwspanialszym wynalazkiem współczesnej cywilizacyi, głosem prawdy i sprawiedliwości, głosem śmiałym, nieza-

leżnym i donośnym, którego niepodobna sfałszować.

Takie było zadanie prasy początkowo, ale dziś czemże jest prasa, mówiąc otwarcie i szczerze? Monarcha z własnej jasno mógł zdać sobie sprawę. Była ona własnością kilku możnych osób, wydawców tanich dzienników, których rozchodziły się miliony. Większość wydawców związała się w „Stowarzyszenie“ i wypuszczała „akcye,“ jak spółki kupieckie, a wartość akcyi zależała często od fałszywej lub mylnej wiadomości, wydrukowanej w dzienniku. Jeżeli wieść prawdziwa mogła być dla nich szkodliwą, cóż ich powstrzymać może od podania mylnej? W interesie wydawców nie leżała prawda, nimi bezwarunkowo kierować musiały widoki osobiste, ale współpracownicy? Skąd się rekrutowały te liczne zastępy? jakiej to kategoryi byli ludzie? Rozpatrując się bliżej, przekonał się łatwo, iż były to po większej części jednostki wykolejone, bez gruntownego wykształcenia, fachu, chwytające się pióra jako środka, który chwilowo chociaż bronił ich przed nędzą. Prócz tego bez różnicy płci i wieku byli to ludzie przedewszystkiem ubodzy, ludzie potrzebujący zarabiać i tym sposobem zmuszeni pisać to, czego wymagał wydawca. Poglądy ich nie mogły więc być niezależne, byli oni urzędnikami i wykonawcami woli ludzi bogatych,

którzy za ich pośrednictwem chcieli i mogli kierować opinią. Tych kilku ludzi!

Czyż potęga prasy nie stawała się przez to monopolem i wprost handlowym interesem?

Pozostawało jeszcze sprawdzić: czy istotnie ci handlarze opinii byli echem głosu narodu? czy chociaż pod tym względem można im było zaufać? Dla monarchy było to jeszcze zagadką, na którą nie śmiał sobie odpowiedzieć; czuł tylko, że ma dosyć tej niewoli, że bierność jego była wyczerpana do gruntu, że chce wiedzieć i działać, spróbować sił własnych i poznać wymagania i dążenia ludu.

— Jeśli byłem oszukiwany, — rzekł do siebie — to potrafię położyć temu koniec. Chcę poznać lud mój, jego pragnienia i siły, i chcę mu dowieść, że nietylko jestem królem, lecz i najlepszym jego przyjacielem. Może mię nie zrozumie? Ha, niechaj się burzy, niech przeciw mnie powstanie! W każdym razie złożę przed śmiercią dowody swojego człowieczeństwa i godności ludzkiej.

— Tak! — dodał, wstając i patrząc na niebo i wspaniałe, potężne morze w całym blasku odwiecznej i nieporównanej piękności:—dzień dzisiejszy będzie początkiem nowych rządów, początkiem mego panowania.

Lat ośmnaście, jako książę następca tronu, traciłem czas na przyjemności i rozrywki, korzystałem z przywilejów i swobody, zapewnianych mi przez stanowisko. Potem nastąpiły trzy lata niewoli; od dziś jednak chcę resztę czasu, który mi pozostaje na tym świecie, żyć życiem własnem, gdyż mam przekonanie, iż taką względem ludzi jest wola ich Stwórcy. Dzisiaj rozumiem, iż prawa natury są zawsze prawdą i sprawiedliwością, gdy przeciwnie prawa człowieka dążą najczęściej do ucisku i fałszu. Prawo ludzkie, chociaż zwycięskie z pozoru, ugiąć się jednakże musi przed odwiecznem prawem, więc staję po jego stronie i chcę pracować dla prawdy i sprawiedliwości.

Oczy jego jaśniały odwagą i zadowoleniem; na tle jasnej zieleni i białych marmurów stał w blasku słońca, patrząc na morze dalekie. Na jednym z drobnych statków, sunących po fali, samotny żeglarz śpiewał, a wiatr niósł słowa pieśni aż do uszu króla:

„Uczyń mię swą własnością, o miłości, choć na godzinę jedną! Oddaję twej potędze serce me i duszę. Pozwól być twoim, o miłości, chociaż jedną godzinę!“

Cień zgasił blaski na obliczu króla.

— Choć na godzinę! — powtórzył półgłosem.—Tak, to dosyć. Miłość kobiety nigdy nie trwa dłużej.

III.

Zbliżające się kroki ostrzegły monarchę, iż nie jest sam. Spokojnie więc usiadł przy stole, udając zajętego przeglądaniem rozłożonych przed sobą dokumentów, ale na widok zbliżającego się mężczyzny uśmiech rozjaśnił mu znowu oblicze. Był to Roger de Launay, wielki koniuszy, a zarazem osobisty przyjaciel króla.

— Czas? — zapytał swobodnie, a gdy przybyły skłonił się potwierdzająco, dodał, patrząc mu w oczy:—A jednak nie przejrzałem nawet tych papierów, chociaż nie próżnowałem: myślałem tu wiele.

Roger de Launay, wysoki, przystojny mężczyzna, z wyrazem pobłażania i dobroduszności na pięknej twarzy, uśmiechnął się konwencyonalnie.

— Szlachetny sposób przepędzenia czasu...—zauważył z powątpiewaniem.—Czy przynajmniej daje pociechę?

Król zaśmiał się i powstał.

— Tego nie mogę powiedzieć — odrzekł.—Jest to jednak niekiedy sposób odzyskania szacunku dla samego siebie. Zacząłem właśnie tracić ten niezbędny warunek moralnego zdrowia; stał się on we mnie podobny do

bezsilnego muskułu, lub zużytego nerwu, i oto godzina myśli wystarczyła, aby przekonać mię znowu, że mam jeszcze wszystkie władze umysłowe w pełni sił i rozwoju!

Sir Roger nie odpowiedział. W oczach jego malowało się pewne zdziwienie, tłumione przez szacunek, a ponieważ przyszedł tu, aby przypomnieć monarsze o przyjętem zobowiązaniu, które w oznaczonym czasie spełnić musiał, zaczął w milczeniu zbierać ze stołu papiery i układać je w tekę.

Król patrzał na niego z wymownym uśmiechem.

— Nie odpowiadasz mi, de Launay,— rzekł nakoniec—i pewno wyobrażasz sobie, że mówię pod przenośnią, chcąc wyrazić, iż godzina samotności z widokiem na ten cudny obraz orzeźwiły mój umysł i przeniosły go w cichą krainę metafizycznych marzeń i upojeń. Ale odpowiedz szczerze: czy sam nie jesteś nakoniec spragniony zerwać z tą konwencyonalną rutyną, która dusi i gniecie? wyzwolić się z tych więzów, które nam każą jedynie powtarzać cudze zdania i cudze wyrazy? być czemś więcej, niż moim przyjacielem?

— Wybacz, sir, nigdy nie pragnąłem więcej, niż być twoim przyjacielem—wtrącił z prostotą de Launay.

Król instynktownie wyciągnął do niego rękę serdecznym ruchem, a dworzanin przycisnął do niej usta. Nie był to jednak pospolity hołd pochlebcy, gdyż de Launay kochał monarchę głęboko, wiernie i bezinteresownie. Prawość, szlachetność i odwaga króla budziły w nim najwyższy szacunek i rzadko spotykane w tych sferach uczucie, złączone z najsilniejszem przekonaniem, iż taki władca jest szczęściem i błogosławieństwem dla kraju, który mu Bóg powierzył.

— Tak, — mówił król tymczasem — w śmiertelnym człowieku jest jednak coś nieśmiertelngo, co woła i domaga się śladu na świecie. Nazwijmy to sumieniem, inteligencyą, czy duchem, w każdym razie przedewszystkiem jest to cząstka Boska, i każdy człowiek ma w życiu godzinę, w której ta iskra musi zajaśnieć lub zgaśnie. Ta godzina wybiła dla mnie, Rogerze: moje „ja“ zawołało o swój wyraz.

— Wasza królewska mość żąda rzeczy niemożliwych—rzekł z uśmiechem wielki koniuszy.—Zdarza się to każdemu, nawet królom.

— „Nawet“ królom!—powtórzył z goryczą monarcha.—Tak, wielka prawda kryje się w tych słowach. Bo i któż są królowie? Czyż nie najnieszczęśliwsi i najbardziej pokrzywdzeni ludzie na tym świecie? Dla siebie nie wymagam szczególnej litości; kraj

mój niewielki, a lud—ile dotychczas wiem przynajmniej — jest zupełnie zadowolony z moich rządów.

— *A propos*, — rzekł koniuszy — wasza królewska mość pewnie pamięta o audyencyi, na dzień dzisiejszy obiecanej siniorowi del Fortis?

— Jezuita! Zupełnie o nim zapomniałem. Dlatego ś po mnie przyszedł, de Launay? nie prawdaż?

Sir Roger skłonił się potwierdzająco.

— To dobrze. Chodźmy. Dziękuję ci za przypomnienie. Wiem, że nie lubisz tego Jezuity, a jednak jest to człowiek silny duchem, z którym liczyć się trzeba. Chcę, abyś był obecny podczas audyencyi. Wiem, o co mu dziś chodzi, z tych papierów — dodał, wskazując tekę, którą zamykał sir Roger.— Zabierz je z sobą.

Sir Roger skinął głową, a król, wyprzedzając go nieco, po marmurowych schodach zstąpił na drogę, wiodącą przez taras ku pałacowi. Idąc zwolna, miał oczy zwrócone na morze, jakby nie mógł nasycić się jego pięknością. Fale płynęły cicho i poważnie, pomarańczowe krzewy, osypane kwiatem, rozlewały woń słodką i upajającą, ptaki przelatywały między gałązkami, napełniając powietrze wesołym świergotem, a słony powiew

morza czystem, zdrowem tchnieniem zdawał się, jak balsamem, koić wszelkie bóle.

Król przystanął i patrzał z czołem zachmurzonem na białe żagle, lekko sunące po morzu.

— Czy książę na pokładzie? — zapytał po chwili.

— Tak, sir—odparł de Launay.—Jego wysokość popłynął dziś na wyspę.

— Sam, jak zwykle?

— Jak zwykle, sir. Na statku jest tylko kapitan i załoga.

Król postąpił w zamyśleniu kilka kroków i zatrzymał się znowu.

— Nie podoba mi się ta wieczna samotność księcia—rzekł stanowczo.—To jest nienaturalne, i nie lubię tego. Piękna to rzecz książki, poezya, muzyka, ale jest już tego za wiele. Coś go zanadto oddala od dworu. Chciałbym raz wiedzieć: co to za kobieta?

Roger ze szczerem zdumieniem szeroko otworzył oczy.

— Kobieta, sir? — powtórzył, — Nic nie wiem o żadnej. Książę przecież ma dopiero lat dwadzieścia.

— Najgorszy wiek, mój drogi. Chłopiec dwudziestoletni—źle się kocha; człowiek trzydziestoletni—źle się żeni; w czterdziestym roku spotyka nakoniec wybraną, przeznaczoną

sobie duszę—i wzdycha do końca życia. Mój syn jest w pierwszej fazie i bardzo się myli, lub—źle się kocha.

Nerwowym krokiem ruszył dalej; de Launay szedł za nim z uczuciem nieokreślonego zdziwienia. Cóż za zmiana zaszła dziś u króla? Coś z niego spadło, niby sztywna forma; mowa jego stała się swobodniejszą niezwykle stanowczą; w wyrazie twarzy była badawczość i wola.

Znalazłszy się w pałacu, szli długim pasażem, któremu kolorowe, wysoko umieszczone okna nadawały niezwykłe oświetlenie. Nagle w końcu galeryi stanęła przed nimi piękna kobieta z pękiem białych lilii w ręku. Cofnęła się natychmiast z głębokim ukłonem, ale król przystanął i patrzał przez chwilę na białe kwiaty i piękną kobietę, piastującą je z troskliwością.

— Zapewne do kaplicy?—zapytał z uśmiechem.

— Nie, sir, to dla królowej.

Dla królowej! Z piersi króla wydarło się ciche westchnienie. Ogarnęło go nagle dziwne zadumanie, i zapatrzony w śnieżną białość kwiatów, porównywał je mimowolnie do królowej. Były tak samo czyste, piękne, zimne, jak ta kobieta, która od dnia ślubu nie obdarzyła go serdecznem słowem, ani ciepłem spojrzeniem. Ich silny zapach upa-

jał mu zmysły i budził gorycz zawiedzionych pragnień: tak gorącego niegdyś pragnienia miłości, czucia, zrozumienia wzajemnego, których nie zaznał w życiu. I zrywał się w nim ten ból buntowniczy, który nie chciał się pogodzić z przeznaczeniem.

Nagle postąpił dalej kilka kroków, a piękna pani z głębokim ukłonem oddaliła się zwolna, niknąc jak zjawisko w błękitnem świetle, płynącem z wysoka. Król patrzał za nią, i posępna chmura osiadła mu na czole.

Gdy weszli do prywatnego pokoju przyjęć, wielki koniuszy polecił dyżurującemu tam szambelanowi, by oznajmił panu del Fortis, iż monarcha go oczekuje.

Teraz król otworzył tekę, przyniesioną przez Rogera, i własnoręcznie wybrał z niej kilka papierów, które położył przed sobą na stole.

— W ciągu ostatniego półrocza — rzekł do swego towarzysza — imię tego człowieka miałem przed sobą codziennie, i w myślach dziesięć razy odrzucałem, to znowu zgadzałem się na jego żądania. Prasa roztrząsała je szczegółowo, przytaczając pozornie wszystkie *pro* i *contra*, ale ja pragnąłem poznać zdanie ludu. Dziś je poznałem i postanowiłem zastosować się do niego, bez względu na życzenia i dążenie—czyjekolwiek.

De Launay milczał. Nie był pytany o zdanie.

— Oto jeden z przykładów,—mówił król dalej, jak gdyby ulegając potrzebie wypowiedzenia swych myśli — kiedy doczesność pokonywa ducha. Dla mnie jest to dowodem, iż duch i jego siła niezawsze *jest* istotnie w narzuconej mu formie. Duch, jako nieśmiertelne szczątki Boga, nie może być zwyciężony, musi być najsilniejszy, jeśli jest prawdziwy. Sprawa monsiniora del Fortis jest następująca: Przybywa tu jako legat i specyalny emisaryusz Towarzystwa Jezusowego, aby uzyskać pozwolenie na budowę kościoła, klasztoru i szkoły w jednej z najpiękniejszych prowincyi, należącej bezpośrednio do korony. Żądanie z pozoru zupełnie niewinne, z intencyą czysto religijną. Tymczasem, odkiedy powstała ta kwestya, odebrałem już przeszło czterdzieści próśb od mieszkańców zainteresowanej okolicy, domagających się, abym odmówił koncesyi. Czyż nie ciekawa sprzeczność i zagadka? Jeżeli zadowolę wymagania ludu, obrażę kościół; jeśli im uczynię zadość, obrażę swych poddanych.

— Wspomniałeś, sir, iż prasa dyskutowała w tej kwestyi?

— Prasa to chorągiewka: jak za wiatrem obraca się za spekulacyą. Dziś za nimi, jutro przeciw. W zasadzie traktowała rzecz dość obo-

jętnie, o ile złoto nie znalazło drogi do tej lub innej redakcyi.

W tej chwili otworzyły się podwoje, i monsinior del Fortis, z zachowaniem zwykłych w takich razach ceremonii, stanął przed obliczem króla. Był to mężczyzna wysoki i chudy, o ciemnej cerze, ściągłej, trupiej twarzy, brwiach zrosłych nad dużym nosem, i kruczo-czarnych włosach mimo lat sześćdziesięciu. Obcisły czarny ubiór, zapięty wysoko pod szyję, uwydatniał kościstość jego członków, a prawa ręka, którą położył na piersi, głęboki ukłon składając monarsze, przypominała raczej rękę trupa, niż istoty żyjącej.

Król objął go uważnie badawczem spojrzeniem, a Roger, stojąc opodal jak żołnierz, sztywny, wyprostowany, podobniejszy do posągu, niż żyjącego człowieka, nie spuszczał oka z obu tych postaci.

— Witam cię, monsiniorze del Fortis — odezwał się wreszcie monarcha. — Aby oszczędzić wam trudu i czasu, zacznę od tego, iż znaną mi jest pańska sprawa.

Jezuita skłonił się nizko.

— Zakon wasz życzy sobie uzyskać od korony prawo, aby w wymienionej tu okolicy założyć klasztor i szkołę, i w celu uzyskania tej koncesyi jesteś pan przysłany.

Głębokie, tajemnicze oczy zakonnika dziwnym płomieniem błysnęły na chwilę, ale szybko skryły się pod powiekami.

— Wasza królewska mość — zaczął spokojnie—raczył istotnie zbadać cel mej prośby. Śmiem jednak dodać,—mówił cichym, ale wyraźnym, trochę syczącym głosem — iż ogrom codziennych zajęć waszej królewskiej mości nie pozwolił mu prawdopodobnie rozpatrzyć się dokładnie we wszystkich szczegółach naszej sprawy. Dlatego przysłany jestem przez swą zwierzchność, ażeby, uzyskawszy audyencyę u waszej królewskiej mości, jako sekretarz i skarbnik proponowanego klasztoru, dać wszelkie wyjaśnienia co do moralnych i materyalnych korzyści, jakie nasza propozycya przynieść może okolicy.

Mówił zwolna, wyraźnie, kładąc odpowiedni nacisk na ważniejsze wyrazy.

— Moralne czyli duchowe korzyści, rzecz prosta, dla zakonu muszą być ważniejsze—rzekł król z uśmiechem;—sądzę jednak, że i strona materyalna ma w każdej sprawie poważne znaczenie. Otóż, jako monarcha świecki i doczesny, pragnąłbym poznać bliżej zamiary zakonu względem moich poddanych. Co im dać może? Dobro ludu mojego jest pierwszem zadaniem mojem, pragnę więc wiedzieć, jakie dobrodziejstwa przynieść mu

może sąsiedztwo kościoła, klasztoru i szkoły waszej?

Del Fortis objął króla błyskawicą oczu, która natychmiast skryła się znowu, czy zgasła.

— Sir,—odparł zwolna, widocznie przygotowaną formułą—mieszkańcy obranej przez nas okolicy są dziś barbarzyńcami, pogrążonymi w ciemnocie. Dla ich dobra, przez miłość tych zbłąkanybh owiec, które odzyskać chcemy dla Chrystusa, pragniemy rozpiąć namiot nasz w pustyni. Zgubne nowoczesne pogańskie doktryny, w połączeniu z wrodzonym popędem do złego, szerzą się pośród nich w sposób straszliwy, a nic nie powstrzymuje tego kierunku i prądu. Więc Kościół pragnie wziąć pod swą opiekę te opuszczone dzieci i przy pomocy Bożej wywieść je łagodną ręką z ciemnoty i obłędu do wiecznego światła i prawdy.

Skinienie króla przerwało mu mowę.

— W mieście jest szkoła rządowa — rzekł monarcha, biorąc do ręki jeden z leżących przed nim papierów.—Jest też bezpłatna biblioteka publiczna i szkoła sztuki. Na tej zasadzie sądzę, iż mieszkańcy niezupełnie są zaniedbani pod względem oświaty.

— Jest to oświata błędna i fałszywa, oświata, która tylko do złego prowadzi, jak

owoc wiadomości w Raju ziemskim—odparł del Fortis z gorącem spojrzeniem.

— Potępiasz pan kierunek szkół rządowych?—spytał król chłodno.

— Dalekie jest ode mnie, ubogiego sługi Kościoła, potępianie prawej i legalnej władzy, nie możemy jednakże zapominać, iż rząd jest rzeczą doczesną i zmienną, Kościół zaś władzą duchową i wieczną. Dlatego nie możemy uznać za korzystną i wystarczającą oświaty, pozbawionej przewodnictwa i błogosławieństwa Bożego.

Król zmienił pozycyę i utkwił wzrok badawczy w ascetycznej postaci.

— Ale skądże wiecie, że nasza oświata jest pozbawiona przewodnictwa i błogosławieństwa Bożego? — zapytał. — Czy Stwórca sam objawił wam to w jaki sposób?

— Sir! wasza królewska mość...—zaczął del Fortis z wyraźnem oburzeniem.

De Launay postąpił kilka kroków naprzód, ale król skinieniem ręki cofnął go na poprzednie stanowisko. Dworzanin jednak przestał być posągiem, widocznie wolą tylko się hamował, aby posłusznym być temu skinieniu. Rozumiał, że król teraz przemówi otwarcie, i to właśnie niepokoiło go tak bardzo, gdyż przewidywał w tem niebezpieczeństwo.

Ale król zaczął mówić:

— Wiem, co mi na to chcecie odpowiedzieć: Kościół, wasz Kościół, jest jedynie wybrany przez Boga i odbiera od Stwórcy bezpośrednio natchnienie, które nim kieruje w każdej sprawie. Ale ja nie wierzę, aby sprawiedliwość Boska błogosławieństwo swoje ograniczała wyłącznie jedną wiarą, czy jednym krajem. Twierdzicie, iż rządowy system wychowania ma na celu względy jedynie doczesne, i dlatego nie zasługuje na błogosławieństwo Przedwiecznego; ależ i papież ceni tę doczesną władzę dla tych, czy innych celów, których rozpatrywać nie chcę. Ja twierdzę, że Bóg tylko może zakreślić granicę między tak zwanem doczesnem a wiecznem. A ponieważ bez woli Bożej nic na świecie być nie może, sam szatan nawet, jeżeli istnieje, jest z Jego woli i dla Jego celów...

Umilkł na chwilę. Del Fortis stał przed nim wyprostowany i z ręką na piersi. Oczy Rogera rzucały płomienie.

— Myśl ludzka postępuje,—ciągnął monarcha dalej—wy zaś usiłujecie powstrzymać ten postęp, upatrując w nim coś zgubnego. I to was zawsze strąca z przewodnictwa, bo gdybyście dążyli z duchem zawsze naprzód, niktby wam nie mógł go odebrać. Myśl ludzka iskrą Bożą, a jej najwyższe zadanie sięgać po wiedzę wciąż wyżej i wyżej i wciąż nowe zdobywać prawdy. Wy jej ode-

brać chcecie ten przywilej, i dlatego, pomimo całego szacunku dla każdej religii i jej przedstawicieli, uważam za swój pierwszy obowiązek bronić swoich poddanych przed pętami, narzucanemi chociażby w imię Chrystusa.

Del Fortis milczał, choć posępny uśmiech przemknął jak cień znikomy po wybladłej twarzy.

— Takie są moje przekonania — zaczął po chwili monarcha.—Bóg tylko sądzić może, czy słuszne, czy błędne. Ja w imię tych przekonań mam obowiązek i prawo odpowiedzieć ci, monsiniorze, iż jestem zdecydowany zastosować się do życzeń ludu mego, wyrażonych w tych oto licznych prośbach, gdzie, jak na barbarzyńców, bardzo wymownie i logicznie proszą o osłonienie ich przed waszym wpływem. Co do mnie, sądzę na podstawie faktów, iż ludność danej miejscowości ma wszystko, co mieszkańcom kraju cywilizowanego zapewnić mogą postęp i prawa społeczne, czego najlepszym dowodem, iż dostarczają krajowi zacnych obywateli i urzędników, pełniących swoje obowiązki sumiennie i rozumnie. Więcej ani od siebie, ani od nikogo z poddanych swoich wymagać nie mogę. Zbrodnie są tam rzadkością, a nędzarze nie krzywdzą się nawzajem, lecz wspierają. Wszystko to daje mi prawo, korzystając z doczesnej władzy, którą mi Bóg powierzył, wzbronić

zakonowi dostępu do ludzi, wzywających w tym celu mej pomocy.

— Wasza królewska mość odmawia zakonowi koncesyi, o którą prosimy? — spytał del Fortis drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak, — odparł król stanowczo — spełniając życzenie poddanych, którzy mię o to proszą.

— W takim razie uprzedzić jeszcze muszę waszą królewską mość, że dobra, będące tam prywatną własnością, będą przez nas zakupione z zupełną zgodą obecnych posiadaczów, którzy są zdecydowani sprzedać je zakonowi.

W oczach monarchy zaświecił błysk gniewu.

— Jeśli je pragną sprzedać, sprzedadzą je mnie, — rzekł z naciskiem — gdyż powtarzam ci, monsiniorze, że poddani wezwali przeciw wam mojej opieki, i potrafię im ją zapewnić.

Nastąpiła chwila milczenia. Roger de Launay z zapartym oddechem śledził wyraz i ruchy zakonnika, ale na bladej twarzy i w oczach spuszczonych nie można było nic wyczytać. Wreszcie del Fortis przemówił z uśmiechem:

— Wasza królewska mość w imię swej władzy ma moc zupełną zamknąć nam drogę

do czynu w społecznym i politycznym kierunku, niewolno nam jednakże wątpić o tem, że ponad władzą ziemską jest wyższa potęga, przed którą nawet monarchowie tego świata uchylić czoła bywają zmuszeni.

— Sądzę, iż polemika religijna nie jest celem rozmowy naszej, monsiniorze. Moja władza, jak słusznie rzekłeś, jest doczesna, wasza — duchowa, zatem powinna być wyższa i silniejsza od mojej. Na tej zasadzie pozwalam ci zanieść zwierzchności swej odpowiedź, że jeśli mocą swej duchowej władzy zdołacie wpłynąć na moich poddanych w ten sposób, iż zamiast się was lękać, zapragną was widzieć pośród siebie i z taką prośbą zwrócą się znów do mnie, wtedy przyjdźcie raz jeszcze, a dam wam ziemię i koncesyę. Nie śmiem przesądzać rzeczy, których człowiek zbadać naprawdę nie może, i nie chcę się uprzedzać do dróg, które mnie się błędnemi wydają, ale w tym razie zastosuję się zawsze do życzenia ludu i nie wydam go wpływom, które odpycha z niechęcią.

— Wybacz, sir — rzekł del Fortis ze swym tajemniczym uśmiechem: — muszę ci przypomnieć jednak, że i członkowie zakonu są to poddani twoi, i przyszliśmy cię także prosić o pomoc i opiekę, jako monarchę chrześcijańskiego i katolickiego.

— I jestem nim — odparł król stanow-

czym głosem. — Twoje słowa, monsiniorze, najzupełniej odpowiadają moim przekonaniom. Chrześcijaninem jestem, gdyż wierzę w Chrystusa i usiłuję iść za jego śladem; katolikiem zaś jestem, ponieważ ten wyraz znaczy: powszechny, przez co ja rozumiem wielką powszechną miłość, bez względu na drobne różnice wyznań, sekt, partyi i przesądów ludzkich. W tem znaczeniu, wasz kościół nie jest katolicki, lecz właściwie powinien nazywać się: rzymski. Nie mogę też uważać was za swych poddanych, gdyż nad wami jedyną rzeczywistą władzę posiada biskup rzymski czyli papież. Jak powiedziałem jednak, nie zeszliśmy się tutaj na dysputę religijną. Przedstawiłeś mi, monsiniorze, swe żądanie i masz moją odpowiedź, kwestya zatem jest wyczerpana.

Del Fortis zdawał się wahać przez chwilę, potem, złożywszy nizki ukłon pożegnania, wyprostował się znowu i uroczystym gestem podniósł w górę swą białą i wychudłą rękę.

— Waszą królewską mość polecam Bogu z prośbą, aby w przedwiecznej swej mądrości użyczył ci, o królu, lat długich i zdrowia, ale zmiękczył serce twoje dla sług świętej wiary i sprowadził twój umysł na drogę sprawiedliwości i pokoju. Odpowiedź twoją, królu, wiernie odniosę swej władzy.

— Uczyń tak, monsiniorze, gdyż ze swojej strony zapewniam cię, że nie zmienię

w niej nic, chyba lud mój tego ode mnie zażąda.

— Pozostaje mi tylko pożegnać cię, sir — rzekł de Fortis, kłaniając się raz jeszcze i opuszczając pokój.

De Launay odetchnął głęboko i pośpiesznie zbliżył się do króla.

— Co ci jest? — spytał monarcha. — Czy byłeś tak zdumiony, że wreszcie przemówiłem szczerze?

— Sir, — odparł jeszcze zmieszany dworzanin — szczerość jest zawsze rzeczą niebezpieczną.

— Niebezpieczną? Powiem ci, że to nędzny wyraz, który robi ludzi tchórzami. Co nazywasz niebezpieczeństwem? Cóż człowiekowi grozić może oprócz śmierci? A śmierć? Ona zarówno stwarza bohaterów, jak tchórzów.

— To prawda, ale...

— Niema „ale.“ Jeżeli kochasz mię prawdziwie, nie patrz na mnie takim podnieconym wzrokiem. Taka rzecz nie powinna wzruszać cię do tego stopnia. Posłuchaj raczej: kładę na ciebie obowiązek, aby reporterzy, którzy zjawią się zaraz po wieści, byli stanowczo poinformowani, że odmówiłem Jezuitom przywileju zakładania szkół w jakiejkolwiek części mego państwa. Im prę-

dzej wiedzieć o tem będzie prasa i publiczność, tem lepiej.

— Sir, — szepnął cicho Roger — żyjemy w takich czasach...

— W dziwnych czasach, chcesz powiedzieć, w bardzo dziwnych. Historya i doświadczenie widocznie żadnej nie przyniosły światu korzyści. Nie rozumie i dzisiaj, że jeśli wiara, czysta wiara i nauka Chrystusa są prawdziwem światłem i zdrowiem narodu, to znów osłanianie płaszczykiem religii dążeń politycznych, czy jakichkolwiek innych, jest rzeczą niemoralną i szkodliwą, w której, co do mnie, nigdy nie wezmę udziału.

— Narażasz się, sir, jednak na poważne trudności i kłopoty, na zupełne niezrozumienie twoich chęci.

— Jestem przekonany, że masz słuszność, ale to mię nie zraża. Gdyby było inaczej, musiałbym wbrew chęci zaliczyć się do głupców. Nie mówmy o tem, i nie patrz tak na mnie. Potrzebuję twojej pomocy, to jest dla mnie rzeczą ważniejszą.

— Pomocy, sir? — zawołał Launay gorąco. — Weź moje życie, jeśli ci potrzebne.

Król poufale oparł mu rękę na ramieniu.

— Życie narażać mogę tylko własne — odparł. — Z trudnościami sam chcę się zmierzyć przedewszystkiem Jestem śmiertelnie



znudzony tem wszystkiem, co się nazywa formą, a co dotychczas było tak nazwanem „mojem panowaniem.“ Strząsnę to, albo zginę. Już ci powiedziałem, że mój duch się upomniał dziś o swoje prawa, o byt własny. Dziwne są czasy teraz, bardzo dziwne, ale dla „dziwnego króla“ może najodpowiedniejsze.

IV.

W lewem skrzydle pałacu królewskiego mieściło się mieszkanie profesora von Glauben, nadwornego lekarza. Henryk von Glauben należał do ludzi wybitnej indywidualności i umysłu. Jako młody doktor zasłynął przed laty meteoryczną sławą znakomitego chirurga i niepospolitego dyagnosty w najbardziej skomplikowanych cierpieniach. Jego występy wzbudziły we współczesnej medycynie wielkie ożywienie i zażartą walkę, ale von Glauben, nie czekając na rezultat, który miał mu zapewnić świetny tryumf, odrzucił najkorzystniejsze w kraju propozycye i wyjechał za granicę, aby objąć zajmowane do dziś dnia stanowisko nadwornego lekarza sąsiedniego państwa.

Co go skłoniło do takiego kroku, który

był w gruncie rzeczy cofnięciem się z pola walki bez powodu, nie wiadomo. Szeptano coś o wielkim zawodzie sercowym, inni przypisywali to napaściom i bezwzględności wrogiego obozu; nikt prawdziwych pobudek nie znał. Na nowem stanowisku von Glauben zamknął się w ciszy gabinetu, pełniąc łatwe obowiązki doradcy lekarskiego wśród rodziny zdrowej i niewiele wymagającej od niego. Miał więc dużo swobody i wolnego czasu, który poświęcał głównie oryginalnym studyom fizyologicznym i pracy nad obszernem dziełem: „Moralne i polityczne historye głodu," jako źródła cywilizacyi i najpotężniejszego czynnika postępu.

Profesor miał obecnie 55 lat skończonych, ale niezwykle silna budowa i organizm tego człowieka czyniły go powierzchownie znacznie młodszym. Ta jasna, zdrowa postać, bez jednej zmarszczki na rumianej twarzy i siwego włosa, pośród tajemniczych przyrządów fizycznych, retort, rurek i nieznanych narzędzi, zajęta subtelną pracą, której rezultatów oko profana ocenić nie mogło, sprawiała dziwne wrażenie olbrzyma przy jakiejś delikatnej mozaice, która niknęła pod szeroką dłonią. Dłoń ta jednakże, wielka i szeroka, była niezwykle miękka i lekka w potrzebie, gdyż kierował nią umysł pełen

gorącego i najszczerszego współczucia dla bliźnich.

Do tego to człowieka śpieszył Roger de Launay, ilekroć potrzebował równowagi i wewnętrznego spokoju, które nie były jego zaletami. Obu tych ludzi łączyła zarówno głęboka i gorąca miłość króla, jak głęboko utajone, a niemniej gorące uczucie uwielbienia dla królowej. Różnica lat i temperamentu uczuciom tym nadawała inny wyraz i charakter; bardziej porywczy i młodszy de Launay nie umiał tak wytrwale panować nad sobą, czyny jego i słowa były często odruchami, szybszymi od myśli i woli, ale i von Glauben umiał ciąć ostro i nagle, chociaż nie posądziłby o to nikt człowieka, zajętego w tej chwili z nabożnem skupieniem przeprowadzaniem przez cieniutkę rurkę jakiejś pary czy gazu z jednej retorty do drugiej.

Właśnie Roger de Launay szedł do pracowni zwykłym swym nerwowym krokiem, z dziwnym wyrazem twarzy i spojrzeniem, które zwróciło zaraz uwagę doktora.

— Siadaj, Rogerze — rzekł uprzejmym głosem, nie przerywając swojego zajęcia i podsuwając mu pudełko cygar. — Zmęczony jesteś? Coś cię zjadło, przyjacielu? Bierz naukę od tych stworzeń — dodał, wskazując fajeczką naczynie szklane; — one nie męczą

się nigdy, szkodząc innym, ile mogą. Obecnie żyją w przyjemnem złudzeniu, że szklana rurka jest ciałem człowieka, którego zjedzą żywcem. A szkodniki! I nic ich żywotności nie wyczerpie, nie zabije, chyba że wymordują się nawzajem! Zupełnie tak, jak ludzie.

— Nie jestem w usposobieniu studyowania życia mikrobów — zauważył de Launay, zapalając cygaro.

— Nie? A czemu? Istoty wcale niemniej zajmujące i ciekawe od nas.

— Porzuć żarty, von Glauben: chcę z tobą pomówić poważnie.

— Poważnym jestem zawsze, mój kochany; nawet kiedy się śmieję, śmieję się poważnie.

— Odpowiedz mi więc, co sądzisz o królu, który wypowiada szczerze swoje zdanie?

— Myślę, że to dzielny i uczciwy człowiek, — odparł spokojnie Niemiec — i szanuję go tak szczerze, iż choćby nie istniało prawo etykiety, gotów jestem zawsze odkryć przed nim głowę.

— W takim razie nie noś odtąd kapelusza, a oszczędzisz sobie trudu zdejmowania go bezustannie w obecności Jego Królewskiej Mości.

— Jego Królewskiej Mości, naszej Królewskiej Mości...—powtórzył cicho, jakby sam

do siebie von Glauben, wyjmując z ust fajeczkę i patrząc w sufit zamyślony.

— Tak, nasz król — mówił Roger z nerwowym akcentem — z niewiadomej przyczyny powziął nagle postanowienie wypowiadania otwarcie swych myśli. Co z tego będzie?

— Co będzie? Co jest? — chciałeś powiedzieć. Widzę to po wyrazie twoich oczu, że coś zaszło, co mi pragniesz opowiedzieć.

De Launay się zawahał; spostrzegł to profesor.

— Nie mów, jeśli z twojej strony byłoby to nadużyciem zaufania — rzekł poważnie. — W pewnych sprawach życiowych lepiej zawsze zamknąć niepokój w swoim własnym mózgu, niż przelewać go w innych.

— Nadużycia ani zdrady zaufania nie może być w tym wypadku,—odparł de Launay żywo — gdyż sprawa już zapewne stała się publiczną. I w tem właśnie dla mnie tkwi niebezpieczeństwo. Sam osądź.

W krótkich słowach opowiedział treść rozmowy monarchy z przedstawicielem zakonu; von Glauben słuchał uważnie.

— W zasadzie nic mię tu dziwić nie może — odparł nakoniec; — raczej dziwić się należy, iż ludzie uważają prawdę za rzecz niebezpieczną. Nie jestem zwolennikiem Jezuitów właśnie dlatego, że w przekonaniu mojem walczą oni jedynie dyplomacyą, naj-

staranniej osłaniając rzeczywiste cele; ale właśnie dlatego prawda...

De Launay niecierpliwym ruchem odrzucił w kąt pokoju nawpół wypalone cygaro; von Glauben potrząsnął głową z wyrazem współczucia.

— Oto cecha czasu i temperamentu — rzekł tonem rezygnacyi: — zamykać komu usta prostem wzruszeniem ramion i rzucać w kąt prawdziwe hawańskie cygaro! Jesteś nerwowy i poprostu zły, mój przyjacielu, ale za co zły na mnie?

— Nie jestem zły na ciebie, — odparł Roger, wstając i chodząc po pokoju wielkimi krokami,—tylko nie mogę znosić twego flegmatycznego głosu. Nie wątpię, że tak samo jak i ja rozumiesz, iż król się bez potrzeby naraża na walkę, więc co tutaj pomoże filozofia? A oprócz tego niech ten list więcej ci powie — dodał, podając zapieczętowaną kopertę, którą doktor poważnie wziął do ręki. — Perswadowałem mu, ile mogłem; w ostateczności zrobię, czego żąda, boć to mój obowiązek.

— Każdego z nas, — odparł znów spokojnie Niemiec — a poza obowiązkiem i chęć własna mi każe spełnić wszystko, czego wymaga. Zobaczmy.

Rozdarł kopertę i przebiegał papier

oczyma; Roger śledził uważnie wyraz jego twarzy.

— Trzeba zrobić, jak kazał — rzekł wreszcie von Glauben, składając list starannie. — Innej drogi niema, dla mnie przynajmniej. Stawię się punktualnie na oznaczonem miejscu, w taki sposób, jak sobie życzy. Niewątpliwie będą zmiany, duże zmiany, ale myślę, że na dobre.

— Ale życie króla...

— Jest w ręku Boga. To zarówno o królach, jak o każdym z nas powiedzieć można. Któż śmiałby mieć mu za złe, że chce być człowiekiem? że chce poznać do gruntu istotny stan kraju, którym rządzi? Nasza rzecz strzedz go i bronić, choćby kosztem własnego życia, i czyż nie uczynimy tego obaj chętnie?

Szybkim ruchem sięgnął ku ścianie, wyjął z pochwy błyszczący miecz, podniósł go w górę, potem przycisnął do ust i podał Rogerowi, który natychmiast dotknął go także ustami.

— Oto wszystko — rzekł, kładąc broń na swoje miejsce. — Co do reszty, uważać ją trzeba za cząstkę tej ogólno-ludzkiej komedyi, którą odgrywamy wszyscy. Wielki aktor podejmuje się dziś roli głównej, a my, stojąc na stronie, czekać musimy skinienia, gdy nadejdzie chwila gorąca.

Wyprostował się w całej swojej wysokości, podniósł ramiona i spojrzał z wysoka, ale na ustach miał uśmiech dobrotliwy.

— Wierz mi, — rzekł innym tonem — że to będzie nadzwyczaj zajmujące, a obawy twoje są zupełnie bezzasadne. Pomyśl tylko, jak nudnem jest to dworskie życie: doprawdy, najnudniejsze chyba ze wszystkiego, co jest na Bożym świecie. I cóż dziwnego, że ten, kto odczuwa najbardziej nużący ciężar, pragnie chociaż na chwilę odetchnąć czemś innem, wyłamać się z tej szarej, gniotącej go monotonności?

— Szarą monotonność rozjaśni błysk zemsty, jeśli tak dalej pójdzie — zauważył Roger.

— Być może, ale powinniśmy mieć nadzieję, że to przedewszystkiem zakłopocze dosyć poważnie pewnego, zbyt ufnego w swe siły ministra. Dla nas to sport jedynie.

— Dla nas to niebezpieczeństwo, bo jeżeli nieszczęście spotka króla, książę następca tronu zbyt młody jest jeszcze, aby mógł objąć rządy z korzyścią dla kraju.

Lekka chmura przemknęła po twarzy doktora, westchnął pomimowolnie i badawczym wzrokiem spojrzał na koniuszego.

— Książę jest młody... — zaczął powoli, z namysłem.

— Prędki i niedoświadczony — wtrącił Roger.

— Nie prędki, lecz uczciwy — poprawił go Niemiec.—Uczciwy, oto wszystko. To całe jego nieszczęście. Rolnikowi jeszcze wolno być uczciwym, jeśli mu się podoba, ale księciu — nigdy.

De Launay milczał z czołem zachmurzonem.

— Czy nie zobaczysz się z królem jeszcze przed tą nocą? — zapytał wreszcie cicho.

— Po co? — odparł profesor. — Wola jego jest rozkazem, któremu muszę być posłuszny. A poza tem, mój drogi, żaden na świecie argument nie powstrzyma człowieka, który raz obrał sobie własną drogę. Dziś rada moja byłaby tylko zuchwalstwem. Zresztą cóż mogę radzić, czy odradzać, skoro w mojem przekonaniu robi dobrze?

Roger de Launay spojrzał niedowierzająco na śmiejące się oczy i poważny uśmiech olbrzyma.

— Chcę wierzyć z tobą, że to będzie tylko zabawne, — rzekł nakoniec — chociaż życie niezawsze bywa wesołą farsą.

— Niezawsze, ale często. Bywa także tragedyą, ale taka potworna tragedya...—o Boże! — trzebaby chyba zwątpić o Twojem istnieniu.

Spokojny zwykle człowiek wyrzekł to prawie w uniesieniu, i Roger de Launay znowu spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Tak,—mówił Niemiec dalej—są i tragedye na świecie. Kiedy straszna choroba wyczerpuje wątłe, niezdolne do odporu siły dziecka, gdy bezbronna kobieta staje się ofiarą gwałtu i brutalnej siły, kiedy mężowie silni mordują się wzajem o bryłkę złota lub kawałek ziemi,—wtedy widzimy przed sobą tragedyę, okrutną, niepojętą i niewyjaśnioną. Ale nie myślmy o tem: niema celu myśleć.

Milczał przez chwilę, nim przemówił znowu, ale już swym zwykłym spokojnym tonem:

— A zatem jutro w nocy?

— Jutro w nocy, — odparł de Launay — jeżeli nie otrzymasz nowego rozkazu.

W tej chwili odgłos trąbki na dziedzińcu zwiastował zmianę warty w pałacu królewskim.

— Otóż i zachód słońca — rzekł von Glauben, zbliżając się do okna. — Oto statek księcia Humberta powraca.

De Launay stanął przy nim, i obaj patrzali na morze, jaśniejące tysiącem barw i blasków; chmury złote i purpurowe płaszczem prawdziwie królewskim spływały aż ku falom, zapalając stubarwne ognie w ruchomej powierzchni, a biały żagiel chwiał się pośród tych płomieni, jak widmo fantastyczne w poemacie.

— Powraca na czas, jak zwykle — rzekł Roger;—książę jest punktualny, przyznać trzeba.

— Jest uczciwy, — poprawił Glauben — i ta uczciwość właśnie może stać się jego nieszczęściem.

De Launay mruknął jakąś niezrozumiałą odpowiedź i wyciągnął do niego rękę.

Von Glauben ją potrząsnął żartobliwie.

— Wielkie szczęście, żeś nie żonaty, Rogerze — rzekł z uśmiechem: — inaczej, za godzinę żona twoja wiedziałaby o wszystkich planach i zamiarach króla. A jutro wiedziałaby o nich jej najserdeczniejsza przyjaciółka, a pojutrze żony wszystkich urzędników dworu; a za tydzień świat cały byłby najdokładniej poinformowany o tej wielkiej tajemnicy.

Roger się roześmiał, ale ciemny rumieniec przemknął po jego twarzy.

— To prawda — rzekł; — rad jestem, żem się nie ożenił, a może więcej jeszcze z tych okoliczności... które sprawiły, że się nie ożenię nigdy. Do widzenia, von Glauben. Muszę spotkać księcia Humberta na przystani; mam i do niego zlecenie od króla.

Profesor spojrzał na koniuszego badawczo.

— Nie przypuszczam, aby i książę miał należeć do... naszej awanturniczej wyprawy?— rzekł wreszcie.

— O, nie! — odparł de Launay. — Król tylko zwrócił uwagę na jego usuwanie się od dworu i chce z nim o tem pomówić otwarcie.

Von Glauben zmarszczył czoło.

— Będzie trochę kłopotu — rzekł z westchnieniem. — Ha, kto wie, może i wiele kłopotów!

— Niechże Bóg broni! — zawołał znów Roger. — Więc do jutra wieczorem?

— Do jutra — szepnął Glauben.

De Launay wyszedł. Glauben stał przy oknie, patrząc na zbliżający się statek, który lekka fala niosła ku brzegowi.

— Nieszczęśliwy książę! — szepnął sam do siebie. — Dlaczegóż powierzyłeś mi tę tajemnicę?.. Czy nieszczęśliwy? — dodał. — Czemuż go żałuję? A jednak... Stało się, nim zapytał mię o radę, a zresztą, tak czy inaczej, żadna niebieska ani piekielna potęga nie powstrzymałaby go. Co się raz stało, odstać się nie może!

V.

Gdyby ci, którzy tak szczerze zazdroszczą zaszczytu zaproszenia do królewskiego stołu, zdawali sobie sprawę, jak nudnemi czę-

Bibl. Pedag. Jagiell. Uniw. Kraków
No

sto bywają te przyjęcia, przestaliby pewno marzyć o nich, albo zazdrościć swym bliźnim. Cięższe niż zwykle brzemię etykiety tłumi tu każdy odblysk szczerej myśli lub wesołego śmiechu. Niewolno ci przemówić, jeśli nie jesteś pytany, niewolno ci poruszać wielu kwestyi, niewolno być wesołym, ani smutnym. Oczy twe bawi piękny i wspaniały obraz królewskiej sali, ale iluż z monarchów oddałoby ten przepych za swobodę prywatnego człowieka?

Do królewskiego stołu w najściślejszem kółku zasiadła właśnie królewska rodzina. Nakrycie, zastawa, urządzenie sali, wspaniałe malowidła wielkich mistrzów i widok morza za otwartem oknem składały się na obraz tak ponętny, iż olśniewał i łudził, że samą pięknością może zaspokoić pragnienie rozkoszy nietylko zmysłów naszych, lecz serca i ducha.

Dokoła stołu zasiadła rodzina, kwitnąca zdrowiem, dorodna i piękna, wśród której królowała pani domu. Piękność królowej jaśniała bez skazy, urągając czasowi i prawom natury, gdyż ta matka dorosłych synów zaćmiewała najświeższe pączki swego kobiecego dworu. Król patrzał na nią z goryczą i smutkiem, niecierpliwiąc się prawie trwałością tych wdzięków, przez brak uczuć pozbawionych dla niego wartości. Syn najstarszy, następca tronu, książę Humbert, uderzająco po-

dobny do ojca, wysmukły był, wysoki, zręczny w każdym ruchu, o ciemnej cerze i potężnych oczach, które w milczeniu nawet miały swoją mowę; dwaj młodsi bracia: Rupert i Cypryan, w wieku lat 18 i 16, przypominali matkę jasną cerą, regularnością rysów i chłodem obejścia. Obaj byli wcieleniem zdrowia i męskiej siły, które jaśniały z ich twarzy wyrazem spokojnego zadowolenia.

Wśród tej rodziny ojciec i monarcha czuł się samotnym i głodnym uczucia, które w tym pustym domu nie zakwitło nigdy. Niby zimowy uśmiech dnia mroźnego, jaśniało nad tem wszystkiem lodowate spojrzenie pięknych oczu jej królewskiej mości. Synowie, pod kierunkiem płatnych mistrzów, wcześnie rozpoczynali życie własne, a etykietalne spotkania przy stole nie zacieśniały węzłów rodzinnych zupełnie. Dla Ruperta i Cypryana nie istniało nic na świecie poza sportem. Uczyli się niechętnie, a myśl ociężała nie goniła nigdy poważnych zagadnień; od przebudzenia rozmawiali z niewyczerpanym zapałem o koniach, lawn-tennisie, krokiecie, piłce nożnej i t. p., znajdując w tych rozrywkach jedyną przyjemność i cel życia, wystarczający im dotychczas.

Książę Humbert różnił się bardzo od braci: z nieśmiałego, skrytego trochę dziecka

wyrósł na marzyciela, lubiącego książki, romantyczną poezyę, muzykę, naturę. Braci unikał zawsze, gdyż ich bezmyślne rozmowy nużyły go i drażniły wtedy nawet, kiedy jeszcze sam tego dobrze nie rozumiał. W ostatnim roku rozwinął się szybko i dojrzał pod fizycznym i moralnym względem, ale zarazem rozwinęło się w nim z dziwną siłą upodobanie samotności, które zaczęło już poważnie niepokoić ojca. Dlatego, w dniu tak ważnym w życiu swojem, król postanowił rozmówić się z synem. Był to też obowiązek, który spełnić musiał, i obecnie obserwował go z uwagą, wiedząc, iż o tem jest już uprzedzony.

Książę Humbert siedział milczący, pochmurny, choć widocznie usiłował osłonić się zwykłym spokojem; atmosfera oczekiwania ciążyła mu i drażniła młodą niecierpliwość, a wzrok ojca nie wróżył przyjemności. Z prawdziwą ulgą powitał też chwilę, gdy królowa powstała od stołu i oddaliła się ze swoim dworem. Po jej odejściu Rupert i Cypryan zniknęli także wkrótce, a Humbert, na znak dany przez Rogera, skierował się za ojcem w stronę jego gabinetu, z tym samym pięknym widokiem na morze.

Król usiadł na fotelu i milczał przez chwilę, wybierając ze srebrnego pudełka cygaro.

— Może zapalisz?—rzekł wreszcie uprzejmie, posuwając je ku synowi.

— Dziękuję, sir, nie palę.

Król oparł się wygodnie; książę stał o kilka kroków.

— Wiatr dzisiaj miałeś pomyślny — rzekł wreszcie. — Uważam, że zaszczycasz od pewnego czasu wyspę szczególnymi względami. Co cię tak nęci: klimat czy natura?

Książę nie odpowiedział.

— Ja sam lubię piękne widoki — ciągnął monarcha dalej, paląc spokojnie cygaro; — zmiana powietrza także jest przyjemna. Ale właśnie dlatego, że zadowolenie daje nam tylko rozmaitość wrażeń, nieroztropnie jest codzień dążyć tą samą drogą.

Król otoczył się dymem, książę milczał jeszcze, i badawcze spojrzenie ojca nie mogło nic wyczytać na tej zagadkowej twarzy.

— Masz wstrzemięźliwy język, Humbercie — zauważył król żartobliwie. — Siadaj-no tutaj, i pomówmy szczerze. Czyż nie możesz mi zaufać, jak ojcu i przyjacielowi?

— Gdybym mógł! — szepnął książę, jakby sam do siebie.

— Więc nie możesz?

— Nie, ojcze. Nie kochałeś mię nigdy.

Król wyjął z ust cygaro i, otrząsając popiół z wielką starannością, nie odwracał oczu od syna.

— Masz słuszność — rzekł nakoniec. — Miłość — to śmieszny wyraz, w pewnych warunkach przynajmniej. Czyż mogłem kochać dzieci twojej matki!

— Nie jestem odpowiedzialny za usposobienie mej matki.

— To prawda, słusznie. Nie możesz być odpowiedzialny. Ale jesteś jej dzieckiem. Oto wszystko. Siadajże.

— Jak rozkażesz, sir.

Usiadł naprzeciwko ojca, który nakoniec otrząsnął cygaro i w milczeniu zaczął palić je na nowo.

— Tak — przemówił po chwili. — Tron oczekuje ciebie, kiedy mnie na nim zabraknie, i dlatego twoje czyny, sposób życia, wszystko, co się ściąga do ciebie, nie tyle mnie obchodzić musi, ile cały naród. Nie możesz żyć dla siebie, bo nie dla siebie istniejesz. Powiadasz, że nie możesz mi zaufać jak przyjacielowi, ponieważ nie kochałem cię nigdy, ale jest to może trochę dziecinna odpowiedź. Żyjemy w wieku praktycznym, mój drogi, w którym miłość nie jest podstawą stosunków pomiędzy ludźmi. Najpewniejszą podstawą zaufania i przyjaźni jest dzisiaj tylko wspólny interes.

— Wiem o tem doskonale, — odparł książę, nie odwracając swych ognistych oczu od ciemnej twarzy króla — a jednak mimo wszystko, śmiem wierzyć i twierdzić, iż miłość jest tak konieczną podstawą życiową, że dość spojrzeć na ciebie, ojcze, aby się przekonać dowodnie, jakim błędem jest odrzucenie tego życiodawczego czynnika.

Monarcha objął syna pełnem podziwu spojrzeniem.

— Tak? — zapytał wesoło. — Szczerze mówiąc, rad jestem, żeś tak wcześnie doszedł do tego kosztownego doświadczenia. Wielkie odkrycie, prawda, ale przyznaj się otwarcie: czyj to piękny paluszek wskazał ci tę prawdę? Przecież nie same tylko romantyczne lasy i krajobrazy pięknej wyspy dały ci poznać wartość prawdziwej miłości? Powiedz mi, co ty robisz w tej pustelni: czytasz poezye? piszesz? deklamujesz?

Ciemny rumieniec przemknął po obliczu księcia; potem nagle zbladł bardzo.

— Przebacz, sir, ale sądzę, że na tę naukę moralną zasłużyłbym dopiero wtedy, gdybym z czasu swego zły robił użytek.

— Piękna odpowiedź! ani słowa, Humpry, ale mówiąc szczerze — och, może się mylę, mam jednak przekonanie, że już dzisiaj zły robisz użytek z czasu. Gdybym był zu-

pełnie pewny, że twe przyjemności odpowiadają twemu stanowisku, nie pytałbym cię o nie i byłbym spokojny.

— A jakie przyjemności uważasz, mój ojcze, za odpowiednie memu stanowisku? — zapytał książę z odcieniem ironii. — Czy ci nie chodzi o zwykłe szaleństwa młodości?

Król się uśmiechnął.

— Chociażby tak było, byłbym w porządku jako król i ojciec. Zabawa, zwana szałem, jest epoką w życiu, którą prawie każdy przejść musi, lepiej więc szaleć jawnie, niźli skrycie. Szaleństwo nie jest wreszcie rzeczą zdrożną, to po prostu nadmiar młodości i siły, który musi wybuchnąć, znaleźć sobie ujście. I nie zostawia śladu. A ileż bólów i zgryzot tajemnych pociąga nieraz jedna kropla upojenia, skrycie wyssana z życia pod osłoną niedostępnej dla oka tajemnicy!

Książę poruszył się i spuścił oczy; widocznie zaczynała męczyć go rozmowa.

— Ty sobie wyobrażasz, że się uwziąłem dzisiaj, aby cię moralizować bez potrzeby, a ja pragnę jedynie przypomnieć ci, mój chłopcze, że jesteś za swe czyny odpowiedzialny przed narodem. Wierz mi, że Jakób I nie bez przyczyny napisał „Regulamin postępowania“ dla następcy tronu. Stano-

wisko monarchy można porównać logicznie do aktora na scenie, którego ruch każdy należy do publiczności i ma wyrażać pewien stan duchowy. Z tych objawów zewnętrznych naród sądzi o naszych chęciach i zamiarach, a jeśli z naszej winy sądzi błędnie, my jesteśmy odpowiedzialni za następstwa, które mogą przekraczać nasze przewidywania. Czy się nie zgadzasz na to, Humpry?

— Nie przypuszczałem dotychczas, sir, by w moich czynach było coś gorszącego — odparł Humbert z odcieniem dumy, który przypominał matkę.

— Tego nie powiedziałem, Humbercie— rzekł ojciec. — Ile mi wiadomo, postępowanie twoje było dotychczas wzorowe, ale od pewnego czasu stało się tajemniczem. W tem leży zło, mój synu. Świat nie lubi tajemniczości i nie pozwala jak niegrzecznemu dziecku zamykać się w ciemnym pokoju, gdzie nic widzieć nie może. Przeciwnie, chce być razem, widzieć wszystko i wiedzieć wszystko o swych królach. To mi przypomina jeszcze inny ustęp z księgi Jakóba I, który mówi: „Bądź jasnym w mowie twojej, gdyż ona jest obrazem myśli. Mowa dwuznaczna lub ciemna świadczy o ubóstwie myśli, lub o chęci ich ukrywania.“ To możnaby zastosować dziś do ciebie, Humpry: zdajesz się kryć swe myśli, i to mię właśnie niepokoi.

— Wybacz, sir, że poprawię twoje określenie: ja nie ukrywam myśli i nie osłaniam ich fałszem, tylko *nie życzę sobie* wypowiadać ich dziś otwarcie.

W spojrzeniu króla walczył podziw i zdumienie. Wyraz twarzy Humberta i dumne spojrzenie znamionowały wolę i siłę przekonań.

— Nie życzysz sobie? — powtórzył nakoniec. — Odmawiasz mi wszelkiego wyjaśnienia co do swej nieobecności w stolicy i wycieczek na wyspę? Nie uznajesz zaniedbania towarzyskich obowiązków, które powinny bliżej łączyć cię z dworem pod wielu względami?

— Odmawiam dzisiaj — odparł młodzieniec stanowczo. — Nie widzę w tem nic złego, że przekładam ciszę nad zgiełk i wrzawę, widoki natury nad objawy ludzkich wysiłków. Wyspa jest położona o dwie godziny drogi od stolicy, kaprys przyrody, zamieszkany przez rybaków. Tam, wśród zieleni, bez kurzu miejskiego, lubię czytać i myśleć o życiu, innem i lepszem niż to, które znaleźć mogę w tak zwanem towarzystwie. Cóż w tem jest nagannego?

Król milczał, ale nie spuszczał z niego oka.

— Jeśli rozkażesz, ojcze,—ciągnął książę

dalej — ażebym więcej godzin spędzał w twym pałacu, będę posłuszny. Jeżeli sobie życzysz, abym był widziany częściej w stolicy, postaram się zastosować do tego życzenia, choć duszą mię te gmachy i ulice. Spełnię, co każesz.

Król wstał powoli, przez otwarte okno rzucił daleko kawałek cygara i zwrócił się do syna poważny, surowy.

— Możesz odejść, Humbercie — rzekł zimno i sucho. — W tej chwili nie mam więcej nic do powiedzenia. Przemawiasz, jak szaleniec. Sądzę, iż byłoby dobrze, gdybyś ukazywał się częściej na dworze i brał już udział w sprawach, które cię obchodzić powinny. Ale rób, jak sobie życzysz; nie daję rozkazu, nie zmuszam cię do niczego. Jedno tylko pamiętaj i rozważ — dodał zwolna z naciskiem: — jeśli masz tajemnicę, którą ukryć pragniesz, byłoby i bezpieczniej, i rozsądniej powierzyć mi ją dobrowolnie, póki nie będzie za późno. Odkrycie bez twej woli i udziału może być dla ciebie przykrą niespodzianką. Do widzenia.

Opuścił pokój, nie spojrzawszy nawet na księcia, który stał długą chwilę nieruchomy, niespokojny i niezadowolony sam z siebie. W istocie, któż miał prawo żądać od niego ufności, jeżeli nie król i ojciec? I czy

dobrze postąpił, narażając się na przedwczesną walkę?

Przez otwarty balkon wyszedł do ogrodu, tonącego w bladem, księżycowem świetle; cisza, woń kwiatów i łagodny powiew uspokajały mu wzburzone nerwy, a daleki szum morza budził w sercu słodkie marzenia. Przestrogi ojca brzmiały jeszcze w uszach, ale traciły siłę; tajemnica jego była zupełnie bezpieczna, i co najwyżej, należało może zachować trochę więcej ostrożności.

— Glauben nie zdradzi, — myślał — a więcej nikt nie wie. Jeszcze rok tylko: dojdę do pełnoletności, a wtedy śmiało wyjawię im prawdę.

Dźwięczne pienia słowika rozległy się w ciszy i odezwały echem w sercu księcia, ale natychmiast przeniósł się myślą daleko, gdzie brzmiał może w tej chwili głos stokroć piękniejszy, i twarz bogini przykuwała oczy silniej, niż srebrny księżyc na błękicie.

— Za takie szczęście — myślał — ktożby nie oddał królestwa! dziesięciu królestw! Jakiż szalony ten świat i jak ślepy, że zapomina o prawach młodości, o jej najwyższem szczęściu! I dlaczego? Dla grudki złota! dla mary potęgi! Nie, ja tą drogą nie pójdę, bo nie chcę. Nie chcę być, jak mój ojciec, niewolnikiem pozorów i okoliczności. Ja chcę

żyć życiem własnem, choćby za cenę tronu. Chcę być człowiekiem wolnym.

I pogrążając się w słodkie marzenia, słuchał pieśni słowika pod ciemnem sklepieniem drzew odwiecznych, przy wtórze cichym morskiej fali.

Król tymczasem spokojnym, ale stanowczym krokiem udał się do apartamentów małżonki. Zajmowały one najpiękniejszą część pałacu, i już zdaleka płynęły stamtąd przyciszone, ale harmonijne dźwięki muzyki i śpiewu. Zajęty własną myślą, monarcha nie zwrócił na to uwagi: powziął zamiar, który chciał wykonać zaraz, i musiał porozumieć się z królową. W przedpokoju oznajmiono mu jednakże, iż monarchini z całym swym kobiecym dworem słucha koncertu w różanym ogrodzie. Król podążył natychmiast w oznaczone miejsce i, minąwszy długi szereg wspaniałych pokojów, uczuł nakoniec miękką trawę pod stopami i znalazł się w ustroniu pięknem jak marzenie. Była to wielka sklepiona komnata o żywych ścianach z krzewów różanych, tak sztucznie prowadzonych, iż stanowiły zarazem doskonale zamknięte zielone szpalery, złączone pnącemi się gałązkami w górze i osypane właśnie różnobarwnem kwieciem. Srebrna fontanna biła pośrodku tej sali, a w jednym z zaokrąglonych jej rogów, na tle róż białych, zasiadła królowa w oto-

czeniu dworu. Ukryta poza drzewami, muzyka mieszała się w powietrzu z wonią kwiatów i fantastycznym blaskiem płonących lampionów. Obraz był czarodziejski, i król ze zdumieniem zadał sobie pytanie: czemu ta atmosfera, jak gdyby obmyślona na upojenie i podniecenie zmysłów, pozostawiła go zupełnie chłodnym? Dla królowej te koncerty na świeżem powietrzu stanowiły może jedyną przyjemność, która zapalała jakiś blask ciepły w jej oczach i łagodziła zimny wyraz twarzy. Ale wystarczało, ażeby mężczyzna ukazał się w zaklętem kole tego czaru, a krzepła, jak pod tchnieniem północnego wiatru.

I w tej chwili, spostrzegłszy króla, skamieniała. Skinęła dłonią, aby muzyka ucichła, potem złożyła mu ukłon głęboki i z wyrazem zdumienia w zimnych oczach czekała, aż się zbliży, albo cofnie z drogi. Monarcha szedł wprost ku niej między szeregami, chylącymi się przed nim, niby kwiaty pod tchnieniem wiatru; podniósł do ust rękę małżonki i usiadł obok jej tronu, na niżej stojącem krześle.

— Każ grać dalej, przyszedłem posłuchać koncertu — rzekł zupełnie swobodnym tonem.

Królowa ze zdziwieniem spojrzała na męża i spotkała wzrok, dotychczas nieznany jej wcale.

— Każ grać — szepnął, podnosząc ku niej twarz wymowną.—Niech skończą, potem pozwól, że pożegnam twoje panie, gdyż muszę pomówić z tobą w ważnej sprawie.

Skinęła głową i dała znak ręką, tony muzyki rozległy się znowu, a król, oparty o poręcz fotelu, przymknął oczy i słuchał harmonijnych dźwięków w wonnem i słodkiem powietrzu letniej nocy. Miękka suknia królowej dotykała jego ręki, a zapach białych lilii przy staniku płynął ku niemu z każdym najlżejszym powiewem.

— Raj szczęścia,—szepnął w duchu — ale ni z tą kobietą!

A niewidzialny tenor śpiewał namiętnie i słodko pień miłości, jak gdyby płynęła mu z serca.

„Gdybym cię kochał, piękna, i gdybyś ty mię kochała, jakże szczęśliwym byłby świat ten dla nas! Znikłyby na nim troski i cierpienia, życie byłoby jedną pieśnią. Zniknąłby czas, gdyż lata i godziny trwałyby jedną chwilę; patrząc w twe oczy, dumny, szczęśliwy, szalony, przeżyłbym życie. Gdybyś mię kochała, byłoby ono jedną błyskawicą chwały. Ale to nie stanie się nigdy: prędzej spadłyby gwiazdy na tę ziemię! Tyś za jasna i czysta, jam zbyt dumny i zimny; nie błyśnie dla nas szczęście! Obok siebie przejdziemy spokojnie do grobu, żałując lat,

któreby tyle skarbów miały, gdybym cię kochał, gdybyś ty mnie kochała.“

Pieśń urwała się nagle w namiętnym okrzyku, i król mimowolnie spojrzał w twarz królowej. Ale nie było na niej odblysku wzruszenia, oczy patrzały zimno, jak zazwyczaj, a pierś poruszała się lekko i zwolna. Z gorzkim uśmiechem odwrócił wzrok od niej i objął nim cały bukiet pięknych kobiet, malowniczo koło tronu zgrupowaych. Pod spojrzeniem monarchy spuszczały powieki i rumieniły się wszystkie kolejno, jak spełniające swą rolę aktorki.

Wówczas opuścił powieki i zaczął rozmyślać, jak nudną i ubogą jest natura kobiet dwie tylko struny znają: chłód albo namiętność. I nic pomiędzy niemi. A obie tak nudne, monotonne, zawsze te same. I wyobrażał sobie, że kobieta, któraby mogła zachwycić go jeszcze, musiałaby zmienniejszą być niż barwy morza. Musiałaby codziennie przynajmniej być inną i pogodną, smutną, wesołą, posępną, figlarną i tragiczną, gorącą i zimną, a zawsze nową i zawsze ciekawą. Ale takich kobiet niema. Wszystkie są skromne, kiedy tak wypada, gotowe do rumieńców i opuszczania powiek, do uśmiechów na zawołanie. A w gruncie rzeczy zimne lub — tylko szalone.

Po śpiewie nastąpiła serenada, a zama-

sty mazur stanowił zakończenie koncertu. Wtedy królowa wstała i, wsparta na ręku małżonka, postępowała zwolna wzdłuż kwiatowej sali; mały paź w złotych i różowych barwach niósł srebrny tren jej sukni, aby nie dotknęła lekko zwilżonej już rosą murawy. W ten sposób oddalając się od dworu, który został w oczekiwaniu jej powrotu, królowa skierowała się ku marmurowym schodom, wiodącym do jej gabinetu. U szczytu schodów paź poważnym ruchem opuścił ciężką szatę, i królewska para weszła do apartamentu monarchini.

Teraz król własną ręką zamknął drzwi za sobą, spuścił ciężką portyerę i obszedł zwolna wszystkie drzwi i okna, jakby się chciał przekonać, czy są rzeczywiście sami. Była to rzecz niezwykła i zdumiewająca, gdyż buduar królowej stanowił w pałacu prawdziwe sanktuaryum, do którego najzaufańsza dama wejść nie mogła, bez osobnego pozwolenia. Królowa też śledziła ruchy męża ze zdziwieniem.

— Zechciej pani usiąść — rzekł wreszcie, zbliżając się do niej z ukłonem; — nie zajmę ci wiele czasu.

Jej wyłącznie właściwym ruchem, pełnym wdzięku, cicho i lekko osunęła się na

Bibl. Przyw. Jusuyn Ossol. Nr

krzesło, król usiadł naprzeciwko, mierząc ją badawczem i prawie wyzywającem spojrzeniem.

— Nie prosiłem cię pani nigdy o nic — zaczął — od dnia naszego ślubu i nie żądałem nawet twojej życzliwości, której mi tak stanowczo wtedy odmówiłaś. Lata płynęły dla nas i mijały, napozór niepostrzeżenie i bez śladu. Co dawały i brały rzeczywiście, Bóg tylko wiedzieć może. Zastrzegam się, iż mówię to tylko o sobie, gdyż o stosunku czasu do kobiety nie wiem nic zgoła. Mężczyzna jest jak pływak, który, rzuciwszy się w morze, odczuwa w pierwszej chwili tylko rozkosz wesołej walki z falą i płynie naprzód, nie patrząc za siebie. Ale jeśli nie jest zupełnym szaleńcem, obejrzy się nakoniec na przebytą drogę, na lata, które nie wrócą już nigdy, i zada sobie stanowcze pytanie: czem one były dla niego? dla świata? Czem było jego życie? Czem on jest na świecie? Tak spytać musi, jeśli nie jest kroplą w morzu, lub jednem ziarnkiem piasku na wybrzeżu. Miryady ludzi nie są niczem więcej — mrówki, znoszące igły na wspólne mrowisko, ale w przeciągu wieków zjawia się co czas jakiś człowiek, który powstał z miliona i jest milionem, bo każde uderzenie jego serca

w milionach ludzi odbija się echem, bo duch jego potężny budzi do życia miliony, bo jest w nim prawda i miłość i wola — za setki i tysiące i miliony...

Umilkł wzruszony, chociaż spokojny z pozoru; dziwny uśmiech osiadł na ustach królowej.

— Czy dopiero teraz pomyślałeś o tem?— zapytała jakby zdziwiona.

Król przygryzł usta, a ciemny rumieniec przemknął po śniadej twarzy.

— Szczerze, uczciwie mówiąc, przez lat wiele nie myślałem o niczem, co godnem byłoby myślenia — odparł poważnie.—I sądzę, że wielu na mojem miejscu musiałoby szczerze wyznać to samo. Być może, iż ty, pani, mogłaś zrobić wiele, wskazując mi zadanie, które *byłbym* spełnił. Tyś mogła być natchnieniem mojem, wielką siłą, ale — sam byłem za mały widocznie do czynu. Tak upłynęło lat 21 przy twoim boku, pani, i nie pozostał po mnie żaden ślad na świecie, żaden ślad godny króla. Może dojrzałem późno, ale dojrzałem, i duch mój zdobył się wreszcie na rozkaz, dany samemu sobie, i za tym głosem idąc, chcę przeżyć jeszcze może jedną chwilę, aby przekazać historyi me imię.

Kiedy mówił, królowa słuchała uważnie,

i niezwykły rumieniec przemknął po jej twarzy, która zaraz pobladła znowu. Spuściła oczy jakby w zamyśleniu i, mimowolnym ruchem ręki przebierając cenne klejnoty, zdobiące jej suknię, ujęła wielkie serce rubinowe, otoczone dyamentami. Płomienny blask rubinu upadł na jej rękę, i król spostrzegł odblask różowy.

— To wierny obraz twego serca, pani — przemówił smutnie: — pełne ognia, a zimne. Bo to nie ogień Boży. Ogień niebieski jest miłością; odraza i nienawiść — to są dzieci piekła i służalcy szatana na tym świecie. Ale przebacz, pani, że potrąciłem tę strunę. Niechaj umilknie znowu i na zawsze. Tyle lat próby dowieść mi powinno, że w tej kwestyi nie mamy nic do powiedzenia. Powracam więc do treści: nigdy dotąd, pani, nie prosiłem cię o nic, nie żądałem, czego mi dać nie mogłaś; nie wymagałem nawet posłuszeństwa — po które dziś przychodzę. To cała treść rozmowy. Przyszedłem żądać dziś od pani posłuszeństwa, bezwzględnego i nieograniczonego.

Podniósł się z dumą i energią w oku i spojrzał na nią z góry.

— Co rozkażesz, sir? — cicho spytała królowa.

— To, co tu napisałem — odparł, podając złożony arkusz papieru. — Przeczytaj to spokojnie i uważnie; jeśli mi co zarzucisz, wysłucham cierpliwie, nie sądzę jednak, abym mógł co zmienić.

Oddalił się ku oknu wolnym krokiem i stanął przed niem, patrząc w ciemność nocy. Zbudzony ptaszek w klatce zaświergotał, i król z uśmiechem spojrzał na drobną istotkę pośród złocistych prętów.

Wtem uczuł lekką rękę na ramieniu: królowa stała przed nim. Trzymała papier w ręku, a gdy spojrzał na nią, przycisnęła go do ust i swym cichym ruchem złożyła go na piersi za stanikiem.

— Przysięgam posłuszeństwo i wolę twą spełnię — rzekła poważnie. — Ufaj mi i bądź spokojny.

Wziął jej rękę i złożył na niej pocałuek.

— Dziękuję — rzekł poprostu.

Przez chwilę patrzali na siebie w milczeniu; w końcu oczy kobiety opadły ku ziemi pod badawczem, posępnem spojrzeniem monarchy.

— A życie twoje, sir? — szepnęła cicho.

— Życie! — powtórzył i puścił jej rękę. — Czyż moja śmierć naprawdę może cię,

pani, obchodzić? Nie oblałabyś jej łzami napewno. Śmierć, żal, uczucie—śmieszne wyrażenia, i niema dla nich miejsca między nami. Dwadzieścia jeden lat idziemy w życiu obok siebie, a czyż nie jesteśmy zawsze oddaleni i obcy sobie, jakby całe morze dzieliło nas swą falą? Zresztą o czem tu mówić?... młodość poza nami, a z nią razem gaśnie i miłość, jak twierdzą filozofowie. Co do mnie wprawdzie, nie wierzę zupełnie tej uczonej teoryi, gdyż miłość w wieku młodzieńczym to płomień nagły, gorący, ale słaby i blady w porównaniu z uczuciem wieku dojrzałego, gdy nie ciało, lecz dusza kocha, kiedy miłość przestaje być tylko popędem, a wznosi się na wyżynę duchowej sympatyi i wzajemnego zrozumienia. Do tej miłości jeszcze czuję się dziś zdolnym, ale...

Skinął ręką i nie skończył myśli. Królowa także milczała.

— Mówiąc o miłości, — zaczął znów po chwili — chciałem zapytać panią, czy nasz syn, a właściwie: czy następca tronu zwierzał ci się kiedykolwiek z zaufaniem?

— Nigdy — odparła.

— Tak właśnie myślałem. Zdaje się, że nie należymy oboje do wzorowych rodziców według pojęć pedagogii i nie cieszymy

się ani miłością, ani ufnością dzieci. Mają one na szczęście tę praktyczną zdolność młodych zwierząt, które wcześnie zaczynają żyć swem własnem życiem. Inaczej być nie mogło zresztą w tych warunkach, w jakich na ten świat przyszły, i nie możemy spodziewać się od nich żadnych synowskich względów. Humbert, opłakujący śmierć moją lub twoją, czyż to nie humoreska? A co do tamtych, możemy być pewni, że pogrzeb nasz nie zepsuje im partyi krokieta. Gdyby wbrew ich życzeniom stało się inaczej, gotowi nam złorzeczyć.

Zaśmiał się gorzko, krótkim i nerwowym śmiechem.

— Sentymenty znikają, przeżyły się widać... inny wiek, inni ludzie... Ale jeżeli drzemią gdzieś tam w sercach tłumu — ha! mogą się zbudzić, a to byłoby niebezpieczne. Pytałem o Humberta, gdyż wydaje mi się, że się wplątał w jakąś sercową awanturę. Jeśli się zgodzisz, chętnie popłynąłbym z tobą którego dnia na wyspę, a może też łatwo odkrylibyśmy źródło jego upodobania w tem samotnem ustroniu.

Królowa patrzała szeroko otwartemi oczyma.

— Na wyspę? — powtórzyła. — Ależ

tam nikogo niema oprócz ubogich rybaków! Tworzą oni własną gminę i niechętnie widują obcych. Cóż tam Humbert może robić między nimi?

— Tego i ja ci powiedzieć nie umiem, on zaś — *nie życzy sobie*. Bywa tam jednak codzień, i coś go pociąga, chociaż nie znam tego magnesu. Gdyby Humbert był tylko moim synem, nie myślałbym dociekać jego tajemnicy, ale on jest dzieckiem kraju i następcą tronu, i dlatego mam obowiązek czuwać nad nim, jak nad własnością mojego narodu. Gdybyś się pani mogła czegoś dowiedzieć w tej sprawie, proszę cię, bądź łaskawa powiadomić mię niezwłocznie.

— Będę ci w tem posłuszna, sir, jak i we wszystkiem.

Król postąpił krok naprzód i delikatnym ruchem odłamał jedną lilię od gorsu królowej.

— Dobra noc — rzekł. — Ten kwiat będzie mi przypominał ciebie: biały, czysty i piękny, z sercem głęboko ukrytem... ze złota.

Spojrzał na nią smutnie i serdecznie razem i, pozdrowiwszy głębokim ukłonem, opuścił pokój.

Królowa pozostała długą chwilę nieruchoma. Pierwszy raz w życiu czuła się

wzruszoną, pierwszy raz coś niezwykle szlachetnego odczuła w tym człowieku, tak jej blizkim.

Zwolna wyjęła papier i z namysłem odczytała go raz drugi, i nagle dwie łzy cicho spłynęły po twarzy na drżące ogniem dyamenty królowej.

— Jest szlachetny i odważny — szepnęła półgłosem. — Odważniejszy, niż przypuszczałam.

Otrząsnęła się z myśli energicznie. Cóż to ma znaczyć? Łzy, wzruszenie, słabość? A ona z upokarzającą biernością poddaje się tym wrażeniom?

Opuściła pokój, uciekając z trwogą przed czemś nieznanem, co tu spadło na nią, jak ciężar obezwładniający jej siły. Powietrze, otoczenie powrócą jej straconą równowagę; oto czuje się inną wobec tych oczu ciekawych, które na jasnej i spokojnej twarzy nie wyczytają żadnego wrażenia.

Nie wyczytają — królowa jest sobą, jej uśmiech znów pogodny, a spojrzenie zimne; daleki powiew burzy może przemknął po niej, ale nie zostawił śladu.

VI.

Dzień był wietrzny, pochmurny, posępny i dżdżysty; morze mruczało głucho i ponuro, a jego ciemne, ołowiane fale popychały się wzajem, gniewne i spienione. Taka pogoda była zawodem dla wielu, gdyż przypadała właśnie w dzień świąteczny, w którym nadto odbyć się miała uroczysta procesya przez ulice miasta do kościoła katedralnego. Koło południa jednak pękło jednolite sklepienie chmur nizkich, i ukazał się skrawek błękitu; potem i słońce błysnęło na chwilę, więc po dłuższem wahaniu, biskup zdecydował, że procesya odbyć się może.

Zdawało się istotnie, że się wypogodzi: deszcz przestał padać, chmury zmienne i ruchome przesuwały się szybko, gnane silnym wiatrem, słońce się kryło, to wyglądało jasne, pogodne i ciepłe.

Około trzeciej, w oznaczonem miejscu zaczęły się gromadzić biało ubrane dziewczynki i tłumy, strojne jaskrawo, świątecznie, w barwnych chustkach, piórach i kwiatach; ten i ów przyozdobił się choć świeżym kwiatkiem lub jasną wstążką. Publiczność stano-

wiły głównie klasy pracujące, mniej widocznie wrażliwe na pogodę; środkiem ulicy posuwało się kilka powozów, pełnych kobiet i dzieci.

Z uderzeniem dzwonu procesya powoli posuwać się zaczęła ku katedrze. Około trzystu dzieci w białych sukniach, osłonionych przejrzystymi welonami, postępowało na czele, sypiąc kwiaty, niosąc chorągwie i wstęgi, otaczając święte obrazy. Śpiew cichy zwolna wzmagał się, potężniał i, walcząc z wichrem, płynął chwilami ku niebu dziwnie słodką melodyą. Dalej dym kadzideł, odblask szat złotych, obrazy, ołtarze i tłum, jak fala morza nieprzejrzany, wiedziony jedną myślą i uczuciem.

Na wzgórzu katedralnem dwóch mężczyzn z daleka patrzało na procesyę: jeden z nich wysoki i ciężko zbudowany, o szerokich barkach i wielkiej, ciemnej głowie, pokrytej prawdziwie lwią grzywą czarnych włosów, w nieładzie spadających na czoło i ramiona; drugi wysmukły i wązki w ramionach, z rudą brodą, którą szarpał bezustannie, jak gdyby chciał się pozbyć tej męskiej ozdoby. Ten nietyle uwagi zwracał na procesyę, ile na towarzysza, podnosząc wzrok co chwila na jego twarz dużą, ale prawie zni-

kającą pod włosami i obfitym zarostem: czarne wąsy osłaniały mu usta, konturu brody i owalu twarzy nie można było zupełnie odgadnąć, a brwi krzaczyste ocieniały oczy, w których głęboko gorzał magnetyczny płomień, pełen siły i grozy.

— Więc nie wierzysz, Sergiuszu, ani słowom, ani literze pisanej? — zapytał chudy. — Czyż całe życie będziesz jak ten zwierz na czatach, wszędzie wietrzący zdradę i nie wierzący nigdy człowiekowi?

Sergiusz Thord zmarszczył czoło i podniósł ramiona, co uczyniło go prawie olbrzymem. Białe zęby błysnęły mu pod ciemnym wąsem.

— Jeśli stoję na czatach, Johanie Żegoto, — odparł posępnie — nie sam tu stanąłem, nie z dobrej woli, ani bez przyczyny. Postawili mię ludzie i okoliczności. Nie wierzę, bo znam kłamstwo i przewrotność ludzką; mowa służy do tego, ażeby okłamywać się nawzajem, a głównem zadaniem prasy jest oszukiwać głupią publiczność. Któż temu wierzyć może? Dziwią mię twoje pytania, bo przecież jesteśmy obaj z pod jednej chorągwi.

— Czyż temu przeczę kiedy? — żywo zawołał Żegota. — Powiedziałem tylko i znowu powtarzam, że ta wiadomość jest zupełnie pewna, i że ci hipokryci — dodał, wskazując

księży, idących wśród procesyi — otrzymali od króla stanowczą odprawę.

W tej chwili silny podmuch gwałtownego wiatru rzucił w kierunku placu wielką ciemną chmurę, deszcz lunął, wicher zawył, szarpiąc chorągwie i wstęgi, ściemniło się, zagrzmiało, jasna błyskawica rozdarła całe niebieskie sklepienie, piorun spadł gdzieś w pobliżu, a huk ogłuszający złączył się z krzykiem trwogi z ust tysiąca. Nastąpiło nieopisane zamieszanie: dzieci, tłum cały, zbity w jedną masę, biegł ku świątyni, tłocząc się z płaczem i krzykiem. Deszcz smagał i zacinał, wiatr dech im tamował, echa gromu ścigały grozą.

Sergiusz Thord szybkim ruchem posunął się naprzód i nagle skoczył na wózek stojący pośrodku placu. Pośród powszechnej trwogi, jego wysoka, silna, ciężka postać wydawała się jakiemś ponurem zjawiskiem, górującem nad tłumem, a głos potężny, drżący siłą przekonania, zabrzmiał jak sygnał wśród zgiełku i wrzawy.

— Wstrzymajcie się!—zawołał.—Dokąd dążycie? Ludu szalony, gdy chcesz wzywać Boga, wzywaj Go tutaj, w blasku Jego świateł, w muzyce Jego gromów, pod Jego sklepieniem z chmur i błękitów! Tu módl się

sercem, duszą, całą myślą, całem poznaniem twojem z głębi własnego jestestwa, zamiast powtarzać ustami wyrazy, które dyktują wam wasi tyrani! Gdzież wy szukacie Boga? On przecie jest tutaj, ze mną i z wami, na ziemi, na niebie, w blasku słońca i ryku burzy! Cokolwiek prawdą jest, jest głosem Boga: prawdą przemawia do nas, prawdy serc naszych wysłucha. Żadna świątynia objąć go nie może, dlaczegoż do niej przed Nim uciekacie? Wzywam was w imię Boga, pozostańcie! Stójcie! On jest tu z nami!

Wśród tłumu zapanowała wielka cisza, wszystkie spojrzenia spoczęły na mówcy, a kto go słyszał, nie czuł kropli deszczu, uderzających mu w twarz ciepłą falą. Księża tymczasem zaczęli przywracać porządek między dziećmi przestraszonemi, aby mogły wejść do kościoła, nie powodując jakiejś katastrofy. Z trudem udało im się dokonać tego chociaż w części; białe czoło procesyi posuwać się zaczęło znowu zwolna, spokojnie, powtarzając drżącymi głosy słowa litanii za swym przewodnikiem. Ale wtedy łatwo spostrzedz można było, że tłum się rozłamuje na dwie części; jedni z pobożnym śpiewem dążą do świątyni i znikają w jej nawie, niby fala rzeki, wpadającej do morza; inni skupiają się

na środku placu, gdzie atletyczna postać z ręką wzniesioną ku niebu przykuwała oczy ognistem spojrzeniem i porywała dusze grzmiącym niby piorun głosem.

Przez otwarte podwoje świątyni płynęły głosy organu i pieśń uroczysta:

„*Sancta Dei Genitrix, ora pro nobis!*“

Płynęła z piersi dziewic i niewinnych dzieci, wśród ścian odwiecznych, które w przeciągu stuleci słuchały jej w milczeniu, w milczeniu patrzały na te same obrzędy.

A tam na wozie, przy blasku błyskawic, na tle chmur szarych stał posąg człowieka i rzucał słowa nowe, niesłyszane:

— „*Sancta Dei Genitrix, ora pro nobis!*“ Słyszycie? — grzmiały słowa Sergiusza. — Słyszycie, mężowie i kobiety? A czy wiecie, co znaczą te wyrazy? „Najświętsza Matko Boża!...“ Dlaczego wołamy, dlaczego jej wzywamy w modłach naszych? Czego was uczyć powinno to imię? Do was, mężowie, mówię: bądźcie jak bogowie dobrzy i sprawiedliwi! A do was, kobiety: wy bądźcie same jako matki bogów. Gdyż sam Bóg mieszka w duszy każdego człowieka, który żyje prawdą; pochodzi on od Boga i do Boga wróci, więc sam jest cząstką Bożą. A każda kobieta

dając życie człowiekowi, daje światu wcielenie cząstki bożej. „Sancta Dei Genitrix...“ Bądźcież jako matki boże, o kobiety uczciwe! Bądźcież jako bogowie, ojcowie i syny! Bądźcie bogami w odwadze i prawdzie, w pojęciu i wolności. Nie słuchajcie głosu szatana, bo szatan istnieje tak samo, jak istnieje Bóg prawdy i dobra. Istnieje w nas tak samo, jak Bóg w nas istnieje. Złączmy więc siły nasze, dzieci boże, ażeby go pokonać w naszej duszy, aby odebrać mu władzę nad nami! A wtedy dobro tylko zostanie na świecie; ustaną troski, cierpienia, męczarnie, które są dziełem jedynie szatana i dręczą nas niezasłużenie!

Umilkł na chwilę, i śpiew ustał także; procesya utonęła już w głębi świątyni, która stała otwarta, pełna świateł, bieli i złota na ołtarzu, i dymu kadzideł, i ciszy uroczystej, i modlitwy.

— I czemuż tu stoicie? — przemówił znów Sergiusz. — Dlaczego nie śpieszycie do świątyni, która was czeka szeroko otwarta? Tam marmury i złoto, drogie malowidła i bezcenne relikwie i klejnoty; tam ołtarz podpierają dary waszych królów. Tam macie księży, którzy poszczą i modlą się w oczach waszych, a w skrytości nasycają swe żołądki i oszukują tych, którzy im wierzą. Tam są kobiety wasze nieszczęśliwe, które

pragnęłyby pociągnąć was z sobą: dlaczego pozostaliście tutaj ze mną? Bo mi wierzycie, wiecie, żem przyjacielem waszym! Bo serca wasze pełne są zadowolenia, że król odrzucił prośbę Jezuitów, ale ileż większą byłaby radość wasza, gdyby usunął z urzędu Perousse'a!

Cała burza oklasków była odpowiedzią na tę myśl sympatyczną, świadcząc, że mówca znał dobrze słuchaczów.

Jednocześnie z jednej z bocznych ulic wysunął się oddział policyi, przysłany dla rozproszenia tłumu i przywrócenia porządku. Thord ujrzał go natychmiast i dał znak do rozejścia się.

— Rozejdźcie się, przyjaciele i bracia! Oszczędźmy tym ludziom przykrości wypełniania obowiązku. Spotkamy się znów wkrótce. Do widzenia!

Skoczył z wozu i zniknął w tłumie, który rozpływał się szybko na wszystkie strony. Wkrótce plac opustoszał.

Sergiusz zeszedł na dół w boczne ubogie uliczki, których mieszkańcy, korzystając z wieczornego chłodu i pogody, wysuwali się z ciasnych mieszkań i na progu domów oddychali świeżem powietrzem.

Thord musiał znać wielu, gdyż witał się z jednym, drugiego pytał o żonę lub dziecko,

temu wsunął do ręki drobną pomoc, innego pokrzepił słowami nadziei, aż dochodząc do domu, w którym mieszkał, ujrzał ze zdziwieniem stojącego pod latarnią człowieka z gazetą w ręku.

Człowiek usiłował czytać, lecz nie było to zbyt wygodnie. Sergiusz zbliżył się podejrzliwie, ale twarz sympatyczna i szlachetna rozproszyła jego obawy. Łatwy do zawierania znajomości, wdał się z obcym w rozmowę. Tematu dostarczyła gazeta, a właściwie artykuł o odrzuceniu prośby Jezuitów. Nieznajomy oświadczył, iż zajmują go bardzo te sprawy, lecz nie ma o nich zdania, gdyż jest cudzoziemcem i nie zna miejscowych stosunków.

Sergiusz spytał uprzejmie, czy nie może mu być w czem pomocnym, lecz usłyszał odpowiedź, że obcy czeka tu na towarzyszów, którzy zajęli się chorym człowiekiem, znalezionym na bruku, chorym z głodu i wycieńczenia.

Był widocznie wzruszony, mówiąc o tem, i to ujęło Thorda. W imieniu nędzy zaczął mu dziękować. Obaj zapragnęli bliższego poznania; nieznajomy przedstawił się jako publicysta, Pasquin Leroy, i prosił na szklaneczkę wina, lecz Thord potrząsnął głową.

— Jestem Sergiusz Thord — rzekł w odpowiedzi.

— W takim razie, jesteś człowiekiem, którego szukam — odparł Leroy śmiało. — Pragnę cię poznać i pracować z tobą.

Towarzysze Pasquina zbliżyli się właśnie i zostali przedstawieni jako Axel Regor i Max Graub, doktor. Leroy nalegał o bliższe porozumienie. Thord zdawał się namyślać i wahał widocznie.

— O cóż ci chodzi? — zapytał Leroy.— Chcemy pracować z tobą: czemu odrzucasz pomoc naszą?

— Nie znam was — odparł Sergiusz. — Jakież mam prawo wam ufać?

— Zaufaj jednak, — rzekł Leroy stanowczym, a zarazem ujmującym głosem — zaufaj, a nie zawiedziesz się tym razem i nie będziesz żałował swego czynu. Skoro znasz ludzi i chcesz władać nimi, powinieneś zrozumieć, że jestem człowiekiem uczciwym, a pragnienia moje są szlachetne i dobre.

— Nie wątpię o tem — rzekł Sergiusz gorąco, ściskając w wielkiej dłoni podaną mu rękę. — Ufam ci, ale jest was trzech...

— Ja ręczę za moich towarzyszów.

— W takim razie... ale pamiętaj, że gdy raz złączymy swoje losy, rozdzielić ich nie będzie można!.. Więc chcesz się związać z nami?

— Tak! — odparł Leroy.

— Więc chodź! Tem gorzej dla was, gdyby...

Zbliżył się szybko do sąsiedniej bramy, otworzył ją kluczem, który miał w kieszeni, wpuścił przed sobą nowych towarzyszów i drzwi znowu na klucz zamknął.

W sieni otoczyła ich ciemność zupełna.

VII.

Na zegarach miejskich wybiło zwolna pół do drugiej po północy. Deszcz ustał, lekkie chmury snuły się jeszcze po czystym błękicie, lecz zdawały się raczej zwiastować pogodę; blady księżyc z wysoka uśmiechał się cicho, patrząc na świat uśpiony, obmyty ulewą, spoczywający po burzach i walkach.

Przed królewskim pałacem młody żołnierz na warcie przechadzał się powoli w zamyśleniu. Noc piękna przemawiała do niego urokiem, patrzał na gwiazdy, na czyste obłoki, chociaż nie tracił z oczu ciemnej ziemi.

Pół do drugiej wybiło zwolna i poważnie, gdy furtka w murze otworzyła się nagle bez szmeru, i ciemna postać zjawiła się nagle na ścieżce, prowadzącej do apartamentów królowej.

— Kto idzie? — zabrzmiał donośny głos warty.

Postać zatrzymała się natychmiast.

— To ja, król! — była spokojna odpowiedź.

Młody żołnierz cofnął się zdumiony. Nim zebrał myśli, na ścieżce nie było nikogo.

— To ja, król! — mimowolnie powtórzył półgłosem i spojrzał znów w kierunku, gdzie stało niezwykłe zjawisko, lecz droga była pusta. Mógłby wierzyć prawie w złudzenie zmysłów, gdyby nie słowa, które brzmiały tak wyraźnie:

— To ja, król.

Tak, król wracał sam o tej godzinie i niepostrzeżony przemykał się wśród ulic miasta, przez dziedzińce i bramy własnego pałacu, aby być znów u siebie. Gdzież upłynęły mu godziny nocy?

Sam był pod wpływem wrażeń tego długiego wieczoru, które przesuwały się przed jego myślą, niby senne obrazy. Widział znów duży pokój oświetlony wiszącą lampą, wielki stół na środku, i obce twarze, i płonące oczy, i twarz kobiecą dziwną i niezwyczajną. Ci, tam przy stole, kazali mu składać przysięgę, że wiernie służyć będzie ich ideom, a ona, w białej szacie i szkarłatnym pasku, przyjmowała od niego słowa tej przysięgi. I dziwny, magnetyczny był wzrok tej kobiety, przenikający nawskroś, a ciepły i czysty. Mogła mieć lat 30 i nie była piękną. Gdy po raz

pierwszy odwróciła się od okna, doznał zawodu na widok tej twarzy, bo wtedy spostrzegł tylko twarz, nie duszę, ale przez oczy jej mówiła dusza.

Lotys! Niezwykłe imię. Dziwnie brzmiące i tajemnicze. Skąd je wzięła? Kto ona? Tak: kto ona?

Zajęła jego myśli nie dlatego, że była kobietą, ale że pośród tych ludzi była niewątpliwie duszą. Oni pisali ustawy, wskazywali sobie cele i drogi, do nich prowadzące, ale gdyby jej zabrakło między nimi, zabrakłoby tej lampy, które rozprasza nocne ciemności, tego słońca, która świeci i grzeje.

A nie była, nie była wcale piękną! Nie musiała być młodą...

I cóż więcej?

Reszta to ludzkie sprawy: znalazł to, czego szukał, znalazł ludzi, którzy szli przeciw niemu ze skargą i groźbą; znalazł ich, sam wysłuchał ich żądań, zamiarów, zna je teraz, wie dobrze, z kim się mierzyć musi, czego chcą, czem mu grożą. Stało się bardzo dobrze, że trafił do nich tak odrazu, że mógł nietylko wysłuchać znanych skarg na zło, któremu dziś nikt nie zaradzi, lecz poznać osobistych swoich nieprzyjaciół. Streszczając wszystko, dowiedział się wreszcie, że Perousse jest pierwszym celem nienawiści, że zarzucają mu rzeczy poważne: wyzyskiwanie działalności

politycznej na swoją korzyść osobistą, okłamywanie króla i narodu, byle napełnić kieszeń, nieprzebieranie w środkach i sposobach. Czy to prawda? Jak sprawdzić?

Lotys, ta kobieta, mówiła, iż trzebaby zostać pośrednikiem pomiędzy nim a pierwszym ministrem, ażeby tym sposobem zbadać ich tajemnice. Ale jak to wykonać?

Podjął się. Sam się podjął w przeciągu miesiąca poznać bliżej działalność Karola Perousse'a i ludzi uważanych za jego wspólników. I spełni obietnicę. Musi przekonać się, co w tych oskarżeniach jest prawdą, bo przecież jego oskarżają także, bo przecież i w nim widzą swego wroga, bo przecież — postanowili go zabić.

— Tak, nienawidzę swoich nieprzyjaciół, ale czy wszystkich słusznie?

Bądź co bądź, dowiedział się wiele, zrozumiał walkę, w której pragnie wziąć udział, wie jasno, czem się zająć musi przedewszystkiem.

A po za tą korzyścią — to ciekawi ludzie! Przebiegał myślą twarze i sylwetki, zatrzymując się dłużej na niektórych. Sergiusz Thord niewątpliwie był człowiekiem szczerym i dobrej woli. Wierzono mu tam widocznie, panował nad tą gromadką, a jednak robił wrażenie, jakby sam ulegał czemuś, co obezwładniało jego siłę. Dalej Żegota — cichy, bez zarzutu, z fanatycznym

ogniem w spojrzeniu; poeta Zouche, zanadto lubiący kieliszek, i inni, których nazwisk nie pamiętał. Nawet ów Shelto, który wniósł przekąski, garbus o pięknych oczach i szlachetnej twarzy, przedstawiał typ niezwykły i pociągający. Lotys twierdzi, że jest synem angielskiego lorda, i że umyślnie rzucił dom ojcowski, aby młodszemu bratu zostawić dziedzictwo, które prawnie przejść miało na niego, kalekę. Jeśli to prawda, to czyn jest niezwykły i musi rzeczywiście być dla niego bardzo bolesnem, że mała Pequita tańczy dla chleba w teatrze. Lotys zapewnia, że pozwala na to, póki Pequita jest dzieckiem, a za lat parę sama się nią zajmie, ależ i dziś dla ojca i dziecka zarazem czyż nie byłoby lepiej?... Któż to wie zresztą?... Shelto tak patrzy na Lotys, jakby była bóstwem na ziemi, więc zgadza się z tem chyba, co ona uznaje za dobre.

Inny świat, inni ludzie.

— Swiat nieznany nam dotąd, i ludzie nowi i nieznani.

O! rad jest, że ich poznał, że spojrzał sam w oczy tej groźbie, że łatwiej może teraz zmieni ją w błogosławieństwo! Tak, sam Bóg kierował krokami jego w tej sprawie, skoro znalazł odrazu drogę najkrótszą, najprostszą i nieomylnie wiodącą do celu. Wyrzekł słowo — cień niejasny stanął przed

nim w kształtach rzeczywistych i dotykalnych.

Perousse... To pierwsze zadanie obecnie.

W dużym pokoju, oświetlonym lampą, pozostał Thord i Lotys. Pozostali sami we dwoje, gdy rozeszli się wszyscy. Dlaczego pozostali? Czyje to mieszkanie? Co łączy tych dwoje ludzi?

Wiedziałby o tem, gdyby mógł pozostać z nimi, choć niedługo trwało sam na sam.

Sergiusz ukrył twarz w dłoniach i milczał, w myślach pogrążony. Lotys patrzała na niego z uwagą.

— Sergiuszu, — rzekła wreszcie — nie idziemy naprzód! Schodzimy się, mówimy, lecz gdzież rezultaty? Cóż się zmienia pod naszym wpływem?

Podniósł na nią oczy wielkie i płonące i długo obejmował ją spojrzeniem.

— Władzy, potęgi! — szepnął. — Muszę zdobyć władzę, aby ten świat przekształcić, wygnać niedolę z ziemi, dać jej trochę szczęścia i królową — w osobie Lotys!

Kobieta uśmiechnęła się smutnym uśmiechem.

— Zawsze cię proszę, abyś nic nie czynił dla mnie i nie myślał o mnie w swojej działalności — rzekła łagodnie. — Ja nic nie żądam i niczego nie pragnę dla siebie. Jestem zwykłą kobietą, niemłodą, niełądną; nie

uznajemy zresztą żadnych praw wyjątkowych.

Thord podniósł się z krzesła i stał teraz przed nią olbrzymi i potężny.

— Lotys! — szepnął namiętnie: — kocham cię! Czy słyszysz? Kochałem cię zawsze; kochałem od chwili, gdy cię znalazłem dzieckiem wątłem i płaczącem na marmurowych stopniach książęcej siedziby. Kocham cię i wiesz o tem! Powtarzałem ci to setki razy. Kocham cię, jak niewielu mężczyzn kochać umie!

Spojrzała na niego ze smutnem współczuciem, westchnęła, otuliła się swym ciemnym płaszczem i rzekła miękko:

— Dobra noc, Sergiuszu.

Z piersi mężczyzny wyrwał się krzyk gniewu:

— Dobranoc?! Ja oddaję ci serce i życie, całą istotę swoją, której jesteś duszą i tchnieniem, a ty mi odpowiadasz zimnem słowem pożegnania?

— To mię właśnie boli — rzekła miękko, lecz stanowczo. — Nie dla mnie, ani dla żadnej jednostki taka praca jak twoja, takie życie jak twoje. Nie pierwszy raz mi to mówisz, ale zawsze odpowiadałam ci, co dziś odpowiem. Nie kocham cię—chociaż kocham cię serdecznie. Wdzięczność i obowiązek wzbudziły we mnie to uczucie, lecz ono nie

jest tem, czego ty pragniesz. Nie zapominam, żeś mię ocalił od śmierci, choć może byłoby lepiej, gdybym umarła wtedy. Życie nie ma wielkiej wartości, jakkolwiek przyznaję, że daje chwile szczęścia. Dziękuję ci więc za nie. Usiłuję zawsze odwdzięczyć ci się.

— Nie mów tego! — zawołał. — Nic nie zrobiłem dla ciebie. Czem jesteś, winnaś sobie. Wrodzone zdolności zawsze podniosłyby cię ponad zwykły poziom.

Uśmiechnęła się smutnie i z powątpiewaniem.

— Nie wiem — odrzekła. — Dar wymowy niewiele dać może kobiecie. Dobranoc, Sergiuszu. Wyglądasz na zmęczonego, odpocznij. I nie myśl o zdobyciu władzy i potęgi *dla mnie*. Czego ja potrzebuję, to zdobędę sama.

W milczeniu patrzał na nią chmurnym wzrokiem, kiedy zmierzała ku drzwiom. Na progu zatrzymała się raz jeszcze.

— Ci trzej nowi... czy myślisz, że to ludzie pewni?

Machnął ręką obojętnie.

— Kogóż pewnym być można, oprócz samego siebie? Ten Leroy jest szczery, mam to przekonanie, a za tamtych on ręczy.

— Tak — szepnęła i wreszcie z ostatniem:—Dobranoc!—zamknęła drzwi i wyszła.

Thord nie odwracał wzroku od miejsca, gdzie stała.

— Lotys! — szepnął półgłosem.

Odpowiedziało mu echo. Wtedy podniósł się z westchnieniem i zgasił wiszącą lampę. W pokoju, oświetlonym teraz tylko blaskiem księżyca, zapanował półmrok łagodny.

— Władza! — szepnął — Potęga! — Nie umiałaby jej się oprzeć! Złotem nikt jej nie zdobędzie, ale władzą! Władza da nowy polot jej inteligencyi, nowy blask jej piękności. „Niełądna i niemłoda!“ Wielki Boże! Cóż znaczą młode, białe i różowe twarze wobec wyrazu Lotys? Co znaczą klasyczne rysy i uczone pozy, obok wdzięku i duszy, która przemawia z jej oczu? Gdzież jest kobieta, którąby się przy niej nie wydawała brzydką? Lotys rodzi się jedna na całe stulecie! To iskra, co zapala umysły pragnieniem rzeczy wielkich i żądzą celów niezdobytych, co podnosi ambicyę aż do stopni tronu, który zaledwie godnym jest jej piedestałem, a jednocześnie serca pogrąża w rozpaczy, kiedy, płacząc jak dzieci, daremnie błagają o miłość! Miłości, tylko miłości twej, Lotys! Cóż mię obchodzą trony i królowie? Niechaj świat zginie, bylem zdobył Lotys! Za jedną chwilę jej miłości — życie. Jedna chwila miłości, potem śmierć. To dosyć. Nic więcej nie chcę, niczego nie pragnę. Nasze pragnienia—

to miłość jedynie. Ona nas wiedzie. Wszystko inne złuda. Po nią sięgamy i za nią dążymy. Ona łamie istnienie, ale mniejsza o to, jeśli trwała chociażby dzień jeden!

Otworzył okno i oddychał chciwie słonem, chłodnem powietrzem nocy.

— Wszystko dla niej, dla Lotys! — zaczął znowu. — Praca, wysiłki, walka, może zguba — tylko dla Lotys. Cóż bez niej? Po co? Dla niej świat wstrząsnąć w posadach, niechaj płonie miasto, niechaj krew płynie, niech się wszystko burzy, niech rewolucya szerzy klęski, spustoszenie — wszystko to dla niej, dla niej!

— Lotys!... kobieta... Na dnie każdej sprawy szukaj kobiety: kobieta jest zawsze. Ona jest tajemniczą przyczyną wszystkiego: każdej wojny, zatargu, przymierza, reformy, na dnie wszystkiego znajdziesz miłość lub nienawiść, które budzi kobieta. Nie każdy wie o tem, ale tak było od początku świata; nawet religia żadna nie powstała bez tego najpotężniejszego czynnika!

Uśmiechnął się posępnym i gorzkim uśmiechem i zamknął okno. Za chwilę w pokoju zapanowała ciemność i cisza zupełna, a na wieżowym zegarze gdzieś w dali wybiło pół do drugiej.

VIII.

Nazajutrz słońce wstało jasne i pogodne, niby dziecię po śnie spokojnym. Ślady burzy zniknęły na ziemi i niebie; błękit bez chmurki uśmiechał się w górze, błękit i złoto lśniły w modrej fali, która z wesołym pluskiem dążyła do brzegu, a wkoło piękny kraj, świeża zieloność, wzgórza, gaje, strumienie. Ogród królewski zjawił się w szacie godowej, pełen barw świeżych, zieleni i woni, a słony powiew morza, niby zdrowe tchnienie, płynął lekki, chłodny i orzeźwiający.

W jednej z bocznych alei profesor von Glauben, siedząc na ławce, przeglądał raz jeszcze przyniesioną tu korespondencyę; odkładał listy, wymagające odpowiedzi, inne — jak mówił — same muszą odpowiadać sobie. Roger de Launay krążył koło niego, przechadzając się po alei i z widoczną niecierpliwością oczekując, aż powolny Niemiec skończy swe zajęcie.

— Proszę cię, Roger, usiądź choć na chwilę — odezwał się, zdejmując wreszcie okulary. — Twój ruch bezustanny działa mi na nerwy; zlituj się: dłużej znieść tego nie mogę.

— Nie wiedziałem, że coś na świecie może oddziałać i na twoje nerwy — odparł

de Launay, zatrzymując się przed doktorem.— Uważałem dotąd, że najważniejsze sprawy przyjmujesz bardzo zimno.

— Ważne sprawy zawsze należy brać zimno — rzekł profesor z powagą. — Zapalać nas powinny tylko żarty. Widziałeś dzisiaj króla?

— Tak, i zobaczę go znowu w południe.

— Kiedy jedziesz na urlop?

— Nie wcześniej, niż za miesiąc.

— W ciągu miesiąca dużo stać się może... hm, hm, jeszcze ci włosy posiwieją z nadmiaru doświadczenia.

Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się obaj.

— Swoją drogą to nie śmieszne ani trochę — zauważył Niemiec po chwili. — Sprawa może być zupełnie poważna.

— Mówiłem to odrazu.

— Król jednakże nie zapatruje się na to w ten sposób. Widziałem go dziś rano: zdrów i zadowolony, jak gdyby wrócił z zabawy. Stanowczo życzy sobie, abyśmy to obaj uważali za żart wesoły i farsę, bez względu na zapatrywanie jego własne.

De Launay milczał chwilę, potem westchnął.

— Pierwszy minister ma dziś w południe posłuchanie.

— Ach! — zawołał von Glauben z błyskiem w oczach. — Wezwany?

De Launay skinął głowę.

— A o trzeciej — dodał z wymownym naciskiem — jego królewska mość płynie na Wyspę.

Niemiec zerwał się z ławki, jakby tknięty prądem elektrycznym.

— Niepodobna!

Roger przymrużył oczy, bawiąc się jego wzruszeniem.

— Królewski statek ma być gotowy na trzecią — objaśniał. — Królestwo płyną razem, obiad na pokładzie, powrót przy świetle księżyca.

Wyraz twarzy doktora był ciekawą mieszaniną zwykłej dobroduszności żartobliwej z najwyższym niepokojem i zakłopotaniem. Kilka przekleństw niemieckich, rzuconych półgłosem, słabą przyniosło mu ulgę.

— Co ci jest?—pytał de Launay z uśmiechem. — Nie widziałem cię jeszcze nigdy tak wzruszonym, człowieku zimnej krwi i silnych nerwów!

— Wzruszonym?—oburzył się doktor.— Doprawdy, za wiele sobie wyobrażasz! Cóżby mię wzruszyć mogło? Gdyby mi ktokolwiek inny zrobił podobną uwagę, nazwałbym go poprostu osłem.

Roger wybuchnął śmiechem.

— Nazwijże i mnie osłem, jeśli ci to ulgę sprawi, — rzekł wesoło — ale przynajmniej powiedz: czem cię tak dotknąłem? Mówię ci najspokojniej, co dwór robi po obiedzie, a ty skaczesz, jakby cię żmija ukąsiła. O co? Dlaczego?

— Mam reumatyzm — zawołał von Glauben szorstko.

— O! — zawołał de Launay. — Ból snadź był mocny!

— Mocny, mocny, możesz mi wierzyć. Człowiek, pomimo wszystko, jest przecież człowiekiem. Nie jestem młodym chłopcem, mój kochany.

— Pewno!.. zapewne... chociaż może miałbym prawo uważać cię za chłopca przed dwudziestym rokiem, bo czerwienisz się, Glauben... Jak dziewczyna się rumienisz, słowo daję!

Profesor wyjął chustkę i ocierał spocone czoło.

— Gorąco dziś... — tłómaczył się prawie nieśmiało — bardzo gorący ranek. Chyba mi wolno przecież odczuwać gorąco...

Westchnął i przymknął oczy. Lecz nowa fala uderzyła mu widocznie do głowy, i wybuchnął nagle, przestając panować nad sobą:

— Nie potrzebuję przeczyć! Obeszło mię

to, i basta. Siadam na statek i płynę na Wyspę, bo tak mi się podoba!

Roger zdumiony cofnął się o parę kroków.

— Płyniesz na Wyspę? — spytał niedowierzająco, — Ty? von Glauben?

— Ja! Płynę. Nie wiesz: po co? Skąd masz wiedzieć? Nie posądzasz mię przecież o jakąś głupią tajemnicę — miłosną awanturę naprzykład — mówił, czerwieniąc się znów coraz bardziej. — A wreszcie: choćby! Mówiąc prawdę, wlazłem trochę w awanturę i—muszę być ostrożny! — plątał, przewracając niemożliwie oczyma i osłaniając chustką zbyt żywe rumieńce. — Rozumiesz przecie: wlazłem w awanturę i muszę się postarać usunąć ją z przed oczu króla. *Gott im Himmel!* Cóż tak patrzysz na mnie, jakbyś był kołkiem w płocie? Czyż sam nigdy nie kochałeś?

— Kochałeś? Ty? Doktorze?.. Zakochany?.. przepraszam, ale... więc rzeczywiście kobieta...

— Rzeczywiście kobieta!—powtórzył von Glauben ze złością. — Kobieta, o kobiecie, za kobietę etc. Zwykłe śpiewki. I muszę śpieszyć na przeklętą Wyspę.

— A jeśli król po ciebie przyśle?

— Nie przyśle. Zresztą choćby nawet przysłał! Zna mię, że jestem trochę ekscen-

tryczny, lubię ruch, morze i świeże powietrze. Nie polecił mi przecież towarzyszyć sobie. *Muszę* płynąć, i koniec. I ktoby się spodziewał, że mu to przyjdzie do głowy? Bez słowa zapowiedzi! Zagadka! Dziwactwo!

— Zdaje mi się, że właśnie słowo tej zagadki zbliża się ku nam — zauważył Roger półgłosem, wskazując nadchodzącego młodzieńca.

Książę Humbert szedł wolno z książką w ręku. Spostrzegł przyjaciół i pozdrowił ich uprzejmie w odpowiedzi na dworski ukłon.

— Wcześnie wstajesz, profesorze — rzekł wesoło; — lubisz świeżość poranku?

— Tak, sir — odparł von Glauben dziwnie niepewnym głosem; — poranek zdrowszym bywa od wieczoru. Zwłaszcza wycieczki morskie przy porannym wietrze o wiele więcej warte od wypraw księżycowych.

Książę Humbert spojrzał na niego uważnie, jak gdyby usiłował zrozumieć znaczenie tych wyrazów, i zarumienił się lekko.

— Czy i pan także podzielasz to zdanie? — zwrócił się do Rogera.

— Dotąd nie sprawdziłem jeszcze wartości tej teoryi, sir — rzekł de Launay; — sądzę jednak, że słowa profesora von Glauben są zawsze nieomylne.

Książę raz jeszcze spojrzał na jednego i drugiego, potem spuścił oczy na książkę.

— Ludzie dawniej byli szczęśliwsi, jeśli wierzyć tej książce — rzekł, przewracając kartki. — Nie zgadzasz się z tem, profesorze?

— Wybacz, sir, lecz mojem zdaniem, żadnej książce wierzyć nie można.

— Nawet tej, którą sam piszesz, doktorze? — zaśmiał się książę. — Nie wiem, czy byłbyś zadowolony, gdyby o niej wyrażono się w ten sposób. Ale posłuchaj, jest tu myśl przepiękna, wypowiedziana przez wielkiego mędrca na lat tysiące przed początkiem naszej cywilizacyi: „Ze wszystkich uczuć, cnót i namiętności, które rządzą życiem człowieka, wpływ miłości jest najsilniejszy i najwyższy. Nie należy jednak przez miłość rozumieć popędu zmysłowego, lecz to najszlachetniejsze ciążenie ku sobie dusz czystych i podniosłych. Miłość ta budzi w sercu gorące pragnienie uszlachetniania się i podnoszenia, przez wielkie czyny, zwycięstwa, ofiary, przez wyrzeczenie się dóbr tego świata, gdyż przy jej blasku gaśnie wszelka wartość, niby gwiazdy przy słońcu. Bezcenny ten talizman daje nam siłę wytrwania mężnie w każdej przeciwności, znoszenia cierpień i zwalczania przeszkód. Kto klejnot ten zdobędzie, świętym jest i wielkim i jedynie szczęśliwym w nędzy i na szczycie władzy.“ — Nie prawdaż, że to piękne? — zwrócił się do Launay'a.

— Niepodobna zaprzeczyć — odparł ży-

wo Roger. — Chyba świat cały zgadza się dziś ze słowami owego mędrca; powtarzają je poeci i filozofowie.

Von Glauben wzruszył ramionami.

— Miłość jest krótkotrwałem przyjemnem złudzeniem, — rzekł obojętnie — które psuje zwykle ceremonia małżeństwa.

Książę się uśmiechnął.

— Nie próbowałeś tego lekarstwa, doktorze, choć zdaje mi się, żeś poznał chorobę — rzekł żartobliwie. — Może przejdziesz się ze mną?

Von Glauben złożył ukłon na znak zgody, książę uprzejmie skinął Rogerowi i oddalił się z profesorem. De Launay patrzał za nimi uważnie, i zdawało mu się, iż gdy dostatecznie oddalili się od niego, poufała rozmowa zbliżyła młodzieńca i starca.

— Ciekawym jednak, co to wszystko znaczy? — rzekł sam do siebie. — Von Glauben najwidoczniej wplątał się w jakąś sprawę, którą chce ukryć przed królem. Czyżby to miało jaki związek z księciem? I jaką rolę odgrywa w tem Wyspa? Czego on tam chcieć może?

Dźwięczny głos zbudził go nagle z zadumy.

— Roger!

Drgnął i ujrzał przed sobą przystojną brunetkę z błyszczącemi oczyma. Była to

jego siostra, Teresa de Launay, ulubiona dama królowej.

— O czem myślisz? — zapytała z ciekawym uśmiechem. — I o czem książę Humbert rozmawia z doktorem?

— Dwa pytania odrazu? — zaśmiał się, całując jej białe czoło. — Trudno mi razem odpowiedzieć. Więc ty mi powiedz pierwej, po coś przyszła?

— Po ciebie. Królowa chce widzieć cię natychmiast.

Lekka bladość okryła twarz Rogera. Teresa posmutniała i westchnęła.

— Dokąd mam się udać? — zapytał.

— Niedaleko. Jest tu w klombie o kilka kroków, skąd widzi nas oboje. Posłała mię po ciebie.

— Idę. Śpiesz to powtórzyć. Idę zaraz.

— Więc chodź — rzekła zdziwiona, dlaczego nie mają iść razem, ale wzrok brata odepchnął ją silniej, niż słowa.

Przytem na twarzy jego malowało się takie cierpienie, że instynktownie uciekła od niego.

Roger stał jeszcze chwilę ze zsuniętemi brwiami, usiłując przedewszystkiem zdobyć się na spokój.

— Przysyła po mnie... — szepnął. — I po co? Ażeby się zabawić, czytając zimnemi oczyma gorące myśli moje! Dlaczego nie zostawi mię chociaż w spokoju?

Wreszcie iść zaczął krokiem pewnym i spokojnym. Na skręcie alei obszerne półkole z drzew starych i kwitnących krzewów bzu i jaśminu tworzyło rodzaj żywej, kwiatowej altany, na której środku w obszernym basenie biła fontanna, kwitły lilie wodne i lekka trzcina chwiała bujne liście. Tu siedziała królowa w towarzystwie jednej Teresy, która na widok brata usunęła się dyskretnie.

Przez długą chwilę Roger stał z głową schyloną i spuszczonemi ku ziemi oczyma, królowa zaś mierzyła go wzrokiem badawczym, pełnym pytań i stanowczości. W białym negliżu rannym była piękniejszą może, niż w całym blasku królewskiego stroju, to też gdy wstała nagle, wysmukła, pełna wdzięku i wspaniała, wyciągając do niego rękę, wielki koniuszy był olśniony jasnością, która rozlała się dokoła niego, niby słoneczna fala. Pokornie podniósł podaną mu rękę i lekko dotknął ustami pierścienia, błyszczącego jak gwiazda na palcu królowej. A kiedy potem podniósł na nią oczy, spotkał ten uśmiech jasny, czarujący, który niejeden już opłacił życiem.

— Rzadko widuję cię, panie de Launay— rzekła uprzejmie; — wiem jednak, iż zawsze jesteś najbliższym króla. I dlatego chcę żądać od ciebie usługi..

— Pani! — rzekł Roger — moje życie ..

— Życie — przerwała mu żywo królowa — twoje i moje należy do króla i kraju. Czego innego żądam.

— Rozkazuj, pani — odparł namiętnie i głucho. — Więcej ode mnie nikt ci dać nie może.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy królowej.

— Jesteś pan mężem silnych uczuć i gorącego serca — przemówiła; — przyznaję, że to dla mnie rzeczy dalekie i obce.

— Ośmielam się życzyć ci, pani, abyś poznała jednak i uczucie — rzekł z odcieniem goryczy. — Niekiedy budzi się ono zbyt późno, a czasem nigdy, ale zdaje mi się, że ten jedynie, kto przeszedł przez burze, odczuwa całą wartość i rozkosz spokoju.

— Tak pan sądzisz? — odparła pobłażliwie. — Burza i spokój... Nie rozróżniam tego. Życie tak jest pospolite w swoich objawach i tak szybko mija, że nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie troszczą się o tyle rzeczy.

— Wielu rzeczy nie rozumiemy tutaj wszyscy, — odparł — lecz jeżeli to życie jest jedynie przygotowaniem do lepszego, tem więcej daje nam wiedzy i moralnego rozwoju, im więcej wrażeń jest dla nas dostępnych.

Królowa uśmiechała się, ale milczała.

Bezwiednym ruchem zerwała gałązkę jaśminu i zatknęła wśród haftu, zdobiącego stanik. Gdyby w tej chwili Roger całą siłą nie panował nad sobą, porwałby ten kwiat biały i tutaj, w jej oczach, przycisnął do ust. Ale—cóżby nastąpiło? Lekkie ściągnięcie brwi na jasnem czole i spokojny ruch pożegnania. Nic więcej. Nawet gniewu.

To może doprowadzić do szaleństwa!

— Co do mnie, — rzekła po chwili królowa — zgadzam się z tą opinią, iż życie obecne jest jedynie przygotowaniem do lepszego, lecz właśnie stąd wypływa, iż pragnę ile możności jak najmniej poznać jego brzydkie strony. Możemy przecież podziwiać z wdzięcznością piękne strony natury, a odwracać oczy od innych?

— Możemy, — odparł Roger po krótkim namyśle — lecz to jest złem.

Królowa spojrzała ze zdumieniem.

— Złem? Dlaczego?

— Dlatego, — odparł dumnie — iż jest może najbrzydszą stroną życia zamykać wzrok i serce na rany, niedolę, cierpienie, łzy, przekleństwa i wszystkie męczarnie ludzkości! O pani, te tak zwane brzydkie strony życia mają w sobie najwyższe piękno! Są one przecież także dziełem Boga. Bóg stworzył piękne kwiaty i groźne wulkany: jakiemże prawem my, ludzie, możemy przyjmować jedno,

a odrzucać drugie? Czyż nie piękniejszem jest zadaniem nieść pomoc tam, gdzie trzeba?

Mówił to prawie szorstko, z wielką siłą przekonania, która zdziwiła go samego.

— Czy król nauczył pana tak przemawiać? — zapytała kobieta.

Ciemny rumieniec oblał twarz Rogera.

— Pani!.. — zaczął gorąco.

— Przepraszam... nie chciałam wcale dotknąć pana. Są to własne twe myśli, lecz ich źródłem i natchnieniem postępowanie króla. Jesteś pan wtajemniczony we wszystko, — mówiła spokojnie — i dlatego pragnęłam pomówić dziś z panem o królu.

Spojrzała koło siebie: nie było nikogo. Lady Teresa w przeciwnej stronie obszernego basenu przechadzała się dyskretnie, gotowa na skinienie, lecz zbyt oddalona, aby mogła słyszeć rozmowę.

— Jesteś pan wtajemniczony, — powtórzyła, przysuwając się bliżej — i ja także! Strzedz musimy jego tajemnicy. Lecz pan jesteś przyjacielem, a ja żoną. Czynię cię odpowiedzialnym za jego bezpieczeństwo.

— Wybacz pani, — zawołał de Launay zdumiony — lecz Jego Królewska Mość ma własną wolę, i życie jego nie jest w moich ręku. Mogę go bronić, ile w ludzkiej mocy, lecz jeśli dobrowolnie rzuca się w niebezpieczeństwo, lekceważąc wszelką ostrożność, cóż

może uczynić sługa, który słuchać musi rozkazu?

Jasne, stanowcze, pełne blasku oczy przenikały go nawskroś badawczem spojrzeniem; nie miał siły odwrócić od nich wzroku.

— Powtarzam polecenie — rzekła spokojnie, z naciskiem: — za życie króla jesteś pan odpowiedzialny. Wiem, żeś silny i odważny. Jeśli król postępuje nieoględnie, obowiązkiem twoim jest zabezpieczyć go od następstw czynu, wynikającego z najszlachetniejszych pobudek. Gdyby kiedykolwiek stało się nieszczęście, obwiniam pana o to i nie waż się więcej pokazywać mi na oczy. Umrzyj raczej, ale ocal króla.

To powiedziawszy, pożegnała go skinieniem głowy, oznaczającem, iż posłuchanie skończone.

Roger oddalił się pełen zdumienia.

Nigdy dotąd ani jako następczyni tronu, ani jako królowa, nie przemawiała do niego w sprawach tak poufnych, a zwłaszcza dotyczących króla. To samo wystarczało, aby wprowadzić go w zdumienie. Patrzał też nieruchomy, gdy oddalała się od niego spokojnym, pełnym wdzięku ruchem, i razem z Teresu zniknęła na skręcie.

— Słowo honoru! — szepnął: — chyba dosyć dźwigam na jednego człowieka, i gdyby nie przywiązanie do króla...

Machnął ręką i poszedł ze spuszczoną głową w stronę pałacu. Tu jednak na pierwszy rzut oka odgadł coś niezwykłego w atmosferze: po korytarzach snuły się postacie zmieszane i widocznie niespokojne; jedni biegli zbyt prędko, nie wiadomo dokąd; inni szli wolno, nie wiadomo po co. W jednym z pokojów stanął nagle przed wysoką, znaną mu dobrze postacią w stroju cywilnym: był to naczelnik policyi.

— Ach, Bernhoff! — rzekł zdziwiony: — jakaż burza się zbliża?

— Nie wiem o żadnej — odparł gość niezwykły. — Król przysłał po mnie, i oczekuję tu na niego.

Sir Roger skinął mu głową uprzejmie i poszedł dalej, nie rad zwierzać się ze swych myśli.

— W każdym razie, — powtarzał sobie w duchu — nasz monarcha jest autokratą, i trudno przeczyć, że wbrew wszystkiemu potrafi wycisnąć własne piętno na swojej epoce.

Dzień tymczasem zbliżał się ku południowi, a w przystani z każdą godziną ruch wzrastał. Powodem rozbudzonej ciekawości był piękny jacht królewski, który pośpiesznie gotował się do drogi. Wieść, że królowa ma towarzyszyć małżonkowi w niespodziewanej wycieczce na Wyspę, tembardziej

podniecała i zaciekawiała umysły. Nikt też nie zwrócił uwagi, kiedy profesor von Glauben wsiadł do niewielkiej łodzi, kierowanej przez dwóch rybaków, i pomknął też w stronę Wyspy. Nie zwrócono na to uwagi, chociaż szanowny doktor cieszył się popularnością nie tylko ze względu na swoje stanowisko, lecz i lekarską sławę. Posądzano go nawet, że wynalazł eliksir życia i tylko przez obawę przeludnienia zachowuje to odkrycie w tajemnicy.

Tymczasem wydzwoniło południe, a jednocześnie znany, choć zakryty powóz wjechał przez główną bramę królewskiego pałacu. Był to pierwszy minister, margrabia de Lutera, mężczyzna w średnim wieku, wysoki i śniady, o silnych szczękach, biegających oczach i podejrzliwym wyrazie twarzy. Wyglądał na człowieka rozumnego, lecz nie budzącego wcale zaufania; dumne jego obejście było wprost odpychające.

Gdy głównymi schodami zmierzał do apartamentów, przeznaczonych na prywatne audyencye króla, spotkał się oko w oko z naczelnikiem policyi. To spotkanie w tem miejscu i o tak wczesnej godzinie zdziwiło go w takim stopniu, iż zaledwie odpowiedział na uprzejmy ukłon. Nie podobna jednakże było o nic pytać, więc szedł dalej, usiłując zachować powagę i zwykły wyraz twarzy.

Nakoniec Roger de Launay stanął przed nim, aby mu towarzyszyć w dalszej drodze.

— Bernhoff był u króla? — zapytał minister, chcąc zbadać sytuacyę.

— Tak — odparł Roger. — Przeszło od godziny.

— Kradzież w pałacu?

— Nie przypuszczam. Ile mi wiadomo, nic podobnego nie było.

Margrabia Lutera spojrzał z lekkim niepokojem.

— Król zdrów?

— Najzupełniej. Nawet w wybornym humorze. Poczekam tu na pana.

Właśnie stali przed złoconemi podwojami, które otworzyły się przed nimi same i zamknęły natychmiast za pierwszym ministrem. Pozostawszy sam, Roger znów zaczął przechadzkę tam i napowrót po miękkim dywanie, która tym razem trwała przeszło półtorej godziny. Nakoniec drzwi raczyły otworzyć się znowu, i ujrzał króla obok margrabiego Lutery, którzy zbliżali się do niego razem.

— Więc nie chcesz nam towarzyszyć dziś, margrabio? — mówił monarcha swobodnie. — Nie możesz na parę godzin porzucić spraw państwa dla własnej przyjemności? Prawdziwie jesteś niestrudzony! Wobec tej gorliwości, która bez wahania poświęca czas i zdrowie na usługi kraju, nie śmiem korzy-

stać z władzy, jakiej mógłbym użyć, aby zmusić cię do odpoczynku. Więc nie możesz odłożyć ważnych spraw do jutra?

— Nie, sir, zwłaszcza jeśli trwasz w swoich zamiarach, które mogą zakłócić stosunki nasze z sąsiadami. Nasze papiery spadną niezawodnie! Może nastąpić jawne niezadowolenie.

Król roześmiał się głośno.

— Wybornie — zawołał. — Spraw to, kochany margrabio! Oskarż mnie o złamanie konstytucyi, zaproteguj Humberta na moje miejsce i zapytaj ludu o zdanie. Tego właśnie jestem ciekawy, i o to mi głównie chodzi. Jeżeli mię potępią, ustąpię najchętniej. Tymczasem jednak musimy zachować najlepsze stosunki z sąsiadami. Nie jest to chwila właściwa do zamiany zwykłego nieporozumienia na hasło wojenne.

Zamilkł na chwilę i dodał:

— Więc nie jedziesz pan z nami?

— Jeśli Wasza Królewska Mość pozwoli wymówić się tym razem od zaszczytu..

— Pozwolenie udzielone — odparł monarcha z uśmiechem. — Do widzenia, margrabio. Nie mieliśmy dotąd zwyczaju wydalania się ze stolicy w celu bliższego poznania ludności i kraju. Trzeba to jednak zmienić, i zaczynamy od Wyspy, której niestety nie znamy zupełnie. Mam nadzieję, iż ta wy-

cieczka przyniesie nam zarówno korzyść, jak przyjemność!

— A czy mieszkańcy wiedzą o zamiarach Waszej Królewskiej Mości? — zapytał minister.

— Nie; to zepsułoby całą przyjemność. Chcemy zrobić im niespodziankę. Wiele okolic kraju nie miało dotąd sposobności poznać panującego monarchy, pragniemy więc szczerze, aby z naszej winy nikt nie był tego szczęścia pozbawiony. Do widzenia! — dodał, wyciągając rękę i rzucając na Rogera szybkie spojrzenie z boku. — Życzę ci, margrabio, szczęśliwego załatwienia tej handlowej sprawy z sąsiadem. W ciągu tygodnia spotkamy się zapewne w Radzie.

Ręka królewska ujęła rękę ministra życzliwie. Lecz w tej chwili monarcha uderzył się w czoło.

— Zapomniałem sygnetu — rzekł jakby do siebie. — Chyba, margrabio, pożyczysz mi dzisiaj swojego?

— Jeśli Wasza Królewska Mość zechce go wziąć w zastępstwie — odparł minister z wielką gotowością, zsuwając pierścień z palca.

— Piękny szafir — zauważył król wesoło: — kto wie, czy nie lepszy od mego rubina!

— Sir — rzekł minister z głębokim ukło-

nem — ta pochwała uczyniła go od dziś bezcennym.

— Bardzo dobrze powiedziane — odparł król żywo — i bardzo rozumnie, gdyż dyplomacya każe chwalić króla nawet wtedy, gdy myślimy o jego zgubie. Bardzo zręcznie, margrabio! Do widzenia! Spodziewam się od ciebie pomyślnych wiadomości.

Zszedłszy ze schodów, znalazł się w dużej komnacie, gdzie wiele osób oczekiwało posłuchania.

— Przyjrzyj się dobrze sygnetowi pierwszego ministra — rzekł, wchodząc, do Rogera: — zdaje mi się, iż jest zupełnie odpowiedni dla króla.

X.

Otoczona błękitno-zielonawą falą, Wyspa od strony brzegu stanowiła zaledwie dostrzegalny ciemny punkt na horyzoncie. Była to jednak ustroń bardzo piękna, z bogatą roślinnością, zamieszkana głównie przez ubogich rybaków i łowców korali. Szczęśliwe położenie zabezpieczało ten śliczny zakątek od ulepszeń współczesnej cywilizacyi i pozwalało szczęśliwym mieszkańcom trwać przy prosto-

Bibl. Prac. Muzeum Śląska

cie dawnych obyczajów. Małe rozmiary Wyspy nie budziły szczególnej ciekawości wszelakich turystów, a dwugodzinna podróż ochraniała od zbyt częstych wycieczek próżniaczego tłumu stolicy. Domki rybackie, niewielkie i skromne, tonęły w zieloności, wśród żywych barw kwiatów, na tle winnic i łanów zboża. Życie mieszkańców płynęło tu całkiem spokojnie; zakłócały je tylko burze morskie. Ryby i korale zbywali z łatwością w stolicy, u siebie zaś niechętnie widzieli obcego. Podatki opłacali regularnie, a zresztą któżby wglądał w życie garstki ludzi, nie mającej dla kraju wielkiego znaczenia?

Ci, których jednak choć trochę obchodził los Wyspy, słyszeli, że od lat wielu zamieszkał tam obcy, który zbudował domek ze szczątków rozbitego okrętu.

Był to podobno człowiek już niemłody, bardzo rozumny, i na mieszkańców Wyspy wywarł pod każdym względem wpływ dodatni, oświecając umysły słowem i dobrą radą i podnosząc dobrobyt kraju. Nazywano go filozofem.

Dzień wyjątkowo jasny i pogodny sprzyjał ułożonej przez króla wycieczce. O trzeciej królewska para znalazła się na pokładzie, otoczona wytwornym dworem. Błękitne niebo, morze lekko falujące, wesołe i radosne

okrzyki wśród tłumu, szmer fali, szelest żagli i dźwięki muzyki—wszystko tworzyło obraz, godny pióra poety. Królowa stała, o maszt oparta, z oczyma zwróconemi gdzieś w daleką przestrzeń. Nie widziała nikogo z dworzan, grupujących się na pokładzie, ażeby patrzeć na nią. To były rzeczy zwykłe, a ona przywykła umysłem stać wysoko ponad niemi. To też świat prawie przestał istnieć dla niej. Pochlebstwo i nieszczerość otoczenia, podziw, który wzbudzała jej uroda, urzędowe małżeństwo—wszystko to podnosiło naturalny chłód jej temperamentu, nie budząc ani szacunku, ani najlżejszej sympatyi. Długie lata małżeństwa nie zbliżyły jej także do króla; nie umiał zaimponować jej umysłem, ani charakterem. Aż dzisiaj, kiedy w duszy powiedziała sobie: „Jestem starą kobietą“—ten król, tak obcy, daleki, wesoły, stanął przed nią nagle w innem oświetleniu. Pociągał ją, zaciekawiał, imponował: więc był zdolny do czynu, do wielkiego czynu? Zapragnęła go nagle poznać i zrozumieć, zapragnęła się zbliżyć. Wycieczka na Wyspę nęciła ją oprócz tego przez ciekawość. Była matką, pragnęła znać historyę syna.

Nakoniec zwróciła się w stronę pokładu, gdzie na nią oczekiwało wygodne siedzenie. Tu miała koło siebie swoje ulubione da-

my, lecz naturalnie ani jednego mężczyzny. Wtem wzrok jej, błądząc dokoła niedbale, spostrzegł opodal sir Waltera Langtona, przybyłego niedawno z Anglii i cieszącego się sławą niemałą. Przed kilku dniami był jej przedstawiony, lecz nie raczyła obdarzyć go nawet spojrzeniem. Dziś nagle zapragnęła z nim pomówić. Wezwany przez jedną z dam dworu, pośpieszył na rozkazy. Był to piękny mężczyzna, lat koło czterdziestu, o bujnych, jasnych włosach, łagodnem spojrzeniu, dobrotliwym uśmiechu i rozumnym wyrazie twarzy. Skłonił się przed królową z głębokim szacunkiem, na co odpowiedziała mu uśmiechem.

— Jesteś tu obcym, sir Langtonie—rzekła uprzejmym tonem. — W naszem towarzystwie nie chcę, by ktokolwiek czuł się samotnym.

— Czyż podobna czuć się samotnym w pobliżu ciebie, pani?—odparł Walter z dworskością, zajmując wskazane mu miejsce.— Ciebie nuży słuchanie tego, że twój widok napełnia przestrzenie blaskiem i melodyą, lecz innym to wystarcza. Nie jestem zresztą obcy: znam ten kraj dość dobrze, choć nie byłem tu jeszcze, odkąd w nim panować zaczął obecny monarcza.

— Czy bardzo różni się od Anglii?—spy-

tała łagodnie królowa, zwolna poruszając wachlarzem.

— Najzupełniej.

— Anglia lepiej podoba się panu?

— Jestem Anglikiem, pani, więc dla mnie niema na świecie kraju, który mógłbym porównać ze swoim.

— Jak wszyscy ziomkowie pańscy; a jednak lubicie zmiany.

— Tak, pani; sądzę jednak, iż to upodobanie jest naleciałością ostatnich lat kilkunastu. Podróże w pewnym określonym celu są pożyteczne, ale bezcelowe włóczenie się po świecie, że tak powiem, dla zabicia czasu, większą wyrządza krzywdę, niż przynosi korzyść.

— Dla zabicia czasu?—powtórzyła królowa — dziwne to wyrażenie.

— A jednak trudno je zastąpić innem, gdyż wyraża najlepiej niezadowolenie klas wyższych, przeciw któremu się nie oddziaływa. Od wielu lat duch Anglii skrępowali ludzie, którzy wyłącznie myślą o sobie, a cześć jej powierzono kobietom, które nie znają i nie rozumieją także nic po za sobą. Więc nie oni są dla kraju, lecz kraj dla nich.

— Mówisz pan o kierownikach rządu?— zaczęła królowa.—Czemuż nie mówisz im tego?

— Niepodobna spierać się z dziećmi, zwłaszcza kiedy mają pełny talerz przed sobą. Rząd jest zepsuty i słaby, a kierują nim kobiety złe lub niedojrzałe.

Królowa z ciekawością patrzała na mówiącego; ten jasny sposób wyrażania myśli był dla niej zupełnie nowy.

— Jesteś pan surowym — rzekła. — Słyszałam, że kobiety w waszym kraju mieszają się do polityki, ale nie przypuszczałam, aby przez to były szkodliwe. Czy się nad niemi litują, czy je podziwiają? A może nienawidzą?

— Nad niektóremi się litują, gdyż po większej części są to istoty rzeczywiście nieszczęśliwe: pozbawione wyższego uzdolnienia, młodości i piękności, niewiele też zrobią, chociaż usiłują zastąpić te dary intrygą. Gorszemi od nich są młode i piękne, które zaniedbują dom, dzieci, rodzinę, byle odegrać rolę w polityce. Te stają się narzędziem obcych wpływów i, nic nie rozumiejąc, wiele wyrządzają szkody.

— To są rzeczy poważne — rzekła spokojnie królowa. — Ależ ludzie, jak pan, sir Walterze, powinni przecież stać w obronie tego, co jest dobre i dla nich drogie!

— Pani, — odparł Anglik — ażeby być wysłuchanym przez małych a silnych, trze-

ba naprawdę być wielkim człowiekiem. Będą głusi na głosy nasze, dopóki nie zjawi się taki, którego wysłuchać muszą. Dziś niema w Anglii wcale ani rządu, ani kościoła, a jeśli lud nie wstanie sam na obronę praw swoich, wielkie niebezpieczeństwo grozi mojej ojczyźnie.

— Więc pragniesz pan rozlewu krwi i rewolucyi!—zawołała królowa ze zdumieniem: — nie mogę wierzyć temu.

— Chcę rewolucyi, pani, lecz nie krwawej — odparł. — Sądzę, iż ziomkowie moi są zbyt rozsądni na krwawe powstanie, mogą się jednak łatwo w inny sposób opierać nadużyciom i zwyciężyć.

— Jakże to?—zapytała ciekawie królowa.

— Lud musi zacząć, pani. Wszystkie reformy muszą wyjść od ludu. Lud naprzykład nie chce zmienić wiary, więc nie uczęszcza do obcych kościołów, które upadać muszą. Kobieta chce zachować cześć i prawa swoje, więc się stanowczo usuwa od takiej, która jest tylko intrygantką polityczną, i oto podnosi się moralność. Gdyby nasi artyści, mechanicy, wynalazcy i wykonawcy nie sprzedawali obcym swojej pracy, nie moglibyśmy być pokonanymi naszą własną bronią. Tak więc, wszelkie zmiany naród sam wprowadzić może, potrzeba tylko ludzi, którzy mu wskażą drogę.

— A ci ludzie?—zapytała znów królowa.

— Przyjdą, gdy czas nastąpi — odparł Walter. — Tak zawsze bywało w historyi.

Królowa przez chwilę patrzała na niego, nie odwracając oczu.

— A król?—spytała wreszcie.

— Król jest moim królem, i służę mu wiernie — odparł sir Walter z głębokim ukłonem.

Miał taki wyraz twarzy, iż królowa zrozumiała, że tej struny więcej potrącać nie można. Ale dlaczego? Jaki mógł mieć w tem interes? Czego się spodziewał od swego monarchy? Bo przecież wierność bezinteresowna względem panującego to rzecz przestarzała. Gdzieżby jej dzisiaj szukać?

Wzrok królowej zwrócił się znowu na morze i błądził gdzieś daleko. Sir Langton wstał zwolna i prosił o pozwolenie udania się do króla, który był w salonie pod pokładem.

— Bardzo rozumny człowiek — odezwała się królowa do hrabiny Amabil, która najbliżej stała.

— Och, — odparła hrabina — nieraz sobie myślę, że byłoby i wesoło i pożytecznie dla nas, gdybyśmy widywały częściej tych rozumnych ludzi.

Piękne brwi królowej zsunęły się lekko. Słabość dla płci brzydkiej była jedynym za-

rzutem, jaki postawić mogła dowcipnej i ujmującej hrabinie; tym razem jednak zuchwała uwaga nie była skarcona zbyt surowo.

Królowa patrzała na morze, na malownicze brzegi w oddaleniu, na Wyspę, która także rysowała się malowniczo konturami skał i lasów. Przelotnie wzrok jej spoczął na Teresie de Launay, która uśmiechała się wesoło, trzymając książkę w ręku.

— Co czytasz zabawnego?—spytała królowa.

— O miłości, pani — odparła Teresa z nowym uśmiechem i błyskiem spojrzenia.

— Taki zabawny temat?

— Lepiej śmiać się, niż płakać — odparło z rumieńcem wesołe dziewczę. — A co do tej książki, śmiać się muszę, tyle tu jest bardzo pięknych frazesów i tak ułożonych, że możnaby im wierzyć.

— Przeczytaj nam kawałek — rzekła królowa spokojnie.

— Najchętniej. Oto bardzo krótki, zatytułowany: „Canzonet.“ Taki drobiazg napisać można w notesiku co godzina, jeśli humor nam posłuży. Naturalnie, autor sam temu nie wierzy, ale przy świetle księżyca to może dźwięczeć bardzo ładnie:

„Moja pani raczy się uśmiechnąć, i świat cały jest wesoły i piękny. Moja pani mię

nienawidzi, więc tracę rozum i życie. Moja pani mię dzisiaj kocha, i nie lękam się nawet śmierci. Wiem, że moja pani to miłość, po cudownym blasku, jaki ją otacza; wiem, że moja pani to życie, gdyż bez niej żyć nie można.“

— Więc nie przypuszczasz, aby autor miał takie zdanie o miłości?—zapytała królowa.

— Ty wiesz najlepiej, pani, że tak nie jest. Co innego, gdyby pisał o dobrym obiedzie. Może wtedy wyrażałby szczerze swe uczucia. Ale ta „pani!“—ot chwilka wrażenia!

Wybuchnęła dźwięcznym, długim śmiechem i mówiła dalej:

— Właśnie nie wierzę takim, którzy najpiękniej piszą. Kto naprawdę kocha, ten uczuć swoich wyrazić nie umie, a kto się w taki sposób bawi swoją „panią,“ pewno myśli o jakiej ładnej pokojówce.

Królowa uśmiechnęła się z zadowoleniem, lecz nic nie odpowiedziała, gdyż właśnie zbliżył się król ze swym dworem, i rozmowa się urwała.

— Nie widziałeś dzisiaj Humberta?—spytał król de Launay'a. — Posyłałem po niego, ale mi powiedziano, że wyjechał konno.

— Nie widziałem Jego Wysokości od rana, sir — odparł Roger.—Spotkaliśmy go

wtedy z profesorem von Glauben w ogrodzie. Nic nie wspominał o zamiarze wycieczki na Wyspę. Bardzo był zajęty książką, którą czytał, i zaczął o niej z profesorem jakąś bardzo długą dysputę.

— Ale gdzież jest von Glauben?—zapytał król znowu: — posyłałem po niego, nie było go w domu.

— Zdaje mi się, iż mówił, że nie ma rozkazu towarzyszenia ci, sir, dziś na Wyspę. Podobno widział cię już przedtem?

— Tak—rzekł król.—Nie dawałem mu rozkazu. Wezwałem go dziś rano, aby się nie obawiał o skutki wczorajszej nocy. Posyłałem po niego później, ale podobno wyszedł, nie mówiąc, kiedy wróci. Bardzo się dąsa?—dodał żartobliwie.

Roger de Launay milczał. Król spojrzał na niego i zrozumiał, iż odpowiedzieć mu nie chce. Rzeczywiście, nie był to czas ani miejsce na wygłaszanie opinii, na które ciekawie czekało tyle uszu. Król spojrzał na Wyspę, do której zbliżano się teraz, i rzekł z uśmiechem do otaczających:

— Powinniśmy ubawić się tą niespodzianką. Nie pozwoliłem uprzedzać mieszkańców, i nie zastaniemy żadnych przygotowań, ani powitania. Zobaczymy nakoniec, jak ten lud wygląda.

— Miejmy nadzieję, iż będzie to widok przyjemny, i że ich kobiety nie są potwornie brzydkie—zauważył margrabia Montala, młody elegant dworski, o kobiecej twarzy, delikatnych rysach i bardzo słodkich oczach.

— Kobiety są wszędzie kobietami—odparł monarcha wesoło. — I radzę ci, Montala, nim znajdziesz ładną, nie pogardzaj brzydkiemi. W każdej można znaleźć zresztą coś pięknego... Wasza Anglia, sir Langton, słynie z pięknych kobiet—dodał uprzejmie, zwracając się do gościa.

— Słynęła — poprawił Walter.—Dziś najpiękniejsze kobiety ubiegają się o to, aby stracić wdzięk kobiecości. Ich sława wkrótce stanie się mitem.

— Czyś pan żonaty?—spytał król z uśmiechem.

— Nie, sir. Zaślubiłem Anglię; jej wyłącznie chce oddać życie.

— Czy to wystarczy twemu sercu?

— Biorąc rzecz samolubnie, musiałbym odpowiedzieć: nie! Ale logicznie sądzę, iż żona i dzieci za wiele miejsca zajęłyby mi w życiu, które chcę oddać wyłącznie krajowi i królowi.

— Powinieneś pan otrzymać nagrodę, na jaką te zasady zasługują — rzekła uprzejmie królowa.

— Nagrodą jest sama praca; innej nie żądam — odparł Anglik z powagą.

Wpływali właśnie do przystani, i majtek z długim okrzykiem rzucił linę jedynemu człowiekowi, stojącemu na wybrzeżu z otwartemi ustami i wyrazem zdumienia w oczach. Zamiast pochwycić linę, zrobił on ruch nieokreślony, skutkiem czego upadła w morze. Z głuchą klątwą majtek rzucił się za nią do wody i przy pomocy załogi przyciągnął statek do brzegu, gdzie jedyny świadek tej sceny stał wciąż nieruchomy, nie biorąc w niej udziału.

Kapitan zbliżył się do niego.

— Czy niema tu nikogo więcej?—zapytał surowo.

Wyspiarz potrząsnął głową.

— Więc sam jeden pilnujesz przystani?

Znak głową potwierdzający i kilka słów niewyraźnych, że obcym statkom wpływać tu nie wolno.

Kapitan spojrzał groźnie.

— Przybyliśmy z rozkazu króla. Jego Królewska Mość osobiście jest na pokładzie jachtu.

W oczach wyspiarza odmalowało się dzikie zdumienie; potem z okrzykiem niewymownej trwogi zaczął uciekać, aż zniknął na skręcie.

Kapitan wrócił i w obecności króla opowiedział Rogerowi to pierwsze zetknięcie się z mieszkańcem wyspy.

Król bawił się wybornie.

— Zdaje się, — rzekł zwracając się do żony—iż zwiedzimy wyspę bezludną. Ponieważ jednak nie potrwa to długo, może wystarczy nam i pusta scena. Wszak zejdziesz pani na ląd?

Podała mu rękę, i w kilka minut później dotknęli oboje pierwszy raz stopą tej dziewiczej ziemi. Na statku rozpoczęto przygotowania do obiadu, który zapełnić miał drogę z powrotem.

XI.

Królewska para w otoczeniu świty i gości szła zwolna wzdłuż przystani, drogą wysypaną szczątkami muszli i korali, kierując się ku grupie drzew wysokich, poza któremi w górę na ciemnem tle trawy rysowała się ścieżka. Dokoła spokój i cisza, urozmaicona szmerem fali i śpiewem ptactwa.

Kilka razy królowa zatrzymała się, obejmując ciekawym i zachwyconym wzrokiem ten niezwykle piękny krajobraz.

— Jakież to piękne! — szepnęła do siebie. — Tak musiał świat wyglądać w pierwszych dniach stworzenia: świeży, prosty i niezepsuty.

Hrabina Amabil objęła sir Waltera Langtona ciekawem i kokietującem spojrzeniem.

— Sielanka!—rzekła półgłosem.—Rodzaj Arkadyi bez Filidy i Korydona. Gdzież jednak mogli ukryć się mieszkańcy? Przecież dzień cały chyba nie śpią?

— W każdym razie nie wszyscy, — odparł wesoło Anglik — gdyż jeden już się zbliża, choć, sądząc po ruchach, nie zdaje się, aby mu bardzo pilno było powitać swego króla.

Osobistość, o której mówił, skupiła na sobie całą ciekawość przybyłych. Był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, trzymający się prosto, lecz za zbliżeniem się okazał twarz starca, noszącą ślady wielkich walk i cierpień. Miał na sobie rybacką bluzę, a na siwych wijących się włosach wełnianą czapkę, jaką nosili wyspiarze. Króla powitał ruchem pełnym godności, ale bez śladu zmieszania.

Roger de Launay zbliżył się do niego.

— Jego Królewska Mość — rzekł — życzy sobie poznać Wyspę i jej mieszkańców. Dlatego przybył tutaj razem z królową. Bądź

pan łaskaw wskazać nam rzeczy i miejscowości, najgodniejsze widzenia.

Starzec spojrzał na dworzanina z odcieniem lekceważenia.

— Tu niema miejscowości godnych widzenia dla króla, — odparł z uśmiechem — chyba że chatę rybaka zechce uważać za ciekawy pomnik. Nie jestem poddanym Jego Królewskiej Mości, lecz żyję pod opieką praw jego kraju i oddam mu chętnie usługi, jakich ode mnie potrzebować może, skoro niema nikogo, ktoby go tu przyjął.

Mówił językiem ludzi wykształconych, a twarz jego inteligentna i całe obejście świadczyły, iż życie nie mogło upłynąć mu na wyspie.

— Pańskie imię?—zapytał de Launay uprzejmie.

— Nazywam się René Ronsard. Jestem rozbitkiem zatopionego okrętu. Tu rzucony wolą Bożą, pozostałem.

W tej chwili Roger coś sobie przypomniał o „filozofie," który zamieszkał na Wyspie. To był on niezawodnie. Uszczęśliwiony spotkaniem człowieka, który mógł się najłatwiej porozumieć z królem, pośpieszył do niego z dobrą wiadomością.

Król zbliżył się natychmiast do nieznajomego i podał mu rękę ze szczerą serdecznością.

René uścisnął ją z lekkim ukłonem.

— Podajemy ci rękę — rzekł król — jako wyraz podziękowania za gotowość w ofiarowaniu nam usług swych i gościnności. Jesteśmy tutaj obcy z własnej winy, którą właśnie pragniemy zmazać. Jeżeli łaska, pomóżcie nam w spełnieniu tych naszych dobrych chęci.

— Wasza Królewska Mość zechce rozkazać, w czem mogę mu być pożytecznym. Mieszkam tu od lat dwudziestu, poprzestając na darach hojnej natury. Nie wiem też, jaki powab może mieć dla króla moja uboga chata.

— Dla nikogo prostota nie ma tyle powabu, co dla króla,—odparł monarcha—dla króla, który jest niewolnikiem ceremonii. Bądź nawzajem naszym gościem dzisiaj, starcze, i pozwól, że cię przedstawię królowej, abyś z ust jej usłyszał słowa podziękowania.

— Nie, nie! — zawołał obcy: — żadnych podziękowań!.. Na Boga!—szepnął.—Nie byłbym uwierzył, że jest na świecie kobieta, którą można porównać z Gloryą...

Powiedział to do siebie, lecz król usłyszał wyrazy i, idąc obok niego, zwrócił na ten temat rozmowę:

— Cóż to za imię Glorya?... czy wolno mi wiedzieć; kto je nosi? — zapytał.

Ronsard pochmurnie spojrzał na monarchę.

— Waszej Królewskiej Mości dziwnem wydaje się imię? Gdybyś ją widział jednak, sam przyznaćbyś musiał, że jest dla niej stworzone. Jest ona niewątpliwie najwspanialszym ze wszystkich tworów Boga.

— Pańska żona, czy córka? — spytał król łaskawie.

Starzec uśmiechnął się gorzko.

— Nie miałem nigdy żony ani córki — odparł. — Glorya, jak Afrodyta, powstała z piany morskiej. Innych rodziców prócz morza nie ma.

Umilkł. Widocznie chciał przerwać rozmowę. Król jednak miał inny zamiar.

— Chciałbym się o niej dowiedzieć coś więcej — rzekł z wielką uprzejmością.

Ronsard odparł szorstko, widocznie zniecierpliwiony:

— Żałuję, że wspomniałem o niej. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Jest piękną — piękność ma urok i dla królów, lecz Wasza Królewska Mość nie zastanie jej dziś w domu.

Król się uśmiechnął. Ukryto ją przed nim? Czyżby na Wyspę nawet doszła sława

jego szczęścia? Czy się lękano uroku korony? Bezwiednie pochlebiało mu to.

— Więc jej dziś nie zobaczę? — rzekł łagodnie. — Lecz mogę o niej słuchać. Bądź pewny, że nie zdradzę zaufania.

Blady rumieniec okrasił twarz starca.

— Niema w tem tajemnicy — rzekł spokojnie. — Glorya, jak ja, jest rozbitkiem. Znalazłem ją wyrzuconą przez morze na skały, tam, dalej, na wybrzeżu, gdzie niema przystani. Widzisz, sir, tę kapliczkę tam na wzgórzu? Tam śpiewano o wschodzie słońca. Tam w górze brzmiały głosy: „*Gloria in excelsis Deo!*“ A tu na dole ona leżała na brzegu, przywiązana sznurem do kawałka deski. Gdy ją przywracałem do życia, „Gloria“ brzmiało nade mną. I dałem jej to imię. To było dziewiętnaście lat temu. A teraz wyszła za mąż.

— Za mąż! — powtórzył król z zawodem w głosie. — Więc cię już porzuciła?

— O nie. Zostanie ze mną, dopóki mąż nie będzie miał dla niej własnego domu. Biedny to chłopiec, i żyją oboje nadzieją lepszych czasów. Mimo to, są szczęśliwi, a szczęście, młodość i piękność rzadko bywają razem. Na szczęście, spotkały się w życiu Gloryi.

— Chciałbym ją zobaczyć — rzekł król

po namyśle. — Bardzo mię zajęła cała ta historya.

Starzec nie odpowiedział, ale przyśpieszył kroku, aby wyprzedzić gości i otworzyć im drzwi ogródka. Wśród drzew iglastych, kwitnących róż i jaśminów, stał dom długi i nizki z obszerną werendą od frontu, objętą w ramy wijących się roślin i kwiatów. Całość stanowiła obrazek tak miły, iż goście powitali go szmerem podziwu. A tymczasem Ronsard ze zręcznością młodzieńca wynosił z domu krzesła dla dostojnych gości. Zasiadali grupami w ogrodzie, na werendzie, inni się rozproszyli, obchodząc domostwo dokoła, a król prowadził rozmowę z gospodarzem domu. Był to widocznie człowiek głębokiej kultury, co wyrażała zarówno twarz jego, jak sposób obejścia i każde wygłoszone zdanie.

— Czy mieszkańców wcale dziś na Wyspie niema? — pytał król z ciekawością.

— Z tej strony Wyspy wszyscy popłynęli, sir — odparł Ronsard. — A kobiety zajęte w domu. Wieczorem, po powrocie mężów, ojców, braci, pełne będą ogrody i pola ich śpiewu, a niewinny taniec przy świetle księżyca stanowi ulubioną ich rozrywkę. Są to szczęśliwi ludzie, daleko szczęśliwsi od są-

siadów z tamtego brzegu — dodał, wskazując za morze.

— Czy równie dobrze znasz mieszkańców lądu? — spytał monarcha.

— Znam ich dość, aby wiedzieć, że są niezadowoleni. Wśród błyszczących pozorów bogactwa i szczęścia, kryje się tam lew głodny — lud.

Umilkł i objął obecnych spojrzeniem. Słuchacze może po raz pierwszy w życiu słyszeli słowa tak jasne i śmiałe. Po chwili mówił dalej:

— Tutaj było to samo, kiedy się zjawiłem. Mieli tajne stowarzyszenie, związane z potężniejszem tam, na lądzie. Niełatwo było z nimi postępować, gdyż byli to ludzie prości, prawdziwe dzieci natury. Byli jednak dobrymi dla mnie, kiedy morze wyrzuciło mię prawie bez życia na brzegi, i chciałem być nawzajem dobrym dla nich. Chciałem im wrócić szczęście, boć o szczęście walczymy tutaj życie całe, aż do końca. Szukamy go daleko, choć leży często przed nami. Tak było z nimi. Dzisiaj są gminą spokojną, bez żadnych złych zamiarów. Nie zazdroszczą nikomu bogactwa. Nauczyłem ich litować się nad bogatymi. I lepiej im. Dobrze im. Ale przed laty...

Król słuchał w milczeniu ze szczerem zajęciem, choć błysk oczu niekiedy wskazywał wyraźnie, iż mieszkańcom Wyspy wśród większej całości przeznacza miejsce bardzo odpowiednie.

— Ciekawa rzecz, — rzekł Ronsard wolno i z namysłem — jak niezadowolenie i poczucie krzywdy łatwo zaraża innych. Jeden malkontent to już całe gniazdo, cała gmina. Gdybym był władcą kraju ..

Przerwał nagle i spojrzał na króla z wahaniem.

— Wybacz, sir, ale nie znam się na ceremoniach, jakie zachowywać trzeba, mówiąc do monarchy. Może mówię za śmiało. Dla mnie jesteś także człowiekiem.

Król uśmiechnął się dobrotliwie. Prostota nieco szorstka gospodarza, w przeciwieństwie do codziennego otoczenia, chłodziła go jak powiew morza, a postać starca, który umiał sobie zdobyć tak poważne stanowisko w gminie, budziła w nim szacunek i sympatyę.

— Mów dalej, przyjacielu, — rzekł łaskawie — uczciwa myśl nie może obrazić nikogo. Gdybyś był władcą kraju, cobyś zrobił?

René Ronsard zastanowił się przez chwilę z brwiami zsuniętemi i głęboką brózdą, przecinającą mu czoło pionowo.

— Myślę, — rzekł zwolna — iż wybrałbym sobie przyjaciół i pomocników z pośród przywódców ludu.

— A cóż my innego robimy? — spytał monarcha wesoło. — Członkowie rządu to przecież przyjaciele króla.

— Lecz oni nie reprezentują wcale ludu — żywo zaprzeczył Ronsard.

— Nie?—zawołał król ze zdziwieniem.— Jakże to? Wszak każdy z członków rządu jest wybrany przez głosowanie powszechne?

— Gabinet pierwszego ministra bywa tworzony przez niego samego, więc jeżeli twórca jest zdrajcą, mającym tylko własny interes na celu, to dobiera sobie odpowiednich ludzi. I wogóle nie można powiedzieć, aby członkowie rządu przez lud byli wybierani. Każdy kandydat stara się przed wyborami zapewnić sobie głosy przez swoich agentów, którzy w środkach nie przebierają. A ubogi nie ma czasu myśleć krytycznie: wierzy, potem żałuje, burzy się i nie znajduje środka dać własnych przedstawicieli do steru. Biorą władzę ci, którym ona dla korzyści osobistej jest potrzebna.

— I tam są tacy? — spytał król, posępnie wskazując ku lądowi i rzucając okiem na szafir pierwszego ministra, który mu błyszczał na palcu.

— Wszędzie — rzekł Ronsard, ogarniając ręką horyzont od zachodu ku wschodowi.—Kobiety i mężczyźni. Pisarze i mówcy, odrzuceni przez tron, stają się dla niego ogniem. Przywódcy myśli ludu i ducha narodu są jego reprezentantami, nie garstka zręcznych kupców, która rządzi.

— Jesteś pan filozofem — rzekł król, wstając z krzesła i kładąc rękę na ramieniu starca.—Ja też jestem nim trochę, chociaż w inny sposób. Jeśli cię zrozumiałem, chciałeś pan powiedzieć, że często przyczyną niezadowolenia, a nawet poważnych przewrotów, jest jednostka, która z osobistych względów podnieca ogół i stawia żądania przez ust tysiące. Czyż nie tak?

— Tak, sir, i sądzę, że tak było zawsze. Osią każdej rewolucyi jest duch pokrzywdzony, często duch wielki.

— Może masz słuszność, — rzekł król wyrozumiale — lecz duch ten nie przebywa w tobie. Nie jesteś Don Kichotem, który walczy z wiatrakami.

Ciemna krwi fala oblała twarz starca, ustępując miejsca śmiertelnej bladości.

— Sir, — rzekł poważnie — ze złem i ja walczyłem, a nie było to zło urojone. Złożyłem broń — tylko dla Gloryi.

— Ach! więc ona pojednała twego ducha z niesprawiedliwym światem?

— Nie, sir, lecz ona jest darem Bożym dla złamanego serca. Morze rzuciło mi ją niby perłę drogocenną, i dla niej żyć postanowiłem. Dla niej zbudowałem ten domek, dla niej postarałem się zdobyć wpływ na mieszkańców Wyspy, złagodzić ich umysły, uspokoić serca, wzbudzić dokoła niej twarze szczęśliwe. Uczę ich kochać piękno, jak kochali je Grecy, lecz wszystko to, co robię, płynie z pobudek ciasnych, osobistych, egoistycznych: chcę dać dziecku trochę szczęścia na tej ziemi.

— Więc nie żałujesz, żeś ją wydał za mąż, że nie jesteś już dla niej wszystkiem?

— Jestem stary i umrę wkrótce — odparł Ronsard. — Rad jestem, że ją zostawię pod dobrą opieką.

Król patrzał na niego chwilę w zamyśleniu; nagle nowe wrażenie przemknęło mu żywo po twarzy, zbliżył się do królowej i szepnął jej cicho słów kilka. Królowa wstała z uśmiechem i uprzejmie zapytała gos-

podarza, czy zechce jej pokazać wnętrze domu.

— Nic tam niema ciekawego, — odparł starzec z zakłopotaniem — lecz wszystko, co mam, gotowe na twój rozkaz, pani.

— Więc wskaż nam drogę—prosiła królowa z niewymownym wdziękiem, który jednał jej serca ludzkie.

Ronsard skłonił się nizko i pośpieszył naprzód, a królowa z dworem postępowała za nim.

— Król tu na nas zaczeka — rzekła do otaczających; — sir de Launay zechce może z nim pozostać.

Wkrótce zniknęli we drzwiach nizkiego domu. Król zdawał się tylko na to oczekiwać. Z błyskiem w oczach zwrócił się teraz do Rogera.

— A my poszukamy Glaubena! — zaśmiał się cicho i chytrze.

— Glaubena? — powtórzył Roger.

— Tak, profesora von Glauben. Jest tutaj. Przed chwilą widziałem go pomiędzy drzewami. Tak, tak, nie śniło mi się. Nie miewam przywidzeń. Trzymamy w ręku nitkę tajemnicy, na której dnie jest śliczna Glorya. Piękna dziewczyna, wydana zapewne za

zazdrosnego męża, bo przecież to widoczne, że ją ukryto przed nami. No, a teraz przypuśćmy, że tym mężem jest von Glauben!

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Rzeczywiście myśl taka była niezmiernie komiczna. Król nie chciał tracić czasu.

— Chodźmy — rzekł. — Jeżeli ta ścieżka prowadzi do tajemnicy, to zdobędziemy ją za kilka minut. A nie wątpię: widziałem Glaubena. I cóżby tutaj robił? Chodźmy! Jeżeli czcigodny profesor ma żonę, która jest pięknością, przebaczymy mu, że nas dotąd o tem nie powiadomił.

Roześmiał się znowu i zwrócił na ścieżkę, ukrytą pośród krzewów. Roger szedł za nim, odtwarzając w myśli poranną scenę z profesorem, który tak nagle zdecydował się na tę podróż, przyznając nawet, że mu chodzi o kobietę.

„Rzeczywiście jest to wszystko bardzo dziwne — myślał. — Przed tygodniem tkwiliśmy wszyscy w nieruchomych orbitach, jak stałe gwiazdy na firmamencie; nagle król poruszył wszystko: niema dziś stałego punktu, niema nic nieruchomego. Ciekawy jestem bardzo, co nastąpi teraz.“

— Ta ścieżka nie ma końca — odezwał się król niecierpliwie. — Coraz ciemniejsza, węższa i mniej znaczna.

Roger spojrzał przed siebie. Rzeczywiście dokoła było prawie ciemno. Drzewa schodziły się nad ich głowami i stanowiły gąszcz nieprzenikniony, bez końca i bez drogi. Postępowali zwolna, z wahaniem, nie mówiąc nic do siebie, gdy nagle w powietrzu, gdzieś z poza drzew, doszedł ich szmer dość niewyraźny, podobny do szmeru fali na wybrzeżu.

— Zbliżamy się do brzegu — rzekł król ze zdziwieniem. — Przed nami skała, za którą musi być morze... Ależ ciemno!

Nasłuchiwali chwilę. Szum fal był wyraźny, coraz wyraźniejszy, lecz z nim mieszało się coś niezwykłego, coś jak śmiech dziecka. I ucichło znowu.

De Launay spojrzał na króla: i on widocznie słyszał.

— Jesteśmy blizcy rozwiązania naszej zagadki — szepnął tryumfalnie.

Zaledwie jednak uszli kilka kroków, zatrzymali się znowu: głos dobrze znany odzywał się widocznie bardzo blizko, i król ostrożnie skinął na Rogera, aby się cofnął w cień, pomiędzy drzewa, gdyż mogli się spodziewać lada chwila widoku znanej twarzy.

— Ach! nie śpiewaj, księżniczko! Bo skoro srebrny głosik zabrzmi z twych ust ró-

żanych, zlecą się wszystkie ptaki z pod obłoków, i wszystkie rybki pośpieszą do brzegu, aby cię słuchać. I kto wie zresztą... może cię usłyszeć ktoś bardziej niebezpieczny od ptaka i rybki!

Król oparł rękę na ramieniu de Launay'a i z uśmiechem spojrzał mu w oczy.

— A co? — szepnął: — czy źle widziałem?

Twarz Rogera miała wyraz niezmiernie komiczny. Nie mógł sobie w żaden sposób wyobrazić profesora zakochanego, a tymczasem okoliczności potwierdzały z każdą chwilą to jedynie logiczne przypuszczenie.

Król ostrzegająco podniósł palec w górę, i w tejże chwili dał się słyszeć najwyraźniej drugi głos, świeży, młody, dziwnie słodki, o dźwiękach srebra i kryształu.

— Dlaczego nie mam śpiewać? Dlaczego dzisiaj tak się wszystkiego obawiasz? Dlaczego mam tu siedzieć, nic nie robiąc?.. Król przypłynął na Wyspę? Wielkie rzeczy! I cóż mię król może obchodzić? Czemże jest król dla mnie?

— Ale ty może będziesz czem dla niego, skoro cię zobaczy — odparł von Glauben z naciskiem. — Bezpieczniej nie wchodzić mu w drogę. Bardzo uparta jesteś dziś, księż-

niczko. Nie zapominaj, że masz zazdrosnego męża.

Król spojrzał na Rogera ze zdziwieniem.

— Męża? — powtórzył. — Cóż u licha von Glauben może wiedzieć o jej mężu?

De Launay milczał. Zaczęła go ogarniać nieokreślona trwoga.

— Mąż! — zaśmiał się głos srebrny. — Czyż ubogi majtek może być zazdrosny o króla?

— Jeżeli ma ładną żonę, a król lubi piękne kobiety, to może być zazdrosny — odparł von Glauben spokojnie. — Nie bądź tak buntownicza, moja piękna księżno! Czyż nie przywiozłem ci listu od męża, który cię prosi, abyś się ukryła przed królem? Czyż nie czytałem ci tu przez całą godzinę najpiękniejszych poezyi Heinego?

— To wszystko prawda, lecz właśnie dlatego zachciało mi się śpiewać. Posłuchaj, dam ci Heinego w muzyce.

I nagle rozległ się głos dźwięczny, pełny i czysty:

„Ach, zapomniałeś, że miałam niegdyś twe serce!“

Król i de Launay zaczęli zbliżać się powoli.

— Ach, mein Gott!—zawołał von Glauben. — Czy chcesz tu zwabić króla!

Kaskada śmiechu była odpowiedzią.

— Najdroższy przyjacielu i mistrzu, czemuś dziś taki trwożliwy? — mówiły słodko niewidzialne usta. — Jesteśmy tu ukryci tak wybornie, iż chociaż mię zapewniasz, że widziałeś króla w ogrodzie, nie obawiam się wcale, aby odszukał nas tutaj. Oho! to szkoła bardzo tajemnicza! Wiele się tu od ciebie nauczyłam. Bardzo wiele. Jestem ci szczerze wdzięczna! Jestem rada, kiedy przychodzisz, ażeby mi powiedzieć zawsze coś nowego. Za nic w świecie nie chciałabym cię rozgniewać! Lecz pocóż mam czuć i wiedzieć, co jest piękne, jeśli mi tego nie wolno wyrazić?

— Wyrażasz to doskonale samem istnieniem swojem — odparł profesor poważnie. — Lecz sądzę, że psychologicznie jeszcze tego zrozumieć nie możesz.

Chwila milczenia, potem odgłos lekkich kroków, i znowu głos wesoły:

— Patrz! Jestem znów na mym skalnym tronie! Pamiętasz... o nie! Nic o tem nie wiesz! Ale powiem ci teraz: tu po raz pierwszy mój mąż mię zobaczył!

— *Ach, so!* — mruknął von Glauben. — Na pierwsze ukazanie się wspaniałe miejsce! Chyba Ewa nie miała tła bardziej malowniczego.

Lekki odcień ironii brzmiał w słowach doktora.

— Szedł wolno po wybrzeżu... — mówił słodki głosik. — Słońce już zaszło, pierwsza maleńka gwiazdka mrugnęła na niebie. Spojrzał na gwiazdę i ...

— Ujrzał oczy kobiety — dokończył von Glauben. — To ma silniejszy powab, niż jakaś daleka planeta. Poeci tyle mówią o oczach kobiety!

Nie skończył, gdy zabrzmiały znowu tony śpiewu, płynące z młodej, pełnej siły piersi:

„Tutaj nad morzem znalazła mię miłość. Tutaj nad morzem mój pan i król włożył mi jasną koronę na głowę. Śpiewał ocean wielkim i potężnym głosem u stóp mego tronu ze skały, i odtąd król i ja jesteśmy jedno, aż do końca świata. Cudna historya miłości, cudna historya nocy, gdy król skronie moje uwieńczył koroną...“

Niepodobna opisać siły uczucia, z jakiem brzmiały słowa tej pieśni. Lecz zaledwie ucichły, dziwnym zgrzytem zabrzmiał nizki głos profesora.

— Ślicznie, księżniczko! Robisz, co ci się podoba: zbierzesz i plon! Zaśpiewałaś, jak anioł z nieba, ale śmiertelne uszy słyszeć cię musiały... Co to?

W tej samej chwili król z Rogerem znaleźli się na szczycie małego płaskowzgórza, skąd skalista ścieżka wiodła do stopni tronu z żywej skały, który przyozdabiały fantastycznie iglaste drzewa i pnące się rośliny. Na tronie tym, w purpurze zachodzącego słońca, siedziało dziewczę, a raczej kobieta, piękniejsza, niż sobie może wyobrazić najbujniejsza fantazya. Król spojrzał na nią i stanął olśniony zarówno blaskiem słońca, jak promieniami jej oczu.

— Glorya... — szepnął nawpół świadomie. — Więc ty jesteś Glorya?

Jasne zjawisko podniosło się żywo i ze zdziwionym wzrokiem zbliżało ku niemu.

— Tak, — rzekła — ja jestem Glorya.

XII.

Jednocześnie z poza wystającej skały ukazała się ciężka, olbrzymia postać profesora. Na jego twarzy nie było już śladu trwogi ani zmieszania, lecz zacięty upór, połączony z prawdziwie drewnianą obojętnością.

Król z uśmiechem zadowolenia uważnie objął go wzrokiem.

— Więc w taki sposób odbywasz swoje

uczone studya, profesorze? — spytał wesoło.— Nic dziwnego! Skoro Pallas Atena w takiej zjawi się postaci, może i stary filozof zapomnieć dla niej o mądrości!

— Wybacz, sir, — odparł Glauben z zupełnym spokojem — lecz niema tu żadnej bogini, tylko najzwyklejsza kobieta. Jest to przybrana córka ubogiego rybaka, który mieszka na Wyspie.

— Wiem o tem — rzekł król swobodnie; — nazywa się René Ronsard. Przyjmuje nas dziś w swoim domu i opowiadał mi o niej. Nie wspomniał tylko, że i ty ją adoptowałeś.

Drewniana twarz doktora okryła się lekkim rumieńcem.

— Sir... — wyjąkał. — Mogę to wytłómaczyć...

— Innym razem. Tymczasem przedstaw nam swą uczenicę w kierunku poezyi Heinego!

Profesor spojrzał zakłopotany na króla, Rogera, wreszcie zbliżył się do Gloryi, która stała nieco na stronie, przypatrując się wszystkim z wyrazem lekceważącego zdziwienia.

— Powiedziałem ci, że tak będzie — rzekł półgłosem. — Narobiłaś!

I dodał głośno:

— Glorya — oto król!

— Witam króla — rzekła spokojnie, nie zmieniając postawy ani wyrazu twarzy.

Najwyraźniej nie myślała się ukłonić. Była jednak tak piękna, że obaj mężczyźni podziwiali ją, niezdolni oderwać wzroku od tych wielkich, jasnych, szafirowych oczu, przejrzystości cery białej i różowej, jak muszla morska, wreszcie bujnych włosów, o złocistym ciepłym połysku, związanych w jeden węzeł koralową wstążką. Prześlicznie zbudowana, wzrostu cokolwiek więcej niż średniego, w białej bluzce i spódniczce w jasne pasy, zdumiewała prostotą, wdziękiem i doskonałością linii i ruchu. Dotąd, pomimo wszystko, król nie wyobrażał sobie, aby istniała kobieta piękniejsza od królowej; teraz piękność królowej wydała mu się bladą i martwą. Atmosfera dziwnej czystości i godności własnej otaczała to proste dziewczę, do którego król zbliżył się z pewnem wahaniem.

— Bardzo rad jestem, że cię poznałem, pani — rzekł uprzejmie i dobrotliwie. — Los łaskawy przywiódł mię tutaj; inaczej opuściłbym Wyspę, może nie widząc cię wcale.

— To dla króla nie byłoby wcale stratą — odparła spokojnie Glorya. — Cóż komu z tego przyjdzie, czy mnie zobaczy, albo nie zobaczy?

— Mąż twój nie powiedziałby tego — zauważył król z uśmiechem.

Z oczu Gloryi strzeliło światło.

— Mój mąż powiedziałby, jak potrzeba. On wie lepiej ode mnie, jak się do króla mówi.

— Muszę znać twego męża — rzekł król, zbliżając się znowu. — Skoro należy do mojej służby, nie potrzebujecie się lękać o przyszłość. Powiedz mi jego imię.

Glorya drgnęła, w jej oczach odmalował się wyraz zdumienia, rumieniec oblał jej twarz aż po włosy.

— Nie śmiem! — szepnęła. — Zabronił mi!

— Zabronił? — powtórzył król, cofając się mimowolnie, tknięty niejasnem podejrzeniem. — Więc odmawiasz królowi swemu odpowiedzi na życzliwe pytanie!

Von Glauben ścisnął ramię de Launay'a, który aż syknął z bólu.

— Nie powie — szeptał. — Nie może... nie powinna!

— Moim królem jest mąż mój — odpowiedziała Glorya. — Wobec Boga przyięgłam być mu posłuszną we wszystkiem i nie złamię przysięgi!

— Dobre dziecko! Mądra dziewczyna!— szepnął von Glauben.—Ach, gdyby wszystkie

piękne kobiety słuchały mężów i miały język wstrzemięźliwy, jak dobrze ludziom byłoby na świecie!

Król zwrócił się do niego.

— To prawda, — rzekł — lecz ty, doktorze, nie jesteś związany przysięgą, a ponieważ pozostajesz w mojej służbie, rozkaz mój i wola są dla ciebie prawem. Może więc raczysz powiedzieć mi imię męża tej pięknej lady.

Profesor zaczerwienił się gwałtownie.

— Sir... — wyjąkał. — Wasza Królewska Mość nie może żądać... wolę stracić stanowisko obok Waszej Królewskiej Mości, które wysoko cenię, niż zdradzić zaufanie przyjaciół.

Król nagle stracił cierpliwość.

— Cóż u Boga! — zawołał: — czyż moja wola, rozkaz nic już nie znaczy w tym kraju? Czy nie jestem tu królem? Cóż to za tajemnica, której nie wolno mi poznać?

Głośny wybuch srebrnego śmiechu Gloryi był pierwszą odpowiedzą na objaw monarszego gniewu.

— Ach, zły jesteś! — zawołała, mierząc go śmiejącemi się oczyma. — No, teraz widzę, że król jest zupełnie zwyczajnym człowiekiem, bo tak samo się niecierpliwi, skoro nie może postawić na swojem.

Śmiała się znowu głośno, szczerze i wesoło, patrząc na zdumiony wyraz twarzy króla, który nie wiedział, co w niej ma podziwiać: piękność, naiwność, czy obojętność dla swojej osoby?

— Posłuchaj, królu — rzekła. — Ja będę prorokiem i rozjaśnię ci tę tajemnicę. Jestem sobie Glorya, żona majtka ze statku następcy tronu. Mąż mój nie chce, ażeby pan jego dowiedział się o naszem małżeństwie, gdyż straciłby miejsce na statku. Czyż to nie proste, królu? I dlaczego z tego powodu miałabym nieposłuszną być mężowi?

Jakaś mgła przesłoniła królowi krajobraz.

— To nie jest powód do nieposłuszeństwa — rzekł po chwili spokojnie. — Nie rozumiem, dlaczego mąż twój ma stracić miejsce za to, że cię zaślubił. Powiedz mi jego imię, a wszystko będzie jak najlepiej. Czyż mi nie ufasz?

Szybko jak myśl, Glorya podbiegła do króla, dotknęła ustami jego ręki i cofnęła się znowu.

— Nie! — rzekła. — Całuję rękę króla, lecz ja mam swego króla, którego przedewszystkiem słuchać muszę!

I nagle, cicho, skłoniła się wszystkim i zniknęła po za drzewami. Z daleka tylko płynęły słodkie tony jej śpiewu:

„Mój król mnie uwieńczył koroną: i on i ja jesteśmy jedno do końca świata..."

Zdumiony szybkością jej ruchu i czynu, król stał w milczeniu, patrząc na drzewa i skały, za któremi zniknęła. Niepokojące jakieś przypuszczenie dręczyć go zaczynało coraz silniej. To też surowy i bardzo stanowczy zwrócił się nagle do doktora:

— Ostatniej nocy, profesorze, niepokoiłeś się o moją głowę, sądzę jednak, że twoja w niemniejszem znajduje się obecnie niebezpieczeństwie. Wiedziałeś chyba, na co się narażasz, biorąc udział w sprawach, które do ciebie nie należą... Nie teraz! — dodał głośniej.—Jutro wytłómaczysz mi wszystko, tymczasem możesz śpieszyć za swoją protegowaną. Zdaje się, iż małżonek polecił ci jej bezpieczeństwo, nie zawiedź-że jego zaufania, jak zawiodłeś już moje.

Von Glaubnn zbladł, lecz podniósł głowę dumnie i odparł ze spokojem:

— Wasza Królewska Mość nie ma słusznego powodu do uskarżania się na moją prawość. Historya tej biednej dziewczyny posłuży jako dowód mojego przywiązania i wierności. Jestem w niej ofiarą warunków i okoliczności, niezależnych ode mnie, lecz zaufania niczyjego nie zawiodłem, i proszę mi wie-

rzyć, iż ten wyrzut niesłuszny dotknął mnie głęboko... Nie ustępuję nikomu pierszeństwa w przywiązaniu i wierności dla mojego króla, nawet de Launay'owi, który wie najlepiej... który wie... który wie.

— Co wie? — przerwał król, pytające spojrzenie zwracając na Rogera.

— Nic! sir. Zupełnie nic nie wiem!— tłómaczył się koniuszy, szeroko otwierając oczy.—Nic nie wiem o Glaubenie, oprócz tego, że jest uczciwym człowiekiem. Temu istotnie wierzę.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy monarchy. Zbliżył się do niepocieszonego profesora i położył mu poufale rękę na ramieniu.

— Doprawdy, doktorze, gdybym się przekonał, że ty mię oszukujesz, nie mógłbym już wierzyć nikomu. No, przebacz nieoględne słówko i nie bądź taki zgnębiony. Zawsze cię miałem za uczciwego człowieka. Są jednak rzeczy w tej sprawie, które muszą niepokoić mię poważnie. Dzisiaj już nic nie żądam, ale jutro muszę wiedzieć wszystko. Rozumiesz? Wszystko! Powiedz to tej dziewczynie i jej mężowi, którego znać musisz także. Jeśli służy na jachcie Humberta, to Humbert musiał ją widzieć. W każdym ra-

zie twoja rola tutaj, mój doktorze, domaga się wyjaśnienia.

— I będzie wyjaśniona, sir — odparł von Glauben pochmurnie.

— Naturalnie. Wszystko musi być wyjaśnione. Nie masz mnie chyba za waryata, więc nie zdziwi cię przypuszczenie, że codzienne wycieczki Humberta na Wyspę muszą mieć jakiś związek z tą piękną dziewczyną; sam zresztą wiesz chyba o tem dobrze. Przykro mi jednak, że wybrał sobie żonę ubogiego majtka za przedmiot swoich młodzieńczych miłostek. Posądzałem go o trochę więcej szlachetności. Zresztą... zresztą jutro będę wiedział wszystko dokładnie. Tymczasem pozwalam ci powrócić do tej, którą nazywasz księżniczką.

Oparł się na ramieniu Rogera i skierował na ścieżkę, prowadzącą do chaty Ronsarda.

Von Glauben patrzał za nimi przez chwilę, a gdy zniknęli, zwolna i z ciężkiem westchnieniem zwrócił się w stronę, w którą poszła Glorya. Myśli jego dziś były mniej filozoficzne. „Któż może wiedzieć,—mówił sam do siebie—którędy kobieta zdoła sprowadzić na nas nieszczęście! Glorya nie jest wprawdzie zwyczajną kobietą, jest to esencya najlepszych pierwiastków, która mogłaby stano-

wić wzór, jaką kobieta być powinna, a jednakże... Ciekawym jednak, gdzie ona być może?

Podążając w stronę, gdzie zniknęła poza drzewami, znalazł się na brzegu morza.

Tu, pod zielonym krzakiem, z głową wspartą na kamieniu i pękiem kwiatów w dłoni, Glorya spoczywała na piasku, patrząc na błękitne fale.

— Glorya! — zawołał von Glauben.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Poszedł już król? — zapytała.

— Tymczasem poszedł — odparł, zbliżając się do niej i stąpając ostrożnie między kamieniami. — Poszedł, i wróci, jak to słońce wraca co rano.

— Może ci pomódz? — zapytała Glorya, widząc, jak niepewnym krokiem stąpa po nierównych kamieniach.

— Nie pomożesz mi nigdy, moja najdroższa księżniczko, — rzekł poważnie von Glauben — gdyż w chwili, w której będę potrzebował kobiecej ręki, ażeby przebyć drogę kamienistą, powiem sobie do ucha kulką rewolweru: „Bądź zdrów, Henryku von Glauben! Skończone!“

Prawdziwym ruchem słonia przeskoczył wielki kamień i rzucił się na miękki, słońcem ogrzany piasek.

— To byłoby szkaradnie strzelać sobie w ucho! — rzekła Glorya z oburzeniem. — To tchórzostwo zabijać siebie!

— *Ach, so!* A zabijać innych to odwaga? Bardzo ciekawa zasada, księżniczko! Szkoda, że niema czasu nią się bawić. Trzeba pomyśleć o poważniejszych rzeczach. Co mąż twój powie?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czy naprawdę myślisz, iż będzie się gniewał o to, że król mię widział?

Profesor zdawał się namyślać nad odpowiedzią, w rzeczywistości jednak studyował jej śliczny profil.

— Będzie się gniewał — to złe wyrażenie. Nie gniewamy się na tych, których podziwiamy i kochamy. Będzie zmartwiony i bardzo niespokojny; wynikną stąd dla niego poważne trudności, bardzo przykre i kłopotliwe!

— Dlaczego? — zapytała Glorya ze łzami w oczach. — Nie chciałabym go zmartwić za nic w świecie! Nic z tego nie rozumiem! Cóż wielkiego, że jest żonaty? Czyż na królewskich statkach tak surowy rygor pod tym względem?

Von Glauben przygryzł usta, aby nie zdradzić uśmiechu, lecz odpowiedział tonem męczennika:

— Bardzo surowy!.. zwłaszcza dla twojego męża. Widzisz, dziecko, ty tego jeszcze nie rozumiesz, lecz on jest w osobistej zależności od księcia następcy tronu, i jego stanowisko...

— Nic mi o tem nigdy nie mówił! — zawołała nawpół z wyrzutem. — Ale zresztą choćby nawet stracił miejsce, to znajdzie sobie inne.

Von Glauben patrzał na nią długo i poważnie.

— Słuchaj mię, dziecko. Posłuchaj człowieka, który ci życzy bardzo, bardzo dobrze. Twój mąż i ja chcieliśmy wszelkiemi siłami zapobiedz temu, aby cię król nie zobaczył. Musiała być przyczyna. Skoro się dowiedziałem, że ma tu przypłynąć, pośpieszyłem przed nim. Nie mówiłem nic nikomu, nie ostrzegłem nawet Ronsarda o zamierzonej wizycie królewskiej. Zabrałem cię spokojnie, niby na przechadzkę, wzięliśmy z sobą książki, bo chciałaś się uczyć, choć dosyć umiesz na kobietę. Dopiero tutaj oddałem ci list męża, który ostrzegał, abyś unikała spotkania z królem. Wszystko dobrze. Tymczasem — śpiewasz, król słyszy i zastaje nam razem. Któż winien?

— Ja — szepnęła ze skruchą i wyrazem zakłopotania.—Ale doprawdy i teraz jeszcze

nie rozumiem... Cóż to jest król i cóż go moje małżeństwo obchodzi? Przecie on nie ma władzy! Cóż on może zrobić? To symbol, który nikomu ani zaszkodzić, ani pomódz nie ma siły. Podobny jest jednakże do człowieka...

Von Glauben roześmiał się mimowoli.

— Widzę, że podobał ci się mimo wszystko?

— Nie — rzekła Glorya po chwili namysłu. — Rzeczywiście wygląda bardzo po królewsku, bardziej, niż wyobrażałam to sobie, ale po co się uniósł? Gniew psuje całe złudzenie.

— I król jest człowiekiem — rzekł z uśmiechem doktor. — Człowiek nie może zawsze panować nad sobą.

— Dlaczego? — zapytała Glorya. — Gniew oddaje broń naszą nieprzyjacielowi.

— Piękne nauki René'go!—rzekł profesor. — Śliczna teorya. Ale w praktyce widziałem, że sam nauczyciel nie zawsze się do niej stosował. A co do króla, jest to człowiek wielkich przymiotów: odważny jak lew!

— Czy dowiódł tego? — zapytała Glorya z zajęciem.

— Dowiódł! Różne są dowody. Nie mieliśmy wojny, ale...

— Więc myślisz, że walczyłby sam na czele wojska w obronie kraju?

— Sam? Nie. Na toby nie pozwolono. Niewolno mu narażać życia,

— Tak!? — zawołała Glorya z wyrazem zawodu. — I on się na to zgadza? I ty go nazywasz odważnym?

Doktor poważnie włożył okulary.

— Twoje rozumowanie nie jest bez podstawy, piękna księżniczko — rzekł z całym spokojem.—Wszystkie pierwotne ludy tak tę rzecz pojmują. Królowie plemion walczą na ich czele i odnoszą zwycięstwo. Ale dziś... Czyż nie słyszałaś, księżniczko, w jakiem niebezpieczeństwie jest dziś życie królów nawet w czasie pokoju? Naraża się już przez to, że się ukazuje publicznie.

— Dlaczegóż nie jest takim, jakim być powinien? Gdyby uszczęśliwiał lud i dbał o jego potrzeby...

— Moja księżniczko, pozwól sobie powiedzieć, że nie znasz i nie rozumiesz tych rzeczy.

— Wiem! — zawołała Glorya z oburzeniem: — słyszałam nieraz, że zabiera żony ich mężom.

Von Glauben nie mógł opanować śmiechu.

— Pozwól sobie powiedzieć, pani,—rzekł

wesoło — że nie zabrałby żadnej, gdyby sama nie miała na tę zamianę ochoty.

— To nic nie znaczy! — zawołała Glorya energicznie, przecząc ruchem i słowami.— Kobiety są słabe, więc szlachetny mężczyzna nie powinien ich narażać na pokusy. A podatki? A nędza, którą tylu cierpi przez niego? Wiem, wiem wszystko! Słyszałam Sergiusza Thorda sama!

— Sergiusza Thorda? — powtórzył profesor zdumiony. — Gdzie go słyszałaś?

— Tutaj. Nieraz przemawiał do ludu. Jest przyjacielem ojca René'go.

— A cóż on tu mówić może? — dopytywał się doktor. — Jakim sposobem dostaje się tutaj.

— Zawsze w nocy—odrzekła Glorya. — Ma własną łódź i przy sprzyjającym wietrze zjawia się zawsze sam niespodziewanie. W kilka minut wyspiarze wiedzą o tem wszyscy, zbierają się na wybrzeżu, lub na polu, a on mówi im rzeczy smutne i prawdziwe. Słyszałam, kiedy mówił o krótkości życia, o nieszczęściach i smutkach. O tem, że powinniśmy je sobie osładzać, nie mnożyć i powiększać cierpienia. Zdaje mi się, że miał słuszność, bo tylko źli ludzie robią innych nieszczęśliwymi.

Von Glauben milczał. Glorya patrzała

Bibl. Prow. Justyn Strzyż

na niego, zdziwiona wyrazem twarzy poważnym i smutnym.

— Czy znasz króla dobrze? — spytała po chwili. — Zdawał się być na ciebie bardzo rozgniewany!

— Tak, zagniewany — powtórzył Glauben, budząc się z zamyślenia.— Kocham twojego męża, chciałem mu usłużyć dzisiaj. I wszystko byłoby dobrze... wszystko!.. Mówisz, że tylko źli ludzie robią innych nieszczęśliwymi? A cóżbyś powiedziała, gdyby twój mąż ukochany zrobił cię nieszczęśliwą?

Wyraz tryumfu zajaśniał w jej oczach.

— Nie zrobi mię nieszczęśliwą! — zawołała. — Nigdy, nigdy! Kocha mię i zawsze mię kochać będzie!

— Przypuść jednak tylko tak, teoretycznie, że cię zwiódł.

Zerwała się z krzykiem oburzenia.

— Nie prawda! — zawołała. — On jest samą prawdą i nie oszukuje nikogo!

— Chodź-no i siądź tu obok — rzekł doktor spokojnie. — Nie mogę słuchać, kiedy kto wygłasza tak bezgraniczną wiarę w prawość ludzką. Żaden człowiek na wiarę taką nie zasługuje, i jeśli kobieta ją daje, naraża się tylko na zawód.

Glorya stała nieruchoma, patrząc na

mówiącego, twarz jej pobladła nagle, a oddech stał się krótki i nierówny.

— Co to ma znaczyć? — szepnęła gwałtownie. — Wytłómacz się! Dlaczego chcesz we mnie wmówić, że mąż mię oszukał? To okrutnie! to źle z twojej strony!

Von Glauben stał już przy niej, łagodnie wziął jej rękę i ucałował.

— Przebacz mi, droga księżniczko — prosił głosem drżącym. — Nie chciałem ci dokuczyć. Chciałem dowieść tylko, że można bardzo kochać swoją żonę, a jednak przez wzgląd na nią niezawsze mówić jej prawdę.

— To nie może być nigdy dla jej dobra! — zawołała Glorya stanowczo. — Nie chciałabym kłamstwa za nic! Za nic w świecie!

W oczach doktora odmalował się szczery szacunek, gdy patrzał na piękną postać, oblaną złotem i purpurą zachodzącego słońca. W tej chwili rozległ się wystrzał armatni.

— Król odpływa — rzekł doktor. — Zaspokoił swoją ciekawość. Oto sygnał odjazdu. A teraz dziecko, słuchaj — dodał znów, biorąc jej ręce. — Pamiętaj zawsze, zawsze, że jestem waszym przyjacielem. Cokolwiekby się stało, nie zapominaj o tem. Masz prawo mi rozkazywać aż do śmierci. W życiu wszystko jest niepewne i niestałe,

lecz w duszy ludzkiej jest prawość i wierność danemu słowu. Taką wiarę przysiągłem tobie, piękna księżniczko morza, i możesz liczyć na mnie. Czy mię rozumiesz? Czy będziesz pamiętała?

— Nie zapomnę — odpowiedziała z powagą. — Ale nie wiem, dlaczego tak się o mnie niepokoisz. Ja nie lękam się niczego; mam wszystko, co mi drogie na tym świecie.

— Miej te skarby jak najdłużej. A teraz chodźmy. Muszę jeszcze pożegnać się z René'm. Radziłbym nic mu nie mówić o spotkaniu króla, a przynajmniej nie zaraz.

Zgodziła się na to po pewnem wahaniu i, idąc obok siebie wązką, kamienistą ścieżką, zmierzali do chaty Ronsarda. Starzec zajęty był przywiązywaniem gałązek róż i jaśminu, pnących się koło werendy. Twarz jego zajaśniała miłością i szczęściem, gdy ujrzał Gloryę; odłożył zajęcie i opowiadał o wizycie dworu, jak o przygodzie bez znaczenia.

— Królowa jest piękna, — mówił — ale w obejściu zimna. Była ciekawa zwiedzić dom i ogród. I dobrze, że nie byłaś tutaj, dziecko. Atmosfera dworu jest niezdrowa. Królowie nie wiedzą nigdy, co to znaczy człowiek uczciwy.

— Powracasz znowu do starych teoryi, Ronsardzie — rzekł Glauben z niezadowole-

niem. — Myślałem, że się już zupełnie wyleczyłeś.

— Chciałem odrzucić stare myśli dla niej — szepnął z westchnieniem Ronsard. — Gdzie ona mieszka, niech będzie pokój i zadowolenie. Ale niekiedy bunt budzi się we mnie, i w imię sprawiedliwości chcę burzyć wszystko, co jest krzywdą i złudzeniem.

— A któż odróżni zawsze prawdę od złudzeń? — zapytał doktor. — Co wczoraj było prawdą, dzisiaj jest tylko złudzeniem, lecz może jutro znowu prawdą będzie?.. Daj mi co zjeść, nim odpłynę.

Ronsard wyciągnął rękę na znak zgody, i wszyscy razem weszli do małego domku, aby pokrzepić się skromnym posiłkiem.

Statek królewski płynął tymczasem do lądu, przesuwając się lekko po powierzchni fali, oświetlonej blaskiem księżyca. Na pokładzie grała muzyka; król i królowa z gośćmi siedzieli przy stole, gdzie panował szmer rozmów i rozlegały się szmery wesołe. Mówiono o wycieczce, o piękności Wyspy, o Ronsardzie i jego domku, a hrabina Amabil flirtowała wesoło z sir Walterem Langtonem.

Roger de Launay zauważył jednak, że królowa bledszą i cichszą była niż zazwyczaj, a wzrok jej dziwnie często spoczywał na królu z wyrazem trwogi i podziwu.

XIII.

W najmodniejszej dzielnicy stołecznego miasta stał dom piękny, wygodny, niezwykle kosztowny, zewnątrz i wewnątrz przeładowany ozdobami i bardzo pospolity. Był on własnością bogatego Żyda, nazwiskiem Dawid Jost. Majątek i wpływy Josta były powszechnie znane, w rzeczywistości jednak sięgały o wiele dalej, niż sobie wyobrażano. Był on wyłącznym właścicielem najbardziej wpływowego dziennika i potężnym akcyonaryuszem trzech innych, pozornie należących do odrębnej partyi, lecz kierowanych tą samą rękę i dążących do jednego celu. Jost i jego wspólnicy rządzili tym sposobem prasą, a przez nią i tak zwaną opinią publiczną. Jeśli w dzienniku Josta lub którymkolwiek innym znalazło się przypadkiem coś takiego, co mogło być dla niego niekorzystnem, redaktor otrzymywał surową naganę, a jeżeli wypadek zdarzył się po raz drugi, usuwano go od obowiązków. Tym sposobem Jost i opinia publiczna było to jedno i to samo.

Kilka innych dzienników wątły wlokło żywot, usiłując niekiedy sprzeciwiać się Jostowi. Lecz do walki nie miały siły. Wiel-

ki wydawca był niezmiernie bogaty i nie miał żadnych skrupułów. Ożenił się dla pieniędzy, lecz wkrótce żona skończyła w domu waryatów, a teraz zamierzał ożenić się po raz drugi, kładąc główny nacisk na pochodzenie i stanowisko narzeczonej. Syntymentami nie kierował się nigdy, lecz interesy swoje prowadzić umiał doskonale, i byli nawet tacy, którzy zapewniali, że to bardzo porządny człowiek.

Właśnie późno wieczorem powrócił do domu z opery, gdzie za kulisami miał liczne stosunki. Był dziś w doskonałym humorze. Puścił nową rację w swojem piśmie i liczył na pewno, że opłaci mu się ta pogłoska o wojnie z sąsiedniem państwem. Bawiło go przypuszczenie, ile ten niespodziewany artykuł narobi niepokoju i wrzawy, ile papierów będzie można nabyć przy tej okazyi.

— Lutera powinien mi podziękować — odezwał się wreszcie głośno. — Ten człowiek w gruncie rzeczy wszystko mi zawdzięcza.

Usiadł na fotelu, w jasnym, ciepłym i zbytkownie urządzonym gabinecie, przejrzał kilka listów i spojrzał na zegar. Dochodziła północ. Wziął wieczorną gazetę, leżącą na biurku, i zmarszczył brwi, spostrzegłszy w niej brak artykułu, który kazał pomieścić w sprawie Jezuitów.

— Zabrakło widać miejsca — rzekł do siebie. — Trzeba koniecznie pomieścić go jutro. Obiecałem i darmo pieniędzy nie biorę. Należy ostrzedz króla, aby nie rozpoczynał niebezpiecznej walki z Kościołem. Postąpił lekkomyślnie i nierozważnie; musi teraz naprawić zło, które wyrządził.

W tej chwili u drzwi wchodowych rozległ się dzwonek silnie i gwałtownie, a zaraz potem lokaj ukazał się w progu.

— Jakiś pan chce się widzieć w ważnym interesie.

— W interesie? — powtórzył Jost. — O tej godzinie? Powiedz mu niech przyjdzie jutro.

Służący cofnął się, lecz wrócił znowu.

— Ten pan mówi, że musi zobaczyć się z panem. Że go przysłał Pierwszy Minister.

— Pierwszy Minister?

— Tak, panie, w bardzo pilnym, osobistym interesie. Oto jest jego bilet.

I podał na srebrnej tacy bardzo zwyczajny bilet wizytowy.

Dawid Jost wziął go w rękę i przeczytał: „Pasquin Leroy.“

— Hm! — mruknął. — Nie znam zupełnie. Ważny interes. Osobisty poseł Lutery!

— Proś go — rzekł do lokaja.

Pasquin Leroy wszedł do pokoju, lecz to nie był ten sam człowiek, któregośmy widzieli w towarzystwie Lotys, Sergiusza i innych. Ten Leroy wyglądał na fachowego dziennikarza, kupca, lub finansistę. Ciemne wąsy, mała broda śpiczasta, właściwe uczesanie, zimny wyraz oczu i binokle, które podnosił bezustannie, jakby miał wzrok bardzo krótki, nadawały mu fizyognomię sprytną, nieuchwytną, a zarazem niezmiernie pewną siebie.

— Zdaje się, że nie możesz pan czekać do jutra? — rzekł Jost, nie wstając z krzesła i zimno patrząc na przybysza.—Gdyby można jednakże...

— Nie można — odparł Leroy stanowczo.

Jost spojrzał na niego zdziwiony.

— Przychodzisz pan od Pierwszego Ministra?

— Tak jest.

— Dowód?

Leroy zbliżył się szybko i podniósł do oczu kupca prawą rękę, na której błyszczał pierścień z kosztownym szafirem.

— Znasz pan ten sygnet i powinien panu wystarczyć za dowód, że przybywam w sprawie, w której nie pisze się listów.

Jost patrzał na pierścień, który znał

bardzo dobrze i nie wątpił, że tylko w ostateczności mógł być powierzony człowiekowi, najzupełniej godnemu zaufania. Doznał jednakże tak silnego niepokoju, iż nie wiedział, co mówić i od czego zacząć. Jego ruchliwe oczy biegały po sprzętach, unikając wysokiej postaci, stojącej przed nim z dziwną stanowczością.

— Zapewne przynosisz pan ważne wieści polityczne? — zagadnął wreszcie.

— To się zobaczy — odparł Leroy spokojnie. — Sądzę, że bieżąca polityka ulegnie nagłym i poważnym zmianom.

Jost wstał z krzesłą.

— Niepodobna! — zawołał. — Nie możemy na to pozwolić!

Opamiętał się jednak, otarł chustką czoło, i zbliżywszy się zwolna, otworzył drzwi sąsiedniego gabinetu.

— Wejdźmy tutaj. Tu nikt nam nie przeszkodzi — mówił nerwowo. — Palisz pan?

— Owszem — rzekł Leroy, biorąc cygaro, a spojrzawszy z uśmiechem na zmienioną twarz gospodarza, dodał: — Rad jestem, żeś pan usposobiony do poufnej rozmowy, gdyż jakkolwiek nowiny moje nie są świetne, przypuszczam, iż będziesz pan wolał ucierpieć z tego powodu osobiście, niż narazić ministra.

Jost namarszczył czoło, milczał i przestępował z nogi na nogę.

— Nie wiem, nie wiem...—rzekł wreszcie. — Muszę poznać sprawę. Muszę mieć wzgląd na ogół... Ministrowie upadają, mężowie stanu tracą swoje stanowiska, ale prasa zostaje, jest tą samą dziś, jutro i na wieki.

— Jeśli wydawca nie zmieni opinii — dodał Leroy. — A to rzecz głowy, sumienia—i zysku. W obecnym wypadku sądzę... Ale wejdźmy tam lepiej. Gdy się mówi o królu, nie można być dosyć ostrożnym.

W spojrzeniu Josta odmalowało się zdziwienie.

— O królu? — powtórzył. — A cóż jego więcej obchodzi oprócz kobiet i przyjemności.

Na twarzy Pasquina odmalował się dziwny wyraz, lecz odparł z chłodną grzecznością:

— Nie umiem panu tego wytłómaczyć, ale w ostatnich czasach król zmienia wiele w zwykłym trybie swego życia. Z biernego staje się czynnym w sprawach państwa.

— W takim razie należy ostrzedz go odrazu — rzekł Jost z irytacyą. — Jest monarchą konstytucyjnym i musi stosować się do praw konstytucyi.

— Naturalnie! — potwierdził Leroy,

otrząsając popiół z cygara. — W danej chwili jednak powziął myśl, że konstytucyę naruszają inne potęgi, np. królowie finansów.

Z ust Josta padło głuche przekleństwo.

— Chodźmy — rzekł niecierpliwie. — Złe nowiny lepiej wysłuchać odrazu.

Leroy skinął głową na znak zgody, i raz jeszcze objąwszy pokój badawczem spojrzeniem, wszedł za Dawidem do małego gabinetu, którego drzwi gospodarz zamknął własnoręcznie na klucz.

W obu pokojach teraz zapanowała cisza. Zaufany lokaj, zmęczony i śpiący, długo oczekiwał gościa w przedpokoju, zdecydował się wreszcie zajrzeć do gabinetu. Tu nie było nikogo. Wiedział, co to znaczy. Pierwszy Minister zawsze tam był przyjmowany, ale zbliżyć się do drzwi—to narazić się na stratę miejsca. Ziewnął więc tylko i powrócił na swoją ławkę, właśnie gdy zegar wybił pierwszą po północy. I znów cisza, milczenie, miarowy ruch wahadła. Wskazówka znaczy kwadrans, pół godziny, nakoniec trzy kwadranse, gdy wreszcie usłyszał cichy szmer otwierających się podwoi i dźwięczny głos tajemniczego gościa:

— Naturalnie, ani słówka o tem w pismach, chyba gdyby parlament istotnie zażądał zbadania sprawy.

Służący cofnął się i stanął wyprostowany w przedpokoju, oczekując nieznajomego.

— Nie można do tego dopuścić — odpowiedział Jost gorączkowo. — Margrabia może przeszkodzić podobnym usiłowaniom.

— Lecz jeśli król się uprze?

— Byłoby to wbrew wszystkiemu! Byłoby to wbrew zwyczajom! Nie ma prawa! To grozi mu detronizacyą.

Leroy wybuchnął śmiechem.

— To prawda — rzekł. — Dobranoc, panie Jost. Może panu co załatwić w Moskwie?

— W Moskwie? — powtórzył wielki wydawca. — Jedziesz pan prosto do Rosyi!

— Jutro rano.

— Jesteś pan w sekretnej służbie? — rzucił jeszcze gospodarz ciekawe pytanie.

— Tak jest. Ciekawe sprawy, o których nikt nie wie. Ach! gdyby kochany ludek wiedział, jak trudno nim rządzić — nie u nas naturalnie — mielibyśmy rewolucyę przynajmniej co pół roku! Dobranoc, panie Jost.

— Dobranoc. Spodziewam się wiadości o dalszym przebiegu tej sprawy.

— To się rozumie.

Służący drzwi otworzył, a Pasquin wsu-

nął mu w rękę sztukę złota, zdobywając tym sposobem opinię prawdziwego pana.

Pozostawszy sam, Dawid uwolnił przedewszystkiem służącego, kóry z rozkoszą pośpieszył do łóżka, a sam resztę nocy spędził w gabinecie, wyjmując z różnych skrytek listy, dokumenty, przeglądając je, porządkując i wiele paląc na kominku. Dzień zastał go przy tej pracy, a gdy skończył ją wreszcie, spojrzał z zadowoleniem na kupkę siwego popiołu.

— No, teraz byłoby trudno znaleźć moją rękę w tej sprawie — rzekł, wstrząsając się ruchem nerwowym.—Jeżeli piorun spadnie, uderzy w Perousse'a, a mnie nie dotknie. Tak, to dla niego zguba, ale cóż mnie to może obchodzić? Nie pociągnie mnie z sobą, i nic mi nie może zarzucić, nie potępiając samego siebie jeszcze bardziej. Zdaje mi się, że jestem zupełnie bezpieczny. Nie wiem, czy można to samo powiedzieć o margrabi Luterze... W każdym razie napiszę do niego, aby wiedział, że zrobiłem, czego żądał.

W tym samym czasie Pasquin Leroy przebiegał ulice miasta, mijając przechodniów i śpiesząc w określonym kierunku. Był widocznie bardzo wzburzony: przekonał się naocznie o podejściu i oszustwie, którego nie śmiał nawet podejrzewać. Krzywda, wyrzą-

319 319

dzana tysiącom niewinnych przez garstkę spekulantów bez sumienia, była prawie nieobliczona i wymagała powstrzymania zła jak najprędzej.

— Lepiej późno, niż nigdy — powtórzył sobie kilkakrotnie. — Trzeba to wszystko zmienić aż do gruntu. Muszę zwyciężyć, skoro mam słuszność za sobą.

Minąwszy most na kanale, wszedł pośpiesznie w dosyć szeroką ulicę, gdy w pewnej odległości ujrzał dwie postacie i poznał w nich natychmiast Sergiusza Thorda i poetę. Pośpiesznie cofnął się w ciemne zagłębienie bramy, czekając, aż go miną.

— Wstydź się, Zouche! — mówił Sergiusz. — Wstyd nam tylko przynosisz. Na to ci Bóg dał geniusz, abyś żył jak zwierzę? Na co się komu możesz przydać z tym nałogiem, który każdego wieczoru pozbawia cię rozumu i pamięci!

Zouche śmiał się głośno.

— Doskonale mówisz, nieoceniony Sergiuszu. Twoje słowa są ogniem i złotem. Kieruje niemi rozum i sumienie. Lecz ja tego nie potrzebuję: jestem i tak doskonały!

Roześmiał się znowu głośno.

— Wielki reformatorze, miłośniku prawdy! o jakim wstydzie mówisz? Kto się dziś wstydzi i czego? Prawda jest brakiem taktu,

319 319

domaganie się sprawiedliwości chęcią zdobycia sławy, a wielkość waryactwem. Dziś wstydzić się należy tylko uczciwości, gdyż uczciwy jest ubogim, a ubóstwo to największy występek i zbrodnia.

Chciał podnieść ręce w górę, ale zachwiał się na nogach i byłby upadł, gdyby go Thord nie podtrzymał.

— Pleciesz, Zouche, jak zawsze, i sam nie wiesz prawie, co mówisz. Twoje skargi na los są niesłuszne, gdyż mógłbyś zdobyć sławę, gdybyś panował nad sobą.

— O nie! — zaśmiał się Zouche. — Sława dzisiaj to także stary bałwan. Kupić go może każdy wynalazca mydła lub kotła parowego, ale nie poeta. Może nie wiesz, że ostatni tom moich poezyi był „łaskawie przyjęty przez króla?“ Może nie wiesz, co to znaczy?

— Nie—odpowiedział Sergiusz zimno.— I choć znam twoje dziwactwa, nie posądzałem cię jednak o posyłanie utworów głowom ukoronowanym.

Poeta śmiał się znowu.

— Nic nie wiesz! nie rozumiesz! — wołał głośno. — Trzeba było przeczytać moją dedykacyę! Odpowiedź sekretarza jest równie uprzejma i piękna: „Sir, z rozkazu króla

dziękuję za książkę, którą mu przysłałeś.“ I nie wiesz nic, co to znaczy?

— Nawet nie jestem ciekawy. Zamiast pleść od rzeczy, pozwól się przynajmniej odprowadzić do domu.

— Do domu? Nie mam domu! Odkiedy ona umarła... To ja ją zabiłem! Powiększyła liczbę męczenniczek tego świata, a ja piszę, by została po niej pamięć... Ale nie powiedziałem ci jeszcze, co to znaczy posłać książkę królowi. Znakomity interes dla wydawcy, który może wydrukować przy nazwisku autora: „Poeta dworu Jego Królewskiej Mości.“ I naturalnie książka zaraz lepiej idzie!

— Słuchaj — rzekł Thord. — Dlaczego to zrobiłeś? Czy nie wiesz, że obowiązkiem twoim ostrzegać, nie pochlebiać?

— Właśnie dlatego! Gdyby król raczył tylko ją otworzyć! Nie patrz tak na mnie: każdy z nas ma swoją piętę Achillesa. I ciebie może pozbawić rozumu inna rzecz: Miłość Lotys. Ty ją kochasz, a ona pokocha innego. Jesteś także szaleńcem. Pracujesz dla kobiety, nie dla czego innego, i dam ci jedną przestrogę: Nie zabij jej, jak ja tamtą! Bądź cierpliwym, wyrozumiałym. Niech róża kwitnie, choćby nie dla ciebie! To czasem gorzko, trudno... Pocieszaj się nadzieją, że jak

śnieg w słońcu, tak ona stopnieje w promieniach twej miłości. I chodź, odprowadź do domu poetę, pijanego natchnieniem. Poetę, którego dzieło monarcha przyjąć raczył.

Oparł się mocniej na ramieniu Thorda, postąpił kilka kroków i znów się zatrzymał.

— Lotys będzie przemawiała w sobotę, wiesz o tem?

Sergiusz skinął głową twierdząco.

— Będziesz tam, naturalnie? I ja także. Co za głos ma ta kobieta! Możesz jej nie wierzyć, ale musisz słuchać, a słuchając—spełniać, co każe. Gdzie się zbieramy tym razem?

— W sali zebrań ludowych — odparł Sergiusz. — Ale pamiętaj, że zacznie mówić o dziesiątej, to jest wtedy, kiedy już nie będziesz słyszał.

— Tak myślisz? — rzekł Zouche gniewnie, wysuwając się naprzód i właśnie mijając bramę, gdzie stał ukryty Leroy. — A ja ci mówię, że po pijanemu lepiej rozumiem wszystko, niż gdy jestem trzeźwy. Jestem wyjątkiem! Lecz ty tego nie rozumiesz. I będę słyszał Lotys, i zrozumiem ją lepiej od ciebie, nie mówiąc już o innych... Czy uważasz, jak księżyc tańczy dziś na niebie? Tak samo tańczył pewnie, gdy Antoniusz tracił swoją Kleopatrę i przegrywał bitwę

pod Actium. Pamiętaj o losie Antoniusza. Mężczyzna panowałby i zdobywał państwa, gdyby nie Kleopatra, albo Lotys.

Śmiał się znów głośno i posuwał naprzód, nawpół niesiony przez Sergiusza. Wkrótce zniknęli z oczu. Pasquin Leroy wyszedł ze swej kryjówki i skierował się w stronę twierdzy. W dali tu i owdzie przeświecało morze i słychać było równy, spokojny szum fali.

Stanął na chwilę i spojrzał na gwiazdy. Spokój spływał mu w duszę.

— Dlaczego potępiony? — szepnął cicho.—Skąd ta niezasłużona nienawiść? I kto winien? Lud wierzy jednak dotąd swoim panom. Lecz duch zmiany jest w czasie, płynie na skrzydłach z ognia, a gdy płomień ma błysnąć, niech błyśnie z tronu, nie zaś z nizin.

Zbliżywszy się do twierdzy, spotkał placówkę, której odpowiedział hasłem i minął bramę. Przez szereg dziedzińców zmierzał do parku, otaczającego zamek królewski. Tutaj na drodze stała postać w płaszczu i kapturze, widocznie oczekująca na niego, gdyż skoro się ukazał, mała furtka w murze otworzyła się bez szelestu, i obaj mężczyźni weszli przez nią do parku, rozmawiając coś cicho.

XIV.

Margrabia Lutera lubił długo sypiać; od niejakiego czasu tył widocznie, czemu był rad, gdyż dobra tusza i postawa odpowiadały godności ministra. W ciągu ostatnich lat, w kilku ważnych sprawach musiał uznać się pokonanym przez swego kolegę Karola Perousse'a, i chociaż o tem nikt więcej nie wiedział, Lutera odczuł i zrozumiał, iż jest to początek walki, w której jeden z nich upaść musi. Nie będąc pewnym nikogo, uczuł się osamotnionym, postanowił nawet zrzec się zajmowanego stanowiska i wycofać zupełnie z polityki, skoro tylko zdoła przeprowadzić jeszcze jeden bill w parlamencie, zapewniający mu wielkie korzyści materyalne.

Tymczasem nie miał się czego obawiać. Karol Perousse nie mógł mu nic zrobić, nie narażając siebie. Zanadto związani byli różnemi sprawami. Każdy z nich w głębi duszy chciał pozbyć się drugiego, ale na pozór szli zgodnie obok siebie, szczerze czuwając nad wspólnem bezpieczeństwem.

Ostatnia rozmowa z królem wstrząsnęła bardzo silnie umysłem margrabiego. Monarcha po raz pierwszy objawił swoją wolę w sposób bardzo stanowczy. Zamierzał polityce nadać

kierunek nowy, a w razie oporu gabinetu, postanowił zwrócić się do parlamentu. Tak niezwykła droga zaniepokoiła ministra poważnie. Całą noc nie spał i wstał w złym humorze. Nie wiedział, jak postąpić: nie chciał się poddać woli króla, a nie mógł sprzeciwić się jej otwarcie; poruszyć zaś kwestyę wojny z sąsiedniem państwem w gabinecie znaczyło to wywołać przedwczesne dyskusye i oświetlić rzecz zbyt jaskrawo.

— Kwestya pieniędzy...— mówił sam do siebie, popijając kawę z rana przy śniadaniu i przeglądając listy. — Wszyscy potrzebujemy pieniędzy. Zwycięstwo ich dostarczy. Trocha ludzi zginie, ale iluż takich, których pozbyć się jest korzyścią? Wdowy i sieroty naród weźmie pod opiekę, a to, co zyskamy, warto trochy krwi i trudu. Nowe źródła dochodu! Nowe handlowe drogi!

— I król temu wszystkiemu staje na przeszkodzie! Gdyby lubił pieniądze, możnaby mu wytłómaczyć całą kombinacyę i ofiarować część zysku, lecz, ile go znam, wątpię, aby się to na co przydało. Z innymi taka sprawa byłaby zupełnie prosta. I ten dotąd, trzy lata, nie dawał znaku życia, nie pytał o nic, podpisywał, i piorun wczoraj nie byłby mię silniej ugodził, niż jego słowa, kiedy mi oznajmił, że postanowił odtąd po-

stępować według własnych przekonań. Każdy człowiek, kierujący się przekonaniami, jest niebezpieczny w społeczeństwie, a król!.. Ciekawa nastanie epoka!

Popijał kawę i przeglądał listy, w których nie było nic pilnego. Właśnie sięgnął po ranną gazetę, gdy wszedł służący i podał mu list od Josta.

— Czeka kto na odpowiedź? — zapytał minister.

— Nie, ekscelencyo.

Lutera złamał pieczęć z wielkim herbem i zaczął czytać:

„Drogi Margrabio! Widziałem się w nocy z twoim powiernikiem i dokładnie przedstawiłem mu całe położenie. Wyjechał dziś rano do Moskwy, ale nas zawiadomi o dalszym przebiegu sprawy. Przykro mi bardzo, że dla pana przedstawia się to tak poważnie. Chciałbym się porozumieć osobiście, skoro znajdziesz pan chwilkę czasu.

Życzliwy
Dawid Jost.“

Margrabia przeczytał kartkę raz i drugi ze skupieniem, rozważając każdy wyraz, lecz nic nie mógł zrozumieć.

— Co u licha przyszło mu dzisiaj do głowy! — zawołał wreszcie z gniewem. —

„Mój powiernik!..“ „Przedstawił mu dokładnie całe położenie!..“ „Wyjechał do Moskwy!..“ Warjat!

Zadzwonił gwałtownie.

— Kto przyniósł list? — zapytał, kiedy wszedł służący.

— Lokaj pana Josta, ekscelencyo.

— Czy poszedł?

— Tak, ekscelencyo.

— Zaczekaj.

Usiadł przy biurku i napisał kilka wyrazów pośpiesznie:

„Kochany panie! Nie mogę zrozumieć twego listu. W nocy nie posyłałem do ciebie nikogo. Jeżeli możesz mi to wytłómaczyć, będę cię oczekiwał do wpół do dwunastej.

Życzliwy
Lutera.“

Złożył, zaadresował i podał służącemu.

— Zanieś to sam natychmiast i oddaj do rąk własnych pana Josta. Zobacz go sam koniecznie i sam mu to oddaj. Rozumiesz?

— Tak, ekscelencyo.

Gdy lokaj wyszedł, rzucił się na fotel i zaczął znów odczytywać tajemniczy list swego wspólnika.

— Ktokolwiek się przedstawił jako mój

wysłaniec, Jost był idyotą przecież, jeśli przyjął go bez dowodu. To być nie może! To jakaś pomyłka.

Ogarnął go nieokreślony niepokój o tajemnicę „przedstawioną dokładnie“ obcemu. Setki najnieprzyjemniejszych przypuszczeń przesuwały mu się przez głowę, i wreszcie, aby skrócić czas oczekiwania, kazał się ubierać.

Ale wszystko mu dziś przeszkadzało: jeden kołnierzyk był za ciasny, drugi zbyt wysoki, każdej sztuce ubrania robił jakiś zarzut.

Wreszcie skończył, gdy we drzwiach ukazał się służący.

— Cóż? — spytał niecierpliwie.

— Pan Jost przyjedzie zaraz, ekscelencyo: kazał zaprzęgać, skoro tylko list przeczytał.

— Odpowiedzi nie dał żadnej?

— Żadnej, ekscelencyo.

— Gdy przyjedzie, zaprowadź go do biblioteki.

— Tak jest, ekscelencyo.

Margrabia natychmiast udał się do biblioteki. Jasne promienie słońca płynęły tu śmiało przez szeroko otwarte okna, z których roztaczał się prześliczny widok na ogród, pełen kwiatów i bujnej zieleni. Chociaż pałac ministra leżał w dzielnicy modnej, posia-

dał ogród rozległy i piękny, a zadrzewienie miasta w ciągu lat ostatnich podnosiło jeszcze i uwydatniało to prawie wiejskie otoczenie. Za ostatniego króla uchwalono prawo, iż dla względów hygienicznych nie wolno wycinać drzew starych, a corocznie pewna liczba młodych musiała być zasadzana. To też wkrótce ulice miasta stały się rozkosznemi alejami, i w najskwarniejsze południe można było spoczywać w chłodzie. Ogród margrabiego należał do najobszerniejszych i mógł zadowolić wszelkie wymagania, lecz wzrok ministra błądził po nim z roztargnieniem. Gniewało go słońce, woń kwiatów i spokój, tak sprzeczny z jego własnem nerwowem podnieceniem.

Turkot kół na dziedzińcu zwrócił jego uwagę; postarał się zapanować nad swojem wzruszeniem i przybrać wyraz twarzy obojętny. Jost ukazał się właśnie w progu, widocznie pomieszany i bardzo wzburzony.

— Dzień dobry, panie Jost — rzekł margrabia grzecznie, wskazując gościowi krzesło, zaledwie wszakże służący zamknął drzwi za sobą, dodał zmienionym głosem: — Co to wszystko ma znaczyć!

Jost upadł na krzesło i ocierał chustką spoconą twarz i czoło.

— Nic nie wiem — rzekł z rozpaczą. —

Sam nic a nic nie rozumiem. Powiedziałem ci prawdę. Jakiś człowiek przyszedł do mnie po północy, zapewniając, że go przysłałeś w pilnym interesie. Zażądał wytłómaczenia naszego stanowiska, ostrzegając, iż jesteśmy zagrożeni nieprzewidzianym zwrotem w polityce. Oto jego bilet.

I podał ministrowi kartkę, którą Lutera pochwycił z chciwością.

— Pasquin Leroy! Nigdy tego imienia nie słyszałem! Oszukali cię, Joście! Jak mogłeś zaufać człowiekowi obcemu w tak ważnej kwestyi, jak operacye finansowe, jedynie na podstawie zapewnienia, że jest przysłany przeze mnie? Gdzież dowód?

— Dowód! — zawołał Jost, powstając nagle. — Więc przypuszczasz, że uwierzyłem bez dowodu? Przyniósł mi najlepszy dowód, jakiego żądać mogłem: własny twój sygnet!

Margrabia cofnął się, jakby otrzymał policzek; twarz mu pozieleniała.

— Mój sygnet! — powtórzył, prawie mimowolnie spoglądając na rękę, na której go brakowało. — Sygnet! Ależ ciebie oszukano, Joście, podwójnie oszukano! Nikt nie mógł mieć mego sygnetu, gdyż od wczoraj do tej chwili jest on w ręku króla.

Oczy Josta stały się wielkie i błyszczące, jak dwa ogniska; usta mu drżały.

— Króla!... — wyszeptał.—Króla!...

— Tak, króla. Wczoraj go pożyczył ode mnie, gdyż zapomniał swojego, wybierając się na wycieczkę. Oszukano cię! To widoczne.

— Króla!... — powtórzył Jost. — Więc człowiek, który był u mnie dziś w nocy...

Nie dokończył zdania, przerażony własną myślą.

— Człowiek, który był u ciebie... przecież nie król? — zaśmiał się margrabia nerwowo.

— Nie. To nie był król... Poznałbym go! Ale mógł być ktoś, przez niego przysłany, gdyż mówił wiele o zamiarach króla, dotyczących ciebie i Perousse'a, o mnie także pośrednio. Teraz ty się dziwisz, margrabio. Strzeż się, bo jeśli nieznajomy nie był twoim zaufanym, musiał być królewskim szpiegiem. A w takim razie jesteśmy zgubieni!

Margrabia przebiegał pokój wielkimi krokami, usiłując zapanować nad wzburzeniem, aby go nie okazać człowiekowi, którego zaliczał do swoich podwładnych.

— Pierścień był twój! — zapewniał go Jost z przekonaniem. — Dobrze mu się przypatrzyłem w czasie naszej rozmowy. Nie podobna przypuszczać fałszerstwa.

Pierwszy minister zatrzymał się przed nim.

— Powiedziałeś mu wszystko? — spytał. — Cały plan?

— Wszystko.

— I cóż on na to?

— Że król to wszystko odkrył i chce rozpocząć śledztwo.

— A zatem?

— Ostrzegał mię, abym miał się na baczności, gdyż Karol Perousse upadnie w ciągu kilku tygodni.

— Przez kogo? — dumnie zapytał minister. — Gdyby król osobiście chciał występować w tej sprawie, na mocy konstytucyi byłby zdetronizowany.

— Lud... — zaczął Jost.

— Lud? — powtórzył minister. — Kilku „przewodników“ poprowadzi go, gdzie zechcemy.

— To zależy — zaczął wahająco Dawid. — Jeśli ten nieznajomy mówił prawdę...

— Nie mówił prawdy! My możemy to samo i mówić, i pisać. Kto zabroni? Wracaj do domu i pisz artykuł o miłości kraju!

Wydawca spojrzał na niego z pod oka.

— Cóż zrobimy z tą całą sprawą?

— Tymczasem nic. O drugiej mam być u króla i dowiem się o losach mojego sygne-

tu. Może mu go skradziono albo zamieniono. Jeśli się wygadałeś przed szpiegiem obcego mocarstwa, trzeba będzie zaprzeczyć temu oficyalnie. Oficyalne zaprzeczenie zmazuje wiele rzeczy. Król nie mógł posłać szpiega.

Umilkli obaj, cofając się instynktownie przed dalszą rozmową. Jost odjechał. Lutera wrócił do gabinetu, gdzie młody sekretarz, Eugeniusz Silvano, człowiek ambitny i pełen energii, przedstawił mu między innymi list generała zakonu Jezuitów, wyrażający zdziwienie z powodu odmówienia zakonowi prawa założenia szkoły.

— Nic na to nie pomogę — rzekł margrabia niechętnie. — Ziemia należy do korony, król ma prawo nią rozporządzać.

— Czy tak mam odpowiedzieć? — zapytał sekretarz.

Lutera skinął głową.

— Jest jeszcze druga kwestya — odezwał się z wahaniem Silvano.—Nie zwracasz pan nigdy uwagi na anonimy... gdyby nie to, ośmieliłbym się...

— O czem mówi?

— O mityngu rewolucyonistów, gdzie ma przemawiać jedna z kobiet, Lotys.

Pierwszy minister ruszył ramionami.

— Któż to jest owa Lotys?

— Dokładnie tego nie wiem. W każdym razie ma wpływ, władzę!

— Nad kim? Nad człowiekiem, czy nad ludźmi?

— Nad połową ludności — odparł spokojnie Silvano.

— Prowadzisz statystykę zwolenników tej lady? A może się do nich zaliczasz?

— Gdyby tak było, — odparł spokojnie Silvano — nie byłbym tutaj. Wiem, ja mówi i co mówi; uważam też za niewłaściwe lekceważenie tej osobistości.

— Więc o tem zawiadamia nas anonim? — spytał minister szorstko.

— Nie — rzekł sekretarz podając mu papier, na którym znajdowało się kilka wyrazów.

„Do margrabi Lutera, Pierwszego Ministra. Wiedz o tem, że upadek twój postanowiony przez tych, do których Lotys przemówi w sobotę.“

— Nieodwołalnie! — zaśmiał się minister. — Postanowić, moje dzieci, co innego, a wykonać rzecz całkiem inna. Przemawiaj, Lotys, co ci serce każe, zrób sobie tę przyjemność! Dziwię się tylko, że człowiek z twoją inteligencyą, panie Silvano, przywiązuje znaczenie do mityngu rewolucyonistów. Przecież takie zebrania miewamy codziennie.

Przed kilku dniami policya musiała rozpraszać tłum, zebrany przed katedrą dokoła tego fanatyka, Thorda. To może i ciekawe, lecz nie niebezpieczne.

Sekretarz bez odpowiedzi przeszedł do spraw następnych, unikając wyrażania swych przekonań.

Kilka minut przed drugą margrabia siadł do powozu i udał się do pałacu królewskiego. Tu powiedziano mu jednak, że król w tronowej sali przyjmuje pół-oficyalnie ambasadorów i gości cudzoziemskich. Przed pałacem grała muzyka, powiewały flagi, mieniły się różnobarwne stroje i liberye, panowała atmosfera przepychu i wesołości. Lutera jednak miał dziwne wrażenie czegoś tajemniczego i przykrego, co krążyło ponad nim, poprzedzało go ciągle i oczekiwało za każdemi drzwiami, na każdym skręcie korytarza. Czytał jakieś złe wieści w oczach spotkanych osób, nie śmiał o nic zapytać, bał się własnego głosu. Ale szedł naprzód śmiało, wyprostowany i dumny na pozór.

W przedpokoju sali tronowej spotkał księcia Humberta, rozmawiającego z doktorem von Glauben.

Książę Humbert był niezwykle podniecony, twarz mu pałała, oczy świeciły gorączkowym blaskiem, a na widok ministra pod-

biegł ku niemu pierwszy, jak gdyby chciał uprzedzić powitanie.

— Masz pan interes do króla, margrabio? — pytał z nerwowym śmiechem. — Jeśli tak, musisz czekać, jak ja, na swą kolej!

Lutera podniósł brwi bardzo wysoko i z przymuszonym uśmiechem szepnął coś o sprawach państwa, które nie cierpią zwłoki. Następnie ścisnął rękę Glaubenowi.

— Dla mnie to zupełnie nowe doświadczenie — mówił tymczasem książę. — Nie należy do przyjemności czekać na przyjęcie u króla, jak zwykły interesant. Ha, trudno! zmarnowałem tutaj już godzinę. I von Glauben los mój podziela. Nie pozwolono mu nawet dziś rano dowiedzieć się o zdrowie króla.

Lutera odpowiedział jedynie uśmiechem. Instynktownie wystrzegał się słów i rozmowy.

Książę zaś prawił dalej:

— I monarchowie mają humor zmienny. Nic dziwnego. Choć nie uznaję za słuszne, aby tylu ludzi zależało od jednego...

— Nie powiesz tego, książę, skoro zostaniesz królem — zauważył Lutera.

— Do tego bardzo daleko. Mam nawet nadzieję, że to nigdy nie nastąpi. Wolałbym być najuboższym rolnikiem, uprawiającym

swoją ziemię, niż dźwigać ciężar obowiązków, przywiązanych do stanowiska monarchy.

— Tylko — dodał von Glauben — nie wziąłeś książę pod uwagę, czy wieśniak, uprawiający swoje pole, uważa się za szczęśliwego. Co do mnie, studyowałem go gruntownie i spotykałem tylko niezadowolonych, źle odżywianych, a stąd nie posiadających potrzebnego zasobu sił i zdrowia.

— Nikt nie jest zadowolony ze swego losu, to stara prawda — zaśmiał się wesoło książę.—Ja tylko stanowię wyjątek.

— I masz, książę, zupełną słuszność — rzekł z ukłonem Lutera.

— Mam słuszność większą, niż się panu zdaje! — mówił z błyskiem w spojrzeniu.

Zbudziło to ciekawość ministra, który nie przywiązywał dotąd wagi do słów następcy tronu, uważając go za młodzieńca bez znaczenia, a obecnie wejście Rogera de Launay przerwało dalszą rozmowę.

Książę Humbert zwrócił się żywo do niego.

— Czy jeszcze mam czekać? — spytał z odcieniem dumy.

— Życzenie pańskie widzenia się z królem powtórzyłem natychmiast — rzekł Roger. — Zwłoka nie pochodzi z mojej winy.

Stosuję się do rozkazów Jego Królewskiej Mości.

— W takim razie muszę być jeszcze cierpliwym. Czy twój interes trwać będzie długo, margrabio?

— Postaram się skrócić go, ile możności — odparł mu pierwszy minister, oddalając się za Rogerem.

Było mu jednak dziwnie nieprzyjemnie wejść do tronowej sali. Po drodze nie miał czasu zamienić ani słowa z koniuszym; przechodząc pośród szeregu urzędników i dostojników państwa, czuł, że nie ma zwykłej siły panowania nad sobą, że na nim robi wrażenie nawet uniform królewski, obecność obcych posłów, dyplomatów i całe świetne zgromadzenie, wśród którego zajmował przecież wybitne stanowisko.

Na widok pierwszego ministra, monarcha z łaskawym uśmiechem zwrócił się do niego i podał mu rękę, na której wzrok Lutery odnalazł natychmiast swój własny sygnet.

— Szkoda, że się spóźniłeś o kilka minut, margrabio. Byłbyś spotkał Perousse'a, który ma pomówić z tobą o bardzo ważnych sprawach. Powinieneś i ty wiedzieć, — dodał ciszej, odsuwając się nieco na stronę—że na jego propozycyę odpowiedziałem *veto*. Jutro

zwołacie Radę Ministrów... albo pojutrze... kiedy chcecie zresztą.

Lutera milczał chwilę, gryząc ze wściekłości wargi, ażeby nie wybuchnąć w sposób niewłaściwy.

— Sir!... Wasza Królewska Mość!... Wybacz, sir, ale przecież sam wiesz o tem, że według naszej konstytucyi, rzecz, postanowiona przez ministrów, nie może być zmieniona przez króla.

Twarz monarchy rozjaśnił spokojny i poważny uśmiech.

— „Nie może“ — to słaby wyraz. Niema go już w moim słowniku. Wprawdzie od wieków żaden król nie zmieniał rzeczy postanowionej przez ministrów... I tak weszło to w zwyczaj. Gdyby się jednak okazało, że polityka ministrów jest błędna, korzystna dla nich, ale szkodliwa dla kraju, wówczas król nietylko ma prawo położyć *veto*, lecz jest to jego obowiązkiem, i nie spełniając go, sam popełnia zbrodnię.

Lutera stał blady, ze wzrokiem szklanym, który unikał spojrzenia monarchy, i milczał.

— Królewskie *veto* prowadzi do detronizacyi — ciągnął król dalej. — Lecz chociażby tak było, nie cofnę się wcale. Powiem, co myślę, i niechaj lud sądzi. Rzad-

ko mu się zdarza słyszeć monarchę, przemawiającego w ważnych sprawach, usłyszy mię jednak, jeśli tego będzie potrzeba.

Pierwszy minister suchemi ustami usiłował wyjąkać słów kilka.

— Wasza Królewska Mość naraża się... — zaczął.

— Na posądzenie, że mam własny rozum — dokończył król wesoło. — To mnie nie zraża bynajmniej. Pozwól przytem, margrabio, że ci zwrócę twój cenny klejnot — dodał, zdejmując z palca pożyczony pierścień. — Prześliczny kamień! Można go zazdrościć.

— Wasza Królewska Mość powiększyłeś jego wartość przez łaskawe korzystanie z niego — rzekł Lutera, odzyskując trochę stanowczości w celu zbadania tajemnicy, na której mu tak wiele zależało.—Czy mogę zapytać?

— O co chcesz, margrabio — rzekł król z uśmiechem. — Pytaj, proszę.

— Jedno pytanie: Miałem zeszłej nocy przykry sen o tym pierścieniu.

— Ach! — zaśmiał się król. — Śniło ci się zapewne, że wpadł w morze, kiedy płynąłem na Wyspę?

Żartował dobrotliwie, i Lutera nabrał odwagi.

— Nie — odparł. — Śniło mi się, że

ci go skradziono, i szpieg nieprawnie go spożytkował.

Dziwny wyraz przemknął po twarzy królewskiej: błysk wewnętrznego światła, który ją rozjaśnił uśmiechem zadowolenia i tryumfu. Poważnym i znaczącym gestem położył rękę na ramieniu ministra i przycisnął je lekko.

— Sen należy zawsze tłómaczyć przeciwnie, margrabio! Zapewniam cię i daję ci słowo królewskie i słowo dżentlmena, że od chwili, kiedy go wziąłem od ciebie, aż do tej chwili—*pierścień ten nie opuszczał mego palca.*

XV.

Przyjęcie królewskie skończyło się wkrótce. Wielu gości dnia tego zwróciło uwagę na niezwykle dobre usposobienie monarchy i zdenerwowanie pierwszego ministra, a sir Walter Langton, który dziś żegnał się z królem, i po raz pierwszy widział margrabiego Luterę, doznał niemiłego wrażenia. Nie zatarła go wcale krótka rozmowa z ministrem.

— W pańskim kraju przynajmniej niema miejsca na autokracyę — mówił margra-

bia z jakąś ukrytą goryczą. — Rząd jest szczerze republikański.

— Myślę, iż dzisiaj wszędzie jest rząd taki — odparł Langton spokojnie. — Jest to kwestya czasu, postępu i dojrzałości narodów.

— Zgadzam się z panem! — zawołał Lutera.

— Zapewne — rzekł sir Walter. — Co do mnie jednak osobiście, przyznać muszę, iż nie byłbym od tego, aby jaki Cromwell zjawił się znowu i dał nam rząd silny, zniósł wszelkie nadużycia i oczyścił zgromadzenie narodowe. Dla dobra kraju szkoda, że nie mamy takiego człowieka, jakim jest choćby wasz Sergiusz Thord naprzykład.

— Sergiusz Thord? — powtórzył minister z nieukrywanem zdumieniem. — Ależ to prosty fanatyk!

— Cromwell był także tylko fanatykiem — zauważył sir Walter.

— Więc pan rzeczywiście przypuszczasz, że Thord ma tutaj wpływ i znaczenie? W takim razie muszę wyprowadzić pana z błędu.

— Sądzę, że się nie mylę — rzekł Anglik spokojnie.—Książki Thorda rozchodzą się pośród ludu tysiącami, mowy jego drukują zagraniczne pisma, słowem: to człowiek znany.

Bardzo pragnąłem go poznać i nie miałem sposobności. Wierzę, iż jest niepospolity, ale we własnym kraju nikt nie może być prorokiem.

Właśnie w tej chwili król zbliżył się do nich, i rozmowa się urwała. Król z uprzejmym uśmiechem zwrócił się do ministra:

— Zapomniałem, że mam do pana jeszcze jedną prośbę.

— Prośba twoja, sir, jest rozkazem — odparł Lutera z obłudnym uśmiechem.

— I tak bywa niekiedy — rzekł król z całym spokojem. — Otrzymałem tomik poezyi, napisanych przez Pawła Zouche'a. Jest to talent, który zasługuje na zachętę, i sto sztuk złota rocznie nie będzie za wiele za sto pięknych utworów. Zechcesz pomyśleć o tem?

Minister skłonił się potwierdzająco.

— Nigdy o tym człowieku nie słyszałem — zauważył jednak z wahaniem.

— Bardzo być może — rzekł król z uśmiechem. — Kiedyż minister ma czas na czytanie poezyi?

— Poznam go sam niezwłocznie—rzekł Lutera — i oznajmię o łaskawych zamiarach monarchy.

— Być może, iż nie przyjmie tego daru — ciągnął król dalej. — Poeci niekiedy

bywają dumniejszymi od pierwszych ministrów.

Z lekkiem skinieniem głowy król cofnął się, uprowadzając Langtona.

Margrabia Lutera mógł wrócić do domu z wieściami, które wstrząsnęły go do gruntu. Co do zamiaru wojny, król położył *veto*, a szpieg nieznany, za pomocą podrobionego sygnetu, stał się panem tajemnic polityczno-finansowej treści, które poważnie kompromitowały kilku członków ministeryum. Było to źródło, z którego mógł wypłynąć cały szereg nieszczęść.

Dopiero około trzeciej król znalazł się w swoich prywatnych pokojach i polecił Rogerowi zawiadomić księcia Humberta, że gotów jest go przyjąć.

Roger de Launay zawahał się chwilę. Król z uśmiechem spojrzał na niego.

— Myślisz, iż rzeczy idą zbyt pośpiesznie? — spytał. — Co do mnie, jestem przeciwnego zdania. Życie teraz dopiero zaczyna nabierać dla mnie wartości. Odmłodniałem o lat dwadzieścia na widok pięknej Gloryi. Musimy się zająć jej mężem i otworzyć tej perle morza drogę i wstęp do dworu.

— Właśnie w tej kwestyi von Glauben chciał dzisiaj mówić od rana z Waszą Królewską Mością — wtrącił de Launay. — Żą-

dałeś, królu, aby ci wyjaśnił swój stosunek z piękną dziewczyną. Jest gotów to uczynić, ale ty i książę tamujecie jego zamiary.

Król zapalił cygaro i usiadł w fotelu przy oknie.

— Humbert zapewne więcej wie w tej sprawie od profesora — rzekł spokojnie. — Wysłuchamy ich obu. Humbert niech przyjdzie pierwszy.

Sir Roger wyszedł, i w kilka chwil potem książę stanął przed ojcem, oczekując pierwszego słowa.

Lecz król palił cygaro i patrzał na syna, któremu wreszcie zbrakło cierpliwości.

— Przyszedłem, sir, — rzekł, pomijając ceremonię — aby oszczędzić niesłusznych wyrzutów doktorowi, który na nie nie zasługuje. Oskarżyłeś go wczoraj o zdradę zaufania, lecz nie zawiódł ani twego, ani mego. Ja tylko zasługuję na naganę.

— Z powodu? — spytał spokojnie monarcha.

Książę Humbert zaczerwienił się gwałtownie, potem zbladł bardzo, w oczach zamigotały mu płomienie; widocznie z trudem usiłował zapanować nad sobą.

— Żądasz, ojcze, ażebym mówił jasno i otwarcie... choć zapewne wiesz już, co myślę i co ci mogę powiedzieć. Słowem... sam

jestem winien. To jest, ja jestem winien, że von Glauben... że wczoraj... wszystkiemu, co ci się dziwnem wydawało w postępowaniu Glaubena na Wyspie.

Wesoły uśmiech rozjaśnił poważną twarz króla.

— Nic nie wydaje mi się w tem tak dziwnem, Humbercie, — rzekł łagodnie — oprócz tego jednego, że spotkałem Glaubena obok tej młodej kobiety. Kobieta bardzo piękna i mogłaby być czemś więcej, niż żoną prostego majtka. Nie rozumiem też obok niej roli doktora, chyba... chyba... że, jak przypuszczam, jest tam twoim pośrednikiem, kusząc tytułem księcia żonę biednego człowieka. Ja tego zresztą nie wiem i nie twierdzę... Ja nic nie wiem. Wyciągam tylko wnioski z tego, co widziałem. Ty bywasz często na Wyspie, chociaż — jak René Ronsard utrzymuje — nikt cię tam nie zna i nikt cię nie widział; znają tylko twój statek. Przyznaję, że to właśnie bardzo mię zaciekawiło. Bo ludzi twoich znają, zwłaszcza męża pięknej dziewczyny... Śliczne ma imię i bardzo dla niej odpowiednie... Nie mogę przecież wierzyć, abyś jej nie widział, bywając tak często na Wyspie, tembardziej, że jej mąż służy na twoim jachcie. Pytałem jej, jak się nazywa, lecz nie chciała mi powiedzieć. Nie

obwiniam cię o miłostki, gdyż może jesteś zupełnie niewinny, lecz w twem postępowaniu jest coś podejrzanego, i chciałem ci przypomnieć, iż w rzeczach honoru zarówno książę, jak każdy inny, powinien unikać pobłażania sobie.

— Najzupełniej, sir, zgadzam się z tobą — rzekł książę z przekonaniem.—I w tym razie, jak zawsze, honor jest dla mnie pierwszy. Dlatego też — Glorya jest moją żoną.

— Twoją żoną! Jesteś szalony, Humbercie! Ty — książę, następca tronu—zaślubiłeś ją?

Zdawał się wyższym, gdy mówił te słowa; oczy błyszczały mu gniewem.

— Tak—odparł książę śmiało.—Kocham ją. Dałem jej jedyną tarczę, jaką miłość kobiecie w tem życiu dać może! Zaślubiłem ją pod naszem rodowem nazwiskiem, którego nie zna ani ona, ani ubodzy ludzie, zamieszkujący Wyspę. Lecz zaślubiłem ją prawnie i według wszelkich przepisów kościoła. Jedyną krzywdę, jaką wyrządzić jej musiałem, było ukrycie przed nią mego stanowiska. W tem jednem musiałem ją oszukać. Gdyby wiedziała prawdę, nie byłaby została moją żoną. Teraz jest moją, i dla niej gotów jestem wyrzec się tronu i ustąpić go Rupertowi. Błagam cię, ojcze, pozwól! Pozwól mi

żyć własnem życiem, życiem miłości, wolności i szczęścia!

Król stał wyprostowany, sztywny, ze spuszczonemi oczyma i spalonemi wargami. Dawno zapomniane myśli i wspomnienia zbudziły się nagle z niezwykłą potęgą i stanęły przed nim, jak żywe.

Jak to?... po tylu latach duch jego pierwszej miłości, duch nieszczęsnej samobójczyni, wstał mścić się na synu jego! Porównanie własnej istoty dziś i w tych dniach młodości przeniknęło go ostrym bólem. Wówczas tak mocno wierzył w miłość i jej dary, jak prawdziwy poeta. A gdy stracił tę wiarę, gdy skonały w nim te wzruszenia, które podnosiły mu ducha ku Bogu, jakże nędznem, gorzkiem i nudnem stało się jego życie! Silny prąd wspomnień wstrząsnął jego nerwy, i zaledwie najwyższym wysiłkiem zdołał tyle zapanować nad sobą, że podniósł oczy i spojrzał znów śmiało w twarz syna.

— Twoje wyznanie, Humbercie, jest dla mnie smutną niespodzianką — rzekł ze sztucznym spokojem. — Postąpiłeś w najwyższym stopniu nierozważnie. Wobec mnie nie miałeś prawa tak postąpić, gdyż jestem nietylko ojcem twoim, lecz i królem. Zawiodłeś zaufanie narodu i niewinnej dziewczyny. Nie będę tu rozprawiał o legalności twojego mał-

żeństwa; o tem niema co mówić. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, aby uczynić je takiem, nie wiedząc, że te rzeczy nie są w twojej mocy. Powinieneś wiedzieć, że podobny związek może być tylko morganatyczny, a następstwem twego szaleństwa będzie małżeństwo legalne, zawarte w jak najkrótszym czasie, prawdopodobnie za rok, z chwilą dojścia twego do pełnoletności.

Mówił spokojnie, zimno, choć serce biło mu nierówno i ściskało się wielkim bólem, a niewinna twarz Gloryi unosiła się gdzieś w przestrzeni. Zaczął przypuszczać, że napotka w synu niespodziewany opór i stanowczość w połączeniu z siłą woli, odziedziczoną po matce. Młodzieniec słuchał go blady, spokojny, a gdy król skończył, odezwał się wreszcie tonem zimnym, mierzonym:

— Nie chcę przypominać ci, sir, że dni przemocy i gwałtu minęły, i że ty nawet nie możesz mię zmusić do bigamii wbrew mojej woli.

— Bigamii! — surowo powtórzył monarcha. — Któż tutaj mówi o bigamii?

— Ty mówisz, sir. Zaślubiłem kobietę piękną i niewinną, jest moją prawą żoną wobec Boga i ludzi, a ty mi proponujesz drugą żonę. Nie myślę się usprawiedliwiać z zaślubienia Gloryi. Mojem zdaniem, jest to za-

szczyt większy dla mnie, niż dla niej. Oddała mi swoje życie, młodość, miłość, zaufanie, i wszystko, co mam i czem jestem, należy odtąd do niej. Jestem zdecydowany w razie ostatecznym odwołać się do praw krajowych, a jeśli one tolerują zbrodnie, które moje sumienie potępia, wtedy odwołam się do ludu!

— Doprawdy? — zapytał król z błyskiem w spojrzeniu, w którem był podziw dla śmiałości syna. — Ale przypuść, że ludu nie rozczuli romantyczna strona tej sprawy?

— Wtedy się zrzeknę mej narodowości— rzekł książę zimno. — Nie chcę być synem kraju, który uprawnia krzywdę i bezprawie. Co zaś do tronu, jestem zdecydowany zupełnie zrzec się go na korzyść brata.

Nastąpiła chwila milczenia. Król przechadzał się zwolna po pokoju, wreszcie stanął przed synem i spojrzał na niego łagodniej.

— Jesteś, Humbercie, bardzo zakochany, — rzekł dobrotliwie — i nie chciałbym w tej kwestyi być dla ciebie zanadto surowym. Piękność dziewczyny, którą nazywasz żoną...

— Która jest moją żoną — przerwał stanowczo książę.

— Bardzo pięknie! Więc: która jest twoją żoną — obecnie. Chciałbym ci dać

czas — dosyć czasu — do zastanowienia się nad położeniem.

— Zastanowiłem się nad niem zupełnie.

— Niewątpliwie! W twojem przekonaniu zastanowiłeś się nad niem dostatecznie. Lecz jeżeli ty więcej myśleć o tem nie chcesz, pozwólże mnie, który żyłem trochę dłużej i byłem młody... i kochałem niegdyś... i miałem także swoje marzenia o szczęściu... pozwólże mnie, Humbercie, że dam ci dzisiaj jedną radę: Jedź za granicę. Podróżuj rok po całym świecie.

Książę milczał, nie spuszczał jednak wzroku i badał spojrzenie ojca. Zdawał się namyślać trzeźwo, spokojnie, chłodno, z całem panowaniem nad sobą.

— Nie mam nic przeciw temu — rzekł nakoniec. — Rok prędko minie.

— Naturalnie — potwierdził król z uczuciem ulgi. — A po upływie tego czasu...

— Będzie to, co jest dzisiaj — dokończył młodzieniec spokojnie. — Glorya będzie moją żoną, a ja jej mężem.

— Cokolwiek nastąpi, — zauważył król niechętnie — nie może się nazywać następczynią tronu.

— Tej godności nie pozazdrościmy oboje Rupertowi.

— Mówisz, jak waryat! — zawołał król

zniecierpliwiony. — Nie możesz zrzec się tronu, nie podając słusznej przyczyny, a nie możesz podać przyczyny, nie przyznając się do małżeństwa.

— Właśnie też, chcę to zrobić! — zawołał młodzieniec z zapałem. — Nie mam zamiaru ukrywać małżeństwa, które jest moją dumą i radością. Dlaczego miałbym je ukrywać?

— Zapominasz, — rzekł król powoli i z naciskiem — że obok innych błędów oszukałeś to dziewczę. Skoro się dowie, że nie jesteś majtkiem, ale następcą tronu, kto wie, co powie sama? Może cię znienawidzi za tę zdradę tak silnie, jak dziś kocha.

Cień osiadł na twarzy księcia, lecz odzyskał wkrótce pogodę.

— Nie może mię znienawidzieć, — rzekł spokojnie — gdyż powiem jej prawdę wtedy, gdy dla niej zrzeknę się tego wszystkiego, co się nazywa mojem stanowiskiem.

— A może ona zrzec ci się tego nie pozwoli? — rzekł król poważnie. — Może być równie nieegoistyczną, jak jest piękną.

— Krzywdzisz sam siebie, królu, takiem przypuszczeniem — przerwał książę z godnością. — Jako jej mąż i opiekun, mam prawo do jej posłuszeństwa. Moje życzenie jest dla niej prawem.

Król zaśmiał się głośno przymuszonym śmiechem.

— Znalazłeś cud, Humbercie — rzekł wesoło: — kobietę, która ulega i słucha! Nie mówmy już o tem. Popełniłeś olbrzymie głupstwo, lecz małżeństwo twoje jest i musi pozostać tylko morganatycznem. A skoro państwo uzna inny związek dla ciebie za odpowiedni i właściwy, musisz uledz prawom kraju i woli narodu, albo wyrzec się tronu.

— Prawom mojego kraju gotów jestem ulegać zawsze, — odparł książę — byle nie wymagały ode mnie bigamii. Znam monarchów, którzy popełnili ten występek, lecz nie wola narodu skłoniła ich do tego. Przeciwnie, jestem przekonany, iż gdyby odwołali się do niej, żaden lud nie wyraziłby podobnego życzenia.

— Chodzi ci tylko o wyraz, którym się osłaniasz — rzekł monarcha z widocznem podrażnieniem. — Małżeństwo morganatyczne a bigamia to dwie rzeczy zupełnie różne.

— Dowiedź mi tego, ojcze! — przeczył śmiało książę. — Bigamią nazywamy zawarcie nowego małżeństwa, jeśli jedno z małżonków żyje. Występek ten bywa surowo karany. Dlaczegóż wyjątkowo osłaniają go tytułem i prawami morganatycznego związku?

Król zaśmiał się znowu przykrym, nieszczerym śmiechem.

— Zaczynasz filozofować, mój chłopcze! — mówił, lecz jednocześnie przypomniały mu się własne dysputy w dniach młodości ze swymi przewodnikami. — Nie do mnie należy rozwiązywanie tych kwestyi; żądaj odpowiedzi od tych, którzy obowiązki króla względem kraju stawiają na pierwszem miejscu, przedewszystkiem. Mnie nic zarzucić nie możesz pod tym względem: żeniłem się raz tylko.

Syn spojrzał na niego tym badawczym wzrokiem, który porusza najsilniejsze nerwy i odsłania tajemnice, najgłębiej ukryte. Lecz król nie spuścił wzroku.

— Chcesz powiedzieć, Humbercie,—rzekł spokojnie — że moje małżeństwo w innych było zawarte warunkach. To jest zupełną prawdą. Jeśli kobieta zdaje się na naszą wolę bez zastrzeżeń, honor i sumienie rządzi naszem postępowaniem, lecz jeżeli przeciwnie, okazuje nam tylko wstręt i obojętność, nie możemy liczyć się z nią zbyt skrupulatnie. Tak było ze mną. Do pewnego stopnia, jest to nawet wygodne, Ale do czasu. Zestarzałem się dzisiaj — wziął cygaro i zapalał je uważnie, potem pociągnął mocno.— Zestarzałem się, mówię... — zaczął zno-

znowu — i nie spotkałem tego, co nazywają miłością. Ty zdobyłeś ten skarb, Humbercie. Nie pragnę ci go wydzierać. Naciesz się tem marzeniem, ale — radziłbym ci szczerze, zdecyduj się na długą podróż. Sam się przekonasz, czy to rozłączenie nie spowoduje zmiany w niej lub w tobie.

I dodał po chwili milczenia:

— Czy chcesz mówić z królową?

— Jeśli pozwolisz, sir, zostawię to twemu uznaniu. Tam nie mogę przecież liczyć na współczucie.

— Więc von Glauben jedynie jest wtajemniczony w tę sprawę? — spytał jeszcze monarcha.

— Von Glauben nie miał udziału w mojem małżeństwie, sir — odparł książę. — Powiedziałem mu o niem we trzy miesiące po ślubie. Był bardzo zaniepokojony i zmartwiony, lecz skoro poznał Gloryę, ucieszył się bardzo.

— Ucieszył się? — powtórzył monarcha ze zdziwieniem. — A z jakiegoż powodu?

— Zdaje się, że nauka była tego przyczyną, gdyż wyraził zdanie, że lepiej, nawet dla księcia, zaślubił zdrową i piękną dziewczynę, niż córkę stu pokoleń skrofulicznych.

— Trochę za wiele!—zawołał król z oburzeniem.

— Dlaczego? Przecież to prawda. Czyż myśląc o tylu innych względach, zwraca kto na to uwagę? Widziałeś, ojcze, Gloryę. Czy znasz piękniejszą od niej? Opowiadał mi doktor, że byłeś poprostu olśniony.

— Głupiec — mruknął król z rozdrażnieniem.

— Znasz także jej historyę?

— Naturalnie. Jest rozbitkiem, wyrzuconym przez morze, niewiadomych rodziców i pochodzenia, a ty, w szalonem zaślepieniu, chcesz zrobić z niej następczynię tronu i królową!

Humbert podniósł głowę wysoko.

— Jest piękna, prosta, czysta i niezepsuta. Nie zna świata i jego występków, ale zna drogi Boże i głos Jego słyszy. Jest zdrową, silną, szczerą i prawą naturą, a więc godniejszą tronu od wielu księżniczek. Szczęśliwym byłby naród, gdyby miał taką królową.

— Jesteś zakochany, Humbercie, — powtórzył król — i trudno dziś dysputować z tobą. Oboje jesteście młodzi, ufni i szczęśliwi; żyjecie w świecie marzeń. To nie życie. Nie mówmy o tem więcej. Powiedziałeś, że się zgadzasz wyjechać, więc oznacz termin, a rozpocznę odpowiednie przygotowania. Muszę ci wybrać towarzyszów

podróży. Myślałem o profesorze, ale jest mi teraz potrzebny. Wyjazd twój, naturalnie, musi być jawny i głośny; o prawdziwej przyczynie nikt wiedzieć nie potrzebuje. Wytłómaczę to królowej, a jutro może mi powiesz, kiedy zdecydowałeś się wyjechać.

Książę skłonił się ojcu w milczeniu i zamierzał opuścić pokój, kiedy król wezwał go znowu.

— Nie prosiłeś mię nawet o przebaczenie, Humbercie — rzekł z łagodnym wyrzutem.

Młodzieniec przygryzł usta i zaczerwienił się gwałtownie.

— Nie mogę prosić o przebaczenie za to, czego za złe nie poczytuję — rzekł spokojnie. — Zaślubiłem kobietę, którą kocham, i chcę pozostać jej wiernym. Twoje małżeństwo, ojcze, było bez miłości, i sądzę, że sam zgadzasz się w tem ze mną, iż skutki jego są mniej więcej smutne. Jeśli cię obraziłem, proszę o przebaczenie, lecz pragnąłbym zrozumieć, w czem leży obraza. Przecież wolisz zapewne, że jestem człowiekiem honoru, niż podłym uwodzicielem?

Król zsunął brwi surowo.

— Dosyć — rzekł. — Możesz odejść.

Drzwi zamknęły się za Humbertem; król został sam w pokoju. Błyszczącym wzro-

kiem patrzał na błękitne morze, na kwiatowe kobierce, rozesłane przed nim, i utonął w zadumie. Tak jest, życie dla niego przestało być monotonnem; dostrzegł w niem nagle całkiem nowe drogi i nieznane krajobrazy. Małżeństwo syna było niezwykłem zdarzeniem i trudną do rozwikłania zagadką, a jednak, korzystając z własnego doświadczenia, nie chciał szarpać, ani rozcinać tego węzła, lecz pozostawić rzeczy bardziej naturalnemu biegowi.

— Co do miłości, — szepnął z goryczą i smutkiem — nie bywa ona trwała; zaspokojona mija, a potem obustronna zgoda łatwo doprowadzić może do wszystkiego. Niech chłopiec podróżuje rok po świecie, a zapomni o tej ślicznej twarzy, która go oczarowała. Że śliczna jest, trudno zaprzeczyć. Możnaby mniemać, że ma śliczną duszę.

— Tak. Niech zobaczy życie, nowe światy, nowe zwyczaje i ludzi. Niech pozna trochę nową filozofię, zamiast zgłębiać Epikteta i Aureliusza, lub poezyę przeszłości. Zapomni tego świata i dziewczyny, która na tem tle wykwitła. A wtedy wszystko się ułoży. Gloryę i starego Ronsarda jakoś pocieszymy. Cóż robić?

XVI.

— Odkryłem tajemnicę powodzenia w życiu, doktorze — rzekł król w kilka godzin później w cienistej alei, gdzie oczekiwał na niego von Glauben. — Trzeba iść tylko śmiało naprzód, nie zważając na tych, których depczemy po drodze.

Von Glauben podejrzliwie spojrzał na monarchę, lecz widząc dobrotliwy wyraz jego twarzy, uspokoił się i rzekł z uśmiechem:

— Niewątpliwie, sir. Jeżeli tylko człowiek ma odwagę iść w ten sposób przez życie, może nawet śmierci spojrzeć w oczy bez strachu.

— Tak, tak, doktorze. Humbert obrał sobie właśnie taką drogę. Żyje się tylko raz, dla siebie. Nie prawdaż?

— Ponieważ mogę teraz mówić zupełnie szczerze, — rzekł nakoniec — muszę powiedzieć, iż w mojem przekonaniu postąpił zupełnie uczciwie. Świat łatwo wybacza książętom nadużycie zaufania niewinnej dziewczyny, lecz surowszy jest wobec małżeństwa. Dlatego powtarzam, książę postąpił uczciwie. Kiedy mi się z tem zwierzył, wpadłem poprostu w rozpacz, choć twierdził bezustannie, że zaślubił anioła. To całe szczęście, powta-

rzałem mu, że rozwody zostały ułatwione, i niebiańska ta istota będzie mogła powrócić do swojej właściwej sfery. Ale nie jest to anioł z gęsiemi skrzydłami, lecz prawdziwa kobieta. Doznałem ulgi, skoro ją poznałem, a od chwili, gdy Wasza Królewska Mość wie o tej sprawie, spadł mi z serca olbrzymi ciężar. Olbrzymi!

Westchnął głęboko i wyprostował swą wysoką, barczystą postać.

Król z uśmiechem położył mu rękę na ramieniu.

— Powiedz mi wszystko, co wiesz o tej sprawie — rzekł łagodnie. — Gdyż dotąd nie znam zupełnie szczegółów, dotyczących małżeństwa mego syna.

— Niewiele powiedzieć mogę — rzekł von Glauben. — Wiedzieliśmy wszyscy o codziennych wycieczkach księcia na Wyspę, lecz nikt się nie domyślał przyczyny. Dla uniknienia wielu ceremonii udawał się tam zwykle w uniformie oficera marynarki, i jako oficer, znany i lubiony był na Wyspie. Zakochał się w pięknej dziewczynie od pierwszego spojrzenia i zaślubił ją w starym parafialnym kościołku na skale, pod którą niegdyś znalazł ją na brzegu jej przybrany ojciec i opiekun.

— I przypuszczasz, że małżeństwo jest legalne? — zapytał król po chwili.

— Najzupełniej, sir. Najformalniejsze wobec prawa i kościoła. Książę mi mówił, iż zaślubił ją pod własnem nazwiskiem, którego nikt na Wyspie nie zna. Jestem pewny, że odkrycie prawdy będzie dla Gloryi prawdziwą tragedyą.

— W jaki sposób ją poznałeś? Opowiedz mi to wszystko. Potrzebuję dokładnie poznać tę całą sprawę. Nie podejrzewam cię o nic złego.

— Spodziewam się, sir, — rzekł von Glauben — gdyż chyba niema na świecie człowieka, któryby wpadł niewinniej w romantyczne sieci. Kiedy książę powiedział mi prawdę, chciałem natychmiast zawiadomić o niej Waszą Królewską Mość, ale niestety, byłem związany słowem, które dałem mu poprzednio. Książę chciał we mnie zyskać przyjaciela dla swojej sprawy i żony na wypadek walki, którą przewidywać musiał. Odpowiedziałem mu wprawdzie, aby nie liczył na to, gdyż mając do wyboru między rybaczką a królem, nie zawaham się pewno.

— Ale potem się zawahałeś?

— Niekoniecznie. Ona nie jest rybaczką, zapewniał mię książę. Więc czemże jest? Aniołem. Możesz być starym przyjacielem

jej młodego męża, a skoro ją zobaczysz, zmienisz zdanie. Byłem zły i z początku nie chciałem jej poznać, lecz rozważyłem później, że to będzie lepiej, gdyż poznam rzeczywiście tę poważną sprawę i prędzej będę mógł udzielić dobrej rady. Więc przeszłej jesieni popłynąłem z nim na Wyspę i zobaczyłem Gloryę. No, i przyznać muszę, że byłem pokonany. Jestem jej wiernym sługą, niemniej przywiązanym do tej księżniczki morza, jak do Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze! — zawołał król. — W takim razie musisz mi pomódz pocieszyć ją w nieobecności Humberta.

Doktor szeroko otworzył oczy i z przerażeniem spojrzał na monarchę.

— W nieobecności, sir? — powtórzył głucho.

— Tak. Wysyłam go za granicę. Zgadza się na to. Jego wyjazd ułatwi wszystko. Dziewczynę zostawimy w zupełnej nieświadomości stanowiska jej męża, który odpłynie z księciem i już nie wróci. Młoda jest, zapomni, pocieszy się łatwo.

Von Glauben milczał.

— Naturalnie, ty nie zdradzisz tajemnicy — ciągnął król dalej. — A nikt więcej

jej nie zna. Ty ją zawiadomisz o wyjeździe męża, a następnie o jego śmierci.

Szli cienistą aleją, wolnym i spokojnym krokiem, tylko von Glauben stał się bardzo blady.

— Sir...—rzekł nakoniec drżącym i niepewnym głosem. — Wybacz, ale tej roli podjąć się nie mogę. Nie mogę dobrowolnie i świadomie łamać młodego życia i młodego serca. Zresztą, czyż doświadczenie własne nie nauczyło cię, panie, że kłamstwem nie dochodzi się do celu? Mówisz, że trzeba iść naprzód śmiało, nie zważając na tych, których depczemy po drodze; lecz czyż droga, wskazana przed chwilą, jest śmiałą i otwartą?

W miarę, jak mówił, głos jego nabierał pewności i stanowczości. Lecz król nie wyglądał na obrażonego.

— Humbert sam obrał drogę kłamstwa i oszukał dziewczynę — zaczął monarcha.

— Do czasu! — przerwał doktor.

— Ach! wszystko jest do czasu. I życie trwa tylko do czasu. Sam wiesz, że to małżeństwo uznanem być nie może. Starałem się to włożyć w głowę Humbertowi, mówiłem mu, iż ten związek może w najlepszym razie pozostać morgantycznym, ale wybuchnął przeciwko bigamii i nie dał sobie nic powiedzieć.

— Miał słuszność — rzekł profesor. — Najrozumniejsi ludzie doszli do przekonania, iż jedna żona powinna wystarczyć człowiekowi.

— Humbert jest zupełnie dziecinny. Niepodobna z nim rozumować, i dlatego go wysyłam za granicę. I ty, kochany doktorze, masz we krwi dużo romantyzmu, dlatego, przy pomocy uwielbienia dla księżniczki morza, sympatyzujesz z nią i całą sprawą. I ja, jako mężczyzna, podziwiam ją i uwielbiam, gdyż jest piękna, nie znam jednak zupełnie jej zalet moralnych, ani umysłowego rozwoju. Zdaje się być rozumną i ma wolę, wszystko to jednak nie zwróci mię z drogi, którą jako król obrać musiałem, bez względu na rodzinne sentymenty. Liczę więc na twoją wierność i przywiązanie, doktorze

— Wasza Królewska Mość raczy wybaczyć mi jeszcze,— rzekł doktor po namyśle— ale w tej sprawie do niczego zobowiązywać się nie mogę. Mogę być tylko wiernym poczuciu sprawiedliwości. Opuściłem kraj własny ze względów sumienia, opuszczę każdy inny, gdy mię głos jego zmusi. W tej sprawie nie brałem dotąd czynnego udziału. Książę prosił mię o tajemnicę, więc milczałem. Ciężar ten zdjęto ze mnie i jestem zadowolony. Nie myślę w niczem sprzeciwiać się

woli Waszej Królewskiej Mości, ale nie mogę mu służyć w tej sprawie, gdyż przysiągłem przyjaźń i wierność niewinnej i ufnej dziewczynie. Znając ją, uważałbym za najlepsze powiedzieć jej całą prawdę, i niechaj wyrokuje sama o swoim losie. Jej sąd będzie napewno sprawiedliwy.

Umilkł. Król szedł z czołem zachmurzonem. Profesor spoglądał na niego z pod oka.

— Jesteś, królu, myślicielem — zaczął znowu — i nie uważasz swego stanowiska za wygodne prawo czynienia źle bezkarnie. Jesteś człowiekiem zdrowym i rozumnym, posłuchaj więc mojej rady i powierz wyrok czystej, niezepsutej kobiecie. Przez jej usta przemówi głos Boga i natury. Poślij po Gloryę, powiedz jej prawdę i z ufnością czekaj, co odpowie.

Król namyślał się dosyć długo.

— Może masz słuszność...—rzekł wreszcie. — Nie mówię, że nie masz słuszności. Pomyślę nad tem. Może to byłoby najprościej. Przedewszystkiem trzeba pomówić z królową. Musi wiedzieć o wszystkiem; jeżeli ją zajmie rzecz tak pozioma, jak miłostka syna, może uzna plan twój za najprostszy. W każdym razie, doktorze, liczę na twoją uczciwość. Tymczasem, proszę cię tylko o dyskrecyę

wobec Humberta. Nie mów z nim o tem małżeństwie, ani o jego wyjeździe, dopóki nie zdecydujemy się na drogę dla wszystkich najmniej bolesną. A teraz w innej kwestyi.

Szli obok siebie, rozmawiając cicho, przez cieniste aleje, wśród kwitnących klombów, malowniczych grup i kwietników. Nakoniec wyszli na otwartą przestrzeń, skąd otwierał się widok na morze. Tutaj ujrzeli nagle w blasku zachodzącego słońca biały żagiel jachtu księcia Humberta, zmierzający ku Wyspie, lekko, niby ptak biały, muskający skrzydłem błękitno-zieloną falę.

XVII.

Dziwnemi nieraz drogami ludzie bez gruntownego wykształcenia dochodzą do wysokiego stanowiska. Podstawą ich wyniesienia bywa niekiedy majątek, ambicya, ukryta pomoc ludzi, którym są potrzebni, brak skrupułów w postępowaniu i kilka łutów szczęścia. Karol Perousse, jeden z najwykwintniejszych polityków w Europie, rozpoczął swoją karyerę jako dostawca żelaza i drzewa. Wykształcenie ukończył w średnich szkołach prowincyonalnych, ale jego ambicya sięgała

wysoko. Wiedział jednak, że podstawą jego dążeń muszą być przedewszystkiem pieniądze, i dlatego z właściwym sobie sprytem i energią rzucił się na różnorodne spekulacye. Należąc do kilkunastu towarzystw akcyjnych, obracał skromnym swoim kapitałem na najzyskowniejszych warsztatach wszystkich części świata i coraz nowe zdobywał stosunki. Wkrótce też zaliczono go słusznie do najbogatszych ludzi w całym kraju.

Jednocześnie zdobył dla swej działalności grunt polityczny, czego zawsze pragnął. Pieniądz otwierał mu tę drogę i dawał wstęp wszędzie, a wrodzona przebiegłość i zdolności finansowe czyniły go wspólnikiem pożądanym dla tych, którzy pragnęli zysku. Nikt nie umiałby wskazać, kiedy i dlaczego stał się prawą ręką Pierwszego Ministra, jego domniemanym następcą i kto wie, czy nie głównym kierownikiem całej polityki kraju.

Powierzchowność tego człowieka nie była wcale ujmująca; można powiedzieć, że sama natura napiętnowała twarz jego wyrazem, który stanowił dokładne odbicie cech jego charakteru. Nie budził też zaufania ani spojrzeniem chytrych, biegających oczu, ani obłudnym uśmiechem. Wysoki jednak, chudy i szerokiej kości, miał w postawie coś wy-

niosłego i pewnego siebie, co imponowało i przenikało obawą.

Rzadko mu się zdarzało w ściśle obliczonych i praktycznych dążeniach swoich spotykać opór, krzyżujący jego plany. Nie budziło to w nim nawet niepokoju, gdyż nie tracił bynajmniej wiary w swoje siły. Powróciwszy też z pałacu królewskiego, niewiele sobie robił z tego, co usłyszał. Veto królewskie bawiło go więcej, niż gniewało.

— Jego Królewska Mość potrzebuje widać odegrać jakąś rolę melodramatyczną — myślał, wygodnie siedząc na fotelu i oczyszczając paznogcie.—W gruncie rzeczy, dziwić mu się niepodobna, że szuka czasem jakiego zajęcia. Przecież to strasznie nudne takie życie! Na jego *veto* poradzimy łatwo, trzeba tylko przygotować opinię publiczną, i zdaje się, że możemy liczyć na powodzenie.

Uśmiechnął się, jak człowiek pewny swego tryumfu, i nawet niespodziewane odwiedziny margrabi Lutery nie zakłóciły mu wcale humoru. Pierwszy Minister wstąpił, wracając od króla, ażeby porozumieć się z kolegą.

— Wyglądasz na znużonego, kochany margrabio — rzekł uprzejmie, podsuwając gościowi krzesło. — Czy rozmowa z królem była trudniejsza niż zwykle?

Lutera spojrzał na niego zdziwiony.

— Nie bawiłem dłużej nad dwadzieścia minut w pałacu, — rzekł krótko — lecz słyszałem od króla, że propozycye nasze są odrzucone.

Perousse uśmiechnął się.

— Tak, powiedziano mi to. Wiele rzeczy mi powiedziano, którym się przecież nie wierzy! Król ma prawo *veto*, lecz nie ośmieli się z niego skorzystać.

— Nie ośmieli się? — powtórzył margrabia. — Sądząc z dzisiejszego zachowania, sądzę, że się ośmieli na wszystko.

— A ja zapewniam pana, że tak nie jest — rzekł Perousse spokojnie. — Chyba że chce stracić koronę. A jeśli już do tego przyjdzie, kto wie, czy nie lepiej będzie z rzecząpospolitą.

Lutera spojrzał na niego z podziwem i uwielbieniem.

— *Pan* mówisz o rzeczypospolitej! — zawołał. — Pan, który zawsze broniłeś monarchii?

— Czemu nie? — odparł Perousse spokojnie. — Jeżeli monarchia nie odpowiada naszym potrzebom, bierzemy taką formę, która jest dogodna. Nie my pierwsi postępujemy tak w historyi.

Margrabia milczał. Nie mógł jeszcze zdać sobie sprawy jasno, czy obawy jego ma-

ją istotną podstawę, czy są bojaźnią dziecka. Odetchnął po chwili i odezwał się znowu:

— Jeżeli sprawy czysto finansowe, w których jesteś pan zaangażowany...

— W których jesteśmy zaangażowani— poprawił Perousse z naciskiem.

— Jeżeli więc te sprawy finansowe — ciągnął minister dalej, poprawiając się na krześle—stałyby się znane ogółowi... gdyby...

— Tak samo powiedzieć można: gdyby tajemnice gabinetu ogłoszone były na rynku! — zauważył Perousse, wzruszając lekko ramionami. — Zupełnie nie mogę zrozumieć, co się z tobą stało, margrabio? skąd te obawy i brak ufności w siebie? Rzecz obmyślona znakomicie, nie zapomnieliśmy o niczem i nikim — o cóż ci chodzi jeszcze?

Lutera się zawahał, a potem rzekł zwolna:

— Sądzę, że pozostała mi dziś jedna droga: podać się do dymisyi.

Karol Perousse uniósł się na krześle, usiłując otworzyć swoje wązkie oczy.

— Podać się do dymisyi! — powtórzył jak echo. — Dlaczego? Na jakiej zasadzie? Pozwól sobie przypomnieć, margrabio, — dodał z nieprzyjemnym uśmiechem — że jeszcze nie jestem gotów zająć twego miejsca!

W sercu Lutery zawrzał gniew stłumiony.

— Nie bądź pan pewnym, że je zajmiesz — rzekł głucho, jakimś syczącym głosem. — Z chwilą, w której król zbada pańskie spekulacye...

— Cóżeś się dziś, margrabio, tak przestraszył króla! — wybuchnął Perousse lekceważąco. — A może idealny patryotyzm zakłócił ci nagle jasny pogląd na rzeczy? Mówisz ciągle o *moich* spekulacyach — czyż nie są one w równej mierze twemi? Zdajmyż sobie krótko sprawę z położenia: od niepamiętnych czasów ministrowie robili interesy na sprawach publicznych; nic nowego, nic niezwykłego, stały porządek rzeczy. Dalej: interesy przynoszą korzyść albo stratę. Straty należy pokryć. W ostatnich czasach ponieśliśmy straty; trzebą wynaleźć źródło na pokrycie. Możliwość wojny nastręcza się sama, przynosi korzyść i nam i krajowi: jest to wymiana ludzi zbywających — na chwałę i zdobycze. Tłum wojnę lubi; cieszy go każde zwycięstwo, w razie potrzeby nie żałuje ofiar. Chodzi przecież o kraj bogaty, w którym obaj mamy znaczne posiadłości, który stanie się naszym bez wielkich wysiłków. Król stawia *veto*, ale posłuchajmy, co naród

powie. Naturalnie opinię trzeba przygotować, uderzyć w patryotyczny bębenek. To dział Josta: niech się bierze do roboty. Taka droga przed nami, nie dymisya. Mnie z niej nie spłoszy królewskie *veto*.

— Czekaj — rzekł margrabia, przysuwając krzesło i głos zniżając. — Na nieszczęście, nie wiesz wszystkiego. Przeciw nam działa jakiś tajemniczy ajent, zdaje się, że szpieg obcy, który przypadkiem zbadał najskrytsze przyczyny naszej polityki. Posłuchaj i sam osądź.

Powtórzył szczegółowo nocną przygodę Josta, kładąc wymowny nacisk na szczegóły, dotyczące jego sygnetu. Perousse, słuchając, pobladł i zaciskał pięście, ale milczał do końca.

— Czy tylko pewna, że król rzeczywiście nie rozstawał się z pańskim pierścieniem?

— Sam mię o tem zapewnił dzisiaj.

— W takim razie ktoś posiada imitacyę — rzekł Perousse ze skupieniem. — Jakie podał nazwisko?

— Pasquin Leroy.

Karol Perousse zanotował imię i nazwisko.

— Cokolwiek Jost powiedział, — rzekł spokojnie — sam tylko za to odpowiedzialnym być może. Żyd zawsze kłamie; tem wo-

jować można i wyprzeć się wszystkiego. Przecież to płatny człowiek.

— Wątpię, czy zgodzi się w tym interesie na rolę kozła ofiarnego — odparł Lutera cicho, lecz stanowczo. — Chyba... chyba, że ta rola byłaby bardzo dla niego zyskowną. Prasę ma w ręku.

— Daj mu tytuł. Żydzi łakomią się na to.

Pierwszy minister uśmiechnął się sarkastycznie.

— Bardzo dla niego odpowiedni prezent. Założyłby pismo w Londynie i zostałby wielkim człowiekiem.

Perousse już nie słuchał, zajęty inną myślą.

— Pasquin Leroy wyjechał do Moskwy?

— Mówił, że wyjeżdża dziś rano.

— To kłamstwo. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby był dotąd w mieście. Muszę dostać od Josta dokładny rysopis i polecić tę osobistość Bernhoffowi.

— Nie zapominaj, — rzekł margrabia z naciskiem — iż powiedział Jostowi, niby przez życzliwość, że król zna doskonale nasze sprawy finansowe. Zapewniał nawet, że z tego powodu mam zamiar prosić o dymisyę.

— Co jest prawdą? — zauważył z goryczą Perousse.

— Miałem i mam ten zamiar — chłodno potwierdził minister; — więc mówił, jakby przenikał moje myśli. Jeśli równie prawdziwem jest to, co mówił o królu — następstwa mogą być bardzo poważne.

— Dlaczego? Cóż to znaczy? Cóż król nam zrobić może, chociażby wiedział nawet...

— Przypuśćmy, że wie dokładnie o kontraktach, jakie zawarłeś pan w swoim majątku, nabytym w kraju, który mamy zdobyć... Przypuśćmy, iż wie, w jakim celu potrzebujemy wojny; iż wie, że rozpocząłeś pan na swoją rękę wyrób broni, której pobrałeś dostawę; że wie...

— Po cóż to wszystko? — przerwał Perousse niecierpliwie. — Chociażby wiedział wszystkie tajemnice, nie zrobi z nich przecież użytku. Pomyślże sam, margrabio: tajemnice stanu! Takie rzeczy z samej natury nie nadają się wcale na pokarm dla ciekawości publicznej. Wie, czy nie wie, iść z nami musi.

Wstał z krzesła podniecony i szerokim krokiem zaczął się przechadzać po pokoju.

— Kiedy mi dziś powiedział, — zaczął znowu — że położy *veto* na naszym projekcie, przyjąłem to spokojnie i w milczeniu. Zau-

ważyłem tylko, iż w senacie trzeba będzie podać motywy. Nie zaprzeczył, lecz dodał, że je sam przedstawi. Wtedy zrobiłem uwagę, że jest to niemożliwe.

— I cóż panu odpowiedział?

— Przytoczę jego słowa: „Było niemożliwem dotąd, ale od dzisiaj stanie się możliwem.“

— A widzisz pan!

— Cóż widzę? Frazes. Nowy kaprys, który minie z nowym wiatrem. Przekona się wkrótce, że inaczej być nie może i ustąpi. Tak samo, jak z Jezuitami.

— Tego nie rozumiem, co nam na nich zależy?

— Z nieprzyjacielem silnym lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces. Jost skorzysta na tem, że będzie śpiewał hymny na podaną nutę, i dla nas może otworzy się droga, gdzie inaczej byłoby trudno trafić. Błogosławieństwo świętych przyda się bardzo podczas wojny.

Zaśmiał się nieprzyjemnym, sarkastycznym śmiechem.

— Odmowa króla jest stanowcza—rzekł Lutera. — Już w tej sprawie nie zapytał nas o zdanie.

— To był pierwszy błąd, który wskazał mu fałszywą drogę. Ale pozna, że zbłądził.

W gruncie rzeczy wszystko to burza w szklance wody. Nawet ten szpieg i sygnet podrobiony wydaje mi się dziwnie fantastyczne, prawdziwie wykrojone z sensacyjnej powieści na łokcie. Tak, to ciekawe, interesujące i bardzo tajemnicze, ale się taką farsą zanadto przejmujesz, margrabio.

— Chodzi mi o nazwisko. Mam rodzinę. Tu zarówno opinia męża stanu, jak osobisty mój honor jest w niebezpieczeństwie. Miałem zawsze nadzieję przed sądem historyi stanąć z chlubną pamięcią. Chcę, aby moje dzieci i prawnuki mogli być ze mnie dumni.

Perousse patrzał na niego z szyderstwem.

— Faktem jest jednak, i niezaprzeczonym, — zaczął swobodnie — że dziś potomkowie niewiele dbają o pamięć praojców. Możnaby nawet dowieść, że wolą o nich zapominać, i to jak można najszybcej. Czyż prawnuki — dajmy na to—Robespierre'a troszczą się o jego pamięć? Albo Wellingtona, Byrona, Beethovena? Co za szczęście, że taki Szekspir nie zostawił wcale potomków! Jest to cechą wieku pary i postępu, że synowie tak łatwo zapominają ojców, jak gdyby nie mieli ich wcale. Przypuszczam też, margrabio, iż pomimo wszystko i ty nie unikniesz powszechnego losu!

Lutera wstał z powagą i poprawił krawat.

— Zwołam Radę na poniedziałek? — zapytał. — Mamy dziś piątek — jak pan sądzisz, można odwlec?

— Naturalnie — odparł Perousse z uśmiechem. — Do poniedziałku zmieni się pogoda, i będziesz pan na rzeczy patrzał jaśniej. Uspokój się, margrabio, i polegaj na mnie. Przecież nie mam zamiaru zgubić ciebie i siebie. Nie na to obmyśliłem plan tak dowcipny i świetny. Cokolwiekby się stało, dotknie nas obydwóch. Płyniemy w jednej łódce. Nie można rąk opuszczać. Tylko śmiało! Jesteśmy dotąd prawie panami położenia.

Lutera bez odpowiedzi ścisnął podaną rękę i oddalił się ze zwykłą powagą.

Pozostawszy sam, Karol Perousse przedewszystkiem zbliżył się do telefonu i zażądał połączenia z prywatnem mieszkaniem generała Bernhoffa, naczelnika policyi. W kwadrans potem generał stawił się na żądanie i usiadł na tem samem krześle, które niedawno zajmował minister.

Karol Perousse położył przed nim karteczkę z wyraźnie wypisanem nazwiskiem: Pasquin Leroy.

— Czy znasz pan to nazwisko?

Bernhoff patrzał uważnie na litery i chy-

ba bardzo bystry obserwator mógłby dostrzedz na jego twarzy coś jak odblask śmiechu. Po chwili oddał kartkę, starannie złożoną.

— Zdaje mi się, że je słyszałem—rzekł spokojnie. — W każdym razie teraz nie zapomnę.

— Osobistość ta prawdopodobnie jest w mieście. Udasz się pan z tą kartką do Dawida Josta i otrzymasz od niego najdokładniejszy rysopis. Zapewnił go wprawdzie, że jedzie do Moskwy, ale nie wierzę temu. Jest to szpieg obcy, przysłany dla zbadania naszych środków obrony i sił militarnych. Należy go aresztować i bez zwłoki osądzić najsurowiej. Rozumiesz pan?

— Doskonale — odparł spokojnie Bernhoff. — Jeśli go znaleźć można, znajdę go niezawodnie.

— A skoro go pan znajdziesz, daj mi znać natychmiast. Ale strzeż się. Nie radzę zwierzać się nikomu w tej sprawie. Gra niebezpieczna. Najlepiej liczyć na siebie samego.

— Tak zawsze robię — odparł Bernhoff śmiało. — Nie lękaj się pan o mnie.

Perousse rzucił ukośne spojrzenie na generała, ale twarz jego sztywna, bez wyrazu, jakby drewniana — nic nie mówiła

— Hm! — zaczął znowu — nie o pana chodzi. Nie wątpię zresztą, że takt pański i znana przezorność zapewni miastu spokój. Ale to sprawa po części prywatna. Mówię o Pasquinie Leroy.

— Rozumiem to wybornie. Zupełnie jasno zdaję sobie sprawę z całego położenia.

— Tem lepiej, tem lepiej; zupełnie ufam panu. Tak, to kwestya czasu. Niewątpliwie odnajdziemy go i załatwimy się krótko. Polegam na panu. Do widzenia.

Bernhoff oddalił się z pewnym pośpiechem, a Perousse odetchnął pod wrażeniem ulgi. Zrobił, co było można. Zawiadomił władzę o obecności szpiega, który prawdopodobnie będzie ujęty, a wtedy... No, na teraz niema o czem mówić.

Mniej byłby zadowolony i spokojny, gdyby mógł ujrzeć w tej chwili śmiejące się dobrodusznie oblicze Bernhoffa. Naczelnik policyi zdawał się bardzo wesołym, mrużył oczy, pokręcał wąsa, przemawiał sam do siebie:

— Pasquin Leroy szpiegiem! hm! hm! tajemnice militarne... Niebezpieczna osobistość. Trzeba załatwić się krótko... Tak, bardzo niebezpieczna. Niewątpliwie! Czy słyszałem to imię? Zdaje mi się! Musimy szukać szpiega, bo ukrył się w mieście. Zapewne, hm! zapewne!

Mijał szerokie i piękne ulice, ciągnące się wzdłuż morza, wspaniałe pałace, zwrócone ku tej stronie tarasami, aż znalazł się w szerokiej, przepysznej alei, stanowiącej wykwintne miejsce do spaceru, rozdzielonej frontowem wejściem do królewskiego pałacu. Tutaj co chwila spotykał i witał znajomych, przesyłał pozdrowienia, spojrzenia, uśmiechy i płynął z barwnym tłumem, gdy uwagę wszystkich zwrócił kosztowny powóz, zaprzężony w cztery siwe rumaki. W powozie nieruchoma, zawsze piękna i zimna siedziała królowa obok młodej damy dworu, budząc nigdy nienasyconą, wiecznie chciwą jej widoku ciekawość strojnego tłumu. Przecież była cudem żyjącym, istotą, nad którą sam czas nie miał władzy. Bernhoff widział ją więcej niż tysiąc razy i zawsze doznawał tego samego wrażenia.

— Sfinks nieśmiertelny! — szepnął sam do siebie. — Jestem pewny, że kiedyś spojrzy w oczy śmierci tym samym zimnym i spokojnym wzrokiem, w którym zdaje się malować pogarda życia i jego spraw wszystkich!

Powóz zniknął z oddali, Bernhoff spuścił głowę i skierował się do pałacu królewskiego, gdzie na żądanie wpuszczono go niezwłocznie do prywatnych apartamentów monarchy.

XVIII.

Srebrzysty blask miesiąca, cisza, tchnienie morza, cienie drzew fantastyczne otulały Wyspę tajemniczym urokiem poezyi i szczęścia. Na piaszczystem wybrzeżu, zasłuchani w cichy, tajemniczy szum fali, niosącej do brzegu jakieś dalekie wieści, przesuwały się zwolna i lekko dwa cienie. Chwilami słychać było głos dźwięczny jak dzwonek, płynący tęskną i słodką melodyą, to zabrzmiał śmiech wesoły, krótki, urywany, i znowu cisza, pozorne milczenie, kryjące może serdeczną rozmowę. Ze słonem tchnieniem morza łączył się żywiczny zapach iglastych lasów i woń polnych kwiatów, płynąca z łąk poblizkich, i cichy szept liści, poruszany lekkim powiewem — i cichy ten zakątek wyglądał naprawdę jak ziemski Eden w pierwszych dniach stworzenia. Takim rajem jest ziemia istotnie dla ludzi kochających i kochanych po raz pierwszy w szczęściu. Dla nich ma ona tysiące barw, blasków, woni, uroków, piękna, których inne oczy w świetle rzeczywistości dojrzeć nie umieją. Bo miłość cofa zmysły i duszę człowieka w tę pierwotną epokę, kiedy świat był nowy. Bo miłość nie zna smutku i nie widzi troski — w epoce szczę-

ścia sama świat swój tworzy i sobą tylko żyje. W takiej epoce właśnie byli kochankowie z folwarku Ronsarda: piękna Glorya i jej małżonek.

Szli oparci o siebie i bardzo szczęśliwi. Glorya w jasnej sukience domowej roboty, z grubym warkoczem, spadającym swobodnie na plecy, klasycznie piękna, pełna godności i wdzięku; jej towarzysz — rozmarzony jakoś smutnie, cichszy niż zwykle, pogrążony w myślach. Glorya odczuła zaraz instynktem kobiety, że ukochany dźwiga jakiś ciężar, którego nie podzieliła z nim dotąd, i sumienie wyrzucać jej zaczęło winę, popełnioną tak lekkomyślnie. Niezawodnie następstwa już dziś go dotknęły — i przez nią, tylko przez nią!

Zasiadła właśnie z ojcem do skromnej wieczerzy, gdy przybył dziś wieczorem niespodzianie. Wydał jej się piękniejszym jeszcze niż zazwyczaj i jakimś innym, lecz uszczęśliwiona, że go ujrzała, nie pytała o nic. Krótki posiłek spożyli spokojnie, a potem Ronsard poszedł na zebranie, i młodzi pozostali sami.

Był to znów błogi, słodki wieczór szczęścia; słowa miłości płynęły łagodnie ku jasnym gwiazdom, a szmer pocałunków zlewał się tym hymnem szczęścia i miłości, któ-

ry tysiącem dźwięków brzmiał w całej naturze.

A jednak Glorya odczuła w tej pieśni jeden ton obcy, dotąd jej nieznany.

I zdobyła się wreszcie na pytanie.

— Najdroższy, powiedz, czy gniewasz się na mnie?

Mężczyzna drgnął i stanął. Ujął ręce żony i przycisnął je do ust.

— Gniewać się na ciebie? — powtórzył z miękkim i słodkim wyrzutem. — O cóżbym się mógł gniewać?

— Myślałam... — rzekła Glorya bardzo cicho — myślałam, że profesor powiedział ci może, jak źle postępowałam, kiedy król tu przybył i...

— Opowiedział mi wszystko — rzekł Humbert, z zachwytem patrząc na cudną postać w księżycowym blasku. — Mówił mi, że śpiewałaś jak syrena, co nęci głosem śmiertelnych na zgubę. Że król cię znalazł, podziwiał i badał. Stało się. Byłbym wolał, aby to nie nastąpiło, a przynajmniej nie teraz, lecz skoro już się stało, trzeba sobie radzić.

— To z mojej winy — rzekła w pokorze ze skruchą. — Miałam ochotę śpiewać. Przyszła mi taka zachcianka, i śpiewałam, chociaż poczciwy profesor zabraniał mi i prosił.

Książę Humbert milczał. Rozumiał, że nadeszła godzina stanowcza, i że dziś jeszcze Glorya musi wiedzieć prawdę, gdyż pewnym był, że jego wyjazd za granicę ma na celu jedynie zerwanie małżeństwa i usunięcie Gloryi przed jego powrotem. Postanowił zatem powiedzieć jej wszystko i skłonić, aby jechała z nim razem. Jako żona winna mu jest posłuszeństwo — perswadował sam sobie — więc uledz powinna. Wszak tylko wspólne dobro ma na celu.

— Dlaczego nie mówiłeś mi nigdy, — ciągnęła dalej Glorya — że profesor zna króla? Są zupełnie jak przyjaciele.

— Jest nadwornym doktorem, — odparł książę — więc ma zupełne zaufanie króla.

Szedł dalej, obejmując ją mocno ramieniem i patrząc w ziemię, aby nie widzieć jej oczu, pytających i zadziwionych.

— Nadwornym doktorem! — powtórzyła cicho. — Nie przypuszczałam tego. Wygląda tak skromnie: zwyczajny sobie Niemiec.

Książę uśmiechnął się mimowolnie.

— Jest też zwyczajnym Niemcem, tylko więcej od innych umie. Bo cóż znaczy to stanowisko? Swiadczy ono, że człowiek lepiej od innych umie walczyć z chorobą i śmiercią. Wartość Glaubena jest w nim sa-

mym, nie w jego stanowisku. To bardzo dobry człowiek.

— Wiem — odparła spokojnie. — Jest bardzo dobry. Rzeczywiście dobry... Mówił mi wczoraj, że zawsze będzie moim przyjacielem, ale taki był dziwny... Prawie pogniewałam się na niego: wyobraź sobie tylko, co powiedział! Pytał mię: cobym zrobiła, gdybyś ty mnie oszukał? Słyszysz? Jak można coś podobnego powiedzieć!

Chwila była stanowcza, i Humbert zrozumiał, że wahać się nie może. Z bijącem sercem silnie objął ją ramieniem, przykuł jej wzrok, ust dotknął ustami.

— Najdroższa! — szepnął. — Taka rzecz być może! Przypuść ją. Wyobraź to sobie na chwilę, bo... ja cię oszukałem!

Wydarła mu się z objęć z krzykiem trwogi, drżąca, blada, z oczyma pełnemi obłędu. Humbert silnie pochwycił ją znowu.

— Jak? — szepnęła bezdźwięcznie, blademi wargami. — Nic nie rozumiem! Powiedz!.. Nie rozumiem!

— Gloryo! Najdroższa Gloryo! Najdroższa! Kochana! Żono moja! Nie drżyj, nie lękaj się! Zrobiłem to dla siebie i dla ciebie, dla naszego wspólnego dobra. Musiałem! Ale to się skończyło! To zniknie na zawsze! Dziś

musisz wiedzieć wszystko, moja żono! Mój jedyny, najdroższy skarbie! Musisz mię poznać wreszcie, jakim jestem.

Milczała teraz, drżąc w jego objęciu i czekając na straszne słowo.

Lecz Humbert milczał także, jakby nie mógł znaleźć wyrazów.

— Więc kimże jesteś? — szepnęła nakoniec. — Ach, ja ci tak wierzyłam!

Chciała znów cofnąć się z jego objęcia, lecz przytrzymał ją mocniej.

— Jestem twoim mężem, Gloryo, a ty moją żoną — i tego nic nie zmieni. Nikt nie zdoła nam wyrwać z serca miłości i rozdzielić naszego losu. Tylko nie jestem biednym oficerem marynarki. Tylko to nie jest prawdą! To kłamstwem... Musiałem kłamać — i nie żałuję tego, gdyż tym sposobem zdobyłem twą miłość! Nie jestem w służbie księcia... służę tylko sobie! Nie drżyj, najdroższa!... nie lękaj się niczego! Spojrzyj na mnie swemi ufnemi oczyma, nie odwracaj ode mnie wzroku, dlatego że jestem księciem!

— Księciem!—powtórzyła głosem przerażonym, wydzierając się nagle z jego objęć i patrząc prawie obłąkanym wzrokiem. — Ty jesteś księciem? Mąż mój? Ty—królewskim synem? I dlaczegóż zostałeś moim mężem!

Jak mogłeś być tak okrutnym!.. tak strasznie okrutnym!

Ukryła twarz w obie dłonie i wybuchnęła płaczem, ale Humbert łagodnie otoczył ją znowu ramieniem.

— Nie płacz! — rzekł miękko i stanowczo zarazem, choć głos mu drżał ze wzruszenia. — Nie rań mi serca swoim żalem i rozpaczą! Czyż nie rozumiesz, jaki ból mi sprawiasz? Czyż nie pojmujesz tego, że ci oddałem życie? że ono twoje, twoje niepodzielnie! Że tron bez ciebie żadnej nie ma dla mnie wartości, i że wolę go stracić, niż wyrzec się ciebie! Gloryo! najdroższa! nie płacz! Każda łza twoja boli mię i pali, i cięży, niby kamień! Cóż cię obchodzi: jestem, czy nie jestem księciem? Kocham cię! Kochamy się przecież nawzajem!

Tulił ją mocno, gorąco do piersi, okrywał pocałunkami jej oczy, twarz, włosy i uspokajał ją słodkiemi słowy, w których brzmiało potężne i szczere uczucie. Zwolna uspokajała się Glorya, jej łkania stały się cichsze i rzadsze, w końcu podniosła głowę i blada jak marmur spojrzała w oczy męża.

— Nie trzeba mówić Ronsardowi—rzekła cichym i drżącym głosem: — zabiłby cię!

Humbert uśmiechnął się wyrozumiale.

Bibl. Prywat. Justyn Strzyż
№

Cóż go w tej chwili mógł obchodzić Ronsard, kiedy po twarzy Gloryi płynęły wciąż jeszcze łzy gorzkie, nieosuszone?

— Zabije cię! — powtórzyła z przerażeniem, szeroko otwierając załzawione oczy.— Zabije cię!... Skoro się dowie, że mię oszukałeś! Że wziąłeś, ażeby potem rzucić!

— Gloryo! Gloryo! — zawołał Humbert. — Jak możesz mówić, myśleć takie rzeczy? Ja miałbym cię opuścić! Żono moja! Czyż nie czujesz, że należę do ciebie zupełnie i całe życie moje? Musisz mię słuchać! musisz mię rozumieć! Nie odwracaj się, droga! Czyż nie jesteś tą samą? Czyż mię już nie kochasz?

Wyciągnęła ramiona i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Kocham cię! Kocham! — wybuchnęła nagle. — Kocham cię zawsze! Kocham całą duszą! Ale po co mię oszukiwałeś! Najdroższy, drogi, ty mię oszukałeś! Dlaczego mię oszukałeś? Gdybym wiedziała prawdę, nigdy, nigdy w życiu — choćby dla ciebie — nie byłabym została twoją żoną!

— Wiedziałem o tem — rzekł Humbert gorąco — i dlatego cię oszukałem. Inaczej nigdy nie byłabyś moją. Nie miałem innej drogi! A teraz słuchaj, moja księżno i królowo! Potrzebuję twojej pomocy, twojego

zaufania i całej miłości. Ronsarda się nie lękaj. Jesteś żoną moją, przysięgłaś mi przed Bogiem posłuszeństwo, i żądam go teraz od ciebie!

Stała przed nim milcząca, blada, nie zupełnie zdająca sobie jeszcze sprawę z położenia, lecz urzeczona głosem, któremu przywykła ulegać.

— Nie potrzebujesz żądać — odparła też cicho: — wiesz dobrze, że wypełnię, co rozkażesz, chociażbyś żądał, abym dla ciebie umarła!

Humbert instynktownie przyklękł na jedno kolano i ucałował ręce żony.

— U stóp mojej królowej składam przysięgę wierności!.. Przebacz, Gloryo, ten błąd jedyny, który względem ciebie popełnić musiałem. Wierz mi, najdroższa: być synem królewskim o wiele trudniej niźli ubogim żeglarzem! I dlatego powinnaś mieć dla mnie współczucie. Chodź, siądźmy na tej skale, gdzie cię ujrzałem raz pierwszy, a opowiem ci wszystko dokładnie. Liczę na twoją miłość i odwagę, że dopomogą mi zwalczyć trudności, które przed nami stoją. Czyż mniej kochasz mię teraz?

— Nie mogę cię mniej kochać, — odparła powoli — ale nie jesteś już dla mnie tym samym.

Cień smutku osiadł na czole Humberta.

— Gdybyś kochała tak, jak ja cię kocham, umiałabyś przebaczyć! — rzekł posępnie.

Glorya spojrzała na niego zdumiona, w jej szeroko otwartych oczach odmalowało się wielkie skupienie, i wiele sprzecznych uczuć drgało w jej twarzy. Wzrok ich spoił się jakąś niewidzialną siłą, potężniejszą od woli. Nagle z ust Gloryi wyrwał się krzyk cichy i ukryła twarz bladą na ramieniu męża.

— Kocham cię! kocham, kocham!... I przebaczam! Przebaczam, bo cię kocham, najdroższy, najdroższy! Zrobię wszystko, co zechcesz! co rozkażesz! Wierz mi, ufaj! Tylko... boję się jeszcze. Boję się tak dziwnie— jakbyś nie był tym samym, jakbym cię nie znała, jakby mi cię zabrano gdzieś daleko! Pozwól mi najpierw odzyskać odwagę, oswoić się z tem wszystkiem... Chcę uczuć znowu, że ty jesteś moim, moim własnym, choćby świat cały pragnął mi cię odebrać!

Długi, milczący uścisk był jedyną odpowiedzią na te gorące słowa. I długo stali tak nad brzegiem morza, mówiąc wiele w milczeniu, nim wreszcie oboje odzyskali choć w części równowagę ducha. Wtedy ścisnąwszy się mocno za ręce, iść zaczęli ścieżyną,

wiodącą pod górę, ku drogiej im obojgu pamiątkowej skale.

Księżyc tymczasem podniósł się wysoko, i blask jego srebrzył spokojny krajobraz cichem, łagodnem światłem. Powietrze było ciepłe, balsamiczne, po niebie czystem i jasnem płynęła jedna przejrzysta chmurka. Z wysokiej skały widok był dziwnie uroczy: w oddalonej przystani na srebrzystej fali stał bez ruchu statek królewski, rysując się wyraźnie na jasnem tle nocy każdym masztem i każdą liną. Piasek wybrzeża wydawał się śniegiem, na igłach ciemnych sosen, na liściach brzóz białych łamały się srebrzyste blaski. Młodzi paśli oczy tym widokiem, i serca ich mówiły coraz głośniej, silniej, aż potęga uczucia ogarnęła wszystko, aż stopniały w jej ogniu resztki skarg i żalów, aż zniknęły bez śladu ostatki bolesnych obaw i wspomnień, które przeżyli przed chwilą.

René Ronsard dość późno powrócił do domu, ale nie zastał w nim jeszcze nikogo, więc z uśmiechem zapalił swą krótką fajeczkę i usiadł na werendzie, oczekując powrotu małżonków.

— Co to znaczy być młodym! — mówił sam do siebie. — Młodym i zakochanym! Godziny płyną wtedy jak minuty, człowiek nie czuje chłodu i wilgoci, nie znudzą mu się

nigdy pocałunki, a świat wydaje mu się tak pięknym i dobrym, że nic doskonalszego wymarzyć nie można! Niestety, kończy się to zwykle bardzo prędko, lecz gdybym się mógł modlić jeszcze o co, prosiłbym Boga, aby nie odbierał szczęścia Humbertowi i Gloryi. Trud no przypuścić, aby ona jedna stanowiła wyjątek wśród cierpiących milionów; ale wyjątki zdarzają się przecież. Niechby była nim ona!

Marzył i myślał, aż zdrzemnął się wreszcie, lecz sen miał niespokojny. Wydało mu się, że ucieka przed kimś, że ktoś go ściga, że tłum rośnie wkoło, a wszyscy krzyczą: — Zabójca! zabójca! — Spojrzał na ręce swoje: były we krwi. Więc spojrzał w niebo, potem na tłum czarny, usiłował przemówić. Ale język miał twardy, a usta zamknięte, tłum zaś krzyczał dokoła groźny i wzburzony. Wreszcie wysiłkiem strasznym wyrwał z piersi słowo, które zgłuszyło wrzawę wszystkich głosów: — To dla niej! dla niej!

W tej samej chwili ogarnęły gochłód i ciemność, uczuł na sobie całą górę lodu, członki mu zesztywniały, krew zamarła. W oddali ujrzał nagle jakieś światło. Czy to gwiazda złocista? Nie, to trumna złota, a w niej, w purpurze, wśród kwiatów i świateł, kwiat jego serca — Glorya! — Glorya? — Nie może uwierzyć. — Jego dziecię!—Chce śpieszyć do niej,

lecz tłum go odpycha, nazywa go zabójcą. On zabójcą Gloryi? On, który ją tak kochał?... Wszystko się kołysze, chwieje, mgłą opływa, znika. Już złota trumna stała się okrętem, a w niej Glorya żywa płynie w kraj daleki, płynie z ważnem poselstwem. Jak dobrze! jak błogo! Ogarnia go sen słodki i spokojny. Może odpocząć, bo Glorya szczęśliwa, nic jej nie grozi, nic jej nie zakłóca cichego szczęścia niewinności.

Uśmiechnął się i zasnąć chciał teraz głęboko: żaden mu ciężar już nie gniecie serca. Czemuż się budzi?

Ktoś lekko i łagodnie dotyka jego ręki. Otwiera oczy: to ona, to Glorya, stoi przed nim, spokojna, żyjąca i jasna. Zbudził się, powstał. Więc to był sen tylko! Ale na twarzy Gloryi czyta coś nowego, coś, czego dotąd nie było w niej jeszcze. Zdaje się wyższą i jeszcze piękniejszą, jakąś powagę ma wielką w spojrzeniu.

— Sama wróciłaś? — pyta ze zdziwieniem.

— Tak, sama. Chcę ci coś powiedzieć, ojcze. Muszę pomówić z tobą. Chodźmy do pokoju.

XIX.

Obszerny, choć niekształtny i brzydki budynek na niewielkim placyku w jednej z zaniedbanych dzielnic nosił dość szumną nazwę „Resursy ludowej.“ Niegdyś mieścił on sklepy cudzoziemców i tandeciarskie składy licznych wyrobów zagranicznych, lecz od niejakiego czasu handel ten zaczął upadać, sklepy opustoszały, w oknach niektórych wywieszono karty: „Tu znaleźć mogą pracę robotnicy miejscowi.“ I ta przynęta jednak nie pomogła wiele: zagraniczna tandeta coraz mniej miała nabywców. Sergiusz Thord rad był z tego i wespół z przyjaciołmi uważał to za owoc swojej działalności, a właściciel budynku uznał za rzecz korzystniejszą zamienić go na miejsce tanich ludowych zabaw. Tutaj więc urządzano koncerty i bale, mityngi i zebrania wszelkiego rodzaju. Tym sposobem powstała „Resursa ludowa,“ zapewniając jednej stronie odpowiedni dochód, a drugiej miejsce, gdzie mogła swobodnie wypowiadać swe skargi i nadzieje, cieszyć się, gniewać, płakać i narzekać na rzeczywiste, albo i urojone krzywdy.

Tutaj już parę razy przemawiała Lotys, której osoba, otoczona dziwnym urokiem ta-

jemnicy, wywierała magnetyczny wpływ na tłumy. Wobec niej Sergiusz nawet znikał, jak gwiazda przy słońcu. Rozpowiadano o niej fantastyczne baśnie; mówiono, że jest jednem z wielu nieprawych dzieci węgierskiego magnata, które Sergiusz ocalił od głodowej śmierci; że wspomnienie matki, jej nieszczęść i nędzy, zrobiło ją prawdziwą siostrą miłosierdzia dla wszystkich nieszczęśliwych i ubogich. Wiedziano o niej, iż mieszka w ubogiej dzielnicy i własną pracą zarabia na życie; wiedziano, iż ostatek nieraz oddaje uboższym, iż spotkać ją można zawsze tam, gdzie największe cierpienie, najsroższy niedostatek. Znały ją też tysiące, dla których była opatrznością, które widziały w niej wcielenie bóstwa i na jedno skinienie były gotowe iść za nią choćby na śmierć i męki. Zresztą osobistych, bliższych stosunków, z kobietami zwłaszcza, nie miała wcale. Sfery, którym równała się inteligencyą, nieufnie spoglądały na jej tajemniczość, niezależność i samotność; sfery niższe mogły ją tylko kochać i podziwiać. Imię jej jednak znane było wszędzie: wśród możnego mieszczaństwa, w „towarzystwie“ dworskiem, między inteligencyą i proletaryatem. Kobiety odzywały się o niej: — Nieładna... ale... — dodawano zazwyczaj, i to *ale* miało ogromne znaczenie. To był udu-

chowiony wyraz jej spojrzenia, który pociągał hypnotyzująco i oddziaływał jakąś wewnętrzną potęgą na najmniej nawet wrażliwe natury.

Czy Lotys wiedziała o tem, że jest znaną? że tyle o niej mówią? Trudno odpowiedzieć. Żyła zamknięta w swoim własnym świecie: swoje bóle i troski kryła wyłącznie dla siebie, dając cierpiącym i wątpiącym słowa pociechy i współczucia, a słowa stwierdzając czynem. Była to bezwarunkowo natura bogata, wyjątkowa, obdarzona zarówno szeroką inteligencyą, jak przymiotami serca i siłą charakteru. Odważna, szczera, kochająca prawdę, nie znała najpospolitszych wad płci swojej własnej: próżność, zazdrość, złośliwość — były jej zupełnie obce i tak niezrozumiałe na tej wysokości, do której się podniosła moralnie, iż mijała je w drodze życia, nie spostrzegając nawet. Pomimo aureoli fantastycznych opowieści, życie jej dotąd płynęło cicho i prosto, nie przekraczając zwykłej miary ludzkiej, lecz czuła w sobie siły, które mogły zrobić z niej bohaterkę lub męczenniczkę idei.

O własnem szczęściu nie myślała nigdy; może na progu życia wykreśliła je ze swych celów. Widok ogromu nędzy i cierpień ludzkości wyrobił w niej głębokie przekonanie,

że szczęśliwemi mogą być tylko istoty bardzo młode i lekkomyślne, a sama miłość jest jedynie formą egoistycznego instynktu. Jej cicha, ale nieznużona praca i niewyczerpane współczucie dla nieszczęśliwych, cierpiących, zrozpaczonych i występnych — zjednały jej sławę ziemskiego anioła. Najzuchwalsi złoczyńcy wobec niej stawali się łagodnymi i posłusznymi, jak dzieci: spojrzeniem i wyrazem panowała nad nimi zupełnie. Ona też sama nie wiedziała nawet, ilu występkom i zbrodniom zapobiegła swoim wpływem, ile dzikich instynktów zmieniła w energię, ile serc gorzkich, zbolałych, okrutnych, napełniła nadzieją i słodką otuchą. Tysiące dusz zbawiła i trzymała w dłoni, pewna ich posłuszeństwa.

Pośród bogatych ludzi nie miała stosunków, nic jej z nimi nie łączyło, a w gruncie rzeczy litowała się nad nimi bardziej, niż nad cierpieniem i nędzą. Módz tak wiele — i nie chcieć! Czemże na to być trzeba? Sama gardziła wszelkim zbytkiem i pozorem, chociaż kochała piękno, lecz przedewszystkiem widziała je w dziełach natury, którym sztuka człowieka nigdy dorównać nie może. Jako mężczyzna, niewątpliwie byłaby osobistością wybitną; jako kobieta — była nią podwójnie, gdyż z siłą woli i bystrością umysłu łączyła dobroć prawdziwie kobiecą.

Nic też dziwnego, że aby usłyszeć jej przemówienie w Resursie ludowej, zgromadziły się tłumy, które stary budynek zaledwie mógł pomieścić. Publiczność zachowywała się jednak spokojnie, żadnym wybrykiem nie zakłócając porządku. Osobistości znane łatwo można było odszukać w tem zebraniu, choć nie zasiadły razem, lecz przeciwnie, jakby z umysłu rozproszyły się po obszernej sali. Szczególnie Paweł Zouche zwracał uwagę malowniczym rembrantowskim kapeluszem na zwichrzonej czuprynie i czerwonym węzłem nowego krawata na podniszczonej welwetowej kamizelce. Kłaniał się przyjaciołom i rozglądał po sali błyszczącemi oczyma, jak gdyby kogoś szukał. Niedbale skinął głową Sergiuszowi, który wszedł zwolna, jak gdyby z wahaniem, i zajął miejsce niedaleko wejścia. Jego olbrzymia postać rzucała się w oczy; każdy mimowolnie spoglądał na niego, a on zdawał się liczyć tłum napływający i notować, kogo w nim widzi. Wyraz zadowolenia ukazał się na jego twarzy, kiedy spostrzegł nakoniec Pasquina Leroy, spokojnie przeciskającego się w tłumie i zajmującego wreszcie wolne miejsce w jednym z najciemniejszych kątów źle oświetlonej sali. Max Graub i Axel Regor byli i dziś z nim razem, i serce Thorda uderzyło moc-

niej, czując, że nowe węzły mają trwałość i siłę. Z mniejszem zadowoleniem zauważył wkrótce obecność generała Bernhoffa, naczelnika policyi, który spokojnie usiadł niedaleko ławki, zajętej przez Pasquina i jego towarzyszów. Mimowolnie przyszło na myśl Sergiuszowi, czy nowy współpracownik zbytnią gorliwością nie naraził się już zanadto i nie zwrócił na siebie niepożądanej uwagi. Przypomniał sobie jego śmiałe słowa, wypowiedziane w ów pamiętny wieczór z tą siłą przekonania, która zjednała mu wszystkich; przypomniał sobie jego obietnice. Spełnienie nie było łatwe, mogło go narazić.

Sala napełniła się wkrótce po brzegi, zapanował ścisk i gorąco, publiczność jednak zachowała taki spokój, powagę, godność, iż nie trudno było odgadnąć, że zgromadziły ją tu silniejsze uczucia, niż ciekawość posłuchania wymownej i znanej kobiety. Byli to ludzie z klasy pracującej, o czem wyraźnie świadczyły ich stroje; głównie mężczyźni, kobiet nieliczna gromadka. Leroy w swoim kącie rozmawiał półgłosem z towarzyszami, wyrażając, jakie wrażenie sprawiło na nim to liczne zebranie.

— Piękne głowy!—zauważył Max Graub z zadowoleniem. — Myślące czoła i wymowne oczy. Podobają mi się ci ludzie.

— Myśleć to trochę mało — odparł żartobliwie Regor. — Iluż to ludzi wygodnie myśli całe życie i umiera bez czynu?

— To prawda — rzekł Leroy półgłosem; — lecz myśl skłonić może do czynu. Mam w tej chwili wrażenie, że złotousta Lotys mogłaby ten tłum cały powieść, dokądby chciała.

— Nie wątpię o tem — potwierdził Graub: — przecież wybuch wulkanu bywa zwykle nagły i szybki. Wiadomo, że Bastylię zdobyto w ciągu czasu, którego nieszczęśliwy Ludwik XVI potrzebował na spożycie wieczerzy w dobranem kółku towarzyskiem.

Leroy znakiem nakazał milczenie, gdyż tłum poruszył się jak jeden człowiek, i w tej samej chwili na estradzie ukazała się Lotys. Powitał ją radosny i serdeczny okrzyk, tak różny od banalnego oklasku, jak uczucia tych ludzi względem niezwykłej kobiety od zwykłego wybuchu wrażliwości widzów. Pasquin spojrzeniem pełnem ciekawości powitał też wchodzącą, lecz prawie w niej nie poznał tej bladej dziewczyny, której krwią pamiętnej nocy podpisał swe imię i stwierdził zobowiązania. Wrażenie było tak silne i nowe, iż sprawiło mu rozkosz. A więc to nie złudzenie bezkrytycznego tłumu: ta kobieta istotnie jest zjawiskiem! Wydała mu się dzi-

siaj uosobieniem siły, uosobieniem woli, której rozkaz wykonany być musi odruchowo. Nie znał jej taką. — To ona? To ona? — brzmiało mu w duszy jakieś radosne pytanie, i uczuł się już porwanym tą siłą i wolą, płynącą z jej głębokich, pełnych światła źrenic.

Lotys była ubrana w suknię białą, przepasaną szkarłatną szarfą, ale i strój ten dzisiaj wydawał się innym, jakimś uroczystym i pełnym znaczenia. Przez chwilę stała milcząca, spokojna, ze spuszczonemi na dół powiekami, a skoro je podniosła, trysnęły z jej oczu blaski magnetycznej, potężnej jasności.

Jakąż głębię posiadało to jasne spojrzenie! Patrzał na nią z dziwnie drażniącem uczuciem oczekiwania i niecierpliwości, lecz z chwilą, gdy przemówiła, spłynął na niego dziwny, błogi spokój. Głos miała rzeczywiście dźwięczny, muzykalny, silny a niekrzykliwy, niezwykle przyjemny. Mówiła prosto, bez żadnych ozdób retorycznych, bez krasomówczych zwrotów. Z ręką opartą o stół, mówiła z pamięci, a raczej z serca i głębokiej myśli, w której widocznie przetrawiła wszystko, czem dziś pragnęła podzielić się ze słuchaczami. Wyraz twarzy miała zupełnie spokojny, obfite złote włosy grubym węzłem spadały jej na plecy, bladej cery nie zdob najlżejszy odcień rumieńca, a całe życie sku-

piało się w oczach, z których zdawały się płynąć promienie prądu magnetycznego. Dźwięk jej głosu potęgował jeszcze to wrażenie, które budziło zmysły jakąś nadprzyrodzoną potęgą: coś z niej samej oddzielało się prawie widocznie i napełniało przestrzeń tak, jak ciepło i światło wydziela się z ogniska. I zwolna te promienie magnetyczne zmieniały duszną atmosferę sali w jakąś fotosferę blasku i piękności i przenikały serca zgromadzonych błogiem uczuciem niewysłowionego spokoju. I z każdem słowem potęgowało się to niezwykłe wrażenie, aż każde serce odczuło wyraźnie swoją godność i stanowisko. Celem jej mowy było zbudzić to uczucie, skierować myśl do czynu, owocnego w pożądane rezultaty.

Mówiła o potrzebie własnego sądu w sprawach ogólnego znaczenia, o konieczności wyrabiania sobie własnych opinii i samodzielnego sposobu myślenia, które powinny być kierownikami naszych poglądów i postępowania.

— Któż nam wskazuje drogę? — zapytała. — Czy ta sprzedajna prasa, której wartość znamy, kierowana przez Żydów i interes osobisty? Czyż ona być powinna przewodnikiem ludu i jego polityki? Znamy ją, wiemy dobrze, komu służy; wiemy, że sprawy kraju dla jej kierowników i właścicieli zarazem są

tylko zyskownym warsztatem, czegóż więc kraj i naród mogą się po niej spodziewać? Rozumiemy, że to doradca podstępny, którego strzedz się trzeba, bo jego celem własna korzyść, nasza krzywda, a jednak ileż razy dajemy się łudzić jej wpływom! A potem budzi się w nas oburzenie, które podnieca do czynów gwałtownych i często szkodliwych. Winna przewrotność ludzka, lecz i nasza wina, że nie mamy własnych i silnych przekonań. Pracujmy więc nad sobą!

Umilkła na chwilę, lecz jej promienne oczy, szeroko otwarte, zdawały się przenikać w dusze i serca słuchaczów.

— Drodzy bracia!—mówiła dalej dźwięcznym głosem, z tem serdecznem uczuciem, które w każdem sercu musiało znaleźć oddźwięk. — Sami nieraz może zadawaliście sobie pytanie: co czyni świat ten tak smutnym, bezbarwnym, pozbawionym jasnej nadziei? Wszak słońce dotąd nie przestało świecić, kwiaty jak dawniej kwitną, wdzięczne ptactwo śpiewa, piękna natura roztacza przed nami swe skarby. Wiedza zdobywa dla nas coraz nowe prawdy, które powinny rozświetlić nam przyszłość — czegóż więc brak nam? czego daremnie pragniemy? Dlaczego wszystko wydaje się pustem i takiem beznadziejnem?

— Jesteśmy ubodzy, ale człowiek ubogi może być szczęśliwym. Ciężko nam żyć i walczyć z tem, co nas uciska, ale jakże walczymy? Jesteśmy istotami rozumnemi i pojmujemy swoje położenie, ale czyż rzeczywiście się staramy rozumnie zaradzić złemu? Łączymy się niby w kluby, towarzystwa, lecz czyż nasze stowarzyszenia nie stają się dla nas tylko nowem polem do nieskończonych sporów pomiędzy członkami? I stąd bezsilność nasza. Nic nie dokażemy, póki wśród nas nie będzie jedności i zgody. Jednością i zgodą powstają narody, bez jedności i zgody upadają. Historya daje nam setki przykładów. Oto potężny zakon, którego wpływu się lękacie — w czemże jego potęga? Co dało mu siłę przetrwać prześladowania i niechęć, żyć, rozwijać się i zwyciężać wieki całe? Jedność i solidarność. To tajemnica potęgi na ziemi, jedyna tajemnica! We własnych sercach mamy ten talizman, który może stać się nam tarczą od złego, lecz czyż z niego umiemy i chcemy korzystać? czy w sobie samych szukamy ratunku? Jeden nie ma odwagi, drugi cierpliwości; umiemy się skarżyć, narzekać, rozpaczać, lecz nie umiemy radzić, radzić sobie sami, rozumnie i stanowczo. Gdy w otoczeniu nędzy patrzymy z boleścią na cierpienia najdroższych, za-

dajemy sobie gorzkie zapytanie: — Po co się człowiek rodzi? Co warto to życie? Po co nas Pan Bóg stwarza?

Drodzy przyjaciele, życie jest pięknem, jak pięknym świat Boży, my tylko sami robimy je gorzkiem. Są między nami ludzie źli, przewrotni, lecz krzywdzą nas dlatego, że nie mamy woli, że nie mamy własnego zdania i siły przekonań, że nie działamy zgodnie. Pieniądz nie daje trwałej władzy i potęgi: on się toczy i władza mija; silnego jeszcze silniejszy pokona, może także na chwilę tylko. Duch tylko nieśmiertelny jest wiecznym zwycięzcą, duch Boży, duch prawdy, duch sprawiedliwości, duch, który przemawia myślą i uczuciem, duch, który w nas mieszka, a jest czastką Bożą, więc któż z nim walczyć może i zwyciężyć? Jesteśmy silni, bracia, dopóki duch z nami, jesteśmy silni w jedności i zgodzie, i chociażby zły człowiek na znikomą chwilę wypłynął z głębi odmętu nicości...

— Perousse! Perousse! — rozległy się nagle dokoła głuche, stłumione głosy, niby pomruk groźby. Lotys umilkła — policya obecna zwróciła pytające spojrzenie ku stronie, gdzie jej naczelnik Bernhoff siedział nieruchomy, niby kamienny posąg. Nie dał żadnego znaku, więc czekali dalej. Lotys pod-

niosła rękę, i wrzawa umilkła; chwilowy wybuch niechęci i gniewu ucichł, zażegnany tem niemem skinieniem.

— Nie mówiłam w tej chwili o jednym człowieku — zaczęła Lotys znowu. — W tej chwili nie oskarżałam nikogo, chciałam wam przypomnieć tylko, że ilekroć w historyi władzę pochwycił człowiek nieuczciwy, nie syn Bożego ducha, lecz złota i ziemi, którego złoto było jedyną miłością, błysnął i ginął po chwili tryumfu, a nieprawość zmywały krwi i łez potoki!

Umilkła znowu i czekała, jakby chciała spojrzeniem przygotować słuchaczów do swej myśli, którą przelać w nich pragnęła. Błysk spojrzenia, ruch ręki i głos zabrzmiał z całem bogactwem dźwięków magnetycznych, porywających serca:

— Niegdyś wybiła dla światła godzina, w której Bóg sam widomie zstąpił między ludzi, aby własnym przykładem ich nauczyć, jak należy żyć i umierać. Jakże daleko od nas ta epoka! Gdzież Bóg dziś pomiędzy nami? gdzie ślady Jego bytu i nauki? Niema Go w kościele naszym, w prawach naszych, ani w pracy! Tylko w cierpieniu jeszcze pamiętamy o Nim i wtedy tylko Go wzywamy! Poza tem nie potrzebujemy Go w życiu! W szczęściu nie wiemy o Nim — i czyż nam

może być dobrze? Odwracamy się od pierwiastku szczęścia, od źródła, skąd powstało samo życie, i ślepi, niedołężni, torujemy sobie błędne drogi w ciemności. Gdzież one wiodą? Cóż zdobyć możemy bez Niego? Zdobywamy też nędzę i cierpienia: to konieczny rezultat naszej winy. Wszak Bóg to prawo, to siła, rządząca nieskończonym wszechświatem: czemże się stajemy bez Niego? Bez siły i bez prawa?

W odwiecznym ruchu światów, które rzucił w nieskończoność, panuje najdoskonalszy porządek. Porządek i sprawiedliwość jest osią wszechświata, osią praw nim rządzących; co odrywa się od niej, zginąć musi. To tajemnica wszelkiego upadku.

Ale czyż można wierzyć w sprawiedliwość? — pytacie może. — Wierzyć w nią musimy, bo świadczy o niej własny nasz rozum i zmysły. Jak organizm człowieka nie może istnieć bez powietrza, tak wszechświat nie istniałby bez prawa porządku, harmonii i sprawiedliwości, i jeśli źle nam, to tylko dlatego, że odwróciliśmy od nich serca nasze, że o nich zapominamy coraz bardziej! Więc zamiast błądzić dalej, zwróćcie wszystkie siły, by chwycić tę oś świata z całą mocą, aby stać przy niej, gdy w godzinie sądu zagrzmi gniewny głos Boga słowami wyroku. Zwróć-

cie się i czuwajcie, i módlcie się szczerze, i poznajcie swe winy, i żałujcie za nie!

Żal wobec Niego wszystkiem! On przebaczy zawsze. Bo przecież on nasz Ojciec, on zna słabość naszą, rozumie nasze błędy, bóle i upadki. A ponieważ rozumie, litować się musi nad nami! Stworzył nas tak słabymi, całą bronią naszą myśl, wiodąca do czynu, myśl, która—jeśli czynem się nie staje—jest niczem! Więc nie dość myśleć i wiedzieć, o bracia — czynu nam trzeba, aby spełniać wolę Bożą i zadanie nasze na ziemi. A my czy zaznaczamy czynem myśli swoje, wolę swoją, swój protest wobec kłamstw i fałszu, jaki narzuca nam podstępnie prasa? Czy milczenie nie jest występkiem? Zapytajcie serc waszych, a Bóg w nich odpowie, i niech głos Jego będzie wam rozkazem!...

— Tak, — zaczęła po chwili — uczmy się myśleć i działać, uczmy się zawsze rozumieć głos Boga i pojmować jego wyroki. Lecz aby je pojmować, trzeba wiedzieć wiele, trzeba czytać w przeszłości, badać księgę życia i z umysłem spokojnym przewracać jej karty. A wtedy może i to zrozumiemy, że w Jego ręku narzędziem dobrego bywają nawet tacy, którzy znać Go nie chcą, a bogiem swoim uczynili złoto. Garnęli życie całe, gromadzili, ale śmierć przyszła, a złoto wróciło

z procentem do tych, którym je wydarto. W Szkocyi np. jeden z milionerów otworzył wstęp bezpłatny do uniwersytetu dla wszystkich, pragnących wiedzy. Tym sposobem najdroższy monopol bogaczów stał się własnością wszystkich: otwarto skarb bezcenny, który daje człowiekowi najwyższe przywileje i potęgę władzy. Bez wiedzy nie dokażemy niczego, bo nic dokładnie pojąć nie możemy, więc tę wiedzę zdobyć należy. Musimy zdobyć ją, bo nam potrzebna! Ona jedna pozwoli nam walczyć zwycięsko o dobro nasze, wznieść się do potęgi i szerzyć dalej dobro najwyższe ludzkości — światło i miłość!

Przerwał jej nagle huragan oklasków, lecz Lotys skinęła, i ucichło wszystko.

— Wtedy nie blada gwiazda będzie nam świeciła w ciemności, — kończyła głosem pełnym wzruszenia i siły — lecz słońce całe, wielkie, dobroczynne słońce! Wtedy otworzą się przed nami drogi jasne, szerokie, wielkie! Wtedy zajdziemy tam, dokąd iść pragniemy, i nic nas nie powstrzyma, nic nie oprze się naszej potędze!

Zdawała się wyższą, mówiąc te wyrazy. Bił od niej blask szlachetnej siły, pełnej wiary, i potęga natchnienia. Zniknęła, nim przebrzmiały oklaski, lecz głosy:—Lotys! Lo-

tys! — wezwały ją znowu. Ukazała się i skinęła dłonią.

— Dziękuję wam, przyjaciele, za życzliwość, którą mi okazujecie — rzekła głosem drżącym i bardzo wzruszonym. — Mówiłam do was prosto z serca, jak kobieta; mówiłam, co myślę i czuję; mówiłam dlatego tylko, że was kocham! Znacie mię przecież wszyscy: jestem siostrą waszą, pod każdym względem dzielę życie wasze, wasze troski i trudy, i jedynem pragnieniem mojem — pokrzepić wasze serca, dodać sił, otuchy, dać wam choć nadzieję lepszej doli, choć wskazać do niej drogę. Życie moje należy do was, i nie umiem wyrazić najserdeczniejszych uczuć, jakie budzi we mnie wasza wiara i zaufanie! Teraz proszę was tylko, rozejdźcie się spokojnie i bez nieporządku, a wróciwszy do domu, pomyślcie o mnie i o tem, co słyszeliście tutaj. Niechaj rozum i wola wspiera was w trudach życia! Nie zapominajcie o swem człowieczeństwie, o godności i prawach tego słowa, a wiele złego spadnie z was, zniknie bez śladu. W miarę wartości waszej głos wasz nabierze znaczenia, aż zaważy na szali wielkiej sprawiedliwości!

Stała jeszcze przez chwilę, żegnając publiczność wzrokiem, jaśniejącym natchnieniem i miłością; blada jej twarz pałała. Na nowy

wybuch serdecznych oklasków odpowiedziała uśmiechem, skinieniem — i znikła po raz drugi.

Zdawało się, że w sali pociemniało. Pasquin Leroy ocknął się jak ze snu, wstał nawpół nieświadomie i przesunął rękę po czole i powiekach, jak gdyby chciał uwolnić umysł od wrażenia, które pozbawiło go trzeźwości sądu. Puls bił mu szybko, twarz paliła, w uszach dźwięczał głos Lotys, w oczach miał jej postać. Maks Graub i Aksel Roger spojrzeli na niego badawczo. Publiczność zwolna opuszczała salę, w której nieznośne gorąco prawie tamowało oddech.

— Idziemy? — spytał Graub cicho.

— Zdaje się — rzekł Pasquin, siląc się na uśmiech. — Chociaż... pomówiłbym z nią chętnie...

W tej chwili jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Leroy się obejrzał i spostrzegł Jana Żegotę, który powitał go tajemnym, umówionym znakiem.

— Zaprosiliśmy Lotys na wieczerzę — rzekł przyciszonym głosem — i jesteśmy z nią razem w gospodzie naprzeciwko. Thord widział was w tym kącie i przysłał mię spytać, czy chcecie dziś być z nami.

— Najchętniej — odparł Leroy natychmiast. — Idziemy zaraz wszyscy.

Żegota skinął głową i znikł w tłumie.

— Będziemy więc podziwiali i epilog!— rzekł Graub z odcieniem niechęci. — Lepiej byłoby jednak iść do domu.

— Będziemy mieli w rachunku jedną awanturkę więcej — odparł Pasquin wesoło.

Posuwali się spokojnie za tłumem i minęli Bernhoffa, który ociągał się z wyjściem. Podejrzliwy spostrzegacz mógłby przypuścić nawet, że pozdrowił Pasquina nieznacznym ukłonem, a więc, że znać go musi i nie śpieszy wcale z aresztowaniem człowieka, tak gorąco poleconego jego pieczy przez ministra. Szedł za nim wprawdzie aż do poblizkiej gospody, której dość jasno oświetlone okna świadczyły o zebraniu znajomego kółka, ale nie wszedł do środka. Jakiś czas krążył jeszcze po ulicy, grzecznie zaczepił Maksa Grauba, który przypadkiem szedł właśnie w przeciwną stronę, i zamieniwszy z nim kilka wyrazów, oddalił się, brząkając ostrogami.

Maks Graub zawrócił także ku gospodzie, skąd brzmiały zgodne głosy chóralnego śpiewu.

— Tak...—szepnął, nasłuchując — świat byłby rajem, gdyby... Lecz niestety... jest *gdyby...*

XX.

W gospodzie zgromadzeni zajęli miejsca koło stołu. W jednym końcu siedziała Lotys, obok której leżało kilka gałązek laurowych, ofiarowanych jej dziś przez przyjaciół. Twarz miała smutną, jak gdyby zmęczoną. Obok stało dziewczę, wsparte na jej krześle, i patrzało w jej oczy wielkiemi, czarnemi oczyma, ciekawie otwartemi jak u dziecka, a pełnemi wyrazu głębokiej powagi. Była to mała tancerka, Pequita. Lotys pieszczotliwie otoczyła ją lewem ramieniem i przemawiała do niej dobrotliwie. Resztę zgromadzenia stanowili mężczyźni, a między nimi wszyscy, których Pasquin poznał owej pamiętnej nocy. Gdy Leroy z przyjaciołmi ukazał się w progu, powitano go życzliwym oklaskiem i lekki rumieniec ożywił twarz Lotys.

— Ucieszyłam się, widząc pana — rzekła szczerze:—nie spodziewałam się, że będziesz dzisiaj wśród publiczności.

— Dlaczego? — spytał, mocniej ściskając jej rękę, którą mu usunęła z wyrazem zdziwienia. — Nie słyszałem pani jeszcze nigdy przemawiającej, a rozumiałem, że aby cię poznać, muszę widzieć cię na mównicy. Teraz...

Umilkł na chwilę, zdziwiony jej wzrokiem.

— Teraz?...—powtórzyła Lotys ze zdziwieniem.

— Teraz — szepnął — znam panią więcej. Lecz to mi nie wystarcza. Pragnę poznać twą duszę, wszak nie wzbronisz mi tego? — dodał z wymownem spojrzeniem.

Lotys pobladła. Odwróciła się zwolna i przygarnęła do siebie Pequitę.

— Nie jesteś zmęczona, dziecko? — zapytała.

— Nie! — odparło dziewczę, potrząsając głową.

— To dobrze. Pasquinie Leroy, pozwól, że ci przedstawię Pequitę, córkę Scholta, o której mówiłam ci wtedy. Zatańczy nam dzisiaj. Czy chcesz, moje dziecko?

— O tak! — zawołała dziewczynka z zapałem.

Lotys uśmiechnęła się do niej życzliwie, a Leroy z dziwnem uczuciem zajął wskazane mu miejsce. Nie mógł zdać sobie sprawy z tego, co się stało, odczuwał jednak, że został jak dzieciak „doprowadzony do porządku“ przez kobietę, która — sam także nie wiedział dlaczego — wywarła na nim dzisiaj tak silne wrażenie. Był wzruszony, podniecony i zmieszany, ale szydził sam z siebie

i żelazną wolą zewnętrznie zapanował nad sobą zupełnie. Powitał Sergiusza Thorda i rozejrzał się koło stołu. Maks Graub i Akseł Roger siedzieli każdy oddzielnie, a Zouche z przeciwnej strony stołu nawprost niego. Od Lotys oddzielał go jeden tylko człowiek, z wąsami nastrzępionymi tryumfalnie i z niezwykle słodkiem spojrzeniem blado-niebieskich oczu. Był to, jak dowiedział się wkrótce, znakomity skrzypek, ulubieniec dworów, zasiadający w gronie malkontentów.

Wniesiono zaraz bardzo skromne danie, stanowiące całą kolacyę, lecz przy tej sposobności gospodarz hotelu ofiarował Lotys bukiet róż ponsowych, który przyjęła z serdeczną wdzięcznością. Rozmowa wkrótce stała się ogólną, a jakiś młodzieniec, o bladej, delikatnej twarzy, zwiastował wieść sensacyjną, że Jost sprzedał cały swój udział w nowo odkrytych kopalniach, o których jego pisma tak wiele głosiły.

— To robota Perousse'a — odezwał się sąsiad: — spekulują na spółkę i oni tylko wiedzą, co ta sprawa naprawdę warta.

— Kiedy mowa o finansach, — zawołał Zouche nagle — to jeszcze jedna niezwykła nowina. Wyobraźcie sobie tylko, przyjaciele, że chciano mi zapłacić za moje poezye! Dziś po południu! Wyobraźcie sobie! Płacić poe-

cie za jego utwory, to jakbyśmy wyznaczyli pensyę Panu Bogu za to, że stworzył kwiaty!

Twarz pałała mu silnie, oczy miały blask sztuczny, płynący z podniecenia trunkiem.

— Słuchajże, Thord! — zawołał. — Na tym świecie dziwić się można wszystkiemu, ale to chyba jest dziw ponad dziwy. Mówiłem ci, że ostatnią moją książkę posłałem sam królowi...

— Wstydź się, wstydź! — zawołało naraz kilka głosów. — Pochlebstwo! Prośba! Poniżenie! To wbrew naszym prawom!

Paweł Zouche wybuchnął śmiechem.

— Znaliście mię pochlebcą?—zapytał wyniośle.—A posłałem, bo mi się podobało, i rachunku przed wami zdawać tu nie będę! Ale dzisiaj odbieram list od pana Silvana, sekretarza pierwszego ministra, który mię zawiadamia, że król wzamian za książkę ofiaruje mi dożywocie z tysiąca sztuk złota rocznie! Tysiąc sztuk złota rocznie! Zaśpiewał kanarek w klatce i dostał kawałek cukru! Tysiąc sztuk złota — to złocona klatka. To chleb, piec ciepły i wygodne łóżko — lecz utrata niezależności.

— Więc nie przyjąłeś? — zapytał z za-

jęciem Pasquin, stawiając na stole szklankę, którą opróżnił przed chwilą.

— Odrzuciłem odwrotną pocztą!

— Brawo, Zouche! Brawo! — rozległy się nagle oklaski.

Mężczyźni śpieszyli uścisnąć mu rękę, a twarz Thorda jaśniała radosnym uśmiechem.

— Zuch z ciebie, chłopcze! — wołał człowiek z bladą twarzą, który był subjektem w jednym z prywatnych banków. — Lepiej umrzeć z głodu, niż przyjąć jałmużnę!

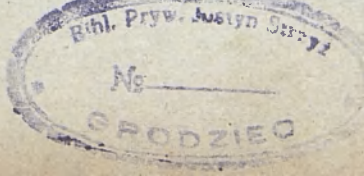
— Twoje zdrowie, Zouche! — rzekła Lotys, wyciągając ku niemu szklankę.—Twoja odmowa jest większą tragedyą od wszystkich, które napisałeś.

— Słuchajcie! — zawołał Zouche: — ona ma słuszność! Jest tragedya w tej nędzy, która dręczy ciało, kiedy potęga myśli, zdolna dźwignąć ludzkość, płonie pod czaszką! Wtem król podaje ci dłoń pełną złota. Ależ płacić poecie za jego utwory, to jak powiedziałem — płacić Bogu za jego światy, które rzucił w nieskończoność wolą swoją!

Leroy się roześmiał.

— Więc wolisz umrzeć z głodu, dzika duszo, niż przyjąć dar życzliwy? — rzekł wesoło.

Zouche odparł mu spojrzeniem, pełnem dumy.



— A jednakże król pewno uczynił to w dobrej myśli — zauważył jeszcze Leroy.

Nikt już nie odpowiedział, gdyż pracownik z banku zwrócił na siebie ogólną uwagę, opowiadając nadzwyczaj wymownie o Karolu Perousse, którego nieraz widywał w kantorze i słyszał jego ostrożne pytania, tyczące się strat i zysków pod wpływem politycznych wiadomości. Raz szczególnie — pamiętał dobrze — kiedy Perousse kupił za 100000 akcyi pewnego Towarzystwa i, wychodząc, zagroził bankierowi śmiercią, gdyby ta wiadomość wydostała się z jego kantoru.

Nazwisko znienawidzonego człowieka podniecało wszystkie umysły, i może chcąc rozmowę zwrócić na tory spokojniejsze, Lotys spytała skrzypka: czy nic im dziś nie zagra?

— Zagrajże, Valdor, zagraj! — rozległy się zewsząd wołania. — Czyż grywasz tylko królowi? Nie mamy złota, ale czuć umiemy: zagrajże dziś dla braci!

— Nie odmawiam, — rzekł Valdor — nie wiem tylko, czy jesteście usposobieni, czy muzyka zadowoli dziś wasze wymagania.

— Zadowoli, — rzekł Pasquin Leroy stanowczo — zwłaszcza, że powiem wam dobrą nowinę, chociaż mię nie pytacie, czy spełniłem swoje zobowiązanie.

— Dziś nie żądamy sprawozdań—odparł spokojnie Żegota;—to nie jest nasze miesięczne zebranie.

— Widzę to, ale przecież jesteśmy tu wszyscy w kółku zupełnie ścisłem, i mogę otwarcie pochwalić się przed wami, że Karol Perousse wydał rozkaz aresztowania niejakieko Pasquina Leroy, który jest szpiegiem zagranicznym.

Lotys wydała nagle cichy, stłumiony okrzyk.

— Niepodobna! Tak prędko!

— Tak jest, pani—rzekł Pasquin.—Nie traciłem czasu, staram się być gorliwym.

— Ależ w takim razie jesteś zagrożony?—zauważył Sergiusz, śledząc z niepokojem wyraz twarzy nowego towarzysza.

— Nie więcej od każdego z was—odparł Leroy z dumą.—Rozpocząłem już walkę i spodziewam się, że wkrótce zobaczymy jej rezultaty.

Mówił spokojnie, z taką stanowczością, że dreszcz nadziei przeszedł zgromadzonych.

— Przekonałem się także, — ciągnął dalej—że przeciw złemu zawsze działać można z nadzieją dobrego skutku.

— Wątpliwego—dorzucił Paweł Zouche ironicznie. — Cóż np. zrobić można z takim

Jostem? Jego dzienniki czytają miliony i wierzą każdemu słowu.

— Więc bardzo łatwo można je przekonać, że ta wiara jest bez podstawy, a słowa prasy są tylko słowami, lub co gorsza—rozmyślnem kłamstwem.

— W takim razie czytać go będą przez ciekawość, aby podziwiać kłamstwo i czekać, jak długo trwać może. Zresztą wielki wydawca zmieni barwę, jak kameleon. Dziś popiera Perousse'a, lecz jeśli ten upadnie, nie zawaha się na minutę zacząć artykułu wstępnego śmiałem wyznaniem wiary:—„Dziś wolno nam wyznać publicznie, że nigdy nie dowierzaliśmy panu Perousse'owi bez zastrzeżeń.“

Powszechny śmiech wesoły był odpowiedzią na te słowa.

— W dzisiejszym dzienniku wieczornym — ciągnął Zouche dalej — był artykuł, zwiastujący jakoby z nieomylnych źródeł wiadomość, że monarcha jest przygotowany ustąpić Jezuitom w różnych okolicach odpowiednie obszary na budowę szkół i klasztorów.

— Ależ to kłamstwo!—wybuchnął Pasquin z oburzeniem.

Dokoła stołu zrobiła się cisza. Leroy spostrzegł płonące źrenice Axela Regora i Grauba.

— Nie może przecież zmieniać słowa —

dodał też, jakby tłómacząc myśl swoją.—Król raz odmówił, stanowczo, publicznie, więc nie wierzę.

— Czy byłeś świadkiem tej odmowy?— spytał z goryczą Sergiusz.

— Czytałem ją w dziennikach. Pamiętacie przecież, w dniu naszego poznania.

— Ba! — zaśmiał się Graub ironicznie.— Zapomniałeś widocznie, przyjacielu, że w pismach nie drukują prawdy. Może dziś kłamią, ale mogli też kłamać wtedy. Ja tam nie wierzę nawet oficyalnym telegramom!

Wieczerza była tymczasem skończona; gospodarz wniósł na tacy owoce i wino, sprzątnął talerze i resztki jedzenia.

Sergiusz Thord spojrzał wokoło, dał znak towarzyszom i napełnił kieliszek. Potem stanął i podniósł go w górę.

— Zdrowie Lotys!—zawołał z płonącem spojrzeniem: — Lotys, która jest naszem natchnieniem, naszą siłą w najszlachetniejszych dążeniach!

Wszyscy stanęli z kieliszkami w ręku, powtarzając jednozgodnie:

— Lotys! Lotys!

— Lotys!—powtórzył Pasquin, wpijając wzrok w oczy kobiety. — Niechaj będzie tak dobrą, jak jest silną!

Lotys odpowiedziała mu smutnem spoj-

rzeniem, dziwny uśmiech przemknął po jej bladej twarzy, skinęła wkoło głową poważnie, spokojnie i zwróciła się do artysty:

— Zagraj nam, Valdor—rzekła z prośbą w głosie. — Podziękuj za mnie za dobre życzenia.

Valdor wstał natychmiast i przyniósł swoje pudło ze skrzypcami, patrząc na nie okiem kochającej matki. Wyjął instrument ostrożnie, troskliwie, wsparł na ramieniu i pociągnął smyczkiem. Dał się słyszeć dźwięk cichy, słodki, jak westchnienie, jak powiew wiatru pomiędzy drzewami; dźwięki płynęły zrazu zwolna, żałośnie, jak skarga, — lecz coraz inne tony łączą się z melodją, w której dwa głosy zdają się rozmawiać pieśnią: ziemia się skarży, płacze i wzywa pomocy, niebo jej odpowiada; tu nędza i cierpienie, tam chwała nieśmiertelności. Tony wznoszą się wyżej, skargi potęgują, brzmią, rozlegają się w pustyni świata, rozdzierają serca czujące. A niebo odpowiada zawsze tym spokojem, którym kończy się wszelka walka.

Słuchacze trwali w milczeniu, bez ruchu. Zouche głowę w tył przechylił, wsparty na poręczy krzesła, i przymknął oczy, jakby spał lub marzył; surowa twarz Żegoty przybrała wyraz łagodniejszy; Sergiusz Thord oparł się łokciem na stole i zasłonił dłonią oblicze.

Nakoniec Valdor skończył. Chwilę trwała cisza, potem rozległ się grzmot oklasków.

— Szczęśliwi królowie, którzy słyszeli grę pańską—rzekł Pasquin Leroy, ściskając dłoń artysty.

— Tego nie wiem—zaśmiał się Valdor.— Królowie mają tyle wrażeń, iż rozkosz zwykłych śmiertelników jest dla nich często rzeczą obojętną.

Paweł Zouche pochwycił szklankę i jednym haustem wysączył ją do dna.

Był bardzo blady, oczy mu tylko płonęły. Zaczął coś mówić głośno i dobitnie, lecz słowa jego nie miały już związku.

— Nalej mi wina, Pasquin!—zawołał donośnie, podsuwając swą szklankę.

Wszyscy spojrzeli na siebie znacząco, lecz Pasquin spełnił rozkaz. Zouche wypił, i potok wyrazów popłynął z nową siłą. Perousse, Jezuici, prasa, Jost, zepsucie wieku, wszystko to razem splatało się w chaos iskrzących barw, frazesów, dobitnych wyrażeń i logiki szaleńca.

— Przestań, Zouche — prosił Sergiusz.— Mówisz dziś tak wiele, że nie pozwalasz nam pomyśleć nad tem.

— Pequita się zmęczy i pójdzie do domu, tańca nie będzie wcale — tłómaczyła Lotys.

— Nie będziesz tak okrutną! — zawołał poeta z oczyma płonącemi jak pochodnie. — Nie zanudzam was przecież swymi utworami, choć niektóre coś warte, możecie mi wierzyć! I nie wyrzucam ci, coś dziś prawiła o porządku, sprawiedliwości i t. p. bredniach. Porządek i sprawiedliwość! Gdzie? We wszechświecie? Głupstwo! Porządek i sprawiedliwość! Trochę gazu i wirujących atomów — niewiadomo skąd wyrzuconych — to wasz porządek, wasza sprawiedliwość, wasz Bóg!

Upadł na krzesło i śmiał się nerwowo. Lotys spostrzegła, że pośród obecnych wielu zwraca ku niej badawcze spojrzenia, jakby chcieli odpowiedzi na te słowa.

— Nie powinieneś tak przemawiać, Zouche,—odparła silnym głosem — nawet wtedy, gdy słowa twoje są tylko wybuchem goryczy i zwątpienia. Nie godzi się braciom podawać trucizny. W myślach twoich niema w tej chwili porządku, ani sprawiedliwości w sercu twojem, więc nie widzisz ich nigdzie: ani dokoła siebie, ani w niezmierzonym wszechświecie. A jednak rozum i logika świadczą, że niewzruszone prawa rządzą światem, a doświadczenie uczy, że te same prawa są zarazem sprawiedliwością. Przyczyna bytu nie jest bezmyślnym przypadkiem. Mądrość jej podziwiamy w tysiącznych objawach, gdyż

jesteśmy jej cząstką. Wiedza rozszerza tylko jej granice, coraz szersze i nieobjęte dla naszego umysłu, ale zarazem coraz doskonalsze, w miarę jak je lepiej poznajemy. Naszą drogą jest badać, dążyć coraz wyżej. To nasz rozwój, to postęp! A któż nie widzi postępu ludzkości na tej odwiecznej, nieskończonej drodze? I czyż ten postęp nie jest zaprzeczeniem śmierci? Życie nasze to jedno ogniwo w łańcuchu; czyż nie łatwo zrozumieć, że następne od niego zależeć musi? Wznosimy się lub spadamy w miarę pracy naszej, w miarę rozwoju ducha w ciągu pobytu na ziemi. Objawem ducha—myśl nasza. Grzech przeciwko duchowi zniżać jej drogę do rzeczy poziomych albo truć fałszem i brakiem wiary w jej własną treść, cel i początek. Gdybyś miał wiarę, Zouche, byłbyś czem innem: byłbyś większym poetą i lepszym człowiekiem!

Mówiła ze wzrastającą siłą i zapałem, który znów magnetycznie działał na słuchaczów.

— Bardzo pięknie! — odezwał się wreszcie poeta.—Ty wierzysz w Boga, Lotys, więc gdy będziesz szła do nieba, uczepię się twej sukni, abyś mię z sobą zabrała. Tam będziesz mogła powiedzieć przed Panem:—Oto biedny Zouche, który w najgorszych warunkach pisywał rzeczy nawet piękne niekiedy i który

dla przyjaźni wolał zostać ubogim, niż przyjąć w darze złoto.

Lotys uśmiechnęła się dobrotliwie, choć smutnie.

— Dobrą znalazłeś dla siebie obronę — rzekła łagodnie.—Być wiernym przyjacielem i szczerze kochać piękno — to dwa kroki do nieba.

— Nie mówię, że kocham piękno! — zaprzeczył Zouche z uporem.—Szukam go tylko, marzę o niem, ale nie widzę go nigdzie! Niema go na tej ziemi. Niema piękna: wszystko jest straszne, wszystko jest czarnym grobem, który nas pochłonie. Najpiękniejsza twarz kryje brzydki szkielet, błękitna powierzchnia morza osłania tysiące żarłocznych i ohydnych potworów, pod zielenią pól i lasów kryje się brzydkie robactwo, a wszechświat cały z jego kometami czyż nie jest snopem iskier, które gasną? Straszne to wszystko, straszne! — dodał z dreszczem wstrętu. — Nie mówmy o tem. Po co nam ta czarna prawda? Lepsze piękne kłamstwo, piękne, słodkie, zwodnicze! Wierzmy w uczciwość mężczyzn, miłość kobiet, chóry anielskie, w dziewice i świętych—to bardzo miło! Daleko milej, niż powiedzieć sobie, że Bóg jest tylko wszechniszczącym ogniem! Wiedza daje cier-

pienie, a prawda zabija, więc kłamstwo jest potrzebne!

Głos zadrżał mu i osłabł, twarz stała się bladą, potem ziemisto-szarą, głowa opadła bezwładnie, i całe ciało zwisło na poręczy krzesła. Leroy pierwszy pośpieszył na pomoc, ale wstrzymał go Sergiusz, nakazując spokój. Pequita tylko wysunęła się z rąk Lotys i lekko zbliżyła do niego.

— Pawle! kochany Pawle!—prosiła głosem dziecięcym.

Drgnął i wyciągnął rękę, szukając nią czegoś w powietrzu. Pequita ujęła ją w obie dłonie, ogrzewając ciepłem rąk własnych.

— Obudź się, Pawle! — prosiła go słodko.—Spisz już tak długo!

Zwolna otworzył oczy. Szara bladość zaczęła znikać z jego twarzy, podniósł głowę i próbował się uśmiechnąć.

— To ty, Pequito? Dobrze, drogie dziecko!—przemówił cicho.

Podniósł jej małą rączkę i przycisnął do ust. Dwie łzy spłynęły mu cicho po twarzy.

— Biedne dziecię!—powtórzył. — Ciężko pracujące dziecię!

W sali panowało zupełne milczenie. Zouche powracał do przytomności i uspokajał się zwolna, współbiesiadnicy patrzali na niego z nieudanem współczuciem, oczy Lotys były

łez pełne. Pasquin Leroy doznał dziwnego wzruszenia: po raz pierwszy błędy i grzechy człowieka zbudziły w jego sercu uczucie litości. Pragnął pocieszać, łagodzić, rozgrzewać, koić wszelkie cierpienia i rozpraszać smutki. Umiał jednakże panować nad sobą i chciał panować, gdyż w tej chwili lękał się prawie słów własnych, gdyby dał im popłynąć.

Na szczęście, Valdor ujął znowu skrzypce, a głos jego wtórował tym razem muzyce. Spiewał pieśń smutną i pełną rzewności, która spływała jak balsam na rany, grała na strunach serca i poiła duszę niewysłowioną a słodką tęsknotą.

Umilkł nakoniec, lecz wszyscy milczeli, zasłuchani w echa tej cudnej melodyi. Sergiusz Thord pierwszy przemówił nakoniec:

— Dzięki ci za muzykę. Mówią, że uwalnia ona duszę człowieka z mocy złego ducha.

— Niekiedy. Bywa jednak i przeciwnie: budzi szatana, zamiast go okiełzać. Sztuka jak cnota—ma także dwie strony.

Zouche trzymał w dłoni wciąż rękę Pequity i zdawał się wyczerpany i bezsilny, jak człowiek po chorobie lub ciężkim ataku.

— Dobrą jesteś,—przemawiał cichym łagodnym głosem—bardzo dobrą. Zawsze bądź taką. Ja wiem, że to trudno, ale kobiecie

łatwiej niż mężczyźnie. Kobieta ma więcej dobroci.

— A cóż taniec? — zapytał Sergiusz. — Północ blizko, Lotys pewnie zmęczona.

— Mogę tańczyć zaraz! — odezwała się żywo Pequita, spojrzawszy pytającym wzrokiem w oczy Lotys.

Lotys się uśmiechnęła. Kllku mężczyzn natychmiast pośpieszyło usunąć stoły i zrobić odpowiednie miejsce.

— Czy zagrasz pan i dla mnie, panie Valdor?—spytała, patrząc na skrzypka z dziecięcą jeszcze nieśmiałością.

— Z największą chęcią, dziecko! Cóż ci zagrać? Taniec elfa w blasku księżyca, czy złotej muszki, uwikłanej w sieć pajęczą?

Pequita namyślała się nad odpowiedzią, a Zouche powtórnie podniósł do ust jej małą rączkę.

— Bardzo lubisz tańczyć?—zapytał Leroy, z zajęciem patrząc na ciemną twarzyczkę i wielkie czarne oczy.

Pequita uśmiechnęła się do niego.

— O, tak! Chciałabym bardzo tańczyć wobec króla!

— Wobec króla? Wstydź się, Pequito!— zawołało kilka głosów z oburzeniem.

— Dlaczego? — spytało dziewczę. — To byłoby bardzo dobre dla mnie i dla ojca.

W tym teatrze, gdzie tańczę, tacy wszyscy smutni i biedni! Ja lubię tańczyć dla nich, i oni mię lubią, ale przecież dlatego powinni się cieszyć, gdybym tańczyła w królewskiej operze, bo wiedzieliby, że zarabiam więcej, aby dopomódz ojcu.

— Znakomita logika,— zaśmiał się Max Graub wesoło — a zarazem odkrycie stanowiska, na którem król bezwarunkowo jest potrzebny i pożyteczny!

— Kto wie, Pequito, czy nie mógłbym spełnić twych marzeń—rzekł Leroy po chwili.—Znam reżysera królewskiej opery, poproszę go, aby ci pozwolił debiutować.

Pequita poskoczyła, jakby frunęła na skrzydłach, oczy jej błysnęły dumą i radością, nagle padła przed Pasquinem na jedno kolano i do jego ręki przycisnęła usta.

— Jakiś dobry! jakiś dobry!—powtarzała.—Jesteś dobrocią samą! Zobaczysz, jak ci będę wdzięczna! Ach, zobaczysz!

Pasquin zakłopotany ujął jej rączkę w obie dłonie.

— Biedne dziecko! — rzekł ze współczuciem.—Nie dziękuj mi, bo nic jeszcze nie zrobiłem. Niewielka rzecz poprosić... Bądź zupełnie pewna, że zrobię wszystko, co mogę.

— I inni będą ci także wdzięczni za to—rzekła Lotys, dziękując mu spojrzeniem,

które z tak dziwną siłą oddziaływało na niego. Zouche, nawpół rozumiejąc, o co chodzi, odezwał się niepewnym głosem:

— Pequita zasługuje na wszystko, co dobre: ona więcej warta od nas! My dla siebie tylko musimy pracować, a tyle mówimy o pomocy innym. Ona pracuje nietylko dla siebie—i nic nie mówi... To geniusz! mówię wam, że jest geniuszem! Zatańcz nam taniec ze sztyletem, Pequito! Niech nasz przyjaciel Leroy zobaczy, żeby cię mógł pochwalić.

Pequita pytająco spojrzała na Lotys, a gdy ta skinęła głową, zwróciła się do Valdora:

— Wiesz pan, jak grać?—spytała.

Valdor dał znak twierdzący i sięgnął po skrzypce. Mężczyźni usunęli się pod ściany, siedząc lub stojąc, jak komu dogodniej. Pequita wybiegła na chwilę do drugiego pokoju i wróciła bez czarnej sukni, którą miała na sobie dotąd. W krótkiej, czerwonej spódniczce i jasnym gorseciku wyglądała całkiem inaczej; czarne bogate włosy, rozpuszczone, spadały jej na plecy i ramiona; w ręku ściskała krótki, błyszczący sztylet.

Valdor pociągnął smyczkiem, i w tej samej chwili dziewczę, jak amazonka, rzuciło się naprzód, błyskając ostrzem noża, kręcąc się, wirując to lekko niby motyl, to wdzięcz-

nie jak łabędź, to zuchwale i bystro jak młody jelonek, trwożnie, rozkazująco, dumnie i nieśmiało, zmiennie z każdą minutą, a lekko i wdzięcznie, niby leśna boginka, czy grecka dryada. A sztylet błyskał tu i tam jak gwiazda, i błyskał znowu; czarna masa włosów rzucała się w nieładzie, płonęły jej oczy, płonęły usta, jak pączek granatu, a twarz była rozpromieniona przyjemnością tańca i młodzieńczym zapałem.

Leroy śledził jej ruchy z zajęciem. Zdawało mu się, że nie widział dotąd nic podobnie lekkiego i wdzięcznego, jak ta dziecięca postać. Czerwona spódniczka chwilami wydawała się czerwonym kwiatem, który wiatr niósł w powietrzu. A nad nią oczy, usta i sztylet błyszczący i ruch rytmiczny, wdzięczny, pełen siły.

— Brawo! Brawo!—rozległy się wkoło wołania, ale dziewczę, podniecone własnym ruchem, ledwie tykając ziemi, błyskało jak płomień, barwą krwi, błyskiem stali, uśmiechem, spojrzeniem.

— Brawo! — zawołał powtórnie Leroy, i w tej chwili Pequita padła przed nim na kolana, mierząc sztyletem w serce.

— Czy tak dobrze?—spytała z figlarnym uśmiechem, z odchyloną w tył głową, w pełnej wdzięku pozie.

— Slicznie! — zawołał Pasquin, a gdy podnosiła się wreszcie, wziął jej rękę i wsunął na mały paluszek pierścień z dużym brylantem.

— Weź to na pamiątkę ode mnie, wdzięczne dziecko — rzekł łagodnie. — Niech ci zawsze przypomina dzień dzisiejszy.

Pequita błyszczącym wzrokiem patrzała na klejnot. Nagle zdjęła go z palca szybkim ruchem.

— Nie!—zawołała.—Nie mogę! Nie mogę! Lotys, nie mogę, prawda?

Lotys zbliżyła się na to wezwanie, wzięła w rękę pierścionek, obejrzała go uważnie i podała Pasquinowi.

— Pequita ma słuszność—rzekła spokojnie, lecz stanowczo. — Byłaby to dla niej za wielka pokusa. Ojciec jej cierpi nędzę, więc poczucie obowiązku kazałoby jej sprzedać ten klejnocik; gdyby go zatrzymała, nie miałaby czystego sumienia. Pozwólcie mi być sędzią— dodała po chwili, widząc przykre uczucie na twarzy Pasquina:—dasz jej pierścionek wtedy, jeśli ci się uda dotrzymać obietnicy i wyrobić jej zamówienie do opery królewskiej. Wtedy zmieni się dla niej wiele. Więc czy zgoda?

Mówiła tak łagodnie, przekonywająco, że musiał jej ustąpić i przyznać słuszność bez urazy. Byłby chętnie dał Pequicie rulon zło-

ta, lecz czuł, że nie czas jeszcze występować z roli.

— Niech więc tak będzie, jak pani uważa—rzekł grzecznie. — Masz, Pequito, u mnie tę pamiątkę do czasu, gdy po raz pierwszy zatańczysz przed królem.

Pequita przycisnęła do ust jego rękę, przytuliła się do Lotys i ucałowała jej usta, a potem zgromadzeni zaczęli rozchodzić się zwolna.

Sergiusz zatrzymał Leroy na stronie.

— Czy rzeczywiście jesteś zagrożony z powodu naszej sprawy?—spytał cicho.

— Nie — odparł Leroy szczerze. — Bądź spokojny, w każdym razie potrafię niebezpieczeństwa uniknąć. Udało mi się zastraszyć Perousse'a i Josta—to wszystko.

— Josta!—zawołał Sergiusz.—Filar prasy! Nastraszyć Josta! To niezwykła sztuka.

Leroy się roześmiał.

— Zachwiać go może trudno — rzekł z lekceważeniem. — Ale to przecież wszystko oparte na akcyach.

Odwrócił się, ponieważ ktoś dotknął jego ramienia. Paweł Zouche stał przed nimi z bladą, zmęczoną twarzą i zagasłemi oczyma.

— Dobranoc, przyjaciele—rzekł zmęczonym głosem.—Głowa mię dziś zawiodła, pójdę spać do domu.

— A gdzie mieszkasz?—zapytał Pasquin.

Zouche spojrzał tajemniczo.

— W pałacu, drogi panie! W złoconym pałacu, pełnym cudownych marzeń. Są tam rzeczy, których za złoto nie kupisz, — nie, nie! — za królewskie nawet skarby! To moje, tylko moje! Choć nie płacę żadnych podatków.

— Czy przyjmiesz to ode mnie? — zapytał Leroy, dając mu sztukę złota: — ot tak, po przyjacielsku, jak od towarzysza?

Zouche popatrzał na niego.

— Szczerze tak myślisz? — spytał.

— Zupełnie szczerze. Wierz mi, Zouche, jak ja wierzę, że wypłyniesz. I będziesz jeszcze sławny, a może wkrótce oddasz mi tem samem.

Zouche przyjął sztukę złota i uścisnął mu rękę.

— To dobrze — rzekł z wahaniem. — Powinieneś wiedzieć, że jestem ubogi — często głodny—często pijany—a jednak coś *tam* jest!—dodał, uderzając się w czoło. — Tylko „sława“—nie dla mnie! Na to trzeba mieć silne pięście i nie oszczędzać sąsiadów. Nie! Dobranoc. Jesteś podobny do króla, ale masz więcej, niż on — bo masz serce. Dobranoc, Pequita... bardzo dobrze tańczysz. Dobranoc,

Lotys... bardzo pięknie mówisz. Każdy spełnia, co umie, dobrze, bardzo pięknie, oprócz biednego Pawła!

Pequita podbiegła ku niemu.

— Dobranoc, dobry Pawle

— Dobranoc, mała — odparł, całując ją w czoło.—Będziesz w modzie, jeżeli dostaniesz się do opery. To sława. Nie zapomnisz wtedy o Pawle?

— Nigdy! nigdy... Lotys, ojciec i ja zawsze będziemy cię kochali.

Zouche zaśmiał się krótko.

— Zawsze mię kochać! Dobrze. Dziwne rzeczy mówią niekiedy dzieci, nie wiedząc, co mówią.

Skłonił się towarzystwu i ze spuszczoną głową skierował ku drzwiom.

Inni rozchodzili się także; każdy żegnał Lotys i Sergiusza. Lampy gasły. Gospodarz we drzwiach stał ze światłem w ręku i żegnał wszystkich dobrem i życzliwem słowem. Pequita mieszkała z ojcem w tym samym domu, co Sergiusz, więc Lotys oddała mu dziewczynkę pod opiekę.

— A ciebie kto odprowadzi? — pytał Thord troskliwie.

— Jeśli mnie wolno?—rzekł Leroy prawie nieśmiało.

Max Graub i Axel Regor spojrzeli na siebie.

— Naturalnie — rzekła Lotys bez wahania.

Zarzuciła ciemny płaszczyk. Thord wziął Pequitę za rękę.

— Dobranoc, Lotys.

— Dobranoc, Sergiuszu.

Leroy zwrócił się do dwóch przyjaciół:

— Idźcie sami — rzekł stanowczo.

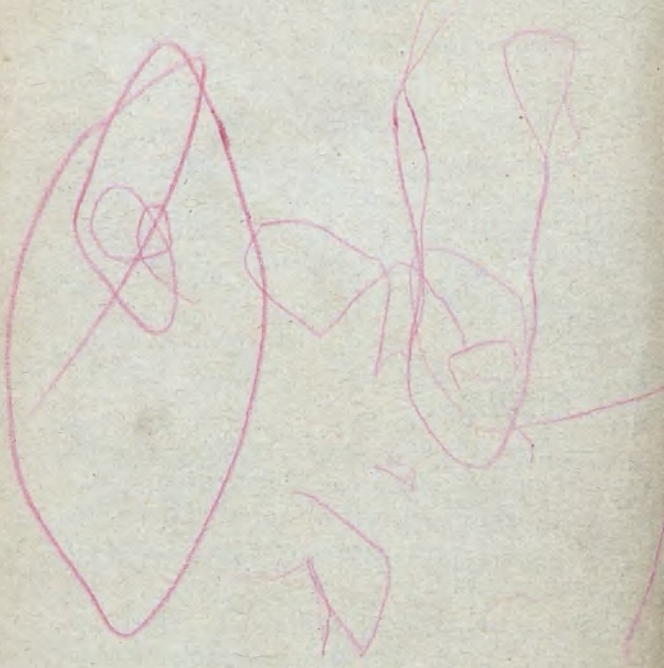
Daremne były ich spojrzenia pełne trwogi — towarzystwo rozdzieliło się za progiem, i każdy poszedł w swoją stronę. Max i Axel tylko stali pod hotelem, śledząc dwie postacie, niknące w ciemności.

— Czy było kiedy coś podobnego na świecie! — zauważył Max wreszcie.—Narażać w ten sposób życie!

— Nie jesteśmy temu winni — odparł z westchnieniem Regor. — Robimy, co w naszej mocy, ale ścigaj, wróblu, orła! Na to już niema rady. Przysięgliśmy posłuszeństwo i słuchać musimy.

Szli zwolna i w milczeniu, pogrążeni w myślach, może dręczeni niepokojem. Ale w dzielnicy ubogich, po nierównym bruku, Pasquin Leroy stąpał, jak po kwiatach,

z sercem wezbranem dziwną i słodką radością, słuchając głosu Lotys, szczęśliwy, gdy czasem przy blasku księżyca ujrzał jej głębokie oczy, patrzące nań z dziecięcem zaufaniem.



TOM DRUGI.

I.

Minęła wiosna, lato było w całej pełni. Opinią kilkakrotnie w ciągu tego czasu wstrząsały wieści o grożącej wojnie, które znów przycichały i znów się zjawiały za pośrednictwem prasy, niby wybuchy wulkanu, któremu nigdy dowierzać nie można. Wzrastało także wrzenie pod wpływem dość ciężkich nowych podatków, których konieczności uznać nie chciano. Sergiusz Thord zwoływał dwukrotnie wielki mityng, na którym Pasquin Leroy był obecny, nie odstępując prawie nowego przyjaciela. Wogóle zrozumiano prędko w komitecie, że Leroy jest jednym z najdzielniejszych członków, i podziwiano jego

niezmordowaną energię. Jego dwaj towarzysze nie okazywali podobnej gorliwości, nie można im było jednak nic zarzucić, gdyż wszyscy trzej wspierali się wzajemnie.

Wieści o grożącem Pasquinowi aresztowaniu, w połączeniu z bezustannem narażaniem się na niebezpieczeństwo, nakazywały szczególną ostrożność. Uchwalono też w komitecie, że imię jego nie będzie nigdy wymieniane, i dzięki temu był on dla ogółu osobistością zawsze bardzo mało znaną, gdyż tylko wtajemniczeni zupełnie oceniali całą wartość tego niezwykłego człowieka.

Wartości tej nie znało niewątpliwie nawet najbliższe jego otoczenie, ludzie, na których oprzeć się miał w swych dążeniach. Rada ministrów zbierała się niejednokrotnie, król osobiście zjawiał się nieoczekiwany, lecz tajemnice gabinetu nie przenikały nigdy poza jego progi. Powszechnie też narzekano na monarchę, oskarżając go o obojętność względem kraju i poddanych.

Tak wszystko szło na świecie swoim torem, i w pałacu królewskim nie zmieniło się też nic na pozór. Król, jak zawsze, przyjmował, bywał w towarzystwach, uważany za najszczęśliwszego śmiertelnika; królowa, wiecznie młoda i kwitnąca, ukazywała się oczom ciekawym. Jedynym niecodziennym faktem

w życiu dworskiem był już zapowiedziany wyjazd następcy tronu, który zamierzał odbyć dłuższą podróż za granicę na własnym statku, a dzień wyjazdu przypadał za kilka tygodni. Dzienniki rozpisywały się bardzo o tej podróży, a chociaż nie wiedziały o jej przyczynach i celu, głęboko i gruntownie były przekonane, że najdrobniejszy szczegół tego faktu nie uszedł ich przenikliwości. Ogół dość obojętnie czytał te długie opisy, nie widząc nic ważnego w całym tym wypadku: książę, następca tronu, za mało był znany i za mało łączył się z ludźmi, ażeby osobiście wzbudzać w nich jakieś uczucia. Był dotąd tylko firmą, w której nie odgadywano żadnej wybitnej indywidualności.

Kim był w istocie, wiedzieli jedynie rodzice i von Glauben, ale ich milczenia nie przenikał nawet bystry wzrok Rogera, który przypuszczał, że na dnie wszystkiego leży jakaś przygoda romantyczna, lecz nie posądzał księcia o małżeństwo. Królowa wieść tę przyjęła spokojnie; uśmiechnęła się zimno i rzekła tym tonem, który sam nic nie mówi:

— Arystokracya zwykle żeni się ze śpiewaczkami, należy więc być wdzięcznym przeznaczeniu, że książę wybrał niewinną wieśniaczkę.

— Małżeństwo jest nieważne — odparł

król z westchnieniem.—Wystarcza ono dzisiaj dla zaspokojenia skrupułów uczciwości i honoru księcia, lecz nie będzie nigdy uznane przez państwo.

— Naturalnie — rzekła przeciągle.—To wyjaśnia zupełnie tajemnicę Wyspy. Poznawszy ją, zapewne ożenisz go wkrótce z księżniczką krwi królewskiej?

— Prawdopodobnie.

— Jak nas związano — rzekła z głębokiem spojrzeniem.

Król schylił głowę na znak potwierdzenia

— Niewątpliwie! — rzekł mocno.

— Więc próba się udała — zauważyła zimno ze swym zwykłym uśmiechem. — Zdawało mi się jednak, że była ci nieraz za ciężka.

Król spojrzał na nią jasnym i spokojnym wzrokiem, ogarnął tem spojrzeniem jej twarz wiecznie młodą i nieśmiertelną, wiecznie świeżą piękność.

— Gdybyś mię kochała, — rzekł zwolna, dobitnie — nie wiedziałbym napewno, co to znaczy pragnąć, lub szukać miłości.

Coś drgnęło w pięknej twarzy niezwykłej kobiety, a głos jej miał ton dziwnie i niezwykle miękki, kiedy odpowiedziała cicho, jakby sobie:

— Nie kochałam nikogo w swojem życiu. Dni miłości minęły. Humbert — zdaje się jednak —wynagradza mój brak uczucia.

Odwróciła się, jakby chcąc położyć koniec rozmowie na ten temat, lecz kiedy po raz pierwszy ujrzała Humberta, w jej spokojnem spojrzeniu błysnęła ciekawość

— Masz piękną żonę, podobno, Humbercie? — zagadnęła z uśmiechem.

— Jest najpiękniejszą kobietą na ziemi, nie wyłączając nawet ciebie, matko — odparł syn bez wahania.

— W każdym razie — szaleństwo. Całe szczęście, że takie rzeczy układają się jakoś na tym świecie, i że twa przyszłość nie ucierpi z tego powodu. Rada jestem, że wyjeżdżasz, zapomnisz prędzej.

Syn spojrzał na nią z poważnem zdziwieniem i głębokiem współczuciem, lecz nic nie odpowiedział, oddalił się tylko, unikając odtąd wszelkiej rozmowy z matką w tym kierunku. Królowa jednak ze szczerem zdziwieniem spostrzegła, że ją ten temat zajmuje, że myśli o sielance swego syna, w której dla siebie nie znajduje miejsca; że nie jest to wypadek, po którym spokojnie przejść można do zwykłych zajęć.

Może pierwszy raz w życiu znalazł się przedmiot dość ważny, by połączyć małżon-

ków nicią tajemnicy, wiodącą do porozumienia. Kilka poufnych rozmów nie wyczerpało zadania, lecz pozwoliło wreszcie obrać drogę, na której spodziewano się osiągnąć rezultat pożądany. Profesor Glauben brał w nich czynny udział i przyjął ważną rolę.

Ostatecznie pewnego pięknego poranku królewski statek wypłynął na morze i podążył ku Wyspie. Niebo było bez chmurki, a błękitna fala zdawała się uśmiechać do słońca i wiatru, igrając z lekkim jachtem, który przesuwał się po niej, spokojny i milczący. Tym razem na pokładzie nie brzmiały rozmowy wesołego orszaku, a jedynym gościem, który śpieszył ku Wyspie, był stary profesor. Siedział na pięknem krześle z krótką fajką w ustach i nie starał się badać przeczuciem ani myślą, jak zdoła wypełnić poselstwo. Wiedział, że to zależy od kobiety, a któż kiedy odgadnąć zdoła, co odpowie lub postanowi kobieta?

Król rozkazał, więc płynął. Król zalecił mu tajemnicę przed Humbertem, więc spełniał jego wolę. Od owego dnia pamiętnego nie odwiedzał Wyspy ani razu i nie wiedział, że Glorya wie dziś, kim jest jej małżonek. Miał jej odsłonić właśnie tę mniemaną tajemnicę i przywieźć ją na statku do stolicy, aby w obecności króla i królowej

poznała swoje położenie i zdała sobie z niego jeszcze sprawę.

„Ciężki to obowiązek,—myślał z niechęcią von Glauben — lecz spełnić go musiałem. Polegam zresztą po raz pierwszy w życiu na kobiecie, która jest dzieckiem natury, i mam nadzieję, że się nie zawiodę.“

Statek zarzucił kotwicę na morzu, opodal od przystani, a doktor wsiadł w łódkę i z jednym tylko majtkiem zbliżył się do brzegu.

W blasku słońca Wyspa jaśniała urokiem niewysłowionej świeżości natury; drzewa, okryte kwiatem lub owocem, rozlewały woń słodką i nęciły oko; kraj cały zdawał się błogim zakątkiem, gdzie mieszka szczęście, a panuje spokój. Na brzegu kilku ubogich rybaków naprawiało sieci, na polach widać było pracujących ludzi.

Profesor wysiadł, polecając majtkowi, aby wrócił do statku i był w pogotowiu na dany znak każdej chwili. Następnie poszedł dobrze znaną drogą.

„Jakże przykro zakłócać jej dziecięcy spokój! — myślał ze szczerym żalem. — Cóż jej wynagrodzi to życie proste, niewinne, bez troski? Ze starym także mogę mieć przykrości. Nie wiem, czy w tym wypadku jego

filozofia okaże mu się tarczą dostateczną przeciw ziemskim uczuciom.

Znany domek wkrótce ukazał się przed nim, ocieniony drzewami, pełen świeżości, cienia i kwitnących kwiatów. Ronsard zajęty był właśnie w ogródku; usłyszał skrzypnięcie furtki, bo odwrócił głowę, lecz nie przerwał swego zajęcia. Von Glauben zbliżył się zwolna ku niemu, spotkał go jednak wzrok pełen wyrzutu i nieoczekiwanej surowości.

— Jesteś tu znowu? — spytał zimno i surowo. — Przybyłeś się przypatrzyć sprawkom swego pana, czy może złożyć należny szacunek żonie następcy tronu?

Profesor cofnął się, jak uderzony.

— Więc... wiesz... wszystko? — wyjąkał.

— Wiem wszystko. Bądź spokojny! — odparł starzec gorzko.—Powiedziała mi prawdę—i mogę cię zapewnić, że dla niej jedynie zostawiłem mu życie!

— No, to już nieźle!—zauważył doktor, ocierając pot z czoła. — Oszczędza mi to tłómaczenia rzeczy. W każdym razie jesteś przecie filozofem i to chyba rozumiesz, że co się stało, jest faktem spełnionym i odstać się nie może.

— O tem nikt chyba lepiej wiedzieć nie może ode mnie! — szepnął Ronsard, rzucając ponure wejrzenie. — Przeznaczenie jest prze-

znaczeniem, a drogi losu nikt nie zmieni. Przeznaczenie jest może zemstą, — ciągnął dalej jakby do siebie, — może sprawiedliwością, tą nieubłaganą... Nie patrz na mnie tak dziwnie: jestem zabójcą, i oto syn królewski zabił szczęście moje. Tak, to jest sprawiedliwość!

Pochylił głowę i utonął w myślach, jakby zapomniał o jedynym świadku nieoczekiwanego zupełnie wyznania. Von Glauben także długo stał, jak ogłuszony.

— Książę Humbert jest człowiekiem uczciwym, — rzekł wreszcie — i dotąd słowo jego ma całą wartość i znaczenie.

— Bah! Słowo! — zaśmiał się Ronsard szyderczo.—Cóż ono znaczy? I któż mu pozwoli liczyć się z zobowiązaniem, którego nie potwierdzono? Przedstawi może światu swoją żonę, rozbitka bez imienia i rodziny? Zażąda, aby uznano w niej przyszłą królowę? Takie rzeczy nie dzieją się na świecie. Porzuci ją i weźmie inną, którą mu przeznaczy prawo, a świat potwierdzi, że wszystko w porządku.

Z energią zawziętości zaczął kopać ziemię w miejscu, gdzie miał posadzić krzaczek róży. Gdy skończył pracę, wsparł się o rękojeść rydla i zaczął mówić znowu z wyrazem rozpaczy:

— Straszny jest Bóg i groźny w swych

wyrokach. Niema ucieczki przed nim! Ukryłem się przed światem, zginąłem bez śladu, nikt nie wiedział o mojej zbrodni, którą z rozkazu innych popełniłem. Nie miałem żony, dziecka, ani przyjaciela, jednej życzliwej duszy w świecie całym, — któż zesłał mi w tej pustce anioła-pocieszyciela? Wierzyłem, że On zesłał, że mi przebaczono. Wszak każdą chwilą pracy chciałem okupić swą winę. Pracowałem dla innych, nie żyłem dla siebie, odkąd rozbicie statku na tych skałach ocaliło mię od wymiaru ludzkiej, srogiej sprawiedliwości. Z całej załogi jeden ocalałem—czyż to nie wyrok Jego? Ocalił mię, dał wolność, i płaciłem za nią pracą i poświęceniem dla mych młodszych braci, a czyniąc dobrze, pragnąłem jedynie zmazać, odkupić zbrodnię!—Odkupić ją, odkupić! Zesłano mi dziecię. Czyż to nie przebaczenie i błogosławieństwo? Więc pokuta moja tam, w górze, przyjęta? Więc policzono mi i złe i dobre? Och, On jest miłosierny!—Nie prawda, nie prawda! Kara okrutna dosięga mię wreszcie, nie mnie, lecz dziecko moje! Jedyne kochanie! Wszystko, co miałem na świecie drogiego!

Odwrócił głowę, lecz tłumione łkanie wstrząsało nim wyraźnie. Von Glauben położył mu rękę na ramieniu.

— Bądź mężczyzną — rzekł miękkim, lecz stanowczym głosem.—Powierzyłeś mi tajemnicę, bądź o nią spokojny zupełnie. Cierpiałeś wiele i kochałeś wiele; ufaj, że wina twoja przebaczona będzie. I nie oskarżaj Boga, że za ciebie karze niewinne dziecko. W czem widzisz karę? Czy jest nieszczęśliwą?

— Kto? Glorya nieszczęśliwa? — zawołał z przestrachem.—Nie, nie jeszcze! Jeszcze jest wiosną, jeszcze jest pięknością lata. Od niej wiem wszystko; dlatego on żyje.

— Niezła logika — zauważył doktor, odzyskując zwykły spokój. — Zapewniłbyś jej szczęście, zabijając tego, którego kocha. A może ją także? Byłby prawdziwy szlachtuz, jak w „Hamlecie!“ Życie, doprawdy, jest bardzo wesołe!

Odetchnął świeżem i wonnem powietrzem, zwrócił spojrzenie na kwitnące krzewy i uczuł się znowu zupełnie swobodnym. Książę Humbert ułatwił mu bardzo zadanie. „Uczciwy chłopiec, zawsze to mówiłem“ — pomyślał sobie, a głośno zapytał:

— Dawno wiesz całą prawdę?

— Od kilku dni. Przyjechał tu raz wieczorem mąż Gloryi—nie mogę nazywać go inaczej—wyszli razem, a potem... ona wróciła

sama. Powiedziała mi wszystko—wszystko—całą prawdę — i myślałem, że oszaleję!

Podniósł oczy ku niebu i przez kilka minut widocznie walczył ze wzruszeniem, nakoniec zaczął znowu:

— Drugiej Gloryi niema na świecie! Nie będzie drugiej takiej! Gdy szalałem i klątem, stała nieruchoma, blada, ale milcząca, — wielki anioł cichy! Ale kiedy wybuchnąłem przeciw niemu, podniosła rękę i przemówiła, jak królowa: „Zabraniam ci jednego słowa przeciw niemu! zabraniam ci!“ I oniemiałem. Ona mi zabrania? Ona? To dziecko, które wychowałem, rozkazuje mi, jak niewolnikowi, a ja jej słucham! Straciłem ją, straciłem! Nie jest już moja, należy do niego i pełni jego wolę, śpiewa, jak jej każe. I nie rozumie dzisiaj, co ją czeka, ale ja wiem, choć milczę — do czasu — do czasu! Krzywdy jej nie daruję.

— Może nie będzie krzywdy — rzekł Glauben spokojnie. — Głupstwobyś zrobił, zostając po raz drugi zabójcą. Głupi interes i zabawa głupia. Ty, filozof, powinieneś przecie o tem wiedzieć! A co do Gloryi, straciłeś ją wtedy, kiedy została żoną. Jako filozof, powinieneś przecie rozumieć to oddawna. Stało się. Ściśle biorąc, trzeba przyznać nawet, że się irytowałeś zupełnie na

kredyt, skoro Glorya dotąd zupełnie szczęśliwa i prawdopodobnie szczęśliwą zostanie, ponieważ należy do tych rzadkich ludzi, którzy szczęście noszą w sobie. Ty właściwie, jako filozof, powinieneś był stanąć wobec losu z całem doświadczeniem i spokojem mędrca. Zaprzecz mi, jeśli możesz. Los i fakt to dwie rzeczy, wobec których gniew człowieka jest bezsilny, a co gorsza — śmieszny. Ale nie chcę być filozofem, to nie moja rola. Przybyłem jako poseł, na rozkaz królewski, ażeby zabrać Gloryę.

Ronsard zsunął brwi czarne i patrzał ponuro.

— Zabrać? — powtórzył głucho. — Dokąd? po co? Co jej znów zrobić chcecie? Krzywdzić ją, znieważać? Nie dam jej, nie pojedzie!

— Hm! — mruknął doktor — jak na filozofa, masz złe przyzwyczajenie oburzać się z góry fałszywymi wnioskami! Jeśli łaska, postaraj się na krótką chwilę uciszyć szalejące burze swego ducha i posłuchaj spokojnie: Król przysyła po Gloryę, i jestem obowiązany przywieść ją przed oblicze Jego Królewskiej Mości. Nikt tam nie ma zamiaru krzywdzić jej ani znieważać. Odwiozę ci ją sam w całości po skończonem przyjęciu. Bądź, czło-

wieku, o nią zupełnie spokojny i zapytaj rozsądku: co jej może grozić tam, gdzie obecny będzie jej mąż, który przecież nie pozwoli jej krzywdzić i znieważać.

Ronsard machał rękoma, a spojrzenia jego pełne były bólu, rozpaczy i gniewu.

— Nic nie wiem! nie wiem! — wołał.— Jestem starcem. Nie jestem filozofem, jestem starcem! Świat jest zły i niegodziwy, wiem, że bać się trzeba. Wiem o tem! Ale tobie powierzę dziecko, jeżeli mi dasz słowo, że nic złego jej tam nie spotka!

Von Glauben ujął w milczeniu dłoń starca i uścisnął ją mocno. Chwilę milczeli obaj. Doktor przemówił pierwszy nieco stłumionym głosem:

— W tej chwili przyszła mi na myśl tragiczna historya arcyksięcia Rudolfa i nieszczęśliwej Maryi Veczera. Kto był przyczyną smutnej katastrofy? Nie oni sami. Ludzie pchnęli ich do tego. Niech to dla nas będzie przestrogą. Zapewniam cię honorem uczciwego człowieka, że król ma serce dobre i szlachetne, a poczucie sprawiedliwości niewzruszone. Poddani go nie znają i sądzą fałszywie na mocy pogłosek prasy, piór sprzedajnych. Książę następca tronu jest najzacniejszym chłopcem i ma wysokie poczucie honoru, a Glorya ma tak silny i wyjątkowy

charakter, iż można jej zostawić śmiało decyzyę o własnym losie.

— A królowa? — zapytał Ronsard. — Jest kobietą, żoną i matką, lecz czy potrafi być dobrą?

— Dobrą jest dla wszystkich, — odparł von Glauben z westchnieniem — gdyż ma to przekonanie, że nie warto być inną, lecz jej dobroć — to grzeczność tylko. Bóg zamiast serca w piersi jej umieścił kamień. Na szczęście, niewiele od niej zależy w tej sprawie. Możesz mi więc zaufać, i daję ci słowo, że nie pożałujesz tego zaufania. Gdzież jest Glorya?

Ronsard wskazał swój dworek.

— Czyta o dawnych czasach — rzekł z powagą. — Sergiusz Thord znowu dostarczył jej książek. A co *on* na to powie?

Doktor von Glauben zachmurzył się nagle.

— Sergiusz Thord? Któż to taki? — pytał niepewnym wzrokiem. — Aha! wiem... socyalista, przemawiający na ulicach! Zresztą, zdaje się, zdolny człowiek.

— Zdolny człowiek? — powtórzył Ronsard: — blade słowo! To wódz i geniusz! Jego wpływ i znaczenie wzrasta z każdą chwilą; niepodobna, abyś sam nie wiedział

o tem, ty, mieszkaniec stolicy i nadworny doktor!

— Wiem, wiem, — mruknął von Glauben — i dlatego właśnie nie wydają mi się zbyt odpowiedniemi dla Gloryi książki, których jej Sergiusz dostarcza. Wolałbym, aby czytała Heinego. Chętnie jej też przeszkodzę: musimy odpłynąć stąd za godzinę.

Przez nizkie drzwi weszli obaj do dużej izby z rzeźbionemi belkami u sufitu, gdzie nad wielką księgą, leżącą na stole, siedziała Glorya w wielkiej zadumie. Głowę wsparła na ręku, a łokieć na stole, wzrok utkwiła w przestrzeni, a zmarszczone czoło świadczyło o uwadze i skupieniu myśli. Na widok profesora uśmiechnęła się swobodnie i wstała na powitanie, księgę otwartą jeszcze przyciskając ręką.

— Nakoniec się zjawiłeś, profesorze! — rzekła.—Myślałam już, że zapomniałeś o Wyspie zupełnie, że sprzykrzyła ci się honorowa służba.

Von Glauben stanął niemy i zdumiony. Cóż za cudowna, tajemnicza siła oblokła proste dziewczę w taką królewską powagę? Była przecież tą samą, pełną prostoty i wdzięku, w skromnej sukience domowej roboty, a jednak gdyby zasiadła na tronie najpotężniejszego mocarstwa na ziemi, nie mogłaby

mieć więcej monarszej godności. Teraz zrozumiał okrzyk starego Ronsarda: „Ona jest jego!“ Świadomość stanowiska męża, duma z jego miłości i głębokie szczęście nadawały jej ten urok niezwykły, to poczucie wyższości względem innych ludzi. Von Glauben ujął podaną mu rękę i ze czcią podniósł ją do ust.

— Księżno! — rzekł z pełnym szacunku ukłonem — nie sprzykrzy mi się nigdy służba na twym dworze. Nie śmiałem się pokazać, nie wiedząc... lękając się...

— Rozumiem — pomogła mu miłościwie Glorya. — Nie wiedziałeś pan, że mąż powiedział mi już całą prawdę. Jestem prawdziwie rada, że się to stało nakoniec. Usiądź, ojcze — zwróciła się nagle serdecznym tonem do Ronsarda: — jesteś bardzo znużony, zanadto pracujesz.

Objęła go ramieniem i troskliwie, słodko spojrzała w oczy. Za całą odpowiedź starzec przycisnął usta do jej ręki.

— Wzywają cię *tam*, Gloryo — przemówił drżącym głosem.—Masz z nim jechać. Dziś jeszcze.

Spojrzała na doktora pytającym wzrokiem; musiał wyjawić wreszcie cel swego przybycia. Jest przysłany przez króla, który wie o małżeństwie i pragnie sam rozmówić się z synową. Audyencya będzie prywatna,

w obecności następcy tronu, potrwać może godzinę. Von Glauben ma obowiązek przywieźć Gloryę i odwieźć ją potem na Wyspę.

Oparta na ramieniu przybranego ojca, Glorya słuchała spokojnie, z uśmiechem.

— Będę posłuszna — rzekła — tym rozkazom, choć mogłabym odmówić, nie mając żadnego polecenia od męża. Sądzę jednakże, iż trzeba raz w życiu rozmówić się wyraźnie i otwarcie. Widzę, profesorze, żeś zakłopotany: czy masz mi jeszcze dać jakie wskazówki co do zachowania się mego na dworze?

Mówiła to pół żartem, z uśmiechem na ustach, i von Glauben zmieszał się bardziej.

— Ja? nauki? Nie, księżno! Wszak zawsze nazywałem cię księżniczką. Nie bez racyi. Przepisy i ceremonie? Ty je stworzysz, uczyć się nie potrzebujesz. Zakłopotany jestem tylko z tej przyczyny, że ciebie, dziecię morza i natury, prowadzę w pył światowy, nieznany ci, stary, że cię nie jedno tam urazić może tylko dlatego, żeś czysta i świeża.

— Miłość będzie jej światłem wśród ciemności piekła — rzekł Ronsard twardo.

— To prawda... miłość...—powtórzył profesor. — Więc wybacz, księżno, że nalegać muszę: czas nam w drogę.

Glorya pochyliła się do rąk Ronsarda.

— Bądź, ojcze, spokojny o mnie—rzekła cicho.—Niedawno mię uczyłeś z wielkiej księgi prawdy.

— Wiem, dlaczego wzywają mię król i królowa — dodała głośno z poważnym spokojem. — Mąż uprzedził mię o tem. Chcą mi wytłómaczyć nieważność i niemożliwość naszego małżeństwa według prawa i przyjętego zwyczaju. Mam odpowiedź na to gotową: usłyszysz ją, profesorze. Za chwilę popłyniemy.

Wyszła z pokoju; mężczyźni pozostali sami. Spojrzeli sobie w oczy.

— Sądzę, — rzekł von Glauben — że zbierzesz dobry owoc swego wychowania. Rozwijałeś jej umysł prostą drogą prawdy, rozbudziłeś moralną siłę charakteru, i wierzę, że w tej próbie okaże się wartość tych darów.

— Daj Boże! — szepnął Ronsard.—Nie wiem jednak, czy moja filozofia ma co wspólnego ze światem, którego od lat tylu nie widziałem. Filozofia! W spokoju łatwo mówić o niej, ale wobec nieszczęścia czyż nie jest bezsilną?

— Nie powinna nią być — rzekł von Glauben. — W dzisiejszem społeczeństwie odczuwamy prądy, dążące do wyniesienia mo-

ralnej siły ponad inne; zobaczymy, czy w tym wypadku nie będzie ona zwycięzcą.

— W jaki sposób? — zawołał Ronsard, przebiegając obszerny pokój wielkimi krokami.—Nic nie odmieni tego faktu, że byliśmy oszukani. Oszukani!... Teraz istnieje tylko dwojakie rozwiązanie kwestyi: albo Glorya zostanie żoną księcia, który zrzeknie się tronu, albo ustąpić musi na plan drugi wobec innego związku, czego jej duma, ani moja nie przeżyje. I zbrodnia moja znów staje przede mną...

— Radziłbym ci szczerze nie wspominać o niej — zauważył von Glauben z przelotnem spojrzeniem. — Nie dopytuję o nic. Co chcemy odkupić, to należy pogrzebać przedewszystkiem. Wierz mi, dyskrecya jest pięknym przymiotem. O tem, co boli, lepiej nie wspominać. Bo i po co? Ale otóż i Glorya.

Weszła spokojna, jasna i promienna, w prostej, białej sukience, którą nosiła od święta, i w grubym burnusie białym, zarzuconym na ramię. Włosy, związane z tyłu w gruby węzeł, upięła nakształt korony na głowie, i stała, jak wcielenie zdrowia, piękna i przyszłości.

— Nie mam dworskiego stroju — rzekła do profesora, który spoglądał na nią ciekawie przez okulary; — choćbym miała jednakże,

nie włożyłabym go dzisiaj. W tej sukni podobałam się mężowi; co dla niego wystarczyło, musi być odpowiednie i dla jego rodziców. Możemy iść.

— Jestem, księżno, na twe rozkazy — odparł Glauben głosem wzruszonym. — Bądź zdrów, Ronsardzie! Zobaczysz nas za kilka godzin, i tym razem niewątpliwie pod opieką męża. Nie lękaj się i bądź spokojny; wszystko skończy się dobrze.

— Skończy się dobrze, — powtórzył starzec drżącym głosem — jeśli zwycięży miłość... Glorya, dziecko moje!...

Nie mógł mówić, głos złamał mu się nagle, pobladł bardzo.

Glorya uklękła przed nim i oparła na swej głowie ręce starca.

— Pobłogosław, ojcze... nie słowem, lecz myślą.

Przez chwilę trwało głębokie milczenie. Nakoniec Glorya wstała, zarzuciła ręce na szyję Ronsarda i ucałowała go serdecznie. Potem wybiegła nagle, w alei ogródka wykręciła się jak mała dziewczynka, zaśmiała się srebrnym śmiechem i skinęła na profesora.

— Śpieszmy! — zawołała swobodnie, wesoło. — Żegnaj, poezyo tej cichej ustroni! Oto nastał dzień sztywnej formy. *Jesteśmy* przygotowani spotkać króla!

W pół godziny potem stary Ronsard, siedząc na wysokiej skale, zasłaniał dłonią oczy od słonecznego blasku i śledził wzrokiem na błękitnej fali szybko mknący statek królewski. Na pokładzie widać było białą postać, zwróconą w stronę Wyspy, jakgdyby chociaż wzrokiem pragnęła na niej pozostać najdłużej.

II.

Niezwykły i tajemniczy ruch panował dnia tego w królewskich apartamentach: przy drzwiach zdwojono wartę, surowe rozkazy zabraniały dopuszczać kogokolwiek do prywatnych pokojów króla i królowej. W godzinach popołudniowych powtarzano szeptem, iż młoda, niezwykłej piękności dziewczyna, piękniejsza od królowej, zjawiła się nagle pod opieką profesora von Glauben i wprowadzona była na prywatną audyencyę do monarchy. Kto to jest? Po co? Skąd? Jak ubrana?— krzyżowały się zapytania, na które można było tylko odpowiedzieć, że była ubrana biało. To niewiele. Samo podwojenie warty zwracało i podniecało ciekawość, a obecność doktora królewskiego dawała powód do nowych domysłów.

Glorya tymczasem siedziała spokojnie w obszernej i wspaniale urządzonej sali, oczekując na swego przewodnika, który pośpieszył naprzód do królowej, oznajmić o jej przybyciu. Z ciekawością patrzała na kosztowne sprzęty i całe artystyczne otoczenie, które sprawiało jej wielką przyjemność. W zwierciadle naprzeciwko ujrzała swą postać i obejrzała się wzrokiem krytycznym, przyznając z zadowoleniem, iż nie dostrzega na sobie nic takiego, co budziłoby żal, albo chęć zmiany. Nie była próżną, ale lubiła piękno, i we własnej osobie musiało jej ono sprawiać przyjemność. Podróż morska dodała blasku jej źrenicom, zdrowie malowało się w świeżości cery, a myśl jasna i wielkie, gorące uczucie promieniały w wyrazie twarzy. Nie czuła się zmieszaną ani niespokojną, gdyż zdała sobie sprawę ze swej przyszłości, miała o niej sąd własny, silne przekonanie i niewzruszoną wiarę w swoje prawa.

Wobec Boga i śmierci wszyscy jesteśmy równi — powiedziała sobie; — prawa i ustawy ludzkie mogą być mylne i przemijające, prawda tylko jest wieczna, bo jest prawem Bożem.

Kiedy von Glauben wrócił, ujął jej rękę w milczeniu i złożył na niej długi pocałunek. Był widocznie bardzo wzruszony.

— Pójdź, księżno — szepnął, wskazując otwarte drzwi sąsiedniej komnaty.—Niech Bóg będzie z tobą.

— Nie lękam się—odparła, patrząc nań spokojnie i podnosząc się z krzesła. — Idziesz ze mną przecież?

— Idę za tobą, księżno!

— Boże! — szepnął do siebie: — daj jej zachować ten spokój. Doprawdy dla niej warto zrzec się tronu.

Z zachwytem patrzał na jej lekkie ruchy, dumną postawę, wdzięk pełen godności, który wyróżniłby ją pośród tysięcy. Olbrzymi salon, do którego weszła, ze złoceniami, tonący w blasku światła, zwierciadeł, kryształów, pełen kwiatów i woni — olśnił ją, oślepił, upoił w pierwszej chwili przesyconą zapachem świeżych kwiatów atmosferą. Ale to trwało krótko; podniosła wzrok śmiało i ujrzała w oddali dwie postacie nieruchome, jak dwa posągi. Król, w wojskowym mundurze, stał obok królowej, w błękitnej szacie siedzącej na tronie, pod złotym baldachimem. Gronostajowe obłożenie sukni i srebrne hafty mieniły się na niej, jak gdyby pożyczyły barw i blasków nieba i fok morskich. Cudowna twarz królowej, blada, niewzruszona, i jej zimne, błękitne oczy sprawiały wrażenie rzeźby, artystycznie wykonanej. Coś w niej

zadrżało może na widok wchodzącej, ale nie okazał tego wyraz twarzy, ani draperya szaty malownicza.

Glorya zbliżyła się ku nim powoli, prosto i bez ukłonu; jej wzrok poważny i badawczy zarazem obejmował królowę bez trwogi lub nieśmiałości; wreszcie przeniosła spojrzenie na króla.

— Przysłałeś po mnie, — rzekła—więc przybyłam. Czego żądasz ode mnie?

Król uśmiechnął się lekko; jego zmysł estetyczny podziwiał zarówno piękność kobiety, jak jej prostotę i śmiałość; ale nie po to ją wezwał: miał zamiar odegrać rolę swoją doskonale. Zimno i sztywno skinął na doktora.

— Powiedz dziewczynie, jak ma powitać królową.

Profesor z jakiemś ostrożnem wahaniem przysunął się do Gloryi i szepnął jej cicho słów kilka. Młoda kobieta zbliżyła się teraz do wysokiego krzesła monarchini i z głębokim ukłonem zgięła przed nią kolano.

— Kazano mi uklęknąć przed królową— rzekła; — lecz w tej chwili ja klękam przed matką mego męża.

Pochyliła się znowu, ujęła bezwładną, piękną rękę królowej i złożyła na niej cichy pocałunek.

Potem podniosła się znowu spokojnie i spojrzała dokoła.

— Czyż tu jest tak zawsze? — spytała zdumiona. — Czy musisz pani zawsze siedzieć na tem krześle tak milcząca i nieruchoma?

Król zaciął mocniej usta, aby zachować powagę, królowa mimowolnie podniosła się z wyrazem oburzenia, a von Glauben całym wysiłkiem panował nad sobą, ażeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Ty, królu, znasz mię, widziałeś mię przecież, mówiłeś ze mną—zwróciła się wprost do monarchy: — dlaczegóż udajesz teraz, że mię nie znasz? Czy to jest zwyczaj dworski? W takim razie nie jest on dobry.

Król pochylił się nieco ku małżonce i zaczął mówić do niej głosem cichym:

— Niema co z tą dziewczyną przestrzegać formalności: to dziecko proste, które ich nie pojmie. Musimy dla niej obrać inną drogę: przemówić jej do serca i rozsądku. Czy odezwiesz się pierwsza?

— Nie, sir — odparła. — Mów do niej, posłucham. A potem zobaczymy.

Z dziwnem uczuciem postąpił król naprzód: wobec prostoty tego dziecięcia natury własny mundur wydawał mu się czemś tak sztucznem i prawie teatralnem, że musiał

uprzytomnić sobie położenie, aby z całą powagą podać przybyłej rękę.

Glorya uśmiechnęła się trochę złośliwie.

— Niedawno ucałowałam tę rękę, gdy byłeś rozgniewany — rzekła. — Chcesz, abym ucałowała ją znowu? I owszem.

Z naturalnym wdziękiem dotknęła ustami podanej sobie ręki, a ten pocałunek dziwnym dreszczem przeniknął króla. Rozumiał, iż przedewszystkiem jest człowiekiem z krwi i kości i uczuł się zmieszanym niewymownie świeżem dotknięciem ust pięknej kobiety. Musiał jednakże ukryć to wrażenie i przemówił napozór chłodno i poważnie, akcentując silniej ważniejsze wyrazy.

— Gloryo Ronsard! wezwaliśmy cię tutaj w najlepszych zamiarach, ze szczerą chęcią naprawienia złego — ile to jest w naszej mocy — i wynagrodzenia ci krzywdy, jaką syn nasz, następca tronu, pod wpływem młodzieńczego szału wyrządził ci bezwiednie. Jest nam wiadomo, że się kochacie oboje, że pozyskał twe przywiązanie podstępem i że chcąc uspokoić skrupuły honoru, przebył z tobą zwykłą ceremonię ślubu. Na tej podstawie wyobrażasz sobie, że jesteś jego żoną, co jest zupełnie zresztą naturalne w pojęciu niedoświadczonej dziewczyny, nie znającej zupełnie świata. Fakt ten, bez naszej wiedzy

i woli spełniony przez księcia, następcę tronu, jest dla nas nader przykry i bolesny, po rozwadze jednakże oboje z królową uznaliśmy, iż lepiej, abyś poznała odrazu i zrozumiała całe położenie, co oszczędzić ci może dalszych rozczarowań i nie jednej bolesnej chwili. Wszystko, co w naszej mocy, uczynić pragniemy, aby naprawić złe, które się stało, ale musisz zrozumieć to stanowczo, że książę dziedzic i następca tronu nie ma prawa się żenić według własnej woli. Jeśli błąd ten popełnił z jakichkolwiek względów, małżeństwo jego wobec prawa jest nieważne. Widzisz więc sama, że ceremonia ślubna w takich okolicznościach nie ma żadnego znaczenia, i że zgodnie z prawami państwa i opinią, nie jesteś i nie możesz być żoną następcy tronu.

— Nie? — powtórzyła Glorya z jasnem i głębokiem spojrzeniem, którego nie spuściła bynajmniej ku ziemi.

I nic więcej — milczenie.

Król patrzał zdziwiony; czuł, że gniew go ogarnia. Spodziewał się łez, skarg, żalów, przysiąg, argumentów, a tu krótkie „nie?“ było dla nich niespodzianką, budzącą przewidywania i teorye.

— Czy nic więcej nie masz nam do powiedzenia? — zapytał też po chwili dość surowo

— Cóż mam mówić? — odparła. — Jesteś królem i rozkazujesz.

— Ta dziewczyna nie zrozumiała cię, sir — rzekła królowa zimnym, spokojnym tonem. — Jej prosty umysł nie pojął twej mowy.

Glorya zwróciła do niej twarz pogodną.

— Owszem, pani, rozumiem, zrozumiałam wszystko. Wiem, że według praw Boga jestem żoną syna waszego, ale według praw świata nie jestem nią i być nie mogę. Pozostaję więc przy prawie Bożem.

Znowu milczenie długie, krępujące. Von Glauben chrząknął zcicha; monarcha, przypominając sobie nagle o nim, zwrócił się do profesora:

— Czy nie można jej wytłómaczyć położenia? — spytał.

— Ile sądzić mogę, sir, — odparł von Glauben—rozumie je w zupełności i dokładnie.

— Więc dlaczego...

Królowa podniosła się z tronu i piękną ręką skinęła na Gloryę; malownicza draperya jej wspaniałej szaty czyniła ją podobną do anioła, mówiącego z obłoku.

— Zbliż się, dziecię! pójdź bliżej! nie lękaj się mnie!

— Nie, pani, — rzekła z uśmiechem Glo-

rya, przystępując bliżej — nie lękam się nikogo. Nie znam trwogi.

Po jasnem, gładkiem czole przesunęła się chmura niecierpliwości i niezadowolenia.

— Kto nie zna trwogi, może nie znać wstydu — rzekła sucho i lodowato. — W taki też sposób można wytłómaczyć, dlaczego nie chcesz uznać, ani zrozumieć, jaką krzywdę wyrządzasz księciu następcy tronu przez małżeństwo, które na szczęście potwierdzone być nie może. Komu przeznaczono zasiadać na tronie, nie może go podzielać z pierwszą spotkaną dziewczyną. Królowie i książęta kochać mogą, kogo zechcą, lecz żenić się *muszą* z temi, kogo im przeznaczono! Jesteś pierwszą miłością mego syna — może myśl ta będzie dla ciebie pociechą, lecz sobie nie wyobrażaj, że będziesz ostatnią.

Glorya pobladła, cofnęła się krokiem, głowę podniosła dumnie.

— Pani tak mówisz! — rzekła z bolesnym wyrzutem. — Matka! Biedna matka! biedna królowa! Żałuję cię, pani, bardzo!

I odwracając się szybko do króla, zapytała wyraźnie, z pewną wyniosłością:

— Czego chcecie ode mnie? Mówcie jasno.

Król cofnął się przed jej palącem spojrzeniem, ale odparł na pozór zupełnie spokojnie:

— Nie żądamy nic więcej, moje dziecko, oprócz posłuszeństwa i uczciwości. Wyrzecz się swoich pretensyi do księcia, jako żona, przestań się z nim widywać, daj słowo, że korespondować nie będziesz, a — wierz mi — nie pożałujesz tego poświęcenia osobistych spraw sercowych dla dobra całego kraju.

— Dobra kraju! — powtórzyła Glorya głosem drżącym. — Ja inaczej rozumiem dobro kraju.

— Jestem żoną waszego syna — mówiła dalej, po chwilowej przerwie, gdy nikt nie znalazł słowa, by przerwać milczenie.—Kocha mię i zaślubił prawnie i uczciwie. Chcecie mię praw tych pozbawić, lecz ja się ich nie wyrzeknę. On tylko jeden mógłby usunąć mię ze swego życia, pozbawić swego serca. Jeśli on żąda zerwania małżeństwa, niech mi to powie w oczy w waszej obecności! Wtedy bez żalu zrzeknę się praw swoich, przestanę być jego żoną. Ale nie wcześniej i nie w inny sposób. Bez jego zezwolenia i wiedzy nie zgodzę się na nic i nic nie przyrzeknę. Nie pragnę wcale zaszczytów i bogactw, ale mam skarb największy: jego miłość, i tego się nie zrzeknę!

Drzwi otworzyły się nagle; w sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki, i książę następca tronu, pozdrawiając ceremonialnym ukło-

nem rodziców, stanął obok żony w stanowczej postawie.

— Jeśli skończyłeś, ojcze, rozmowę z moją żoną, rozmowę, o której nie uprzedzono mię wcześniej, pozwól, że ja w następstwie zadam jej kilka pytań.

— Twoja żona, jak ją nazywasz, — odparł król dość spokojnie — jest osobą niepoprawną. Niech wraca jak najprędzej pomiędzy rybaków na swą samotną Wyspę, gdyż w świecie trudno znaleźć dla niej miejsca. Wyobraziłem sobie na pierwszy rzut oka, że ma dosyć rozsądku, ale widzę, że brak jej zupełnie tej władzy. Swoją drogą zgadza się na rozwiązanie małżeństwa, jeśli ty sam zażądasz tego od niej. Spodziewam się, że zażądasz,—tutaj, zaraz, w tej chwili, w obecności mojej i królowej. Tym sposobem możemy rozstrzygnąć odrazu to nieszczęśliwe nieporozumienie i prawdziwie smutny epizod w twem życiu.

Książę Humbert uśmiechnął się wyniośle.

— Rozwiązać moje małżeństwo z tą panią? Ależ ja prędzej wyrzekłbym się tronu! Jeśli sądzicie, że jest nielegalne, niech rozstrzygnie parlament, sam papież nareszcie! Pytajcie, kogo chcecie. Łączy nas miłość, prawo i sakrament, i żadna władza ziemska

nie ma mocy zerwania tego związku! Co Bóg związał, człowiek rozwiązać nie może.

Król dał znak zniecierpliwienia.

— Dość tego! — rzekł surowo. — Jesteście oboje dziećmi, i drogą rozumowania nie można dojść z wami do celu. Chciałem działać łagodnością i dobrocią; spodziewałem się więcej od tego widzenia; odrzucacie najlepsze moje chęci; muszę się uciec do władzy i siły.

— Czekajcie — odezwała się stanowczo Glorya, usuwając rękę męża i postępując krok naprzód. — Nim się rozstaniemy, chcę jeszcze coś powiedzieć, co spełni chociaż w części wasze chęci i życzenia. Męża się nie wyrzeknę; nie dam wam zapewnienia, że go nie będę widziała, ani pisała do niego; lecz złożę wam przysięgę, która do pewnego stopnia rozproszy wasze zwątpienia i trwogę.

Król i królowa spojrzeli zdziwieni: kobieta w białej sukni, z podniesioną głową, z promiennemi oczyma i wyrazem twarzy dziwnym i słodkim zarazem, mogła wydać się w tej chwili jakiemś bóstwem, które zstąpiło na ziemię, aby ogłosić na niej sprawiedliwość.

— Ja nie chcę wam wyrządzić najmniejszej przykrości — mówiła dalej Glorya. — W moich oczach, ty, pani, dosyć jesteś nie-

szczęśliwa, bo cóż ci dało życie? Nie znasz jego jedynie wielkiej i pięknej strony: nie wiesz, co znaczy... kochać. Twoje serce nie bije dla nikogo i nie odczuwasz bicia serc swych bliźnich; nie znasz tej nici szczęścia i sympatyi, które łączy wszystkich ludzi w jedną całość. Gdybym ci mogła wskazać to królestwo, w którem nie chciałaś być dotąd królową, wzbudzić w twem sercu litość dla cierpienia, współczucie dla nieszczęścia, klękłabym przed tobą i na kolanach błagała cię: pozwól zostać synową, córką twą, o pani, której we mnie znać nie chcesz! Nie proszę cię o to, bo mię źle osądziłaś, fałszywie oceniasz, a tem samem odpychasz, zamiast przyjąć pomoc, którą mogłabym stać się dla ciebie, królowo, jako łącznik między tobą a twym ludem. W twoich oczach jestem prostą dziewczyną, wieśniaczką, bez wykształcenia i rozumu. Kim jestem, sama nie wiem. Rodziców swych nie znam, mogę być równie dzieckiem króla, jak rybaka, — a co do wykształcenia i rozumu, nie znasz go, pani, wcale.

— Tronu, ani korony nie pożądam—zaczęła znów po chwili. — Najboleśniejsza w życiu mojem chwila była ta, w której dowiedziałam się, że jestem żoną następcy tronu, królewskiego syna! Było to dla mnie pierwszym bólem i nieszczęściem. Gdyby ten, któ-

rego ukochałam, był najuboższym rybakiem, nicby nie zakłóciło dotąd naszego szczęścia. Los chciał inaczej, stało się. Dziś jesteśmy jednem: Bóg nas połączył, śmierć tylko rozłączyć nas może; lecz posłuchajcie: biorę dłoń męża swego, któremu przysięgłam miłość i wiarę, i jak przed ołtarzem — przysięgam dziś przed wami w jego obecności, że jest wolny w swych czynach i uczuciach, że jego wola będzie zawsze wolą moją, że nigdy nie upomnę się o swoje prawa, przywiązane do jego stanowiska, że noga moja więcej nie przestąpi progów tego pałacu, chyba że na tron powoła mię wola samego Boga przez usta narodu!

— Czy was to zadowala? — spytała po chwili, puszczając rękę męża, głosem jeszcze drżącym ze wzruszenia i bólu.

Król postąpił naprzód i, odrzucając wszelkie ceremonie, przemówił szczerze, z siłą i uczuciem:

— Tak jest. Jesteś dzielną, szlachetną dziewczyną! Lecz przyjmując twe zobowiązanie, jednocześnie ostrzedz cię muszę, ażebyś nie łudziła się nadzieją, że małżeństwo twe kiedykolwiek uznane być może przez naród, że, jak się wyraziłaś, on sam wezwie cię na tron. Twoje dobrowolne zrzeczenie się praw do korony czyni ten związek nieistniejącym

wobec państwa, choć może uczuciowo zacieśnia łączące was węzły młodzieńczej namiętności.

Glorya pobladła. W oczach królewskich jaśniał płomień stanowczości, który dziwną trwogą przeniknął jej serce. Spojrzała na królowę, lecz odwróciła się natychmiast, szukając wzroku męża.

— Chodźmy stąd!—rzekła słabym i zmienionym głosem: — dusi mnie to powietrze.

Objął ją silnem, spokojnem ramieniem i zwrócił się ku wyjściu, lecz postąpiwszy kilka kroków, Glorya zatrzymała się nagle, jak gdyby przypominając sobie coś ważnego. Łagodnym i miękkim ruchem odsunęła męża i patrząc mu serdecznie w oczy, rzekła ze smutnym uśmiechem:

— Ty zostań tu, najdroższy! — tak być musi. Zostań, aby widzieli, że mówiłam prawdę. Ty znasz mię i myśli moje, ale oni... Profesor mię odwiezie, ty pozostań!

W tej chwili wolnym, pełnym wdzięku ruchem zbliżyła się królowa.

— Pragnę ci podziękować także, nim odejdziesz, dobre dziewczę — rzekła łagodnie. — Wierzę ci, że powiedziałaś to, co myślisz, i że dotrzymasz słowa. Jesteś tak piękna, że nie można wątpić o twojej szlachet-

ności i dobroci. Życzę ci, abyś była równie szczęśliwa w życiu, i mam nadzieję, że będziesz.

— I ja mam tę nadzieję, pani — rzekła Glorya. — Mam nadzieję, iż będę szczęśliwsza od ciebie—zupełnie innem szczęściem.

Królowa cofnęła się obrażona, lecz zbliżył się król z profesorem i przemówił z kolei.

— Nie możesz tak stąd odejść, moje dziecko, bez żadnego dowodu naszej życzliwości. Zachowaj to na pamiątkę naszego spotkania i dzisiejszej rozmowy.

To mówiąc, podał jej drogi naszyjnik z pereł i złota, artystycznie zrobiony, prawdziwe arcydzieło sztuki. Twarz Gloryi nagle spłonęła rumieńcem; odsunęła dar ruchem pełnym spokojnej godności i cofnęła się z dumą.

— Zachowaj, sir, ten drogocenny dar dla kobiet, które miłość i wiarę sprzedają za złoto — rzekła wzruszonym głosem.—Wiem, że nie miałeś chęci upokorzenia mię, panie, a jednak każdy dar od was musi być dla mnie obrazą. Pozwólcie mi już odejść. Żegnam was!

Von Glauben podał jej rękę uprzejmie, ale szła sama ku drzwiom, w których zniknęła za chwilę. Książę Humbert pozostał nieruchomy, milczący, sztywny, z czołem sfał-

dowanem i rękoma skrzyżowanemi na piersiach. Król długą chwilę patrzał na niego badawczo, wkońcu oparł mu rękę na ramieniu.

— Nie możemy cię potępiać za to, co się stało, Humbercie — rzekł łagodnie. — Jest rzeczywiście bardzo piękna i inteligentniejsza, niż sobie wyobrażałem. Co większa, ma ten spokój, który nakazuje szacunek, wiele godności i odwagi.

Książę nie odpowiadał.

— Sądzę, iż powinniśmy być zadowoleni — zwrócił się do królowej. — Jej akt zrzeczenia się był uroczysty i zupełnie poważny. Teraz, gdy Humbert w ciągu swej podróży zobaczy inne kraje, inne twarze i inne obyczaje, możemy mieć nadzieję, że po roku ten epizod jego młodości zostanie w życiu rozdziałem skończonym. Do dalszych obaw nie widzę przyczyny?

Mówił to pytająco. Królowa z wahaniem skinęła głową, ale jej spojrzenie nie odwracało się od syna, który nie wyrzekł dotąd ani słowa.

— Humbert nic nam nie przyrzekł — odezwała się spokojnie — i nie wygląda na to, aby chciał w podobny sposób zaznaczyć swą uległość wobec prawa.

— Zupełnie słusznie osądziłaś mię, mat-

ko — odparł nakoniec książę. — Chcę zostać panem swych czynów i myśli i nie jestem przygotowany do żadnych zobowiązań.

— Nie żądamy ich też, Humbercie, — rzekł monarcha z pobłażliwością. — Na tymczasem nic więcej nie wymagamy od ciebie. Miłość ma swoje prawa, a młodzieńcze uczucia muszą znaleźć ujście i drogę. Niczego nie wymagam dziś od ciebie i nie stawiam żadnych warunków. Słowa tego dziewczęcia wystarczają mi najzupełniej i zapewniają spokój o twe przyszłe stanowisko. Młodość musi mieć swoje tajemnice serca, nie możemy ci pod tym względem nic zarzucić wobec pomyślnych widoków na przyszłość. I teraz nie zatrzymujemy cię dłużej, jeśli chcesz odprowadzić swoją ukochaną. Śpiesz, czas ci w drogę!

Książę złożył rodzicom sztywny, wojskowy ukłon i oddalił się bez pośpiechu.

Pozostawszy sami, królestwo oboje badawczo, pytająco spojrzeli na siebie.

— Cóż pani myślisz o bohaterce tej historyi? — spytał monarcha z odcieniem goryczy. — Czy nie jest to zdumiewające, że na tym nizkim, pełnym fałszu świecie można jednakże spotkać coś takiego, jak niewinność, miłość i wiarę? Czy nie wzruszyło cię spojrzenie tego dziecka, które zdaje się kochać

wszystkich w imię Boże i nie znać trwogi pod jego opieką?

— A ty, sir? — odparła pytaniem królowa, czując dziwne ściśnienie serca, którego znaczenia sama nie rozumiała w tej chwili.

— Ja wyznaję otwarcie, iż byłem wzruszony i głęboko wzruszony widokiem kobiety czystej i pięknej, wobec najwyższego na ziemi majestatu czerpiącej odwagę i moc niewzruszoną w miłości dla męża i ufności w jego uczucie. Nie można wątpić o tem, iż życie jej zależy wyłącznie od jego woli; nie od niej, lecz od niego wszystko zależy w tej sprawie wyłącznie. Co on postanowi, ona spełni bez wahania: jeżeli powie, że przestał ją kochać, może umrzeć bez żalu; lecz póki ją kocha, będzie żyła dla niego, oddając mu wszystkie skarby swej piękności, uczucia i inteligencyi. A w takim razie wątpię, aby kiedykolwiek zaślubił inną kobietę. I nie można się temu dziwić, ani mieć mu za złe, gdyż prawdę mówiąc — nie znajdzie jej równej!

Królowa spojrzała z dziwnym wyrazem na męża.

— Niezwykłe uwielbienie zdobyła dzisiaj ta dziewczyna — rzekła nieco zmienionym głosem. — Kto wie, czy gdyby nie to, że została morganatycznie twoją synową, nie

stałbyś się z jej powodu rywalem własnego syna

Król uczuł się dotknięty tym zarzutem.

— Pani! — rzekł — mogę dziś powiedzieć śmiało, iż od chwili, gdy zostałaś moją żoną, mogłaś nie mieć rywalki w całem mojem państwie. Miałaś ich wiele, lecz jakie? Tak, jakie? Kobiety bez uczucia i honoru, próżne, bezduszne zalotnice. Na parę miesięcy przed wstąpieniem na tron pogardzałem kobietą, a jej piękność i wzrok wstręt budziły we mnie wstręt przesytu i wzgardy. W głębi duszy przestałem te istoty nazywać kobietami, i tylko matki ciężko pracujące na chleb dla dzieci własnych budziły we mnie jeszcze współczucie i szacunek. Dziś, dzięki Bogu, odzyskałem wiarę w kobiety dobre i szlachetne, które umieją kochać, cierpieć i wierzyć, jak Bogu, człowiekowi, którego ukochają!

— Niegodnemu najczęściej wiary, ani uczuć—dokończyła królowa z dziwnym, przykrym śmiechem.—Twoja wymowa, sir, prawdopodobnie ma znaczenie głębsze, niż mogę przeniknąć. Glorya dziś niewątpliwie jest piękna, ufna i niewinna, lecz gdy znudzi się Humbertowi — a któremuż mężczyźnie nie znudzi się kobieta kochająca?—stanie się tem, co inne, i na tej samej drodze będzie szukała pociechy. Bardzo mało wiem o kobietach

dobrych, szlachetnych, kochających i t. p., o mężczyznach zaś takich nie wiem wcale! Zgadzam się na twój pogląd co do kobiet pracujących, lecz ubolewam nad niemi zarazem, gdyż skoro raz mężczyzna się dowiedział, jak kobieta pracować może, przykuwają do tego jarzma całą władzą swoją i siłą.

Zebrała uważnie wspaniały tren sukni, zabierając się do odejścia.

— Jeśli sądzisz, że Humbert nie zmieni swych uczuć i nie zechce ożenić się powtórnie, — rzekła — to jakąż wartość dla nas ma dzisiejsze zobowiązanie się tej dziewczyny? Żadnej.

— Przeciwnie, bardzo wielką — odparł król z powagą: — zobowiązała się dzisiaj przysięgą nie sięgać nigdy po prawa kobiety, zaślubionej prawnie następcy tronu i królowi, chyba że naród sam wezwie ją, aby zajęła to uprzywilejowane stanowisko Ponieważ jednak naród o małżeństwie nie wie, więc wezwać jej nie może.

Królowa uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Po twojej śmierci, — rzekła — skoro Humbert będzie królem, nikt mu nie zabroni zrobić jej królową.

Król uśmiechnął się.

— Po mojej śmierci — rzekł z pewnem wahaniem — wiele rzeczy nastąpić może. Czasem królewska trumna bywa jednocześnie kolebką młodej Rzeczypospolitej.

— Najpopularniejsza forma rządu dzisiaj — zauważyła swobodnie królowa.—Może i najwygodniejsza. Gdybym nie była królową, przypuszczam, iż byłabym republikanką.

— A ja, gdybym nie był królem, zostałbym rewolucyonistą — odparł monarcha żywo.—W ludzkiej naturze mieszczą się wszelkie sprzeczności. Pozwól — dodał uprzejmie, sam otwierając drzwi przed nią.

Ale królowa zatrzymała się raz jeszcze i spojrzała w twarz męża prosto, jasnym wzrokiem.

— Czy „nowa rozrywka“ zajmuje cię jeszcze? — zapytała ciekawie. — I w dalszym ciągu narażasz się dla niej na tak wielkie niebezpieczeństwo?

Król skłonił głowę na znak potwierdzenia.

— Nowa zabawa bawi mię niezmiernie— odparł z naciskiem. — A niebezpieczeństwo? Któż na nie każdej chwili nie jest narażony? W każdym razie najuprzejmiej dziękuję ci za pamięć i troskliwość o mnie.

Dziwne drgnienie przebiegło piękną i spokojną, wiecznie młodą twarz monarchini;

mimowolnie przygryzła usta, oczy błysnęły jej wilgotnym blaskiem, ruchem pełnym godności skinęła mężowi i opuściła pokój.

Coś było jednak w wyrazie twarzy, co uderzyło króla. Stał chwilę w milczeniu, potem zaśmiał się gorzko.

— Gdyby dziś pokochała!.. — szepnął w zamyśleniu. — Dzisiaj! Po tylu latach... Za późno! Za późno!

Późno wieczorem profesor von Glauben stawił się osobiście w prywatnych apartamentach monarchy. Zawiadomił, iż odwiózł Gloryę i dodał z pewnem wahaniem, iż towarzyszył jej następca tronu i pozostał na Wyspie. Na rozkaz księcia profesor powrócił z tą wiadomością.

Król wysłuchał spokojnie sprawozdania.

— Trzeba pozostawić mu trochę swobody — rzekł pobłażliwie. — Namiętność sama wyczerpie się wkrótce... Uczucia i namiętności wyczerpują się zawsze — prędzej, czy później!

— To zależy od głębokości ich źródła— zauważył profesor.

— Zapewne. Ale... to jeszcze nie człowiek... niedoświadczone dziecko: cóż on wiedzieć może o głębokości uczuć? Człowiek w moim wieku...

Umilkł nagle, spostrzegłszy badawcze spojrzenie doktora, i cień rumieńca przemknął mu po twarzy. Dodał jednak ze śmiechem:

— Zapewniam cię, doktorze, że możemy odpocząć i spać spokojnie, nie troszcząc się o tę historyę. Humbert wyjeżdża za miesiąc, i rok nie będzie go w kraju, a po powrocie ożenimy go naprawdę z najstaranniej wybraną księżniczką. Tak się skończy piękna poezya.

Profesor w milczeniu skłonił się i wyszedł. Nie mógł dziś jednak zasnąć: przed oczyma stał mu obraz pożegnania. Humbert i Glorya oparci o siebie w furtce małego ogródka Ronsarda, a za nimi starzec o twarzy pogodnej i spokojnem wejrzeniu. Gniew jego zniknął i ustąpił miejsca cichemu zadowoleniu, które promieniało mu z oczu. Mocno, serdecznie ścisnął dłoń doktora, dziękując mu za przyjaźń i „wszystko dobre.“

— Co za dobroć? — powtarzał sobie.— Cóż dobrego dla nich zrobiłem? Byłem tylko uczciwy wobec jednej i drugiej strony — oto wszystko. Lecz tam coś jest, o czem nie wiem. Jakieś nowe plany. Dlatego Humbert był tryumfujący, a Glorya tak szczęśliwa. Bo i Ronsard musi mieć powód do zadowo-

lenia. Coś jest, coś jest w powietrzu — tylko nie mogę zgadnąć, co takiego!

Nie mógł zasnąć i przewracał się na łóżku, daremnie szukając ucieczki przed myślami i obrazami, które snuły się przed nim bezustannie. Zdawało mu się znowu, że płynie na królewskim statku po ciemnej fali, blaskiem księżyca oblanej. Naprzeciwko, lekko, niby duch, mknie biały statek następcy tronu. Widocznie książę chce powrócić rano, — pomyślał sobie, a jednak ten statek przykuł znowu na długo jego myśl ciekawą.

— Czyżbym miał gorączkę? — myślał doktor ze zdziwieniem, nie pojmując dlaczego dręczą go niezrozumiałe przeczucia.

Chwilami niby drzemał, ale sny niespokojne nie pozwalały mu wypocząć zupełnie. Wydawało mu się, że jest sam na oceanie, w małej łódce, o tysiąc mil od pięknej Wyspy, i że z wysiłkiem walczy z falą, aby dostać się na południe, do stałego lądu. Nagle, jak echo jakieś oddalone, zabrzmiały dźwięki irlandzkiej piosenki, którą słyszał niegdyś, kiedy w dniach młodości zwiedzał wybrzeże Anglii.

„Płyńmy, najdroższa, przez wichry i burze! — brzmiały słowa pieśni. — Niech płynie czas, jak fala: my zawsze jednacy. Zmienia się pogoda, ale serca wierne nie zmieniają

się nigdy, nic ich nie rozdzieli. Tyś dla mnie życiem i śmiercią, więc płyńmy przez wichry i burze. Tyś ze mną wiecznie, najdroższa!“

Zbudził się nagle, zdziwiony, że pamięć przechowała tak długo słowa, które słyszał raz w życiu i sądził, że zapomniał dawno. A tymczasem znowu ozwały się w duszy.

„Czyż morze nie jest ojczyzną wolnych? Ziemia dla tych, kto zgadza się dźwigać jej jarzmo. Tam myśmy niewolnicy, tu na wolnej fali — kraj miłości i swobody.“

— Co to ma znaczyć? Skąd mi się to bierze? — mówił głośno, niezdolny opanować niepokoju, i wstał, gdyż jasny ranek świecił już na niebie.

Zbliżył się do okna i wyjrzał na morze. Była godzina szósta, słońce świeciło jasno, świat wyglądał szczęśliwy i wesoły. Morze leżało przed nim ciche jak jezioro, a błyszczące jak dyament; na modrej fali ani jednej łódki, ani jednego żagla.

— Jak my sobie psujemy i trujemy życie! — mruknął profesor, otrzeźwiony nieco z męczących wrażeń tym jasnym widokiem. — Jaki ślad za lat kilka zostanie trosk naszych, niepokojów, udręczeń? Wszystko się skończy. Nasze istnienie zgaśnie. Ale słońce tak samo zawsze świecić będzie, ziemia i morze jaśnieć w jego blasku, a miłość, ta największa na

świecie potęga, panować nawet wtedy, gdy z powierzchni świata znikną państwa i monarchowie.

Był to powrót do równowagi. Dzień rozpraszał ciemności ducha, jak płoszył cień na ziemi. Minął poranek, nastało południe. Wówczas nieznany majtek, nie podając swego nazwiska, oddał w pałacu list adresowany do króla.

List był od następcy tronu.

„Na rozkaz twój, sir, i zgodnie z mem własnem życzeniem, opuszczam kraj, pozostający pod twą władzą. Dokąd jadę i na jak długo — to rzecz moja Nie powrócę, dopóki nie wezwie mię naród, na co zresztą nie liczę, ani się spodziewam. Postąp, sir, jak uważasz za właściwe i najlepsze w tym wypadku; co do mnie, wiem, iż Bóg mi dał jedno tylko życie, z którego Jemu tylko zdam rachunek. Pragnę więc żyć dla siebie własnem życiem, uczciwie, a zarazem swobodnie. Zgodnie z tą zasadą Glorya, żona moja, odpływa ze mną.“

Przez chwilę król stał niemy, skamieniały. Ciemna chmura gniewu okryła mu czoło. Gniotąc list w ręku, pasował się z sobą, by nie wybuchnąć. Jak to! Dwoje dzieci śmiało lekceważyć jego wolę?

Lecz zwolna odzyskiwał panowanie nad sobą i spokój. Rozwinął list raz jeszcze, odczytał go uważnie — i uśmiechnął się.

— W każdym razie ten chłopiec ma coś ze mnie — szepnął. — Nie jest to natura matki: ma serce, wolę i sumienie. Powinienem osądzić go uczciwie. Gdyby mi uległ, byłbym nim pogardzał; oparł się mojej woli, i dlatego... muszę go dziś szanować.

III.

Stujęzyczna plotka rozniosła wieść szybko o tajemniczej ucieczce księcia następcy tronu. Powtarzano ją sobie na tysiąc sposobów, z waryantami i dodatkami, tem swobodniej, iż dwór milczał stanowczo, odmawiając wszelkich wyjaśnień. Urzędownie było wprawdzie powiedziane, iż książę, chcąc uniknąć ceremonii pożegnalnych, odpłynął na własnym statku incognito w podróż, projektowaną od kilku miesięcy. Któżby jednak wierzył tak prostej historyi? Oczywiście osłaniała ona tylko prawdę. Lecz jaka była prawda?

Ogólnie przypuszczano rodzinne nieporozumienie i usunięcie go z kraju, jako do-

wód niełaski. Na obczyźnie prędzej uzna swoje winy, a wtedy...

— Wygnaniec! — powtarzano cicho. — Usunięty dla uniknienia skandalu!

Naturalnie, iż zwrócono się także do braci, lecz Cypryan i Rupert, nie wiedząc o niczem, nie mogli nic powiedzieć. Król i królowa milczeli, sir Roger de Launay nie śmiał pytać nawet przyjaciela swego, doktora von Glauben, który zresztą odmawiał wszelkich odpowiedzi w kwestyi, która „do niego nie należy.“

Zwolna jednakże zacierało się wrażenie pod wpływem nowych zdarzeń i wypadków, które podniecały ciekawość ogółu i budziły zajęcie. Jednym z takich faktów był niespodziewany wzrost i rozwój dziennika, który nadaremnie od lat wielu stanowił słabą opozycyę wobec Josta i jego prądów. Stało się to następującym sposobem:

W pismach Josta coraz częściej i z dziwną uporczywością zjawiać się zaczęły artykuły, roztrząsające sprawę szkoły Jezuitów i odmowy królewskiej. Wykazywano w nich wielkie korzyści, jakie podobny układ przynosił krajowi, zapewniając zarazem, iż decyzya króla jest chwilowa i warunkowa. Prędzej, czy później monarcha sam uzna błąd, popełniony przez niedostateczne zbadanie

sprawy, a wtedy niewątpliwie można się spodziewać odwołania decyzyi. Raz nawet w formie zasłyszanej wieści rzucono zapewnienie, że monarcha najłaskawiej udzielił zakonowi pozwolenia, o które dotąd starał się napróżno.

Lecz w odpowiedzi na to, skromny dziennik opozycyjny nazajutrz z rana pomieścił artykuł, podpisany przez króla, który dawał kategoryczne wyjaśnienie: Decyzya króla jest stanowcza i cofnięta być nie może, ponieważ powzięta była na mocy licznych próśb, zaniesionych do niego przez poddanych.

Artykuł sprawił ogromne wrażenie; dziennik rozchwytywano, odbijano powtórnie, poszukiwano go, jak gdyby teraz dopiero dowiedziała się publiczność o kierunku pisma i jego istnieniu. Odtąd wszedł w modę i zyskiwał coraz więcej czytelników, zwłaszcza, gdy coraz częściej drukować zaczął artykuły nieznanego zupełnie dotąd publicysty, Pasquina Leroy, roztrząsające kwestye polityczne z niepospolitą znajomością rzeczy i talentem. Jednym z pierwszych był obrachunek z Karolem Perousse'm, sekretarzem stanu, gdzie dotkliwa satyra łączyła się ściśle z najsurowszą krytyką, stawiając w świetle logiki i prawdy całe postępowanie spekulanta, opierającego osobiste korzyści i cele na podeptaniu wszelkich praw i obowiązków.

Karol Perousse w pierwszej chwili był jak człowiek odurzony niespodziewanym ciosem: osłupiał i oniemiał; gdy odzyskał przytomność, wezwał do siebie natychmiast szefa policyi, generała Bernhoffa.

— Czyż nie żądałem od pana aresztowania tego człowieka? — rzekł:—aresztowania przed kilku miesiącami?—wskazał artykuł.

Bernhoff schylił głowę na znak potwierdzenia.

— Tak jest! — odparł spokojnie. — Nie mogę jednakże spełnić tego polecenia, jeżeli kogoś nie mam prawa aresztować. Na to potrzebowałbym przedewszystkiem dowodu winy, a następnie wyraźnego rozkazu króla.

— O dowód winy łatwo się postarać, a król podpisze rozkaz — rzekł Perousse popędliwie. — Spodziewam się, że przynajmniej odszukałeś pan tego zbrodniarza? Z czego żyje? Co robi?

— Wszelkie potrzebne wiadomości o nim zebrałem — rzekł spokojnie szef policyi. — Jest to człowiek bogaty, który pisze dla swojej przyjemności... z pewnego oddalenia. Radzę panu nawzajem — dodał z wymownym naciskiem—zostawić tę osobistość w spokoju. Nie mam żadnego dowodu, aby kiedykolwiek był szpiegiem.

— Dowodu? Ależ na to ja dostarczę panu — zaczął gwałtownie wielki dygnitarz i umilkł nagle, bo cóż mógł powiedzieć? Czy historyę o fałszywym sygnecie ministra, za pomocą którego wyłudził od Josta tajemnicę pierwszego ministra? Czyż miał zdradzać łączność między urzędnikiem państwa a spekulantem? Odzyskał przytomność i zrozumiał, iż popełniłby niedorzeczność. Pokrył gniew i zmieszanie wyrazem powagi.

— Sam pan żałować będziesz poniewczasie lekceważenia tej sprawy—rzekł zimno. — Dziś człowiek ten otwarcie występuje przeciw rządowi. Wprawdzie nie potrzebujemy dotąd liczyć się z piórem każdego zapaleńca, lecz słowa jego w dzienniku poczytnym, rozpowszechnionym nagle dzięki kaprysowi króla, mogą nam znów przysporzyć setek nieprzyjaciół.

— Rozumiem to,—rzekł Bernhoff — nie mogę jednak aresztować za to, że śmiało pisze.

Perousse spojrzał nań szybko i bystro, lecz drewniana twarz generała i jego szklane oczy nie miały żadnego wyrazu.

— Zdania nasze, jak widzę, są różne w tej kwestyi — zauważył wreszcie Perousse. — Spodziewam się przynajmniej, iż rozciągnąłeś pan nad tym człowiekiem ścisły dozór policyi?

— O, co do tego... jest pod czujną strażą! — odparł Bernhoff stanowczo. — Ile tylko jest to w mojej mocy.

— To dobrze. Więc za pierwszem podejrzeniem...

— Będzie aresztowany w imieniu króla,— dokończył generał z powagą — skoro król podpisze rozkaz. Należy on jednakże do najbliższych przyjaciół Thorda i w obecnem położeniu byłoby wielką nierozwagą drażnić ten palny materyał.

— Sergiusz Thord powinien być dawno powieszony — mruknął posępnie Perousse.

— Dlaczegóż nie uczyniłeś pan tego oddawna?

— Nie miałem wtedy władzy.

— Posiadasz ją pan dzisiaj.

— Dzisiaj?

— Tak, dzisiaj, ale wierz pan dobrze, że ten człowiek jest nietykalny, gdyż wszelki zatarg z nim mógłby wywołać bardzo niepożądane zaburzenia. Jako szef policyi, mogę zapewnić pana i ostrzedz go zarazem, iż znajdujemy się dziś niewątpliwie w chwili niezmiernie krytycznego przesilenia.

Perousse myślał chwilę ze zmarszczonem czołem.

— Każdy rząd przebywać musi chwile przesilenia; — odezwał się wreszcie — lecz

obawa rozruchów jest tylko dowodem słabości i tchórzostwa.

— A jednak zdarza się, że tłum zwycięża — zauważył Bernhoff z powagą.

— Za mnie to nie nastąpi — odparł Perousse wyniośle, biorąc pióro i papier, jakby zamierzał pisać.

Szef policyi pożegnał go w milczeniu.

— „Za mnie to nie nastąpi“— powtarzał, idąc po schodach. — „Za mnie“... Bardzo nieokreślony przeciąg czasu! Sześć lat, czy dni? Nikt nie wie.

Generał Bernhoff mógł mieć ważne przyczyny do takich wątpliwości. Wśród tłumów wrzało, nowe podatki budziły nieznane dotychczas oburzenia, gorycz i chęć oporu. Szczególnie podatek na zboże, powodując drożyznę chleba, wywołał setki, tysiące protestów, próśb do stóp tronu i szereg mityngów, na których obmyślano środki oporu i walki.

Gorąca walka toczyła się w prasie: jedne pisma starały się usprawiedliwić konieczność ofiar w imię uczuć narodowych, mówiły o potrzebie powiększenia armii, rozszerzenia floty, lecz tym razem ogół głuchym pozostał na te polityczne hasła. Odpowiadano na nie jednem słowem: chleba!

A jednocześnie rosła popularność Sergiusza Thorda i Lotys. Gdy przemawiał—wła-

dał sercami tysięcy, rozporządzał ich wolą i siłą fizyczną. Gdy skromna postać ciemno ubranej kobiety przesuwała się w milczeniu, zdążając do ubogiej dzielnicy, mężczyźni i kobiety stawali grupami, aby ją widzieć dłużej; inni wybiegali na progi swych domów, przesyłając jej pozdrowienia, pocałunki i błogosławieństwa; inni klękali przed nią na ulicy.

Thord niemniej jasno od szefa policyi zdawał sobie sprawę z położenia i starał się być przygotowany na wszystko. Z Pasquinem Leroy łączyło go dzisiaj zupełne zaufanie, gdyż przekonawszy się wkrótce o szczerości, energii i użyteczności nowego członka, uznał za swój obowiązek odsłonić przed nim wszystkie tajemnice organizacyi, do której należał. Nie mógł żałować tego. Nie mogło być nawet inaczej. Nie sięgając po władzę, ani kierownictwo, Pasquin oddawał olbrzymie usługi tej garstce ludzi, pełnych poświęcenia, lecz pozbawionych środków działalności. Leroy w drobnych i ważnych wypadkach z jednakową ścisłością spełniał obietnice, co jednało mu, oprócz umysłów, i serca.

Losy Pequity były takim drobnym, a jednak wzruszającym epizodem. Reżyser opery królewskiej wezwał ją dnia pewnego i, oceniwszy umiejętność dziecka, zaangażował

ją stale i wyznaczył pensyę, która olśniła dziewczę, jak blask słońca. Tyle pieniędzy!

Reżyser był to człowiek zimny, nieprzystępny, i Pequita nie śmiała mu nawet dziękować, ani zapytać o nic. Wreszcie wyjąkała cicho:

— Ktoś przemówił za mną do pana zapewne?

— U nas niema protekcyi — odparł reżyser szorstko. — Wymagamy tylko talentu.

Pomimo to Pequita była przekonana, że nie komu innemu zawdzięcza tę nagłą, niespodziewaną zmianę w swojem życiu, tylko dobremu panu, który jej to przyrzekł, i wdzięczną mu była za to gorąco za siebie i za ojca. Lotys podzielała to jej przekonanie i tem większy szacunek czuła dla człowieka, który w ten sposób umiał osłaniać dobre czyny.

Wrodzony wdzięk Pequity wkrótce zwrócił na nią uwagę powszechną; mała tancerka stawała się modną, zarzucano ją na scenie kwiatami, obdarzano kosztownymi klejnotami. Uszczęśliwione dziewczę niosło je z dumą do Lotys, która uczyła, jak postąpić z nimi, ażeby zabezpieczyć los własny i ojca na wypadek choroby, lub nieszczęścia. Ta atmosfera uczciwa i zdrowa, jaką stwarzała Lotys

dla pięknego dziecka, zabezpieczała ją dotąd zupełnie od wszelkiego zepsucia i zawrotu głowy wśród oklasków i pochwał, błyskotek i zbytku, olśniewających ułud i ponęt światowych. Pequita była jeszcze prostem, skromnem dzieckiem, ukochanem przez ojca, płacącem mu szczerą i głęboką miłością. Była dziś tak szczęśliwa! Jedno tylko życzenie biednego dziewczęcia nie było dotąd spełnione: nie tańczyła wobec króla i cieszyła się nadzieją, że przecież kiedyś odwiedzi operę. Znajomi żartowali z niej z tego powodu, nazywając ją „odstępczynią,“ szukającą łaski królewskiej.

Drugim wypadkiem, który kazał się domyślać tajemniczego wpływu Pasquina Leroy, była niespodziewana sława poety Zouche'a. Tyle lat przeżył, nieznany nikomu, aż nagle zajaśniała jego gwiazda. Jak i dlaczego?—było tajemnicą. Ktoś podobno rzucił słówko w sferach inteligencyi, że król interesuje się młodym poetą, który dumnie odrzucił ofiarowaną mu pensyę. Któż to był tym poetą? Co napisał? Pierwsze wydanie poezyi zniknęło; rozchwytano drugie i trzecie; wydawcy ubiegać się o nie zaczęli; na poetę spłynął deszcz złoty, zaczęto go zapraszać, poszukiwać, każdy salon pragnął poszczycić się jego obecnością.

Zouche jednak pozostał sobą. Nie bywał nigdzie i nie odpowiadał nawet na zaproszenia, pieniądze otrzymane wiernie i sumiennie składał na ręce Thorda, zatrzymując sobie tylko na skromne, niezbędne potrzeby, w których niestety gorące napoje stanowiły jedyny zbytek. Zdawał się gardzić sławą, która go ścigała, nie zrażając się żadnem dziwactwem, a jeśli ktoś nieśmiało wspomniał o „nałogu,“ nie gorszono się wcale, jakby uważano, że alkoholizm jest prawem geniuszu.

Nowa tancerka i nowy poeta zajęli więc uwagę publiczności, odwracając ciekawość od rzeczy przeszłych i zbliżających się szybko wypadków, których nikt nie przeczuwał, ani się domyślał.

A burza się zbliżała; jej pierwsze podmuchy już świszczały w szczelinach starego budynku, chociaż nikt nie rozumiał tych odgłosów. Aż pewnej nocy dwudziestotysięczny tłum stanął na ulicach i powitał słońce groźnym okrzykiem: „Chleba!“

Okrzyk powtarzał się jak echo gromu, i coraz inne brzmiały w nim wyrazy: „Nasze handlowe spółki!“—„Przywrócenie spółek!“— To znowu: „Króla! króla!“

Handlowe spółki utonęły w morzu nowego „Związku,“ w którym ministrowie mieli

znaczne udziały, a król nie ukazywał się na to wezwanie, prawdopodobnie wiedząc, że jego obecność niczemu nie zaradzi w tym wypadku.

Wezwano śpiesznie wojsko i policyę, wobec jednak stanowczego rozkazu monarchy, aby się nie uciekać do środków gwałtownych, rozproszenie i usunięcie zbiegowiska było prawie niepodobieństwem. Dokazało tego jednak dwoje ludzi: Sergiusz i Lotys.

Karol Perousse, tknięty atakiem nerwowym, w głębi swego pałacu wyglądając oknem, z ulgą i niepokojem widział, jak część tłumu rozpływała się szybko na głos i skinienie olbrzymiego mężczyzny o potężnych barkach i wspaniałej lwiej grzywie. I widział potem, jak w przeciwnej stronie ukazała się jasna i wysmukła postać kobiety w bieli, na której widok tłum wybuchnął pieśnią i jak gromadka dzieci szedł za nią posłuszny, dokąd wiodła, nie pytając.

Wśród żołnierzy przebiegł głośny szmer: „Lotys! Lotys!“—z daleka zabrzmiały krzyki radości, pieśni, potem cisza. Tłumu nie było.

W uszach Perousse'a brzmiało tajemnicze, o magnetycznej władzy imię: „Lotys! Lotys!“ Słyszał je tyle razy, lecz pamiętać nie chciał. Pocóżby miał pamiętać? Wszak pierwszy minister znać go też nie chciał i nic o niem

wiedzieć. Może wymaga tego dyplomacya, ażeby nie znać osób, których się lękamy, lecz kto wie, czy nie przyszła chwila, że ci wzgardzeni staną się panami położenia choć na czas krótki?

Niespokojne myśli sekretarza stanu spłoszyło lekkie dotknięcie go w ramię. Obejrzał się i spostrzegł margrabiego Luterę.

— Prawie powstanie, — rzekł Perousse z bladym jeszcze uśmiechem — ale powstrzymane.

— Powiedz raczej: rewolucya — odparł margrabia szorstko. — Żarty dziś nie na miejscu. Jesteśmy w przededniu ważnych wypadków. Tłum się burzy. Dzisiaj w nocy zadrżały fundamenty naszych pałaców, a jeżeli burza minęła, zażegnał ją jedynie sam przywódca, Sergiusz Thord.

— Przy pomocy swojej kochanki — dorzucił Perousse szyderczo.

— Kobiety, zwanej Lotys? Wątpię, abyś miał słuszność. Nawet pewny jestem, że nie może być jego kochanką. Nie czczonoby jej w takim razie, niby świętej. Tak, czy inaczej zresztą, jest to osobistość podejrzana i niebezpieczna, która w każdem innem państwie byłaby dawno już aresztowana. Co

prawda, do dnia dzisiejszego i ja nie wierzyłem w potęgę jej wpływu.

Perousse milczał. Wielki plac przed domem był teraz pusty, tylko wojsko i policya pozostały na stanowiskach, z daleka jednak dobiegały jeszcze odgłosy wrzawy, śpiewu i okrzyków, niby echa oddalającej się nawałnicy.

— Czy nie widziałeś króla? — zapytał minister.

— Nie — rzekł Perousse sucho.

— Sam spowodował to wszystko uporem — ciągnął minister dalej. — Wojna była potrzebą chwili, byłaby zażegnała ruch w samym zarodku. Wiesz o tem zresztą dobrze! Ale chciał dowieść swego prawa *veto*. Dziwię się tylko, że z takim spokojem traktujesz dziś to wszystko: wszakże twoje kontrakty...

Perousse odwrócił głowę i wzruszył lekko ramionami; na brzydkich jego ustach igrał szyderczy uśmiech.

— Ach! ach! ach! — szepnął nakoniec Lutera, uderzając się w czoło. — Że też tego nie zrozumiałem odrazu! Oczywiście! Najprostsza droga! Zwróciłeś swoje dostawy do „Związku.“ Genialny pomysł! Związek międzynarodowy, więc nie tylko nie tracisz, lecz zyskujesz na tej zamianie!

— Stracić! — szydził Perousse. — Na

to się nigdy nie zgodzę. W tym kierunku nie mam skrupułów. Wszystko jest handlem, wszystko musi dawać zyski. W tem treść i mądrość życia. Pieniądz to dzisiaj wszystko. Wszystko! Tak jest — wszystko.

Margrabia Lutera rzucił ukośne spojrzenie, lecz nic nie odpowiedział.

— Połączyć żelazny przemysł w związek międzynarodowy i mieć w nim udział jak najpoważniejszy jest dobrze obmyśloną kombinacyą — ciągnął Perousse dalej. — Nie mamy wojny?—to inni się biją, i znajdzie się zawsze ktoś, co potrzebuje broni. Powszechnego pokoju być nie może. I dlaczego nie dostarczać ludziom z dobrym zyskiem, tego czego od nas potrzebują?

Margrabia Lutera patrzał na niego uważnie.

— Czy wiesz, — zapytał wreszcie — że Jost, aby ocalić opinię „swej prasy,“ zwrócił się przeciw tobie i zaczął od aktu oskarżenia, opartego na dobrych informacyach?

Perousse zerwał się blady ze wściekłości.

— Czyżby śmiał! — syknął.

— Niema żadnego „czyżby?“ — „Spełnił swój obowiązek,“ jak się szlachetnie wyraża, i już go spełnił. Nie można się dziwić; on miał powód ważny: chodzi mu o kieszeń. Te rzeczy rozumieć trzeba. Jest wściekły i zrozpaczony powodzeniem tego świstka, któ-

ry tak długo lekceważył, a dziś, dzięki kaprysom króla, ma w nim groźnego rywala. Akcye jego dzienników spadły, i musi — rzecz prosta — szukać drogi ratunku. Zdaje się, iż dostarczył komuś całkowitej listy twoich spekulacyi, z dokładnem obliczeniem wszystkich udziałów, akcyi, kombinacyi etc.

Margrabia umilkł, jak gdyby zawahał się nagle.

— Komu? — zapytał Perousse przez zęby.

— Zapewne temu, komu na tem zależało... Dokładniejszych wskazówek dać panu nie mogę. Jako ostrzeżenie powiedziałem dosyć.

Perousse spojrzał na niego badawczo, lecz wyraz twarzy gościa nie uspokoił go widocznie.

— Jesteś pan równie zaangażowany, jak ja w tych wszystkich sprawach — zaczął wreszcie.

— Przepraszam! — przerwał margrabia z wyrazem godności. — Może *byłem* niegdyś wmieszany w te rzeczy, ale się wycofałem. Każdy musi myśleć o sobie. Mogłem zbłądzić, jako człowiek, ale nie chcę, by ktokolwiek cierpiał z mojej winy. Chciałem dobrze, zbłądziłem, uznaję swą winę. Podałem się do dymisyi.

— Szaleństwo! — wybuchnął Perousse ze wściekłością, zapominając o formach i względach. — Szaleństwo! niedorzeczność! W chwili, gdy możesz pochwycić ster statku, ty go opuszczasz?

— Czyż nie jesteś gotów spełnić za mnie tego zadania? — spytał Lutera ironicznie. — Nie możesz wątpić przecie, że król ci powierzy opuszczone przeze mnie stanowisko!

To mówiąc, pełnym godności ukłonem pożegnał byłego towarzysza pracy, zostawiając go własnym myślom.

Perousse po raz pierwszy uczuł się w dziwnie fałszywem położeniu na drodze, którą szedł dotąd tak śmiało, nie licząc się z żadnemi przeszkodami. Bo jeżeli to prawda, że Jost i Lutera wycofali się z gry niebezpiecznej, a zwłaszcza Jost, — to był istotnie zgubiony. Jost był jego powiernikiem, nie tylko wspólnikiem. Używał go i jego prasy bez skrupułu do torowania drogi swoim spekulacyom. Jost wszystko wiedział, wiedzieć musiał, jeśli miał służyć skutecznie. Zwierzał mu przecież tajemnice stanu, aby z nich wspólne wyciągać korzyści! On mu poradził zbliżenie się z Luterą, ze względu na tak ważne stanowisko, i wciągnięcie ministra w wir spraw finansowych, opartych na ryzykownej spekulacyi. A dziś — jeżeli ten

człowiek istotnie zechce mówić i mówić będzie — to on, Karol Perousse, sekretarz stanu, jest zgubiony i zhańbiony bezprzykładnie, bezprzykładnie!

Zimny pot okrył mu czoło i skronie, a język stał się suchy jak kawałek drewna, gdy pogrążony w myślach coraz jaśniej pojmował całą trudność położenia i wielkość grożącego mu niebezpieczeństwa. Sprężysty umysł jego jednocześnie z całą potęgą zimnej odporności szukał dróg ocalenia: liczył, kombinował i setki razy dochodził do wniosku, że jedynym ratunkiem i jedynym mostem, po którym się prześliznąć może nad przepaścią — była osoba króla.

Osoba króla, którą lekceważył, w której widział dotąd jedynie narzędzie do spełniania swych projektów i zamiarów! A dzisiaj — gdyby król ten chciał uwierzyć, że on, sekretarz stanu, był człowiekiem spotwarzonym, pokrzywdzonym przez nieprzyjaciół, którym stał na drodze, broniąc spraw państwa i służąc krajowi, — gdyby mu król uwierzył, gdyby mógł przekonać — jeszczeby może wypłynął z otchłani!

To byłoby możliwe, gdyby król był inny — myślał znowu z rozpaczą. — Gdyby chciał zrozumieć, co znaczy zysk i strata, gdyby pragnął zyskać. Przecież król także

mógłby wziąć udział w Związku handlowym międzynarodowym, a wtedy nie mógłby go już potępiać. I prasaby umilkła, opinia ucichła, zabawiona czem innem. I coby można zrobić z tego rodzaju wspólnikiem! Niechby się oburzali wtedy patryoci, a przesądy rzucały klątwy, okręt płynąłby całą siłą pary— do ziemi obiecanej! Ale król nie zna wartości pieniędzy i nie dba o nie. Nie dba o pieniądze! Jakże do niego trafić? I cóż on zrozumie?

I rozważając dalej położenie, przyszedł jednak do wniosku, że postępowanie monarchy nie jest zupełnie jasne, ani jednolite. W dwóch kwestyach tylko okazał swą wolę i był niezachwianie stanowczy: w kwestyi wojny i pozwolenia na szkołę Jezuitów. Tu i tam *położył veto i nie cofnął go mimo* silnego nacisku. Poza tem jednak pozostał jak dawniej — biernym i wahającym. Wszak na próśb tyle w kwestyi zmniejszenia podatków nie odpowiadał wcale, nie sprzeciwiał się ich nakładaniu. Trudno przypuścić, aby to robił z rozmysłem. Bo w jakim celu?

— Z tem wszystkiem — szepnął nakoniec Perousse, wyczerpany wielogodzinną torturą — nie trzeba przesadzać w niczem. Zastanowiwszy się lepiej, nie widzę jeszcze powodu do tak wielkich obaw. Równowaga

zachwiana, lecz może powrócić. Choćby nawet Lutera podał się rzeczywiście do dymisyi, król może jej nie przyjąć. Co król zrobi, nikt nie wie. Król jest zagadką. Co nim kieruje? czy kto nim kieruje?

Na te pytania nie miał odpowiedzi, i jedynie jasnem było to, że od owej tajemniczej, niezbadanej osobistości, która nosi miano króla, zależy jego przyszłość, jego, który myślał, że panuje nad wszystkiem.

W kilka dni potem przypadała dawno zapowiedziana uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy Wielki Teatr Narodowy, w której król osobiście miał wziąć udział z całym dworem. Wiadomo, że podobne widowiska zawsze mają urok dla tłumu, bez względu na stan umysłów i usposobienia; można też było liczyć, że fakt ten sprowadzi najróżnorodniejsze żywioły i prądy, nie przypuszczano jednak, aby mógł dać powód do zajść niepożądanych. Rzeczywiście uroczystość zapowiadała się świetnie, wynajmowano okna i balkony przy ulicach, wiodących od królewskiego zamku aż do miejsca, gdzie stosy cegieł i kamieni, widne z daleka na obszernym placu, oznaczały, gdzie stanie z czasem wspaniały budynek, ozdoba miasta, przybytek zabawy.

Dzień był pogodny, słońce paliło złoty-

mi, jak strzały, kolącymi promieniami, niebo bez chmurki, a morze spokojne, niby lustrzana tafla, nęciło spojrzenia. Damy stroiły się w najlżejsze suknie, panowie w jasne szaty, białe kapelusze, stubarwne parasolki jak lekkie motyle unosiły się ponad rozbawionym tłumem, pełnym gwaru, uśmiechów, ruchu, spojrzeń i wesela. Na balkonach roiły się ciekawe główki, zalotne twarze, fryzowane loki, kwiaty, barwne sukienki, zalotne spojrzenia Pogoda panowała w duszach tego tłumu, równie jasna i trwała, jak w naturze.

Środkiem ulicy postępował zwolna szereg powozów dworskich, witanych okrzykami, poruszaniem chustek, strojnych, pięknych, niezwykłych. Przystawano, by spojrzeć na jadące w nich osoby, pozdrawiano króla radosnym okrzykiem, podziwiano, jak zwykle, nieśmiertelną piękność królowej, stroje dam dworskich, konie, klejnoty, pojazdy; tłum napływał ze wszystkich stron coraz gromadniej, napełniał plac obszerny, każdy szukał miejsca, skąd lepiej objąć można wzrokiem widowisko.

Nakoniec orszak dworski znalazł się u celu, otoczony tłumami, przed których naporem policya, wojsko — były bezwładne. Zdołano jednak przygotować przejście swobodne dla monarchy, który opuścił powóz

i między szeregami konnej straży szedł w otoczeniu dworzan na miejsce, gdzie stali w oczekiwaniu mistrze ceremonii, urzędnicy i robotnicy. Witał go okrzyk radosny, życzliwy, na który odpowiadał wojskowym ukłonem.

Zbliżywszy się na miejsce, powitał uprzejmie oczekujące na niego osoby, temu podając rękę, z tamtym zamieniając kilka grzecznych wyrazów, zwracając się wreszcie do kilku pięknych kobiet, które chciały z blizka widzieć ciekawą dla nich ceremonię. Wtem uśmiechnięty, pewien dobrego przyjęcia, Dawid Jost szybko wysunął się z tłumu i stanął tuż na drodze, jakby oczekując także grzecznego słowa lub uśmiechu. Czyż nie miał do nich prawa? W ostatnich numerach jego dziennika tyle hymnów wyśpiewano na cześć króla i jego dążeń! A może większe jeszcze oddał mu usługi, chociaż nikt o tem nie wie? On wie to najlepiej, sam Dawid Jost, i teraz może król okazać przed całym światem, jak go sobie ceni i co myśli o przyjaźni „króla prasy.“ Dlaczegóż go nie widzi? Pominął go wyraźnie. Nie chce na niego patrzeć! Co to znaczy?

Jost usunął się na bok zdumiony, wzburzony, purpurowy z gorąca i wzruszenia, aż jedna z pięknych kobiet, która osobiście znała go z towarzystwa, spostrzegła tę przy-

krość wielkiego finansisty i z miłym uśmiechem—chcąc mu dopomódz — szepnęła królowi:

— Pan Jost, sir.

— Tak? — rzekł monarcha, nie zmieniając kierunku spojrzenia. — Nie znam... Co za śliczne przybranie z kwiatów! Niezawodnie to pomysł pani? Gust wytworny i oryginalny!

I poszedł dalej, nie spojrzawszy nawet w stronę Josta, zgnębionego tym wypadkiem, duszącego się w kurzu i spiekocie, które w tej chwili dopiero stokrotnie odczuwać zaczął całą nerwową naturą. W głowie szumiały mu tysiące myśli, kołacąc się jak ciemne nietoperze, pełne wróżb groźnych i brzydkiego strachu. Co to znaczy? Dlaczego?

I jak groźne widmo stanęła przed nim znowu tajemnicza, nieznana osobistość Pasquina Leroy. Kto wie. Kto wie? dokąd doszło echo tej rozmowy? Ten Pasquin to nie fikcya, nie zły sen, lecz człowiek, który żyje, pisze i działa! Żyć mu pozwalają, chociaż pierwszy minister... Jego artykuły najbardziej szkodzą dzisiaj prasie Josta w dzienniku, który sam król proteguje. A jeśli to jest ktoś blizki królowi? Jeśli ma możność powtórzenia mu wszystkiego, co owej pamiętnej nocy usłyszał z własnych ust Josta?

Wielki finansista otarł znów spocone czoło, a gorąco i duszność uderzyły mu do głowy. Upał nie usposabia do spokojnego myślenia, a właśnie teraz myśli na kształt tego tłumu tłoczyły mu się w mózgu, spychając wzajemnie, olśniewając go groźnym blaskiem błyskawicy, to znowu pogrążając w czarność nocną.

— Boć jeśli ten człowiek trafił tą drogą do króla?... Jeśli mu dzisiaj wszystko wiadome i jasne?

Rzucając wkoło niepewne spojrzenia, Jost usiłował teraz wycofać się z tłoku i odsunąć najdalej od wybranego grona, które idąc za królem, otoczyło właśnie przygotowany kamień, cel dzisiejszej ceremonii. Usiłował nie patrzeć na nikogo, nie spostrzegać złośliwych spojrzeń, ani szyderczych uśmiechów, które ścigały go teraz, cofał się i usuwał, kiedy czarna postać monsiniora del Fortis stanęła mu nagle na drodze. Ten może nic nie widział, był dobrym płatnikiem, nie należało zrażać sobie ludzi. W godzinie walki i niebezpieczeństwa najbardziej potrzebujemy przyjaciół.

Jost przystanął, usiłując zwykłym głosem pozdrowić najuprzejmiej zakonnika.

— Dzień dobry, monsiniorze! — rzekł, ocierając pot z czoła. — Niesłychany upał!

Bardzo mi przyjemnie spotkać cię tu, monsiniorze, choć przyznaję, jestem zdziwiony. Dwór nie nęcił cię dotąd, a sądziłem, iż powołanie nic wspólnego nie ma ze sztuką i jej wesołymi przybytkami.

Blady zakonnik uśmiechnął się dziwnie.

— Gdybyś pan badał dzieje Kościoła i sztuki, — odparł niedbale — wiedziałbyś napewno, iż od początku świata łączyły się one i wspierały nawzajem, i dziś niema powodu, dla którego miałyby się wyłączać, lub potępiać.

— Tak... z tego punktu — zaczął Jost niezręcznie, szukając gruntu do dalszej rozmowy, ale del Forti przerwał mu bez ceremonii:

— Sztuka i scena są to dziś rzeczy powszednie — zaczął znowu; — widzimy je dokoła siebie, jak i tutaj naprzykład. Czyż to nie przedstawienie? Nie cały dramat, w którym nawet osobiście odegrałeś pan pewną rolę?

Był to nowy policzek i niespodziewany. Jost odetchnął głęboko, oczy błysnęły mu dziwnie, lecz monsinior z powagą mówił dalej:

— Wszyscy jesteśmy tutaj aktorami, i mnie przypada przecież rola spektatora, każdemu z nas. Nie wszyscy tylko o tem wiedzą, nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę;

o głównym personelu przedstawionej sztuki przeczytamy jutro w dziennikach.

— Król bywa czasem w szczególnym humorze — zauważył Jost wreszcie, skubiąc barwny kwiatek, zatknięty w butonierce. — W bardzo szczególnym humorze... To jest niedobrze. Za zły humor ludzie często muszą płacić drogo. To w życiu nie jest dobrze.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się z cicha zakonnik. — Znakomita uwaga, panie Jost! Wyborna. Uwaga finansisty. Tak, trzeba się rachować ze wszystkiem na świecie, a szczególnie nie drażnić nigdy miłości własnej. Odchodzisz pan już? Szkoda. Lecz zapewne masz tutaj reporterów?

— Aż za wielu! — niedbale rzucił Dawid: — całą tę hecę zbędę w kilku słowach.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się znowu del Fortis. — Rozumiem: zemsta! Słusznie! Oko za oko! Zdarza się jednak, że krótkie opisy przez swoją lakoniczność są wymowne i największe robią wrażenie. Do widzenia!

Jost skinął głową sztywno i cofnął się znowu, nie dlatego, ażeby istotnie opuścić ciekawą scenę, lecz aby się usunąć od znajomych i opodal na wyższem miejscu zająć bardzo dogodne stanowisko, skąd mógł panować wzrokiem nad wszystkimi. Właśnie król, stojąc na rzuconym mostku, wyciągnął rękę, by

dotknąć kamienia, zawieszonego pośród lin i bloków. Następnie kamień wolno spuszczano do dołu, gdzie umieszczono złotą i srebrną monetę ze stemplem roku bieżącego. Przewodniczący ceremonią zwrócił się wtedy do króla ze srebrną kielnią i naczyniem pełnem rozrobionego wapna. Król wziął kielnię do ręki, zamieszał nią wapno, z góry pokropił kamień, spuszczony do dołu, i oznajmił głośno, że jest położony dobrze. Odpowiedzią był głośny okrzyk radości tłumu, orkiestra zaczęła grać hymn narodowy, co oznaczało koniec ceremonii. Król ściskał ręce stojących najbliżej, przesyłał innym uśmiech, ukłon, pozdrowienie, pięknym kobietom grzeczne i pochlebne słówka, i zbliżał się powoli do powozu, zaprzężonego w sześć pysznych rumaków, który na niego oczekiwał nieopodal. Przy otwartych drzwiczkach stał lokaj w złocistej liberyi dworskiej. Roger de Launay i doktor von Glauben postępowali tuż za swym monarchą; otaczało go kilku innych dworzan.

Całą grupę dzieliło kilkanaście kroków od reszty dworu i królewskich ekwipaży, gdy nagle młody chłopiec, z twarzą bladą i nerwową, rozpychając tłum, stanął na drodze przed królem. Chwilę zdawał się wahać, wtem szybko wzniósł rękę, i z dzikim, nie-

Bibl. Prym. Wydz. Szkoły
No
Opolskiego

zrozumiałym okrzykiem wymierzył w pierś królewską ostre żelazo sztyletu.

Lecz stała się rzecz dziwna: między błysk sztyletu a pierś królewską rzuciła się nagle z otwartemi ramiony czarno ubrana kobieta, sztylet zatrzymał się na jej ramieniu, utkwił w niem, a kobieta upadła zemdlona u stóp ocalonego cudownie monarchy.

Stało się to tak szybko, iż nikt z otaczających nie wiedział jasno, co to wszystko znaczy. Blada twarz chłopca, sztylet, czarno ubrana kobieta, krótki jej okrzyk, zamieszanie w tłumie — były dziełem minuty. Król oprzytomniał pierwszy, zdjął kapelusz z głowy i odpowiedział na grzmiące okrzyki radości, które rozlegały się teraz dokoła ze wzrastającą siłą i zapałem. Jednocześnie policya schwytała zbrodniarza, który po krótkiej walce zaniechał oporu i dał się zaprowadzić do więzienia.

Uspokoiwszy swoim widokiem obecnych, król pochylił się wreszcie nad kobietą, której zawdzięczał życie. Profesor von Glauben już opatrywał jej zranione ramię, a de Launay formował najściślejszy kordon z obu stron drogi, którą miał przebyć monarcha.

— Czy rana niebezpieczna? — spytał król półgłosem.

— Nie, — odparł doktor — ale...

Jego spojrzenie było tak wymowne, iż król doznał uczucia niepokoju.

— Odsłoń jej twarz! — rzekł krótko.

Z ukośnem spojrzeniem na Rogera de Launay, doktor spełnił rozkaz, i król ujrzał przed sobą bladą i spokojną twarz Lotys. Ciemna suknia była krwią splamiona i powalana piaskiem, krwawe plamy skleiły jej bujny włos złoty, ale nie było bólu na jej ustach, i zdawała się raczej śpiąca, niż zemdlona.

Król patrzał na nią chwilę w poważnem skupieniu, potem się wyprostował, zdjął z głowy kapelusz i, zwracając się głośno do całego tłumu, dał znak ręką, iż pragnie otworzyć mu przejście.

— Czy nikt z obecnych nie zna młodej lady? — przemówił brzmiącym głosem.

Rozerwano kordon, i tłum rzucił się naprzód wraz z policyą. Setki głów pochyliły się w stronę leżącej, i wkrótce słowo: „Lotys!“ padło niby iskra, jak iskra przeniknęło tłum od końca do końca, i powtarzane głośno i cicho, zabrzmiało, niby hymn uroczysty, pełen czci i trwogi:

— Lotys! Lotys! To ona! Ona! Opiekunka, siostra! Ona, ta święta! Lotys ocaliła króla! Lotys raniona!

Scisk, napór tłumu stawały się groźne: każdy chciał widzieć Lotys, każdy chciał wiedzieć wszystko.

Dawid Jost pojął nagle, jaką cenę ma podobny wypadek dla jego dzienników i dla niego samego. Nadludzkim wysiłkiem wydostał się nakoniec z pośród ciżby, wsiadł do pierwszej dorożki i co koń wyskoczy kazał pędzić do głównej redakcyi. Tutaj poruszył wszystko. Wkrótce iskra elektryczna na wszystkie strony świata niosła wieść niezwykłą, a zecerzy składali gorące wyrazy, które miały zjednać mu łaskę monarchy.

Tymczasem z rozkazu króla umieszczono Lotys w najwygodniejszym z dworskich ekwipażów, gdzie pod opieką doktora von Glauben ułożona była z wielką troskliwością i przewieziona jak dziecię w kolebce do królewskiego zamku.

Król jechał za nią. Orszak posuwał się za nią pośród okrzyków ludu, powtarzającego imiona króla i Lotys, z radością i żalem cisnącego się ciągle do powozów, aby widzieć ich zblizka. Przed bramą pałacu król wysiadł znów z powozu i pozostał chwilę, zaznaczając swą ufność i życzliwość, pozwalając zbliżać się do siebie ludziom nieznanym, z klas ubogich, pracujących, odpowiadając uprzejmie każdemu, kto zwracał się do niego.

Inną bramą wprowadzano jednocześnie do więzienia fortecy skrępowanego sprawcę całej katastrofy. I za nim postępował tłum ciekawych. Blada twarz chłopca i wiek jego młody pomimowolnie budziły współczucie. Co mogło skłonić go do takiej zbrodni? Kto uzbroił tę rękę? Dlaczego? Dlaczego? Szkoda młodego życia! Szkoda duszy młodej! Kto wlał w nią tę truciznę?

IV.

Gdy Lotys ocknęła się z długiego omdlenia i spojrzała dokoła, nie mogła zrozumieć, gdzie jest, co ją otacza. Leżała na sofie, otoczona miękkiemi poduszkami, w nawpół ciemnym pokoju, obitym różową draperyą. Z pomiędzy fałd atłasu tu i owdzie wyglądały rzeźby ze słoniowej kości, albo kosztowne grupy z porcelany saskiej. Na sklepieniu nęciły oko fale morza, po którem Wenus w kwiecistej gondoli przesuwała się zwolna, ciągniona przez białe gołębie. W rogach pokoju stały wielkie palmy, roztaczając cień liści i pieszcząc spojrzenie ciemną barwą bujnej zieleni.

Rozglądając się, poruszyła głową, jakby

chciała się podnieść, lecz w tej samej chwili jakaś ręka spoczęła miękko na jej dłoni, i ktoś szepnął półgłosem:

— Proszę leżeć spokojnie. Jesteś pani raniona. Nie wolno się poruszać.

Z trudem zwróciła głowę w stronę mówiącego, ale w zmroku ujrzała tylko dużą głowę i szerokie ramiona jakiegoś mężczyzny, który siedział obok, w ręku trzymając zegarek i licząc puls jej z doktorską powagą. Rysów jego twarzy rozróżnić nie mogła tak z powodu półcienia, który panował w pokoju, jak dziwnej mgły, snującej się przed jej oczyma.

— Jesteś pan bardzo dobry — szepnęła nakoniec. — Nie pamiętam... aha! król... I co się stało?

— Nic, dzięki tobie, pani! Wszystko dobrze — odparł znów głos stłumiony.—Ocaliłaś życie królowi.

— Dzięki Bogu! — szepnęła i zamknęła oczy, a duże łzy spłynęły zwolna po jej twarzy. — Dzięki Bogu!

Doktor von Glauben powoli wstał z krzesła, ostrożnie oparł o poduszkę sofy rękę chorej i zbliżył się cicho do stołu, na którym stało kilka szklanek i flaszeczek Jedną z nich wybrał, nalał kilka kropli do kieliszka i zbliżył do ust kobiety.

— Proszę wypić! — przemówił stanowczo, choć łagodnie.

Była posłuszna, potem głowa jej opadła znowu i leżała bezwładnie, nieruchoma, z zamkniętemi oczyma. Zwolna jednak twarz blada nabierała zwykłej, naturalnej cery; chora westchnęła głęboko i otworzyła oczy.

Teraz dopiero uczuła wyraźnie ból w prawej ręce, mocno skrępowanej i obandażowanej w taki sposób, iż nie mogła poruszać nią zupełnie. Spostrzegła także, iż rękaw sukni był odcięty. Dlaczego? Leżąc ciągle spokojnie, bez ruchu, stopniowo odzyskiwała jasność myśli, aż zrozumiała, że jest w otoczeniu obcem, zbytkownem, w którem być nie chciała.

Zebrała wolę i siły i nagle usiadła na posłaniu. Doktor pośpieszył ku niej z okrzykiem przestrogi, lecz odsunęła go gestem stanowczym.

— Nie troszcz się pan o mnie, mogę już stać, chodzić — patrz, proszę!

I oparta jeszcze lewą ręką o wysoką poduszkę otomany, stanęła, chociaż nogi drżały jeszcze pod nią.

— Nie wiem, kto pan jesteś, — przemówiła znowu — lecz nie wątpię, że byłeś dla mnie bardzo dobry, bądźże nim jeszcze chwilę i pozwól mi odejść stąd zaraz.

— To niepodobna, pani! — zawołał profesor. — Jego Królewska Mość...

— Król? — powtórzyła Lotys z dumą w głosie. — Czyż jestem uwięziona?

Von Glauben zaprzeczył gorąco.

— Ależ bynajmniej! Co za przypuszczenie? Lecz jesteś pani gościem w królewskim pałacu. Ocaliłaś królowi życie — czyż odrzucisz jego gościnność?

— W królewskim pałacu! — powtórzyła Lotys z odcieniem goryczy. — Ja, Lotys, gościem króla! Czy jesteś pan ze służby króla?

— Jestem jego doktorem — odparł von Glauben z ukłonem. — Miałem zaszczyt opatrzyć ranę pani, która jakkolwiek nie jest niebezpieczna, będzie dla pani długo bardzo przykrą. Dlatego radzę pani zupełnie poważnie nie poruszać się z miejsca i przedewszystkiem wypocząć. Przecież nie myślisz pani oddalić się stąd dziś jeszcze?

— Nie mogę tu pozostać — odparła spokojnie. — Nie chciałabym jednakże okazać się panu niewdzięczną za jego dobroć i staranie, dlatego proszę oznajmić królowi... To dziwne — rzekła nagle, przerywając sobie — ja pana już widziałam... kogoś podobnego... zdaje mi się .

Gwałtowny atak kaszlu zmusił doktora

von Glauben odwrócić się na chwilę, wyjąć wielką chustkę i zasłonić pół twarzy, purpurowej z wysilenia.

— Pani życzyłaś sobie oznajmić coś królowi? — pytał zmęczonym głosem, nie mogąc zupełnie pohamować kaszlu.

— Tak! — rzekła Lotys cicho. — Bądź pan tak dobry, jeśli łaska, podziękować mu za uprzejmość i powiedzieć, że muszę stąd odejść natychmiast. Nie mogę tu pozostać ani godziny dłużej. Powiedz pan, że nie mogę! Na szczęście, nie wie dotąd, kto mu ocalił życie; gdyby wiedział, nie byłby pewno tak gościnny. Powiedz mu pan to, proszę! Wiem, że nie mniej gorąco pragnąłby mię stąd usunąć, jak ja stąd odejść pragnę.

— Spełnię życzenie pani, — rzekł profesor — pozwól jednak, że przedtem dla twego spokoju, powiem ci, iż król dobrze wie, kto pani jesteś. Publiczność wymieniła twoje imię, powtarzali je wszyscy.

Lotys przymknęła oczy, oblana rumieńcem, potem pobladła znowu.

— W takim razie—przemówiła ciszej — król wie dobrze, że zgodnie z zasadami, które wyznaję otwarcie, nie mogę być jego gościem. Proszę też pana bardzo, abyś mi ułatwił jak najprędzej powrót do domu, nim się wieść rozejdzie, że tu jestem.

Profesor zdawał się zakłopotany; nagle myśl nowa błysnęła mu w oku.

— Spełnię życzenie pani — powtórzył raz jeszcze; — pozwól jednak, że przedewszystkiem zawiadomię o niem Jego Królewską Mość. Nie rozumiem też, w jaki sposób król mógłby uważać za wroga kobietę, która ocaliła mu życie, narażając własne na niebezpieczeństwo.

— Pragnę stąd odejść, — rzekła Lotys— i nie może lepiej okazać mi swojej wdzięczności, niż zwracając mi wolność jak najprędzej.

Profesor złożył jej ukłon i wyszedł.

Lotys została sama. Usiadła na krześle i lewą ręką przycisnęła oczy, w których czuła ból dziwny i zmęczenie. Silniejszy i drażniący ból w prawem ramieniu, pozbawionem władzy, nie pozwalał ani na chwilę zapomnieć o odniesionej ranie, lecz siłą woli panowała nad nim, uzbrojona w cierpliwość i wytrwanie. Nie o sobie myślała też w przykrej zadumie, lecz o zaszłym wypadku. Wszystko to stało się niespodziewanie, i kto wie, jakie pociągnie następstwa. Ona sama przypadkiem znalazła się w tłumie, który ogarnął ją bezwiednie; w ścisku szła naprzód, nie troszcząc się o ceremonię, której była świadkiem przypadkowym. Wtedy już zwrócił jej uwagę

młody chłopiec o bladej twarzy i dziwnem spojrzeniu; pomimo woli śledziła go wzrokiem, a gdy błysnął sztyletem, całkiem instynktownie zasłoniła monarchę swą osobą.

Dlaczego to zrobiła? Wyraźnie i jasno nawet sama przed sobą wyznać tego nie chciała... Przyczyna była tak czysto kobieca!.. Ale kto był ten chłopiec? Nie znała go wcale. Czy działał z własnej chęci, czy z rozkazu? Jeśli nie był szaleńcem, musiał stać ktoś za nim, musiał nim ktoś kierować, jak narzędziem. A kto?

Nie *oni* przecież. I dobrze się stało, że ona była tarczą królewską w tej chwili, że na miejscu wypadku dało się słyszeć jej imię. Gdyby nie to, czyż jej przyjaciół nie posądzonoby o chęć morderstwa? Thord, Zouche, lub Pasquin byliby aresztowani, oskarżeni, skazani — lecz ona była żywem świadectwem ich niewinności i jest tak szczęśliwa! Nie tylko króla ocaliła dzisiaj: ocaliła najbliższych, ocaliła swoich!

Spojrzała z dumą i radością w oku, zapomniała o bólu. Jak dobrze się stało!

Jednocześnie spostrzegła na poręczy krzesła swój czarny płaszczyk. Ma stąd odejść przecież: trzeba się ubrać. Z niemałym trudem dokazała tego, ile było możliwe wobec

ręki obandażowanej, i stanęła przed lustrem, umieszczonem w ścianie, aby poprawić rozrzucone włosy. Zwinęła je lewą ręką w gruby splot na karku, ale nie mogła podnieść i upiąć na głowie, i po daremnym wysiłku i trudzie, zmęczona ręka opadła bezwładnie.

Chciała znów usiąść i odpocząć chwilę, gdy drzwi się otworzyły, i król stanął przed nią.

Nastąpiło dziwne i długie milczenie. Blada kobieta z ogniem gorączki w spojrzeniu, z bezwładną ręką, w swobodnej draperyi ciemnego płaszcza, zdawała się w tym jasnym, wytwornym pokoju jakiemś nadziemskiem, nadludzkiem zjawiskiem. Jak przykuta do miejsca — stała nieruchoma, nie spuszczając oczu płonących z monarchy, którego wzrok przenikał ją także badawczo. Serce jej biło mocno i nierówno, lecz nie z trwogi — o tem wiedziała; nogi chwiały się pod nią, ale stała prosto, niezdolna zresztą do żadnego ruchu, jak we śnie hypnotycznym.

— Przyszedłem podziękować ci, pani, za ocalenie życia — odezwał się wreszcie monarcha dźwięcznym, spokojnym głosem. — Nie twierdzę przez to, iż jest ono rzeczywiście godne takiej ofiary i bohaterstwa z twej strony, ile jednak może być użyteczne dla kraju, w imieniu wszystkich, którzy przyjęli z ra-

dością wieść o tem, co się stało, raz jeszcze dziękuję ci, pani... i jestem na twoje rozkazy.

Złożył jej ukłon głęboki, poważny.

Lotys nie odwracała od niego spojrzenia, usiłując zapanować nad wzruszeniem, uspokoić krew w żyłach, odzyskać zwykłą równowagę.

— Nie żądam podziękowań — odparła nakoniec. — Spełniłam tylko obowiązek.

— Obowiązek? — powtórzył. — Czyż ty, pani, i twoi przyjaciele nie pragnęliby raczej pozbawić mię życia, niż zachować je kosztem krwi własnej?

Mówił z odcieniem smutku, z wyrzutem w spojrzeniu, lecz Lotys nie spuściła przed nim wroku.

— To nieprawda! — rzekła spokojnie, stanowczo. — Nie jesteśmy mordercami, i jako król, powinieneś znać lepiej swoich poddanych. Nikt z nas nie pragnie pozbawić cię życia. Żądamy sprawiedliwości jedynie; żądamy, abyś osłonił nas, biednych, przed wyzyskiem. Nieszczęsny zbrodniarz nie ma z nami nic wspólnego, dzięki Bogu! Nie znamy go, potępiamy jego zamiar!

— Byłem tego pewny — rzekł król z rozjaśnioną twarzą, a widząc, że się zachwiała i zbladła, jak gdyby miała upaść, wsparł nieśmiało jej zdrowe ramię.

— Upadniesz, pani — przemówił życzliwie: — jesteś osłabiona i stać nie powinnaś. Cierpisz z mego powodu!

— Trochę... — odparła cicho, białemi ustami—ale to zaraz przejdzie... to nic...

Bezwładnie prawie upadła na krzesło, które król jej przysunął, i patrzała w milczeniu, jak otwierał okno, wpuszczając do pokoju prąd świeżego, tchnieniem morza przesyconego powietrza i blask gasnącego na zachodzie słońca.

— Oznajmiono mi życzenie pani, — odezwał się król znowu, kiedy wyraz twarzy świadczył, iż zwolna wracały jej siły — iż chcesz opuścić ten pałac niezwłocznie. Czyż potrzebuję mówić, jaką mi to sprawia przykrość? Królowa i ja mieliśmy oboje nadzieję, iż zechcesz pani zostać naszym gościem do czasu wyzdrowienia. Za wiele jednak jestem pani winien, abym miał prawo sprzeciwiać się w najmniejszej rzeczy twej woli i życzeniom, nie śmiem więc nawet prosić, abyś pozostała, jeśli pragniesz odejść.

— Dziękuję — rzekła jeszcze słabym głosem. — Pragnę wrócić do siebie. Żałuję każdej chwili, którą tu tracę daremnie.

Król stanął przed nią i objął ją wzrokiem badawczym i ciekawym.

— Dlaczego? — spytał cicho. — Dla-

czego czas, spędzony tu, pod moim dachem, uważasz pani za stracony? Narzuciłaś mi pani dług niezmierny, lecz racz poświęcić mi jeszcze choć tyle drogiego czasu, ażebym zrozumiał, w jaki sposób mogę okazać ci moją wdzięczność osobistą.

Lotys patrzała na niego w milczeniu; nagle blask dziwny zaświecił w jej oku i przeistoczył cały wyraz twarzy.

— Dla mnie nic, królu, uczynić nie możesz—rzekła spokojnie, ze słodką godnością.— Jesteś monarchą, ja biedną kobietą, ale cóż mi dać możesz: pieniądze? klejnoty? Dla mnie te rzeczy nie mają wartości. Ja pragnę być ubogą. Ale—jeśli pragniesz uczynić coś dobrego, zrób to dla innych, dla ludu, dla tych, którzy cierpią i wzywają sprawiedliwości.

Król nie zmieniał pozycyi, wsparty na konsoli; tylko smutny uśmiech osiadł mu na ustach.

— Może to i dobrze, że wbrew własnej woli znalazłam się tutaj — ciągnęła Lotys dalej. — Może to wola Boża, Jego pomoc, abym miała sposobność przemówić do ciebie. Bo któż do ciebie mówi, oprócz pochlebców, dworaków, którzy nie śmieją odsłonić ci prawdy, choć znać ją powinieneś? Ale im chodzi o to, abyś nie wiedział, co się dzieje w państwie, bo to mogłoby zepsuć ich zamiary,

więc cię łudzą i bawią, aby wygrać na tem: każdy z nich potrzebuje czegoś od ciebie. Ja niczego nie pragnę, nic nie potrzebuję — dlatego mówię śmiało i otwarcie!

Odetchnęła głęboko, wyczerpana znowu, i oparła głowę o poręcz fotelu. W oczach króla płonął blask woli i siły, przy pomocy których panował nad sobą. Gorące słowo kilkakroć wybiegało mu już na usta, ale je powstrzymał, przeszedł się po pokoju raz i drugi i stanął znów przed Lotys.

— Jeśli w waszych oczach — rzekł z naciskiem — jestem jak dziecko, które prowadzą za rękę, a które nie wie, dokąd idzie, co robi, w takim razie nie pojmuję poświęcenia, z jakiem pragnęłaś, pani, ocalić mi życie.

— Nie dlatego uczyniłam to, że jesteś królem — odpowiedziała z dumą, potrząsając głową.

— Nie dlatego? — zapytał z odcieniem zdziwienia. — Więc było to proste uczucie ludzkości wobec napastowanego człowieka?

Wyraz goryczy osiadł mu na ustach. Lotys spuściła znużone powieki i milczała przez chwilę.

— Nie! — przemówiła wreszcie — to byłoby kłamstwo! Miałam przyczynę inną, osobistą.. ale... to logika kobieca.

Coś było niezwykłego w jej głosie, spojrzeniu, wyrazie twarzy, coś dziwnie szlachetnego i ciepłego razem, co czyniło ją prawie idealnie piękną.

— Logika kobieca — powtórzył monarcha. — Czy wolno mi ją poznać?

Zawahała się; nagle, jak gdyby się wstydząc własnej niepewności, rzekła głośno i śmiało:

— Dlaczego nie? Nic w tem niema upokarzającego, czegobym się mogła wstydzić lub zapierać. Jest to zresztą jedynie istotna przyczyna, dla której ocaliłam ci życie... ponieważ... ponieważ jesteś żywym obrazem człowieka, którego kocham!

Milczenie. Taka cisza, że słychać szmer liści w ogrodzie i szmer fal morskich, płynących do brzegu. Lotys pojęła nagle prawie z przerażeniem, że przemówiła tutaj tak otwarcie, jak nie byłaby przemówiła nigdy wobec żadnego z najbliższych przyjaciół, że w chwili podniecenia zwierzyła obcemu, nieznanemu jej człowiekowi jedyną i najgłębszą tajemnicę. Czemu to uczyniła? Patrzał teraz na nią, nieruchomy, jak posąg, tem dziwnem spojrzeniem, które przenika nawskroś i czyta w duszy. Musiała, ach! musiała przerwać to milczenie, które trwało sekundę—długą, jak wiek cały.

Zaczęła więc z rozpaczą, prawie nie wiedząc, co mówi:

— Możesz się pan uśmiechać. Dla mężczyzny zawsze serce kobiety jest przedmiotem żartu! Lecz powiedziałam prawdę. Nie broniłam ciebie, nie ciebie ocaliłam. Nie jesteś mi nic winien. Nie mam prawa do twej wdzięczności, bo nie dla ciebie oddawałam życie! Gdyby nie to łudzące podobieństwo— ja nie wiem... nie wiem... ja wiem, że dlatego, tylko dlatego! Choć to podobieństwo tylko zewnętrzne, bo tamten dla bliźnich, dla cierpiących i słabych poświęca swe życie, myśli, pracę i siły, gdy ty, królu... nie wiem... ja nie wiem, co ty myślisz!

Jej głos podniesiony brzmiał głębokiem uczuciem, rumieniec gorączki wykwitł na bladej twarzy, w zapale poruszyła skrępowaną ręką i z tłumionym okrzykiem bólu pobladła i przygryzła blade usta.

W tej samej chwili sztywna postać króla postąpiła krok naprzód, pochylił się przed nią, i nim zrozumiała, co zamierza, dotknął ustami lewej ręki Lotys.

— Za każde słowo dziękuję ci, pani, — przemówił cichym głosem — dziękuję gorąco. Czuję się zaszczycony podobieństwem, jakie znalazłeś we mnie do człowieka, którego stawiasz ponad innych ludzi. Twoją „logikę

kobiecą“ uznaję i budzi we mnie głęboki szacunek, zarówno jak twe słowa śmiałe i otwarte. Mój dług wdzięczności powiększył się jeszcze, i oczekuję z upragnieniem pory, kiedy go będę mógł spłacić choć w części. Tymczasem nic innego uczynić nie mogę, tylko powiedzieć ci, pani: jesteś wolna stąd odejść. Powóz czeka na twe rozkazy, a doktor nadworny odwiezie cię, dokąd każesz. Zaufaj mu zupełnie. Nie chcesz zwracać uwagi, więc wyjedziesz stąd boczną bramą. Żegnaj, pani! Dzięki ci! Niech wspomnienie króla, któremu ocaliłaś życie, nie zakłóca twego spokoju. I nie sądź go surowo. Może i on cierpi nie za własne przewinienia, ale za błędy innych. Może to błądzi forma, a nie jego wola.

Oczy Lotys zajaśniały nagle nowym blaskiem.

— Niema prostszej i wyższej formy nad monarchizm! — zawołała z zapałem. — Trzeba tylko, aby monarcha był rzeczywiście królem.

W oczach mężczyzny było zapytanie.

— Więc nim nie jestem?

— Nie wiem. Cóż znaczy moje zdanie? Jestem kobietą tylko, z kobiecą logiką, lecz według mnie, król z sercem, król rozumny—

to potęga kraju i szczęście poddanych. Królów świat potrzebuje!

Monarcha patrzał na nią z wyrazem zdziwienia.

— Mów pani dalej— odezwał się wreszcie: — tego z ust twoich słyszeć się nie spodziewałem. To nie cała myśl twoja — wyjaśnij ją, błagam. W twych oczach czytam, że chcesz coś powiedzieć.

Błysk nadziei zajaśniał w pięknych oczach Lotys i twarz jej opromienił siłą skupionego ducha.

— Dobrze — odparła. — Nim stąd odejdę, powiem wszystko, co myślę, gdyż nie będę miała drugi raz w życiu takiej sposobności przemówienia do ciebie w imieniu nędzarzy, prosząc dla nich o litość, dobrą wolę, miłość. Wszakże jesteś ich ojcem, ich tarczą, opieką! Nie wydawaj ich na łup chciwych spekulantów, dla których pieniądz jest jedynym Bogiem. Ty nie wiesz może, iż cię oskarżają, że bierzesz udział w zyskach, jakie dają „Związki“ handlowe z obcymi kupcami, rujnujące własny nasz przemysł, handel, pracę i klasy pracujące. Ja temu nie wierzę! Nie wierzą przyjaciele moi — ale dlaczegoż temu nie położysz kresu? Czemu pozwalasz na to, co nas gnębi? Jeżeli wywieszamy hasło rzeczypospolitej, to nie dlatego, abyśmy w zasadzie

byli przeciwni monarchii. Broń Boże! To krzyk rozpaczy ludzi, którzy szukają ratunku. Ale stań się tem, królu, czem być dla nas możesz: naszą ucieczką i naszą opieką,—a znajdziesz w nas najwierniejsze swoje dzieci!

— Czem być mogę? — powtórzył król z wyrazem smutku. — Czy nie zawdzięczam tego łaskawego sądu okoliczności, że mię natura stworzyła „żywym obrazem“ człowieka, którego uznajesz, pani, wyższym nad innych?

Lotys zsunęła brwi z wyrazem bolu.

— Odpowiadasz mi, królu, żartem — rzekła dumnie; — widzisz we mnie tylko kobietę. Niesłusznie. Może źle uczyniłam, mówiąc z tobą tak otwarcie, ale czyż to nie było moim obowiązkiem? Ty nie wiesz, co to nędza i cierpienie, nikt ci tego nie powie,— a ja patrzę codzień na ludzi, którzy umierają... z głodu! Podatek od chleba, ależ to rzecz straszna! Nie pozwoliłbyś na nią, gdybyś wiedział, co ona znaczy! Ministrowie ci mówią, że w budżecie państwa brakuje pewnej sumy. Więc niech ją zapłacą! Oni powinni złożyć ten podatek! Bo gdybyś wiedział co to śmierć głodowa, co to nędza, zdzierałbyś ze ścian te makaty, aby nakarmić dzieci, wołające chleba! Uczyniłbyś to, gdybyś wiedział!

Umilkła wyczerpana, i król milczał

Bibl. Pryw. Justyn Strzyż
Nr
GRÓDZIEC

także; nie odpowiedział ani jednego słowa. Nagle Lotys spostrzegła, że jest osłoniona płaszczem swych własnych włosów. Kiedy się to stało, nie wiedziała, sięgnęła jednak lewą ręką i z widocznym wysiłkiem i cierpieniem zwijać je znów zaczęła w gruby splot na karku.

Lecz puściła je, nową uderzona myślą.

— Jeśli — jak wierzę — sam potępiasz, królu, spekulacyę tych, którzy przy pomocy władzy bogacą się kosztem ludu, uczyń jedno, panie: usuń Karola Perousse'a! Będzie to znakiem twojej dobrej woli, a kraj uchroni może od nieszczęścia.

Król uchylił głowę ze smutnym uśmiechem.

— Jesteś, pani, wymowna — rzekł poważnie — i żądasz wiele, mimo to pragnę szczerze zrobić wszystko, co jest w mej mocy, aby spełnić twoje życzenie. Ale, jako kobieta nie liczysz się, pani, zupełnie z wymaganiami okoliczności politycznych. Karol Perousse jest mianowany następcą pierwszego ministra; jakim sposobem dzisiaj mogę mu przesłać dymisyę, chociażby na życzenie najszlachetniejszych kobiet?

— Następcą pierwszego ministra! — powtórzyła z rozpaczą Lotys. — Jeśli tak, dam ci, królu, uczciwą przestrogę: lud odpowie na

to wzburzeniem. A jeśli krew popłynie? Karol Perousse pierwszym u steru i władzy! Co za szyderstwo! Hańba! I ty, królu, pozwalasz na to, wiedząc, kim jest ten człowiek? O Boże, jakaż przepaść między ludźmi, podobniejszymi niż rodzeni bracia!

Mówiła z siłą, porwana zapałem; twarz jej pałała, łzy płynęły z oczu. Ale sfinksowy uśmiech nie ustąpił z ust monarchy, który zdawał się zimny, jak posąg bronzowy.

— Tak, — rzekł spokojnie — „żywe podobieństwo“ zawodzi czasem. A to rzecz bolesna. Ale cóż począć? Na to niema rady. Ja jestem tylko królem, on — doskonałością. I musimy pozostać w swoich rolach. Przyznaj, pani, jednakże, że wysłuchałem cię bardzo cierpliwie, a nawet z uwielbieniem! Podziwiam twój dar słowa, odwagę i szczerość: są to niezmiernie cenne i niepospolite przymioty, nie zastąpią jednak trzeźwości umysłu, niezbędnej w sprawach politycznych. Wybacz, pani, iż to, co powiem, przykre będzie dla ciebie — ale powiedzieć muszę, bo żądasz odpowiedzi: Osobiście nie mam udziału w żadnych spekulacyach finansowych, uznaję przecież, iż są w wielu razach konieczne i pożyteczne dla kraju, a co do Karola Perousse'a, sądzę, iż jest to człowiek, któremu losy państwa bezpiecznie powierzyć można.

Lotys spojrzała na niego wyniośle.

— Karol Perousse—to zdrada i hańba!— wyrzekła z dumą: — a nasze dwa zdania rozstrzygnie kiedyś historya.

— Tak jest — potwierdził monarcha łagodnie. — Lecz chociaż tak różnimy się na wszystkich punktach, mam nadzieję, że sąd pani nie wypadnie dla mnie zbyt surowo, zwłaszcza... kiedyś. Tymczasem, żałując najmocniej, iż tak mało okazałem się podobnym do szlachetnego swojego portretu, żegnam panią serdecznem słowem: do widzenia!

Za chwilę zniknął. Portyera zapadła, Lotys została sama. Zakryła twarz rękoma i wybuchnęła płaczem, szlochając głośno, jak dziecko.

W takim stanie zastał ją doktor von Glauben i z urzędową prawdziwie powagą przystąpił do uspokojenia jej nerwów. Kilka kropli lekarstwa, obejrzenie ręki — oto jedyne środki uspokajające, lecz ten chłód przywrócił jej prędko równowagę. Podziękowała mu krótko, spokojnie, za okazaną dobroć, nie podnosząc oczu, i w milczeniu szła za nim długim korytarzem, prowadzącym do wyjścia przez boczną ulicę. Tu oczekiwał powóz, w którym ją profesor umieścił, powtarzając ostatnie polecenia.

— Jego Królewska Mość nie pragnie

wiedzieć, dokąd się pani rozkaże zawieźć, dlatego zechcesz sama wskazać adres woźnicy. A proszę bardzo pamiętać o ręce! — dodał cieplejszym tonem. — Boleć będzie, ale zgoi się niezadługo. Zapalenia niech się pani nie obawia: za to ja ręczę, który opatrzyłem ranę.

Podziękowała mu głosem stłumionym; coś ją ściskało w gardle, łzy zasłaniały jej oczy.

— Proszę także pamiętać o naszej wdzięczności. Pragniemy wszyscy spłacić dług ten pani, ale jak? kiedy? Może wystawimy ci pomnik.. Do widzenia.

Lotys skinęła głową, lecz mówić nie mogła; nie chciała znów wybuchnąć płaczem.

Powóz potoczył się zwolna ku bramie i zniknął wkrótce w szerokiej alei. Profesor śledził blask jego latarni; skoro ją stracił z oczu, zwrócił się ku pałacowi i skierował do apartamentów królewskich.

— Tak, tak — mówił do siebie: — gra posuwa się i rozwija, tylko nikt nie wie końca. Łzy, namiętności, rozpacz, uniesienie! Jaką miksturę znaleźć na to wszystko?

W pokoju króla oznajmiono mu, że monarcha udał się do biblioteki i nie chce dzisiaj widzieć już nikogo.

V.

Więzienie polityczne stanowił posępny budynek, wzniesiony na skale, głęboko w morze wysuniętej, o którą uderzały z całą gwałtownością wszelkie wichry i burze, roztrącając o niewzruszoną opokę, w ciągu długich stuleci, wściekłe fale morza. Był to stary zabytek czasów średniowiecznych, kiedy śmierć i tortury, jako rzecz powszednią, stosowano zarówno względem winnych, jak niewinnych. Urządzenie też skierowane było wyłącznie ku temu, aby nieszczęśliwego udręczyć zarówno brakiem światła, jak okropnością otoczenia, wilgocią murów, niezdrowem powietrzem i obawą grożącej kary.

W jednej z podziemnych cel, wilgotnej i ciemnej, umieszczono młodego więźnia po za ciężkiemi drzwiami i pod czujną strażą więziennego dozoru. Nikt nie zamienił z nim słowa od chwili, kiedy go schwytano i uprowadzono z miejsca chybionej tak szczęśliwie zbrodni. Po chwilowym oporze chłopiec zachowywał się także całkiem biernie i spokojnie. Najściślejsza rewizya nie wykryła przy nim żadnej wskazówki co do wspólników zamachu. W celi zdawał się zupełnie spokojnym; podziękował dozorcy, który mu przy-

niósł wieczorem porcyę chleba i wody, i siedząc na wykutej w skale twardej ławie, podobniejszy był raczej do strudzonego pracownika, który z rozkoszą wypoczywa wreszcie po długiej, ciężkiej i nużącej pracy, niż do przestępcy, drżącego przed karą.

Ale koło północy uwagę strażnika zwróciło głośne łkanie i wyrazy, którymi zdawał się wzywać i błagać niewidzialnej pomocy.

Zbliżył się, i przez otwór, niewidzialny zewnątrz, spostrzegł chłopca klęczącego przed kamienną ścianą i modlącego się głośno w ekstazie:

— Panie, o Panie! w Twojej jestem mocy, Ty mię ocalisz! Ty wiesz, Panie, że Twojej chciałem tylko chwały! Ty wiesz, Boże, żem sługa Twój!

I znowu łkania, gorąca modlitwa, pełna ufności, wiary, bez poczucia winy, z głębokiem przekonaniem w pomoc Bożą i czystość własnej sprawy.

Stosownie do przepisów, dozorca niezwłocznie złożył raport o zachowaniu się więźnia, które mogło być nitką przewodnią przy śledztwie. Wyznaczono natychmiast dwóch dyżurnych urzędników do obserwacyi i notowania zeznań, które bezwiednie mogły być uczynione, lecz sumienna ich praca nie przyniosła żadnej korzyści. Więzień modlił

się długo, mówił o widzeniach, o rozkazie Bożym, o swem posłuszeństwie, o swej ufności w Bogu i uspokajał się zwolna.

Nad ranem zasnął, a kiedy podano mu znowu chleb i wodę, prosił o spowiednika. Prosił gorąco, kładąc wielki nacisk na to, że potrzebuje pomocy duchownej, nim stanie przed śledztwem.

Prośba jego była uwzględniona, spowiedź trwała długo, tak długo, że zwróciła uwagę dozorcy, który zaczął mieć wątpliwości co do celu i charakteru tej rozmowy. Nie wiedział: czy ją przerwać? co ma począć? Podwoił straż i czujność, lecz wszystko się kończy: kapłan wyszedł nakoniec, a więzień pozostał dziwnie smutny i zamyślony.

I znowu głośno odmawiał modlitwy, skarżąc się, że go ludzie zrozumieć nie mogą, i wyrażając ufność, że Bóg wszechwiedzący sam czyta w jego duszy i ocenia chęci.

— Ale dlaczego ludzie potępić go pragną? Ci nawet, którym służyć pragnął tak gorąco? Czy to prawda, że jest szaleńcem? Nie, to nie prawda, tylko Bóg doświadcza siły jego serca i wiary!

— Cóż zrobił złego tym, którym chciał służyć? Dlaczego prawda ma być zgubą innych? Wszakże nikt nie uzbroił jego ręki? Wszak Bóg tylko kierował jego wolą?

— Dlaczego prawda ma być zgubą innych?

Rozdrażnienie jego wzrastało gwałtownie; kiedy się przestał modlić, płakał rozpacznie i głośno, aż wreszcie zasnął, wyczerpany walką moralną.

Z rana dozorca znalazł go leżącego na kamiennej posadzce, bez ruchu, bez życia. Wezwany doktor po krótkiem badaniu poznał działanie trucizny. Znaleziono jej ślady rzeczywiście w miniaturowej szklanej bańce, która leżała opodal.

Jakim sposobem zdołał ukryć ją przy sobie podczas ścisłej rewizyi? I kto mu jej dostarczył?

Na szczęście kilka kropli, jakie zawierał flakonik, rozlało się widocznie, a reszta, którą przełknąć zdołał, spowodowała stan groźny, ale nie beznadziejny. Umieszczony w szpitalu więziennym, chłopiec powoli powracał do zdrowia, lecz pod względem moralnym wpadł w dziwną apatyę, graniczącą prawie z obłędem.

Na żądanie monarchy profesor von Glauben zajął się nim specyalnie i zdawał królowi szczegółową sprawę ze swych spostrzeżeń nad chorym. Musiały być ciekawe, skoro król oznajmił, iż sam pragnie mówić z przestępcą. Rozmowa nie miała świadków i trwała dosyć długo, a przynajmniej dość długo

król przebywał w sali sam na sam z nieszczęśliwym. Czy jednakże zdobył jego zaufanie i pozyskał jakie wskazówki w sprawie nieudatnego zamachu, nie dowiedział się, nawet profesor von Glauben.

Wkrótce potem pacyenta przeniesiono do domu zdrowia dla umysłowo chorych, gdyż obaj lekarze złożyli świadectwo niepoczytalności młodego zbrodniarza. Czy był to skutek choroby i moralnego wstrząśnienia, czy już w chwili zamachu chłopiec był szaleńcem, nie można było orzec dziś stanowczo. Kuracya zapowiadała się długa, a tymczasem nowe wypadki i zajścia zatarły w umysłach ciekawych epizod, który na razie zelektryzował opinię, wzbudził tysiące uczuć i domysłów.

Najwięcej zarobili na tem wydawcy dzienników, które rozchwytywano na razie, szukając sensacyjnych wieści i opisów i upatrując związku między wypadkami, nie mającymi może nic wspólnego. Do tych należał zgon nagły i pogrzeb Monsiniora del Fortis, który, jako przedstawiciel zakonu i jego zamiarów, uważany był powszechnie za osobiście niechętnego królowi. Dowodów tej niechęci dostarczała walka w dziennikach, stanowczość w odrzuceniu projektu przez kró-

la i wytrwałe zabiegi w celu złamania tego nieprzewidzianego oporu.

Nagle przeciwnik umiera. Dlaczego? Co spowodowało fakt niespodziewany i jakie mogą być jego następstwa? Czy projekt, utraciwszy tak wytrwałego obrońcę, będzie zaniechany? Jak król przyjął tę wiadomość? i t. d.

Pisma, dla łatwo zrozumiałych względów, przechodziły teraz do obozu króla. Jost nie miał już interesu występować przeciw niemu; przeciwnie, prosta rachuba kazała mu iść z prądem, który mógł chociaż w części zmazać stare winy. Pióro jego zdobywało się też codzień na nowe zwroty, frazesy, pochlebstwa, składane u stóp tronu, lecz niestety, wszystko to nie otwierało przed nim żadnej nowej drogi, ani pomyślniejszej nadziei. Przyszłość stała przed nim jak zamknięta brama, przeszłość odgrodziła się także zaporą, której przełamać nie mógł. Dla pism jego wyschło źródło wiadomości, a otwarte niegdyś skarbnice nieocenionych informacyi zamknęły się zazdrośnie i stanowczo. Zwracał się kilkakrotnie do margrabiego Lutery z zapytaniem: czy jego dymisya była przez króla przyjęta i czy wogóle można wierzyć tej pogłosce?—lecz nie otrzymał ani słowa odpowiedzi. Jeszcze usilniej pisał i nalegał o kilka chwil rozmowy z Karolem Perousse'm,

lecz drzwi potężnego sekretarza stanu były dzisiaj dla niego zamknięte zupełnie.

Cóż mu pozostawało? Tylko łaska króla. Tylko szukanie jej za wszelką cenę na wypadek niepomyślnego zwrotu spraw osobistych.

A tymczasem współzawodniczy dziennik pozyskiwał coraz więcej czytelników, interesujących się zwłaszcza zagadkową osobistością nieznanego autora, Pasquina Leroy, którego artykuły budziły powszechne zajęcie i wzrastającą ciekawość. Lecz daremnie poszukiwano dziennikarza, osłonionego tajemnicą, którego nikt nie widział, ani znał osobiście. Dziennikarze na to nazwisko wzruszali ramionami, a ludzie kompetentni powtarzali z przekonaniem, iż nie mieszka w stolicy, ani w kraju, a prace swoje nadsyła zdaleka.

W jednem tylko gronie wiedziano o nim wiele rzeczy, ale tu przyjaciele z całą przezornością osłaniali tę tajemnicę.

Osłaniali w nim członka najużyteczniejszego i najczynniejszego w ich gorliwej pracy. Sergiusz Thord obejść się bez niego nie mógł: on zaradził każdej potrzebie, nędzy niósł pomoc, słabość wspierał siłą, zwątpienie pokrzepiał nadzieją, nie łudził nigdy, spełniał każdą obietnicę i stał się dla wszystkich symbolem potęgi, przykładem czynu, wzorem, ideałem.

Nie wysuwał się nigdy naprzód, nie przemawiał, nie ukazywał publiczności. Ogół nic nie wiedział o nim, chociaż wpływ jego dla ludzi świadomych oddziaływał wyraźnie i szeroko.

Bohaterski czyn Lotys w kółku jej przyjaciół nie wzbudził uwielbienia: dziwiono się, tłumiąc uczucie niechęci, albo spierano głośno o pobudki, które skłoniły ją do narażenia własnego życia w obronie człowieka, obciążonego tylu zarzutami. Gdy po raz pierwszy po zaszłym wypadku stanęła między nimi z przewiązaną jeszcze ręką, nie powitano jej, jak zwykle, szczerem, serdecznem pozdrowieniem. Zamiast tego, ogarnęły ją zewsząd spojrzenia badawcze i ciekawe, pełne tłumionych wyrzutów.

Lotys nie raczyła zwrócić na nie żadnej uwagi; usiadła na swojem miejscu w końcu stołu i gorącym wzrokiem objęła zebranych. Lecz ich milczenie było zbyt wymowne, aby mogła go nie zrozumieć. Uśmiechnęła się smutnym, łagodnym uśmiechem i przemówiła pierwsza:

— Czego ode mnie chcecie? Co mi zarzucacie? Skąd ta uraza, którą czytam w waszych oczach? Słucham, mówcie otwarcie!

Zatrzymała się wzrokiem na Sergiuszu i Pasquinie, siedzących obok siebie na prze

ciwnym końcu długiego stołu, i zdawała się czekać odpowiedzi.

Obaj milczeli. Thord miał brwi zsunięte i taki wyraz twarzy, że Pasquin Leroy nie odwracał od niego oczu. Max Graub i Axel byli dzisiaj nieobecni; inni milczeli, uznając widocznie, że Sergiusz Thord najlepiej wypowie ich myśli.

— Trudne zadajesz nam pytanie, Lotys — odezwał się nareszcie. — Zdaje mi się, że bez wyrazów zrozumieć powinnaś uczucia, jakie wywołać musiał twój czyn nierozważny, i tę przykrość, jaką nam sprawia sąd i nagana, udzielona tobie, która dotychczas byłaś między nami bez zarzutu. Jakiem prawem mogłaś narażać swe życie, które należy przecież do nas wszystkich, które jest tak potrzebne! tak niezbędne! Cóż wobec niego znaczy dla nas każde inne?

— O tem nie wiedziałam — odparła Lotys z odcieniem ironii; — niedawno nawet wygłosiłam zdanie, iż monarchię uważam za najdoskonalszą i najprostszą zarazem formę rządu. Nie przypuszczałam także, iż jakiekolwiek prawo nakazuje mi patrzeć obojętnie na morderstwa i śmierć bezbronnego. Takiego prawa ja uznać nie mogę. Uznaję karę śmierci, poprzedzoną przez ostrzeżenie, lecz do klubu morderców nie należałam nigdy!

— Dobrze powiedziane! — zawołał Żegota. — Pamiętaj jednak, Lotys, że za miesiąc przypada „dzień fatalny,“ którego wyroki obowiązują nas wszystkich zarówno.

Lotys pobladła, ale odparła wyniośle:

— Nie zapominam nigdy o tem, co jest koniecznością, ale to nie ma związku z moim czynem i najniesłuszniejszem waszem potępieniem. Czyż wam nie przyszło na myśl, iż gdyby moje imię nie było wymówione tam, na miejscu, pierwsze podejrzenie o zamach padłoby jedynie na was, nie tylko krępując działalność naszą i rozwój idei, lecz może narażając waszą wolność i życie na niebezpieczeństwo! Czemże dowiedlibyście swojej niewinności? Czembyście przekonali, że nie znacie nawet szaleńca, który tak lekkomyślnie chciał popełnić zbrodnię? W cóżby się zamieniły nasze prace i dążenia? O, dzieci, dzieci! Czyż nie rozumiecie, że winniście mi wdzięczność i uznanie? Że postąpiliście dziś jak ślepcy, którzy nie umieją ocenić prawdziwych przyjaciół!

Posępne twarze rozjaśniły się zupełnie pod wpływem tych słów Lotys; nawet zsunięte brwi Thorda traciły zwolna wyraz surowości, a oczy jego wyrażały dobroć i łagodne wzruszenie.

— Więc dla nas to uczyniłaś, Lotys? — zawołał prawie serdecznym tonem. — Dla nas się narażałaś? Tylko dla nas?

W tej chwili Pasquin Leroy, który nie odwracał oczu od twarzy Thorda, zwrócił spojrzenie na Lotys, po której bladej twarzy przemknął cień rumieńca.

— Nie mam zwyczaju powtarzać dwa razy tego, co powiedziałam — rzekła zimno, spokojnie wytrzymując jego badawcze spojrzenie.

— Wątpić o Lotys to znaczy wątpić o własnym duchu! — zawołał nagle Pasquin z głębokiem wzruszeniem. — Sergiuszu, towarzysze! ona ocaliła nas od fałszywych oskarżeń i prześladowania, jej zawdzięczamy, żeśmy dziś bezpieczni! Któż z nas śmiałby nie wierzyć Lotys, która jest wcieloną prawdą!

Wspólnym porywem podnieśli się wszyscy, aby wznieść zdrowie Lotys. Żal zmienił się w uczucie gorącej wdzięczności; wielu śpieszyło do niej, aby na kolanach ucałować tę rękę, która cierpiała dla nich, i prosić o przebaczenie za swój brak ufności. Lotys jednak siedziała cicha i milcząca, smutna, skupiona w sobie i jak gdyby nawpół obecna, a Sergiusz także zapadł w zadumę, z której gwar głosów obudzić go nie mógł.

Przed rozejściem się Żegota prosił obec-

nych, aby pamiętali, że za miesiąc przypada „dzień fatalny,“ i dlatego zebrać się muszą wszyscy bez wyjątku, ażeby decydować w sprawach wielkiej wagi. Pasquin Leroy ręczył za swych towarzyszów, że stawią się z nim razem, ale zarazem spytał, co ma znaczyć ów „dzień fatalny.“

— „Dzień fatalny“ — odparł Żegota — to dzień sądu i wyroków. Losujemy imiona potępionych, a kto jedno z nich wyciągnie, musi wypełnić przykry obowiązek i po wyraźnem ostrzeżeniu winowajcy, jeśli nie uzna błędu i nie zmieni postępowania...

— Rozumiem — szepnął Leroy z bolesnym uśmiechem. — Czy i Zouche także staje do ciągnienia?

— Wyjątków niema! — odparł Żegota z uśmiechem.

Scisnęli się za ręce i rozeszli w strony przeciwne.

Wpośród ścierających się prądów opinii jedno stawało się coraz jaśniejsze, to wzrastająca niechęć do Perousse'a. Dzienniki coraz śmielej i wyraźniej mówiły o nadużyciach finansowych, roztrząsały je, dochodziły do najskrajniejszych wniosków i potępiały z jednogłośną stanowczością. Kwestya tak zw. „Związków międzynarodowych,“ którym głównie przypisywano upadek kilku gałęzi handlu

i miejscowego przemysłu, stanowiła niemal najsilniejszy zarzut. Udowadniano, że tą właśnie drogą Karol Perousse powiększał swoje kapitały, on, z urzędu obrońca interesów kraju!

Ze szpalt dzienników oskarżenia szybko przeniosły się do senatu, gdzie sekretarz stanu odbierał je dotąd z zuchwałą czelnością, pewny, że w razie walki ma za sobą większość, wplątaną przez niego w różne spekulacye, zależną materyalnie i niezdolną do otwartego przeciw niemu wystąpienia. Ale w miarę upadku jego wpływów i znaczenia, większość musiałaby stopnieć sama przez się, we własnym interesie przejść do przeciwników. Tym sposobem rezultat walki był niepewny, a niebezpieczeństwo wzrastało wyraźnie.

Powiększało je dziwne stanowisko króla, który stawał się więcej widzem, niż działaczem, nie zdradzając swoich dążeń i zamiarów. Margrabia Lutera od kilku tygodni podał się do dymisyi, a dotąd nie było wiadomo, czy król ją przyjmie i kogo mianuje następcą.

Obrady Gabinetu stawały się coraz trudniejsze, ministrowie opuszczali je coraz bardziej zniechęceni, zachmurzeni i podrażnieni. Król jednakże z pozoru nie zmieniał w niczem zwyczajnego trybu: tak, jak zawsze, od

rana zajmował się sprawami państwa, do śniadania siadał z rodziną, lub wybranymi przyjaciółmi, po południu wyjeżdżał i ukazywał się publicznie, a wieczorem bywał w teatrze, na koncercie, lub w towarzystwie.

Jedyną zmianą, jaką mógłby dostrzedz uważny obserwator, był ściślejszy wybór towarzystwa i wyraźniejsze rozróżnianie ludzi od wesołych towarzyszów i pochlebców. Urodzenie, zasługa, stanowisko zaczęły być obecnie cenione poważniej, nawet otoczenie królowej zwolna zmieniało charakter, i zamiast wesołych kobiet lekkiej cnoty, składać się zaczęło z żon i córek ludzi wybitnych.

Następowało to bardzo powoli; król widocznie z rozmysłem nie chciał zwracać uwagi na zmianę swych zapatrywań i otoczenia swego, nie mniej jednak tak było, a jednostki usunięte, oddalone, przerzucały się do partyi niechętnych, gotowe były łączyć się z kimkolwiek, byle się pomścić za upokorzenie, zawiedzione nadzieje i straconą korzyść.

Pomimo jednak wewnętrznego wrzenia, stolica wyglądała spokojnie, jak zwykle, podobna do wulkanu w przededniu wybuchu, okrytego jeszcze bujną zielonością. Bawiono się, zajmowano zwykłemi sprawami, rozprawiano o kwestyach modnych, popularnych, nie zdając sobie sprawy, jaką groźną siłą są

napięte uczucia niezadowolenia, za pierwszą iskrą gotowe ogarnąć płomieniem i pożogą grunt podminowany.

Takie myśli niepokoiły sir Rogera de Launay, gdy pewnego wieczoru, w gabinecie, przylegającym do biblioteki królewskiej, zajęty był odpisywaniem na listy, których, ze względu na treść osobistą, monarcha powierzyć nie chciał swemu sekretarzowi. Kilka razy odkładał pióro i ostrożnie uchylając portyery, rzucał badawcze spojrzenie w głąb pustej biblioteki; potem odchodził z westchnieniem. Było po jedenastej. Król nie wracał dotąd, chociaż wszyscy myśleli, że jest zajęty z Rogerem. De Launay wracał znowu do swego zajęcia, pisał listy, adresował, pieczętował, odkładał na bok i nadstawiał ucha, i pogrążał się w myślach, albo wzdychał zcicha i znowu się pochylał nad czystym papierem.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Była to Teresa de Launay, jego siostra, jedna z wybranych na dworze, uważana za powiernicę monarchini.

— Czy król jest? — zapytała prawie szeptem, stąpając na paluszkach i wskazując gestem wejście biblioteki.

Roger potrząsnął głową.

— Właśnie wyszedł — odparł spokojnie,

lecz spojrzawszy na twarz Teresy i jej oczy, łez pełne, ujął rękę siostry i spytał łagodnie:

— Co to znaczy, Tereso? Po co tutaj przyszłaś? Czy stało się co złego?

— Nie, nie... To nie jest nic ważnego, nic takiego, cobym jasno rozumiała... Tylko... królowa przysłała mię tutaj, wzywając cię do siebie, jeśli król nie wrócił.

De Launay wstał natychmiast, ale wyraz jego twarzy nie uspokoił bynajmniej Teresy.

— Roger! — szepnęła cicho:—tak chciałabym wiedzieć... Czy nie mogłabym wiedzieć... Czybyś mi nie mógł chociaż trochę wytłómaczyć tej całej tajemnicy? Czyż nie jestem zupełnie godna zaufania?

Brat spojrzał na nią z serdeczną tkliwością, ale odparł po chwili:

— O co ci chodzi, dziecko? Nie rozumiem. O jakiej mówisz tajemnicy?

— Wiesz dobrze! o, wiesz dobrze! — zawołała, składając błagalnie ręce. — Coś się dzieje koło nas, coś strasznego i okropnego: to widzę przecież jasno! Nic nie mów: ja to czuję! Bo i dlaczegóż król znika tak często, gdy wszyscy myślą, że jest u królowej, albo tu, w bibliotece? — dodała, wskazując drzwi za ciężką firanką. — Dlaczego królowa sama to potwierdza i udaje, że jest z nią razem,

kiedy wiem dobrze, że to nie jest prawda? Dlaczego wraca nieraz późno w nocy przez pokoje królowej? Czyż to wszystko nie dziwne i nie tajemnicze? A od czasu tego zamachu jeszcze częściej znika z pałacu, niż dawniej.

Sir Roger gładził wąsy zwolna, w zamyśleniu.

— Czy pamiętasz, Tereniu, — odezwał się wreszcie — co mówiono ci o ciekawości, gdy byłaś małem dzieckiem? Wierz mi, jest w tem dużo prawdy. Jeśli nie chcesz być starą przedwcześnie, starą w znaczeniu daleko smutniejszem, niż siwizna i zmarszczki, nie staraj się nigdy przeniknąć tego, co życie zasłania przed tobą.

Twarz Teresy spłonęła szkarłatem oburzenia.

— Nie jestem wcale ciekawa — odrzekła z wyrazem dumy w głosie. — Nie należę też do tych, co lubią dużo mówić. Mówię tylko do ciebie, bo... mię to niepokoi; zresztą królowa sama zabroniła... ale właśnie dlatego, że królowa...

Umilkła i zawahała się widocznie.

— Co królowa? — powtórzył Roger. — Nie mogę cię zrozumieć.

— Królowa jest nieszczęśliwa! — wybuchnęła nagle Teresa.

Gorzki uśmiech osiadł na ustach Rogera.

— Nieszczęśliwa? — rzekł zwolna.—Ona nieszczęśliwa? Bardzo się mylisz, dziecko. Królowa nie wie, co znaczy nieszczęście, bo królowa niezdolna czuć i cierpieć. Nędzne uczucia ludzkie nie rozgrzeją nigdy kryształowych lodów jej zimnego serca! To serce z lodu, możesz mi wierzyć, Tereso, jaśnieje w słońcu i błyszczy cudownie, ale niema w niem iskry serdecznego ciepła!

Mówił ze wzrastającą, choć tłumioną siłą, i Teresa zadrżała na dźwięk tego głosu, który wyrażał więcej, niż mówiły słowa. Wiedziała ona lepiej, niż ktokolwiek inny, jak głębokie, gorące, chociaż beznadziejne było, od chwili poznania, uczucie Roberta dla królowej. Wiedziała, lecz nie rozumiała zupełnie tajemnic tej miłości, która zawsze przejmowała ją trwogą i żalem. Bo przecież, mimo wszystko, była to miłość występna. A jednocześnie była to miłość prawdziwa! Jej brat był niewątpliwie szlachetny bez skazy, wierny i przywiązany do monarchy, niezdolny do kłamstwa i zdrady. Więc jakże? Nie umiała pogodzić tych sprzeczności, nie mogła ich zrozumieć, ani uznać. Było to dla niej straszne, jak rzecz niepojęta, jak tajemnica, której przeniknąć nie mogła. A zarazem współczuła z nim całem uczuciem mło-

dego, niewinnego, dziewiczego serca, współczuła silniej, niż on mógł odgadnąć.

— Ona jest nieszczęśliwa! — powtórzyła teraz. — Wiem o tem i jestem pewna. Ty ją nazywasz kryształem lodowym, a ja ci powiem, że ten kryształ często płacze w ostatnich czasach.

De Launay spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Hm! — rzekł. — Tak samo powinienem wierzyć, gdybyś mię zapewniała, że posąg z marmuru wylewa łzy gorące. Więc wzywa mię, jeśli król nie wrócił dotychczas?

Teresa skinęła w milczeniu twierdząco. Blada, zmęczona widocznie twarz brata przejmowała ją bolesnym niepokojem. Z bijącem sercem patrzała na niego, kiedy zbliżył się znowu do drzwi biblioteki; spokojnym ruchem odsłonił portyerę, spojrzał wewnątrz i wszedł następnie do pustego pokoju. Okna były otwarte. Gładka, jaśniejąca w księżycowych promieniach powierzchnia morza wydawała się cudownym światem czarów, a lekki powiew płynął, przesycony wonią kwiatów i nieskończonej przestrzeni.

Przekonawszy się zupełnie stanowczo, że króla jeszcze niema, Roger wrócił do pokoju i, zbliżywszy się do Teresy, ucałował serdecznie jej wymowne oczy.

— Jestem gotów — rzekł miękko. — Wskaż mi drogę!

Pomknęła przed nim cicho lekką stopą i bez szmeru przesuwała się nieznanym wewnętrznym korytarzem, który łączył dwa skrzydła zamku. Zatrzymała się nakoniec przed drzwiami, obejrzała się na brata i z palcem na ustach otworzyła je cicho, bez szelestu.

Sir Roger znalazł się nagle w pokoju, oświetlonym różowym blaskiem lampy, który lustrzane ściany powtarzały kilkakrotnie, rzucając na królowę czarodziejskie światło.

Wśród kwiatów, w których dokoła pokoju tonęły zwierciadlane ściany, przy niewielkiem biureczku siedziała królowa, z głową wspartą na ręku, niby zajęta czytaniem. Biała jedwabna suknia luźnemi fałdami spływała z niej, oblana ciepłym blaskiem lampy, lekko spięta u szyi jakimś ognistym klejnotem, nęcąca wzrok subtelnym, delikatnym haftem.

Na szmer ukłonu Rogera de Launay zwróciła się ku niemu z wyrazem niepokoju w oczach i żywego zniecierpliwienia.

— Gdzież jest król? — zapytała.

Roger cofnął się, uderzony stanowczością i prawie szorstkością jej głosu. Zawahał się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

— Czy panu nie powiedziałam wyraźnie, iż czynię cię odpowiedzialnym za jego bezpieczeństwo? — dalej mówiła królowa.—Lecz cóż to znaczy? — dodała z wyrazem goryczy i szyderstwa. — Byłeś przecie u jego boku, kiedy godzono mu w serce sztyletem, a rolę zaszczytną tarczy pozostawiłeś... kobiecie!

Jej oddech był nierówny, przyśpieszony, twarz pałała, oczy rzucały płomienie; była przeistoczona zupełnie i trudna do poznania. Roger stał ogłuszony. Gdyby z jasnego sklepienia nagle spadł piorun tuż u nóg jego, nie byłby olśnił go bardziej i gwałtowniej wstrząsnął.

— Pani!.. — wyjąkał, lecz w tej samej chwili ogarnęła go błyskawica jej spojrzenia, pełna namiętnej groźby i płomieni.

Mężczyzna zbladł i umilkł.

— Kto jest ta kobieta? — mówiła dalej głosem stłumionym, wrzącym. — I jakiem prawem *ona* ocaliła życie królowi tam, gdzie pan z nim byłeś? Dlaczego przywieziono ją tu, do pałacu, niby księżniczkę, i dlaczego potem odesłano tajemnie, nim ją mogłam zobaczyć?.. Lotys!.. Chciałam ją widzieć; powinnam była ją zobaczyć!

Jej rozszerzone źrenice walczyły o pierwszeństwo ognia z brylantami, drżącymi na jej łonie, które podnosiło się ruchem gwałtownym.

— Króla niema... jak zwykle! — zaczęła po chwili;—ale czemu, jak zwykle, pan nie jesteś obok niego? Odpowiadaj nakoniec!

— Pani!—przemówił de Launay z wysiłkiem, usiłując opanować niezwykłe wzruszenie. — Od kilku dni Jego Królewska Mość kategorycznie zabronił mi towarzyszyć mu w wycieczkach. Pragnąc ci być posłusznym, musiałbym wyraźnie przekroczyć jego rozkaz.

Spojrzała nań badawczo wzrokiem pałającym.

— Więc jest sam? — zapytała.

— Z przykrością powiedzieć muszę: jest sam, pani!

Podniosła się i zaczęła chodzić po pokoju z wyrazem dumy, gniewu i upokorzenia. Dreszcz przebiegał wyraźnie jej wspaniałą postać, oczy rzucały nieme błyskawice. Nagle spostrzegła Teresę, dyskretnie zajętą niby poprawianiem kwiatów, które zbyt pochyliły się w wazonie.

— Możesz odejść, Tereso! — rzekła krótko i stanowczo. — Chcę mówić z sir Rogerem sama.

Teresa objęła wzrokiem postać brata, bladą, stojącą sztywno, nieruchomie, i z ukłonem oddaliła się niezwłocznie.

Królowa zatrzymała się przed de Launay'em wyniosła i wyzywająca. Jej biała

szata układała się w miękkie draperye na wspaniałej postaci, a twarz, przeistoczona nieznanem uczuciem, olśniewała pięknością, która odbierała zmysły.

Sir Roger spuścił oczy, niezdolny nakazać im należnego milczenia; serce biło mu gwałtownie, słyszał wyraźnie jego uderzenia.

— Mów pan jasno i szczerze... mów prawdę! — zaczęła znowu królowa. — Powiedziałeś mi niedawno, iż źle czynię, odwracając wzrok i serce od brzydkiej strony natury i świata. Starałam się poprawić. Spojrzałam w tę stronę—na te niziny... znam je dziś, rozumiem... i czuję. Powierzyłam panu bezpieczeństwo króla!

— *Jest bezpieczny*, pani—odparł de Launay z naciskiem. — Życiem ręczyć ci mogę, że jest pośród ludzi, którzy broniliby go skuteczniej ode mnie. A stu obrońców czyż nie większą siłę stanowi, niźli jeden?

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć; rozumiem, choć *on* mi nie mówił tego. Ale jest tam inne niebezpieczeństwo... może groźniejsze nawet...

Umilkła, jakby nie wiedziała sama, czy mówić dalej. Usiadła na krześle i znowu głowę oparła na ręku.

— Jeśli jesteś tym, za kogo cię mam,

sir de Launay, — zaczęła znowu z naciskiem w akcencie — rozumiesz mię wybornie!

Roger odważnie zmierzył ją oczyma.

— Chcesz, pani, powiedzieć przez to, — rzekł spokojnie — że kto istotnie zna wielkie uczucie i żył z niem długie lata, ten łatwo je odczuje i odgadnie w innych! Wasza Królewska Mość nie myli się zupełnie. Niegdyś wyraziłaś, pani, szczere powątpiewanie, czy wogóle „czuć“ warto; jeśli dziś na mocy doświadczenia odpowiedzieć na to możesz, czuję się zadowolonym, chociaż wiem, wiem z przykrością, że to pierwsze doświadczenie jest dla ciebie bolem i męką. Ale tylko skruszona ziemia wydaje kwiat i owoc, tylko serce, które cierpiało, zdolne odczuć cierpienie, zdolne kochać.

Królowa słuchała w milczeniu; Roger postąpił krok naprzód.

— Żądałaś, pani, abym mówił szczerze— rzekł przyciszonym głosem. — Pozwoliłaś mi sama wypowiedzieć, co czytam w sercu twojem.

Skinęła głową na znak potwierdzenia. De Launay mówił dalej:

— Obawiasz się, pani, dla króla niebezpieczeństwa—ale nie noża, ani nienawiści ludzkiej. Sądzisz, pani, iż groźna jest dla niego większa potęga, najwyższa, jakie istnieją na świecie! Potęga, przeciw której człowiek jest

bezbronny, która ujarzmia królów i nędzarzów, obala trony i władzę kościoła, gdy stanie jej na drodze. Dziś już wiesz, że potęgą, tą jest.. miłość!

Królowa drgnęła, ale zapanowała nad sobą natychmiast.

— Tracisz pan daremnie kwiat wymowy — rzekła. — Nie rozumiem, co mówisz, gdyż nie wierzę w miłość.

— Więc zazdrość?

Słowo to padło mu z ust mimowolnie, lecz podniosło królowę, jak dotknięcie rozpalonego żelaza.

— Jak pan śmiesz! — zawołała drżącym, stłumionym głosem. — Jak pan śmiesz!?

Roger de Launay oddychał głęboko, ale nie spuścił wzroku; silną wolą nakazał sobie spokój i odezwał się bez wahania:

— Pani!.. królowo!.. przebacz! Pozwól najwierniejszemu ze sług i przyjaciół mówić dzisiaj otwarcie, mówić szczerze... a potem skaż mię na wieczne milczenie. Chcesz mię przekonać, że gardzisz miłością, to dlatego, o pani, żeś jej nie widziała. Widziałaś tylko zalotne umizgi, jej nędzne naśladownictwo bez wartości, zabawy króla, grzechy jego ciała, które nie mają zwykle nic wspólnego z sercem, ani uczuciem! Mówiłaś sobie: „Król kocha co chwila, kocha wiele; każde uczucie

przemija,“—ale wybacz, królowo, to nie były uczucia! Król się bawił, bawiły się z nim i kobiety! To nie miłość. Namiętność wiedzie nas często na drogi, któremi pogardzamy, jednak idziemy za nią — miłość zna jedną drogę, jedną wybiera kobietę! Ja także jedną kochałem lat tyle, i niema mocy, któraby wydarła tę miłość z serca mego. Dziś może król także znalazł taką kobietę.

Słuchała go wyprostowana, nieruchoma, dumna i biała, niby posąg marmurowy, lecz de Launay nie spuścił wzroku.

— Żądałaś, pani, prawdy: powiedziałem — rzekł spokojnie.

Zimny uśmiech osiadł na jej pięknych ustach.

— I wyobrażasz sobie, — rzekła zimno, zwolna — że ja.. *ja*... jestem, jak mówisz, „zazdrosna“ o tę jedną kobietę? Gdyby moja natura zdolna była do zazdrości, miałabym do niej powód bardzo często od chwili mego zamęźcia!

— Pozwól, pani, iż ośmielę się powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że kobieta szlachetna nie bywa zazdrosna o miłostki i uciechy męża. Lecz co innego miłość. Miłość—korona i chwała stworzenia, najwyższe dobro życia! Któż, mając ludzkie serce,

może nie być o nią zazdrosny? Któżby nie oddał za nią tronu, samego siebie, gdyby ona nie była niebem zarówno w bólu, jak rozkoszy?

Nastała chwila długiego milczenia; na dalekim zegarze uderzyła północ.

Królowa odetchnęła i usiadła; wzięła książkę, jak gdyby pragnęła powrócić do przerwanego zajęcia i podniosła na stojącego mężczyznę znowu spokojne, zagadkowe oczy.

— Może masz słuszność... może nie...— wyrzekła. — Osobiście nie wątpię, że tak czujesz, jak mówisz, ale to miara jednego człowieka.

Podała mu piękną rękę na znak, że rozmowa skończona. Sir Roger delikatnie dotknął jej ustami i cofnął się natychmiast.

— Więc nazywa się... Lotys? — spytała królowa, mówiąc nawpół do siebie.

De Launay skinął twierdząco w milczeniu.

— „Miłość zna jedną drogę, jedną wybiera kobietę!“ — powtórzyła znowu zasłyszane słowa. — A ta kobieta nazywa się Lotys! Dziwnie!

Dotknęła dzwonka, wzywając tem samem oczekującą w sąsiednim pokoju Teresę.

— Dziękuję ci, sir Roger — rzekła

zwykłym tonem; — byłeś wierny, jak zwykle, chociaż trochę szorstki.

Zadrżał na ten zarzut, przykry i niespodziewany.

— Szorstki, pani? — zapytał.

Słodki, łagodny uśmiech rozjaśnił oblicze królowej, nadając mu wyraz anielski.

— Tak, szorstki, — powtórzyła — lecz to nic nie szkodzi. Przebaczam panu chętnie. Dobrej nocy!

— Dobrej nocy życzę Waszej Królewskiej Mości.

— A my, z Teresą, modlić się będziemy — odezwała się jeszcze. — Będziemy się modliły za kraj, lud i króla; w tych niebezpiecznych i niepewnych czasach Bóg jedynym jest Panem świata.

Sir Roger skłonił się znowu i wyszedł.

Był głęboko wzruszony, ale jednocześnie zadowolony z tego, co się stało. Dla niego jasne było, iż od dnia, w którym Lotys ocaliła królowi życie, monarcha był przejęty dla niej uwielbieniem i szukał jej towarzystwa; pierwszy raz jednak on, Roger, tak śmiało sformułował i wygłosił swe domysły. W gruncie rzeczy niepokoiły go one boleśnie, gdyż przyznając uczuciom zawsze rolę pierwszorzędną, bolał zarówno nad królem, którego podziwiał i uwielbiał całem sercem, jak nad

królową, którą czekały zupełnie nieznane jej dotąd przejścia.

Powróciwszy do przerwanego zajęcia, spostrzegł natychmiast, że król jest u siebie. Zebrał więc listy i w milczeniu złożył je na stoliku, przy którym siedział monarcha, zajęty pisaniem tak bardzo, że nie odwrócił głowy ku wiernemu przyjacielowi. Roger zrozumiał, iż pragnie być sam, i cofnął się natychmiast bez jednego słowa.

VI.

Król pragnął samotności, pragnął zebrać myśli, jak owego dnia na tarasie pałacowym, gdy rozpoczynał nową erę panowania. Na pozór nie tak wiele się zmieniło od tego czasu, a jednakże jak odmiennie on patrzał na ludzi, jak zdołał objąć wzrokiem wszystkie lata swojego panowania, uznać wszystkie błędy, ocenić ludzi, zrozumieć ukryte sprężyny tysiącznych zjawisk, niegdyś powierzchownie tylko dostrzeganych! I żal mu było wszystkich chwil straconych, lat całych, które przeżył zaledwie półżyciem, nie odgadując jego rzeczywistej głębi i stubarwnej różnorodności składników. To nowe życie stało się dla

niego szkołą, z której pił chciwie wiedzę i wrażenia, które rozjaśniały przed nim horyzonty, dotychczas mgłą zasnute. Czemuż tej pracy nie rozpoczął wcześniej?

Jasno stanęło przed nim dawne życie, kiedy tak ufał ludziom, których dziś potępia, że im zostawił zupełną swobodę, oddał władzę z rąk swoich, powierzył swój honor. Dziś znał ich i przenikał nawskroś, niby kryształ; dlaczegoż ta świadomość zdawała się wcale nie wpływać na jego postępowanie i zamiary? Dwa razy tylko dotąd wystąpił stanowczo: w sprawie szkół jezuickich i projektu wojny. Pierwsze *veto* przyjęto z dziwnem niedowierzaniem, o drugiem nikt nie wiedział, oprócz ministrów i giełdy.

W rzeczywistości jednak król postawił sobie plan jasny i wykonać go zamierzał — bądź co bądź! To dziś było treścią jego życia, jego stroną realną. Po za nią, w rzadkich chwilach samotności, ciszy—stawała przed nim nowa twarz kobieca, owiana tchnieniom najwyższej miłości, jasna, czysta, szlachetna i tak uduchowiona, iż przemawiała do niego wyrazem nadziemskim; twarz, która mówiła to, czego dotąd pragnął w życiu nadaremnie, która mówiła: „Kocham!“

Uchylił przed nią czoło i pracował; jej ideały stały się jego dążeniem, jej nadzieje

celem działania. Wskazała mu piękną drogę, i nic go z niej nie zwróci.

Dziwnie też dla najbliższych przyjaciół zabrzmiały niespodziewane wieści, które, jak wstrząśnienie ziemi przed wybuchem, uderzyły kraj cały i wzburzyły wszystkie umysły. Ogłoszone było urzędownie, iż król nie tylko przyjął dymisyę margrabiego de Lutera, lecz prosił Karola Perousse'a, aby złożył nowy gabinet.

Taki więc był rezultat ostateczny licznych obrad ministrów, w których król tak gorliwie uczestniczył! I czegóż teraz można się było spodziewać?

Pod wpływem tych wypadków ogół już wyraźnie rozpadł się na dwa obozy, gotowe do wewnętrznej walki. Plutokracya, urzędnicy, jednostki, w ten czy inny sposób związane z istniejącym systemem i korzystające nawet z jego stron ujemnych, a przynajmniej mające drogę do powetowania swych strat materyalnych, pozostały bierne i nieme, wyczekujące i wstrzemięźliwe w objawach swych uczuć i sympatyi; drobne mieszczaństwo, drobny przemysł, handel—otwarcie połączyły się z masą rzemieślniczą, robotniczą i właściwym proletaryatem, dla którego warunki bytu przedstawiały się coraz groźniej. Ci wyglądali, jak spiętrzone fale, gotowe za lada

podmuchem opaść i zalać wszystko potęgą żywiołu.

Profesor von Glauben w swoim gabinecie siedział właśnie nad rozpoczętą pracą: „Polityczna historya głodu,“ a temat ten, dla niego pełen głębokiej treści, zawsze stanowił grunt niewyczerpany do filozoficznych rozmyślań i wniosków.

— Bo czyż nie wiecznie jedno i to samo?— mówił do siebie. — Głód bodźcem wszystkiego! Głód wynika z drożyzny, drożyzna jest skutkiem podatków. Chleb podrożał. Dlaczego? Z powodu podatku na zboże. Ceny zboża wpływają na podniesienie cen mięsa. Droższa żywność podnosi cenę wszelkiego towaru i pracy. Stagnacya w handlu, stagnacya w przemyśle i t. d. Taką drogą prowadzi głód do wojny... Głód moralny i fizyczny. Głód ciała i głód ducha idą często równolegle i wołają o swoje prawa. Ich głos wznosi się wyżej, coraz wyżej, aż Bóg odpowie gromem. A wtedy?..

Pochylił się nad biurkiem i pisał czas jakiś, wkońcu znowu odłożył pióro.

— Ciekawym jednak bardzo, gdzie się dziś obraca piękna Glorya? — szepnął do siebie. — Dałbym wiele, ażeby znów chociaż na chwilę zobaczyć tę twarz świeżą i tak piękną! A biedny Ronsard milczy, niby

kamień, i coraz słabszy pod ciężarem wieku. Umarłby dziś szczęśliwy, gdybym mu pozwolił, ale poczekasz, stary! Powiedziałem mu szczerze, że moja nauka nie warta papierosa, jeśli nie mam władzy zatrzymania zdrowego chłopa choć sto lat na ziemi. Rozumie się, nie licząc samobójstwa, lub trafu. Będziesz zatem żył, bratku! Doczekasz się Gloryi!

Zamyślił się i siedział czas jakiś w zadumie; nagle potrząsnął głową energicznie.

— Zuch jeszcze stary, krzepki chłop i silny! Widziałem, gdy wiosłował i rozpinał żagiel — jabym tak nie podołał! A moralnie: z prawdziwem przyjął bohaterstwem twarde warunki, jakie mu postawił Humbert: „Dla własnego bezpieczeństwa nie możesz wiedzieć nigdy o miejscu naszego pobytu.“ To samo powiedział do mnie, chociaż w innych słowach, i dlatego nie zrozumiałem jego myśli, nie będąc uprzedzony o zamiarach. A bez wieści o ukochanych czas płynie wolno, wolno...

Lekkie pukanie do drzwi przerwało mu myśli; do pokoju wszedł Robert.

— Bardzo mi przykro, że ci przeszkadzam, profesorze, — rzekł krótko — lecz król mię przysłał. Będzie dzisiaj na operze i życzy sobie, abyś był z nim razem.

— Będę mu towarzyszył chętniej, niż

gdzieindziej — rzekł von Glauben z zadowoleniem, a odsuwając pióro, odwrócił się z krzesłem i spojrzał przez okulary na drobną postać i piękną twarz koniuszego.

— Zdrowo wyglądasz, panie de Launay — rzekł wesoło. — Można odrazu poznać, że masz doskonały żołądek.

De Launay się uśmiechnął.

— Tak sądzisz, profesorze? Bardzo mię to cieszy! Twoje zdanie nie może błądzić.

— Ale powinniście bawić się dziś dobrze — odparł po chwili. — Król w najlepszym humorze.

— Ach! — mruknął doktor z wymownem akcentem.

— Masz co przeciwko temu? — spytał Roger z niepokojem.

— Czy ja wiem? — rzucił profesor niedbale.

Pokiwał głową, przetarł okulary i zaczął znów z powagą:

— Na miejscu króla, gdybym miał jego kłopoty: lud, skarżący się na podatki, chytrego lisa w osobie ministra i .. strzałę kupidyna, z którą niewiadomo co począć — doprawdy nie wiem, czy w takich warunkach mógłbym być w „najlepszym humorze!“

— Tak! — westchnął Roger — lecz „chyt-

ry lis“ jeszcze nie jest pierwszym ministrem. Czy przypuszczasz, że będzie?

Von Glauben wzruszył ramionami.

— Sądzę, że to nieuniknione. Jakże inaczej wybrnąć z tego położenia? Coś stać się musi. Król zmienić wszystkiego nie może, nie ma prawa! Musi iść drogą wytkniętą.

— Zapewne! — mruknął Roger — jednak... jeżeli Perousse... doprawdy, można lękać się wszystkiego. Zanadto jest znienawidzony

— Może król to rozważy i... uprzedzi innych... Zwłaszcza, jeżeli „właściwa“ osoba przedstawi mu położenie — szepnął profesor z naciskiem.

— Zapominasz, że ona nie wie... — zaczął Roger i urwał nagle.

Zbliżył się do okna i czas jakiś w milczeniu patrzał na rozległy widok.

Dzień był pogodny, piękny, morze zupełnie spokojne, nad drobnemi falami unosiły się stada ptaków, połyskując z dala srebrnemi skrzydłami. W dali na horyzoncie, pod białym obłokiem rysował się ametystowy kontur Wyspy.

— Czy często widujesz teraz piękną Gloryę? — zapytał nagle Roger. — Król od owej wycieczki nigdy o niej nie wspomina. Nigdy nie wyjaśniłeś mi zagadki tej tajemni-

czej znajomości, a ciekaw jestem, czy to rzeczywiście prawda, że książę Humbert ma rolę w tej sprawie. Podejrzewam nawet...

— Cóż takiego?

— Że wysłano go dalej, aby usunąć ze złej drogi..

— Masz słuszność — odparł poważnie profesor. — Usunięty był z drogi niebezpiecznej.

— Mówiono także, — ciągnął Roger dalej — iż przed wyjazdem księcia widziano w pałacu, tu, w pałacu królewskim, niepospolitej piękności dziewczynę. I dziwny był ten odjazd: bez pożegnań, odpowiedniego towarzystwa, przygotowań. Dziwnie o tem opowiadają.

— Dziwnie! — powtórzył profesor. — Lecz człowiek doświadczony słucha, a nie słyszy.

De Launay spojrzał na niego ciekawie.

— Dziewczyna była piękna! — rzekł nawpół do siebie. — A jej przybrany ojciec... jakże mu tam? Ronsard? — tęgi starzec. Republikanin, jak się zdaje? Danton! Król widocznie zaspokoił swą ciekawość w tej sprawie... Ale... ale—dodał ze śmiechem:—nigdy nie zapomnę twojej twarzy, doktorze, gdyśmy cię tam wtedy spotkali! Nigdy, nigdy! To

było coś niezrównanego! Ot, duży dzieciak, złapany w śpiżarni ze słoikiem konfitur!

— Dziękuję! — rzekł profesor — i mogę cię zapewnić, że konfitury były wyśmienite! Jeszcze czuję ich zapach!

Robert roześmiał się znowu; po chwili spoważniał.

— Król często sam wychodzi teraz — rzekł z westchnieniem.

— Bardzo często — potwierdził doktor.

— A czy dobrze robimy, pozwalając na to?

— Pozwalając? Jakże możemy zabronić?

— Czy myślisz, że jest zupełnie bezpieczny?

— Zdaje mi się, iż bezpieczniejszy, niż wtedy, gdy wpośród nas zakładał ów kamień węgielny. Zresztą nie czas dzisiaj zastanawiać się nad możliwością rezultatów jego postępowania. Stało się. W każdym razie doskonale sam zna położenie i może je ocenić podług istotnej wartości. Sam rządzi swoim losem, myśmy jego słudzy. Osobiście, ja nie lękam się o niego—z wyjątkiem nieprzewidzianej fatalności.

— Jakiej?

— Która zabija nieraz pewniej od kuli i noża: choroba najniebezpieczniejsza w jego wieku, bo niema na nią środka. Miłość mło-

dzieńca—to zator zielonych porzeczek w zdrowym żołądku. Niedospozycya mija, zostawiając organizm osłabiony i wstręt na długie lata do niedojrzałych owoców. Miłość między 20 a 30 laty to w gruncie rzeczy tylko miłość siebie. Ale później... Miłość dojrzałego człowieka to upomnienie się natury ludzkiej o pokrzywdzone prawa, to potrzeba serca i ducha. A gdy ten głos zawoła, nic go nie uciszy. To już najgorsza sprawa, źródło wielu nieszczęść. A tembardziej dla króla, który nie zwykł się cofać, ani ustępować z drogi; dla niego tylko śmierć, albo zwycięstwo!

Roger de Launay patrzał ze zdziwieniem na poważną twarz profesora i jego niezwykły zapał.

— Ty, naprzykład, tego wcale nie rozumiesz, — ciągnął von Glauben dalej tonem, nie dopuszczającym zaprzeczenia, patrząc na koniuszego bystrym i łagodnym wzrokiem — bo ty jesteś dziwne stworzenie, bardzo szczególny okaz. Tobie marzenie wystarcza zupełnie za rzeczywistość. I z tem ci doskonale! Wiesz dobrze, iż marzenie nie ziści się nigdy, więc i twój posterunek będzie nieśmiertelny, a taka wieczna miłość to młodość wieczysta! Los twój godzien zazdrości, przyjacielu! Nie masz się o co chmurzyć —

jestem dosyć stary, no, i dość na to mądry, aby przeniknąć twój sekret, który zresztą podziwiam z punktu filozoficznego... i szanuję głęboko!

Sir Roger milczał chmurny.

— Tylko — zaczął profesor — Jego Królewska Mość wcale nie należy do tych, którym wystarcza marzenie. Czego pożąda, to musi być jego.

— W tym kierunku nie powiedzie mu się nigdy — zauważył de Launay z przekonaniem.

— Nigdy! — powtórzył doktor. — Tym sposobem mielibyście jednakowe widoki i przeznaczenia.

Drzwi otworzyły się i zamknęły szybko; de Launay zniknął. Von Glauben sam został w pokoju.

Uśmiechnął się do siebie pobłażliwie.

— Biedny Roger! — szepnął:—dla przyjemności obrał sobie żywot męczennika! Niektórzy to istotnie lubią. Ani tego nie potrzebują, ani ich nic nie zmusza, lecz uderzają się sztyletem w serce i z tą otwartą raną idą przez życie dumni. Musi to boleć, ale ich to cieszy. Zupełnie jak te mniszki, co się zamykają żywcem w grobowych murach ze słodkiem przekonaniem, iż zostały oblubienicami Chrystusa. A cały sekret tych mąk

i poświęceń, że nie mają tego, czego pragną i potrzebują. To leży na dnie każdego dziwactwa. Nie mam, daj mi, bo inaczej... I zaczyna się bohaterstwo!

Przysunął sobie znów papier, wziął pióro i pisał bez odpoczynku do chwili, gdy wraz z dworem miał się udać na operę.

Był to wieczór pamiętny w dziejach państwa. Wspaniały gmach opery, arcydzieło architektury, był zapełniony różnorodną publicznością: w krzesłach, lożach, na niższych piętrach, galeryi i amfiteatrze jaśniały stroje kobiet, sztuczne koafiury, klejnoty, pióra, wstęgi i tysiące twarzy, świeżych, uśmiechniętych i zadowolonych. A wyżej—inna publiczność: mieszana, ciemniejsze suknie kobiet i mniej jasne twarze, coraz bardziej skupione pod samem sklepieniem, a wszystkie wyczekujące, ożywione.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że musi istnieć jakaś szczególna przyczyna, która zjednoczyła dziś uwagę tłumu i ściągnęła publiczność ze sfer różnorodnych. Nie mogła to być osoba królewska, bo tę codziennie przecież widywano w teatrze i na ulicach miasta; zresztą zamiar królewski nie był ogłoszony, i zaledwie kilkadziesiąt osób, bliższych dworu, mogło o nim wiedzieć od kilku godzin.

Rzeczywistą ponętę stanowiła nowa, dopiero po raz trzeci dawana opera, której twórcy i wykonawcy budzili niepowszednie zainteresowanie. Wśród wykonawców pierwszorzędne miejsce zajmowała modna tancerka, Pequita; mówiono nawet, że dla niej specyalnie wielki muzyk Valdor i Paweł Zouche, poeta, połączyli swoje talenty w tem dziele. Muzyk Valdor cieszył się zasłużoną sławą, a jego utwory były wysoko cenione; poeta w ostatnich czasach poszukiwany był wszędzie, a nieznany prawie nikomu. Treść opery fantastyczna, sensacyjna, podnosiły śpiew i tańce popisowe, stawiając ją na równi z najlepszemi kompozycyami Verdi'ego i Meyerbeera. Bohaterem był wędrowny skrzypek i jego córka, tancerka: Pequita. Przypadkiem złączyli się z bandą awanturników, którzy zamierzają właśnie zdobyć niedostępny zamek zuchwałego korsarza, dzierżącego w postrachu całą okolicę. Tłum, porwany nadzieją oswobodzenia się od krzywdziciela, napływa do stóp zamku z pieśnią wolności na ustach, a cudowny taniec Pequity krzepi ich zapał i wiarę w zwycięstwo. Ta scena stanowiła kulminacyjny punkt sztuki i od pierwszego przedstawienia entuzyazmowała publiczność. Wątkiem miłosnym była miłość skrzypka i bogatej księżniczki, która wreszcie wy-

rzeka się przywilejów urodzenia i majątku, aby podzielić los ukochanego.

Jeden z dzienników wyraził się, że opera zdobyła szturmem serca publiczności i sławę powodzenia. W tym dwuznaczniku była cała prawda. Muzyk zaklął w jej tony jakiś czar namiętny, któremu niepodobna się było opierać, a scena szturmu zwyciężyła ostatecznie, porywając słuchaczów w jakiś szał taneczny, dążący naprzód, aby burzyć i budować. A każdy ruch Pequity, każdy ton melodyi—to nowa iskra, to grzmiąca pobudka.

Pequita ubierała się na scenę, kiedy jej powiedziano, że spełni się dziś jej marzenie: będzie tańczyła w obecności króla. Serce dziewczęcia uderzyło mocniej, a żywy rumieniec okrasił jej lica. Staranniej obciągnęła krótką, czerwoną spódniczkę, a w krucze włosy z niezwykłem staraniem wpięła ponsową różę. Pierwszą jej myślą był Pasqnin Leroy, ten najbliższy przyjaciel, który obiecał jej pierścień z dyamentem w dniu, kiedy tańczyć będzie w obecności króla.

Dzień nadszedł, lecz gdzie Pasquin? Dużo dałaby teraz, aby przesłać mu słówko, że król jest w teatrze i poprosić, aby sam także chciał być świadkiem jej tryumfu. Ale

jakim sposobem? Nie miała nawet czasu zastanowić się nad tem, albo poradzić ojca, który czekał na nią za sceną, bo zresztą nie wiedziała adresu Pasquina; nie znał go nawet Paweł Zouche, obecny także na przedstawieniu i w bardzo zniszczonem ubraniu stojący obok jednego z filarów. Niema co myśleć o tem, tembardziej, że dźwięki hymnu narodowego oznajmiły przybycie króla i rozpoczęcie widowiska.

Światła zdawały się płonąć dziś jaśniej, gdy na znak dany wybiegła na scenę, z bijącem sercem, wdzięczna i lekka jak ptaszę, powitana grzmotem oklasków. Lecz wzrok jej pobiegł prosto do loży królewskiej, wesoły, uśmiechnięty i figlarny. Ileż wyrazu było w tem spojrzeniu! ileż zagadek mówiły te oczy, wyzywające i niewinne, pełne pustego śmiechu i radości, a zarazem głębokie i wzruszone!

Lecz król rozmawiał właśnie z jakimś panem w głębi loży i siedział, odwrócony zupełnie od sceny; patrzała na nią tylko piękna pani w dyamentowej koronie zimnemi oczyma, które zamieniły jej bijące serce w ciężki i zimny kamień. A dalej jakiś przystojny młodzieniec patrzał na nią z takim uśmiechem, z takim uśmiechem, że wolałaby uciec i nie tańczyć przed nim, nie tańczyć

nigdy w życiu! Pierwszy to raz wzrok ludzki zarumienił ją i upokorzył, po raz pierwszy doznała takich wrażeń.

Tańczyła, a jej myśli krążyły po głowie w dziwnym, bezładnym tańcu, który nie odpowiadał jej rytmicznym ruchom. Dlaczego król nie patrzy na nią wcale? Więc po cóż przyszedł dzisiaj na operę? Jak może być tak bardzo obojętny dla niej, małej Pequity, która pragnęła przecież całem sercem zatańczyć dziś dla niego, i głównie dla niego!

W końcu drugiego aktu była zupełnie zmęczona: twarzyczka jej pobladła, oczy zgasły, ruchy stały się sztywne i niedbałe.

— Co ci jest? — spytał Paweł Zouche troskliwie.

— Nie cierpię ich! — szepnęła, zgrzytając zębami i wskazując gestem zapełnioną salę.

— Podzielam twoje zdanie — odparł Zouche spokojnie, zapalając papierosa i gniotąc go ustami.— Gromada głupców bezmyślnych, bezdusznych, gliniane lalki — to publiczność! Ale przecież pragnęłaś tak tańczyć przed królem! Nie powiodło ci się, jak widzę?

— Nie tańczyłam! — odparła z zuchwałem spojrzeniem. — Ale zatańczę!

Zouche spojrzał na nią ze zdziwieniem

trochę rozmarzonym wzrokiem: nie był jeszcze pijany, chociaż pił już dzisiaj.

— Jakże to: nie tańczyłaś? — spytał.— Więc cóżeś robiła na scenie?

— Spacerowałam sobie — odparła dumnie i lekceważąco, a krew hiszpańska nowym, gorącym strumieniem zabarwiła jej śniade lica. — Przechadzałam się — powtórzyła znowu: — ale teraz zatańczę!

Zouche uśmiechnął się, otrząsając popiół z papierosa.

— Dziwne z ciebie stworzenie — rzekł z uśmiechem. — Trzeba cię trzymać krótko, mojem zdaniem, bo inaczej...

Ale Pequita wybuchnęła śmiechem, nie troszcząc się o koniec jego zdania

— Kto jest ta pani z marmurową twarzą, co siedzi obok króla? — zapytała nagle, podnosząc na poetę swe płomienne oczy i potrząsając czarnymi lokami.

Zouche roześmiał się z kolei.

— Co za wyrażenia! — zawołał złośliwie. — Zaczynasz określać ludzi, jak reporter. Ta „pani z marmurową twarzą“ — to królowa.

— Królowa? — powtórzyło dziecko ze zdziwieniem. — A ten wysoki chłopiec?

— To królewicz Rupert.

— Książę następca tronu?

— Nie. Następca tronu wyjechał za granicę. Nikt nie wie, gdzie jest teraz, ani kiedy wróci. Wyjechał potajemnie.

— Wcale mu się nie dziwię! — zawołała żywo Pequita. — Mógł uciec od takiego brata!

Zouche znowu wybuchnął śmiechem. Temperament Pequity podniecał go do wesołości, każde słowo bawiło, jak gra barw i blasków.

— Jesteś nicpoń dziewczyna! — rzekł niby surowo. — Zepsuły cię zupełnie hołdy wielkiego świata.

— Hołdy! — zaśmiała się z gestem lekceważenia. — Myślisz, że dbam naprawdę o te hołdy i pochlebstwa? Wolałabym tańczyć dla Lotys, Pasquina, dla ciebie, niż dla tych tam wszystkich obcych. Ale oni płacą!

— Ach! — wybuchnął Paweł. — Znakomicie!

I zaczął śpiewać połgłosem na cześć miłości i złota.

Pequita śmiała się i wtórowała, kiedy wezwano ją znowu na scenę.

Tym razem nie spojrzała na królewską lożę; tańczyła dla galeryi, paradyzu, a spojrzenia Sergiusza i innych przyjaciół, które z łatwością rozróżniała w tłumie, podniecały ją dostatecznie. I nagle zapaliła się w niej

jakaś iskra, która magnetycznie udzieliła się wszystkim aktorom: zbudziła się w nich dusza i nieznana siła, dla której sztuka stała się kształtem jedynie. Spoglądali na siebie dziwnie błyszczącem spojrzeniem, a dziecięcy głos Pequity w kilku strofkach wstrząsnął nimi, jak uderzenie tajemniczego prądu. Prymadonna olśniewała każdym tonem, a bohater, pierwszy tenor, przyjaciel Valdora, który przybył umyślnie na jego żądanie, ażeby objąć rolę tytułową, odczuł nagle, że w sztuce dzieje się coś więcej, niż mówią słowa i głosi melodya. Valdor, mając w orkiestrze pierwsze skrzypce, wywoływał co chwila grzmot hucznych oklasków, a rozgrzana publiczność coraz częściej i wyraźniej zwracała zdumione spojrzenia ku loży, gdzie rodzina monarchy z wyrazem znużenia zdawała się tylko łaskawie oczekiwać na upragniony dawno koniec sztuki. Król zwłaszcza dziwnie dziś był obojętny i co chwila rozpoczynał z kimś ze swojej świty rozmowę, najwymowniej świadczącą, iż scena niewiele go zajmuje.

Rozpoczął się akt ostatni, scena szturmu i tryumfalne pieśni wolności. Popłynęła wspaniała melodya i rozległa się wśród olbrzymiej sali. Galerya i paradyz podniosły się nagle, z tysiąca piersi zabrzmiał chór potężny, niby grom oddalony. Publiczność w krzesłach

i łożach, zdumiona, zamieniała spojrzenia podniecone i niespokojne, kiedy za danym znakiem pieśń umilkła nagle, i pośród zbrojnych mężów wbiegła, jak kwiat purpurowy, lekka, cicha Pequita. Bez muzyki, w milczeniu, wśród oniemiałych tłumów—cudowne dziewczę unosiło się ruchem rytmicznym, pełnym czarodziejskiego wdzięku i lekkości. Zdawało się, że płynie z tchnieniem wiatru; nagle rzucała się w namiętnym szale i znowu kołysała niby duch nieważki, stąpający po kwiatach.

Nagle w jej ręku błysnął jasny sztylet. Pobiegła naprzód, jak ze snu zbudzona, niby walcząc, broniąc się; ucieka i ściga, rzuca się w bok, naciera, osłania, umyka, pochylona, to dumna i wyzywająca: straszliwy obraz walki i obrony.

Połowa publiczności podniosła się pomimowolnie, by lepiej widzieć małą czarodziejkę; wszystkie oczy śledziły jej ruchy szalone, ruchy opętanej przez demona tańca; nawet król wychylił się ze swojej loży i z uśmiechem patrzał na tę młodzieńczą ekstazę.

Nagle Pequita, prawie nie wiedząc, co czyni, porwana jakimś szałem, pochwyciła sztandar, umieszczony na wzniesieniu, a powiewając nim w rytmicznym wirze, jednym skokiem znalazła się przed lożą króla i przyklękła, schylając przed nim sztandar państwa

z jasnym sztyletem w ręku, wzniesionym do góry.

Szalony okrzyk podniósł się z galeryi, na scenie zabrzmiał znowu śpiew wolności, ale prawdziwym rykiem zawtórowały mu tłumy. Zaczęto wołać: „Pequita! Pequita!“ potem: „Valdor!“ Ale ktoś zawołał: „Sergiusz!“ i na to słowo zapanował chaos. Z wyższych galeryi—nie wiedząc, co czynią— mężczyźni zaczęli zjeżdżać po filarach, chwytali się w objęcia, szalejąc nieprzytomni w uniesieniu. W lożach i krzesłach powstała panika, wszyscy zaczęli się cisnąć ku wyjściu, a oszalały tłum, śpiewając głośno, łamiąc, niszcząc po drodze, buchnął czarną lawą i otoczył powozy dworskie, wśród okrzyków, czekając tutaj na monarchę.

Sergiusz Thord w jednej chwili ocenił grozę położenia i śpieszył gasić płomień, który strzelił niespodziewanie, ale było za późno, zanadto szeroko rozlała się już rzeka po zerwaniu tamy, i fale popłynęły na wsze strony.

Król z rodziną opuścił teatr bocznem wyjściem i przeprowadzony przez wolne ulice, wynajętym pojazdem wrócił do pałacu. Nie doczekawszy się go przy powozach, tłum ze wściekłością wrócił do wnętrza teatru, niszcząc wszystko po drodze.

Nagle, jak gdyby przyszło mu opamięta-

nie, iż czyny takie nie mogą spodziewać się usprawiedliwienia przed sumieniem własnem, zatrzymał się nie pewny, co począć, dokąd dążyć.

Oparty o kolumnę, Paweł Zouche w milczeniu patrzał na szał powszechny; oczy mu błysnęły i krzyknął głosem, który zdawał się budzić uśpionych:

— Przekleństwo Karolowi Perousse'owi! Przekleństwo! I czegóż, przyjaciele, tracicie czas, który możecie spożytkować w lepszy sposób! Na Karola Perousse'a, pierwszego ministra!

Przeciągły okrzyk zgody i zadowolenia był głośną odpowiedzią, i jak wzburzone fale tłum popłynął znowu, zbrojąc się w drągi, kamienie, broń wszelką, jaką zdobyć mogli po drodze. Zatrzymali się wreszcie na obszernym placu, przed domem Karola Perousse'a.

Właśnie w tej chwili księżyc wypłynął z za chmury i oblał ciemną masę tłumu jasnym blaskiem, jak gdyby pragnął być świadkiem wypadków, które nastąpić miały.

VII

Na wieść o zajściach w teatrze opery, wojsko z pośpiechem przybyło na miej-

sce, tu jednakże zastało generała Bernhoffa, który na czele policyi wstrzymał je „w imieniu króla.“

Spełniając rozkaz, starszyzna wojskowa rozmieściła swe roty w sąsiednich ulicach, nie tamując swobody ruchów publiczności i czekając, co będzie dalej. Policya okrążyła zgromadzonych, pozostając w gotowości do obrony na wypadek nieprzewidziany, lecz zachowując się wyczekująco i spokojnie.

Tłum tymczasem wrzał, huczał, groził i rzucał przekleństwa, lecz potrzebował widocznie przywódcy i nie wiedział, co począć. Wspaniały pałac Karola Perousse'a z marmurowym portykiem, rzeźbami, balkonami i kosztownemi ozdobami podniecał oburzenie i chęć zemsty, a pierwszy kamień, który uderzyłby w lustrzane szyby, byłby niezawodnie hasłem zniszczenia i krwawej rozprawy.

Nagle na piedestale posągu monarchy, który stał na środku placu, ukazała się postać olbrzymia ze lwią grzywą, rozrzuconą nad wysokiem czołem i płomieniem w źrenicy.

— Sergiusz Thord! Sergiusz! — rozległy się krzyki, połączone z huraganem oklasków.

Sergiusz stał chwilę, niby drugi posąg, potem wyciągnął rękę, i tysiące piersi, umilkły nagle; jeszcze głuche wrzenie, ale magicz-

ny sygnał ucisza tę wrzawę, i zwolna wszystko milknie.

Wówczas podnosi się jeden głos, znany, oczekiwany przez wszystkich, jak hasło. Głos ten rozbrzmiewa silnie i potężnie, lecz brzmi tonem pokoju:

— Przyjaciele! Bracia! Spokoju! cierpliwości! Jaki duch nieszczęsny opętał was, abyście własnemi rękami niszczyli własne dobro, własną przyszłość! Czego chcecie? Sprawiedliwości? Ale czyż sprawiedliwość zdobyć można, depcąc prawo, które jest jej podstawą? Aby wzywać sprawiedliwości, trzeba mieć przedewszystkiem czyste ręce i jasne czoło. Nie, nie! ja znam was, bracia, waszą miłość prawdy, wasze szlachetne poczucie słuszności, i wiem, że ono powstrzyma was w porę na progu szału, który was wiedzie do zguby. Ten wybuch burzy, który tak gwałtownie wstrząsnął wasze jestestwa, to wicher potężny, który z odmętu wznosi góry wodne i pogrąża w otchłani statki i żeglarzy. Ale potęga wichru — to siła żywiołu; wy bądźcie wyżsi świadomością czynu, świadomością myśli i celu. Czego tu chcecie, bracia?

Głuchy pomruk: „Perousse!“—przebiegł zgromadzenie i ucichł znowu.

Sergiusz powiódł okiem po tych głowach, wzniesionych z uczuciem tryumfu. Czyż

nie panował nad tym tłumem niepodzielnie, on, tylko mówca, myśliciel i pisarz! Czyż nie czekali na jego skinienie te wszystkie serca, podległe mu wiernie? I któż go może pozbawić tej władzy?

W oczach, w wyrazie twarzy, miał potęgę.

— Karol Perousse! — powtórzył donośnie. — Oto jego królewska rezydencya, którą wycisnął z krwi i potu biednych! To nasz wróg! Ale bracia, pomyślcie przed czynem, jakie będą jego następstwa. Przypuśćmy, że zburzycie ten gmach nieprawości, że wasze silne ręce rozniosą kamienie tych murów, że ogień pożre ślady nieprawości, która w nich zamieszkała, a nasz udręczyciel skona na gruzach swojej własnej zbrodni! I cóż z tego? Wy sami krwawemi dłońmi uczynicie go męczennikiem, obmyjecie z plam jego pamięć. Sprzedajne pisma chwalić będą jego cnoty, a jego wspólnicy będą wyliczali wasze zbrodnie. I o nich świat się dowie, gdy przeszłość zdrajcy kraju i oszusta pokryje pamięć tej godziny szału.

— O, bracia! zastanówcie się sami nad sobą! Niech rąk waszych nie skala brudna krew Perousse'a! Nie śmierci jego żądamy, lecz sądu, sądu i potępienia! Umrzeć łatwo, o, bracia! I dziecię niewinne umiera. Dla winnego trzeba potępienia! Hańba, upokorzenie, przekleństwo rodaków—to będzie zemsta

wasza, zemsta straszna; inna nie jest was godna, was, obrońców sprawiedliwości!

Wśród głuchego milczenia szedł pomruk niechęci i niby fala rozbił się u stóp Sergiusza, lecz on odczuł to uderzenie.

— Słyszę głosy serc waszych! — zawołał gorąco: — słyszę i czuję, bo są tak potężne, że przemawiają głośno bez wyrazów. Nie chcecie czekać? Nie możecie czekać? Głodniście kary? Ja to rozumiem, ale słuchajcie, co powiem! Wierzycie słowom moim, jak ja ufam waszym. Otóż przysięgam wam tu, wobec nieba, wobec tysięcy! — wołał, podnosząc ramiona, — że nim miesiąc upłynie, nastanie dzień sprawiedliwości i wyrok potępienia na Peroussa głoszony będzie w każdej gminie i miasteczku! To wam przysięgam! I przysięgam jeszcze: nie lękajcie się, bracia, Karol Perousse nigdy nie ujmie steru władzy! Nigdy!

Burza oklasków rozległa się znowu i szalała bez końca wśród krzyków i wrzawy, niby wicher potężny wstrząsających tłumem.

— Zaufajcie mi, bracia! — wołał Thord w zapale. — Dajcie mi dusze wasze!

I znowu krzyki, oklaski i wrzawa. Tłum ciśnie się do niego, ściskają mu stopy, padają na kolana.

Inni rzucają w górę kapelusze, powie-

wając chustkami, wydają radosne okrzyki, wszystkie głosy łączą się razem nakoniec, i brzmi znów uroczyście pieśń wolności jednym potężnym chórem.

Thord skorzystał z tej chwili, aby koło siebie rzucić badawczem okiem; spostrzegł też natychmiast tuż u stóp piedestału Jana Żegotę i Pasquina. Skinął na nich i szybko wydał jakiś rozkaz, a wkrótce potem tłum zaczął widocznie dzielić się na trzy części i zwracać w przeciwnych kierunkach. Wówczas Sergiusz przemówił raz jeszcze słów kilka:

— Do zobaczenia, bracia! Przed końcem miesiąca spełnię swoją przysięgę. Pamiętajcie! A teraz rozejdźcie się w spokoju i porządku. Niechaj wasi nieprzyjaciele nie znajdą przeciwko wam zarzutu, którymby potępić was mogli. Okażcie się godnymi wielkiego zadania, do którego was powołano!

Jeden okrzyk był odpowiedzią, poczem tłum zwolna rozpływać się zaczął w trzech obranych kierunkach. Policya i wojsko usunęły się na stronę, zostawiając im wolne przejście, i wkrótce plac obszerny opustoszał.

To powtórne jednak wzburzenie zaniepokoiło poważnie nie tylko stolicę, lecz i państwo całe. Zrozumiano nareszcie, iż chodzi o rzeczy poważne, że niebezpieczeństwo jest blizkie i nieobliczone, i zaczęto domagać się

powszechnie uspokojenia podrażnionych uczuć i namiętności tłumu. Członkowie Rady Państwa uznali za rzecz naturalną, iż król zwołał nadzwyczajne posiedzenie, „w celu rozstrzygnienia spraw nie cierpiących zwłoki,“ a stanowisko Karola Perousse'a nie wydawało się już nikomu niezachwianem.

Nazajutrz jednak grano tę samą operę; teatr był zapełniony, a małą Pequitę zarzucono kwiatami. Oprócz tego posłaniec wręczył jej wiązankę purpurowych róż i granatów, do której jedwabnym sznurkiem przywiązane było ponsowe aksamitne pudełeczko, zawierające pierścień, obiecany jej niegdyś przez Pasquina. Na załączonym bilecie skreślone były wyrazy: „Dla Pequity od Pasquina.“

Przez chwilę śliczne dziewczę z wyrazem zachwytu wpatrywało się w klejnot; nagle westchnęła głęboko i twarz rozpromienioną zwróciła ku Lotys, która towarzyszyła jej dziś do teatru w obawie nieprzewidzianych wypadków.

— Patrz! — szepnęła:—dotrzymał słowa.

Lotys uśmiechnęła się smutnie, tłumiąc mimowolne westchnienie.

— Tak, dziecko! Taki człowiek zawsze dotrzymuje słowa.

Pequita zaśmiała się, przytuliła do Lotys i prosiła, okrywając ją pocałunkami:

— Droga! jedyna! weź go dzisiaj! schowaj! Noś na palcu, jeśli mię kochasz! Proszę cię, proszę, błagam!

I z zachwytem spoglądała na błyszczący kamień, mieniący się ogniami na drobnym palcu Lotys.

A tymczasem wezwano ją znowu na scenę, i Lotys pozostała sama w garderobie. Wtedy nagle pochyliła twarz zarumienioną i przycisnęła do ust kosztowny pierścionek.

— Drogi! Ukochany! — szepnęła namiętnie. — O, gdybyś wiedział!..

Twarz jej płonęła miłością i wstydem: więc ona jeszcze kocha! Ona, niemłoda, bez piękności i praw młodzieńczych! Jakiemże szyderstwem są te myśli i uczucia w jej życiu, poświęconem cierpieniu i nędzy! Czy ma prawo odkradać swemu powołaniu czas, myśl i serce dla spraw osobistych? Wszak od tak dawna miała miłość wielką, namiętne i zazdrosne uczucie Sergiusza, który w niej wielbił umysł i kobietę,—a przecież odtrącała ten dar obojętnie, odpowiadając tylko przywiązaniem siostry człowiekowi, w którym od dziecka widziała opiekuna i prawie ojca.

Nigdy zresztą dotąd nie przyszło jej na myśl, że najbiedniejsza z kobiet pragnie kochać

i być kochaną, pragnie tę cząstkę szczęścia wydzielić dla siebie z ogółu pragnień, radości i bolów. Ona i szczęście! Własne jej szczęście! Nigdy te dwa zestawienia nie stanęły obok siebie w jej umyśle. A dzisiaj: Miłość, jak złodziej, skrycie, niespodzianie, wcisnęła się do duszy jej zamkniętej, wcisnęła za podziwem dla człowieka, który, stanąwszy nagle, jak zjawisko, obok Sergiusza, w ciągu kilku miesięcy tak daleko posunął dzieło sprawiedliwości, iż pomyślne rozwiązanie najboleśniejszej sprawy wydawało się dziś możliwem.

On to sprawił!

Kobiecym instynktem odgadła i zrozumiała różnicę między nim a Sergiuszem Ten ostatni to idealista szlachetny, to w gruncie rzeczy bezsilny marzyciel, zdolny budzić wielkie pragnienia, bez możności, środków i siły zaspokojenia ich, chociażby w części. Pasquin to człowiek czynu; żądania jego mniejsze, lecz bliższe, mniej doniosłe i szerokie dla przyszłości, lecz wykonalne i dobroczynne w skutkach. Chce—gdy może, a skoro chce—zwycięża!

Więcej warte małe zwycięstwo, które pokrzepia ducha i daje nadzieję większego, niż najwspanialsze marzenia bez czynu.

Stanowczość, pewność siebie, nieugiętość,

odwaga i dar wymowy Pasquina Leroy roztaczały się przed nią niby aureola, która go wyróżniała i wywyższała ponad wszystkich. W blaskach jej postać Sergiusza topniała, bladła i gasła, jak gwiazda o wschodzie słońca.

Po tygodniowej walce zaciętej w dziennikach, w której artykuły Pasquina Leroy wyróżniały się znowu śmiałością oskarżeń i zarzutów, stawianych Perousse'owi, nastąpił dzień mityngu i posiedzenia Rady, zwołanej przez monarchę. Członkowie Rady rozeszli się późno z widocznem przygnębieniem i chmurą na czołach; mityng odbył się w zupełnym porządku i zakończył postanowieniem odwołania się raz jeszcze do króla w sprawie Karola Perousse'a.

Nadeszła noc burzliwa. Czarna chmura zakryła niebo od zachodu, a grzmot przeciągły, głuchy, huczał bezustannie, niby daleki odgłos groźnej walki. Błyskawice co chwila, jak ogniste węże, przerzynały czarne obłoki i rozjaśniały ciemność, ale żadna kropla orzeźwiającej naturę wilgoci nie spadła na spragnioną i spaloną ziemię, nie ochłodziła dusznej atmosfery. Widocznie burza szalała daleko na morzu, a na wybrzeżu widziano jedynie jej niemy odblask i odgłos stłumiony.

Sprawiło to przygnębiające wrażenie. Pierś nie mogła oddychać ciężkiem, duszącem

powietrzem, woń kwiatów słała się nizko przy ziemi, a myśli ludzkie stawały się ciężkie, zaćmione, jak to niebo, czarną chmurą

Był to ów „dzień fatalny,“ i przyjaciele Sergiusza zebrali się, jak zwykle, w jego domu. Pasquin z towarzyszami przybył także, ale na wstępie uderzył go dziwny widok niezwykle przybranej komnaty: Stół ustawiono z boku i na czarnem suknie, którem był nakryty, płonęły dwa świeczniki, a pomiędzy nimi stała urna bronzowa.

Światło nie rozjaśniało dostatecznie zmroku, panującego w obszernym pokoju; zgromadzeni mieli twarze uroczyste i, stojąc gromadkami, szeptali półgłosem.

Max Graub otrzasnął się, jak pies po deszczu.

— Zdaje się, że to będzie piąty akt naszej komedyi — rzekł cicho do Rogera: — byle skończyło się tylko komedyą! Trzynaście świateł, lampa czerwona i urna... brrr! szkaradne symbole!

Axel Regor pobladł strasznie.

— Pozwól, panie, że stać będę obok ciebie — zwrócił się do Pasquina z błagalnem spojrzeniem.

Pasquin Leroy uśmiechnął się prawie szyderczo, lecz nic nie odpowiedział, gdyż w tej właśnie chwili weszła Lotys z Sergiuszem.

Lotys była śmiertelnie blada, i wydawało się, że idzie we śnie, że stąpa, ulegając tylko cudzej woli; jej oczy były martwe i bezmyślne, zapatrzone w obrazy, których nie miała przed sobą, a rysy wyrażały bolesne znużenie.

Wszyscy pośpieszyli naprzeciw wchodzącym, witając ich serdecznie i poważnie, lecz Sergiusz prosił, by zajęli miejsca, ponieważ muszą się zająć niezwłocznie zadaniem dzisiejszego zgromadzenia.

— „Dzień fatalny," — rzekł, kiedy nastąpiła cisza — wiecie już, co znaczy. Walczyliśmy wytrwale w imię dobra powszechnego i przyszliśmy do wniosku, że musimy złamać przeszkody, które tamują nam drogę. Nie o nas chodzi, nie o naszą korzyść, nie o nasze osobiste niechęci i pragnienia, lecz o dobro tysięcy uciśnionych. Dlatego, nie znajdując innej drogi, zdecydowaliśmy się wydać wyrok śmierci na najniebezpieczniejszych wrogów dobrej sprawy. Należą do nich: Przedewszystkiem *Karol Perousse*, i szczęśliwy, kto wyciągnie to nazwisko, aby uwolnić kraj swój od nikczemnego zdrajcy. Dalej następuje: *Dawid Jost*, wydawca, bałamucący opinię publiczną dla osobistych celów i nizkich spekulacyi. Margrabia *de Lutera*,

sprawca naszej nędzy przez nałożenie podatku na zboże. Tej trójcy zawdzięczamy, że nasz handel przeszedł w ręce obcych i cudzoziemców, że fabryki obce otrzymały wzory naszej najlepszej broni, okrętów wojennych, a rządy obce lepiej od nas samych znają nasze siły i zasoby. Ostatnim wreszcie skazanym jest *król*. Czterech z nas zatem wyciągnie los krwawy; i ci spełnić muszą wolę przeznaczenia. Tego wymaga prawo. Wszyscy inni obowiązani są wskazanym przez los dopomagać wszystkiemi siłami i środkami, jakie mają do rozporządzenia, choćby z narażeniem wolności i życia.

Zapanowało głuche i ciężkie milczenie. Widoczne było, iż wszyscy ci ludzie czuli straszliwy ciężar odpowiedzialności, jaką na nich wkładał ogłoszony wyrok.

Wtem Max Graub podniósł się z krzesła powoli i przemówił tonem spokojnym:

— Ja jestem stary Niemiec, nieuczony, nie dobrze znam wasz język i może dlatego nie mogę zrozumieć waszych zasad i dowodzeń. Wybaczcie mi więc, jeśli co źle powiem. Kiedy mowa o śmierci, zawsze mię to bardzo obchodzi, bo przecież całe życie z nią walczyłem. Jestem doktor, jak wiecie, i mojem zadaniem przedłużać życie ludzkie.

Prawda, sam to uznaję, że śmierć jest koniecznie potrzebna dla uwolnienia świata od zużytych, chorych, okaleczałych organizmów, ale czy mamy prawo odcinać od pnia społecznego gałęzie zdrowe, przez naturę jeszcze przeznaczone do życia? Mówię to, jako doktor naturalnie, wyłącznie z punktu praw fizycznych. A teraz jeszcze oceniając taki wyrok z punktu religijnego, etycznego, naukowego — zawsze przychodzę do wniosku, że te wszystkie zasady czynimy jedynie sługami naszej woli, chęci indywidualnej, i że są dla nas jedynie narzędziem, nie zaś miarą wartości naszych czynów. Jednem słowem, dwa pragnę postawić pytania: Czy człowiek ma nad innym prawo śmierci? Czy śmierć tych czterech ludzi przyniesie korzyść rzeczywistą? Jesteśmy przecie wszyscy rycerzami sprawiedliwości.

Przez chwilę trwało głębokie milczenie. Thord odezwał się pierwszy:

— Prawo śmierci daje konieczność. Potrzeba obrony własnej.

— Czy śmierć jednego, albo kilku ludzi może zmienić z gruntu istniejący porządek rzeczy?

— Będzie dowodem siły naszej, zbudzi postrach.

— To walka, nie etyka. Jako rycerz sprawiedliwości...

— Siadaj Graub!—niecierpliwie przerwał mu Pasquin Leroy, widząc dokoła niechęć i zdziwienie. — Nie zebraliśmy się dziś na dysputę!

Słowa Pasquina potwierdził szmer zadowolenia. Niemiec spojrzał wokoło swym badawczym wzrokiem, westchnął i usiadł, potrząsając głową na znak, że wątpliwości jego pozostały.

Thord tymczasem przemówił znowu:

— Mamy dziś mało czasu, przyjaciele, zresztą znamy nawzajem swoje przekonania i mówić o nich nie potrzebujemy. Jesteśmy zdecydowani wymierzyć dzisiaj sprawiedliwość, a ci z nas, którym los to przeznaczy, staną się przez to samo dla nas wszystkich świętymi i wybranymi. Dla każdego z nich wszyscy będziemy obowiązani poświęcić wolność i życie, gdyby tego wymagało jego bezpieczeństwo; ich obowiązek czyni ich nietykalnymi, wyższymi ponad innych, a zadaniem naszem osłaniać ich, bronić, wspierać w każdej potrzebie, spłacić choćby krwią własną dług dziś zaciągnięty. Wszak tak czujemy i myślimy wszyscy?

— Amen! — zabrzmiały liczne głosy uroczyście.

— A zatem przysięgamy w imię Boga spełnić, co los przeznaczy, i dochować wiernie obowiązków względem wykonawców wyroku. Wszak przysięgamy, bracia, dobrowolnie?

— Przysięgamy! — powtórzono jednogłośnie.

— Tak nam, Boże, dopomóż! Amen!

Uroczyste słowa przysięgi brzmiały silnie i stanowczo; Pasquin powtórzył je razem z innymi, i dziwny uśmiech zjawił się na jego twarzy.

— Czyż może być coś silniej ubezpieczającego mą osobę i stanowisko w tem gronie? — zwrócił się cicho do Axela Regor.

Lecz Axel nie zrozumiał zapytania. Zajęty własną myślą, spełniał mechanicznie wraz z innymi, co nakazywała konieczność, nie troszcząc się o treść wyrazów, które wymawiały usta. To też z wyrazem trwogi spojrzał tylko na mówiącego, niezdolny odpowiedzieć ani słowa.

Thord tymczasem skinął na Lotys, która z urną w ręku postąpiła naprzód. Każdy zbliżał się do niej i brał jedną kartkę z urny własną ręką, poczem ustępował na bok. Twarze ich były blade i zmienione, usta zacięte, spuszczone powieki; widocznie akt, któremu się dziś poddawali, był dla nich samych ciężki i bolesny, a każdy dałby wiele, aby

„dzień fatalny“ wykreślić ze swego życia. I każdy krzepił się jeszcze nadzieją, że wyjmie z urny białą kartkę; jakichże uczuć doznają ci, którzy znajdą na niej imię skazańca?

Pasquin Leroy zbliżył się spokojnie i nim sięgnął do urny, spojrzał w oczy Lotys. Spojrzenie jego było ciekawe, badawcze, ale jej oczy szkliste, bez wyrazu, zdawały się nie widzieć dziś nikogo. Martwe źrenice świadczyły wymownie, iż duch jej nie brał udziału w czynności, którą spełniała biernie, zapewne po długiej, rozdzierającej walce.

Nakoniec wszystkie kartki były rozebrane, i Lotys postawiła znów urnę na stole. Teraz każdy otwierał swoją z biciem serca, i z wielu piersi wydarło się westchnienie ulgi. Lecz wzrok Pasquina, zwrócony na papier, wyrażał tylko najwyższe zdumienie. Nie po raz pierwszy uczuł on w tej chwili, iż czuwa nad nim ręka Opatrzności, i z nową wiarą szepnął sobie w duszy, iż Bóg jest sprzymierzeńcem odważnych i silnych.

Miał prawo ukorzyć się przed taką wiarą, gdyż kartka, którą los dał mu do ręki, zawierała wyrok na niego samego: wyraz „król“ i krzyż czerwony.

Serce biło mu mocno, oczy jaśniały tryumfem, myśli przesuwały się jak błyskawice. Czuł się silny i mężny, chociaż niebezpie-

czeństwo i śmierć stanęły przed nim w widocznej postaci, ale teraz mógł z niemi walczyć i zwyciężyć! Oczy jego szukały wzroku Lotys, która stała sztywna i wyprostowana, lecz bez myśli i życia, jak posąg kamienny. Więc spojrzał wkoło. Obecni podawali kartki Sergiuszowi. Paweł Zouche, który wyciągnął nazwisko Karola Perousse'a, oddalał się krokiem niepewnym, z nieokreślonym uśmiechem na ustach. Max Graub i Axel Roger mieli kartki białe, i twarze ich wyrażały chwilowe zadowolenie.

Pasquin zbliżył się także do Sergiusza. Zdawał się wyższy, a wzrok jego dumny panował nad zgromadzeniem niepodzielnie. Nawet Lotys zbudziła się nagle z apatyi i objęła go błyskawicą wzroku, w którym łączył się głęboki smutek z jakąś gorącą, bezbrzeżną tkliwością. Pasquin z uśmiechem podał kartkę Sergiuszowi.

Thord spojrzał na nią, potem tryumfalnie objął wzrokiem obecnych.

— Los Pasquin'owi Leroy oddał życie króla! — rzekł głośno i wyraźnie.

Szmer przebiegł zgromadzenie, szmer radości. Wszystkie spojrzenia nagle skierowały się na Pasquina, który stojąc nieco opodal, mierzył obecnych wzokiem jasnym i badawczym, jak gdyby chciał przeniknąć ich

dusze do głębi. Nagle zwrócił się do Thorda i Lotys:

— Służyłem wam uczciwie i nie bez pożytku—rzekł spokojnym, donośnym głosem;— dzisiaj los w moje ręce złożył wielkie przeznaczenie. Czy mogę powiedzieć słów kilka?

Sergiusz skinął twierdząco, ale jednocześnie pobladł i zadrżał, spojrzawszy na Lotys, która pod wpływem dziwnego wzruszenia pochyliła się naprzód z twarzą bladą i zmienioną, z ustami otwartemi, jakby z nich paść miało jakieś nieznane a potężne słowo, z oczyma łez pełnemi.

— Tak cierpi! — szepnął. — Lecz dlaczego cierpi? Czy żal jej życia, które ocaliła kosztem własnego zdrowia?

Leroy zaczął mówić:

— Towarzysze! Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem i uczestnikiem dnia prawdziwie „fatalnego,“ a ponieważ Bóg mi powierzył spełnienie najważniejszego wyroku, pragnąłbym, nim się rozstaniemy, przebiedz myślą stosunek nasz wzajemny i wspólnie wykonaną pracę. Od chwili, gdy poznałem wasze chęci i dążenia, gdy nazwaliśmy się nawzajem braćmi, służyłem wam, jak mogłem, wszystkiemi siłami. Wasze chęci, dążenia— stały się mojemi, bo choć mówię wam śmiało i otwarcie, że nie wszystkie są wykonalne

i możliwe do osiągnienia, mojem zdaniem, zawierają jednakże zdrowe, piękne ziarno, które w mniej idealnej może formie wzejść może kiedyś i przynieść nie jedną pożyteczną reformę w ustawach krajowych. Wszelkich obietnic dopełniłem wiernie: zachwiałem stanowisko Karola Perousse'a, zniszczyłem nieuczciwą, szkodliwą potęgę sprzedajnej prasy, będącej narzędziem w ręku nikczemnych spekulantów, walczyłem za was, pracowałem dla was. Dziś pragnąłbym usłyszeć z ust waszych wyraz uznania, wyraz potwierdzenia, że byłem waszym *szczerym przyjacielem!*

Jednozgodny szmer życzliwości i najgorętszego uznania był wzruszającą i wymowną odpowiedzią; każdy pragnął uścisnąć dłoń Pasquina, aż Sergiusz w imieniu wszystkich ujął obie jego ręce:

— Czy możesz wątpić o naszej miłości? czyż nie czujesz, jak gorąco cenimy twą przyjaźń, jak wdzięczne i braterskie otaczają cię tu serca? — mówił wzruszonym głesem. — Dałeś nam nowe życie, wlałeś w serca nową otuchę, nową wiarę i nowe siły! Czyż przypuszczasz, że wszyscy tego nie czujemy?

Leroy ściskał dłonie ze smutnym uśmiechem.

— Dziękuję wam! — rzekł wreszcie, podnosząc głos znowu. — Dziękuję za uznanie

i za przyjaźń! za zaufanie wasze! Za to, że uznaliście we mnie towarzysza! Dziś przeznaczenie nowy wkłada na mnie obowiązek i jestem mu za niego nieskończenie wdzięczny. Mam być zabójcą króla, — on moją ofiarą. Patrzcie, jak mi zazdroszczą tego przyjaciele! Max i Axel! Nie, bracia! nie ustąpię losu, sam spełnię jego wolę, choć dość spojrzeć na was, aby odczuć, jak zazdrościcie mi tej roli!

Trudno się było powstrzymać od śmiechu na widok min żałosnych Rogera i Grauba, siedzących nieruchomo z wyrazem skazańców, którym już odczytano wyrok śmierci.

Lecz powstającą wesołość stłumił znów głos Pasquina:

— A zatem, towarzysze, zapewniam was szczerze, iż jestem rad i wdzięczny przeznaczeniu, które pozwala mi ukarać króla, nie troszczącego się o dobro ludu, zajętego jedynie rozrywkami, obojętnego na nędzę, cierpienia i skargi. Tak, spełnię wasze życzenia i wolę, skoro jest takim człowiek, przeznaczony wolą samego Boga, aby wam był ojcem i obrońcą na ziemi. Spełnię wasz wyrok szybko — dodał, wyjmując rewolwer i podnosząc go w górę.—Król zginąć musi, bracia, taki jest wasz wyrok? Jesteście *pewni*, że śmierć jego będzie dobrodziejstwem dla kraju! Że na jego obronę nic wyrzec nie

można, że jego przymioty niegodne wspomnienia, a trudności, mogące stać na drodze najlepszym chęciom — nie istnieją! Jesteście *przekonani*, że uwolnienie kraju od tej osobistości sprowadzi wiek błogi nowych stosunków społecznych i reform, dających szczęście uciśnionej dziś ludzkości! Niech więc król ginie! Spełnię waszą wolę, tu, w oczach waszych, gdyż... jestem królem!

VIII.

Te śmiałe słowa, niby błyskawica, rozdarły ciemność; gdyby wybuch wulkanu wstrząsnął posadami gmachu, nie byłby na obecnych sprawił większego wrażenia, jak to niespodziewane wyznanie: „Jestem królem!“

Ukazały się wszystkim nagle wypisane ognistemi zgłoskami nad głową człowieka, którego przyzwyczaili się uważać za towarzysza, brata, prayjaciela, najgorliwszego pracownika i obrońcę!

Pasquin Leroy—królem! Czyż to podobieństwo? Dwie osoby w człowieku, który patrzy na nich dumnie i śmiało, z wyniosłem spojrzeniem i spokojną powagą bohatera. Czy to nie sen, złudzenie?

Sergiusz ocknął się pierwszy ze zdumienia i z rykiem lwa pochwycił olbrzymią prawicą ramię Pasquina.

— Jesteś królem? — zawołał. — Ty? Pasquin Leroy? Pasquin Leroy królem? Więc nas oszukałeś!? Więc...

— Ostrożnie i spokojnie! — rzekł monarcha zwolna, stanowczym ruchem usuwając dłoń Sergiusza, która gniotła mu ramię. Rewolwer jest nabity— nie przeciwko tobie, i byłoby nieszczęście, gdybyś spowodował wystrzał, może zabójczy dla kogokolwiek z obecnych.

Sergiusz cofnął się znowu, lecz w tej samej chwili złowrogi pomruk podniósł się dokoła; groźne okrzyki wybuchnęły z tłumu, który poruszył się, posunął naprzód, a podniecany trwogą, zaślepiony uczuciem nienawiści, wyciągnął mściwe ręce przeciw człowiekowi, mierzącemu odważnie, niewzruszenie wzburzone namiętnością ruchy i spojrzenia.

— Szpieg! Zdrajca! — rozległy się dzikie okrzyki. W sali zapanowała wrzawa nieskończona, ale w tej samej chwili jasna postać Lotys pochwyciła pistolet z ręki króla; strzał w powietrze na mgnienie oka powstrzymał każdego na miejscu, a jej namiętne słowa uderzyły ich gromem silniejszym.

— Precz! —zawołała z błyskawicą w oku —

Do mnie skierujcie wasze sztylety i noże! Niech w moje serce mierzą kule wasze! Po moim trupie droga do człowieka, który jest przedewszystkiem waszym towarzyszem, któremu przed godziną przysięgliście wierność! Opamiętajcie się, ocućcie, bracia! — albo spełnijcie zbrodnię nad zbrodniami, mordujcie się nawzajem! W obłędzie szaleństwa zabijajcie własnych przyjaciół i braci! Ja chcę umrzeć z nim razem!

Nigdy potęga Lotys nie biła jej z czoła, z jej oczu, słów i ruchu z taką siłą magnetyczną; zdawało się, iż włada nadprzyrodzoną mocą, która wstrzymuje wściekłość dzikiego zwierzęcia i panuje nad żywiołami. Tłum instynktownie cofnął się przed tą potęgą, ale jej słowa uderzały w serca, budziły z zaślepienia namiętności, jasną myśl i uczucie.

To prawda! Czyż ten człowiek od tylu miesięcy nie był ich towarzyszem, wiernym przyjacielem, obrońcą, opiekunem, bratem słabych, ojcem potrzebujących i cierpiących? Czyż go nie znali sami? Nie patrzali z blizka na czyny jego, odwagę, energię? Czyż go nie podziwiali? Nie uznali sami jego moralnej wyższości nad sobą? Oznajmił, że jest królem, na którego wydali wyrok śmierci, ale obok króla jest ich towarzyszem, którego bronić są obowiązani!

Wszystkie te myśli, niby błyskawice, krzyżowały się pod czaszką Sergiusza, wirowały, szalały, oślepiając się co chwila nawzajem, zalewając krwią oczy, a serce goryczą. Nagle spojrzał na Lotys, bladą, piękną i natchnioną, z wyrazem bezgranicznej miłości i męstwa, klęczącą u stóp — wroga czy brata? — monarchy!

I z piersi jego wydarł się krzyk dziki, krzyk zranionego śmiertelnie zwierzęcia:

— Boże, o Boże! Praca życia mego skruszona w jednej chwili!

Król objął go spojrzeniem dziwnem, przenikliwem. Pochylił się ku Lotys, podniósł ją łagodnie i odprowadził do krzesła, na które upadła wyczerpana, drżąca ze wzruszenia, wciąż jeszcze śledząc niespokojnym wzrokiem wzburzone i zmienione twarze swych przyjaciół.

Teraz monarcha z tym samym spokojem zwrócił się do Sergiusza i łagodnym ruchem położył rękę na jego ramieniu.

— Przyjacielu! — przemówił — czemu mi nie wierzysz? Byłem i jestem waszym przyjacielem! Czyż jeden wyraz mógł co zmienić między nami? Czyż mię nie znacie? Praca twojego życia nie jest dzisiaj skruszona: przeciwnie, ona dziś osiągnęła cel swych

dążeń! Zdobyłeś lud i króla dla swych celów — czegóż więcej pożądać możesz?

Lecz spojrzenie Sergiusza zostało posępne; gorzał w niem ogień tłumionej rozpaczy, upokorzonej dumy i ambicyi, zawiedzionych nadziei i rozczarowania. Wszakże on walczył z wrogiem, który go rozbraja podaniem ręki i słowem miłości! Więc walka była błędem? Więc z kim walczyć będzie? Więc jaka jego rola? Czy nie jest zbyteczny?

On czuł się dotąd niezbędnym i wielkim.

— Zaufaj mi! — odezwał się znowu monarcha. — Chciej uwierzyć, że jestem ten sam Pasquin, najlepszy, najwierniejszy wasz przyjaciel! Nic nie rozwiąże węzłów, które nas złączyły! Nie przyszedłem was zdradzać, ani prześladować; chcę wam pomagać i pragnę was bronić, jak pomagałem i broniłem zawsze, odkąd nazwaliście mię bratem! I czyż nie lepiej, że zamiast wrogami, jesteśmy przyjaciółmi? Wierzcie mi: życie moje więcej przyniesie korzyści, niż przyniosłaby wam śmierć z ręki waszej! Ale — jeśli sądzicie, że ta śmierć istotnie stanie się dobrodziejstwem dla was i dla kraju — patrzcie, jestem bezbronny, jestem w waszej mocy!

— Jesteś mężny! — zawołał Sergiusz z uwielbieniem. — Uchylam czoło przed twoją odwagą i... wierzę ci!

Król się uśmiechnął smutnie.

— Powiedz im to! — rzekł, wskazując tłum wzburzony, z którego jedni pragnęli się wymknąć, inni szukali oparcia, wyjaśnień u Żegoty, Zouche'a i wybitniejszych jednostek. Silny głos Thorda zapanował nad wrzawą w jednej chwili.

— Bracia! — zawołał z głębokiem wzruszeniem — uspokójcie się i uciszcie: nie stało się nic złego i nic nam nie grozi! *Nic nam nie grozi!* chciejcie to zrozumieć! Pasquin Leroy zawsze jest tym samym naszym przyjacielem i najlepszym towarzyszem; jego uczucia dla nas są zawsze życzliwe, bez względu na stanowisko, jakie zajmuje w społeczeństwie. Jest jednym z nas, jest z nami! On za nas, my za niego — stanowimy jedność. Wszak mówię prawdę, Pasquinie Leroy?

— Jestem tym, któremu dzisiaj, przed godziną, przysięgaliście przyjaźń i opiekę, jako wykonawcy waszej woli; jestem Pasquin Leroy, a obok tego jestem królem, któremu śmierć zaprzysięgliście. Oto macie mię w swojej mocy!

Spokój, odwaga, stanowczość monarchy, siła pamięci wreszcie, oczywistość faktów, zmieniły wrogie, groźne, nieufne uczucia w nagły wybuch zaufania i podziwu. Za-

wrzało w zgromadzeniu, i z chaosu głosów zabrzmiało nagle:

— Za króla! Za króla!

— Za króla! — powtórzono z zapałem bez granic. — Zadrżały ściany. Jakiś wybuch szczęścia rozsadzał piersi szałem uniesienia. Z królem! Za króla! — bo król jest ich przyjacielem i obrońcą!

Burza uczuć szalała w jakiemś rozpętaniu, i trzeba było czasu, aż się uspokoi. Król patrzał na nią z łagodnym uśmiechem. Lotys ze splecionemi nerwowo rękoma, z płonącą twarzą i błyszczącym wzrokiem siedziała nieruchoma, porwana wzruszeniem, walką uczuć, które ściskały jej serce, rwały myśli, szarpały na części jej duszę. Pamięć rozmowy z królem w jego pałacu stanęła przed nią nagle, wypisana ognistemi zgłoskami; ogarnęły ją gorące płomienie, nie miała siły myśleć, czuła tylko jedno: że on musi być ocalony!

Sergiusz cofnął się także z osłupiałym wzrokiem; i on nie przewidywał takiej rewolucyi! Nie mógł jej objąć dziś, ani zrozumieć i był człowiekiem, który usiłuje myśleć, lecz stracił wszelką władzę nad innymi i nad sobą.

— Z królem i za króla! — wykrzyknął Żegota, dając nakoniec ujście uwielbieniu

jakim do głębi duszy był przejęty dla Pasquina.—Za króla, towarzysza i przyjaciela naszego!

I zahuczały znowu okrzyki, oklaski, ale król podniósł rękę na znak, że chce mówić, i w mgnieniu oka nastąpiła cisza. Przez chwilę mierzył dziwnym, zamyślonym wzrokiem twarze tych ludzi, którzy w ciągu jednej godziny żądali jego śmierci i oddawali zań życie, byli jego wrogami i najwierniejszymi przyjaciółmi. Smutny uśmiech ukazał się na jego ustach. Spojrzał na Lotys marmurowo bladą i Sergiusza, cofniętego w cień posępny, niby złowroga groźba.

— Towarzysze! — przemówił wreszcie.— Dziękuję wam za ufność, która zwyciężyła wszelkie inne uprzedzenia i uczucia. Duszą i sercem jestem, jak byłem, z wami. Łącząc się z wami, miałem chęć uczciwą poznania waszych dążeń i szczerej pomocy, jeśli się zgodzą z mojem przekonaniem. Kiedy podpisywałem przysięgę krwią Lotys, krwią najczystszego na ziemi anioła, nie miałem w sercu zdrady! Przypominacie sobie, iż na zapytanie, kim jestem, — odpowiedziałem: niewolnikiem! I nie było to kłamstwo, gdyż wy wiedzieć nie możecie, jakim niewolnikiem formy, ceremonii jest na świecie każdy monarcha. Jak każde słowo jego, każdy wyraz

twarzy komentowany jest nieraz fałszywie, jak często musi być w sprzeczności z sobą dla tysiącą względów i celów. Więc zapragnąłem być tylko człowiekiem i jak człowiek zbliżyć się do ludzi i jako człowiek zdobyć ich szacunek, przyjaźń i zaufanie! I przyszedłem do ludzi z czystem sercem i jasną myślą.

— A nie dla siebie tylko się zbliżyłem — zaczął na nowo po chwili milczenia.—Czułem i rozumiałem od wstąpienia na tron, że w mojem imieniu dzieją się koło mnie rzeczy, z któremi chciałbym walczyć. Słyszałem skargi na ministrów, którzy powinni mieć zupełne moje zaufanie, dochodziły mię echa o sprzedajności prasy, o chciwości i spekulacyach urzędników, i szukałem drogi, aby poznać prawdę! Dowiedziałem się wreszcie, że na czele niezadowolonych występuje Sergiusz Thord, i od tej chwili postanowiłem zbliżyć się do niego. Stanąłem mu na drodze i zostałem waszym towarzyszem. Zostałem nim na zawsze! Odtąd iść będziemy razem, obok siebie, i wspólnemi siłami pracować dla wspólnego dobra!

Grzmot oklasków przerwał mu znowu, i długo huczał w sali ten wylew radości i najgorętszych uczuć. Uciszył się wreszcie, gdyż król stał, jakby chciał jeszcze coś mówić.

— Resztę wiecie — rzekł ciszej. — Zawdzięczam wam wiele: poznałem wiele rzeczy, zwyciężyłem, stałem się nawet sławny jako autor i dziennikarz. Pawle Zouche! czy nie masz żalu, że zostałem twoim rywalem? Czy jesteś tutaj, Pawle? — pytał żartobliwie.

Szum, połączony z wybuchami śmiechu, przebiegł wśród zgromadzenia, które się rozsunęło, ukazując Zouche'a, siedzącego na krześle w bezwładnej postawie. Poeta nie poruszył się przez cały wieczór, pogrążony w nawpół przytomnem odrętwieniu, ale wezwanie króla i śmiech zgromadzonych podnieciły zuchwały jego umysł, zapalając w nim iskrę świadomości.

— Słyszę, o królu! — odezwał się wreszcie. — Słowa twe, królu, każą słyszeć głuchym, a niemym rozwiązują usta! Więc odpowiadam: Zetnijcie mi głowę, bo ci nie przebaczyłem, że mi chciałeś ofiarować sto sztuk złota za mój poemat!

Wesoły wybuch śmiechu był najwymowniejszem świadectwem różnicy i swobody uczuć zgromadzonych w porównaniu z tą chwilą, gdy się zbliżali do urny, aby ciągnąć fatalne losy. Król śmiał się wraz z innymi; nawet surową twarz Thorda rozjaśnił blady uśmiech.

— Obliczymy się teraz, Pawle — odparł

monarcha wesoło; — a teraz najmiłościwiej przebaczam ci twoją zawziętość!

Nowy wybuch śmiechu przyniósł ulgę sercom i jeszcze bardziej rozjaśnił umysły.

Król odezwał się znowu:

— Pozostaje mi tylko wytłómaczyć wam sprawy ostatnie: Proponując Karola Perousse'a na stanowisko pierwszego ministra, miałem na celu wypróbować siłę waszych przekonań i napięcie pragnień ogółu. Próba wypadła dobrze. Lecz nie potrzebujecie się obawiać, aby ten człowiek objął kiedykolwiek ster rządu w mojem imieniu! Mam w ręku wszystkie dowody jego przestępstw i nikczemności i sam wystąpię jako jego oskarżyciel. W ten sposób wymierzona będzie sprawiedliwość!

Niepodobna opisać wybuchu oklasków, burzy okrzyków radości, tryumfu. Tupano i śpiewano.—Niech żyje król! — powtarzało się co chwila. — Wrażliwsi rzucali się sobie w objęcia; ciężar całego życia spadł im nagle z serca.

Sergiusz jedynie milczał, prawie nieprzytomnym wzrokiem patrząc na cud, którego jeszcze nie mógł pojąć. Nie mógł pojąć, że wola jednego człowieka uczyniła nagle, w przeciągu godziny, najwierniejszych poddanych z garści rewolucyonistów, wygłaszających

hasła nienawiści przeciw monarsze, któremu teraz z głębi serca przysięgali miłość i wierność. Czemże więc była cała jego droga? Czy błędną ścieżką, czy gościńcem prawdy? I co było w tem wszystkiem jego dziełem? I czy to nie złudzenie porwało ich dzisiaj? Czemuż nie może myśleć jasno, trzeźwo?

— Teraz chodzi jedynie — kończył monarcha—o zmiany, które z waszą pomocą postanowiłem wprowadzić. Z upadkiem obecnego gabinetu będziecie powołani do nowych wyborów, i z was wyjdą mężowie, którzy ze mną staną do pracy. Rozumiecie zadanie swoje—spełnijcież je, jak należy! Rozpatrzymy wspólnie podatki, zniesiemy podatek od chleba, a nadto na wynagrodzenie uszczerbku, jaki pod moją władzą wyrządzili krajowi niesumienni urzędnicy i wogóle na potrzeby narodowe, przez lat pięć zrzekam się połowy osobistych moich dochodów. Oto jest plan, do którego potrzebuję waszej pomocy. Czy mogę na was liczyć?

— Do śmierci! — zawołano jednogłośnie.

— A zatem, Sergiuszu, oznacz dzień zebrania!

Thord spojrzał nań zdumiony.

— Dzień zebrania? — powtórzył. — Po co? Jesteś królem i...

— A ty przedstawicielem ludu. Któż

cię zastąpić może na tem stanowisku? Czy chcesz odmówić mi swej pomocy?

Łagodny wyrzut króla spadł mu ciężarem na piersi, zabrakło mu oddechu, pociemniało w oczach, postąpił naprzód, wyciągając rękę, jak człowiek niewidomy. Król z otwartą dłonią zbliżył się do niego, i nagle dwie prawice spotkały się w silnym uścisku.

— Zwyciężyłeś! — szepnął Sergiusz. — Zwyciężyłeś! Pokonałeś mię szlachetnością. Uchylam czoło przed człowiekiem, który zdobył mój szacunek, wdzięczność i przyjaźń! Więcej powiedzieć nie mogę— to wiele! Służę ci wiernie, póki takim pozostaniesz.

— Więcej żądać nie mogę! — odparł król serdecznie. — Cel wspólny połączyć nas musiał, nie możemy być rywalami!

Mimowolnie rzucił spojrzenie na Lotys, która nagle pobladła i zamknęła oczy, takim płomieniem strzeliły źrenice, w których jaśniała dotąd tylko spokojna odwaga.

— I jeszcze prośba do was! — zwrócił się do zgromadzonych: — Ułożyliście dzisiaj na mityngu, iż przyjdziecie do króla żądać sprawiedliwości na Perousse'a. Byłoby to zbyteczne, ponieważ król jest z wami. Natomiast proponuję wam, abyście po tę sprawiedliwość udali się do parlamentu, dokąd sam

udam się z wami. Czy zgadzacie się na tę zmianę?

Kiedy wołali jednogłośnie: „Zgoda!“—czuł, patrząc na ich twarze rozognione, że włada tymi ludźmi niepodzielnie, że ma w nich wierne narzędzie swej woli.

— Należy wam się także słówko wytłómaczenia z powodu moich wiernych przyjaciół i towarzyszów, którzy nie z własnej woli weszli do waszego grona, ale przez posłuszeństwo i życzliwość dla mnie. Są to w rzeczywistości: Henryk von Glauben, znany wam zapewne z opinii znakomity lekarz, i sir Roger de Launay. Teraz znamy się wszyscy, lecz, pomimo zmienionych imion, jesteśmy, czem byliśmy: szczerymi przyjaciółmi.

— I jeszcze jedno, bracia, towarzysze! Ponieważ sam zostałem przez was uwolniony od obowiązku popełnienia zbrodni, wstawiam się za wszystkimi, którzy wyciągnęli los podobny. Precz z morderstwem i śmiercią! Inną karę dla winnych wskaże sprawiedliwość. Zouche np. ma zabić Karola Perousse'a! Przyznajcie, że to nie sprawa poety, a winowajcy nie śmierć się należy, lecz hańba i upokorzenie!

Głośny szmer zadowolenia był wymowną odpowiedzią, a Zouche powstał z krzesła z rozjaśnioną twarzą.

— Wasza Królewska Mość ma świętą słuszność! — zawołał z przekonaniem. — Z rozkoszą składam u stóp Waszej Królewskiej Mości życie byłego pretendenta na posadę pierwszego ministra i przyznaję, iż to życzenie przewyższa rozumem wszystko, co co tu słyszałem dzisiaj!

— Niech żyje król! — rozległy się znowu wołania.

— Król z ludem! Naród z królem!

— Pragnę jeszcze od ciebie, pani, usłyszeć słowo przyjaźni — odezwał się monarcha, zwracając ku Lotys. — Czy potępiasz króla? Zawdzięczam ci więcej, niż życie, więc bądź-że od tej chwili jego panią, bądź moim aniołem stróżem na tej ziemi, a będę usiłował iść zawsze za twojem natchnieniem!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się teraz na Lotys, która powstała bledsza od swej białej szaty, lecz z oczyma jaśniejącemi jak słońce. Na sekundę te oczy spotkały wzrok króla, i w tem spojrzeniu padła błyskawica, która na wieki rozdziera ciemności i łączy dwie istoty w jedną całość. Siłą woli Lotys odwróciła głowę i spojrzała ku towarzyszom.

— Z głębi serca dziękuję ci, królu, za wszystko, co uczyniłeś dla nas—rzekła dźwięcznym głosem. — Jako króla, sądziłam cię niesprawiedliwie, lecz jako przyjaciela—oceniałam

zawsze! A dziś, — dodała, nie tłumiąc łez w głosie — dziś ufamy ci jeszcze silniej i goręcej, czcimy w tobie człowieka-bohatera! Dziś łączymy się silniej, trwalszymi węzłami, bo łączymy się z tobą, królem naszym, świadomie, dobrowolnie i z całą ufnością — ty za nas, my za ciebie!

— Niech żyje Lotys! Za króla! Za Lotys! Do śmierci z nimi! przy nich! — rozległy się znowu okrzyki, którym nie było końca, gdyż serca i umysły zgromadzonych, uwolnione od długoletniego ciężaru tajemnicy, niebezpieczeństwa i walki, musiały znaleźć wyraz swobody i szczęścia.

— Zdaje mi się jednakże, — przemówił Zouche niespodziewanie — że wszyscy zapominamy o jednem. Sam król, oby żył wiecznie, nie zwrócił na to uwagi! Thord, Lotys— z przeproszeniem—potracili głowy, i ja, nędzny poeta, muszę wam przedstawić ważne odkrycie, które jest nieuniknionym rezultatem dzisiejszego posiedzenia.

Smiech wesoły był odpowiedzią.

— Mów, mów! — wołano zewsząd. — Chcemy wiedzieć!

— Słuchamy! — nalegał wesoło Żegota.

— Przemawiaj, muzo nasza! — rzekł król żartobliwie. — Poetyczne odkrycie za-

ciekawiło nas bardzo. Czekamy niecierpliwie i gotowiśmy przyjąć ją z ochotą.

— To nie od was zależy — rzekł poeta. — Stało się i przyjąć je musicie! Zginęliśmy! Rozumiecie, że zginęliśmy? Byliśmy opozycyą i przeszliśmy wszyscy do nieprzyjacielskiego obozu. Więc nas niema. Nie istniejemy!

— Przeciwnie! — zawołał monarcha. — Zaczniecie żyć dopiero, gdy z opozycyi staniecie się czołem narodu, kierownikami państwa i podporą tronu, symbolu jego potęgi i szczęścia!

Zouche nie miał odpowiedzi. Jasna atmosfera zachęcała każdego do wylewu uczuć, do wyrażania śmiało swoich myśli, wrzawa wzrastała ciągle, gdy usłyszano wreszcie silne stukanie do drzwi.

Był to Sholto, ojciec Pequity i właściciel mieszkania. Zdumiony wieścią, którą powtórzono mu natychmiast, i przejęty wdzięcznością dla monarchy za wszystko, co uczynił dla Pequity, chciał paść królowi do nóg i ze łzami w oczach całował jego ręce.

Król podniósł go łagodnie.

— Jesteśmy tu towarzyszami i przyjaciółmi — rzekł serdecznie; — chcę pośród was być wolny od ceremonii, które krępują moje życie. Wytłómacz mię przed Pequitą,

że umyślnie nie chciałem patrzeć na nią na przedstawieniu, ażeby nie rywalizować z Pasquin'em. Teraz pragnę, ażeby w mej osobie kochała nas obu zarówno!

Sholto nie mógł tak prędko przyjść do siebie ze zdumienia. Więc to był król! Ten człowiek o rozumnej twarzy, myślących oczach i smutnym uśmiechu! To był król, którego nienawidził z zasady, nie znając nigdy i nie rozumiejąc! To był król, który zwyciężył ich wszystkich, jedynie pozwalając im się poznać!

Ożywiona rozmowa toczyła się wkoło; von Glauben i de Launay dowodzili czegoś z zapałem, inni cisnęli się w stronę monarchy, który dla każdego miał uprzejme słowo, słuchał życzeń, zarzutów, próśb osobistych, wyznań i zastrzeżeń. Odpowiadał, tłómaczył, pocieszał i przekonywał, a każdy po rozmowie z nim odchodził z ulgą, z nową radością w sercu.

— I to jest król, z którym walczyliśmy, jak don Kichoty! — odezwał się Żegota, potrząsając głową.

— Walczyliśmy nie z królem, ale z nadużyciem władzy przez ludzi nieuczciwych i złej woli!—poprawił Valdor. — Z tem walczyć nie przestaniemy. Wiemy tylko, że król

jest z nami, gdy dotychczas wyobrażaliśmy sobie, że jest naszym nieprzyjacielem. Jeden więcej dowód, jak omylne stworzenie jest człowiek.

Doktor von Glauben zbliżył się do sir Rogera, który badawczo obserwował Lotys, nie spuszczając z niej wzroku.

— Czy myślisz, że i ten dramat znalazł dzisiaj rozwiązanie? — spytał ze znaczącem spojrzeniem.

— Nie — odparł Roger krótko. — To niebezpieczeństwo jeszcze wcale nie zażegnane.

Wzajemne zaufanie, życzliwość i jedność malowały się teraz jasno w każdem słowie, w spojrzeniach, w potrząsaniu rąk wzajemnem. Gdy nadszedł czas rozejścia, ktoś zaproponował, aby dla króla sprowadzono powóz, lecz monarcha roześmiał się głośno.

— Otóż to wasza równość! — rzekł wesoło. — Sami przeczycie sobie. Czyż tyle razy nie wracałem pieszo, rad z ruchu i swobody? Czemuż mi dziś narzucić chcecie wyróżnienie, którego nie potrzebuję zupełnie? Przechadzka w noc pogodną po tem wszystkiem, cośmy przeżyli tutaj, jest tylko odpoczynkiem i rozkoszą.

— Musimy bronić się!—przemówił Valdor. — Uznajemy w zasadzie równość, ale

jesteśmy zdolni czuć szacunek dla wodzów i przewodników.

— Thord był uznanym waszym przewodnikiem, a przecież nie okazywaliście mu honorów, którymi próbujecie mię otoczyć! — śmiał się monarcha. — Dziećmi jesteśmy, dziećmi, niewolnikami formy! Głosimy wolność, równość i braterstwo, a nie umiemy się obejść bez wodza, któremu ulegać musimy i potrzebujemy. Więc co jest urojeniem, a co prawdą?

Zaczęto się rozchodzić. Było już dawno po północy, i Sholto zgasił światło na schodach i w sieni, ale wszyscy przywykli tu schodzić w ciemności, i nikogo nie przejmowało to obawą.

— Bądź zdrów, Sergiuszu! — rzekł król pierwszy, serdecznie ściskając rękę Thorda.— Przyjdź do mnie do pałacu, a ułożymy wspólnie plan przyszłego mityngu.

Thord ujął dłoń podaną i mimowolnym ruchem pochylił się, jak gdyby chciał złożyć na niej pocałunek. Zapanował jednakże wolą nad instynktem, tylko spojrzenie jego mówiło wyraźnie, iż znalazł nad sobą władcę.

Rozchodzili się wszyscy, żegnając króla, Sergiusza i Lotys, która zarzuciła już swój czarny płaszczyk.

— Sprowadzę panią po tych ciemnych schodach — odezwał się monarcha z uprzejmym uśmiechem. — Nieraz dostępowałem już tego zaszczytu i sądzę, że nie straciłem dzisiaj tego prawa? Chciałeś czego, Zouche, jeszcze?

— Chciałem waszej Królewskiej Mości podziękować... za sławę! — rzekł powoli — Za późno przyszła... teraz jej nie potrzebuję! Przed trzema laty ukochana moja byłaby ze mnie dumna i szczęśliwa! Byłaby żyła — ja byłbym czem innem! Dzisiaj...

Król milczał. W oczach Zouche'a był ponury ogień, który nadawał słowom wielką siłę i powagę.

— Hymn wolności napisałem na twoją koronacyę... ludzie znają go dzisiaj—jedno słowo twoje... Lecz go nie przeczytałeś! Dziś ona nie wróci! Wszystko stracone dla mnie! Za późno, za późno!

Odwrócił się nagle i wyszedł bez słowa.

Monarcha stał wzruszony.

— Biedny Zouche!—szepnął wreszcie.— Nie oceniłem jego talentu dość wcześnie i ma żal do mnie za życie złamane. Ale któż wolny jest od takich błędów? Pomóż mi, Boże, abym ich nie popełniał więcej!

Sala opustoszała. Król ze swymi przyjaciółmi i Lotys byli ostatni. Lotys dziś nie pozwoliła odprowadzić się nikomu: chciała i potrzebowała być sama.

Thord usiłował jeszcze raz nalegać.

— Chcę być sama! — odparła z dziwną stanowczością. — Czyż tego nie rozumiesz? Potrzebuję myśleć, potrzebuję pojąć to wszystko! Nie mogę z tobą rozmawiać, Sergiuszu! Zostaw mi czas do jutra!

Cofnął się, dotknięty słowami i tonem. Zrozumiał, że nalegać byłoby daremnie. Stanął u szczytu schodów i patrzał przez chwilę na znikające w ciemności postacie: profesora von Glauben, Rogera, króla, w końcu Lotys.

— Dobranoc! — rzekł raz jeszcze, kiedy zniknęli mu wszyscy.

— Dobranoc! — powtórzyła Lotys drżącym głosem.

Powrócił do pustego już pokoju i na progu stanął z osłupiałym wzrokiem.

— Więc wszystko już skończone?

Spojrzał na nagie ściany, puste krzesła, zgaszone światła, bezużyteczną urnę, porzucone kartki—wszystko to była przeszłość! Tak, praca jego życia była stracona! Gdzież jest? Czem on jest dzisiaj? Gdzież ta władza i potęga, której pragnął, aby ją złożyć całą u stóp Lotys? Gdzie władza jego, potęga, znaczenie?

Bibl. Prow. Justyn Straj
Nr

Wczoraj jeszcze był panem, ale dziś jest sługą! Sługą monarchy, z którym walczył tak wytrwale! Zdobyć może dziś wszystko, co jest wielkiem, dobrem, lecz tylko przez króla! z ręki króla! Tylko z ręki króla! On, rewolucyonista, wódz opozycyi! Z rąk króla, przez króla, jako jego narzędzie, wykonawc woli, on, Sergiusz Thord!

Runęła wielkość i marzenia—runęły bezpowrotnie! Nie będzie już pierwszym! Chcąc służyć świętej sprawie, musi być sługą królewskim. On, Sergiusz Thord? A Lotys?

Po schodach wśród ciemności schodzili ostrożnie von Glauben i de Launay. Sholto otworzył bramę i stał przy niej, oczekując na wychodzących. Nagle Lotys odczuła, że ktoś stanął przed nią, że błyskawica wzroku rozjaśniła ciemność i usłyszała imię swoje, wyszeptane miękkiem, gorącem tchnieniem:

— Lotys!

Zadrżała, uchwyciła się mocniej poręczy, ale kolana ugięły się pod nią, a nogi wypowiedziały posłuszeństwo. Nagle otoczyły ją silne ramiona, objęły mocnem, żelaznem objęciem, na czole, włosach, oczach uczuła dotknięcie ust gorących, namiętnych.

— Kochasz mię, Lotys! — szeptał jej głos cichy — kochasz mię! Nie przecz, nie

możesz zaprzeczyć! Sama mi powiedziałaś! Kochasz! Droga, słodka, miłości moja! Kochasz!

W chwilę potem król wyszedł przez bramę spokojnie, żegnając Sholta zwykłem: „Dobrej nocy!“ i uchylając w stronę Lotys kapelusza.

— Dobranoc pani!

Przyśpieszył kroku i zrównał się z towarzyszami, którzy widocznie czekali na niego.

Lotys nieruchoma stała ciągle w otwartej bramie. Dreszcz wstrząsał nią od stóp do głowy, gdy patrzała na trzy postacie, znikające w mroku i dali. Nagle nerwowym ruchem wyciągnęła obie ręce, wydała słaby okrzyk i, szepcząc coś niezrozumiale, padła zemdlona u nóg Sholta.

IX.

Wieść o zaszłych wypadkach dziwnem echem rozeszła się wśród publiczności. Szeptano rzeczy wielkie, tajemnicze, nie umiejąc sobie zdać sprawy, co w nich było rzeczywistością, co powieścią. Opowiadano, że król wykrył wszystkie nadużycia Perousse'a, a co dziwniejsza, że wystąpił przeciw niemu osobiście w szeregu artykułów, podpisanych

imieniem Pasquina Leroy. Czy było to możliwe i prawdopodobne?

Wśród tych dociekań nowe uderzenie fali, że król przemówi w parlamencie osobiście w sprawach niezmiernej wagi, dotyczących bezpieczeństwa kraju.

To wzburzyło wszystkie umysły. Zaczęły się dyskusye zasadnicze: czy król osobiście ma prawo przemawiać i zwracać się do członków parlamentu? czy krok podobny byłby zgodny z konstytucyą? Jakie następstwa mogłoby pociągnąć naruszenie praw kardynalnych przez monarchę?

Lecz inni dowodzili, że nie istnieje prawo, zabraniające królowi przemawiać, jeśli wymaga tego ważność sprawy.

Niemałe też wrażenie sprawiła wiadomość, że margrabia de Lutera opuścił kraj i wyjechał za granicę. Dzienniki podawały za przyczynę zrujnowane zdrowie dygnitarza, ale publiczność potrząsała głową i z podnieconą coraz bardziej ciekawością zadawała sobie pytanie: kto obejmie tak wysokie i trudne stanowisko, wobec nagromadzonych niebezpieczeństw i trudności?

Karol Perousse bacznie i spokojnie śledził każdy ruch dokoła siebie, mierzył walczące strony zimnem okiem i, nie zrzekając

się jeszcze nadziei, był jednak przygotowany na wszystko.

Dawid Jost dotarł nakoniec do niego i był dopuszczony przed oblicze niewzruszonego męża.

— To był król! — szepnął, kiedy znaleźli się sami, ocierając spocone czoło.—Król we własnej osobie z sygnetem ministra, tak przebrany, zmieniony, że rodzony ojciec nie byłby poznał syna! Król... król... a ja mu wszystko powiedziałem!

— Głupio zrobiłeś! — odparł Perousse spokojnie. — Za głupstwo płacić trzeba.

— Płacić! — powtórzył Jost żałosnym głosem. — Ja mam jeszcze potęgę, której mi nikt nie odbierze, — mam pióro w ręku!

— Masz tylko pieniądz, którym za nie płacisz. Towaru zbraknąć może każdej chwili — zauważył sekretarz stanu.

— Przeciwko tobie jeszcze go dostanę!— krzyknął król prasy z nieukrywaną wściekłością. — Widzę teraz, że choćby nasze plany się udały, byłbyś mię zepchnął w przepaść, jak rzecz niepotrzebną!

— Bardzo się dziwię, że dopiero teraz przyszedłeś do tak prostego przekonania. Jesteś jeszcze bardzo naiwny, panie Jost, bardzo naiwny! Po co psuć sobie humor? Tutaj skończyłeś karyerę—jedź do Londynu. Kupisz

nowe pismo, rzucisz kilka tysięcy funtów na filantropię i będziesz wielkim człowiekiem nanowo, póki się nie zasypiesz.

— Zabiję cię! — syknął Dawid przez zaciśnięte zęby.

— Po co? Nie zrobisz tego! Boisz się i ze strachu pleciesz nowe głupstwa. Nie masz odwagi słyszeć oskarżenia króla? Ja na nie czekam i odpowiem.

Jost spojrzał ze zdumieniem.

— Król ma wszystkie dowody naszych spekulacyi! — szepnął. — *Dowody!* Dostarczył mu ich jakiś pomocnik bankiera. Dawid Jost wie coś o tem! Dostarczył mu wszystkich! Kontrakty, kupna, sprzedaż, zastrzeżenia!

Perousse kiwał głową ironicznie.

— Aj! — Dawid machnął ręką, trzasnął drzwiami i zbiegł ze schodów, trzęsąc się z oburzenia na człowieka, którego uważał dotychczas zupełnie poważnie za solidnego, pewnego wspólnika. A gdzie tu współka teraz?

Perousse nie zaprzątał nim swej myśli ani minuty dłużej. *Myślał o sobie:* na zapowiedziane oskarżenie króla przygotował świetną odpowiedź. W proch upadną nieprzyjaciele przed tą siłą!

— A gdyby... gdyby...

Gdyby upadł, uda się do Stanów Zjednoczonych. Tam może jeszcze zostać prezydentem. Nie zamknie tu karyery, odwróci tylko kartę.

W ciągu tego tygodnia w pałacu królewskim niezwykle jasna panowała atmosfera: król i królowa ukazywali się codzień publicznie, witani radosnymi okrzykami, które świadczyły, iż dawne niezadowolenie minęło bezpowrotnie. Teatry wieczorami były przepełnione, król ukazał się znowu na operze i zaszczycił Pequitę wyłączną uwagą. Drobne nóżki dziewczęcia zdawały się fruwać w powietrzu, śmiały się usta jak kwiat granatowy, błyszczały czarne oczy jak dyamenty. Dla niej król był Pasquinem, którego kochała całą prostotą dziecięcego serca, nie rozumiejącego haseł politycznych.

Dzień wielkiego mityngu nadszedł nakoniec szczęśliwie. Na placu katedralnym zebrały się tłumy, zapełniły sąsiednie ulice i domy, oczekując na przewodników. Sergiusz Thord stanął wreszcie na pomniku, wzniesionym dla jakiegoś bohatera, i był powitany okrzykami. Lecz w tejże prawie chwili obok niego ukazała się inna postać, na której widok wśród tłumu zaległo uroczyste, pełne podziwu milczenie.

— Niech żyje król! — zawołał głośno ktoś z najbliższych.

— Pasquin Leroy? — szepnął ktoś nieśmiało.

— Król! Pasquin Leroy! — rozległy się krzyki. — Tysiące oczu zwróciły się w stronę pomnika, gdy Sergiusz odsłonił głowę i, podnosząc w górę kapelusz, zawołał donośnym głosem:

— Król z nami! Niech żyje król! Oto pośród nas stoi, jak ojciec wśród dzieci. Idzie z nami oskarżać w imię sprawiedliwości! Król z narodem, naród z królem!—czyż może być większa potęga?

Przez chwilę tłum stał niemy w podziwieniu, jakie wzbudziły słowa nieoczekiwane; nagle zagrzmiały okrzyki radości, które wstrząsnęły powietrze, jak burza. Z tłumu buchnęło, jak tchnienie wulkanu, zadrżały mury, ciemna fala ludu zakołysała się, jak fale morskie, i tylko dwie postacie na pomniku pozostały na pozór niewzruszone.

— Miłość ludu jest potęgą, po którą sięgnąć warto! — odezwał się wreszcie monarcha.

— Tak! — szepnął Thord z odcieniem bólu i zazdrości.

— W pochód, Sergiuszu! Czas! — rzekł król nakoniec.

Thord skinął. Na ten rozkaz niemy, lecz wyraźny, tłum w największym porządku rozpadać się zaczął na oddzielne gromady pod przywództwem wybranych ludzi. Jednocześnie z bocznej ulicy wyprowadzono pięknego wierzchowca, którego dosiadł natychmiast monarcha i pierwszy ruszył naprzód we wskazanym kierunku, witany okrzykami, oklaskami, otoczony tysiącznym tłumem. Nigdy, w najuroczystszych nawet chwilach życia, król nie doznawał podobnych objawów entuzyazmu i prawie ubóstwienia. Orszak wybranych stanowił jego straż przyboczną, czuwającą nad każdym ruchem jego konia, gotową własnoręcznie usunąć mu z drogi każdy zbyteczny kamień.

Stolica podziwiała ten pochód niezwykły, który posuwał się zwolna, spokojnie, z poczuciem swej godności i powagi pod przewodnictwem króla. Mijali zwolna szerokie ulice i wkrótce zatrzymali się przed Parlamentem, gdzie król miał osobiście oskarżać Karola Perousse'a.

Tłum wydawał znów głośne, radosne okrzyki na cześć swojego króla i obrońcy, który zsiadł z konia i poważnym krokiem zbliżał do podwojów po szerokich schodach. Tysiące oczu śledziły ciekawie każdy ruch jego, lecz dwie pary oczu wyróżniały się wyrazem

spojrzenia: przyciśnięta do muru wspaniałego gmachu, stała szczupła kobieta w ciemnej, skromnej szacie, osłoniona czarną woalką, a z okna królewskiego pałacu wychyliła się wiecznie piękna, w ogniach dyamentów jaśniejąca postać królowej.

— Król! król! Niech żyje król! — rozległy się zewsząd okrzyki.

I może tylko jedno serce wśród tysięcy proroczym darem w tej chwili tryumfu przeczuwało grożące widmo. Z jednych ust tylko popłynęły ciche, pełne łez słowa:

— Boże! czemuż jest królem!

* * *

Szeroko i daleko rozległo się w kraju echo mowy królewskiej w parlamencie, oskarżającej Karola Perousse'a o spekulacyę funduszami publicznymi i nadużycia finansowe. Dokumenty, stwierdzające oskarżenie, przedstawione były i złożone ludziom, obowiązanym do zbadania sprawy przez urząd i stanowisko. Był to piorun, który wstrząsnął posadami izby, gdyż cios odczuła większość, wplątana w niegodne kombinacye. Skoro na zakończenie król z całym spokojem zwrócił się do Perousse'a z zapytaniem: co może odpowie-

dzieć na zarzuty?— w sali zapanowało głębokie milczenie. Wszystkie oczy zwróciły się ku ministrowi, który przez chwilę stał niemy, zdumiony, mimo całej trzeźwości niezdolny na razie ogarnąć jasną myślą położenia.

W tem milczącem oczekiwaniu padł nakoniec wyraz jedyny, który świadczył o potędze oskarżenia.

— Nic! — odparł oskarżony z szarą twarzą i zbielałemi ustami.

Była to gabinetowa katastrofa. Do steru władzy powołać musiano nowych ludzi i nowe siły. Uprzedzając poważne zmiany, jakie pociągnąć to mogło, król oznajmił publicznie o małżeństwie następcy tronu, dodając, iż wobec tego książę Humbert zrzeka się praw dziedzicznych na korzyść brata młodszego, Ruperta.

Zdumienia dopełniła wieść, iż król składa połowę osobistych dochodów na rzecz skarbu, zrujnowanego przez nadużycia ministrów.

Był to dzień, który zapisał się jasno, wyraźnemi głoskami w pamięci współczesnych, zapisał się w dziejach faktem wielkiej doniosłości, którego czas niezdolny jest zatrzeć i zmazać.

Karol Perousse opuścił salę parlamentu bocznem wyjściem, nie śmiejąc narażać się na nieprzewidziane następstwa. Kiedy w czapce,

głęboko nasuniętej na oczy, niższy, niż przed godziną, przesuwał się cicho wzdłuż milczącego muru, spotkał go generał Bernhoff i osobiście odprowadził do najętego powozu, który, okrążając miasto, mógł bezpiecznie uniknąć spotkania z tłumem.

— Sądzę, iż wybaczyłeś mi pan opieszałość, z jaką spełniłem twoje polecenie względem Pasquina Leroy — rzekł grzecznie. — Spełniłem, jak pan widzisz, obowiązek.

Perousse milczał. Nie marnował czasu, i porzucając straconą pozycyę, obliczał już, co może uratować. Nie ulegało kwestyi, że jego majątek ulegnie konfiskacie na rzecz skarbu, ale nie był tak naiwny, aby narażać wszystko na podobną katastrofę.

W papierach, spekulacyach, bankach zagranicznych zabezpieczone miał sumy tak znaczne i tak wybornie osłonione, że całkowitego rozbicia lękać się nie potrzebował. A w Ameryce pole szerokie i nowe dla ludzi pomysłowych, z żelazną energią. Tam dopłynie jeszcze do portu, od którego tu był odrzucony.

W ciągu dni kilku król stał się bożyszczem narodu, bohaterem, któremu kraj w najwyższym hołdzie niósł miłość i bezgraniczne zaufanie. Każdy projekt reformy, podany przez niego, przyjmowano z zapałem

i najlepszą wiarą, każdy był gotów służyć mu i spełniać wszelkie jego chęci i dążenia.

Najwymowniejszym dowodem tych uczuć była sprawa księcia Humberta. Zgodnie z wypowiedzianym publicznie zamiarem, król ogłosił manifest o małżeństwie syna z Gloryą Ronsard, mieszkanką Wyspy, zaznaczając, iż książę obstaje przy prawomocności tego związku i zrzeka się następstwa tronu, jeśli wolą całego narodu nie będzie powołany do objęcia władzy wraz z wybraną przez siebie żoną. Skutkiem tego nastąpiło powszechne głosowanie, którego rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania, a przedewszystkiem samego monarchę wprawił w najwyższy podziw. Bo mógł liczyć, że sympatya mas w tej sprawie stanie po stronie księcia, ale nie przewidywał entuzyazmu t. zw. towarzystwa i wogóle inteligencyi. Tymczasem prawie jednozgodnie stolica i prowincye oświaczyły się za wezwaniem księcia Humberta z małżonką i przywróceniem mu prawa dziedziczenia tronu.

Romantyczna historya stała się na chwilę osią powszechnej ciekawości; usiłowano rozedrzeć zasłonę, ukrywającą dotychczas tajemniczą bohaterkę dramatu, przypominano i wyszukiwano szczegóły i okoliczności, które mogły coś mówić o niej, i z najwyższą niecierpliwością oczekiwano powrotu młodej pary.

Dla Sergiusza niemałą było niespodzianką, gdy się dowiedział, że ubogi majtek, mąż przybranej córki Ronsarda, był księciem następcą tronu, lecz wspomniawszy Pasquina Leroy, przyszedł do przekonania, że niczemu na świecie dziwić się nie można.

Tym sposobem jeszcze przed ukończeniem głosowania, powszechnem żądaniem było wezwanie księcia do powrotu, a profesor von Glauben tryumfował.

— Powinieneś nakoniec być zadowolony — rzekł raz do sir Rogera. — Ciekawość przestanie ci wreszcie dokuczać i przekonasz się dowodnie, że ów „słoik z konfiturami“ wart był trochy kłopotu, a nawet przykrości. Osłodzi on dziś może niejedną niedolę.

— Przedewszystkiem jestem zdziwiony,— odrzekł de Launay szczerze — gdyż nie przypuszczałem, aby w czasach nowożytnych byli jeszcze na świecie bohaterowie miłości i podobne sielanki, a tembardziej nie posądzałem ogółu o tak żywe dla nich współczucie.

— Ogół kieruje się zawsze uczuciem — odrzekł doktor stanowczo. — Rola rządu—to utrzymanie tych uczuć w mierze i porządku, nadanie im kierunku właściwego. Rozumni ministrowie wiedzą doskonale, iż nie z logiką masy liczyć się muszą przedewszystkiem, z z uczuciem i wrażliwością. Ogół logiki

nie ma. On ci odmówi podatku na armię, lecz na widok sztandaru gotów się rzucić na wroga bez broni. Bo sztandar — to uczucie, armia—to logika. Król się odwołał do uczuć ogółu, i zwycięstwo było z góry zapewnione, choć oprócz mnie, nikt może tego nie przewidywał. A dla mnie naukowo jest rzeczą wielkiej doniosłości, że Glorya będzie matką królów. To jest wielka wygrana, której nikt nie ocenia i nawet nie rozumie!

Roger de Launay milczał zamyślony.

— I to ci przepowiadam, — głosił profesor w natchnieniu — że książę Humbert, dzięki Gloryi, kiedyś stanie się bożyszczem narodu.

— Nie zaćmi ojca — zauważył de Launay z uśmiechem.

Von Glauben spojrzał nagle na Rogera, jakby się ocknął z marzeń.

— To być może! — rzekł ciszej. — Tak, tak, po tem wszystkiem, to już byłoby trudno. Trzeba przyznać, że odegrał wielką rolę i wielkie odniósł zwycięstwo. Mężnym Bóg dopomaga!

— Zapewne... — szepnął sir Roger jak gdyby do siebie, — jednak... lękam się czasem jeszcze jednego człowieka...

— Sergiusza? Prawdę mówiąc, i ja także. Ale czuwam nad nim, czuwam nieustannie! Najgorsza, że zazdrosny jest o Lotys, jak tygrys, i gdyby tylko przypuszczał...

— Tst! Nie mówmy o tem! I ja czuwam także!

— Tem lepiej. Chociaż dzisiaj Thord jest zbyt zajęty wspinaniem się w górę, aby miał czas uważać, co się dzieje z boku. Kiedy stanie u szczytu, wtedy dopiero może objąć wszystko jednem spojrzeniem.

— U szczytu stanie prędko. Jego wybór na przedstawiciela stolicy nie ulega wątpliwości. Niema nawet przeciwkandydata.

— Będzie obrany jednogłośnie — potwierdził spokojnie von Glauben.—Zdobędzie władzę, o którą tak walczył, zdobędzie ją. Lecz razem z władzą staną przed nim jej nieodłączni towarzysze: trudności, zawód, gorycz i odpowiedzialność. Tego on jeszcze nie zna. Władza jest ciężkim, niebezpiecznym darem, gdy ten, kto ją posiada, nie ma trzeźwości chłodnej i logicznej myśli. A Sergiusz Thord jej nie ma. To człowiek popędu, człowiek dziki! Geniusz bez cywilizacyi. Taki rządzić nie umie, a nim rządzić niezmiernie trudno!

— Zdaje się, że Lotys posiada tę sztukę.

— To zależy! — westchnął profesor. —

Kobiety są dyplomatkami genialnemi, dopóki się nie zakochają. Miłość robi z nich tak samo waryatów, jak z mężczyzn.

Sir Roger się uśmiechnął i zmienił przedmiot rozmowy.

W kilka dni potem jedna z przepowiedni spełniła się całkowicie: Sergiusz Thord jednozgodnie obrany był przedstawicielem stolicy, a wieczorem dnia tego tłum radosny otoczył jego mieszkanie, domagając się głośno widoku swego posła. Sergiusz musiał przemówić, i spełnił ten obowiązek, lecz po raz pierwszy w życiu spełnił go z pewną trudnością, a mowa jego była dziwnie chłodna i wstrzemięźliwa. Czuł, że ogarnia go wielkie znużenie moralne: ten tryumfalny wybór nie dał mu poczucia tryumfu. Jak wielu ludzi, którzy walczą długo dla zdobycia jakiegoś celu, doznał wrażenia sytości i zaspokojenia, w połączeniu z niemocą i ociężałością. Władza, potęga chwilowa — to nie tak wielkie rzeczy, jak się z daleka wydają! Sięgał, wdzierał się, walczył — i to właśnie było szczęście. To dawało mu siły i zapał. Teraz ma wszystko i nie widzi celu dalszych wysiłków, ani podniety do walki. Siłą woli zdobył się wprawdzie na kilka frazesów dla tłumu, lecz skoro sam pozostał, uczuł się dziwnie wyczerpanym.

— Co mi po tem? — myślał z uczuciem

niechęci i gorzkiego prawie niezadowolenia.— Prawda, że jestem przedstawicielem stolicy, wyrazem jej opinii i jej woli, że mam prawo wypowiadać jej życzenia, domagać się sprawiedliwości dla milionów i zdobywać środki dla jej wykonania. Ale cóż z tego? Będę musiał znów walczyć, odpierać zarzuty, przekonywać, zdobywać — tak być musi. A skoro zwyciężę, król spełni to, o co ja walczyłem. Czyn będzie jego, nie mój! Jemu zawdzięczam nawet i tę władzę, władzę, która dotąd była moją własną! Nikt mi nie dawał jej: brałem sam!

W posępnem zamyśleniu rozważał swoje położenie i wielkie zmiany, jakie zaszły dookoła. Jako człowiek uczciwy, nie mógł nic zarzucić postępowaniu króla, jego celom, środkom i nieprzewidzianemu tryumfowi. Zdobył go zasłużenie. Ale Lotys? Czy Lotys przeczuwała, zgadywała prawdę? Może wiedziała wszystko?

Z oburzeniem odrzucał niegodne podejrzenie, lecz powracało wbrew jego woli uporczywie. Ocaliła mu życie — królowi—dlaczego? A po raz drugi z jakiem uniesieniem stanęła w obronie Pasquina Leroy? Co w nim wielbi? Dlaczego?

— Będzie moją żoną—postanowił wreszcie z błyskawicą ognia w ponurem spojrzeniu —

Będzie moją żoną. Jeśli mnie nie kocha, jak mówi, to *musi* kochać! Wtedy będzie znów dobrze. Z nią pójdę może wyżej — bez niej jestem niczem!

* * *

W tym samym czasie, w dalekim zakątku najmniej znanej prowincyi Indyi Wschodnich, w letnim pałacu jednego z najbardziej ucywilizowanych i łaskawych władców, książę Humbert i Glorya żyli chwilowo cudnem, wymarzonem życiem wschodniej, fantastycznej baśni.

Skończył je cichy wieczór, który im przywiózł wiadomość, że kraj żąda i wymaga ich powrotu.

Dzień był słoneczny, jasny i gorący, więc do zachodu słońca szukali ochłody w marmurowych komnatach, w których biły chłodne, szemrzące fontanny, a światło słońca łagodziły wielkie, zielone liście egzotycznych roślin, lecz po zachodzie powiał chłodny wietrzyk, i Glorya w najcienistszym zakątku ogrodu położyła się w jedwabnym hamaku, i kołysząc się lekko, patrzała na męża, który siedział, czytając nadesłane mu dzisiaj gazety.

Piękność Gloryi w tem malowniczem

otoczeniu wydawała się jeszcze doskonalszą, kiedy owiana złotym cieniem sykomory, z pytaniem w oczach śledziła wyraz twarzy męża, który z zajęciem przebiegał oczyma trzymane w ręku pismo. Nakoniec spojrzał na żonę i przez chwilę olśniony poił się zjawiskiem tej cudownie wdzięcznej i słodkiej postaci w białej, lekkiej sukience, z jedynym purpurowym kwiatem w złotych włosach. Pochylił się nad nią i gorące usta przycisnął do ust żony, potem uśmiechnął się z odcieniem żalu.

— Wzywają nas do powrotu, wiesz, najdroższa? Kraj wzywa nas oboje.

Podniosła się zdumiona i wsparła na łokciu.

— Więc wiedzą już o wszystkiem?

— Tak. Król w osobnym manifeście poddał tę sprawę pod sąd całego narodu. Co prawda, nie spodziewałem się tego po ojcu.

Oczy Gloryi pociemniały pod wpływem natężonej myśli.

— Podaj mi pisma, chcę przeczytać sama.

Usta jej drżały lekko, a z oczu spływały wielkie łzy szczęścia i głębokiego wzruszenia, kiedy czytała opis ostatnich wypadków, tryumfów monarchy wobec niegodnych ministrów, jego mowę, upokorzenie Perousse'a, manifest i zapowiedź ważnych reform.

— Twój ojciec jest najszlachetniejszym z monarchów! — przemówiła nakoniec z uniesieniem.

W oczach księcia jaśniała radość.

— Nie umiałem go ocenić — wyznał szczerze. — Nie przypuszczałem nigdy, aby dbał o coś na świecie, prócz własnej przyjemności. Bo przecież niepodobna, aby tak wielka zmiana zaszła w nim nagle, bez żadnej przyczyny.

— Więc jestem „dzieckiem ludu“—przemówiła Glorya z uśmiechem, wskazując to wyrażenie w manifescie. — Bardzo mi się podoba taki frazes i jestem dumna z tego pochodzenia.

— Jesteś moją żoną i przyszłą królową — rzekł książę.

Przez chwilę w zamyśleniu patrzała na męża.

— Gdybyś ty nie był królem, nie nęciłoby mię wcale to wysokie stanowisko — odezwała się wreszcie.

Książę Humbert z uśmiechem pochylił się nad nią i delikatnie dotknął złotych włosów, do których tulił się z miękką pieszczotą kwiat „gorącej miłości.“

— Razem jednakże zniesiemy ten ciężar — przemówił żartobliwie, całując ją znowu. — Szkoda tylko, że trzeba wracać. Mu-

simy wracać zaraz, moje serce, choć mi przykro, że tym sposobem skończy się słodki nasz miesiąc miodowy.

— I mnie przykro—szepnęła Glorya.— Chciałabym przeżyć tutaj życie całe, zdala od świata, jego walk, kłopotów, w zupełnej ciszy, z tobą... Słyszysz?

W tej chwili słowik odezwał się dźwięczną pieśnią wieczorną, i słodkie, srebrne tony napełniły ogród najdoskonalszą melodyą miłości. Z po za drzew zwolna, wspaniale wypłynął srebrzysty księżyc, oblewając swojem czarodziejskiem światłem drzewa, ścieżki, kwiaty i parę kochanków, upojonych pięknością tej cudnej natury.

— Gdyby życie mogło być całe podobne do tej chwili, — szepnęła Glorya — jestem pewna, że lepiej rozumielibyśmy Boga i kochali się wzajemnie. O, gdyby wszyscy ludzie mogli być szczęśliwi, jak ja jestem! — westchnęła.

— Będziesz mogła dążyć do tego, najdroższa — odparł z zapałem książę. — Dasz narodowi swemu wielkie i gorące serce, w którem smutny znajdzie litość i współczucie, cierpiący pociechę, nędzarz pomoc i wsparcie. Jestem pewny, że odczują to wszyscy niezadługo, że będziesz błogosławieństwem dla kraju, dobroczynną, jak drugie słońce.

Tejże nocy kuryer pośpieszny był wysłany do króla z zawiadomieniem o powrocie następcy tronu wraz z małżonką. Wschodni władca, który gościnnie podejmował u siebie młodą parę, wtajemniczony w romantyczną powieść i niezwykłe jej rozwiązanie, postanowił odpływających uczcić szeregiem narodowych uroczystości, ażeby utrwalić w ich pamięci krótkotrwały pobyt w jego rezydencyi.

Wieść o powrocie księcia Humberta z małżonką podnieciła na nowo ciekawość i zapał stolicy. Z gorączkowym pośpiechem rozpoczęto przygotowania do przyjęcia uroczyście młodej pary. Miasto pragnęło wystąpić wspaniale, i projektom nie było końca. Na Wyspie zapanował też nastrój niezwykły: ciche życie mieszkańców wstrząsnął grom dumy i radości, z młodzieńczą naiwnością i energią urządzali iluminacye, sztuczne ognie, fajerwerki, które okazać miały „córce morza," jak zwykle tutaj nazywali Gloryę—ich radość i przywiązanie. Tylko René Ronsard nie brał w tem wszystkiem udziału; wiek zaciążył na nim widocznie i w ostatnich czasach pochylał go szybko ku ziemi. Starzec ogłuchł prawie zupełnie, a wieść o powrocie Gloryi pozornie nie sprawiła na nim wielkiego wrażenia.

— Szkoda, że nie jest żoną ubogiego majtka — rzekł do profesora von Glauben, który odwiedzał go często i pokrzepiał wątlejące siły starca. — Im człowiek wyżej stoi, tem większy ciężar dźwigać musi! Im jaśniej błyszczy jego los z pozoru, tem głębiej tylko kryje gorycze i bóle!

— Miłość osładza wszelkie bóle i gorycze — odpowiedział profesor. — Miłość jest czarem i potęgą Gloryi.

— Miłość! — powtórzył Ronsard — marzenie, ułuda! A jednak to największa potęga na świecie! Groźna potęga: bo nikt się jej oprzeć nie zdoła! I królowie są posłuszni jej skinieniu!

X.

Zwolna, z widocznem i przykrem wahaniem wstępował Sergiusz Thord po niewygodnych, wązkich schodach, wiodących na poddasze, które było mieszkaniem Lotys. Tu mieszkała od czasu, gdy Sergiusz Thord nazwał ją „duszą“ swej pracy. Tutaj mieszkała dotąd, choć w ostatnich czasach zdawała się ulegać prośbom Sholta i Pequity, aby przeniosła się do nich, do maleńkiego domku na

przedmieściu, który obecnie mogli wynająć dla siebie. Nie była to wykwintna willa, ale schludny dworek, otoczony ogródkiem, w którym rosło kilka drzew starych i było miejsce na grządki kwiatowe. Equita, pierwsza tancerka opery, czuła się tu bogatą i szczęśliwą, ale jedynie Lotys zapewnić jej mogła opiekę matki, której piękne dziewczę coraz bardziej potrzebowało. Więc oboje z ojcem prosili ją bardzo, i prawie im uległa, ale wahała się jeszcze. Wszyscy naraz opuszczą tę nędzną dzielnicę, której byli najdzielniejszymi obrońcami! Bo Sergiusz, jako przedstawiciel miasta, musiał zmienić mieszkanie i zajmował dzisiaj bardzo skromny, lecz przyzwoity i wygodny domek w śródmieściu.

Więc Lotys się wahała i nie mogła rozstać z miejscem i ludźmi, wśród których i dla których przeżyła i przecierpiała tak wiele. Otaczała ją tutaj nędza i choroba, które przywykły do jej obecności, opieki i pomocy, do jej serdecznego współczucia; miałaż wszystko zostawić i porzucić?

Wprawdzie w ostatnich czasach Thord perswadował jej także, iż powinna się przenieść do „lepszej dzielnicy“ i zamieszkać we „właściwem“ dla niej otoczeniu, ale mu odpowiedziała ze smutnym uśmiechem:

— W „lepszej dzielnicy,“ Sergiuszu? —

Niedawno nie znałeś wcale tego wyrażenia. Nie uważałeś wtedy nędzy ludzkiej za „niewłaściwe“ dla nas otoczenie. Wszak sam twierdziłeś zawsze, iż bogaci i ubodzy są braćmi w oczach Boga i jedną rodziną.

— I nie zmieniłem zdania — przerwał Thord z niecierpliwością, choć fala krwi uderzyła mu do głowy. — Ale jesteś kobietą i, jako kobieta, potrzebujesz większej wygody i troskliwej opieki.

— Ileż kobiet uboższych i samotniejszych ode mnie daleko bardziej tego potrzebuje! Moim więc obowiązkiem jest być dla nich wsparciem. Sam widzisz, że nie mogę stąd odejść. Zresztą jest mi tu dobrze.

Pamiętał tę rozmowę, i idąc po schodach, myślał z przykrością, że prawdopodobnie i dziś powróci z niczem.

— Gdybym miał władzę nad nią!—szepnął do siebie z rozpaczą. — Gdybym mógł jej rozkazać! Ale to daremne! Dług wdzięczności oddawna spłaciła mi pracą i gorliwą pomocą w każdej sprawie. Dziś nie wiem nawet, kto komu jest dłużny, kto komu zawdzięcza więcej. I niema żadnej drogi: jeśli nie będzie moją żoną, wiem, że ją stracić muszę! A nie mogę jej stracić! Nie mogę... nie mogę!..

Nakoniec znalazł się u szczytu schodów

i zapukał do drzwi, znajdujących się naprzeciwko.

— Proszę! — posłyszał głos dobrze znany, i wszedłszy, zastał Lotys na krześle przy oknie, piastującą chude i blade dziecię.

— Matka umarła w nocy — rzekła, odpowiadając na pytające spojrzenie Sergiusza.— Chorowała kilka miesięcy, i Bóg zlitował się nad nią nareszcie. Ojciec szuka roboty —oby nie napróżno! Musiałam więc tymczasem wziąć biedactwo.

Pochyliła się nad bladą, woskową twarzyczką i przytuliła ją do swojej twarzy. Wyglądała w tej chwili wzruszająco, z wyrazem macierzyńskiej tkliwości w spojrzeniu i wdzięcznym ruchu, którym przytuliła dziecię.

Sergiusz wziął krzesło i usiadł naprzeciw niej w oknie.

— Życie twoje, Lotys, jest szeregiem szlachetnych czynów — rzekł lekko drżącym głosem. — Niema dnia, żebyś nie dała dowodu, iż żyjesz dla nieszczęśliwych i cierpiących.

Potrząsnęła głową ze smutnem zwątpieniem i w milczeniu pieściła ręką blade dziecko.

Po chwili Sergiusz odezwał się znowu:

— Przyszedłem tutaj, Lotys, prosić cię o wiele rzeczy.

Spojrzała na niego z życzliwym uśmiechem.

— Czy potrzebujesz rady?—zapytała.— Chyba nie. Jesteś dziś wielkim człowiekiem.

— Wielkim? — powtórzył. — Nie rozumiem zgoła, co chcesz przez to powiedzieć. Jestem deputowanym; to nie szczyt ambicyi, ani dążeń moich, to dopiero pierwszy szczebel.

— Do czego? — zapytała. — Chcesz być ministrem? I do tego dojść możesz pracą i wytrwałością. Wtedy będziesz zadowolony?

— Nie! nigdy... nigdy... póki...

Przerwał mowę i poprawił się na krześle. Jego spojrzenie dumne i łagodne obejmowało ją z wielką tkliwością.

— Słyszałaś o ucieczce Perousse'a? — zapytał.

— Nie — odparła. — Dlaczego pozwolono mu uciec bezkarnie?

— Sąd i kara pociągnęłyby ważne komplikacye. Za wielu miał spólników — rzekł Thord z ciężkiem westchnieniem. — Skonfiskowano mu dobra i pozwolono uciec, dla uniknienia większego skandalu.

Lotys milczała.

— Jost wyjechał też za granicę — ciągnął Thord dalej. — Dzienniki sprzedał współzawodnikowi, tak, że dziś wszystkie pisma mamy w ręku, wszystkie tym sposobem są z nami i z królem!

Lotys uśmiechnęła się smutnie.

— Więc to samo, co było — rzekła, patrząc mu w oczy. — Różnica w tem jedynie, że dawniej subsydyował prasę we własnym interesie spekulant nieuczciwy, a dziś w tym samym celu popiera ją najszlachetniejszy monarcha. Lecz to nie zmienia rzeczy.

Sergiusz żachnął się gniewnie.

— Mylisz się! — przerwał krótko.—Nie kupujemy prasy, nie popieramy jej we własnym celu — to zupełnie co innego! Znamy wartość tej polityki i nigdy nie obierzemy mylnej i fałszywej drogi.

— Pójdziecie nią! Ty także — rzekła Lotys. — Okoliczności zmuszą cię do tego. Czyż nie widzisz, że polityka kręci się wiecznie w jednem błędnem kole? Nazwałeś mię niegdyś duszą Ideału, lecz pracując razem z wami najgorliwiej dla tego Ideału, uważałam go zawsze za rzecz nieziszczoną. Co mię łączyło z wami? Spółczucie dla nędzy. To jedyna realna strona waszych teoryi. Ona zapełniała mi życie zupełnie, czyniła je użytecznem i potrzebnem, więc tej pracy oddałam wszystkie siły swoje, pozwalając wam marzyć, jak dzieciom. Mówić o rewolucyi można bardzo wiele, w rzeczywistości jednak wszelkie formy rządu schodzą i schodzić będą na te same drogi Ale ludzie są dziećmi: wiecznie pragną zmiany, wiecznie ich nudzi

to, co posiadają, i wyciągają ręce po rzeczy nieznane, nowe, połyskujące z daleka. Zabawki. Wolę pocieszać, wspierać i koić cierpienie — dodała, przesunąwszy miękką ręką po jasnej główce dziecka.

— Wierzę temu — rzekł Sergiusz zwolna. — Mówisz i czujesz jak kobieta! To rola kobiety w życiu, i gdybyś mogła kochać...

Przerwał nagle, zdumiony purpurową falą, która oblała jej twarz aż po włosy. Ale rumieniec zgasł, zniknął szybko, i wielka bladość okryła ją znowu.

— Miłość nie dla mnie, Sergiuszu!—odparła. — Czas na nią minął: nie jestem już młoda. Nie istniała ona zresztą dla mnie nigdy, a dzisiaj za późno na to. Wzrosłam, patrząc na mężczyzn, jak na drobne mrówki, uwijające się pośród mrowiska; ich uczucia, dążenia, namiętności, walki, zwycięstwa, duma i ambicya — budziły we mnie zawsze tylko... litość; stałam pośród nich sama, o własnej sile, widząc jedyną wyższą od siebie potęgę: Boga na niebie!

— A jednak tulisz do serca ten drobiazg! — szepnął, wskazując ręką dziecię na jej łonie.

— Bo słaby i potrzebuje oparcia. Gdy stanie się mężczyzną, nie będzie myślał o kobiecie, która czuwała nad nim w dniach dzie-

cińskiwa. Niema okrutniejszej na ziemi istoty, niż mężczyzna w stosunku do kobiety: kochankę zdradza, żony zaniedbuje, o matce zapomina!

— Złą masz o nas opinię—rzekł Thord żartobliwie, choć zmarszczka gniewu przecięła mu czoło. — Czy to samo powiedziałabyś o królu?

Zadrżała, lecz zapanowała nad sobą.

— Król jest szlachetny i bardzo odważny, lecz poza tem nie przypuszczam, aby był inny, niż wszyscy.

— Czy widziałaś się z nim w tych czasach?

— Nie.

Odpowiedziała krótko, stanowczo i zimno. Thord wahał się widocznie, patrząc na nią z pod brwi zsuniętych. Nagle położył rękę na jej ramieniu i szepnął z hamowanem głębokiem wzruszeniem:

— Gdybyś mogła mię kochać! Gdybyś zechciała być moją żoną!

Podniosła nań łagodnie smutne, głębokie spojrzenie.

— Biedny Sergiuszu!—rzekła.—Wzniosłeś się tak wysoko i schylasz się po nędzną trawkę? Ona się podnieść ku tobie nie może... Pragnę twojego szczęścia, przyjacielu,

lecz w ten sposób, jak żądasz, uszczęśliwić cię nie mogę.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Bo nie kocham cię miłością, jakiej żądasz. I choć byłeś mi zawsze drogi, za nic w świecie nie byłabym twoją żoną.

— Dlaczego?

— Popierwsze dlatego, że nie zgodziłabym się z tobą. A powtóre dlatego, że nie chcę wcale wyjść za mąż. Uczę się codzień, co to jest małżeństwo: walka z nędzą, utrata złudzeń, śmierć miłości w prozie ubogiego życia.

— Nie będę teraz ubogi — przerwał Thord z żywością. — Całe życie poświęcę, aby uczynić cię szczęśliwą! Otoczę cię wygodą i dostatkiem, zbytkiem, miłością, ubóstwieniem! Będziesz czczona i sławna...

Przerwała mu gestem:

— Nie mówmy o tem, proszę cię, Sergiuszu! Byłeś bardzo dobry dla dziecka-sieroty, i o tem nigdy nie zapomnę, ale nie masz prawa wymagać ode mnie, czego spełnić nie mogę. Najlepsze lata życia służyłam ci wiernie, wspierając sprawę, którą uważałam za szlachetne marzenie. Dziś nie jestem ci już potrzebna; jestem wolna i pragnę zacząć żyć własnem życiem!

Zerwał się nagle z krzesła i, drżąc, stanął przed nią.

— Boże! — zawołał. — Czyż ty nie rozumiesz! Wszak praca moja, życie, marzenia, dążenia, wszelkie walki, słowa i czyny— to ty! to dla ciebie! to dla twego szczęścia! To aby tobie wywalczyć piedestał, aby cię podnieść ponad wszystkich ludzi! Cóż mię obchodzi świat cały bez ciebie? Cóż mię obchodzą ludzie ubodzy i bogaci? ich nędza i cierpienia? Ja tobie chcę służyć! Służyłem tylko tobie! Dla ciebie zdobywałem sławę, stanowisko, władzę! Dla ciebie tylko! Ulituj się, Lotys! Litości błagam! W moich oczach z dziecka stałaś się kobietą; kochałem każdy włos twój, każdy błysk spojrzenia, każdą myśl twoją i każdy dźwięk głosu! O, Lotys! nigdy na świecie mężczyzna nie kochał tak kobiety! Cokolwiek w życiu pragnąłem, czyniłem to jedynie dlatego, aby być godniejszym miłości twojej, Lotys! Czy ty to rozumiesz? Dla mnie, prócz ciebie, niema nic na świecie! Kraj? dobro ludzi?—cóż mię to obchodzi? Ja kocham ciebie! ciebie tylko pragnę! dla ciebie żyję! Tylko ciebie znam, tylko ciebie!

Podniosła się z dzieckiem uśpionem na ręku, sztywna, zimna, wyprostowana.

— W takim razie — rzekła zimno i spo-

kojnie — nie jesteś lepszy od tych, których potępiałeś! Jesteś tak samo zdrajcą względem ludu, jak ten, którego zwyciężyłeś! Bo nie dla ludu walczyłeś, lecz dla siebie! Chcesz, bym była żoną twoją, ale ty nie mnie kochasz, tylko siebie! Zimny egoizm treścią twego życia, osłoniony fałszywymi pozorami. Cóż cię wyróżnia od milionerów-spekulantów, którymi gardzę z całej duszy?

— Lotys! Lotys! — zawołał z wybuchem rozpaczy. — Nie mów tak! nie mów! To kłamstwo, nie prawda! sądzisz mię niesprawiedliwie!

— Sądzę cię na podstawie twoich własnych słów — odparła. — One cię potępiają. Ja wierzyłam w twą miłość dla sprawy i ludu! Ja wierzyłam, że walczysz w imię ideału, że dążysz do władzy, ażeby mieć możność czynienia dobrze, pokonania złego, lecz jeśli walczyłeś jedynie dlatego, aby zdobyć stanowisko, godniejsze w twoich oczach mej miłości — oszukiwałeś mię każdym swym czynem! Oszukiwałeś mię pozorną uczciwością swoich zamiarów, tak samo, jak oszukiwałeś lud i króla!

— Króla? — zawołał — króla?

Ale Lotys nie była już w pokoju. Pożegnała go dumnem, wyniosłem spojrzeniem

i odeszła bez słowa. Rozdzieliła ich ściana z cienkich desek, nie śmiał jednak iść za nią.

Spojrzał dokoła. W ubogiej izdebce sprzęty były proste i skromne, a jednak zamieszkiwał tu wdzięk nieuchwytny, który pociągał, przykuwał do miejsca. Mały, nizki pokoik był jasny i czysty, świeży, jak kwiat dziecięcy, może dzięki kwiatom, najtańszym kwiatkom polnym, w zwykłych szklankach rozstawionym na stoliku, na oknie, niby mili goście. Ubóstwo wyglądało tu czysto i święcie. Tu było ono świętem!

Nagle wzrok jego błysnął dzikim ogniem na widok dużej wiązanki róż rzadkich i przepysznych storczyków, związanych złotem przetykaną wstążką. To gość inny, skądinąd!

Zazdrość, gniew, podejrzenie, rozpacz — wszystko razem do niepoznania zmieniły twarz Thorda. Załamał ręce, zęby mu szczękały.

— To tak! — szepnął — tak... Jeśli tak, to nastąpi „dzień fatalny.“ Nastąpi!

Zsunął się prędko po spadzistych schodach i, prawie nieprzytomny, wyszedł na ulicę. O kilka kroków spotkał Pawła Zouche'a, poetę.

— Dokądże to, przedstawicielu stolicy? — zaśmiał się Zouche ironicznie, mrużąc oczy i drwiąco patrząc na Sergiusza. — Przyszedłeś tu pocieszać i wspierać cierpiących, czy

bronić swej własności przed grabieżą? Hm? A może ustąpiłeś już królowi? Tyle godności!..

Zaśmiał się nieprzytomnie i zatoczył, lecz Thord pochwycił go za ramię z siłą, jakiej sam dotychczas nie przypuszczał w sobie.

— Co to ma znaczyć? — syknął.—Mów! Co to ma znaczyć? Co wiesz? Powiedz! powiedz!

Zouche usiłował uwolnić ramię z żelaznego uścisku przyjaciela.

— Puść-no! — zawołał. — Czego chcesz ode mnie? Co to ma znaczyć?.. A zapytaj wróbli! Kto ma oczy, nie powinien pytać o nic! Ha! ha! ha!

Śmiał się pijanym śmiechem i potrząsał ramię, które Thord puścił z jakąś dziwną bezwładnością.

— Mów! — nalegał błagalnie.

— Co ci mam mówić? ślepcze, prowadzący tłumy! Każdy z was, wielkich ludzi, widzi wszystkie gwiazdy, a nie spostrzega muchy, która mu tańczy pod nosem! Ba! co to szkodzi! Wszystko jedno! Dawno wiedziałem, że cię nigdy nie kochała! Dawno wiedziałem, że kochała Jego Królewską Mość, Pasquina Leroy!

— Przekleństwo! — ryknął Sergiusz głosem zranionego zwierza. — Dlaczego nie po-

wiedziałeś mi o tem natychmiast? Dlaczego mię nie ostrzegłeś?

Zouche szedł dalej, chwiejąc się i wzruszając ramionami.

— Co ci miałem powiedzieć? — mówił pogardliwie. — Albożbyś mi uwierzył? Nikt nie wierzy temu, co mu nie jest miłe. Gdybyś nie miał własnych podejrzeń, nie uwierzyłbyś mi i dzisiaj! Tyś przecie mędrzec — ja tylko poeta! Tyś trzeźwy—ja pijany! Jedna Lotys wszystko rozumie. Tylko ona! Ona jedna pomiędzy nami miała zawsze zdrowy rozsądek. Ona zna i rozumie mnie, ciebie i króla—ona jedna!

— Nie prawda! — przerwał Sergiusz. — Nie mogła wiedzieć o tem! Nie wierzę ci... nie mogła!

— O czem? Ba! jak ty dziś wyglądasz! Tak cię natura stworzyła, mój bracie? Takim jesteś bez maski życia? Dziki jak niedźwiedź, okrutny jak żmija! Boże, Boże! co się też to robi z człowieka, kiedy wyjrzą na wierzch jego namiętności! Darmo, darmo, Sergiuszu! Tu wygrałeś, tam przegrałeś. Nie dostaniesz ciastka i cukierka! Jednego dosyć!

Zatoczył się pod ścianę, ale zebrał siły i stanął znowu prosto.

— Daj jej pokój, Sergiuszu! — rzekł z godnością. — Lotys jest wolna! Daj jej

pokój. To zacna dusza. Niech sobie kocha kogo chce i jak chce. Niech sobie kocha, to przecież jej prawo! Jej prawo, słyszysz? Nikomu z nas nie wolno odmówić jej tego! Kocha króla! Bardzo pięknie! Nie ona jedna i nie ona pierwsza!

Sergiusz rzucił nowe przekleństwo i pośpiesznie oddalił się w stronę przeciwną. Zouche stał przez chwilę zdziwiony, nie mogąc zebrać myśli, ani zdać sobie sprawy, ile złego sprawić mogły jego słowa.

Kiwając głową i chwiejąc się, patrzał na olbrzymią postać Thorda, zmierzającą w stronę mieszkania Lotys.

— Wiecznie ta sama historya!—mruknął wreszcie z pijanym śmiechem. — Wiecznie kobieta! Ma siłę, władzę, przyjaźń króla — nic z tego; jeśli król jest rywalem w miłości, większe mu grozi dziś niebezpieczeństwo, niż w dniu ciągnienia losów!

Szedł dalej, wstępując po drodze do podrzędnych traktyerni, aby ugasić pragnienie, a jednocześnie układał nowy śpiew miłości, może wielki i piękny.

Nad wieczorem zamknięty powóz zatrzymał się na rogu ulicy, niedaleko mieszkania Lotys; król wysiadł z niego szybko, wszedł do wązkiej sieni i wchodził po tych samych schodach, po których z rana tegoż dnia wstę-

pował Sergiusz Thord z niepokojem i miłością. Znalazłszy się u szczytu, tak samo zapukał do drzwi, widocznie znanych, i na ciche wezwanie otworzył je śpiesznie.

Lotys powitała go niemem spojrzeniem, ale na widok króla podniosła się nagle z krzykiem bólu i trwogi.

— Ty tu, panie? — pytała głosem drżącym. — Po co? Błagam cię, panie, odejdź, odejdź stąd natychmiast, póki cię nikt nie widział! Jego Królewska Mość...

— Niema tu Królewskiej Mości, droga Lotys!—odparł monarcha z pogodnym uśmiechem. — I dlaczego mam odejść? Za długo ta świątynia była zamknięta dla mnie. Dlaczego nie mam prawa cię odwiedzić? Czyż nie jesteś dla wszystkich aniołem pociechy? Czemuż ja jeden mam być tego pozbawiony w moich licznych i ciężkich troskach? Nie, Lotys!.. Lotys, tylko nie płacz, proszę!.. Najdroższa, nie płacz! Łez twoich nie zniosę, one jedynie zdolne są pozbawić mię rozumu i panowania nad sobą!

Postąpił kilka kroków i chciał ująć jej rękę, lecz odwróciła się szybko od niego i widział tylko, jak tłumione łkanie wstrząsało nią chwilami.

— Lotys! — rzekł miękko — powiedz: co to znaczy? Co cię boli? Dlaczego jesteś

nieszczęśliwa? Piszę do ciebie codzień od tej chwili, kiedy na mgnienie oka przycisnąłem cię do serca, wypowiadam ci całą duszę, błagam o pozwolenie przybycia do ciebie, i na to wszystko ani słówka odpowiedzi? Czyż nie jestem „jedynym człowiekiem, którego kochasz“? Nie cofniesz teraz słów tych, droga Lotys! Stało się! Usłyszałem! Droga, droga moja, czy wiesz, iż to był najszczęśliwszy dzień mojego życia? Dzień, w którym miłość stanęła między mną a śmiercią!

Głos jego brzmiał uczuciem i tkliwością. Ujął jej rękę i przycisnął do ust. Ale Lotys milczała.

Król patrzał na nią i spragnione oczy poił słodkim widokiem ukochanej twarzy, miękkim połyskiem jej bogatych włosów i blaskiem oczu, drżącym z pod spuszczonych powiek przez łzy, które spływały jej po twarzy.

— Całe życie — szepnął — łaknąłem miłości, całe życie marzyłem o niej! A nie miałem jej nigdy! Nigdy, Lotys! Czy możesz sobie wyobrazić teraz, jakich doznałem uczuć, gdy mi powiedziałaś sama, że kochasz Pasquina Leroy? Być kochanym dla siebie, dla siebie jedynie! O, Lotys! jakże wielką zwalczyłem pokusę, aby nie ująć cię nagle

w ramiona i nie powiedzieć prawdy, całej prawdy! Ale nie,—słodszą jeszcze było dla mnie pieśnią słyszeć, jak mówisz o nim, potępiając króla. I każde słowo twoje, szlachetne, odważne, gorące słowa serca płynęły mi w duszę, niby boska, orzeźwiająca melodya. Ty mnie kochałaś! Ty, którą czcić mogłem! Co za bezmierne szczęście! Miłość istniała dla mnie! W imię tej miłości, z myślą o tobie — uczyniłem wszystko, co tylko uczynić mogłem dla Humberta. Gdy jestem tak bogaty, niech świat cały będzie szczęśliwy, niech każdy pije z czary upojenia szczęście, szczęście bez miary!

— Szczęście na świecie jest! Ty to sprawiłaś. Miłość jest gwiazdą moją, którą odnalazłem wreszcie, i nie jestem wydziedziczony, dzięki tobie! Poznałem cię od chwili, gdy ujrzałem po raz pierwszy, poznałem, żeś przeznaczona mi przez los miłością od chwili, gdy krwią twoją zapisałem swoje imię! I ty wyrzekłaś to słowo miłości!

Zwróciła się ku niemu, i ujrzał jej oczy, te magnetyczne oczy, pełne blasku i wyrazu niewymownego cierpienia.

— Jesteś królem! — szepnęła cichym, drżącym głosem.

Ujął znowu jej rękę i przycisnął do ust, potem oparł dłonią na czole.

— Cóż z tego, droga? — odparł równie cicho. — Czyż dlatego, że jestem królem, nie mam prawa do miłości?

— Miłość musi być uczciwa i święta; jeśli taką pozostać nie może, sam król nie ma do niej prawa.

Puścił jej rękę i spojrzał w oczy. Nie odwracała wzroku i patrzała śmiało z wyrazem smutnej, głębokiej tkliwości.

— Lotys! — zaczął król znowu — czyż jesteś tak zimna, tak zamknięta w pancerzu konwenansu, iż nie rozgrzeje cię siła uczucia, któremu odpowiada twoje własne serce? Czegoż ode mnie żądasz? Przysiąg, ślubów, zobowiązań? Czyż nie odczuwasz tego ukochana, że jesteś cała sercem mego serca? że jesteś duszą mego życia? Ty, nie ja, jesteś władzą, która rządzi krajem! Co rozkażesz, ja spełnię. Żyję, póki ty żyjesz; skoro umrzesz — umrę! Przez ciebie zrozumiałem wartość swej potęgi, zdobyłem miłość ludu i szacunek własny. Tylko przez ciebie! Chcę spełnić wszystko, co jest w mojej mocy, ale musisz mi pomódz, musisz pomódz mi wielką miłością!

Słuchała, przyciskając mocno bijące serce, słuchała głosu, który upajał jej duszę, nie odwracała oczu od jego spojrzenia, od wyrazu ust pieszczącego.

— A królowa? — spytała nagle.

Cofnął się, jak odepchnięty tym słowem.

— Królowa? — powtórzył machinalnie— królowa?

— Królowa — rzekła Lotys—jest twoją żoną, panią i matką twoich synów. Nie kochała cię nigdy i ty jej nie kochałeś, ale jesteś jej mężem. Czy chcesz, abym była twoją kochanką?

Mówiła to spokojnie. Jasno, bez wahania wypowiedziała ostatnie wyrazy.

Król zbladł; wyciągnął ręce.

— Kocham cię, Lotys! — rzekł cicho i silnie.

Zmieniła się, jak gdyby nagle promień słońca przeniknął jej istotę, i miękkim, pełnym poddania się ruchem rzuciła mu się do nóg.

— I ja kocham! — wyrzekła.—Kocham każdem tchnieniem, każdem uderzeniem serca! Kocham cię całą, jedyną miłością życia swego! Kocham cię całą potęgą uczucia, nagromadzoną od lat tylu w sercu! Kocham jak nie kochała cię żadna kobieta! Kocham cię, kocham, panie mój i królu, ale zarazem ja cię szanuję, o królu! Ani jedna myśl samolubna nie zaćmiła nigdy blasku tej miłości, o ukochany! Nigdy! Co ci po mnie, drogi? Czyż byłabym godna twej myśli i serca, gdy-

by uczucie moje stało się w twem życiu plamą? Czyż nie przestałabym dla ciebie być Lotys, sercem serca twojego i duszą twej duszy, gdybym, jak inne, dała ci szał upojenia, który w obłędzie zowiemy miłością? Nie, nie! Przenigdy! Ja kocham cię, królu! Spojrzyj na mnie! Oczy moje pożądają ciebie, a usta łakną twoich pocałunków, a ciało pragnie pieszczot, których nie zaznałam w życiu, pozbawionem wszelkiej radości! Ale ja cię nie splamię taką miłością, najdroższy! Nie obniżę wielkości twojej wobec ludzi, wobec świata całego, człowieku szlachetny i prawy! Nędzna byłaby miłość moja, gdybym nie umiała poświęcić się dla ciebie, dla ciebie, królu, królu mój i panie!

Słuchał tych słów w milczeniu, czując, że w każdem z nich jest cząstka duszy tej niezwykłej kobiety.

— Lotys! — rzekł wreszcie — Lotys!

Podniósł ją i przytulił do swej piersi, całując długo, serdecznie, z powagą, z jaką całuje się czoło umarłej.

— Czy tak być musi, Lotys? — szepnął wreszcie. — Czyż musimy być wiecznie rozdzieleni?

Patrzała mu w oczy z wyrazem najwyższej miłości.

— Rozdzieleni, a jednak razem!—rzekła cicho. — Złączeni sercem, myślą, dążeniem, nadzieją i ufnością w Bogu, który znać będzie nasze czyste życie i czystą miłość naszą! O, panie mój, ty wiesz sam, że inaczej być nie może! Ty sam nie poniżyłbyś tej świętości naszej! Jakże łatwo byłoby mi oddać się tobie, nasycić się miłością twą, słodką pieszczotą, żądać od ciebie jedynie tkliwości, towarzyszyć ci wszędzie, nie zważając na to, że narażam cię na obmowę, skandal i zgryzotę! że ci, którzy uwielbiają cię dziś głośno, powiedzą pierwsi, iż twe szlachetne dążenie to jedynie kaprys kobiety, która jest twą słabością! Nie, o nie, królu! Ja nie chcę być jedną z tych kobiet, które rzuciły imię twe na pastwę tłumu. One kochały siebie, a ja... ciebie kocham! O, mój najdroższy, gdyby w tem mojem uczuciu nie było wcale występnej słabości, nie podałabym ci mych ust w tej chwili, nie zniosłabym twych ramion koło siebie. Ja także jestem słaba, ale to po raz ostatni! Po raz ostatni! Ostatni raz całuję twoje usta i z ręką na twem sercu zwracam się do Boga: Błogosław mu, o Panie! Czuwaj nad nim! Strzeż go, Boże! Tobie oddaję miłość swoją! Za jego szczęście! Za niego, za niego! Chociaż z dala od Ciebie, myśl moja będzie z tobą zawsze, wiecznie, do

chwili, kiedy spotkamy się znowu, już z tamtej strony grobu!

Łzy płynęły jej z oczu gorącym potokiem, lecz nie kryła się z niemi. Król, wzruszony głęboko, całował jej włosy, rozsypane złotą kaskadą.

— Niechże tak będzie, Lotys! — szepnął wreszcie. — Twoja wola jest dla mnie prawem! Będzie, jak chcesz i pragniesz! Spełnię swój obowiązek na tym świecie, a myśl o twej miłości będzie mi wsparciem i siłą. I tak przez życie razem, a oddzielnie! Może tam za to Bóg złączy nas kiedyś i da szczęście, którego wyrzekamy się na tej ziemi!

Głos mężczyzny złamał się nagle i ucichł.

— Nie chcę cię kusić, Lotys — szepnął znowu. — Dla siebie bardziej jeszcze lękam się pokusy. Bóg z tobą!

Odsunął ją łagodnie i stał przez chwilę niepewny, bezsilny, niezdolny jeszcze rozstać się z nadzieją szczęścia, a jednak nie śmiał żądać od niej tego, co dla obojga byłoby hańbą zarazem.

— Bądź zdrowa, Lotys! —rzekł niepewnym głosem. — Miłości moja w tem i przyszłem życiu! Bądź zdrowa!

Po raz ostatni spojrzała na niego, przesyłając mu duszę w tem spojrzeniu. Nagle uklękła i usta gorące przycisnęła do ręki króla.

— Niechaj Bóg będzie z tobą! — rzekła drżącym głosem. — Niech będzie z tobą długie i szczęśliwe lata, kiedy już Lotys nie będzie na tym świecie!

Z tłumionym krzykiem pochwycił ją w silne objęcia i okrywał pocałunkami jej oczy, usta, czoło. Potem odtrącił prawie szorstkim ruchem i uciekł, pozostawiając ją samą.

Lotys, tamując oddech, słuchała wzruszona, kiedy zbiegał po schodach, słyszała kroki jego na ulicy, potem turkot powozu. Odjechał.

Teraz zabrakło jej naraz odwagi, i upadła na podłogę obok krzesła, na którem siedziała przed chwilą, kryjąc twarz w dłonie i szlochając głośno. Sumienie jej mówiło, że postąpiła dobrze, ale skrzywdzone serce gwałtownie, namiętnie dopominało się o swoje prawa. Odrzuciła dobrowolnie wielką miłość, a teraz jej wzywała krzykiem serca. Wiedziała, że w jej mocy jest odzyskać wszystko, ale wiedziała także, iż nie uczyni tego.

Po słabo oświetlonej i pustej ulicy przechadzał się cień jakiś krokiem niespokojnym, stawał na rogu, nawprost domu Lotys, biegł w jedną stronę, potem wracał w drugą, nakoniec stanął, skoro ujrzał króla, szybko wy-

chodzącego z wązkiej sieni. Król obejrzał się wzrokiem badawczym wokoło, jakby się wahał, czy namyślał nad czemś, potem poszedł w stronę powozu.

Na niebie ukazały się już pierwsze gwiazdy, i przy słabem ich świetle piękna twarz monarchy zdawała się niezwykle bladą i zmienioną; zatopiony we własnych myślach, pełnych goryczu i bólu, nie zwrócił nawet uwagi na czatującego w ciemności człowieka, który z odwiedzionym pistoletem w ręku, z oczyma płonącemi szałem nienawiści, oczekiwał na niego, zgrzytając zębami.

Król postawił nogę na stopniach powozu, konie ruszyły, i wszystko zniknęło, nim cień groźny spostrzegł, co się stało.

— Czemuż go nie zabiłem? — rzekł nagle ze wściekłością. — Dlaczego się wahałem? Stał tu, przy mnie! Miałem go przecież w swojej mocy!

Stał znowu nieruchomy, patrząc nieprzytomnie w jedną i w drugą stronę, w górę, na dachy, niebo, jak we śnie. Nagle ocknął się. Setki świateł zapłonęły w jego mózgu, z oczu buchnął mu płomień, ręce zadrżały żądzą gwałtownego czynu. Niby porwany wichrem, wpadł do sieni, przebiegł wysokie, strome schody i, nie pukając, z trzaskiem

otworzył drzwi nizkie, wiodące do pokoju Lotys.

Klęczała jeszcze, oparta na krześle; na odgłos drzwi otwartych podniosła się i zwróciła ku wchodzącemu z twarzą zalaną łzami i zmienioną bólem:

— Sergiusz?

Zmierzył ją strasznym, nienawistnym wzrokiem.

— Sergiusz! Tak Sergiusz! Może wczoraj Sergiusz, dziś szatan z twojej łaski! — ryknął zmienionym głosem, którego sam nie poznał. — A ty jesteś Lotys! Byłaś Lotys!.. dzisiaj jesteś... kochanką króla! Lotys kochanką króla!

Kobieta wyprostowała się dumnie i obrzuciła go wzrokiem surowym, pełnym niewymownego bólu i wyrzutu. Ale milczała.

— Kochanka króla! — powtórzył ze śmiechem. — Lotys... do tego doszła! Lotys, święta Lotys, czysty apostoł miłości! Och, wstrętem mię przejmuje dzisiaj twój widok! Spełniłaś swe zadanie! Zadanie kobiety! Oszukiwać i zdradzać — to zadanie wasze! Zdradzałaś od początku! Wiedziałaś dobrze, kim był ów Pasquin Leroy, i wydałaś mu wszystkie nasze tajemnice! Mądrze, zręcznie, genialnie! Tylko kobieta tak umie! Ale i zdrada nie zawsze popłaca!

Zdumiona i oburzona Lotys patrzała mu w oczy śmiałym, surowym wzrokiem.

— Oszalałeś, Sergiuszu! — przemówiła wreszcie. — Co znaczą te niedorzeczne oskarżenia? Wiesz, że są kłamstwem — dlaczegóż je rzucasz?

— Kłamstwem? Przekonaj mię, że są fałszywe! Kto ocalił życie królowi? Ty! Dlaczego? Bo wiedziałaś, że jest Pasquinem Leroy! Jakim sposobem Pasquin zdobył nasze zaufanie, opanował nas wszystkich, zrobił ze mnie sługę swej woli? Przez ciebie! A dlaczego? Bo wiedziałaś, że jest królem! Dlaczego byłaś dla mnie tak okrutna, odpychałaś mą miłość, choć czciłem cię i kochałem od dzieciństwa? Dlaczego? Bo kochasz króla!

Spokojnie i niewzruszonem spojrzeniem odpowiadała na ten szał zazdrości, który czynił go wściekłym, lecz ostatnie słowa zatliły iskrę w jej zimnem spojrzeniu.

— To prawda! — rzekła dumnie i spokojnie: — kocham króla!

— Przekleństwo! — ryknął Sergiusz i zachwiał się, jak człowiek uderzony.

Twarz jego stała się purpurowa, oczy krwawe. Budził grozę i litość.

— Sergiuszu! — odezwała się Lotys łagodnie: — szalejesz, cierpisz i nie wiesz, co

mówisz. Dlaczego? Cóż zrobiłam? Wiesz, że jestem wolna i mam prawo rozporządzać swojem życiem. Mam prawo, Sergiuszu! Nie mogę kochać tego, kogo powinnam, muszę kochać tego, którego muszę! Muszę, Sergiuszu!

Stał z osłupiałym wzrokiem, jakby słów jej nie rozumiał, jakby stracił władzę mówienia.

— Zniweczyłaś mię niesprawiedliwie i niegodnie—zaczęła znowu Lotys. — Każdy twój zarzut jest nikczemnem kłamstwem! Kocham króla, lecz nie jestem królewską kochanką! Nie jestem i nie będę!

Zwolna, zwolna sięgnął ręką do kieszeni, wyjął broń, podniósł zwolna, machinalnie, zęby mu zaszczękały, gdy otworzył usta.

— Ko...chasz króla!—wyjąkał strasznym zmienionym głosem. — Ko...chasz kró...la, i śmiesz mi to powiedzieć?..

— Kocham króla i śmiem ci to powiedzieć szczerze! — odparła z dumą w ruchu i spojrzeniu.

Z szybkością błyskawicy wyciągnął ku niej rękę, błądzącą w ciemności, rozległ się strzał, błysk ognia.

Słaby krzyk rozdarł powietrze.

— Sergiusz! Sergiusz! O, Boże!

I wysoka postać kobiety zachwiała się i padła na podłogę.

— Śmierć! To jest śmierć!—przemknęło jej nagle przez głowę.

Całe życie stanęło jej w pamięci, niby ognisty obraz, w myślach zrobiło się straszliwie jasno. Ostatnim wysiłkiem woli podniosła się na kolana i wydarła pistolet ze zbrodniczej ręki, mocno ściskając go we własnej dłoni.

— Powiedz... że sama! — wyjąkała z bólem. — Królowi... powiedz... sama! Ocal życie, Sergiuszu! Przeba...czam!

Wyprostowała się, westchnęła ciężko— już nie żyła. Włosy okryły ją złocistym płaszczem, cienki strumień krwi spływał na nie z ust zabitej.

Thord patrzał na nią nieprzytomny. Oglądał się, jakby czekał, że ktoś przyjdzie wytłómaczyć mu, co się stało. Lecz na poddaszu nie było nikogo, nikt nie usłyszał strzału, ani krzyku. Musiał zrozumieć sam, zrozumieć jedno: że Lotys już nie żyje. Nie żyje? Dlaczego? Dlaczego Lotys nie żyje? Nie wiedział. Szał minął i zostawił go bezsilnym, ogłupiałym, bezmyślnym, prawie martwym.

— Lotys!

Straszne! Straszne! Nie żyje! Jak strasznie wygląda! Ta krew! Te złote włosy!

„Powiedz królowi, że sama!..“

— Królowi? O tak! król coś usłyszy! Usłyszy!

Pochylił się, chcąc zabrać pistolet z rąk zmarłej, lecz ręka jej, choć zimna, trzymała go silnie, i nie odważył się zadawać jej gwałtu. Bał się. Strach go ogarnął. Obejrzał się wkoło, i wzrok jego zatrzymał się znów na wiązance pysznych róż i storczyków. Chwycił je z uniesieniem i rzucił na ziemię. Upadły obok zmarłej, a struga krwi zwolna posuwała się ku nim. Sergiusz stał i patrzał, patrzał bezmyślnie. Cienka krwawa struga coraz bliżej, bliżej, już dosięgła róży, białej wonnej róży. Splamiła ją, oblała — biały kwiat spoczywa w morzu czerwonem.

Zasłonił sobie oczy i cofnął się ku drzwiom. Zrobiło się już ciemno; przez otwarte okno widział błyszczące gwiazdy na jasnem sklepieniu, gwiazdy drżące, jak codzień. A Lotys nie żyje! Lotys nie żyje? Czy to tylko prawda? Jakież to dziwne!

Nie śmiał się odwrócić, przejęty dreszczem trwogi, cofał się tyłem ku drzwiom i stanął w nich nakoniec, nie odwracając oczu od jasnej plamy na podłodze. To była Lotys.

— Muszę odejść—szepnął nakoniec półgłosem. — Mam ważne zajęcia... Przedstawiciel stolicy! Tyle pracy — pracy dla ludu! Dla ludu? Boże! Lotys nie żyje!

Roześmiał się nagle dzikim, histerycznym śmiechem, ale natychmiast wcisnął rękę do ust, jakby chciał głos ten zamknąć w swojej piersi.

— Lotys! Lotys nie żyje! To ona! Tu leży. Ja nie wiem, kto ją zabił! Nie, nie — nie wiem tego! To ona sama! Tu leży! O, Lotys! Już nie przemówisz nigdy do wzruszonych tłumów! nie będziesz niosła pociechy cierpiącym i smutnym! nie będziesz tuliła sierot do piersi! Lotys!

— „Kocham króla!“ — wyrzekł — i za to umarła! Nie wolno kochać króla! — „Powiedz królowi, że sama!..“ Tak, Lotys... leży tu spokojnie; król dowie się prawdy, dowie się bardzo prędko!

Ciągle w tył się cofając, wyszedł nakoniec z izdebki i drzwi za sobą zamknął. Potem pośpiesznie zsunął się ze schodów, niepewnym krokiem wyszedł na ulicę i utonął w ciemnościach nocy.

XI.

Wielkie wypadki zazwyczaj są niespodziewane. Śmierć Lotys była jednem z takich zdarzeń. Czysta, jak całe życie tej ko-

biety, wolna od jednej samolubnej myśli, złączona z poświęceniem, które było treścią życia.

Ojca, matki — nie znała. Umierającem dzieckiem porzucona na ulicy, wychowana była przez Thorda i nie miała innego opiekuna. Jako dziecko, ukochała swego zbawcę wdzięcznem, gorącem sercem i oddała mu wszystkie uczucia i myśli. Pod wpływem książek, których jej dostarczał, rozwijała szybko wrodzone zdolności, a obdarzona bystrym i jasnym umysłem, wkrótce stała się jego pomocnicą. Niezwykły dar wymowy i znakomitą logikę najprędzej spożytkować mogła piórem; każdy temat obrabiała też z takim talentem, iż opiekun nie wahał się powierzać jej najważniejszych prac agitatorskich i coraz rzadziej potrzebował je poprawiać. Pióro stało się narzędziem jej myśli, myśl dojrzewała i rozszerzała się wspaniale. Przestała być narzędziem jego woli i wykonawcą chęci; zwolna, niepostrzeżenie stała się towarzyszem pracy, najdzielniejszym doradcą, najważniejszą siłą.

Lecz nie myślała o tem. Całem jej pragnieniem było służyć mu wiernie, okazywać wdzięczność, być potrzebną i użyteczną. I tak było do chwili, w której zrozumiała, iż nie jest jego dzieckiem i córką przybraną, ale kobietą, którą kocha, jak mężczyzna. To zmie-

niło jej stanowisko odrazu. Oznajmiła mu serdecznie, lecz stanowczo, iż chce odtąd sama zdobywać chleb własny i rozpocząć żyć własnem życiem. Nie mógł jej tego wzbronić, ani się opierać; rad był nawet, że tym sposobem otrzymywała sama swoją część dochodu, jaką zapewniał jej niezwykły talent w pracy publicystycznej. To nie był rozdział przecie: pracowali razem, szli wspólną drogą, żyli jednem życiem.

Lecz Lotys zamieszkała pośród ubogich, dzieląc się z nimi sercem, pieniędzmi, rozumem, niosąc im w darze wielkie i szlachetne siły. W dzieciństwie nie zaznała dziecięcych radości, młodość jej pozbawiona była szczęścia, wypływającego z uczuć osobistych. Ubodzy nauczyli się kochać ją wkrótce, i to dawało jej pogodę serca, ale nie wystarczało mu zawsze.

Gdy w tej epoce życia poznała Pasquina, zdawało jej się, że znalazła wreszcie towarzysza na resztę drogi. Wszak z własnej woli spotykeł ją wszędzie, towarzyszył do ubogich, wspierał i pocieszał, świadcząc każdym wyrazem, iż ta wspólna praca jest osłodą i rozkoszą jego życia. Lotys zaczęła wtedy marzyć o przyszłości, o swej własnej przyszłości. Marzenia te zdawały się być takie skromne! Od pamiętnego ocalenia króla,

Pasquin widywał ją codzień i codzień dawał wymowne i śmiałe dowody siły i szczerości uczuć. Rozumieli się dobrze i dobrze im było: przed nimi stało szczęście!

Nastąpił „dzień fatalny,“ i wszystko prysnęło; szczęście w mgłę się rozwiało. Pod tym ciosem na chwilę zachwiała się odwaga Lotys: przyszłość stanęła przed nią taka czarna! Król ją kocha — cóż z tego? Droga hańby nie dla niej! I pomyślała o śmierci z tęsknotą, jak więzień o wyzwoleniu.

Wyzwolenie stanęło na jej progu—śmierć przyniósł jej człowiek, któremu tak długo, tak wiernie dotychczas służyła!

Noc upływała zwolna i spokojnie, po niebie przesuwały się białe obłoki, i drżące gwiazdy przez otwarto okno spoglądały ciekawie na Lotys, leżącą w kałuży krwi zastygłej, obok róż konających na podłodze.

Zaświtało nakoniec. Jasny promień słońca upadł na czoło Lotys, ale jej nie zbudził. Leżała nieruchoma, zastygła i sztywna, ściskając broń, wydartą z rąk mordercy.

Zrana, jak zwykle, gospodyni domu, obchodząc lokatorów, zapukała do drzwi, ażeby jej powiedzieć życzliwe: „Dzień dobry!“ Nikt jej nie odpowiedział, więc z pewnem zdziwieniem, ostrożnie, nacisnęła klamkę i zajrzała.

W tej chwili jednak cofnęła się z krzykiem i, wzywając ratunku, zbiegła na ulicę.

— Lotys! Lotys nie żyje!

Wieść straszna w mgnieniu oka obiegła dzielnicę, i tłum gromadzić się zaczął przed domem. Kobiety, dzieci, starcy, ludzie w sile wieku śpieszyli wpół ubrani, z niepokojem w oczach, z wyrazem trwogi na wybladłych twarzach. Przybył znajomy doktor, mieszkający blizko, podniósł zimne już ciało, złożył na wązkiem łóżeczku, zbadał ranę i orzekł, że to samobójstwo.

Wśród tłumu nastąpiło bolesne wzburzenie.

— Samobójstwo? — szeptano. — Czemuż się zabiła? Czyż jej nie kochaliśmy wszyscy, wszyscy?

Kochali ją! Jak bardzo, teraz to czuli dopiero, gdy wszystkie serca ścisnął żal bez granic. Lotys! Jakże żyć bez niej? Ich opiekunka, żywicielka, matka! Tak ją kochali, a teraz... nie żyje!

Wiele kobiet zaczęło płakać głośno, inne modliły się, klęcząc na bruku, inne opowiadały drobne zdarzenia z jej życia, malujące jej dobroć, poświęcenie.

— Kto da znać Sergiuszowi Thordowi?— spytał ktoś z tłumu. — Kto zaniesie mu tę nowinę?

Milczenie tylko było odpowiedzią; nikt nie miał chęci podjąć się takiej usługi.

— A kto da znać królowi? — odezwał się nagle twardy głos Zouche'a, który, o tej porze powracając zwykle do domu, zatrzymał się, ujrzawszy tłum przed domem Lotys.— Lotys ocaliła mu życie! Powinien być zawiadomiony o śmierci!

Mówił ze łzami w głosie; oczy miał zagasłe, a twarz zmienioną i bardzo poważną.

— Król!

Ludzie zaczęli spoglądać na siebie. Oczywiście, król musi być zawiadomiony. Król musiał kochać Lotys, która ich kochała, ten król, najlepszy z królów! Któż mu wieść taką zaniesie?

— Król wiedzieć musi! — rzekł znowu Zouche głośno. — Jeśli niema nikogo, ja pójdę!

Nikt nie głosował za tem, ani przeciw temu, i Zouche wyruszył w drogę.

Trzeba było jeszcze posłać do Sergiusza, a nikt nie miał ochoty podjąć się tej misyi. Któż ośmieli się mu powiedzieć, że Lotys odebrała sobie życie?

Tymczasem ubogie, lecz dobre kobiety zajęły się ciałem zabitej. Ostrożnie zdjęli z niej skrwawioną odzież, rozczesały i ułożyły złote włosy, z wielkim trudem wyjęły jej

z ręki pistolet i ubrały ją w białą suknię. Białe kwiaty złożono jej na piersiach i uporządkowano ubogą izdebkę. Na stoliku pod oknem znaleziono papier, na którym napisane były słowa: „Moja ostatnia wola.“ Ten odłożono do przyjścia Sergiusza. A tymczasem zgromadzeni wchodzili grupami, klękali obok łóżka, modlili się, płakali, całowali ręce, które tyle razy niosły im pomoc skuteczną, błogosławili pamięć utraconej i pytali: czemu odeszła?

W tym samym czasie śmiałym, pewnym krokiem Zouche zbliżał się do pałacu królewskiego. Na pozór był spokojny, trzeźwy i stanowczy; tylko oczy zdradzały ciężki smutek, który mu osiadł na duszy. Pierwszą straż minął bez żadnej przeszkody, lecz zatrzymano go u wejścia do pałacu. Domagał się widzenia z królem; odmówiono stanowczo.

Wtedy napisał swoje imię na karteczce i zażądał, aby natychmiast doręczono ją sir Rogerowi de Launay.

Straż ze zdumieniem spojrzała na niego: ten dziwny, bardzo dziwny, niepozorny człowiek zna sir Rogera i odwołuje się do niego? To może sprawa ważna rzeczywiście!

Poproszono go grzecznie, ażeby zaczekał i posłano po sir Rogera.

Zouche łaskawie usiadł na podanem

krześle i czekał kilka minut w przykładnem milczeniu, obojętnie spoglądając na zbytek i przepych, którym był otoczony.

— Za to wszystko nie kupi zgasłej iskry życia, — myślał w duszy — nie kupi dla serca pociechy. Złoto ni pieśń poety nie odzyszczą tego, co raz stracone: nie wróci, nie wróci!

Ujrzawszy nadchodzącego sir Rogera, pośpieszył naprzeciw niemu.

— Witaj, Zouche! — rzekł de Launay, wstrząsając mu rękę — wcześnie dziś wstałeś. Chcesz się widzieć z królem? Trochę za wcześnie jeszcze. Jego Królewska Mość wyszedł przed chwilą z sypialnego pokoju i jest zajęty pisaniem listów. Czy możesz mi powierzyć swoją sprawę?

Zouche uważnie spojrzał mu w oczy.

— Przychodzę od Lotys — rzekł zwolna i wyraźnie — i muszę osobiście powiedzieć królowi, z czem do niego przyszedłem.

Sir Roger zaniepokoił się widocznie.

— Przynosisz złe nowiny? — szepnął głucho.

— Nie wiem, jak będą tutaj uważane,— odparł Zouche wstrzemięźliwie — lecz mogę je powiedzieć tylko Jego Królewskiej Mości osobiście.

De Launay jeszcze się wahał przez chwilę.

— Jeśli tak... — rzekł nakoniec — jeśli tak być musi... chodź ze mną!

Szedł naprzód szybkim krokiem, aż do biblioteki. Tu skinął na poetę, aby zatrzymał się znowu, a sam oznajmił gościa, dodając półgłosem, że przychodzi „od Lotys."

Król, zajęty pisaniem, odrzucił pióro nerwowym odruchem.

— Od Lotys? — szepnął z błyskiem nadziei w spojrzeniu.—Paweł Zouche przyszedł w imieniu Lotys? Niech wejdzie zaraz!

Zouche wszedł natychmiast i stanął w milczeniu. Jeden rzut oka na tę twarz zmienioną, napiętnowaną poważnem cierpieniem, zgasił w sercu monarchy błysk radości. Skinął na de Launay'a, aby zostawił ich samych, i z niepokojem w duszy odezwał się pierwszy:

— Mów, Zouche! Czego żądasz? Z czem przyszedłeś?

Zouche utopił w nim śmiałe, badawcze spojrzenie.

— Nie żądam nic — odparł łamiącym się głosem; — jako towarzysz, pragnę oszczędzić ci bólu, pragnę spełnić poselstwo... smutne... w taki sposób, aby cię przygotować... bo wiem, żeś ją kochał!.. Lotys...

Serce monarchy przestało uderzać. Co znaczy ten głos drżący? te łzy w oczach?

— Lotys... — powtórzył — i cóż, towarzyszu? Mów! Lotys?..

— Lotys nie żyje!

Zapanowała cisza.

Sztywny, nieruchomy król siedział na krześle, nie okazując znaku życia. Minuty upływały, nie wymawiał słowa, nie podniósł oczu, utkwionych w dywanie, który miał pod nogami.

— Lotys nie żyje! — powtórzył Zouche znowu zwolna, wyraźnie. — Znaleziono ją dzisiaj rano w jej pokoju. Odebrała sobie życie. Pistolet miała w ręku Ubrano ją, i możesz zobaczyć ją, królu... po raz ostatni... jeśli chcesz pożegnać! To jest moje poselstwo. Poselstwo od zmarłej.

Czy król słyszał te słowa? Milczał, nie podniósł oczu.

— Być królem i nie mieć władzy zatrzymać przy życiu ukochanej istoty! — szepnął Zouche z goryczą. — Przez ciebie odebrała sobie życie!

Lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ta sztywna, nieruchoma, uroczysta postać budziła litość w jego sercu. Zbliżył się do monarchy, i stanął tuż przy nim.

— Królu! — rzekł miękko — zawsze cię nienawidziłem! Chciałeś czynić mi dobrze,

dawałeś mi sławę, pracowałeś dla ludu — ja cię nienawidziłem! Nienawidziłem za to, że nie znałeś głodu, że nie wiedziałeś, co to mróz i nędza, że nie wiedziałeś, co to miłość odrzucona! Patrzałem na rosnącą twą miłość dla Lotys, widziałem, że ją kochasz! że ona cię kocha! i gdybyś rzeczywiście był człowiekiem, za jakiego się między nami podawałeś, wszystko mogło skończyć się dobrze. Ale ty jesteś królem, i dla Lotys śmierć tylko pozostała. Ona obrała dobrą, pewną drogę, ale pozostawiła cię *samego*! I dlatego mam dziś współczucie dla ciebie. Ja wiem, co to być samym! Otacza cię pałac, pełen zbytku i wspaniałości, pełen bogactw i skarbów, lecz to wszystko nie cieszy twoich oczu. Sam jesteś, sam na świecie! I ja mam pałac marzeń, skarby ideałów, więcej warte, niż złoto, lecz sam jestem także! Zabiłem sam kobietę, którą ukochałem! Ty zrobiłeś to samo. Taki los mężczyzny! Zabija to, co kocha, potem cierpi wiecznie!

Zwolna, łagodnie przykląkł na jedno kolano i złożył pocałunek na bezwładnej ręce monarchy.

— Królu mój, towarzyszu! żałuję cię bardzo!

Nagle król chwycił jego rękę, ścisnął ją aż boleśnie i podniósł się sztywny. Twarz

miał szarą, zmęczoną, usta bezkrwiste i białe, oczy tylko błyszczały mu gorączką. Starał się jednak panować nad sobą, starał się mówić spokojnie.

— Mów, Zouche, mów jeszcze! Powtórz te straszne wyrazy! Chcę uwierzyć! Lotys nie żyje!

Zouche drgnął: z takim akcentem bólu i rozpaczy padły ostatnie słowa.

— Lotys nie żyje! — powtórzył łagodnie. — Bóg łamie piękne kwiaty, które ludzie kochają. Ona mówiła zawsze o sprawiedliwości i niewzruszonych prawach! Gdzież je znalazła, biedna? A jednakże wierzyła w Boga!

Twarz króla nie zmieniła martwego wyrazu, ale usta szeptać zaczęły:

— Nie żyje! Lotys! Boże! Boże! Wzlecieć ku Tobie i upaść tak strasznie! Lotys odeszła! Cóż mi pozostało?

Blask gorączkowy strzelił mu nagle ze źrenicy, i zaczął mówić szybko, jak w malignie:

— Spiesz, Zouche! Spiesz do niej! Powiedz, że przychodzę! Chcę ją zobaczyć jeszcze! I ciebie chcę spotkać, biedny poeto! Chcę pomówić z tobą. Napisz, niech świat zapłacze nad jej zgonem! Biedny Zouche! Biedni my wszyscy na świecie! Lotys nie żyje!

Silnie nacisnął dzwonek, i sir Roger wszedł natychmiast, ale zadrżał, skoro ujrzał twarz monarchy.

— Bądź łaskaw — rzekł król porywczo, gwałtownie — oddać panu Zouche powóz do rozporządzenia! Ma wiele trudu: całe miasto wiedzieć powinno! Powie ci o czem! Powiedział mi! Lotys — wiesz, Lotys, która ocaliła mi życie, Lotys nie żyje!

Roger cofnął się z tłumionym krzykiem przerażenia.

— Tak nagle... dziwnie! — mówił król gwałtownie, odsuwając na bok listy i papiery. — Noc zapadła bez zmroku. Ciemno. Ale tak bywa zawsze! To tragedya! Lotys była szlachetną, niezwykłą kobietą. Ubodzy odczują stratę! Odczują ją bardzo!

Nagle wskazał gestem, że pragnie sam zostać. De Launay ujął rękę Zouche'a, i w tej samej chwili znaleźli się obaj w sąsiednim pokoju. Tutaj z wyrzutem zwrócił się do niego:

— Jak mogłeś przynieść taką wieść królowi? Czy chcesz go zabić?

— On ją zabił!—ponuro wyszeptał poeta. — Byłaby żyła, gdyby nie stanął na jej drodze. Dlaczego i król nie ma cierpieć, jak każdy człowiek? Ogień cierpienia oczyszcza nam serce, przez nie jedynie podnosimy się

do szlachetności. Człowiek, który nie zna cierpienia, nie ma prawa nazywać się człowiekiem! Nie władza nas podnosi, nie ziemska potęga. Thord sięgał po nią całe swoje życie, a dziś, gdy zdobył to, o co tak walczył, oddałby wszystko za życie kobiety, której już nikt nie wskrzesi! Król dotychczas nie wiedział, że miłość to znaczy ból! Smierć niekiedy!

W kilka godzin cała stolica wzruszona była wieścią o śmierci kobiety, którą za życia znali tylko ubodzy. Dzisiaj budziła ona zaciekawienie powszechne i najżywsze współczucie wśród tysięcy. Każdy ją chciał zobaczyć, i tłumy ciągnęły do ubogiej dzielnicy, na ubogie poddasze, gdzie policya utrzymywała najściślejszy porządek, aby zapobiedz wypadkom, które łatwo wyniknąć mogły przy tak licznem skupieniu ludności ubogiej i boleśnie czującej swoją stratę. Gromadkami wpuszczano ludzi do wązkiej sieni i każdy czekać musiał na swą kolej. Płacz, ciche łkania, szepty, blade twarze były wyrazem żalu, jaki zostawiła wśród tych serc prostych, znających cierpienie.

W parę godzin zaledwie ukazał się Sergiusz. Szedł ze spuszczoną głową, zwichrzonymi włosy, w postawie przygnębionej i jakby nieśmiałej. Jego widok nie wzbudził

jednak tej sympatyi, jakiejby można było oczekiwać od tłumu, którym rządził przez lat tyle. Lud do Sergiusza miał żal ukryty: wszak „przedstawiciel miasta“ porzucił ich sferę, wyniósł się z ich dzielnicy, otoczył się komfortem, bratał się z panami, a kobietę, której zawdzięczał tak wiele, zostawił tutaj samą, na łup losu; może wydał ją śmierci.

Sąd był niesprawiedliwy i niesłuszny, ale gdyby wiedziano prawdę, nie uczucie ufności byłoby zachwiane, ale życiu Sergiusza groziłoby niebezpieczeństwo. Sprawiedliwość mas bywa okrutna i szybka. Na szczęście dla spokoju publicznego, nie przeczuwano prawdy w tej tragedyi i jedynie milczeniem powitano Thorda.

Powóz królewski zbliżał się także powoli, torując sobie drogę pośród tłumu. Powitał go szmer żalu i współczucia. Oto sam król hołd składa ich matce, ich świętej! Usuwano się z drogi, lecz śpieszono naprzód, aby choć z daleka ujrzeć tę wyniosłą postać, wstępującą na nizki próg ubogiej sieni. Tam, u jej łoża, spotka się z Sergiuszem. Obaj stać będą przy niej obok siebie. Ci, którzy po niej zostali na czele. Ach, czemuż, czemuż już niema jej z nimi!

Tłum skupiał się, rozpraszał i gromadził znowu, nie mogąc się oddalić z tego

miejsca, gdzie odtąd nic ich pociągać nie będzie, a gdzie każdy zostawił cząstkę duszy.

Król wszedł nieśmiało do pokoju Lotys. Sergiusz Thord był już tutaj, i olbrzymia jego postać rzucała cień posępny na twarz zmarłej, lecz dla króla równała się pyłkom, krążącym w słonecznej smudze światła. On widział tylko białą, sztywną postać, osypaną kwieciem, w koronie złotych włosów. To była Lotys! *Była!* Ale i te szczątki sprawiały dziwnie ciche i słodkie wrażenie. Twarz jasna i spokojna zdawała się jeszcze uśmiechać, długie rzęsy rzucały cień na blade lica i sprawiały złudzenie, że z pod nich za chwilę błyśnie promień jej wzroku.

Król zbliżał się powoli z widocznem wahaniem. Gdy stanął obok łóżka milczący, spokojny, zdawał się mówić do niej głosem duszy: „Dlaczego to zrobiłaś?“ Nagle pochylił się i drżące usta przycisnął do jej ręki.

Lecz Thord pochwycił silnie jego ramię i z dzikim wzrokiem cofnął go od łoża.

— Nie dotykaj jej! — szepnął głuchym, martwym głosem. — Pozostaw ją w spokoju!

Król podniósł na Sergiusza spokojne wejrzenie zgasłych, posępnych źrenic. Był bardzo zmieniony. Blado-szara twarz jego dziwnie postarzała w ciągu tych kilku godzin, rysy nabrały martwej, spokojnej sztywności,

w źrenicach zgasło wszystko, co jest życiem.

— Tak była nieszczęśliwa?—spytał przyciszonym głosem.

Thord drgnął i cofnął się o parę kroków. Smutny wzrok króla druzgotał mu duszę. Nie, nie mógł, nie mógł znieść tych oczu! W głowie mu zaszumiało, iskry napełniły pokój. Co to się dzieje? Powiedziano mu niegdyś, że z ciała ofiary płynie krew żywa, kiedy się zbliży morderca. Może krew Lotys płynąć będzie znowu? Może król pozna? Może król wie wszystko?

— Tak była nieszczęśliwa? — powtórzył głos króla. — Powiedz... znałeś ją lepiej?

Usta Sergiusza zacięły się groźnie, w piersiach uczuł znów płomień.

— Sądzę, iż Wasza Królewska Mość znałeś ją lepiej! — rzekł sucho.

Smutne oczy monarchy spoczęły znów na jego twarzy.

— Tyle darów, skarbów! Myśl, serce i dusza — już ich niema! Oddałbym za niepaństwo... życie własne! Oddałbym je za chwilę jej cierpienia! Ale ode mnie... nic przyjąć nie chciała!

— Prócz miłości! — rzekł Thord z goryczą.

— To nie było w jej mocy — odparł król spokojnie.

Thord milczał. Serce biło mu gwałtownie, mózg płonął. Czuł w nim uderzenia młota, czuł, że szał go ogarnia, lękał się sam siebie. Ręce wygięły mu się dziwnym ruchem, błysnęły białe zęby — jeszcze mgnienie oka, i rzuci się jak zwierzę na nową ofiarę, rozszarpie ją, zadusi, zamorduje!

A lud?

Lud stoi tam, pod domem na ulicy! Lud, który go ubóstwia! Lud, który mu powierzył swą obronę! Lud sprawiedliwy, groźny!

Opanował się wolą; najwyższym wysiłkiem zbudził w sobie świadomość, a poskromił żądzę zniszczenia. Drżącą ręką wyjął z zanadrza złożony papier i podał królowi.

— Zapewne Wasza Królewska Mość zechce pozwolić na spełnienie jej życzeń w sprawie pogrzebu — rzekł głucho.

Król wziął do ręki papier i przeczytał słowa: „Moja ostatnia wola.“

Przez chwilę patrzał na nie, potem podniósł do ust. Lecz jednocześnie, pomimo całego skupienia myśli i uczuć na Lotys, coś go uderzyło w zachowaniu Thorda. Wydał mu się tak dziwnym! Nawet jego boleść nie była naturalna: nie miał łez w oczach, ani smutku w głosie, ani żalu, ani litości, ani

śladu uczucia w zimnem i twardem spojrzeniu, w groźnym wyrazie twarzy. Popatrzał nań przez chwilę z wyrazem zdziwienia, potem rozłożył papier i czytał z uwagą:

„Do tych, którzy mię znajdą nieżywą!

„Proszę was, dobrzy ludzie, w imię miłości, którą miałam dla was zawsze, nie składajcie zwłok moich w ziemi, ale oddajcie je morzu. Nie chcę zostawić śladu swego istnienia na ziemi. Pozwólcie, niech pochłoną mię wilgotne fale, które tak bardzo lubiłam za życia! A jeśli dusza moja wiedzieć będzie o tem, co się pośród was dzieje, za spełnienie tej woli dozna uczucia wdzięczności i stanie się błogosławieństwem.

Lotys.“

Papier był datowany o kilka lat wcześniej, nie mogło więc ulegać wątpliwości, że nie ma nic wspólnego z samobójstwem.

Król długo trzymał papier, jakby nie mógł oderwać wzroku od tych liter, napisanych ręką ukochanej. Złożył go wreszcie i oddał Thordowi.

— Jej życzenie niechaj będzie spełnione! — rzekł miękko. — Spełnione w sposób godny tej miłości, jaką u stóp jej składa naród cały razem z królem.

Milczał przez chwilę, potem zaczął znowu:

— Tobie, Sergiuszu, przyjacielu i towarzyszu, tobie powierzam spełnienie jej woli. Oddaj jej ciało falom, które ukochała! Smutne to ostatnie zadanie dla ciebie, jej opiekuna, obrońcy i druha...

— Dosyć, dosyć na Boga! — zawołał Thord, łamiąc się, jak podcięte drzewo i padając na kolana u stóp zmarłej. — Przez litość, dosyć, panie! Spełnię wszystko! Tylko pozostaw mię tutaj! Niechaj sam z nią zostanę, choć na chwilę! Sam, na chwilę!

I wybuchając strasznem, wielkiem łkaniem, tarzał się w prochu, pośród białych kwiatów, jak człowiek szalejący z bólu i rozpaczy.

Król z litością patrzał na niego, potem raz jeszcze spoczął smutnym wzrokiem na białej, nieruchomej postaci kobiety, która wskazała mu najszlachetniejszą i najwyższą formę miłości bez granic, a teraz cicho zasnęła snem wiecznym, ze spokojem na bladej twarzy.

— Spotkamy się niezadługo, Lotys! — szepnął cicho. — „Po tamtej stronie grobu!“

I oddalił się spokojnym krokiem, jak człowiek, który zna wyjście z trudnego położenia.

W parę dni potem tysiące ciekawych

zgromadziły się na wybrzeże, aby widzieć niezwykły pogrzeb. Odpływał statek do ziemi nieznanej. Odpływał uroczysty, cichy i wspaniały! Na ciemną purpurą zasłanym pokładzie ustawiono prostą, białą trumnę Lotys i zasypano ją tysiącem kwiatów. Thord własną ręką słał jej to ostatnie łoże, sam układał kwiat każdy, wieńce, wstęgi, liście, najrzadsze i najkosztowniejsze rośliny, aż statek cały zdawał się być jednym wspaniałym klombem kwiatów. Na rozpiętym żaglu złotemi głoskami jaśniało imię: „Lotys.“

Statek pogrzebowy miał być wyprowadzony z przystani na linach przez liczne łodzie parę mil od brzegu i tam na pełnem morzu pozostawiony na wolę wichrom i potężnej fali. W dziwnej sprzeczności z temi przygotowaniami była wspaniała flaga, powiewająca w porcie i w pałacu królewskim, zwiastująca powrót księcia następcy tronu, którego spodziewano się w ciągu dni kilku.

W godzinie oznaczonej wszystko było przygotowane do spełnienia ostatniej ceremonii. Na brzegu oczekiwały na nią tłumy ludu, w porcie setki łodzi. Wszędzie panowała uroczysta cisza. Sergiusz Thord blady, o twarzy kamiennej, układał jeszcze kwiaty koło białej trumny, przyjmował wieńce, które przywożono ciągle. Sam król przysłał wspaniały

wieniec, poświęcony pamięci tej, która ocaliła mu życie. Tylko mała Pequita leżała w gorączce, spowodowanej straszną dla niej wieścią o śmierci swej najdroższej opiekunki.

królewskiego pałacu królowa przez okno z uczuciem ulgi w sercu śledziła tę scenę. Więc Lotys, ta jej nieznana rywalka, nie żyje! Ciało jej zniknie wkrótce w głębi oceanu i pokryje się wieczną ciszą niepamięci.

Ach, królowa była szczęśliwa! Siłą woli ukrywała radość i zadowolenie, lecz młodzieńczy rumieniec krasił jej piękne lica, oczy jaśniały ciepłym, jasnym blaskiem, wydawała się młodszą, piękniejszą, niż zwykle. Zdobyła wielką, nieznaną jej prawdę: poznała miłość! Sama przed sobą wyznała z pokorą, że kocha męża, że stał się wybrańcem jej serca, osią myśli i treścią życia!

Teraz z uczuciem ulgi, z uczuciem rozkoszy patrzała na oddalający się statek, który unosił jedyną zaporę między nią a sercem męża. Okrążające go łodzie malały i tonęły w złocistym blasku zachodzącego słońca, ale królowa śledziła je pilnie, ze wzrastającą niecierpliwością.

Nakoniec zdawało się, że stanęły w miejscu. Statek pogrzebowy wyglądał jak punkcik. Nagle silniejszy widać podmuch wiatru

poniósł go dalej, zanurzył w jasności, błękicie i... przestał istnieć dla niej.

Łodzie widocznie wracały do portu, tłum na wybrzeżu zaczął się rozpraszać, widowisko było skończone, spełnił się smutny obrząd. Lotys nie było— nie było jej nigdzie na ziemi!

Królowa z lekkiem sercem podniosła się z miejsca. Wszystko skończone. Kobieta, która miała groźny dla niej wpływ na męża, nie istnieje! Teraz ona otoczy go tem przywiązaniem, którego zawsze pragnął nadaremnie. Teraz stanie się wreszcie ów cud pożądany: królowa zacznie kochać!

Uśmiechała się niezwykłym uśmiechem, oczy jej miały wyraz dziwnie miękki i serdeczny. Spieszyła zmienić suknie na przyjęcie króla i raz spojrzała na morze, na zachodzące słońce. Z pod horyzontu wypływały ciemne, mieniące się purpurą, wielkie chmury. Wznosiły się powoli, potężne, olbrzymie, niby góry, rosnące czarodziejską siłą. Gwałtowny poryw wiatru wstrząsnął drzewem w ogrodzie, i przeciągłym szumem niewidzialna groźba przemknęła w powietrzu.

— Będzie burza w nocy — rzekła spokojnie królowa, i raz jeszcze spojrzała na wybrzeże, na lekko wzdęte fale, dążące do brze-

gu, i daleki horyzont, gdzie zniknął statek pogrzebowy.

Burza będzie. Wicher i fale rzucą w tan śmiertelny wątły statek, niosący martwe zwłoki ludzkie, zepchną go w czarne, bezdenne otchłanie, i na ziemi, ani na morzu nie będzie śladu nieznanej kobiety, którą nazwano Lotys.

Z uśmiechem zwróciła się do swej ulubionej damy, Teresy de Launay, która śledziła także obchód pogrzebowy, lecz widocznie z innem zupełnie uczuciem, gdyż oczy miała jeszcze pełne łez i smutku.

— Jak ją wszyscy musieli kochać! — rzekła z żalem. — Każde dziecko przyniosło kwiatek na jej trumnę, a wiele kobiet widziałam płaczących. Musiała być istotnie dobrą i szlachetną, musiała kochać biednych.

Królowa milczała.

— Myślałam o niej nieraz od tego dnia, kiedy ocaliła królowi życie — zaczęła znów Teresa. — Bardzo pragnęłam ją poznać. Waszej Królewskiej Mości musi być przykro, że nie podziękowałaś jej za to przed śmiercią?

Twarz królowej przybrała wyraz posępny, surowy.

— Spełniła tylko obowiązek — rzekła zimno.—Każdy z poddanych czułby się dumnym i szczęśliwym, gdyby mu los pozwolił ocalić życie monarsze.

Drzwi otworzyły się niespodziewanie, i wszedł Roger de Launay. Na widok królowej zatrzymał się u progu ze zdziwieniem.

— Wybacz pani — rzekł, składając nizki ukłon.—Spodziewałem się zastać tu króla.

— Powinien być już tutaj, — odparła królowa uprzejmie — lecz musiał się zatrzymać tam, wśród ludu, który go tak ubóstwia. Poszedł zobaczyć także ten niezwykły pogrzeb — dorzuciła z uśmiechem — i nie oznaczył godziny powrotu.

Ale twarz sir Rogera nie była spokojna; malowało się na niej nerwowe wahanie.

Królowa zauważyła to wreszcie.

— Ach! — rzekła — zaczekaj pan tutaj... przypomniałam sobie: o zachodzie słońca miał mi coś przysłać do mego pokoju. Prosił, abym była tam sama. Może czeka na mnie.

O ldaliła się swobodnie, spokojna i uśmiechnięta, a Roger de Launay zbliżył się do siostry i ze współczuciem spojrzał na jej zapłakane oczy.

— Płakałaś? — spytał. — Czego?

— Bez przyczyny. Ten pogrzeb sprawił na mnie tak smutne wrażenie. Zbudził jakieś smutne przeczucia.

Roger nie odpowiedział. Zanadto był zajęty własnemi myślami. Machinalnie zbliżył się teraz do okna i spojrzał na rozległy widok.

— Będzie burza dziś w nocy — zauważył. — Spojrzyj tylko na chmury na zachodzie.

— Tak!—szepnęła Teresa.—Będzie burza.

— O, pani!.. — krzyknęła nagle, gdy ręka królowej konwulsyjnym ruchem ścisnęła jej ramię.

Umilkła wnet na widok postaci, którą miała przed sobą. Twarz królowej była marmurowo-biała, oczy błędne z wyrazem grozy. W ręku trzymała papier, który podniosła ku sir Rogerowi, jak straszne oskarżenie.

— Gdzie jest król? — zapytała takim głosem, że serce Teresy zamarło. — Odpowiedz mi, sir de Launay! Żądam od ciebie odpowiedzi! Tobie przecież, przyjacielowi i słudze, powierzyłam jego bezpieczeństwo! Gdzie jest król? Odpowiadaj!

Sir Roger patrzał na nią z wyrazem zdumienia i trwogi.

— Pani!.. — wyjąkał — bezpieczeństwo króla... Skąd mogę wiedzieć, co mu grozi? Wiem tylko jedno, że doznał ciężkiego zmartwienia.

Oczy królowej cisnęły mu błyskawicę

— Jakie zmartwienie?—zapytała dumnie

De Launay nie mógł pojąć zapytania: wszak wiedziała najlepiej.

— Nie mam prawa odpowiedzieć Waszej Królewskiej Mości — rzekł, panując nad sobą.

Milczała chwilę, oddychając ciężko. Łzy wielkie napełniły jej oczy, lecz nie spłynęły po twarzy.

— Kiedy po raz ostatni widziałeś pan króla?

— Przed trzema godzinami. Kazał mi odejść. Chciał być sam. Mówił, że chce się oddalić z wybrzeża, aby nie widzieć morza, ani pogrzebu Lotys.

Twarz królowej była zielonawo-szara. Zachwiała się, jak gdyby miała upaść. Teresa de Launay pośpieszyła jej na pomoc.

— Pani! pani! — szeptała drżącym głosem. — Król będzie tu wkrótce!

— Król nie powróci nigdy! — wybuchnęła nagle królowa. — Nie powróci już wcale!.. nigdy!.. nigdy!.. Wiem to... czuję: straciłam go na zawsze! Odszedł ode mnie! Ale dokąd? Boże! Dokąd? O, Boże!..

— Pani! — szepnął sir Roger, wzruszony do głębi. — Ten papier może...

— Ten papier...—przerwała mu, siląc się na spokój, — ten papier mianuje mię regentką do powrotu syna. Więc jest pożegnaniem! Pożegnaniem? Dlaczego? Niewierny sługo, gdzie pan twój?—krzyknęła z rozpaczą w gło-

sie.—O, Boże, ja wierzyłam, że choć ten mię kocha!

Fala krwi uderzyła sir Rogerowi do twarzy.

— Bóg widzi, pani,—odparł — jak pragnąłem służyć ci wiernie!

— Więc zwróć mi króla! — rzekła, wyciągając rękę gestem rozkazującym.—Rozkazuję ci odszukać króla, męża mego, którego kocham! Idź za mnie, szukaj! Chcę, by tu był znowu. Odszukaj go na morzu, czy na lądzie!.. w samem piekle! Wszystko mi jedno! Nie tutaj miejsce twoje, ale obok twego pana i monarchy! Jeśli nie wiesz, gdzie go szukać, to się dowiedz! Bez niego nie chcę więcej widzieć twojej twarzy! Precz z moich oczu! I nie waż się więcej przestąpić tego progu, jeśli król nie będzie z tobą!

— Pani, o pani! — załkała boleśnie Teresa. — Czyż skazujesz brata mego na wygnanie? A jeśli król nie żyje?

— Nie żyje?—powtórzyła królowa z wyrazem bólu i zdumienia. — Król nie mógł umrzeć! Żyje! Za silny był, za odważny, by umierać! On samą śmierć zwyciężył. Żyje i żyć musi! Inaczej być nie może.

Zwróciła się do sir Rogera, który stał blady, niemy, jak posąg rozpaczy.

— Powierzam panu wielkie zadanie; żądam, abyś je spełnił.

Drgnął, jakby ocknął się z bolesnych marzeń.

— Postaram się je spełnić — rzekł poważnie. — Spieszę za królem. Do jego powrotu nie wrócę. Więc żegnam!

Objął siostrę i przycisnął ją do serca, złożył głęboki ukłon przed królową i oddalił się w milczeniu.

— Roger, ach, Roger! — wybuchnęła nagle Teresa, kiedy ucichło echo jego kroków. — Błagam cię, powróć! powróć!

I padając przed królową na kolana, zaniosła się bolesnym płaczem.

— Więc mam stracić brata! O, pani! O, pani! miej litość, trochę serca!

— Nie mam serca! — zimno odparła królowa, choć łzy gorące nagle popłynęły jej po twarzy. — Serce moje jest z królem! Nie mam serca.

XII.

Groźna burza zbliżała się od strony morza. Ciężkie, purpurowe chmury na zachodzie podnosiły się szybko, łączyły i zlewały w jed-

ną wielką masę i zakrywały niebo czarnym płaszczem. Wicher budził się także gdzieś na krańcach oceanu i z jękiem szedł ku ziemi, piętrząc przed sobą fale, które olbrzymim wałem toczyły się naprzód, pozostawiając za sobą przepaście. Statki rybackie chroniły się w porcie, opustoszało morze, ucichło życie na wybrzeżu.

René Ronsard wprawnem uchem, a może instynktem odczuł i przepowiedział zbliżającą się burzę, a teraz siedział w swej wygodnej chacie, zmęczony, trochę słaby, rad, że profesor von Glauben przybył go odwiedzić i rozproszył ciszę zupełnej samotności, w jakiej żył obecnie.

Doktor von Glauben razem z sir Rogerem towarzyszyli królowi nad morze podczas uroczystości pogrzebowej. Lecz potem się rozstali. Profesor był zgnębiony i rozdrażniony przeczuciem, z którego sprawy sobie zdać nie umiał. Król cierpiał; o tem nie wątpił na chwilę. Ale czy są na świecie leki na to cierpienie? W ciągu dni kilku monarcha zmienił się ogromnie, pochylił i postarzał. Dumna głowa bezwładnie zwisła na piersi, oczy straciły blask i życie, ruchy — energię, wyraz szlachetny twarzy stał się apatyczny, zimny, zamknięty w sobie. Profeser okiem przyjaciela i doktora widział i oceniał tę wewnętrz-

ną walkę, wobec której bezsilną była jego wiedza. I nie mając sposobu, ani rady na cierpienie, doktor zapragnął nagle uciec od jego widoku, aby dać odpoczynek własnym nerwom i rozerwać myśl nowemi wrażeniami.

Gdy oznajmił królowi, iż pragnie popłynąć na Wyspę i spędzić noc u Ronsarda, monarcha z jakimś nerwowym pośpiechem udzielił mu żądanego pozwolenia. W rzeczywistości chętnie pozbywał się świadka tajonej męki, którą doktor niewątpliwie czytał w jego duszy. Obaj wiedzieli, że w danych warunkach najżyczliwsza troskliwość musi być natrętna, i profesor odpływał z całym spokojem sumienia.

A teraz, siedząc w dużej izbie przed kominkiem, na którym żywo płonął jasny ogień, usiłował odegnać smutek, zniechęcenie, które, podobnie jak chmury na niebie, ciężyły mu na duszy. Przecież przyjechał tutaj nie tylko dla siebie: należy się Ronsardowi kilka słów życzliwych, któreby go pokrzepiły w samotności. Wicher w ogrodzie wstrząsał gwałtownie drzewami, uderzał w okna, z jękiem szalał pode drzwiami i nie usposabiał do myśli wesołych, lecz profesor poczuwał się do obowiązku względem starca, który siedział na fotelu z wyrazem ostatecznego przygnębienia i apatyi.

— Tak nie można, Ronsardzie! — rzekł po długiej chwili, widząc łzy, spływające mu zwolna po twarzy. — Nie, nie, nie trzeba! Pomyśl, jaką przykrość wyrządziłbyś Gloryi, gdyby cię z taką twarzą zobaczyła. A lada dzień przybędzie! Pomyśl o tem! Pomyśl, jakie radosne będzie powitanie! jaki wjazd tryumfalny!

— Nie jestem jej potrzebny! — rzekł Ronsard powoli. — W gruncie rzeczy nie jestem dla niej niczem, nie mam do niej żadnego prawa. Znalazłem ją, jak żebrak, który znajdzie klejnot. Klejnot umieszczą potem w koronie królewskiej, a żebrak pójdzie swoją drogą. Nie stworzył on dyamentu, nie jest jego właścicielem.

— Glorya cię kocha! — rzekł von Glauben z naciskiem. — Jej serce nie oddali się od ciebie nigdy!

Ronsard uśmiechnął się bladym uśmiechem.

— Prawo przemiany jest prawem natury — szepnął łagodnie. — Wszystko się zmienia i zmieniać się musi. Nikt się z pod tego prawa nie wyłamie. Stary umiera, młody się rozwija, przeistacza. Co do mnie, czekam śmierci. Im prędzej, tem lepiej... O nią jestem spokojny. Słońce i morze są jej rodzicami.

Taki był podobno początek piękności na ziemi... Dziecię żywiołów stanie ponad ludźmi.

Nagle wiatr uderzył w chatę z taką siłą, iż zatrzęsły się mury, zawył w kominie, jęknął za oknami, szarpnął konary drzew i pobiegł dalej do przeciwnego brzegu.

— Brzydka noc — rzekł profesor z lekkim dreszczem. — Biedna Lotys! Głębia morza szybko pochłonie jej szczątki i, jak chciała, nie będzie śladu po niej. Biedna, szlachetna dusza!

— Nigdy jej nie widziałem — zauważył Ronsard. — Sergiusza Thorda widywałem często, lecz Lotys pozostała dla mnie tylko dźwiękiem. Wiem, że to dźwięk potężny, dźwięk miłości ludu. Glorya pragnęła ją poznać; mówiła o niej nieraz.

— Psychologicznie była to istota zupełnie wyjątkowa — rzekł von Glauben z przekonaniem. — Przyznaję, że mię zdumiewała. Nie znam i nie znałem podobnej kobiety. Była piękna, nie mając warunków piękności. Takie oddziaływają najsilniej na mężczyzn! Na mężczyzn, nie na młodzież. Serce kobiety i umysł mężczyzny w połączeniu mogą stworzyć geniusz. Jednego tylko zrozumieć nie mogę: jej samobójstwa. Tego się po niej nigdy, nigdy nie spodziewałem! Była silna,

i zaliczałem ją do tych, co tem wytrwalej walczą, im trudniejsze dla nich zwycięstwo.

W pokoju zapanowało milczenie; wicher tylko uderzał w szyby, niby demon wściekłości i rozpaczy.

— Gdzie jest Thord? — spytał Ronsard.

— Nie wiem. Widziałem go na statku, jak układał kwiaty na trumnie. Później nie było go w łodziach, które ciągnęły statek pogrzebowy. Zapewne wrócił do miasta. Jako deputowany, ma teraz dużo pracy.

Oczy Ronsarda błysnęły złośliwym, ironicznym blaskiem.

— Gdyby nie Lotys, nie byłby tym deputowanym — zauważył z goryczą. — To materyał na anarchistę, komunistę, burzyciela, ale nie na pracownika społecznego. Większego malkontenta niema w całym kraju. Ileż razy słyszałem, jak dowodził, że przedewszystkiem dla dobra ogółu trzeba zabić króla!

— Tak! — potwierdził doktor z westchnieniem, pochylając głowę w stronę płonącego ognia, i zamyślił się głęboko.

Cisza zasiadła znowu u tego ogniska i położyła ręce na ustach dwóch starców, którzy cofnęli się myślą w głąb siebie. Burza szalała, zdawała się wzrastać z każdą minutą, huk gromów z jękiem wiatru zlewał się w jedno, ogłuszający łoskot rozlegał się

w lesie, to znowu szum płaczliwy drzew szarpanych wichrem.

A tam na morzu ludzie... Statek księcia Humberta musi być gdzieś niedaleko i może walczy z burzą i niebezpieczeństwem. A statek Lotys śpieszy, śpieszy bezpowrotnie w krainę zapomnienia i ciemności.

A król? Czy w sercu jego nie groźniejsza burza, nie większe i straszniejsze spustoszenie?

Von Glauben uczuł, że się nie ukrył przed niczem, nie uciekł przed denerwującemi wrażeniami. Okropny ciężar przygniótł go i tutaj, ciężar nieokreślonej, bolesnej obawy. Ruch wahadła zegaru drażnił go i bolał: każda minuta była taka długa, tak nieskończenie ciężka!

Silne stukanie do drzwi spłoszyło zadumę; obaj mężczyźni drgnęli i powstali razem, a w tejże chwili ukazał się w progu człowiek z rozwianym włosem, w przemokłej odzieży, z bladą twarzą i wzrokiem przerażonym.

— Ronsardzie!—rzekł, chwytając z trudnością powietrze. — To był król! Jestem pewny... widziałem! To był król!

Ronsard mierzył go wzrokiem badawczym, zdziwionym. Był to ubogi rybak i mieszkaniec Wyspy, widocznie wracający prosto z morza.

— Co to znaczy? — zapytał.—Co chcesz powiedzieć o królu?

Z trudnością, przytrzymując ręką drzwi otwarte, rybak wskazał gestem na niebo i morze. Po niebie kłębiły się wielkie, ciemne masy, lecz wicher rwał je w strzępy i niósł z gwałtownością, a kiedy niekiedy przesuwał się pomiędzy niemi, jak blada kula, wystraszony księżyc. A tam, od morza, wrzały i huczały fale, uderzające o skały wybrzeża.

— Burza, burza! — powtarzał. — Niema dla niego ratunku! Bałwany na dwa piętra! Niema ratunku, niema!

— Dla kogo niema ratunku? — spytał niecierpliwie von Glauben. — Mówże, człowieku, jasno! Nikt cię nie rozumie.

— To był król! — rzekł znów rybak.— Poznałem go w ostatniej chwili. Księżyc wyszedł z za chmury, i było dosyć jasno. Widziałem... Bardzo blady, ale skoczył jak dobry rybak.

— Gdzie? Kiedy? Mów wyraźnie! Gdzie widziałeś króla?

— Opowiedz od początku! — odezwał się Ronsard, znający lepiej sposób mówienia rybaków.

— To było po pogrzebie tej kobiety, Lotys — zaczął rybak. — Byłem w porcie i już miałem wracać: widziałem, że się zanosi

na burzę. Ale daleko, bo prawie za miastem, skinął na mnie jakiś człowiek nieznajomy i zapytał, czy potrafię tak popłynąć, ażeby spotkać statek pogrzebowy. Dlaczego nie? Obiecał zapłacić mi dobrze. Popłynęliśmy. Nie przyglądałem mu się—cóż mię to obchodzi, kto płaci? Miał duży kapelusz, usiadł w łódce i nic nie mówił. Już i ściemniało, bo chmury biegły od zachodu; wiatr przeszkadzał, musiałem się dobrze namęczyć.

Odetchnął znowu ciężko, jakby zbierał myśli.

— Kończ! — rzekł Ronsard, ujmując go nagle za ramię.

— Śpieszyłem, ile mogłem—ciągnął rybak dalej. — Widzieliśmy zdaleka, gdy przecięto liny i puszczono Lotys na wolę fal i wichru. Wtedy podwoiłem pracę; spotkaliśmy się wreszcie, i w tej samej chwili człowiek, którego wiozłem, lekkim, jak ptak, skokiem dostał się z mojej łodzi na jej statek. „Bądź zdrów! niech ci się najlepiej powodzi!“ — zawołał, oddalając się z każdą sekundą. Wiatr uciszył się właśnie, jasna błyskawica oblała morze, i widziałem wtedy, bo stał bez kapelusza, odwrócony do mnie—widziałem i poznałem króla!

— *Gott im Himmel!* Ten człowiek sam nie wie, co mówi! — zawołał doktor z obu-

rzeniem. — Króla widziałem na godzinę przed odjazdem; mówił, że wraca do miasta... Czy mówił?.. Nie wiem. Lecz wracał do siebie— jestem... jestem przekonany!

— Przysięgnę, że to był król! — zawołał rybak. — A takiej nocy nie ujdzie zagłady! Żywi i umarli muszą zginąć razem!

Z niepojętą i zdumiewającą szybkością Ronsard, jak gdyby spadło mu z pleców pół wieku, skierował się w kąt izby, zdjął z kołka zwiniętą linę, silnym ruchem młodzieńca opasał się szybko w pół ciała i zmierzał ku drzwiom.

— Gdzie łódź twoja? — spytał rybaka.

— Tam, u brzegu,—ale .. cóż to?.. przecież nikt nie popłynie w taką burzę?

— Ja spróbuję! — rzekł Ronsard.—Jeśli to był król rzeczywiście, ocalę go, jeśli ocalić go można. Wola Boża! Mam dług względem „króla,“ który spłacić trzeba. Jak Bóg zechce! Prąd w tem miejscu okrąża Wyspę, i statek Lotys musi płynąć tędy. Więc chybaby fala była za silna dla mnie.

— Nie poradzisz! — zawołał rybak. — Nie poradzisz! Wierz mi, Ronsardzie, to daremna praca! Bodaj deszcz upadł, byłoby już lepiej, a w taki wicher co tam ludzka siła znaczy!

— Jak Bóg zechce! Wszystko mi jedno. Boisz się— sam popłynę

— Co zamierzasz, Ronsardzie? — zawołał von Glauben, jakby zbudzony ze snu. — Cóż tu człowiek poradzić może wobec potęgi żywiołów?

— Jest nad nimi władza i siła — rzekł Ronsard. — Ona rządzi. Moja przeszłość potrzebuje odkupienia. Sam Bóg zesłał mi rozkaz! Ocalę go, lub zginę!

— Idę z tobą! — rzekł von Glauben zrozpaczony.

Ronsard potrząsnął głową.

— Nie, przyjacielu! Nie chcesz i nie możesz! Ktoś musi powitać Gloryę, powiedzieć, że kochałem ją do końca. Przede mną obowiązek!

Zdawało się, że odmłodniał w tej godzinie. Członki odzyskały giętkość i swobodę ruchu, spojrzenie blask i zapał, głos energię i siłę. Von Glauben patrzał na niego zdumiony.

— Co myślisz o tem, przyjacielu?—spytał, odwracając się nagle do rybaka. — Co was czeka: śmierć, czy zwycięstwo?

— Śmierć! — odparł rybak głucho. — Smierć nieunikniona! To szaleństwo wypływać dziś na morze!

— Masz pewno żonę, dzieci? *Ach, so*— mówił profesor. — Nie możesz płynąć z nami. Jestem gotów, Ronsardzie! Mogę płynąć z tobą; śmierci się nie obawiam: umiem zwinąć żagiel i wiosło też udźwignę. Na miłość Gloryi zaklinam cię, weź mię!

— Przez miłość Gloryi, zostań!—odparł Ronsard i wybiegł do ogrodu.

Doktor pośpieszył za nim, lecz zaraz za progiem ogarnęła go ciemność. Ostre gałęzie drzew, szarpane wichrem, smagały go po twarzy, grunt rozmiękły ślizgał się pod jego stopą, wiatr rozpierał mu oddech i tamował kroki. Wiedział dobrze, w którą stronę śpieszyć trzeba, głuchy ryk morza był mu zresztą przewodnikiem, ale krok każdy był wysiłkiem, walką, a czas upływał.

— Ronsardzie! — krzyknął całą masą głosu, który wiatr jednak stłumił i rozproszył. — Ronsardzie!

Głosu nie było słychać. Chwytał się gałęzi, aby nie upaść na grunt ślizki, mokry; posuwał się powoli, tracąc z każdym krokiem nadzieję przyjścia z pomocą starcowi. Przed nim wznosiła się pochyłość wzgórza, na które tyle razy wchodził obok Gloryi, ale dziś... czyż się wedrze?

Zdawało mu się, że gdyby nie wicher, znalazłby lepszą ścieżkę pomiędzy drzewami,

wydostałby się na brzeg, a tam piasek, równo.

Ale tymczasem Ronsard już daleko, a on— pył w mocy wichru, bez woli, bez siły!

Łzy stanęły mu w oczach.

— Oto jestem bezużyteczny!—rzekł z rozpaczą. — Nie mam siły ocalić życia, za które oddałbym własne! A może zresztą to bajka, złudzenie! Skąd pewność, że król na morzu? Czyż dla jednej kobiety nieżyjącej rzucałby życie i jego zadania? Rybak się mylił.

— Ronsardzie! Ronsardzie!

Nie było odpowiedzi, a głos jakiś szeptał mu, że wbrew logice zdarzają się rzeczy podobne. Tyle żył, tyle widział! Wiedział z doświadczenia, że miłość, jak choroba, w pewnych fazach swego rozwoju jest wszechwładną potęgą wobec rozumu i woli, które zamienia w nicość. Antoniusza zgubił uśmiech Kleopatry, Henryk VIII dla kobiety zmienił wiarę. A ileż innych imion wyliczyćby można!

Zmęczony, pokonany, zwiesił smutnie głowę i z trudem znowu zaczął szukać drogi, ażeby schronić się pod dachem. Być może, że i Ronsard cofnie się w ostatniej chwili, może uzna swą niemoc wobec sił natury. A może już powrócił?

Ale domek był pusty; w izbie dwa fotele, jasno-płonący ogień i monotonny głos

zegara, mierzącego sekundy i minuty. Wyjrzał jeszcze do sieni, do ogrodu, wezwał Ronsarda, ale nadaremnie, więc zamknął drzwi z uczuciem głębokiego upokorzenia i zmęczony upadł na krzesło.

Natura zwyciężyła: myśli biegły mniej szybko, obrazy zlewały się i zacierały nawzajem, powieki opadły mu ciężko na oczy.

Chciał zapomnieć o wszystkiem, odpocząć przez chwilę i doczekać się czegoś. Czego się może doczekać?

Sen ciężki przeniósł go z powrotem do stolicy, do królewskiego zamku; widział tam, jak na dłoni, nowy rozdział do swojej „Historyi głodu.“ Oto deputowany Sergiusz Thord wynosi się na barkach ludu, który następnie depcze i uciska niebywałą tyranią. Wydarł królowi władzę i nadużywa jej dla swej korzyści, a monarchę z ciałem zabitej kobiety przykuł do skały morskiej żelaznym łańcuchem. Lecz król jest nieśmiertelny i śpiewa pieśń miłości nieśmiertelnej, której zabić ręka tyrana nie zdoła.

A po wzburzonem morzu w wątłej łodzi mknie Ronsard w towarzystwie zręcznego rybaka. Ubogi człowiek nie chciał go opuścić, i mimo nalegania i próśb starca, odważnie stanął do wiosła i steru. Silne dłonie po-

pchnęły statek przeciw fali, i można było myśleć, że Pan Bóg jest z nimi, z taką szybkością przerzynali długie, spiętrzone wały morskie, dążąc ukośnie do prądu. Ronsard zdawał się mieć siły olbrzyma i zręczność 20-letniego młodzieńca; każdy ruch jego wiosła, każde drgnienie liny lub steru wskazywały mistrza. Widząc to, rybak zaczął mieć nadzieję, że z takim graczem mogą wyjść zwycięsko, dokazać cudu, jeśli Bóg zechce.

— Dalej od lądu może być spokojniej— szepnął z otuchą.

Ronsard skinął głową. Ponieważ księżyc wypłynął na chwilę z poszarpanych obłoków, starzec bacznem okiem śledził odległe krańce horyzontu, błyszczące jak linia srebrna. Ale nie było nic widać na fali...

I znowu ciemność, znowu walka z falą, wdzieranie się na wały i spadanie w przepaść, bez wypoczynku...

Nagle rybak rzucił się naprzód gwałtownie.

— Tam! tam! Ronsardzie! Widzisz? Łódź umarłej!

Z głuchym krzykiem radości Ronsard zwrócił się w tę stronę i w niewielkiem napozór oddaleniu ujrzał istotnie statek pogrzebowy, podrzucany i szalejący na fali.

Teraz wie, dokąd płynie, cel ma wyraźny.

— Ocalę go!—powtarza.—Ja ocalę króla! To będzie odkupienie! Boże, Boże!

Gwałtowny podmuch wiatru pochylił łódź na bok, i Ronsard chwycił liny z olbrzymim wysiłkiem, ażeby jej przywrócić proste położenie. Ale nie widział olbrzymiej, zielonawej góry, która podniosła się nagle z otchłani, długa, jak żmija, pełzająca w dole tysiącem niewidzialnych nóg, z zadartą głową, i niby potwór, rzuciła się na nich. Krzyk rozpaczy wydarł się z piersi rybaka. Zielona góra spadła na łódź ciężką masą, pokryła ją, zmiażdżyła, bryznęła pianą i popłynęła dalej przy odgłosie grzmotu, nie zostawiając na powierzchni morza śladu człowieka, ani szczątków swojej zbrodni.

Pokryty falą, Ronsard na jedną sekundę ujrzał drogą twarz Gloryi, niby jasną gwiazdę na dnie czarnej otchłani. Potem wszystko zagasło. Dług życia nakoniec spłacony!

Dziki taniec żywiołów zdawał się szaleć bez końca. Morze huczało groźnie, piętrzyły się fale i z rykiem opadały. Po ciemnem niebie czarne i białe obłoki ścigały się, splatały, szarpały na części, ukazując oko spokojne księżyca, świadka tej strasznej i wspaniałej sceny. Wśród tego wiru purpurowy statek,

osypany kwiatami, szedł za wolą fali i cudem prawie mknął dotychczas po jej powierzchni, miotany wichrem, bez steru i kierownika.

Bez kierownika, chociaż obok trumny stał człowiek żywy, dla którego życie straciło wartość, a śmierć swoją grozę. Stał król. Wyrzekł się tronu, władzy, istnienia na ziemi i dobrowolnie śpieszył w kraj nieznany... Czy to był szał, gorączka, obłąd? — sam nie wiedział, ale czuł, że od chwili, gdy Lotys żyć przestała, nic go już z ziemią nie łączy.

Wprawdzie niedawno jeszcze widział przed sobą wielkie, pełne chwały zadanie względem kraju, zadanie, które może dałoby mu szczęście. Ale dziś zwątpił o wszystkiem. Reformy i zmiany—złudzenia wyobraźni. W zamiarach wszystko piękne i obiecujące, w rzeczywistości zaś... Lotys zabrała mu wiarę i siłę, nie był zdolny do pracy ani walki. Wszystko wydało mu się znikomem, błahem, monotonnem, bezcelowem.

Postanowił popłynąć z Lotys na „tamtą stronę grobu," jak się wyraziła, popłynąć tam, gdzie zaczyna się „nowe życie!" Nie czuł bólu, lecz próżnię, w której nie mógł oddychać.

Miłość i śmierć złączyły się w nim w jedno pojęcie, w słodki obraz jasnej, nieznanej przyszłości.

Burza, walka żywiołów — nie przerażały

go wcale. Znalazłszy się na statku, doznał pierwszej ulgi, spadł mu z ramion pierwszy płaszcz ziemskiego bytu, płaszcz ciężki i krępujący. Tutaj było mu dobrze. Poprawił wieńce, które fala zdarła z trumny, ocalił kilka kwiatów od upadku w morze, osłaniał drogie zwłoki od uderzeń, i było mu błogo.

— Droga Lotys!—szepnął, patrząc z miłością na trumnę.—Ty znałaś życie, znałaś jego wartość, nędzę jego ambicyi, władzy, dążeń, zwycięstw; ty wiedziałaś, że miłość tylko nie ma końca, nie gaśnie, i śmierć sama nie może jej pokonać. Życie twoje było miłością bez granic—kochałaś wszystkich, a gdy prawa ludzkie zabroniły ci kochać na tej ziemi, porzuciłaś ją dla miłości wiecznej! Lotys moja, dlaczegóż nie byłem ciebie godzien? Czemuż los nie pozwolił mi pracą i walką stać się godnym ciebie, najdroższa?

Oparł czoło na trumnie.

— Spotkamy się, ukochana, wkrótce, wkrótce—szepnął. — Po tamtej stronie grobu dla nas życie!

Burza nie sprawiała na nim wrażenia grozy: wszakże przybył tu po śmierć i oczekiwał jej z całym spokojem, patrząc na ten obraz niezwykły. Przeszłość stawała przed nim chwilami w obrazach, które się przesuwały, niby odległe widoki o zatartych kon-

turach. Była pomiędzy nimi i postać królowej.

— Nie zapłacze — szepnął z goryczą. — W jej życiu byłem cierniem, który przestał wreszcie dolegać.

Przypomniał sobie młodość, jej puste wesele, rozrywki, przyjemności... Potem stanęli przed nim Rupert i Cypryan, synowie, obcy mu sercem i duchem... Potem Humbert z kochaną i piękną małżonką, na którego tron i naród oczekuje.

— Błogosławieni, którzy kochają—rzekł miękko:—los dał im tarczę skuteczną w nieszczęściu, silną wobec przeciwności. Dzięki ci, Boże, za to, iż nie złamałem tej tarczy! Wiara młodości była ich rozumem, wyższym od mego doświadczenia, i zachowali wielką miłość od rozbicia, miłość, która do śmierci osłaniać ich będzie od złego.

Kogóż jeszcze zostawił poza sobą? — Lud? Lud ubóstwiał go w ostatnich czasach, ale lud krótką ma pamięć. Walki, podboje, zwycięstwa i klęski zmieniają się tak szybko w pamięci zbiorowej, jak kształty chmur na niebie. Własny los, własne szczęście—to treść życia; reszta to dekoracya.

„Król umarł. — Niech żyje król!“ — to wszystko.

Ujrzał Humberta z żoną, witanego przez tłumy z uniesieniem. Nowi członkowie rządu składają mu sprawozdanie z zamierzonych reform, które on potwierdza. Następuje uroczysta koronacya, Glorya jaśnieje nową, młodzieńczą pięknością; zamiast księstw i klejnotów wnosi wielkie serce, spragnione czynu i ofiary.

A. stary król?

Śmierć jego, czy zniknienie, będzie przedmiotem dociekań, fałszywych sądów, bezmyślnych przypuszczeń. Lud wysnuje o nim ciekawą legendę, jak o królu Arturze. Tylko Sergiusz będzie wiedział cząstkę prawdy, gdyż do Sergiusza napisał w tej sprawie. Obecnie nawet musi mieć list jego w ręku; tej samej nocy odebrać go musiał.

— I ten zapomni—szepnął. — Zapomni o bólu, choć go dotknął głębiej. Pójdzie obraną drogą coraz wyżej, pracując dla ogółu, z zaparciem się siebie, ze szlachetnem oddaniem się dla innych. I dla niego lepiej, że mnie nie będzie wśród żywych, bo gdyby, kiedykolwiek odgadł przyczynę jej śmierci, musiałby mię znienawidzić całem sercem. Miałby słuszność i prawo. Czemże jestem wobec niego? Czemże byłem? On kocha lud i będzie mu służył mimo wszystko, bo nie dla siebie żył i nie dla siebie walczył z mozołem.

To bohater idei!

Księżyc wynurzył się nagle z za chmury i ku najwyższemu zdumieniu król spostrzegł olbrzymi cień człowieka, jakąś czarną masę, posuwającą się zwolna ku trumnie z drugiego końca statku. Nie mogąc pojąć, ani wyobrazić sobie, jaka istota ludzka odważyć się mogła na podróż, z której nie było powrotu, postąpił parę kroków ku niej, lecz drgnął nagle i cofnął się z okrzykiem trwogi i zdumienia.

— Sergiusz!.. Sergiusz? — powtórzył.

— Król? — zawołał Sergiusz.

Na bladej i zmienionej jego twarzy malował się najwyższy podziw, niemal trwoga. Król tu? na morzu? w drodze na śmierć pewną?

— Co to znaczy?—zawołał. — Król tutaj? Na morzu? Skąd się tu wziąłeś? Nie tu twoje miejsce! Nie masz prawa umierać obok Lotys! Ona jest moja! Moja! Ja tylko ją kochałem!

— Ja kochałem także! — odparł król spokojnie.

— To kłamstwo!—krzyknął Sergiusz.— Nikt nie mógł jej kochać tak, jak ja ją kochałem! Ach, ja czekałem na nią bardziej niecierpliwie, niż te fale, które pochłonąć nas pragną! Kochałem ją! A kiedy z twojego powodu jej dusza odwróciła się ode mnie,

kiedy śmiała powiedzieć głośno, że cię kocha — cóż dla niej pozostało, oprócz śmierci? Lepsza śmierć dla niej, niż hańba, o królu! A więc ją dałem!

Zaśmiał się obłąkanym, strasznym, dzikim śmiechem, i mówił znowu głośno i wyzywająco, jakby burzę i niebo wzywał na świadka słów swoich:

— Miałem prawo do tego życia! Miałem prawo! Ocaliłem ją od nędzy i głodu: co dałem, mogłem zabrać, było moje! Jej życie było moje! Nie chciałem patrzeć na nią zhańbioną, splamioną, nie—raczej śmierć! Zabiłem! Ja sam ją zabiłem!

Król rzucił się ku niemu z krzykiem przerażenia.

— Ty ją zabiłeś? Zdrajco!.. Więc nie ona sama!

— Precz! — krzyknął Sergiusz, podnosząc pistolet. — Jeśli mię dotkniesz, zabiję i ciebie! Ona nie popełniła samobójstwa, ale ostatnie słowa jej były: „Powiedz, że ja sama! Powiedz królowi, że sama!“—Kłamstwo! Kobieta zawsze kłamie! Ale kłamała dla mnie! Aby mnie osłonić! Ja, nie ty, byłem jej ostatnią myślą! Ja, jej morderca, zbawca!

Stał z ręką podniesioną, podniesioną głową, jak tryumfator, który szczyci się zwycięstwem. Spokojna postać króla budziła

w nim wściekłość i podniecała do nowych wybuchów.

— To był mój „dzień fatalny“ — zaczął znowu z urąganiem. — Dzień, w którym samo niebo mi cię dało, w którym zabić cię mogłem! Czemu nie zabiłem? Dlaczego pozwoliłem nienawiści osłabnąć choć na chwilę w swojem sercu? Ja się z nią urodziłem! Była cząstką mej istoty, mego życia, główną sprężyną mej walki i pracy! Dlaczego się zaparłem własnej duszy? Przeklinam chwilę, w której nazwałem cię przyjacielem! Przeklinam siebie, że to uczyniłem! To było kłamstwo. Byliśmy wrogami zawsze i wszędzie! Byliśmy wrogami. A wobec niej... A cóż mię obchodzi lud? przyszłość? Cóż to ciebie obchodzi? Kochaliśmy jedną kobietę i walczyliśmy dla niej — oto prawda! A teraz chcę z nią umrzeć — sam! Rozumiesz? Chcę z nią sam umrzeć tutaj! Morze nie będzie dla nas wspólnym grobem! Dla nas trojga ono za ciasne! Nie chcę świadków, rozumiesz? Nie chcę świadka! Sam z nią pójdę do grobu i za grobem sam ją spotkam i pójdę, dokąd mię zaprowadzi! Sam z nią, nikogo więcej! Raj, czy piekło — to jedno, skoro sam z nią będę!

Namiętne wybuchy rozpaczy Sergiusza nie zdolne były wszakże zburzyć spokoju

monarchy, przeciwnie, nową dawały mu siłę, wielkie skupienie ducha i moc władzy nad sobą. Stał przy trumnie milczący, niewzruszony, jakby dźwięki ludzkiego głosu i ryk burzy jedno miały dla niego znaczenie.

— Po co przyszedłeś tutaj? — zawołał Thord znowu. — Skąd się tu wziąłeś i jakim sposobem? Pod pokładem sam byłem! Czyż tutaj przynajmniej nie mogłeś nas zostawić oboje w spokoju? Masz tron, państwo, miliony serc ludzkich i złoto — dla mnie ona jest wszystkiem!

— Przyszedłem, bo mam prawo — odparł król spokojnie. — Przyszedłem z nią rozpocząć nowe życie: kochała mnie!

Z dzikim okrzykiem Sergiusz zwrócił ku niemu pistolet, ale król się uśmiechnął.

— Strzelaj! — rzekł spokojnie. — Ona jest tu i widzi. Śmierć czeka nas obudwu, i wszystko mi jedno, czy umrę z twojej ręki, czy też pochłonie mnie fala. Bądź mordercą obojga, to silniej połączy tam nasze istoty! I połączy prędzej.

Sergiusz spojrzał na niego obłąkanym wzrokiem: Śmierć nawet ich połączy!

Szał zazdrości ogarnął go ostatniem tchnieniem zazdrości o umarłą! O śmierć, o grób wspólny! Nawet to mu wydarto!

Tam, przy trumnie, zuchwale stoi jego rywal, z wyrazem dumy, odwagi, spokoju. Ha!

Z dzikim krzykiem rzucił się na niego, pochwycił jego ramię.

— Za blizko! — szeptał, chwytając powietrze. — Nie wolno ci być tak blizko! Nie umrzesz tu, przy niej! Nie masz prawa...

Cofnął się. Jakaś moc nieziemska była w spojrzeniu króla: odtrącił go wzrokiem.

— Nie patrz tak!—krzyknął.—Nie patrz!

Drżącą ręką podniósł na chwilę pistolet, mierzył, wystrzelił.

Król stał niewzruszony, z uśmiechem oczekiwania i spokoju.

Dym rozproszył się prędko; król stał z ręką na trumnie, nietknięty i spokojny.

Wtedy olbrzymia postać Sergiusza zachwiała się, oczy błysnęły mu dziko, usta wykrzywił jakiś skurcz konwulsyi. Zwrócił broń nagle przeciw własnej piersi, rozległ się drugi wystrzał, i ciało ludzkie upadło na pokład.

— Tam! — szepnął. — Tak najprędzej!.. Niech żyje król! Niech żyje!

Szalona fala uderzyła nagle w maszt i złamała go na dwoje. Upadł, siecią lin oplątując trumnę i pokład, po którym fale rzucały ciężkie szczątki drzewa, niby igły

sosnowe. Jeszcze potężny bałwan i ciało Sergiusza zniknęło w głębi morza.

Zniknęło. Król zrozumiał, że ostatnia chwila zbliża się i dla niego. Trumna, przytwierdzona mocno do pokładu, tylko ze statkiem mogła pójść w otchłanie, a on miałżeby być oderwany i uniesiony od niej? Pochwycił mocną linę, leżącą u nóg, opasał się nią kilkakrotnie i umocował węzeł z siecią lin, opadłą ze złamanego masztu. Teraz mógł być pewny, że nic ich nie rozdzieli. Razem pójdą na dno i spoczną obok siebie, a dopóki fala nie dopełni zniszczenia, nic go nie oderwie od najdroższych mu szczątków.

I śmiałem czołem witał olbrzymie bałwany, które przelatywały mu nad głową, torując drogę do wieczności. Widział przed sobą otwarte jej bramy, i jakże małem i dziecinnem prawie wydało mu się wszystko, co zostawiał: zaszczyty, chwała i władza doczesna! Czemże było to wszystko wobec tej wiecznej jasności, jaką widział przed sobą za wrotami śmierci, jasności, której imię było: Miłość!

Zielona góra wodna zbliżała się teraz, hucząc groźnie, niby zapowiedź zniszczenia.

Król podniósł oczy i zaczął się modlić. Modlił się sercem, aby Bóg nie był Marzeniem, miłość — snem pięknym, a śmierć — granicą

istnienia... Modlił się z wiarą, z nadzieją, z miłością.

Potem usiadł, wsparł głowę o drewniane wieko i biernie patrzał na spiętrzone fale, szturmujące do statku. Nagle wydało mu się, że słyszy głos dzwonu, płynący z dali, i śpiew jakiś znany, śpiew, który słyszał niegdyś, i ujrzał przed sobą wynurzającą się z burzy twarz ludzką!.. Nie była to twarz Lotys, ale twarz kobiety-dziecka, drobna główka na tle wijących się włosów, i jasne, ufne oczy, zwrócone ku niemu. Kto to jest? Gdzie ją widział, tę słodką twarzyczkę, ufną i kochającą?

— Ach!

Zamknął oczy z okrzykiem bólu.

— Duchu przeszłości, czego żądasz dziś ode mnie? Duchu skrzywdzony, ufny, który pożegnałeś mię wyrzutem miłości: „Przebacz mi, najdroższy!“ Ty przebacz! Czemu stajesz dziś przede mną? W tej ostatecznej i stanowczej chwili! Zemsty?—Ukarz mię, Panie! Pierwsza miłość!.. I zdrada!.. I zawód okrutny!

— Ukarz mię, Boże!

Uczuł łzy w oczach. Lat tyle, lat tyle — i zapomniał o krzywdzie, wyrządzonej niewinnej i kochającej.

— Ukarz mię, ale przebacz, przebacz,

o Panie! Niech twarz ta nie stoi między mną a Lotys! Boże, o wielki Boże!

Ośmielił się otworzyć oczy raz ostatni, ale nie ujrzał już twarzy dziecięcej. Chmury rozdarły się właśnie w zenicie, i księżyc rzucał fantastyczne światło na rozhukane morze i walkę żywiołów.

— Po tamtej stronie grobu, droga Lotys!—szepnął.—Boże, bądź miłosierny!

Statek znalazł się właśnie na szczycie spiętrzonej, olbrzymiej fali i, spadając w otchłań, dostał się w wir dwóch prądów, które w jednej chwili zakręciły go w koło, zanurzyły w głębi tworzącego się lejka i przykryły pianą walących się z góry bałwanów.

Księżyc patrzał z wysoka, chmury zsuwały się zwolna, a ocean grał wielką pieśń tryumfu.

* * *

Minęła noc i burza. Ocean stopniowo odzyskał gładką, lustrzaną powierzchnię, przejrzystość fali i barwę błękitu pod błękitnem nieba sklepieniem.

W noc taką, kiedy księżyc, niby srebrna czara, rozlewał blask promienny na srebrny ocean, na horyzoncie ukazał się statek, dążący

siłą pary ku wybrzeżom. Na masztach powiewały wielkie flagi, na pokładzie grała muzyka, a dźwięki rozpływały się w powietrzu, niosąc daleko słodką melodyę marzenia.

Glorya i książę Humbert stali obok siebie, wpatrzeni w zbliżającą się do nich ojczyznę, czując radosne uderzenia serca i wielki, błogi spokój na dnie duszy.

Nie przeczuwali zdarzeń, które ich czekały na progu nowej epoki ich życia; nie widzieli stąd jeszcze ani żałobnej chorągwi na królewskim dworcu, ani rozpaczy matki-wdowy i królowej; nie wiedzieli o tajemniczym losie króla, śmierci Ronsarda, zniknięciu Sergiusza, wygnaniu sir Rogera. Nad tem zawisła dla nich jeszcze zasłona jutra; dziś stali przed nią pełni nadziei i szczęścia, silni miłością wzajemną i miłością ludu, z którego przeznaczeniem łączyli los własny.

— Niema już śladu burzy, która spotkała nas w drodze—odezwała się Glorya.—Wicher ucichł zupełnie; do końca podróży możemy liczyć teraz na pogodę.

Mąż objął ją ramieniem, i stali spleceni silnym uściskiem, słuchając z rozkoszą dźwięków muzyki.

— Jaka noc piękna! Jaki spokój!—mówiła Glorya.

KONIEC.

Bibl. Pryw. Justyn Strzyż
No. 10